

Rufin Jean Christophe
Zapach Adama

*Człowiek pokorny nie lęka się dzikich bestii.
Gdy tylko go dostrzegą, chowają pazury.
Czują w nim bowiem zapach Adama sprzed upadku,
kiedy do niego podchodziły, a on nadawał im rajskie imiona.*

Izaak Syryjczyk
Traktaty ascetyczne

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Wrocław, Polska

Juliette działała niemal bez emocji. Dopiero przy małpach coś się zmieniło.

Wszystko zaczęło się zgodnie z planem. Laboratorium znajdowało się dokładnie tam, gdzie wskazał jej Jonathan. Obchodząc budynek z lewej strony, Juliette bez trudu odnalazła nieoświetlone wyjście awaryjne. Zamek nie stawiał łomowi oporu. W ciemności udało jej się dosięgnąć skrzynki elektrycznej i uruchomić włącznik. Ostre, białe, neonowe światło zalało zwierzętarnię.

Jedynę, co ją zaskoczyło, to zapach. Juliette przygotowana była na wszystko z wyjątkiem wywołującego mdłości fetoru brudnego futra, ekskrementów i przejrzałych owoców. Na szczęście gdy tylko zapaliła światło, smród zmałał, jakby wpełzł pod klatki i ukrył się przy podłodze wraz z cieniem. Juliette wzruszyła ramionami. Mimo wszystko potrzebowała kilku chwil, by wyrównać oddech i sprawdzić czy nie rozdarła rękawiczek.

Potem podeszła do klatek.

Jonathan nie był w stanie nic powiedzieć na temat ich ustawienia. W zależności od rodzaju eksperymentu, klatki ze zwierzętami często zmieniały miejsce. Zmieniała się także liczba zwierząt. Te, które złożono nauce w ofierze - zastępowano kolejnymi. Podzielone były też zależnie od badań, jakim je poddawano. Niedaleko drzwi, które Juliette zostawiła szeroko otwarte, ustawiono jedną na drugiej dwie klatki z kotami. Koty wydawały się jeszcze w dobrej kondycji i zaledwie Juliette otworzyła drzwiczki klatek, wyskoczyły i czmychnęły w ciemną noc.

Nie miała czasu nacieszyć się nimi, bo nagle głuchy dźwięk odbił się echem w otynkowanych rurach biegnących wzdłuż

sufitu. Juliette zamarła i wyteżyła słuch. Znowu zapanowała cisza. Zaniepokoiła się, ale przyszły jej na myśl słowa Jonathana. „W środku nocy *nikogo* nie ma w laboratorium”. Z dużym wysiłkiem przypomniała sobie jego ton i niemalże poczuła oddech Jonathana na karku. To sprawiło, że stopniowo powróciła ufność, pewniejsza niż hałasy.

Zaczęła od gryzoni. Spodziewała się białych myszek, które budziły w niej mniejsze obrzydzenie niż szare. Ale zwierzęta kłębiące się w podłużnych, płaskich klatkach nie były ani szare, ani białe. Były to prawdziwe potwory. Niektóre bezwłose, w wywołującym mdłości różowym kolorze. Inne upędzlowane na zielono, pomarańczowo i fioletowo. Mnóstwo szczurów o szklistym spojrzeniu, jakby ich olbrzymie oczy odbarwiono i polakierowano. Juliette zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno łono natury to miejsce dla takich straszylek. Wyobraziła sobie małe dziewczynki, które otwierają swe szafy i stają oko w oko z tymi szkaradami. Ale prawdę powiedziawszy, wyzbyła się w tej kwestii wszelkich skrupułów. W trakcie przygotowywania akcji wielokrotnie miała okazję pytać o to Jonathana. Szybko zrozumiała, że sprawa zwierząt nie ma nic wspólnego z tym, czy są użyteczne dla ludzi. „Wszystkie istoty żywe mają prawa, nieważne, czy są ładne, odpychające, oswojone czy dzikie, jadalne czy nie”. Tę lekcję znała na pamięć. Przelknęła obrzydzenie i pozwoliła szczurom zniknąć na zewnątrz w ślad za kotami. Zmusiła się nawet do tego, by wzbudziło to w niej satysfakcję.

Teraz jednak przyszła kolej na małpy. To one miały poddać Juliette prawdziwej próbie. Było ich pięć, malutkich, o zadziwiająco ludzkich spojrzeniach i mimice. Te, które zamknięte były w klatkach po dwie, obejmowały się jak stare stadła. Nawet nie ruszyły się z miejsca, gdy Juliette je oswobodziła. Miała ochotę wyciągnąć małpy z głębi klatek, powstrzymała się jednak. A jeśli ją ugryzą lub podrapią, rozedrą rękawice i zranią do krwi? Nie powinna zostawić po sobie żadnego śladu do analizy genetycznej. Dała im spokój, by same zdecydowały. Podeszła do ostatniej klatki.

Była w niej mała i chuda marmozetka o splecionych na brzuchu długich ramionach. Ciało miała nietknięte, natomiast z jej czaszki sterczał tuzin elektrod, które nadawały małpce wygląd wodza

indiańskiego w pióropuszu. Gdy tylko Juliette otworzyła klatkę, marmozetka skoczyła odruchowo i wylądowała na białych kafelkach podłogi. Tkwiła tak chwilę w bezruchu, wpatrzona w otwarte drzwi wyjściowe. Tuż przy drodze powiał lekki przeciąg. Zafalował elektrodowy czepek. Mimo że Juliette wykazała się odpornością na odrażającą szpetotę gryzoni, to wobec nędzy tak ludzkiego stworzenia, którego drobne kończyny wstrząsał dreszcz, poczuła się mniej pewnie. Powolne i nieregularne ruchy powiek ukrywały raz po raz spojrzenie pełne przerażenia i bólu. Juliette, której nie zatrzymały dotąd ani ryzyko, ani przeszkody, ani nawet hałasy, zamarła. Przyglądała się ostatniej drodze jeńca, którego nie dało się wyzwolić, gdyż nosił narzędzie tortury we własnym ciele. Wiedziała, że litość, jaką odczuwa, jest śmieszna, gdyż jest to przede wszystkim litość nad samą sobą. Co tu dużo mówić: małpka uosabiała cierpienie i samotność, które Juliette znała od lat. To właśnie cierpienie doprowadziło ją tutaj, w maskującym kombinezonie ze ściągaczami w kostkach, w duszącej kominiarce i za dużych tenisówek. Juliette traciła poczucie upływającego czasu, od czego zależało przecież powodzenie akcji.

Wtem małpka zebrała siły i stanęła na tylnych łapkach. Zrobiła dwa kroki w kierunku wyjścia, po czym upadła na bok, niczym przewracająca się zabawka. Jej ciałem wstrząsnęły drgawki. Na szczęście zamknęła oczy. Uwolniona od spojrzenia pełnego niemego wyrzutu, Juliette otrząsnęła się i powróciła do niej świadomość upływającego czasu i wagi zadania. Przez ile minut tkwiła beczynnienie? Było dziesięć po trzeciej. Ogarnął ją strach. Nawet jeśli uporała się ze zwierzętami, wciąż pozostawało wiele do zrobienia. „Druga część twojej misji jest równie ważna jak pierwsza. Dobrze to sobie zapamiętaj”. Należało bezwzględnie skończyć o czwartej.

Zdjęła plecak i wyjęła z niego dwie puszkę farby w sprayu. Na duże ścianie pomiędzy stertami klatek, około pół metra od podłogi, zaczęła pisać czarnymi drukowanymi literami pierwsze hasło: „Uszanujcie prawa zwierzęcia”.

Podeszła znowu do plecaka i wzięła drugą puszkę farby, tym razem czerwoną. Z trudem sięgając ręką ponad pierwszy napis, dodała kursywą „Front Wyzwolenia Zwierząt”. Powtórzyła

operację na wszystkich ścianach, zmieniając hasła i starannie robiąc błędy ortograficzne, by utrudnić dochodzenie. „Jeśli mam udawać, że jest nas dwoje, czemu nie pójdziesz ze mną?” Pozałowała swego pytania tuż po tym, jak je zadała Jonathanowi. Był to jedyny raz, kiedy poddała w wątpliwość jego instrukcje. Wytłuma czył jej oschle, że polecenia mówią o narażaniu jak najmniejszej liczby bojowników. Tym lepiej! Jego obecność przeszkadzałaby jej teraz. To była jej misja. I chciała ją wypełnić samodzielnie.

Schowwała farby do plecaka. Działała nadzwyczaj szybko. Od wejścia do laboratorium upłynęło zaledwie trzynaście minut. Świadomość ryzyka i czujność wyostrzyły zmysły, co sprawiło, że czas wydawał jej się rozciągnięty i nasycony. W dzieciństwie Juliette przywykła, że lata nudy mijają jak sekundy. Wiedziała również, że w niektórych momentach życia zdarzało się coś odwrotnego: sekundy rozciągały się niczym całe lata. Lubiała to wrażenie pełni i chwile przyspieszenia, a zarazem nauczyła się ich obawiać. Czuła, jak powoli to wrażenie wypełniało ją teraz.

Przystąpiła do ostatniego etapu. Założyła duże plastikowe okulary, takie same, jakich używają drwale, by chronić oczy przed odpryskami drewna. Ścisnęła w prawej dłoni trzonek kwadratowego młotka, który wyciągnęła z plecaka. Stalowe narzędzie wydało jej się rozkosznie ciężkie. Od tej chwili miała niecałe trzy minuty.

Szklane drzwi w głębi zwierzętarni prowadziły do ciemnego pomieszczenia. Było to przejście do laboratorium naukowego. Polecenia Jonathana były jasne: „Tam nie możesz już pozwolić sobie na stratę czasu. Rozwalasz i uciekasz”. Najpierw drzwi. Juliette uderzyła młotkiem w matowe szkło. Szyba pękła i w sekundę posypała się na podłogę jak kurtyna gradu. Uważnie sprawdziła, czy odłamki nie rozdarły rękawic. Przezornie ominęła stos matowego gruzu i włączyła światło. Długie, podwieszane lampy neonowe zapaliły się jedna po drugiej, wydając przy tym odgłos zwalnianej cięciwy. Jak we wszystkich laboratoriach na świecie, dekorację stanowiła tu kompozycja skomplikowanych przyrządów i ludzkiej prywatności: zdjęcia dzieci przyklejone do ścian, sterty papierów, humorystyczne rysunki przypięte do blatów. Przy drzwiach w równym rzędzie stał zestaw kolumn chromatograficznych przypominających piszczalki organowe. „Zacznij od prawej strony”.

Juliette uniosła młotek i uderzyła w aparat. Szklane odpryski i krople białawej zawiesiny zbryzgały okulary i kominiarkę. Lepki płyn kleił się do rękawic. Strój ochronny stał się granicą pomiędzy nią a resztą. Przede wszystkim jednak ogarnęła ją niebezpiecznie zachłanna egzaltacja, która tłumiała wszystkie doznania oprócz słuchowych: brzęk tłuczonego szkła, łoskot metalowych rurek zrzuconych na podłogę. Komora laminarna roztrzaskała się o fajansowy blat. Juliette postępowała metodycznie, rozbijała wszystko fachowo i sumiennie. „Nie zapomnij o analizatorze genów: to niepozorne urządzenie, o wyglądzie najzwyczajniejszej wagi, jest najdroższe ze wszystkich”. Spuściła młot na lśniąca tackę aparatu. W jej gestach nie było wściekłości ani agresji. Dokonywała aktu destrukcji niemal automatycznie. Najbardziej zadziwiające było czuć, do jakiego stopnia ten zimny rozbój wyzwalał umysł. Juliette ogarnęły naraz spokój i podniecenie. Myśli i wspomnienia kłębiły się w jej głowie. Balansowała teraz na niebezpiecznej granicy pomiędzy otchłaniami. Śmiech czy płacz, nie miała pojęcia, w którą skrajność wpadnie. Podobnych odczuć doznawała ostatni raz pięć lat temu w czasie manifestacji, która wzięła zły obrót. Upadła i została podeptana. Słyszała krzyki i czuła ciosy, zanosiła się śmiechem, choć jej oczy wypełniały łzy.

Pomieszczenie wokół niej zamieniło się w rumowisko. Podłoga przysypana była odłamkami szkła i metalu i zalana barwnymi cieczami. Groźną ciszę zastąpiła wesoła kakofonia trzasków i eksplozji. Juliette czuła głęboką radość, że w ten sposób może odcisnąć swój ślad na ziemi. Ona, którą opisywano jako zwyczajną, podkreślając jej łagodność, wycofanie i nieśmiałość, niespodziewanie doświadczała obecności swego ukrytego ja w efemerycznej chwale metamorfozy, niczym larwa, której nagle wyrosły olbrzymie skrzydła.

Rozpoczęło się nieuchronne odliczanie. Mimo iż budynek był odosobniony, łomot wkrótce obudzi kogoś w sąsiedztwie. Juliette rozmyślnie nie przyśpieszyła, lecz w równym tempie kontynuowała pracę. Tak radził jej Jonathan. Przede wszystkim zaś nie chciała skracać sobie przyjemności.

Nareszcie powróciła do drzwi, przez które dostała się do laboratorium. Obeszła całe pomieszczenie, rozbijając wszystko na

swojej drodze. Nietknięta pozostała tylko szafa chłodząca. Na emaliowanej powierzchni u góry po prawej stronie mrugały dwie małe diody. W wielkiej lodówce stały szeregiem fiolki z niebieskimi i żółtymi etykietkami. Jeden tylko flakonik zaznaczony był na czerwono. Juliette wyjęła go i umieściła w dobrze wymoszczonym etui telefonu komórkowego. „Resztę potłucz”. Wymierzyła ostatni i brutalny cios w szklaną półkę chłodni. Fiolki trzasnęły, a ich zawartość wylała się na podłogę.

Zrozumiała, że operacja została zakończona. Przyjrzała się uważnie zdewastowanemu wnętrzu. Ogarnął ją chłód i zadrzała od stóp do głów. Odruchowo podciągnęła kołnierz. Wezbrała w niej nieprzeparata chęć ucieczki. Pozostało jednak coś jeszcze do zrobienia. Przypomniała sobie o bucie i wyjęła go z plecaka. Był to duży, męski trzewik, z zygzakami na podeszwie. Wybrała różową kałużę i odcisnęła ślad buta na lepkiej, prawie suchej powierzchni. Schowała go do plecaka, który zarzuciła na plecy. Na zgliszczach zapanowała złowieszcza cisza. Juliette opuściła laboratorium i przeszła przez zwierzętarnię. Wzdrygnęła się na widok małpki, która leżąc wciąż na boku, miała teraz oczy szeroko otwarte. Ominęła ją, odwracając wzrok. Po myszach, kotach i chomikach nareszcie i ona mogła zanurzyć się w chłodną noc. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek, zaśmiała się.

II

Atlanta, stan Georgia

Pacjent siedział pochylony do przodu. Dwie dłonie w rękawiczkach delikatnie badały dolną część jego pleców. Zlokalizowały wgłębienie pomiędzy kręgami. Cienka, dwunastocentymetrowa igła miękko zagłębiła się w nim, nie wywołując ani okrzyku, ani nawet drżenia. Płyn mózgowo-rdzeniowy, przezrysty jak woda źródłana, zaczął spływać kropla po kropli do probówek, które trzymała pielęgniarka. Po pobraniu materiału doktor Matisse powoli wyjął igłę i rzucił ją do papierowego naczynia w kształcie nerki. Zdjął z trzaskiem lateksowe rękawiczki i rzucił je w ślad za igłą. Przyjaźnie ścisnął ramię chorego. Jego skupienie w trakcie zabiegu przeistoczyło się teraz w pośpieszną bezceremonialność.

- Odwagi, Nat, wszystko będzie dobrze. Połóż się na brzuchu i odpoczywaj przez cały dzień. I pij dużo.

Pacjentem był dwudziestoletni Portorykańczyk o śniadej cerze i czarnych zmierzwionych włosach. Na jego twarzy zawitał na moment uśmiech, zaraz jednak spochmurniał, przypomniawszy sobie o bezwładnych nogach. Znowu nawiedziła go myśl, że prawdopodobnie przez całe życie będzie kaleką. Niedługo zostanie przewieziony do swojego pokoju, a tam trudno mu będzie uciec od rzeczywistości. Jego trzech sąsiedzi, tak jak on, byli ofiarami samochodowych albo motocyklowych stłuczek, sportowych upadków czy podobnie traumatycznych wydarzeń.

Paul Matisse spojrzął na zegarek: była jedenasta piętnaście. Czas naglił. Przekartkował zeszyt wizyt: pozostało dwóch chorych.

- Proszę cię, poproś kogoś, żeby tu przyszedł - zwrócił się do pielęgniarki. - Muszę natychmiast wyjść. Zawołaj Milтона albo Elmera, wydadzą mi się, że pracują dzisiaj.

W klinice było pięciu lekarzy wspólników, którzy po zakończeniu studiów razem zaangażowali się wspólnie w tę szaloną przygodę: stworzenie ultranowoczesnego centrum patologii neurologicznych i leczenie w nim za darmo młodych „połamańców” bez ubezpieczenia zdrowotnego i majątku. W niecałe trzy lata odnieśli oszałamiający sukces. Pacjenci napływali z całych Stanów Zjednoczonych, trzeba więc było bezustannie zdobywać środki na prowadzenie kliniki. Z medycznego punktu widzenia działalność kwitła, niestety z finansowego wyglądała coraz gorzej. Każdego miesiąca balansowali na krawędzi upadku. Paulowi przypadła rola kierownika, z uwagi na jego wcześniejsze wykształcenie. Choć tego nie lubił, musiał biegać po urzędach, uganiać się za wierzycielami i sponsorami. Coraz trudniej mu było znaleźć czas na praktykowanie zawodu.

Otworzył drzwi sekretariatu z butną miną.

- Gdzie ma być to spotkanie? - zdejmując fartuch, spytał Laurę, swoją sekretarkę.

- W barze hotelu Madison.

Wzruszył ramionami i zapiął wiatrówkę na dwa guziki.

- Co za facet, że też nie mógł przyjść tutaj! - wycodził, rzucając butami do jazdy rowerowej.

- Spróbuj zdobyć się na uprzejmość. Wydaje się bardzo poważnym sponsorem.

- To on tak twierdzi. Skoro jednak nie chciał powiedzieć, jak się nazywa...

Paul wstał i zatrzymał wzrok na rogu biurka. Znał dobrze czerwony plastikowy kosz, w którym Laura trzymała zaległe rachunki. Był wypełniony po brzegi. Zdecydowanie nie mógł niczego zaniedbać.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócę o drugiej - rzucił, wy chodząc.

Klinika zajmowała całe czwarte piętro starego budynku z cegły. Poniżej znajdowała się redakcja gazety z darmowymi ogłoszeniami, na granicy bankructwa. W ciągu kilku tygodni lokal miał być wolny i prawdopodobnie byłaby to jedyna okazję powiększyć klinikę. Niestety, aktualna sytuacja finansowa nie pozostawiała wiele nadziei na zrealizowanie tego projektu. Paul wpadał w zły

humor, ilekroć o tym myślał. W garażu z wściekłością wsiadł na rower górski.

Jako mieszkaniec Atlanty dobrze wiedział, jak ryzykowna jest jazda na rowerze po tym mieście. Jednak w tej sprawie trudno było liczyć na rozsądek Paula. Brawurowa jazda na rowerze stanowiła jego metodę na wyładowanie gromadzącej się w nim energii. Przy pacjentach był uosobieniem spokoju i działał na nich kojąco. Zdziwiliby się, widząc go pedałuującego jak szaleniec, pochylonego nisko nad kierownicą i zlanego potem. Paul potrafił zachować równowagę w każdej sytuacji pod warunkiem, że dwie godziny dziennie wyżywał się sportowo.

W jego wyglądzie nie dawało się dostrzec nic wyjątkowego. Nie był ani szczególnie barczysty, ani wysoki. Miał skłonność do tycia, więc musiał stale uważać. Kto przyjrzał się dokładniej jego twarzy, mógł dostrzec frapujący kontrast pomiędzy europejskimi rysami i dyskretną nutą afrykańską. Miał śniadą cerę, czarne kędzierzawe i krótko obcięte włosy z wyraźnie zarysowanymi zakolami na czole. Chociaż zawsze starannie się golił, jego żywotna broda odrastała w mgnieniu oka. Pozwolił sobie jedynie na zapuszczenie baczków sięgających prawie do połowy policzka. Upodabniało go to do Jean-Paula Belmondo w filmie *Syrena z Missisipi*. Z nosem złamanym w młodości nadal miał coś z nastolatka, podobnie jak aktor. Również jak Belmondo nie był klasycznie przystojny, jednak bywało, że promieniował siłą i urokiem nie do odparcia. Potrafił być tak dyskretny, że aż niezauważalny. Jeśli natomiast go dostrzeżono, to wyłącznie dlatego, że wykorzystywał swoje niewątpliwe atuty.

W kasku i bojowej pozycji Paul mknął wśród sznurów aut, wskakiwał na chodnik, to znów jechał pod prąd. Kochał wszystkie amerykańskie miasta, w których dane mu było żyć. Były dla niego ludzką dżunglą. Lubił ich złożoną geografie, lasy kamienic, szerokie równiny placów, doliny rzeźbione przez strumień samochodów płynący pomiędzy wzgórzami biurowców. Pedałuując na rowerze, przemierzał sawannę sobie tylko znanymi sekretnymi ścieżkami.

Madison mieścił się w starym budynku, który miał w swej historii epizod pałacowy, był kasynem i squatem. Niekończące się

remonty przekształcały go na nowo w hotel. Paul rzadko bywał w tej części miasta. Było to dziwne miejsce na spotkanie z majątym sponsorem, ponieważ luksusowe dzielnice mieściły się raczej na peryferiach. Gdy dotarł pod wskazany adres, bez zdziwienia stwierdził, że w okolicy nie ma gdzie przypiąć roweru. Oddał go więc boyowi, który równym krokiem przemierzał chodnik przed hotelem.

- To też pan bierze? - zapytał.

Mężczyzna, poirytowany obowiązkiem noszenia szarej liberii i śmiesznej szarej czapki z napisem „Madison”, zmierzył Paula pogardliwym wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na jego zabłoczonej, zielonobeżowej wiatrówce i sportowych butach, kupionych na wyprzedży trzy sezony temu. Paul dał mu do zrozumienia, że nie przyjechał z przesyłką dla gości hotelowych, lecz ma tu umówione spotkanie. Zgorzchniony boy ostatecznie zgodził się umieścić rower w bezpiecznym miejscu.

Korytarze wyłożone były nową, mięsistą wykładziną o niemożliwych już wzorach. Paul zastanawiał się, jak rozpozna rozmówcę. Na szczęście o tej porze bar był pusty. Tylko jeden klient siedział w głębi sali odwrócony plecami do wejścia. Można było dostrzec jego łysiejącą czaszkę.

Paul zatoczył łuk, by uniknąć podchodzenia do mężczyzny od tyłu. Gdy stanął przed nim, cofnął się odruchowo i spojrzał w kierunku drzwi. Było już jednak za późno. Mężczyzna stał i wyciągał rękę na powitanie.

- Paul, mój drogi... Przepraszam, powinienem raczej rzec: mój drogi panie doktorze, skoro...

Matisse spoglądał wrogo i nie uściśnął dłoni, którą podał mu starzec. Stał, nie spuszczać z niego wzroku.

- To pan - wyszeptał.

- We własnej osobie!

Mężczyzna przechylił głowę i wykonał staromodny ukłon.

- Archibakł - podjął z uśmiechem. - Ten sam, tylko starszy. Minęło już dziesięć lat, prawda?

- Czego pan chce ode mnie? - powiedział Paul.

Zdziwienie w jego głosie walczyło z wściekłością.

- Zobaczyc się z panem, drogi przyjacielu.

Paul miał możliwość wycofania się, dopóki nagle nie podszedł do nich kelner, odcinając tym samym drogę ucieczki. Zaskoczony, mimowolnie usiadł.

- Czego się pan napije?
- Poproszę coca-cole light.
- Co-ca-co-lę light! - powtórzył przybysz, komicznie akcentując sylaby. - Wiecznie na diecie, jak widzę. Taki pan umięśniony, szczupły, jestem pełen podziwu... Zdecydowanie nie należy pan do grupy nieszczęśników, którym przybywa piętnaście kilo, gdy zbliżają się do czterdziestki. W przyszłym roku kończy pan czterdzieści lat, nieprawdaż?

- Czego pan chce? - powtórzył Paul.

Był nadal wściekły, jednak powoli złość ustępowała zniecierpliwieniu. Chciał z tym jak najszybciej skończyć.

Starszy mężczyzna przyglądał włosy. Na kościstej dłoni błyszczał sygnet z ledwo widocznym herbem. Miał na sobie doskonale skrojony na modłę angielską lekki płócienny czarny garnitur w prążki. Melanż kolorów ciasno zawiązanego krawata wydawał się przypadkowy. Paul jednak wiedział, że dla wtajemniczonych oznacza on z matematyczną precyzją szkołę, jaką podobno ukończył Archie.

- Po pierwsze cieszę się, że pana widzę. Po drugie zdaję sobie sprawę, że nie ma pan dla mnie zbyt wiele czasu...

- W rzeczy samej.

- Otóż zależało mi na spotkaniu z panem, bo mam pewną propozycję.

- Sponsoring dla naszej kliniki - przerwał mu ostro Paul. - Upprzedzam, że nie mam zamiaru rozmawiać o niczym innym.

- Owszem, sponsoring - przytaknął Archie, podczas gdy kelner stawiał szklanekę przed Paulem.

- Słucham więc.

- Proszę mi najpierw pozwolić podkreślić, jak bardzo podziwiam pańską pracę. Szczerze mówiąc, gdy pan nas opuścił, nie sądziłem, że dotrwa pan do końca tych cholernych studiów. Zaczynać medycynę koło trzydziestki...

Paul stał się czujny. Palcami wyjął pływający w coca-coli plasterek cytryny i zjadł go, zanim upił pierwszy łyk.

- Wciąż ma pan ten zwyczaj - zachichotał Archie. - Widząc, że Paul unosi brwi, dodał: - Z plasterkiem cytryny.

Paul uśmiechnął się wbrew sobie. Tak jak się tego obawiał, po raz kolejny dawał się uwieść staremu mężczyźnie. Jeszcze kilka minut wcześniej był zdecydowany wyjść, a teraz mimo wszystko nawiązywała się rozmowa.

- Opiekować się beznadziejnymi przypadkami to też bardzo do pana pasuje. Ci wszyscy młodzi ludzie rozbijający się na motorach, biedacy! To straszne!

- Archie, to, co wiem na temat pańskich uczuć humanitarnych, zupełnie mi wystarcza. Niech pan wreszcie przejdzie do sedna. Czego pan ode mnie oczekuje?

- Ma pan rację, bądźmy szczerzy. Zatem, jak powiedziałem, wzruszyła mnie wiadomość o tym, czym pan się zajmuje. Bardzo zaprzagnąłem panu pomóc, rzecz jasna.

- Rzecz jasna.

- Jak pan może wie, działałem w radach nadzorczych kilku dużych instytucji. Mógłbym prawdopodobnie przekierować pewne środki na pańską firmę. Oczywiście wiedziałby pan, jak je wykorzystać?

- Co pan ma na myśli?

- Hm, dajmy na to spółka Holson i Ridge.

- Producenci konstrukcji metalowych?

- Otóż to. Przeznaczili specjalny fundusz na wypadki przy pracy. Wyobraża pan sobie, ilu mają ciężko rannych robotników?

Mówiąc o cudzym nieszczęściu, Archie przybierał szczerze współczującą minę. Paul znał go i wiedział, że jak wszystkie hieny gotowy był wyssać z życia ostatnią kroplę oraz że głęboko gardził przegranyymi.

- To firma bijąca wszelkie rekordy. Chińskie zamówienia na stal gigantycznie zwiększyły w tym roku ich dochody. W ostatnim kwartale zamierzają przeznaczyć milion dolarów na cele dobroczynne. Czyli już pod koniec tego miesiąca, po dokonaniu rocznego bilansu. Dotychczas wspomogli departament badań neurologicznych w New Hampshire. Coś mi mówi, że pan lepiej wykorzystałby ich pieniądze. Pewnie się nie myłę?

Paul przypomniał sobie nagle trzecie piętro, o które mógłby powiększyć klinikę. Oczami wyobraźni zobaczył możliwości, jakie

dałaby ta operacja: dodatkowe łóżka, gabinet fizjoterapii, salon wizyt dla rodzin. Otrząsnął się i spojrzął z furią na Archiego. Miał staremu za złe, że tak łatwo założył mu uzdę.

- To oczywiście byłby tylko początek. Mówię o sumie, którą otrzymałby pan natychmiast. Mam też kilka pomysłów na ciąg dalszy.

- Czego pan oczekuje w zamian? Niech to będzie jasne od samego początku.

Mimo czterogwiazdkowego standardu klimatyzacja w hotelu pozostawiała wiele do życzenia. Archibald wyjął białą chustkę z wyhaftowanymi inicjałami i przyłożył ją do czoła. Musiało mu naprawdę bardzo zależeć na spotkaniu, skoro zapuścił się aż tu, do Georgii. Uparcie traktował Południe jako ład szczególnie barbarzyński.

- Nie brak panu dawnego zajęcia? - zagadnął.

Paul wyprostował się.

- Skończyłem z tym dziesięć lat temu, Archie.

- Czy rzeczywiście? Podobno nie można zapomnieć czasów, gdy się miało dwadzieścia lat. Zresztą słyszałem, że nawet w kli nice mówią do pana Doktor Spy*.

Paul chciał zaprotestować, ale Archie uniósł dłoń i powiedział:

- Wiem, wiem, jest pan teraz lekarzem i o niczym innym nie chce pan słyszeć. Polityka międzynarodowa budzi w panu obrzydzenie. Nie czyta pan gazet. Pozwolił pan zapomnieć o sobie, ale jak się okazuje, nie wszystkim dawnym kolegom. Szanuję pańskie wybory. Niemniej jestem przekonany, że praca w wywiadzie to ważny etap w pana życiu. Co więcej, wydaje mi się, że zapewniła doskonale przygotowanie do tego, czym się pan teraz zajmuje. Czyż wysłuchanie, rozpracowanie zagadki na podstawie wskazówek, a następnie działanie, nie jest właśnie tym, czego oczekuje się od lekarzy?

Paul powinien wstać i wyjść, leszcze nie było za późno. Mimo to nie mógł. Oto znowu Archie zdobywał nad nim tę szczególną przewagę, gdzie sympatia, rozdrażnienie, podobne poczucie humoru i potrzeba działania wpływały na Paula bardziej niż to wszystko, co ich od lat dzieliło.

* Doktor szpieg-ang. (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

- Pan wie, że nie mam najmniejszego zamiaru wrócić do Firmy.

- Ależ proszę się uspokoić. Ja też już tam nie pracuję. Usługi publiczne, nawet tajne, straciły dla mnie urok. Obecnie CIA to banda biurokratów, niemająca nic wspólnego z CIA złotego wieku, gdy byliśmy w jej szeregach... Dlatego postanowiłem pracować na własny rachunek, w pewnym sensie podobnie jak pan... - Paul nie skomentował tego porównania. - Proszę się nie obawiać. Nie przyjechałem tu, by panu proponować misję. Przybyłem prosić o wsparcie.

- Wsparcie dla kogo?

- Dla mnie.

Archie zawsze wiedział, jak udać błagalną pozę. Z wiekiem jego niewinne i bezradne spojrzenie stało się całkiem przekonujące.

- Pomoc dla pana, ale opłacana z kieszeni Holsona i Ridga - zaczął się Paul. - Wieczny król handlu wpływami.

Starszy mężczyzna zmarszczył nos i poprawił krawat.

- Niech mi pan nie robi przykrości, Paul. Nie cierpię wielkich słów. W sprawie, którą chcę panu przedstawić, każda strona coś zyska.

- O co więc chodzi?

Archie cofnął się w głąb kanapy i rozejrzał dookoła. W barze był tylko kelner wycierający szklanki za kontuarem. Jasne, że podsłuchiwał, mimo iż bardzo starał się to ukryć. Archie rzucił mu mroczne spojrzenie.

- W takim miejscu wolę nie zdradzać szczegółów. Paul, po trzebuję kogoś takiego jak pan. To wszystko. A ktoś taki jak pan nie istnieje. Jest pan albo nikt inny. Nie znam nikogo, kto za szedłby tak daleko w pana zawodzie, to znaczy naszym zawodzie, a następnie został lekarzem. Aktualnie potrzebuję obu profesji. Czy to jasne? Moja agencja dysponuje specjalistami w każdej dziedzinie oprócz pańskiej. I właśnie tego rodzaju specjalizacja jest mi potrzebna.

Paul przymknął oczy. Teoretycznie właśnie takiej propozycji się obawiał. Od dziesięciu lat uciekał przed przeszłością, która go właśnie dopadała. A jednak nie odczuł żadnych emocji. Spotkanie wydało mu się naturalnym porządkiem rzeczy. W głębi duszy

czekał na nie. Przywołał w pamięci obraz Kerry. Stała naprzeciwko tarczy treningowej i, uśmiechając się do niego, ładowała swojego glocka.

- Słucha mnie pan? - zapytał Archie, pochylając się nad stołem.

- Oczywiście... - wymamrotał Paul.

- Powtarzam panu, zabrałoby to najwyżej miesiąc. Wiem, że ma pan czterech wspólników, nie będzie więc problemu z zastępstwem.

Zza zasłony gładkich manier i żartów wyzierał prawdziwy Archie. Z całą pewnością zdążył wszystko przestudiować, przewidzieć, znał doskonale sytuację, w jakiej znalazła się klinika, a także możliwości Paula. I jego najskrytsze pragnienia.

- Pan wie wszystko, czyż nie? Przypuszczam, że zna pan na wrywki koszty utrzymania mojej firmy, a nawet kolor mojej bielizny.

- Wiem, co warto wiedzieć. Zresztą jeśli chodzi o pana, to od dziesięciu lat śledzę pana losy. Nigdy nie straciłem pana z oczu, moje dziecko. Iednak przyzna pan też, że nigdy się nie wtrącałem.

To prawda. Paul mimo wszystko był mu wdzięczny za tę długotrwałą dyskrecję.

- Liczę na pana - powiedział Archie i położył dłoń na przedramieniu Paula, jakby chciał tym gestem symbolicznie przejąć kontrolę nad jego wolą. - Dokończę, jak już spotkamy się w Agencji.

Przesunął swoją wizytówkę po blacie stołu ze zrećnością krupiera. Paul przyglądał się jej dłuższą chwilę, zanim wziął ją do ręki i schował do kieszeni. Burknął coś pod adresem Archiego, wstał i pospiesznie wyszedł z baru.

- Do zobaczenia wkrótce - odezwał się starszy mężczyzna głosem zbyt cichym, by ktokolwiek go usłyszał.

Potem otworzył londyńskiego „Timesa”, którego wcześniej odłożył na kanapę, i z zadowoleniem zatopił się w lekturze.

III

Providence, stan Rhode Island

Samolot zszedł poniżej wysokości urwiska i szerokim łukiem zbliżał się do wybrzeża. Paul zastanawiał się, czy nie padł ofiarą kiepskiego żartu. Wille, rozrzucone na zielonym dywanie pół golfowych jak klocki z kości słoniowej, w porannym słońcu razily bielą. Były to ewidentnie letniskowe posiadłości albo co najwyżej domy dla emerytów z grubym portfelem. Innymi słowy ostatnie miejsce, w jakim człowiek spodziewałby się znaleźć siedzibę agencji wywiadowczej.

Na wysokości Westerly Airport Paul nieco odetchnął: wydostał się na peryferia porośnięte gęstymi lasami, które bliższe były wyobrażeniom na temat tego rzemiosła. Zza zakrętu wiejskiej drogi, którą wiozła go taksówka, wyłoniło się ultranowoczesne ogrodzenie. Pół mili dalej samochód zatrzymał się przed przesuwaną bramą. Pilnowało jej dwóch strażników zaopatrzonych w krótkofalówki. Taksówkarz, nie mając prawa wjazdu, zostawił Paula, który piechotą pokonał ostatnie sto metrów alei prowadzącej do głównego budynku. W oszklonej czteropiętrowej fasadzie odbijały się brzozy i dęby rosnące w parku wokół budynku. Kontrastowało to z betonowym dachem osłaniającym podjazd.

Archie czekał w holu i pośpieszył mu na powitanie.

- Jakże się cieszę, że pan przyjechał! - krzyknął, wyczerpując tym zdaniem swoje pokłady wylewności. - Dobrze się składa, bo udało mi się zgromadzić kilku współpracowników. Przedstawię ich panu.

Pociągnął Paula w kierunku wind. Wysiedli na ostatnim piętrze. Długi korytarz prowadził do podłużnej sali zebrań, przypominają-

cej oszkloną werandę, otoczoną tarasami. Szmer rozmów ucichł, zaledwie weszli. Archie zajął miejsce i posadził gościa po swojej prawej stronie.

- Moi kochani, oto Paul Matisse. Słynny, wyjątkowy, ten sam, o którym tyle wam opowiadałem. Jestem zmuszony skrócić na sze zebranie, by z nim popracować. Zanim jednak to uczynię, chciałbym, abyście po kolei się przedstawili. Być może będzie was wkrótce potrzebował, niech więc od razu dopasuje twarze do waszych fałszywych nazwisk.

Każda z osób siedzących wokół owalnego stołu wyjawiała swoją profesjonalną tożsamość, stanowisko, krótko omówiła przeszłość zawodową. W gronie przeważali mężczyźni. Wszyscy byli raczej młodzi. W większości odrobili zadanie domowe w którejś z dużych federalnych akademii wywiadu, szkół inspekcji celnej albo szkół policyjnych. Ich kompetencje obejmowały wszelkie pola działalności tajnych służb operacyjnych.

Wyrażali się w niezwykle profesjonalny, jasny i zwięzły sposób, co kontrastowało ze sztucznością i światowymi manierami Archiego. Paul był przyjemnie zaskoczony.

- Uważam tę część spotkania za zakończoną - podsumował Archie, kładąc obie dłonie na szklanym blacie. - Jeśli nasz przyjaciel Matisse będzie potrzebował dodatkowych informacji, zwróci się do was osobiście.

Rozległ się hałas odsuwanych krzeseł, po czym zebrani opuścili salę.

- Widział to pan? - spytał Archie, naciągając kamizelkę i przygładzając krawat. - Oto Firma w kameralnym, ale za to znacznie lepszym wydaniu. Bez zbędnego balastu, starych szpargałów i bezproduktywnych komórek.

Chwycił laskę, którą wcześniej położył na podłodze obok fotela, i podniósł się energicznie.

- Przekona się pan w akcji: są kompetentni i pracują z pasją. Na przykład Marta, dziewczyna siedząca przy oknie. Jej działka to śledzenie. Bez porównania z CIA i tymi wszystkimi typami, którzy wałęsali się po ulicach i zwracali uwagę już po piętnastu minutach. Koniec z niegdysiejszą maskaradą i amatorskimi sztuczkami. Marta to nowa generacja. Gdziekolwiek zechce pan

kogoś zlokalizować, ona to panu zorganizuje, łącznie z GPS-em, obserwacją satelitarną i innymi gadżetami. A Kevin, ten mały w głębi: informatyczny geniusz. Zapewne zauważył pan także Clinta w kowbojskiej koszuli i butach. Rzekłbym, żywcem z planu *Siedmiu wspaniałych*. Jest fantastyczny w dziedzinie wykrywaczy i nasłuchów.

Sala zebrań była pusta. Archie wskazywał porzucone w nieładzie krzesła wzrokiem pełnym czułości.

- Chodźmy coś zjeść. To dość daleko, więc po drodze będziemy mieli czas porozmawiać.

Długi zielony jaguar kombi czekał na nich na podjeździe. Usiedli na tylnym siedzeniu obitym kremową skórą. Kierowca zatrzasnął drzwi po stronie Archiego. Zamykając swoje, Paul rozpoznał charakterystyczny ciężar kuloodpornej karoserii. Samochód bezgłośnie pokonał aleję prowadzącą do bramy i mknął teraz zalesionymi wiejskimi drogami.

- Dlaczego wybrał pan akurat Rhode Island?

- Wiem, wiem - rzucił Archie kokieterystycznie. - Wszyscy uważają, że to wakacyjny kurort dla bogaczy. Rhode Island jest jednym z najdroższych stanów Ameryki. W takiej dziurze jak Arizona moglibyśmy mieć za te same pieniądze cztery razy więcej przestrzeni. Jednak, widzi pan, tutaj jesteśmy o rzut beretem od Nowego Jorku i Bostonu. Wystarczy niecała godzina helikopterem i jestem na spotkaniach w Waszyngtonie albo Langley. - Archie spojrzął ukradkiem na Paula i widząc jego uśmiech, pokiwał głową. - Właściwie dlaczego miałbym udawać? Pan wie, że ja po prostu nie znoszę być z dala od Nowej Anglii.

Ludzie, którzy na długo wiążą się ze środowiskiem wywiadu, wcześniej czy później odkrywają prawdę o sobie. A ściślej mówiąc, wybierają prawdę. Prawdą Archiego była Anglia. Marzył o niej od tak dawna, że nie tylko urosła w jego wyobrazeniach do rangi mitu, ale i on sam uwierzył, że tam znajdują się jego korzenie. Jednocześnie był Amerykaninem i trudno mu było o tym nie pamiętać. Na pocieszenie starał się mieszkać jak najbliżej swej duchowej ojczyzny, czyli w okolicach wschodniego wybrzeża, gdzie brytyjskie maniery uchodziły za naturalne.

- Poza tym - dodał przymilnie - tereny, na których wybudowaliście agencję, należą do hrabstwa Providence*. Lubię myśleć o założycielu tego miasta, który był wolnym człowiekiem i nawoływał do tolerancji wyznaniowej w czasach, gdy Ameryka padała ofiarą wszelkiej maści fanatyków.

Założyciel Providence, Henry Williams, był przede wszystkim uchodźcą. Zapewne ta właśnie dola sprawiła, że stał się bliski sercu Archiego. Zanim bowiem młody Archibald odkrył w sobie angielską duszę, był urodzonym w Argentynie Włochem pochodzenia żydowskiego, który wyemigrował z rodzicami do Stanów Zjednoczonych w wieku pięciu lat.

- No i co pan powie o Providence, mam na myśli nową agencję? Podoba się panu? - zagadnął, poprawiając się na siedzeniu.

Paul wiedział, że z Archiem nie należy bawić się w komplementy. Z tej gry starszy mężczyzna zawsze wychodził zwycięsko.

- Na początek wolałbym zrozumieć, na jakiej zasadzie działa pańska agencja. Jesteście prywatną filią CIA, czy tak?

- W żadnym wypadku! - wykrzyknął Archie. - CIA jest naszym najpoważniejszym klientem, ale powiedziałbym, że to przypadek. Stworzyłem Providence z zamysłem zerwania z modelem Firmy.

W okresie kiedy Paul odszedł z CIA, Archie był jedną z trzech najważniejszych osób w instytucji. Karierę zaczął wraz z narodzinami CIA, stanowił więc integralną część jej krajobrazu.

- Miał pan z kimś konflikt?

- Ach, zapomniałem, że nie śledził pan losów Firmy. Jest pan odcięty od świata jak rozbitek z wyboru!

Paul wzruszył ramionami.

- Streszczę to w kilku słowach - kontynuował Archie. - Odszedłem z CIA dwa lata później niż pan, czyli osiem lat temu. Nie posprzeczałem się z nikim, mogłem spokojnie zostać na stanowisku, jakie wtedy zajmowałem, może nawet awansować na specjalnego doradcę nowego dyrektora. Nie chciałem. Przeszliśmy w tam tym czasie piekło. Nikt nie potrafił przewidzieć, jakie będą losy

* Providence: nazwa hrabstwa oraz stolicy stanu Rhode Island, po angielsku oznacza *opatrzność*.

wywiadu po upadku komunizmu. Perspektywy naszego istnienia były mało optymistyczne... Potem była wojna w Zatoce Perskiej, w Bośni, Somalii, całe to zamieszanie. Napędzaliśmy sobie sami stracha, by czuć, że jeszcze jesteśmy potrzebni. Niestety żaden z tych konfliktów nie stanowił realnego zagrożenia dla Ameryki, a my rozpaczliwie szukaliśmy wroga.

Paul pokiwał głową. Doskonale pamiętał chandrę towarzyszącą mu w tamtych latach. Ukończył szkolenie gotowy do boju. Spodziewał się koniecznej, słusznej walki, jak za czasów zimnej wojny. Zamiast tego poznał smak upokorzenia i porażki, uczucie angażowania się w absurdalne akcje i brudne interesy.

- Odszedł pan w dobrym momencie - ciągnął Archie. - Uniknął pan okresu wyrównywania rachunków. Ludzie, którzy nas nie lubili, a było ich wielu, skorzystali z dogodnej chwili, by podciąć nam skrzydła: cięcia budżetowe, komisje śledcze, publiczne skandale. Ci, którzy mieli jeszcze odrobinę uczciwości zawodowej, zrozumieli, że czas odejść. By uratować, co było do uratowania, należało przenieść się do sektora prywatnego.

- A panu, jako najstarszemu z najwyższych rangą, powierzono misję „przemeblowania”. Nie mylę się?

- Nikogo o nic nie proszono. Odeszliśmy w pokoju, każdy w swoją stronę. Ułożyliśmy sobie życie zgodnie z naszymi kwalifikacjami. Pamięta pan na przykład Ronalda Lee?

- Szefa komandosów?

- Tak. Wraz z kilkoma osobami z tego samego departamentu i garstką innych, notabene z Afryki Południowej, założył dużą, prywatną agencję bezpieczeństwa. Ochroniarstwo, kontrola ryzyka, uwalnianie zakładników, eliminowanie zagrożenia w przemyśle amerykańskim za granicą, i inne tego typu rzeczy. Podaję ten przykład, bo o jego firmie było głośno w mediach. Byli na tyle głupi, by pokusić się o zorganizowanie zamachu stanu w Sao Tomé. Pewnie pan słyszał. Wszyscy trafili tam do więzienia. Ale jest jeszcze wielu innych.

Samochód pędził wśród coraz gęściej zabudowanych wzgórz. Wkrótce dotarł do urwistego wybrzeża górującego nad oceanem. W dole widać było piargi czarnych skał obrębionych koronką piany. Zjechali na nadbrzeże i zatrzymali się nieopodal latarni

morskiej, zbudowanej z granitu i pomalowanej w czerwono-białą szachownicę.

Paul dawno nie wyjeżdżał z zanieczyszczonej Atlanty. Wdychał teraz pełną piersią świeże powietrze pachnące solą i wodorostami. Mewy pokrzykiwały, krążąc wokół latarni morskiej. Archie pociągnął go w stronę podłużnego budynku z cegły upstrzonego białymi oknami „gilotynkami”. Na szyldzie widniała podobizna głowy marynarza i szalupa łowcy wielorybów. Jak wynikało z daty wykalfigrafowanej pod rysunkiem, gospoda miała prawie trzysta lat.

Wewnątrz niskich pomieszczeń, belki pod sufitem osmolone były od dymu. Nie czekając na kierownika sali, Archie przeszedł przez hol i pewnym krokiem skierował się do niewielkiego salonu, w którym stał stół nakryty dla dwóch osób. Przez małe okna widać było tylko niebo i wodę. Od czasu do czasu spienione fale spryskiwały szyby.

- Możemy tutaj rozmawiać? - upewnił się Paul, ostrożnie rozglądając się wokół. Ściany przyozdabiały błękitne porcelanowe talerze.

- Bez obaw. Dobrze znamy to miejsce - powiedział Archie, rozkładając wykrochmaloną serwetkę. - Tak naprawdę jest naszą własnością.

Wybrał menu zgodnie z wolą Paula i sugestiami gospodarza.

- Proszę nam przynieść butelkę bordeaux. Coś dobrego... może chateau beychevelle, koniecznie z dziewięćdziesiątego piątego. - Gdy tylko kelner wyszedł z salonu, dodał z uśmiechem: - Rok, w którym odszedł pan od nas...

Jedli w spokoju. Archie okazał się wystarczająco dyskretny, by nie podejmować tematów zawodowych na samym wstępie. Wypytywał Paula o jego życie codzienne, o projekty. Przerwał, by skosztować wina. Nie robił tego *à la française*, z uśmiechem i szczęściem rozjaśniającym oblicze. Z powagą i wręcz urażoną miną typową dla Anglików, którzy sączą swój trunek przed surową publicznością, gotów był wydać wyrok ocalenia albo śmierci.

Ostatecznie zawyrokował umorzenie sprawy.

- Znośne - stwierdził.

Następnie wspomniął ze smutkiem swoją żonę. Paul nie miał nigdy okazji jej poznać. Zmarła przed dwoma laty. Zdawało się,

że Archie pośmiertnie udekorował ją medalem wszelkich cnót ludzkich. Gdy żyła, skarżył się na nią bezustannie. Ich cztery córki pomściły matkę. Wzdychał teraz, że go rujnują. Wyglądało na to, że powychodziły za mąż wyłącznie po to, by przyspieszyć ten proces. Żaden z czterech zięciów nie pracował, żaden nie był Anglikiem. Archie potrafił żartować na swój temat, jednak w tej kwestii nie było mu wcale do śmiechu.

Kelner zaproponował desery, których odmówili. Do kawy Archie ceremonialnie zamówił po kieliszku armaniaku. Po całej serii teatralnych gestów, na które złożyło się ogrzanie pękatego szkła w dłoniach, wielokrotne obrócenie go, wwąchanie się w alkohol, Archie, pomrukując, pociągnął duży łyk.

- O czym to mówiliśmy na początku? A tak, opowiadałem panu o nowych agencjach.

- Nowych? Wydaje mi się, że zawsze było ich kilka.

- Tak i nie. Faktycznie kilka wegetuje od lat. W większości założyli je ludzie, którym Firma podziękowała, bo tak naprawdę niewiele byli wari. Udało im się podpisać pojedyncze kontrakty z prywatnymi klientami, których omamili swoją fanfaronadą byłych agentów. Teraz wegetują. W najgorszym wypadku zabrali się do pisania pamiętników.

Po odejściu z Firmy Paul rzeczywiście dostał kilka propozycji tego typu współpracy, ale uprzejmie odmówił.

- Przyznam, że na początku bałem się, że podzielę ich los - powiedział Archie. - A jednak zdarzył się cud! Jesteśmy świadkami odrodzenia się prywatnego wywiadu, a to historyczne wydarzenie i prawdziwy renesans! Powolny rozkład CIA otworzył nam złote wrota.

- Firma naprawdę tak cienko przedzie? Myślałem, że po jedenastym wrześniu wzięli się w garść...

Paul nie chciał się przyznać, że nazajutrz po atakach w Nowym Jorku omal nie rzucił wszystkiego, by powrócić do tajnych szeregów. Zadzwoił nawet do dwóch dawnych współpracowników, chcąc wyczuć nastroje. W obu wypadkach rozmowa zesła jednak na temat starszyny i pensji. Nigdy więcej nie próbował.

- Byłem pewny, że pan nie czytuje gazet - zauważył Archie ironicznie. - Jednak słyszał pan o jedenastym wrześniu?

- Mam w klinice dwóch chłopców cierpiących na tetraplegię. Pracowali w wieżach.

- Proszę mi wybaczyć. Moje dowcipy nie zawsze są w dobrym tonie. Niemniej ma pan rację. Od czasu tragedii w World Trade Center rząd wziął się w garść i CIA miewa się lepiej. W każdym razie na tyle dobrze, by móc jakoś funkcjonować, mimo kiepskiej struktury biurokratycznej i złych nawyków. To wszystko sprawia, że nasza obecność jest bardziej konieczna niż kiedykolwiek.

Nic nie sprawiało Archibaldowi większej przyjemności niż jednocześnie delectowanie się własną elokwencją i smakiem wykwintnego winiaku. Mrużąc powieki, pozwolił, aby ostatnie zdanie rozplynęło się w łyku armaniaku.

- Jesteśmy niezbędni, bo agencja musi mieć wyniki. - Zrobił efektowną pauzę, po czym ciągnął dalej: - A jak zdobywać punkty, skoro nie pozbyliśmy się pęt założonych w ciężkich czasach? To proste. Firma zmuszona jest we wszystkich dziedzinach zlecać prace podwykonawcom. Weźmy na przykład przetrzymywanie podejrzanych. To niełatwe przy dzisiejszych kontrolach parlamentarnych, regulaminach, obrońcach praw człowieka i tak dalej. Jak zamknąć kogoś, by go unieszkodliwić na wystarczająco długo i przy tym coś z niego wyciągnąć? Rozwiązaniem jest współpraca z nieco bardziej pobłażliwymi krajami. Wiadomo, że w różnych zakątkach świata Firma ma do dyspozycji wiele tajnych więzień, prywatnych i publicznych. W celu zapewnienia transferu, kontraktów, dobrych stosunków z gospodarzami potrzebne są właśnie agencje prywatne. Identycznie wygląda sprawa z przesłuchaniami. W dzisiejszych czasach niemożliwe jest przesłuchanie podejrzanego w Stanach Zjednoczonych. Prawdziwe przesłuchanie, wie pan, co mam na myśli? I tu znowu trzeba zwrócić się do podwykonawcy.

Paul nie czuł się zbyt dobrze w zamkniętym pomieszczeniu i chciał już rozprostować nogi. Zerknął zazdrośnie na żaglówki pływające w zatoce i ich napięte rześkim powietrzem foki.

- Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli uchylę okno?

- Ależ skąd. Po kawie możemy się przejść.

Paul wstał, podniósł szybę, usiadł na parapecie i powiedział:

- Mówił pan o nowych zajęciach: samowolne przetrzymanie, tortury, zamachy stanu także, jak mniemam?

- Jest pan nieustraszony - rzekł Archie, krzywiąc usta w uśmiechu. Z żalem spojrział na ostatnie krople armaniaku spływające jak łzy po cienkim szkle kieliszka. - Proszę sobie wyobrazić, że nie. Prowadzimy bardzo klasyczną działalność. Agencja Providence ma starą, wypróbowaną, wielofunkcyjną strukturę. Wysokiej jakości wywiad, jeśli trzeba, trochę akcji, jednak przy użyciu nowoczesnych metod i z udziałem wyspecjalizowanego personelu. Tak naprawde, to, co zawsze robiłem w Firmie, teraz robię poza nią. I historia mnie dopadła.

Kolejny raz, pomyślał Paul.

- Musi pan wiedzieć - wyszeptał Archie, pochylając się i zniżając głos, jak gdyby chciał wyjawiać sekret - że jedyną szansą, jaką miała CIA, by się dźwignąć, było skoncentrowanie całej uwagi na jednym temacie: islamizmie. By poruszyć tego biurokratycznego mastodonta, trzeba prostego pojęcia. Kiedyś była nim walka z Czerwonymi. Dziś to walka z Brodatymi. Pracownicy Firmy zmusili się do olbrzymiego wysiłku, by stanąć na wysokości zadania. Nauczyli się nowych języków, odświeżyli kartoteki i profile, przyswoili inną historię. Są coraz bliżsi sukcesu. A jako że ich nowy wróg dociera wszędzie, mamy wrażenie, że CIA kontroluje cały świat. Co w rzeczywistości jest nieprawdą.

Wypity alkohol na tyle znieczulił Archiemu usta, że jednym haustem wypił wrzącą kawę, którą kelner ledwo zdążył mu nalać.

- We współczesnym świecie - podjął z grymasem gorczy - poza Brodatymi istnieją także inne zagrożenia. CIA nie jest w stanie wszystkich kontrolować. Nie może też ich pominąć. Nie wiemy przecież, co jutro stanie się najważniejsze. Nawet Bin Ladena uważano kiedyś za żartownisia. Nie wolno ignorować niczego, co wydaje się dziwaczne, marginalne, trochę niebezpieczne, ale jednak nie priorytetowe. Dlatego też, zamiast odesłać dziwaczna aferę ad acta albo wyrzucać publiczne pieniądze na wątpliwe sprawy, CIA dzwoni do nas.

- A jak to wygląda w praktyce? To pan wybiera czy może goni pan zająca podstawionego przez CIA?

- Mamy analityków i wydział do spraw geopolitycznych. Jednak w tej dziedzinie nie mamy szans rywalizować z Firmą. Przez większość czasu gonimy, jak pan to ujął, zajęce. Podsuwają nam wskazówkę, zastanawiający szczegół, trop, który na początkowym etapie nie wydaje się zbyt poważny, ale którego lepiej nie zarzucać. I tak po nitce do kłębka. Czasem trop prowadzi nas daleko, a czasem od razu okazuje się mylny.

- I z tego żyje Firma?

- Kontrakty opiewają na wysokie sumy i mamy ich sporo.

Paul uśmiechnął się. W wyznaniu Archiego rozpoznał tę szczególną dziecinną nutę, która zawsze frapowała go bardziej niż poważne słowa i brutalne akcje. We wszechświecie wywiadu wszyscy silili się na groźny albo niepokojący ton, mimo iż tak naprawdę dominuje w nim dziecięca przyjemność zabawy. Archie nie służył już ojczyźnie. Zwolniony był z szukania moralnego usprawiedliwienia dla swoich działań i nie musiał udawać heroicznego obrońcy wolnego świata. Pracował dla pieniędzy i ta prosta prawda oczyszczała jego wypowiedź z warstwy hipokryzji, która zwykle zniekształcała brutalne, choć żywe barwy szpiegostwa.

Gdy tylko Paul dopił kawę, Archie pociągnął go na zewnątrz. Przez niskie drzwi wyszli na brzeg morza. Wbrew przypuszczeniom fale nie sięgały murów gospody. Wdrapali się na podstawę latarni morskiej, skąd wiodła długa promenada.

- Na końcu jest mały pawilon - Archie wskazał moło. - Przejdźmy się tam, to rozprostujemy nogi. I coś panu wyznam.

- Ma pan dla mnie zajęca.

- Rany! - wykrzyknął Archie, uderzając w ziemię metalową końcówką laski. - Jakież pan bystry!

IV

Providence, stan Rhode Island

- W zeszłym roku otworzyliśmy małe biuro w Londynie - opowiadał Archie. - Rzecz jasna nie w celu przeprowadzania operacji w Anglii. Brytyjczycy mają doskonały wywiad i my nie jesteśmy im potrzebni. Na dodatek niechętnie zlecają pracę podwykonawcom. Londyńskie biuro jest naszą wtyczką kontrolującą sytuację na kontynencie europejskim.

Wał nadbrzeżny stawał się coraz węższy. Szli teraz po wąskiej wstążce cementu rozlanego na skałach. Przejaśniało się. Na zachodzie morze połyskiwało kolorem starej cyny.

- Uzależnienie się od jednego klienta jest dziś szalenie ryzykowne. Agencja Providence bezustannie zmienia źródła finansowania. Trochę jak pańska klinika...

Paul odwrócił się, by sprawdzić, czy Archie żartował, lecz ten najzupełniej poważnie kontynuował swój wywód.

- Na dłuższą metę stawiam oczywiście na Daleki Wschód - ciągnął. - Zresztą niedługo wybieram się w długą podróż w tamte rejony. Jednak na razie skoncentrowaliśmy się na Europie, co jest najprostszym wyjściem. Nawet nie na Europie Zachodniej. Holandia i Belgia, a także Włochy, to tereny łowieckie CIA. Gdyby Francuzi byli bardziej krytyczni wobec samych siebie, skorzystaliby z naszych usług. To jednak dziwny naród. Rozumuje inaczej niż reszta ludzkości. Mam nadzieję, że nie czuje się pan dotknięty tą uwagą.

Paul zignorował aluzję. Był to ich stary żart. Przy każdej nadarzającej się okazji Archie wypominał mu jego francuskość, ze względu na Nowy Orlean, w którym Paul się urodził.

- Prawdziwie obiecującym rynkiem zbytu jest dziś Europa Wschodnia. Dwadzieścia państw wyswobodzonych z siideł trwa-

jącej pół wieku dyktatury! Tajnym służbom tych krajów nie brak wprawdzie kompetencji, o czym przekonali się przeciwnicy reżimu, działają jednak wedle niemodnej już tradycji przemocy. Nie przystosowali się jeszcze do zasad funkcjonowania współczesnego świata. Najmniejsza komplikacja zbija ich więc z tropu.

Na skraju moła zatrzymali się na wąskim cyplu zbudowanym z desek. Oparci o balustradę, mieli w tym miejscu wrażenie, że morze otacza ich ze wszystkich stron. Olbrzymie żaglowce zataczały przed nimi kręgi. Przepływały tak blisko, że słyszeli wiatr walczący z płótnem żagli i olinowaniem. Archie postawił kołnierz marynarki i raptem zrobił minę, którą Paul nazwałby typowo „zimnowojenną”. Niezależnie od tego, ile i jak bardzo kpiliby z Polaków i ich komunistycznej spuścizny, sam wyszkolony został w klasycznych instytucjach. Opustoszałe moło, dwóch przypadkowych spacerowiczów opartych o balustradę ze wzrokiem utkwionym gdzieś na linii horyzontu... był to hołd dla Johna Le Garre, czyli żałosne szczątki zatopionego świata. Ledwie poruszając wargami, Archie zaczął opowieść, która miała wyjaśnić motyw jego działania.

- Polskie władze skontaktowały się niedawno z brytyjskimi służbami, prosząc o pomoc. Mój stary przyjaciel lord Brentham, niezawodny w sprawach bezpieczeństwa na Whitehall, obiecał mi niegdyś, że w związku z brakiem możliwości bezpośredniej współpracy będzie nam przekazywał zagraniczne zlecenia, które od czasu do czasu do niego spływają. To on skontaktował się z mną w polskiej sprawie.

Lekka bryza wiejąca od lądu naraz przybrała na sile. Fale nastroszyły się pianą, a żaglowce płynące pod wiatr pochyliły się nisko nad wodą.

- Spróbuję streścić wydarzenia. W zeszłym tygodniu we Wrocławiu splądrowano laboratorium. Grupa, która dokonała tego aktu, najwyraźniej wywodzi się z radykalnego ruchu ekologicznego. Gwoli ścisłości, wydaje się, że mamy tu do czynienia z obrońcami praw zwierząt. Napastnicy wypuścili zwierzęta, na których prowadzi się eksperymenty naukowe. Między nami mówiąc, trudno im się dziwić, zważywszy na wszystkie straszne rzeczy, jakie robi się tym niewinnym stworzeniom...

Archie nie rozwodził się dłużej nad nieszczęściem czworonogów. Naturalnie w jego stwierdzeniu nie było ani grama szczerego współczucia. Zresztą Paulowi nigdy nie zdarzyło się być świadkiem sytuacji, w której ten człowiek okazałby troskę jakiemukolwiek zwierzęciu.

- Polacy przeprowadzili rutynowe policyjne śledztwo, zresztą dosyć skrupulatne. Przypuszczają, że dewastacji dokonała bojówka składająca się co najmniej z dwóch osób, prawdopodobnie przybyłych z zewnątrz. Wrocław leży niedaleko granicy czeskiej i niemieckiej. Polscy ekstremiści są pod stałym nadzorem i według lokalnej policji, która jest w tej kwestii kategoryczna, żadna z istniejących w Polsce grup nie dopuszcza się tego typu czynów. Z punktu widzenia postępowania karnego sprawa jest zamknięta. Niemniej jednak, jako że zdaje się mieć implikacje międzynarodowe, przez ostrożność zdecydowali się włączyć w tę historię swoje tajne służby. Te są zaniepokojone. Wiedzą, że w wielu krajach Europy Zachodniej oraz w Ameryce Północnej radykalne grupy ekologiczne stanowią bardzo poważne zagrożenie. Aktywiści dokonują niszczycielskich napadów i nie wahają się nawet przed popełnieniem zabójstw. Miał pan o tym pojęcie?

- Bardzo mgliste.

- Krótko mówiąc, polscy agenci wywiadu przestudowali sprawę. Dowiedzieli się, że Anglia jest kolebką uciekających się nieraz do przemocy bojowników o prawa zwierząt. Przyszło im do głowy, by Anglicy ocenili sytuację w Polsce. Chcą wiedzieć, dlaczego stali się celem ekstremistów i czy grozi im coś więcej. Chcą też zbadać, czy istnieje ryzyko skażenia środowiska. Lord Brentham był tak uprzejmy, że dotrzymał złożonej obietnicy i dał mi zielone światło do działania. Angielskie służby przekazały nam akta. Zapewniły Polaków, że Stany Zjednoczone są co najmniej w takim samym stopniu jak Polska ofiarą terroryzmu tego typu. Co jest świętą prawdą. Przekonali też ich, że w agencji Providence pracują najwybitniejsi specjaliści w tej dziedzinie.

- Co jest kłamstwem?

- Oczywiście. Nigdy nie zajmowaliśmy się tym tematem.

Paul przybył z Atlanty odziany w lekką kurtkę i zaczął odczuwać chłód.

- Może zawrócimy - zasugerował.
- Tym sposobem staliśmy się dziedzicami kontraktu doradczego z Polską. Na razie nie jest interesujący z finansowego punktu widzenia, lecz jeśli współpraca okaże się owocna, będziemy mogli pracować z nimi regularnie w przyszłości. Da nam to furtkę na rynek europejski. Oto dłaczę pana potrzebuję.

- Ależ ja się nie znam na zwierzętach - odparł Paul z uśmiechem błąkającym się na ustach. - Panu jest potrzebny weterynarz.

Archie cofnął się i przesunął dłonią po rozczochranych przez wiatr kosmykach na łysinie.

- Niech się pan nad tym zastanowi - nie siląc się na uśmiech, wycedził Archie. - Pańska pomoc może być dla nas niezwykle cenna.

Kierowca podjechał bliżej i jaguar z otwartymi zapraszająco drzwiami czekał na nich tuż przy mołu. Przypominał długą łódź o napiętych żaglach zakotwiczoną na lądzie nieopodal pomostu. Archie obszedł samochód dookoła, by wsiąść do niego z drugiej strony. Znalazłszy się obok Paula w ciepłej kabinie, począł chuchać w zmarznięte dłonie.

- Przede wszystkim - ciągnął - proszę mi wierzyć, że znalezienie profesjonalistów w terenie nie jest łatwym zadaniem. Wiem, gdzie szukać techników i funkcjonariuszy analityczno-informacyjnych, jeśli w Providence zachodzi taka potrzeba. Jednak agentów operacyjnych jest jak na lekarstwo.

- Musi pan poszukać lepiej, nie jestem przecież jedynym.

- Niech mi pan pozwoli dokończyć. W tej konkretnej sytuacji niezbędna jest osoba o dwojakich kompetencjach. Z jednej strony musi swobodnie obracać się w środowisku medycznym, musi rozumieć naukowy żargon, umieć oszacować stawkę, o jaką toczy się gra. Musi umieć fachowym okiem spojrzeć na splądrowane laboratorium. Polskie służby są wtajemniczone, ale policja, która jest przy tym dość podejrzliwa, nie. Są bardzo wrażliwi na punkcie suwerenności narodowej. Nasz agent musi więc udawać lekarza. Czy jest zaś lepsze rozwiązanie niż wysłać na miejsce prawdziwego fachowca? Dalej, jeśli coś znajdzie, będzie musiał wytropić aktywistów, którzy kierowali akcją, a to oznacza także zbliżenie się do nich i odkrycie ich zamiarów. Biorąc pod uwagę, że tego

typu grupy są zwykle niebezpieczne, nasz człowiek musi być obyty z kwestiami bezpieczeństwa i musi działać pod przykrywką. To bardzo skomplikowana misja, a pan, mój drogi, jest rzadką perłą. Taką, która łączy w sobie wymagane kompetencje.

- Wykonanie zadania, które pan tu opisuje, wymaga co najmniej roku pracy. Ja mam inne zajęcie i nie ma mowy, bym przerwał to, czym się aktualnie zajmuję.

- Wyolbrzymia pan - pokręcił głową Archie. - Nie chodzi o zagwarantowanie Polsce bezpieczeństwa. To nie CIA, tylko interesy. Jesteśmy wykonawcami usługi, której atrakcyjna cena ma być adekwatna do jakości. Naszym zadaniem jest zebranie informacji, które umożliwią zredagowanie przejrzystego raportu oddającego sedno problemu i wskazującego polskim służbom ich obowiązki. Nadaża pan?

Wracali tą samą wiejską drogą. Archie, przewidując długą podróż, zdobył się na gimnastyczny wysiłek na tylnym siedzeniu i zdjął płaszcz.

- Niech mi pan uwierzy, misja potrwa najwyżej miesiąc. Ręczę za to osobiście. Gdy upłynie trzydziesty dzień, zakończy pan akcję. Nie da się chyba udzielić lepszej gwarancji? Może nawet uwinie się pan szybciej. Według mnie sprawa jest prościutka.

- A jeśli wcale nie jest?

- Paul, pan zawsze był niespokojnym młodzieńcem. Ta cecha jest tajemnicą pańskiego sukcesu. Jednocześnie sprawia, że potrzebuje pan rozsądnych przyjaciół, takich jak ja.

Archie śmiał twierdzić, że jest rozsądny, wiedząc takie życie! Paul spojrzał na niego z tak szczerym zaskoczeniem, że obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- No dalej, niech pan na początek zbada nasz trop - podsumował Archie. - Zobaczmy, co się za tym wszystkim kryje.

Atlanta, stan Georgia

Paul wjechał na swoje piętro towarową windą z okratowanymi drzwiami. Rozsunął je z hukiem. Był jedynym lokatorem w bu-

dynku, więc mógł pozwolić sobie na zły humor. Archie wprawdzie zadbał o to, aby odwieziono go na lotnisko JFK, zanim jednak Paul załapał się na ostatni lot i dojechał taksówką do domu, zrobiła się druga nad ranem.

Pozwolił, by drzwi same się za nim zatrzasnęły. Nie zapalając światła, runął na stary, skórzany fotel. Olbrzymie, sięgające od podłogi do sufitu okno migotało tysiącem światel miasta. Wciąż było ciepło. Przez rozsunięte pod sufitem szyby dochodziło głuche dudnienie amerykańskiego megalopolis, niczym szum morskiej muszli. Noc przytępiła hałas samochodów. Z oddali dobiegał ledwo słyszalny dwutonowy jęk karetki pogotowia.

Wyjechał zaledwie na jeden dzień, ale to wystarczyło, aby po powrocie poczuć się u siebie obco. Próżna i nieposkromiona siła sekretnego oblicza świata, którego uosobieniem był Archie, znowu przejęła nad nim władzę i miał to sobie za złe.

Otwartą przestrzeń jego mieszkania, dawnego atelier, zakłócała tylko antresola. Na środku stała gigantyczna lodówka z oszklonymi drzwiami. Paul wyjął z niej puszkę coca-coli. Po ciemku obszedł znajomy wszechświat. Miały w nim swoje miejsce stół pingpongowy, bokserskie worki, sterty książek, dwa telewizory postawione jeden na drugim, które lubił oglądać jednocześnie. W rogu, zasłaniając muszlę klozetową, stało pianino, na którym Paul grywał wyłącznie wtedy, kiedy miał odwiedzić matkę w Portland. Zaczęła uczyć go gry na tym instrumencie, gdy miał cztery lata. Nigdy nie odważył się jej przyznać, że już dawno porzucił instrument, tak ważny w jej życiu.

Paul od zawsze zastanawiał się, czy to na pewno śmierć ojca sprawiła, że zdecydował się zaciągnąć do wojska. Niewykluczone, że prawdziwym powodem było pragnienie uwolnienia się raz na zawsze od lekcji gry na pianinie. Przez długi czas nie był w stanie docenić przyjemności płynących z muzyki, aż któregoś dnia odkrył trąbkę.

Przeszedł przez pokój i podniósł instrument leżący na parapecie. Ilekroć brał trąbkę do rąk, na jego twarzy pojawiał się uśmiech. Przesunął palcami po tłokach i odruchowo dmuchnął w ustnik. Przyłożył go do ust i zagrał gamę, zaczynając cicho i stopniowo wzmacniając dźwięk. Ostatnią nutę wypełniała taka siła, że

słyszeć ją było z pewnością na drugim końcu parku rozciągającego się przed budynkiem. Kiedy wybierał mieszkanie, nie były dla niego ważne ani wielkość, ani wygoda. Pragnął jedynie móc grać na trąbce o każdej porze dnia i nocy.

Zagrał kilka wysokich tonów, które natychmiast płynnie przekształcił we wstęp do ulubionej nowoorleańskiej melodii dixielandowej z lat dwudziestych. Zamilkł po półgodzinie. Jego oczy błyszczały szczęściem, usta płonęły, a pot perlił się na czole. Teraz miał dość odwagi, by zapalić światło. Przesunął główny włącznik. Sufit rozjaśnił się, dwa odbiorniki telewizyjne i radiowy przemówiły jednocześnie. Ze wszystkich zakamarków poddasza wynurzyły się sportowe ubrania, pojedyncze buty, rozmontowane na części rowery w anarchicznym nieładzie.

Paul włączył automatyczną sekretarkę i zaczął się rozbierać. Miał trzydzieści nagranych wiadomości. Nigdy nie podawał numeru swojego telefonu komórkowego, toteż wszyscy, którzy mieli mu coś do powiedzenia, dzwonili do domu. Dwaj koledzy proponują jogging; zaprzyjaźniona para zaprasza na urodziny; wspólnik martwi się o budżet kliniki na kolejny rok (nie wiedział jeszcze o spotkaniu z Archim); Marjorie myśli o nim; dyrektor banku informuje o debecie na koncie; Klaudia myśli o nim; czterech kolegów świętuje uzyskanie tytułu profesora przez jednego z nich; Michelle myśli o nim...

Zawiązał ręcznik wokół talii i wyłączył automat.

Powróciło zapomniane już wrażenie, które towarzyszyło mu niegdyś, kiedy był agentem wywiadu: uczucie oczyszczenia, odrdzewienia, jak przy braniu prysznic. Pilny i tajny charakter misji zadziałał jak detergent. Gdy tylko myśli Paula zaczęły wędrować w kierunku misji, cała reszta automatycznie stawała się zbędna i nieistotna. Nagle przyjaciele stali się sprawą drugorzędną. Troski na szczęście też. Co do Marjorie, Klaudii i Michelle, to wypadły za burtę niczym pasażerki promu. Było to trudne i niepokojące uczucie wolności, a zarazem pustki.

Usiadł na fotelu. Olbrzymia szyba odbijała teraz wewnątrz jego mieszkania i jego własną sylwetkę. Powróciły obrazy z Mogadiszu, Bośni, gór czeczeńskich, wszystkich odbytych wypraw. Pomyślał o nowej misji. Wyobraził sobie białe myszki wypuszczone z klatek przez szaleńców i wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

Gdy odnalazł otwartą puszkę z coca-colą, zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty spać. Prawdę mówiąc, czuł, jak łagodnie przenosi się w świat marzeń, który zastępował mu sen.

Działo się z nim coś dziwnego. Nie miał ochoty oddzwonić do żadnej z osób, które zostawiły mu wiadomości. Jedna tylko idea powoli klarowała się w jego umyśle. Wziął do ręki leżący na podłodze notes z adresami, przekartkował go i zatrzymał wzrok na właściwym numerze. Powiedziała mu, że to telefon do jej gabinetu. Pracowała w domu. Wykręcając numer, pomyślał, że dzwonek telefonu będzie słychać w mieszkaniu. Zadrżał na dźwięk sygnału, lecz już po drugim włączyła się automatyczna sekretarka. To był jej głos.

- Cześć, Kerry - powiedział i zakaszał, by dodać swojemu głosowi więcej pewności. - Tak, wiem, minęło siedem lat. Cóż, życie płynie. Mam nadzieję, że dzieciaki mają się dobrze, Rob także.

Zrobił pauzę. Właściwie mógł na tym zakończyć. Podniósł się i wyłączył światło. Usiadł ponownie i poczuł, jak ciemność napelnia go spokojem. Utkwił spojrzenie w małym światełku migającym za szybą. Kerry mieszkała na Manhattanie, a nie w Atlancie. Nie te światła widziała, ale co z tego. Przynajmniej nie mówił w pustkę.

- Jutro jadę z misją do Europy. Chciałem, byś o tym wiedziała. Tak, na chwilę wracam do starego fachu. To dziwne, zważywszy na wszystko, co ci mówiłem.

Przerwał, by pociągnąć łyk coca-coli.

- Nie mogę ci nic więcej powiedzieć przez telefon, ale mogliśmy, że... hmm... warunki zostały spełnione. Nie jestem jeszcze do końca tego pewien.

Zbyt długo grał na trąbce i w jego głosie pojawiła się chrypka.

- Gdyby jednak tak było, bardzo chciałbym, byś... Oczywiście, jeśli i tobie aktualne obowiązki na to pozwolą.

Ależ ze mnie kretyn, pomyślał. Mięczak!

- Zadzwoń do ciebie, gdy będę wiedział coś więcej. Zosta wiam ci na wszelki wypadek mój numer...

Wyrecytował cyfry i zamilkł. Chciał dodać coś mądrzejszego, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Naraz usłyszał podwójny sygnał i połączenie zostało przerwane. Przyszło mu do głowy, że

Kerry słuchała, nie podnosząc słuchawki, i specjalnie mu przetrwała. Nie, to z całą pewnością cisza wywołana zakończeniem połączenia.

Wstał i podszedł do łóżka. Podniósł z podłogi puszkę, którą upuścił, i położył się, czując przemożne zmęczenie.

Białe myszki... - pomyślał.

Wzruszył ramionami i zasnął.

V

Chaulmes, Francja

Miasteczko Chaulmes zagrzebane było głęboko na francuskiej wsi w regionie jurajskim. Pomimo to wielkemiejskie Montbéliard sięgnęło już jego granic, dusząc i wydzierając je samotności, której dotąd wydawało się przeznaczone. Chaulmes składało się z kilku skupionych na dnie chłodnej doliny dużych ferm zbudowanych z kamienia, z wykutymi w murach zaokrąglonymi bramami. Bramy były tak wysokie, że bez trudu przejeżdżały przez nie wozy pełne siana. Fery przycupnięte jedna przy drugiej, jak gdyby z obawy przed zimnem, nie zostawiały wiele miejsca dla kaplicy i merostwa, które mieściło się w niedużym budynku na planie kwadratu, naprzeciwko pomnika wzniesionego na cześć poległych w 1914 roku. Wokół, sięgając aż do stromych zboczy gór, czuwały nad miasteczkiem ciemne, surowe lasy.

Ten dziki i pustelniczny krajobraz, który łączył się z horyzontem tam, gdzie otwierała się dolina, zakłócała gwałtownie przemysłowa zabudowa otaczająca Montbéliard. Z progu merostwa można było dojrzeć w oddali szary sześcian pierwszego budynku zakleszczony w siatce drutów i słupów stanowiących metalową strukturę magazynów.

W połowie drogi między miasteczkiem a wychodzącym mu naprzeciw industrialnym przedmieściem, na rozległym płaskowyżu, już dawno wykarczowanym z powodu znajdującego się tam ujęcia wody, wznosiła się osobliwa budowla. Zdawała się nie przynależać do żadnego ze światów, których granicę wyznaczała. Trudno było odgadnąć, czy skonstruował ją bogaty właściciel jednej z ferm, chcący zaznaczyć obecność poza swoim terenem, czy może mieszczanin spragniony kontaktu z naturą. Ściany budowli

zdobił pod linią dachu mur pruski i drewniane fryzy swobodnie nawiązujące do stylu architektonicznego Deauville. Dziwaczny dom nie posiadał prawie okien od strony doliny, natomiast dwa olbrzymie okna balkonowe zwrócone były absurdalnie w kierunku zbocza, gdzie w odległości kilku metrów widok zasłaniały brunatne skały.

Właśnie ten szczegół najbardziej spodobał się Juliette. Idealnie odpowiadało jej usytuowanie domu, daleko zarówno od wioski, jak i od miasta, oraz to, że niczym obrażony maluch odwrócił się plecami do otoczenia i utkwiał nos w wilgotnej ziemi. Decyzją administracji państwowej Juliette znalazła się na przygnębiającym, wiejskim zesłaniu: swoje pierwsze od ukończenia studiów nauczycielskie stanowisko objęła w gimnazjum w Montbéliard. Przymusowy przyjazd do Jury pogłębił tylko jej z natury ponure usposobienie. Dom na obrzeżach Chaulmes harmonizował więc z jej melancholią.

Miała zamiar wynająć sam parter. Z pomocą pracowników merostwa skontaktowała się z właścicielami. Byli nimi brat z siostrą zamieszkujący sąsiednią fermę. Staruszkowie stracili niemal nadzieję na wynajęcie rustykalnego domostwa, które wedle miejscowej legendy było przekłete. Z ulgą przyjęli propozycję Juliette i za cenę parteru oddali jej cały dom, czyli dwanaście pokoi. Dziewczyna wkrótce zdała sobie sprawę, że duże powierzchnie na wsi są jak koszula Dejaniry: gdy przyszła zima, chłód przenikał wszędzie. Szczeliny między oknami a wewnętrznym parapetem wypełniały języki lodu. Juliette schroniła się w holu, który był jedynym pomieszczeniem bez okien, ale za to z dużym, stojącym na środku piecem. Przytulona do niego w zimowe wieczory poprawiała stopy kartkówki. Swoją sypialnię urządziła w niezbyt wilgotnej, małej przybudówce. Pozostałe pomieszczenia oddała hulającym duchom. Przyzwyczała się do bijących o szyby okiennic, do kroków na strychu, polubiła nawet myśl, że jest jedynym świadkiem spektaklu rozgrywającego się między powracającymi duchami tajemniczych mieszkańców domostwa.

Zapanowała jednak wiosna, a wraz z jej przyjściem zniknęły smutek, zimno i zjawy. Od tygodnia przez otwarte okiennice do wychłodzonych pokoi przenikały promienie słońca i ciepło. Od tygodnia

lasy pełne były wiewiórek i rozświergotanych ptaków. O zmierzchu pod dom podchodziły sarny, ku wielkiej uciechu Juliette, która bezskutecznie próbowała się do nich zbliżyć. Przede wszystkim zaś od tygodnia żyło w niej wspomnienie wrocławskiej eskapady.

Wracając do samochodu w zimną polską noc, myślała z żalem, jak ulotne jest uczucie błogości. Myliła się jednak. Uczucie to nie tylko pozostało, ale z czasem stało się intensywniejsze. Upojna egzaltacja, która wypełniła ją w momencie rozbijania szklanych półek szafy chłodzącej w laboratorium, była w niej wciąż obecna i przegnała troski i chimery niczym wewnętrzny hałny wiatr. Juliette czuła się jak okręt pod pełnymi żaglami, płynący całą naprzód ku nieznanemu przeznaczeniu. Królujący w niej niepokój sprawiał, że czuła się z jednej strony nadwrażliwa i krucha, gotowa pęknąć w każdej chwili, z drugiej strony zaś ten sam niepokój, zamiast zmniejszać, wielokrotnie wzmagał jej przyjemność. Od powrotu z Wrocławia spała najwyżej dwie godziny na dobę. Nie chodziła do pracy. Całymi dniami przemierzała dom wzdłuż i wszerz, z pieczołowitością otwierała nabrzmiałe od wilgoci drewniane ramy okienek, przesuwała nadgryzione przez pleśń stopy książek. Otwierała je na przypadkowych stronach, czytała wyrwane z kontekstu zdania, szukając w pamięci skojarzeń. Wybuchiała śmiechem, to znów zalewała się łzami szczęścia. W szalonym rytmie, gdzie myśl nie nadążała za myślą, zdarzało się, że zaczynała robić dwie rzeczy naraz i nie kończyła żadnej.

Na strychu odnalazła skrzynię wypełnioną starymi damskimi ubraniami. Przez całe popołudnie przebierała je i przymierzała, przeglądając się w starym zwierciadle. Stało na ziemi oparte o ścianę pod kątem, które zniekształcając jej odbicie, czyniło ją o wiele wyższą niż metr sześćdziesiąt pięć, które miała w rzeczywistości. Cesała długie czarne włosy na różne sposoby: w kok, warkocze, koński ogon, z przedziałkiem, to z grzywką. Zwykle nie lubiła luster, lecz tym razem zdawało jej się, że zwierciadło pozwala odkryć nieznaną jej samą.

Za zasłoną owego niewinnego ożywienia toczył się o wiele bardziej trwały i głęboki proces dojrzewania. Gdy po tygodniu jej samotną ciszę zakłócił hałas motocykla wspinającego się po zboczcu, czuła, że jest gotowa.

Motor zatrzymał się tuż przy progu. Przez okno dojrzała Jonathana zdejmującego rękawiczki i kask. Poczekala, aż wejdzie i sam ją odnajdzie. Znał drogę. Przygotowała się na tę wizytę, nawet oczekiwała jej od jakiegoś czasu, a mimo to drżała. Musiała nieprzerwanie uspokajać swoje ciało i kontrolować lęki, jakie się w nim rodziły. Zmarzła i miała wilgotne dłonie. Wszystko za chwilę będzie dobrze, niech tylko umysł zapanuje nad ciałem, które, choć słabe, było jednak posłuszne. Przy określonym natężeniu stresu i ryzyka stawało się wręcz doskonałą maszyną, giętkie i uległe. Mogła się o tym ostatnio znowu przekonać we Wrocławiu.

Zmusiła ciało do spokoju i zaczęła schodzić po schodach. Sylwetka Jonathana wypełniła framugi drzwi kuchennych akurat w chwili, gdy Juliette stawiała stopę na fajansowych kaflach holu.

- Cześć! - rzucił z uśmiechem.

Wszedł za nią do salonu, który urządzony był w pomieszczeniu z widokiem na wilgotne skały. Kask położył na jeden z foteli przykrytych białymi prześcieradłami. Jego włosy przyлизane na głowie od kasku nie zdążyły się jeszcze odkleić od czaszki. Jonathan rozpiął skórzaną kurtkę i poluzował arafatkę.

Duchy, które nocą nawiedzały dom Juliette, miały często jego twarz: szeroki podbródek niezmiennie ukryty pod kilkunastu blond zarostem o rudawym połysku; oczy z nieco opadającymi powiekami nadającymi ich spojrzeniu zblazowany, niepokojący i prawie hipnotyczny wyraz; perkaty nos, który przywoływał obraz zwierzęcia o wychudłych bokach uwydatniających linię kręgosłupa. Tak właśnie wyglądała twarz Jonathana. Jak wszystkie duchy, źle znosił światło dzienne, a tym bardziej nową przenikliwość spojrzenia Juliette. Wydał jej się znużonym dandysem, który pod nienaturalnie swobodnym sposobem bycia starał się ukryć słabość.

- Przywiozłem ci coś, by oblać twój wyczyn - oznajmił, mrużąc do niej.

Położył plecak na stosie książek i wyjął z niego dwie małe butelki piwa Korona. W każdej pływał plasterek cytryny. Następnie wyjął szczyryk, otworzył butelki i podał jedną Juliette.

- Na zdrowie - uniósł butelkę, wznosząc toast. - Za twoją do skonałe przeprowadzoną misję.

Pociągnął długi łyk piwa i skrzywił się ostentacyjnie - pokazując zęby, by pokazać, jak gorzki jest trunek.

- Sprawdziłem w internecie, co piszą w polskiej prasie. Nawet nie znając ich przekłętego języka, można się zorientować, że połknęli haczyk. Same efektowne tytuły: wyzwolenie zwierząt, splądrowane laboratorium, itd. Wprawdzie nie na pierwszych stronach, ale i tak w widocznym miejscu. Dołączyli też zdjęcia małp w klatkach, których Bóg wie gdzie szukają.

Juliette przysiadła na skraju parapetu jednego z okien. Jonathan zbliżył się do niej. Widząc, że nie robi mu miejsca obok siebie, cofnął się aż do mahoniowego stołu i oparł się o jego krawędź.

- Dobrze ci radziłem, hę? - rzekł. - Dopieściłem każdy szcze gół.

Jak zwykle, zaczynał mówić o sobie. Nieważne, ile by się przygotowywała na to spotkanie, i tak czekał ją brutalny powrót do rzeczywistości. Poczowała się zdezorientowana. W jej głowie słowa łączyły się w absurdalne i dowolnie skojarzone pary. Od „dopieszczanych szczegółów” jej myśli powędrowały do igrającego słońca na liściach, od liści do jej ogrodu, potem do róż, które tak bardzo chciała posadzić, od róż zaś do ich zapachu. Nagle zapragnęła spryskać się Chanel n° 19 i siłą powstrzymała się, by nie pobiec do łazienki. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo niestosowne do sytuacji były jej myśli, tkwiła więc tak ze ściśniętym gardłem, nie wiedząc, co powiedzieć. Na szczęście Jonathan, mimo swojej rozwlekłości, mówił za dwoje. Teraz wychwalał profesjonalizm akcji, puszył się jak paw, wymieniając wszystkie dobre pomysły, na jakie wpadł: wybór godziny, to, żeby Juliette pojechała samochodem, żeby pojechała sama.

- Wiesz co - wyznał po chwili wykalkulowanego milczenia - żałuję, że mnie tam z tobą nie było.

Pochylił się w jej kierunku. Ostatnie słowa wypowiedziane łagodnym, nosowym tonem wywołały w niej dreszcz. Miała wrażenie, że chciał dotknąć jej dłoni. Instynktownie wyprostowała się i cofnęła tak, że gest Jonathana trafił w próżnię.

Jego usta wykrzywił uśmiech zde gustowanego mężczyzny, którego nic nie wzrusza.

- Pewnie ci się spodobało? Opowiedz mi, jakie to uczucie uwalniać zwierzaki?

Zgrywał się, była tego pewna. Mógł ją mamić, dopóki tkwiła zamknięta w depresyjnej skorupie. Teraz to było niemożliwe. Przejrzała go na wylot, jak zimowe słońce przesywa lodowate powietrze, bezlitośnie uwypuklając najmniejszy szczegół.

- Wszystko odbyło się błyskawicznie - powiedziała szybko i głośno, nie poznając własnego głosu. - Nie miałam czasu, żeby to sobie uzmysłowić. Podać ci coś do jedzenia?

Juliette wiedziała, że to, co mówi, jest niespójne. Woląla nie ciągnąć wątku. By nie czuć się przypartą do muru, niespodziewanie zeskoczyła z parapetu. Spłoszyła tym ruchem Jonathana, który cofnął się z grymasem zdziwienia i obawy.

Tchórz, pomyślała.

Kilka promieni słonecznych przedzierało się ukosem pomiędzy świerkami. Czarny dotychczas las nabierał apetycznego kasztanowo-karmelowego koloru.

- Tak - przytaknął ze wzrokiem utkwionym w piwo - rozumiem cię.

Przez krótką chwilę Juliette miała ochotę ulec pokusie i opowiedzieć mu o ekstazie, jaka ją ogarnęła, gdy uderzyła młotem w szybę. O tym, jak nieoczekiwanie i trwale powróciło do niej uczucie pełni, towarzyszące jej w czasach, gdy się poznali, gdy została wykluczona z ruchu. Miała szaloną ochotę opisać ze szczegółami tę zmianę, jej metamorfozę. Jonathan był jedyną osobą, z którą mogła o tym porozmawiać. Jednocześnie, patrząc na niego od tyłu, na łysiejącą mimo jego trzydziestu lat czaszkę, pomyślała, że stał się także ostatnią osobą, z którą chciałaby podzielić się swoim przeżyciem.

- Rozumiem - powtórzył.

Tak, pomyślała, akurat rozumiesz... - jak zwykle. Przeszła jej ochota, a z nią skrępowanie. Była już spokojna i czekała na rozwój wydarzeń. Jonatan odwrócił się i zmierzył ją zaniepokojonym wzrokiem.

- Co zrobiłaś z czarnym kombinezonem?

- Spaliłam.

- Razem z kominiarką i butami?

- Tak.
- Na jakimś pustkowie niedaleko granicy?
- Właśnie.

Lubiła przesłuchania. Potrafiła zrećźnie odgrywać komedię posuszeństwa. Całe jej dzieciństwo cechowała psia uległość. Zamknięta przez wiele lat w szklarni upokorzeń z mistrzostwem nauczyła się hodować i jak nikt inny pielęgnować zbawienne drzewko marzeń.

- Gdzie spędziłaś drugą noc?
- W motelu pod Lipskiem.
- Zapłaciłaś gotówką?
- Tak.
- Granica?
- Bez problemu. Policjanci mnie trochę podrywali.
- Sądziś, że cię zapamiętali?
- Byli wstawieni.
- Gdy oddawałaś samochód, zapytano cię, ile kilometrów przejechałaś? Dwa tysiące w trzy dni to ponad sześćset dziennie. Nic nie mówili?

- Mieli to gdzieś. Jak przyjechałam, dyżur miał turecki student, który dorabia sobie wieczorami w agencji.

Jonathan zadał jeszcze kilka praktycznych pytań, potem uśmiechnął się i przeciągnął.

- Wspaniale! - podsumował. - Uważam to za pełny sukces.
- Postawił butelkę piwa na stole kuchennym i spojrzał na zega rek. - Muszę uciekać do Chipiego. To ja dziś otwieram.

Pracował w nocnym barze w dzielnicy St Paul, w Lyonie. Chętnie przedstawiał się jako gitarzysta, mimo że w rzeczywistości szef kazał mu robić bardzo różne rzeczy. Przez większą część nocy serwował drinki.

Juliette nadal czekała. Nie ustąpiła mu i teraz wyglądała na mniej pewnego siebie, udając, że zmienia zdanie.

- A tak w ogóle - zagadnął. No dalej, pomyślała, przejdźmy wreszcie do sedna. - Nie zapomnij mi oddać czerwonej fiołki.
- Nie poruszyła się, więc zaczerwieniony dodał: - Nie zapomniłaś o niej, prawda?
- Nie.

Juliette miała ochotę krzyknąć, śmiać się i tańczyć. Zamiast tego usiadła na krześle i chwyciła podwiniętą pod siebie nogę. Została w tej pozycji jak spętany koń, którego umysłowi i ciału nie chciała pozwolić się wymknąć w podskokach.

Wyrzuć to z siebie.

- Jonathan, przemyślałam to. - Upuścił klucze. Odczekała, aż je podniesie w myśl zasady: nie wbijaj noża w plecy. - Wchodzę w to dalej.

Znieruchomiał. Już się nie uśmiechał, a w jego spojrzeniu pojawił się groźny błysk. Stał nad nią o wiele od niej wyższy.

To zabawne, myślała nadal niesłychanie trzeźwo, niczym mewa obserwująca z góry scenę. Jest przerażający, ale wcale się go nie boję.

Mimo że w czasach studenckich Juliette pozostawała pod dużym wpływem Jonathana, nigdy nie traktowała go poważnie. Właśnie sobie to uświadomiła. Przez jakiś czas chodzili ze sobą i to w łóżku nauczyła się go nie bać. Pamiętała jeszcze jego słabości.

- Proszę cię, Juliette, oddaj mi tę fiolkę. Nawet nie wiesz, co jest w środku. Do niczego jej nie użyjesz.

- Masz ją komuś przekazać, czy tak?

- To moja sprawa, więc się do tego nie mieszaj.

- Pozwól mi tam pójść za ciebie.

- Pójść gdzie? - powtórzył i wzruszył ramionami. - Zwariowałaś!

Widziała, z jakim wysiłkiem powstrzymuje się, by nie wybuchnąć. Chwycił krzesło i usiadł przed nią. Zmusił się nawet do uśmiechu.

- Słuchaj, Juliette, dobrze wypełniłaś swoje zadanie. Moi do wódcy będą usatysfakcjonowani. Jestem pewny, że skoro chcesz z nami zostać, powierzą ci niedługo inną misję. Jednak ta sprawa jest bardzo poważna i twoja rola już się zakończyła. Moja zaś zakończy się z chwilą przekazania im fiolki.

„Moi dowódcy”. Biedny Jonathan! Nagle zrobiło jej się go żal. Wypowiedział te dwa słowa z takim namaszczeniem... Potrzebował ustalonego porządku i hierarchii, nawet działając wbrew przepisom. Złamał prawo, ale nie był w stanie przekroczyć kolejnej granicy. W przeciwieństwie do niego, Juliette gotowa była brnąć dalej.

- Nigdy nie zatrzymuję się w połowie drogi.
- W połowie drogi! Jakiej drogi? Nawet nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi! Zresztą tak jak i ja. My nie musimy wiedzieć. Jesteśmy wyłącznie pośrednikami, żołnierzami, rozumiesz?

Utkwione w nim spojrzenie czarnych oczu Juliette odebrało jego słowom resztkę wigoru.

- Załatw to jak chcesz z twoimi „dowódcami” - stwierdziła ze spokojem, który ją samą zaskoczył. - Powiedz, że nastąpił bunt. Chcę się z nimi spotkać, więc to ja zaniosę fiolkę.

- Bądź rozsądna - odezwał się trzeźwo Jonathan. - Taka historia może cię porwać daleko i na bardzo długo. Jesteś gotowa porzucić pracę, dom, dotychczasowe życie?

- Wzięłam urlop na kolejny rok szkolny. Co do mieszkania, to kontrakt wynajmu kończy się w czerwcu. Gimnazjum będzie zamknięte od przyszłego tygodnia z okazji świąt wielkanocnych.

Stało się dla niego jasne, że Juliette już dawno wszystko przemyślała. Przede wszystkim zdał sobie sprawę, że była wolna i nic nie trzymało jej na miejscu. To, co powierzając jej misję, uznał za atut, w rzeczywistości okazało się pułapką. Życie uodporniło tę dziewczynę na ból i strach, może poza tym, który rodził się w niej samej. Była całkowicie nieprzewidywalna. Tak naprawdę jej nie znał.

- Kiedy to postanowiłaś? - zapytał.

- Gdy mi zaproponowałeś wyjazd do Wrocławia. Od razu wiedziałam, że myszy i małpy to tylko pierwszy akt sztuki, i że są kolejne. Ważniejsze.

Powinien był jej mniej ufać. Jakże mylące były jej nieśmiałość, melancholia i flegmatyczność... Pozwalały szybko uwierzyć, że daje sobą manipulować. W rzeczywistości to ona nim dyrygowała.

Przyszło mu do głowy, by użyć siły. Uderzyć ją? Atakujemy tylko tych, których się obawiamy. Z pewnością przyniosłoby mu to satysfakcję, ale za to jakie skutki? Przyjrzał się niezniszczalnie kruchej dziewczynie przycupniętej na krześle. Niewątpliwie przemierzyła pustynię samotności i melancholii. Teraz w jej oczach czał się ironiczny błysk. Zdawało się, że cała wrze w środku. Momentami wybuchała śmiechem bez przyczyny. Jonathan nie

poznawał jej. A może dostrzegał w niej Juliette z początków ich znajomości, tę dawną, która raczej marnie skończyła. Wstał i podniósł kask.

- Więc to twoja ostateczna decyzja?

Pytanie było głupie, ale chciał wyjść z tego z honorem. Juliette rzuciła mu wspałałomyślne i miłosierne „tak” jak jałmużnę.

Jonathan energicznie zasunął zamek kurtki i przeszedł przez pokój. Potem, starając się przywołać zblazowany uśmiech, oświadczył:

- To także przewidzieliśmy, możesz mi wierzyć. Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność. Wkrótce się o tym przekonasz.

Ostatnią uwagę, mającą świadczyć o jasnowidzeniu słynnych „dowódców”, skierował do siebie samego.

Pomachał ręką na pożegnanie i rozkołysanym krokiem opuścił pomieszczenie.

Juliette zaczekała, aż motor się oddali i dopiero wtedy zamknęła okno. Zapowiadała się piękna noc, wietrzna, ciemna i bezksiężycowa, bez duchów.

VI

Wrocław, Polska

Wrocław ma fatalną lokalizację, czego dowiodły kolejne wojny. Ostatnia omal nie przyniosła miastu całkowitej zagłady. Zresztą nie wiadomo co było gorsze z tego, czego dokonali Sowieci: zrównanie Wrocławia z ziemią czy odbudowa miasta. Z wyjątkiem kilku placów znajdujących się w centrum i odrestaurowanych wedle średniowiecznych planów, Wrocław jawi się jako betonowe monstrum zdominowane przez szare szeregi kamienic, których nie są w stanie rozweselić barwne płaszczyzny reklam.

Miasto nie jest idealnym miejscem na spędzenie wakacji. Mimo to Paul, wędrując wzdłuż alei poprzecinanych torami pobrzękujących tramwajów, był w nastroju turysty. Wspólnicy bez problemu zgodzili się zastąpić go przez miesiąc. Zresztą i tak spodziewał się, że wróci prędzej. Najważniejsze było to, że Archie dotrzymał słowa. Nazajutrz po powrocie z Rhode Island Paul otrzymał od dyrekcji Hobsona i Ridga oficjalną wiadomość o przyznaniu klinice w ramach mecenatu dużej sumy na bieżący rok.

Jeszcze tego samego wieczoru wsiadł na pokład samolotu lecącego do Warszawy, potem lokalnym połączeniem dostał się do Wrocławia. Bez trudu wskoczył w niezwykle sprawny i szybki rytm amerykańskiej szkoły wywiadu. Podczas gdy służby angielskie były bez wątplenia najbardziej obłudne, Rosjanie przebiegli, a Niemcy brylowali w skrupulatności, nikt nie dorastał Amerykanom do pięt w kwestii logistycznej skuteczności i szybkości działania. Na szczęście prywatny wywiad odziedziczył tę cechę.

Była godzina szesnasta pięćdziesiąt, gdy taksówka przywiozła go do laboratorium. Spotkanie ustalił, zanim opuścił Stany Zjed-

noczone. „Niech pan zacznie od tamtego miejsca. W samolocie przeczyta pan raport polskiej policji. Nie ma potrzeby przeprowadzania jeszcze jednego śledztwa, wystarczy, że powęszy pan trochę na miejscu”.

- Zatem powęszmy - mruknął do siebie Paul, przyglądając się budynkowi.

Blok, w którym znajdowało się laboratorium, wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż reszta. Zardzewiałe żelazne pręty, będące pozostałością po dawnych schodach awaryjnych i niedokończonych balkonach, sterczały z szarego betonu fasady. Kwadratowe okna, pozbawione parapetów i zdobień, zasłonięte były do połowy drewnianymi rozregulowanymi roletami.

Wokół budynku rozciągał się pseudoogród, będący raczej bezużytecznym, przygnębiającym, szarawobłotnistym terenem, upstrzonym gdzieś tam kępami trawy. Służył aktualnie za parking, o czym świadczyły liczne koleiny i ślady opon. Paul przyjechał za wcześnie, wykorzystał więc pozostałe do spotkania minuty, by rozejrzeć się po tej stronie budynku. Bez trudu znalazł opisane w policyjnym raporcie wyjście awaryjne, przez które przeszli napastnicy. Były to jedyne drzwi na parterze od tyłu.

Paul skonstatował, że fasady kamienic stojących naprzeciwko tej ściany nie posiadały okien, a jeśli tak, to mieściły się tam warsztaty zapewne puste w nocy. Tłumaczyłoby to fakt, że nikt nic nie widział.

Powrócił do głównego wejścia i pchnął oszklone drzwi. Pomimo łagodnego wiosennego powietrza, lecz zapewne z innych istotnych przyczyn biurowych, centralne ogrzewanie było nadal włączone. Ciężkie i suche ciepłe powietrze wewnątrz wywoływało mdłości. Zapach linoleum i zimnej kawy mieszał się z wyziewami niezdefiniowanych substancji chemicznych. Hol był pusty. Na ścianach wisały plakaty informujące po polsku i angielsku o konkursach naukowych i konferencjach. Napis ze strzałką prawdopodobnie wskazywał sekretariat. Paul cicho zapukał i nieśmiało wszedł do otwartego pomieszczenia. Strażnikiem pustego biura wydawał się tylko Jan Paweł II na małej fotografii przyklejonej do ściany. Był w czerwonym płaszczu i uśmiechał się jak zwykle enigmatycznie.

Kolejne drzwi prowadziły do sąsiedniego gabinetu, z którego dobiegły Paula odgłosy miętego papieru. Zaraz potem w drzwiach ukazał się mężczyzna.

- A więc dobrze słyszałem... Pana godność?
- Paul Bainville.

Po raz pierwszy posłużył się fałszywym nazwiskiem, którego francuskie brzmienie ułatwiało skonstruowanie wiarygodnego życiorysu.

- Bardzo mi miło, panie Bainville. Nazywam się Rogulski, profesor Rogulski. Mieliśmy się spotkać o...
- O piątej, jeśli się nie mylę.

Paul podążył za profesorem do sąsiedniego pokoju. Zasiedli naprzeciwko siebie przy biurku zawałonym papierami.

Mężczyzna z całą pewnością przekroczył sześćdziesiątkę, ale ubrany był jak za swoich czasów studenckich. Sztruksowe spodnie, koszula w paski z lat sześćdziesiątych wytarta na mankietach, pionierki na grubej podeszwie. Kołnierzyk niedbale założonego fartucha był podwinięty z jednej strony. Rogulski miał bladą cerę i przezroczystą skórę typową dla osób, które większość czasu spędzają w zamkniętych przestrzeniach. Rzadkie i przyprószone siwizną włosy układały się w fale, zapewne pozostałość po ekstrawaganckiej fryzurze z czasów młodości. Paul znał kilku tego typu profesorów ze swoich studiów medycznych. Ludzie ci, pochłonięci całkowicie przez odmienną rzeczywistość świata mikrobów, komórek i molekuł, nie mieli do zaoferowania bliźnim nic ponad powierzchowność, której kształty i wyblakłe kolory zdawały się obwieszczać: „zamknięte na czas remontu”.

Rogulski miał charakterystyczne małe, ruchliwe i frenetycznie rozbiegane ciemne oczy, powiększone dodatkowo przez szkła okularów dalekowidza.

- Jest piątek, a to oznacza, że nie ma ani sekretarki, ani wspólnych pracowników - westchnął. - Cóż mogę dla pana zrobić, panie Bainville?

Nie powiedział tego uprzejmym tonem, lecz raczej w formie obowiązkowego kupletu na temat braku środków i nędzy badań naukowych, tonem odwiecznej skargi będącej drugą naturą pracowników uniwersyteckich.

Paul rozejrzał się po pomieszczeniu. Ogólne zniszczenie budynku nie zapowiadało wnętrza zaopatrzonego w tak nowoczesny sprzęt. Komputer, jakiego używał Rogulski, był jednym z ultranowoczesnych modeli, o jakich Paul marzył dla swojej kliniki.

Wyjął wizytówkę z portfela i wręczył ją profesorowi.

- Ach, jest pan z Atlanty! Z CKC zapewne?

Rogulski posługiwał się doskonałym angielskim, z brytyjskim słownictwem i wyraźnym, słowiańskim akcentem.

- Rzeczywiście instytucja, dla której pracuję, jest częścią Centrum Kontroli Chorób. Mamy jednak pewną autonomię.

- „Agencja Zabezpieczeń Aparatury Naukowej”. Hm, to coś nowego?

- Istnieje od trzech lat - pewnie oświadczył Paul.

Na tym etapie nie powinien okazać jakiegokolwiek wahania. Profesor przyglądał się wizytówce dłuższą chwilę, po czym odwrócił, przybliżył do okularów i nawet obejrzał ją pod światło, jak gdyby szukał na niej znaku wodnego.

Paul nie spodziewał się do tego stopnia posuniętej ostrożności. Zdecydował się użyć fałszywej tożsamości, aby uniknąć kontaktu z policją, nie zaś w celu zmylenia rozmówcy.

Nieoczekiwana podejrzliwość naukowca mogła być jednocześnie wskazówką, w tej jednak chwili stanowiła zagrożenie. Miał pełne zaufanie do alibi fabrykowanych w Firmie, ale wciąż niestety wątpił w umiejętności kolegów z Providence. Teoretycznie, gdyby profesor wykreślił numer widniejący na wizytówce, trafiłby na nowo zainstalowaną linię w Rhode Island, a tam zaangażowani w sprawę pracownicy uspokoiliby jego sumienie. Paulowi pozostała nadzieja, że wszystko pójdzie sprawnie.

Podjął się tej misji z odrobiną nonszalancji i zbytnią pewnością siebie, które były prawdopodobnie efektem słów Archiego. Nie spodziewana czujność Rogulskiego przywołała go do porządku. Natychmiast zanurzył się w ciężką atmosferę tajemnicy i gęstą mgłą kłamstwa, w których blakną wszelkie trudności i niebezpieczeństwo.

W końcu profesor odłożył wizytówkę.

- Będzie panu przeszkadzać, jeśli zapalę? - zapytał.

Zanim Paul zdążył zaprzeczyć, Polak wyjął zapalniczkę i zapalił papierosa bez filtra.

Amerikanin czuje, że jest za granicą dopiero wtedy, gdy znajdzie się w czterech ścianach bez okien w towarzystwie człowieka wydmuchującego mu w twarz gęstą chmurę dymu tytoniowego. Dla Paula prawdziwa podróż właśnie się zaczynała.

- Jest pan biologiem? - zapytał Rogulski.
- Lekarzem, z praktyką biologa.

Na wszelki wypadek Paul powtórzył w samolocie kilka lekcji z zakresu chorób zakaźnych i mikrobiologii, chociaż w głębi duszy powątpiewał, by profesor chciał go rutynowo przepytac. Niemniej w tym momencie wydawało się to bardziej niż prawdopodobne. Zapadła przedłużająca się cisza.

- Przyjechał pan, by porozmawiać o ataku, którego padliśmy ofiarą?

- W rzeczy samej - odparł Paul.
- Już odpowiadałem na pytania policji.
- Oczywiście, ale nasza praca polega na czym innym. Przeprowadzamy rutynowe śledztwa - Paul podkreślił słowo *rutynowe* - wszędzie, gdzie włamano się do stacji badawczych. Interesuje nas ryzyko biologiczne, nie zaś schwywanie przestępców.

- Rozumiem. Co konkretnie chciałby pan wiedzieć?

- Może mógłbym zacząć od obejrzenia laboratorium, by mieć lepszy obraz zdarzenia?

- Proszę pójść za mną.

Profesor poprowadził Paula z powrotem do korytarza, przez który wszedł.

- O ile się nie mylę, włamania dokonano nocą?
- O trzeciej nad ranem.
- Laboratorium nie jest strzeżone?
- Owszem, ale ze względu na koszty strażnicy robią obchody tylko na zewnątrz. Dla oszczędności podpisaliśmy kontrakt na ochronę wspólnie z bankiem, który mieści się na drugim końcu ulicy. Ochroniarze strzegą obu budynków, bo tak jest taniej.

- Niczego nie zauważyli?

- Między godziną trzecią a czwartą zmienia się ekipa, więc w tym czasie nie ma tutaj nikogo.

- Wie pan, kto mógł poinformować o tym włamywaczy? Za den z pańskich współpracowników nie został zwolniony w ciągu ostatnich kilku miesięcy?

Rogulski zatrzymał się i spojrzał na niego uważnie.

- Nie - odparł.

Paul pomyślał, że bardziej powinien trzymać się swojej roli naukowego detektywa. Wszelkie nazbyt policyjne pytania mogły wywołać podejrzenia rozmówcy.

Przeszli korytarzem do końca i zamykanymi na klucz drzwiami weszli do obszernego i pustego pomieszczenia. Ściany były świeżo pomalowane na biało.

- To część laboratorium, które całkowicie zdemolowali. Sprzęt, który tu się znajdował, wart był dwa miliony dolarów.

- Ma pan listę urządzeń? Powinienem dołączyć ją do raportu.

- Zrobię panu kopię listy ubezpieczeniowej. Mam ją w biurze.

- Czy to jedyne pomieszczenie, jakie zniszczyli?

- Jedyne.

- Dlaczego akurat to, według pana? Jakiego typu badania tu prowadziliście?

- Weszli do niego, bo sąsiaduje ze zwierzętarnią. Łatwo rozbić oszklone drzwi, które je oddzielają. By dotrzeć do innych, musieliby poradzić sobie z normalnymi drzwiami, poza tym co wieczór zamykanymi na klucz.

- Dlaczego?

- Z powodu zdarzających się kradzieży sprzętu komputerowego. Popołudniami bywa tu niewiele osób, toteż aby obcy ludzie nie kręcili się po całym centrum, kazaliśmy każdemu zamykać drzwi swojej pracowni na klucz, gdy wychodzi.

Rozmawiając, przeszli przez salę i stanęli przed drzwiami, w które zdążono wstawić nową szybę. Rogulski otworzył je i pozwolił Paulowi wejść do zwierzętarni.

Pomieszczenie bez okien oświetlała lampa neonowa. Klatki stały puste. Na nieodmalowanych ścianach widniały slogany o wyzwoleniu zwierząt. Paul, patrząc na tę ogołoconą z życia salę, odniósł dziwne wrażenie, że sprawczynią nocnego przestępstwa

była kobieta ubrana na czarno. Nie potrafił wytłumaczyć dlaczego akurat kobieta, a mimo to, od zapoznania się ze sprawą, dziwne przekonanie narzucało mu się wbrew wszelkiej logice.

- Czekamy, aż drzwi awaryjne zostaną wzmocnione. Dopiero wtedy przeniesiemy zwierzęta - uściślił Rogulski grobowym głosem.

Paul czytał napisy. Zgodnie z treścią raportu, były ich dwa rodzaje. Jedne umieszczone wysoko, inne niżej, jedne kursywą, a inne drukowane prostymi literami.

- Wszystkie są po angielsku - zauważył Paul.

- Tak, ale ponoć to o niczym nie świadczy. W całej Europie pełno jest grup aktywistów, którzy wykrzykują swe hasła po angielsku, choćby alterglobaliści. Zresztą gdy byłem młody, w czasach wojny w Wietnamie, tu także krzyczeliśmy „US GO HOME!”

Paul spojrzął na profesora. Jakoś trudno mu było go sobie wyobrazić w pochodzie skandującym hasła wymierzone w imperializm amerykański. Choć może w komunistycznej Polsce nie miało się wyboru?

- Co się stało ze zwierzętami?

- Ustalenie tego zabrało nam trzy dni. Po całej dzielnicy biegały myszy. Otruliśmy je. Szczury wywołały straszną panikę piekarza, u którego się schroniły. Mały nie odeszły za daleko. Jedna nawet zdechła, nie przekroczywszy progu. Jedynie koty zniknęły.

Paul udał naraz żywe zainteresowanie. Wyjął z kieszeni notes i zaczął notować.

- Zatem niektóre zwierzęta nadal są na wolności.

- Tak, dwa koty. - Rogulski wzruszył ramionami.

- Bardzo przepraszam, panie profesorze, ale dotknęliśmy sedna sprawy, którą interesuje się moja agencja. Niekontrolowane wydostanie się na łono natury zwierząt albo produktów, na których przeprowadza się badania naukowe, może mieć poważne konsekwencje. Możliwe, że w tym konkretnym przypadku zwierzęta nie stanowią realnego zagrożenia. Aby to stwierdzić, chciałbym pana prosić o wyjaśnienie mi, jakim dokładnie badaniom i eksperymentom je poddajecie.

Rogulski dał Paulowi do zrozumienia, że uważał jego środki ostrożności za śmieszne. Przez większą część życia zdążył przy-

zwyczać się jednak do posłuszeństwa nawet wobec najbardziej absurdalnej władzy. Autorytarny ton Paula najwyraźniej przekonał go i nie dyskutował z nim więcej. Ta ostatnia wymiana zdań przyniosła jedną bodaj korzyść: starszy mężczyzna pozbył się wątpliwości co do profesji Paula. Dotychczasowe kontrole zawsze omijały istotę rzeczy...

- Co dokładnie chciałby pan wiedzieć? - zapytał zrezygnowany Rogulski.

- Jakiego typu programy badawcze tu realizujecie i co ze znajdujących się w laboratorium rzeczy może być niebezpieczne?

Rogulski pomacał kieszenie i z żalem stwierdził, że nie ma już co zapalić.

- Chodźmy do mojego gabinetu - rzekł - tam wygodniej będzie nam porozmawiać.

Gdy dotarli na miejsce, pogrzebał w szufladach i z jednej wyjął grube, zmięte cygaro, które z lubością zapalił.

Paul usiadł ze skrzyżowanymi nogami i położył notes na kolanie, gotów do zapisywania.

- Jak wskazuje nazwa mojego laboratorium - zaczął Rogulski - zajmujemy się genetyką molekularną czy, jeśli pan woli, biochemią genomu. Proszę nie sugerować się wyglądem pracowni: wbrew pozorom przeprowadzamy tu badania na poziomie światowym.

Wskazał na wiszące na ścianach oprawione dyplomy.

- Oto kilka przykładów nagród i wyróżnień, jakie otrzymaliśmy. Jeśli to pana interesuje, mogę panu podać kilka tytułów najświeższych publikacji w „Nature” albo „Lancet”.

Paul pomyślał, że rozmowa o osiągnięciach naukowych, a może zaufanie, jakiego do niego nabrał, sprawiło, że spojrzenie Rogulskiego było teraz mniej rozbiegane i on sam sprawiał wrażenie spokojnego. Uśmiechał się nawet.

- Przeczytam z przyjemnością - powiedział Paul. - W ramach wstępu może streści mi pan główny przedmiot pańskiej pracy...

- Interesuje nas przede wszystkim problem stabilności genetycznej - przerwał mu profesor, zataczając w powietrzu cygarem kółko z dymu. - Staramy się dowiedzieć, dlaczego niektóre organizmy żywe są odporne na mutacje, podczas gdy materiał

genetyczny innych przechodzi częste transformacje. Jest to fundamentalne pytanie stanowiące podstawę licznych medycznych zagadek, takich jak pojawienie się komórek rakowych, odporność bakterii na antybiotyki czy zmienność wirusów.

- Na jakim żywym materiale pracujecie?
- Nie zajmujemy się wirusami. Do tego potrzeba specjalistycznego sprzętu do dekontaminacji i tak dalej.

Paul odetchnął z ulgą i skrzątnie zanotował.

- Nasz materiał badawczy jest dwojakiego rodzaju: szybko-odradzające się komórki, jak na przykład komórki szpiku kostnego. Pobieramy je od różnych zwierząt, kotów, myszy, szczurów i małp.

- Więc uwolnione zwierzęta służyły za dawców komórek. Nie były nosicielami substancji patogenicznych ani nie zostały poddane modyfikacji genetycznej?

- Nie. Dlatego starałem się pana trochę uspokoić.
- A drugi rodzaj materiału, na którym eksperymentujecie?
- To bakterie.
- Jakież?
- Klasyczny wybór: nieśmiertelna pałeczka okrężnicy. Rozpoczęliśmy też pracę nad przecinkowcem cholery.

Paul energicznie uniósł głowę.

- Prowadzicie badania nad cholera?

- Wie pan zapewne, że przecinkowiec cholery jest niezwykle stabilną bakterią. Pomimo gigantycznych pandemii i niezliczonej ilości przypadków rozmnożenia się tego mikroba, pozostaje on w niemal niezmienionej formie od średniowiecza. Ta trwałość nas bardzo interesuje.

- Stosujecie inne patogeniczne mikroby?
- Tak. Gronkowca złocistego, dla odmiany, z powodu jego tendencji do częstych mutacji. Poza tym kilka kolonii shigelli, ale nie są bardzo groźne, może mi pan wierzyć.
- Cholera, gronkowiec, shigella - wyliczył Paul, notując - uważa pan to za mało groźne? No nic. Czy to na pewno wszystko?
- Tak, jeśli chodzi o mikroby, które mogą być uznane za niebezpieczne.

- Poinformował pan o tym policję?

- Nie pytano mnie o te sprawy.
- Skąd pochodzą szczepy cholery, nad którymi tu pracujecie?
- Najprościej na świecie, z krakowskiego szpitala. Mają tam od czasu do czasu imigrantów. Na moją prośbę przekazali mi próbkę.
- Gdzie ją pan przechowuje?
- Była wraz z innymi substancjami w szafie chłodzącej. - Paul zastygł z uniesionym piórem. Rogulski popatrzył na niego badawczo i wyjaśnił: - Stanowią część zniszczonych materiałów.

Paul podniósł wzrok znad notesu i z powagą przyglądał się profesorowi.

- Chce pan przez to powiedzieć, że patogeniczne szczepy bakterii znajdowały się w pomieszczeniu, które mi pan pokazał?

- Niestety.
- W zwykłej szafie?
- W szafie chłodzącej. Wystarczyło porządne uderzenie, by rozbić ją na kawałki. Przed nią znaleźliśmy kałużę mazi i roztrzaskanego szkła.

- Przestępcy po niej przeszli?
- Z całą pewnością.
- Jest więc prawdopodobieństwo, że wynieśli te substancje na zewnątrz, może nawet sami się zarazili?

Rogulski znowu zaczął zachowywać się niespokojnie. Jego spojrzenie stało się znowu nerwowo rozbiegane. Zdawało się, że myśli nad czymś intensywnie, podczas gdy Paul perorował na temat straszliwych skutków tego bakteryjnego przestępstwa. Wreszcie profesor wstał i odwrócił się do gościa plecami. Spoglądał teraz w okno z rękami założonymi do tyłu.

- Właściwie jaką dziedzinę biologii pan studiował?
- Neurochemię.
- Rozumiem.

Rogulski odwrócił się w jego stronę. Z zupełnie inną miną. Nie było na niej śladu uśmiechu ani uprzejmości. Zdawało się, że oczy wyskoczą mu z orbit.

- Wobec tego powinien pan wiedzieć, że shigelle i gronkowce są wszechobecne w otaczającej nas przyrodzie. Codziennie nie świadomie po nich chodzimy i jest to nasza wspólna dola.

Paul zrozumiał, że jest już za późno, by się wycofać z grząskiego terenu, którego nie znał.

- Co do przecinkowca cholery, szanowny kolego, jest to po twór, którego dławimy, myjąc ręce. Każdy student pierwszego roku wie, że zarażamy się nią przez kontakt z odchodami żywego chorego, a nie kilkoma bakteriami w próbówce. We wszystkich laboratoriach na świecie próbki szczepów trzymane są w zwyczajnych szafach.

Profesor zawiesił na swym gościu wzrok pełen lodowatej pogardy. Potem spojrział na miedziany zegar wiszący nad drzwiami i zmarszczył brwi.

- Już siódma! Proszę mi wybaczyć, mam spotkanie na mieście. Jeśli potrzebuje pan jakiejś dokumentacji, moja sekretarka oczywiście prześle ją panu. Odprowadzę pana.

Paul przeszedł co najmniej kilometr aleją, zanim doszedł do siebie, wściekły, że tak źle przygotował się na to spotkanie. Zbyt pewny siebie, za słabo znał temat, postanowił polegać na mętnych wspomnieniach z zajęć o chorobach zakaźnych, którymi zresztą nigdy się specjalnie nie interesował.

Gdy podreperował nieco zranioną dumę, zaczął się zastanawiać nad tym w gruncie rzeczy interesującym spotkaniem. Z jednej strony wszystko wskazywało na to, że włamanie było zwyczajną akcją obrońców praw zwierząt. Należałoby sprawdzić wątek cholery, ale Rogulski wyjaśnił wszystko przekonująco i Paul nie miał wątpliwości, że mówił prawdę. Z drugiej strony Paul wyczuwał coś dziwnego. Profesor nie martwił się tym, co jego gość mógłby odkryć w laboratorium, lecz wyraźnie interesowała go prawdziwa tożsamość Amerykanina. Czyjej wizyty mógł się obawiać?

Z hotelu Paul zadzwonił do Providence. Okazało się, że zaraz po jego wyjściu Rogulski wykręcił numer widniejący na wizytówce. Udzielono mu wiarygodnych informacji, mógł jednak na tym nie poprzestać. Gdyby chciał dowiedzieć się czegoś więcej o CKC, szybko odkryłby, że „Agencja Zabezpieczeń Aparatury Naukowej” nie istnieje. W tej sytuacji nie zawahałby się powiadomić policji. Szukanie zwady z polskimi służbami byłoby zaś zbędną komplikacją. Paul uznał, że najrozsądniej postąpi, wyjeżdżając z Polski.

„W następnej kolejności powinien pan odwiedzić naszych angielskich przyjaciół - poradził mu przed wyjazdem Archie. - Bardzo liczymy się z ich opinią". Następnego dnia rano Paul potwierdził rezerwację lotu do Londynu.

VII

Londyn, Anglia

Mikę Bell miał prawie dwa metry wzrostu. Był z pochodzenia Ghańczykiem urodzonym w Leeds. Olbrzym i dawny mistrz koszykówki o bardzo czarnej skórze bezskutecznie maskował swą atletyczną sylwetkę pod tweedowym garniturem. Jako korespondent Providence w Londynie wyszedł po Paula na lotnisko Heathrow. Trzymał w rękach małą tabliczkę z napisem Matisse. Paul dał mu znak i mężczyźni przywitali się serdecznie. Potem, nie słuchając sprzeciwu, Mikę Bell podniósł z ziemi bagaż podróżny i przycisnąwszy go do brzucha, niósł przed sobą niczym koszykarz w dwutakcie.

- Zabieram pana do domu - rzucił i mrugnął do Paula poro zumiewawczo.

Mówiąc „dom”, Bell miał na myśli niewielkie mieszkanie, jakim agencja dysponowała w Kensington. Zaopatrzone w różnorakie systemy zabezpieczeń, stanowiło pewne miejsce do narad. Przede wszystkim zaś było wygodnym i dyskretnym schronieniem dla przyjezdnych agentów, w którym mogli się zatrzymać niezauważeni.

- W Warszawie wszystko poszło OK?
- We Wrocławiu. Tak, w porządku.

Paul wsiadł do małego niebieskiego forda i przyglądał się olbrzymowi, który zgrabnie sadowił się za kierownicą.

- Na kiedy przewidziane zostało spotkanie? - zapytał Paul.
- Nielatwo było się umówić. Archie był zmuszony kilkakrotnie interweniować u lorda Brenthama. Historia powtarzała się za każdym razem: politycy zobowiązują się do czegoś, ale ich służby zwlekają z działaniem. Nie lubią chwalić się swoimi agentami.

Nawet jeśli pracujemy w tej samej branży, to i tak dla nich pozostajemy cudzoziemcami. Nie chcą wyjawiać prawdziwej tożsamości agentów tylko po to, by nam zrobić przyjemność.

- Przecież nie muszę spotykać się koniecznie z agentem operacyjnym.

- Wie pan, że agenci operacyjni nie są jedynymi zagrożonymi w rozgrywkach z zapaleńcami od ochrony zwierząt. Nawet funkcjonariusz analizujący za biurkiem informacje na ich temat może któregoś wieczoru, wracając do siebie po pracy, dostać kulę w łeb.

- Jak się w końcu dogadaliście?

- Sprytnie z tego wybrnęli. Sam się pan przekona. Człowiek, z którym się pan spotka, koordynuje walkę z FWZ na najwyższym szczeblu. Teoretycznie to dla nas zaszczyt. W rzeczywistości jednak wybrali faceta, bo on już dostał za swoje...

Mikę Bell uśmiechnął się enigmatycznie i spojrzał na Paula.

- Spotkanie odbędzie się dziś późnym popołudniem. Przyjadę do pana. Niech pan jednak będzie przygotowany na ewentualne trudności.

Kryjówka mieściła się na ostatnim piętrze od strony ulicy. Było to zwykłe jednopokojowe poddasze. Dodatkowe drzwi wychodziły na labirynt podwórek, którymi można było dostać się do Holland Park i na szerokie aleje wiodące do zachodniego Londynu. Pomieszczenie pomalowane było na biało, co w połączeniu z szalową wykładziną dawało mu z grubsza komfortowy wygląd. Poza dużym i niskim łóżkiem oraz szafką nocną znajdowało się tam wszystko, co Anglicy uznali za niezbędne, czyli czajnik bezprzewodowy.

Paul usiadł na ziemi i sprawdził pocztę. W klinice wszystko grało, nie było wiadomości od Kerry. Pocieszył się myślą, że może automatyczna sekretarka wyłączyła się, zanim podyktował swój numer telefonu... Następnie zaczął zastanawiać się nad misją. Spotkanie z Rogulskim podziało na niego stymulująco. Skoro już zgodził się na tę pracę, to powinien ją jak najlepiej wykonać. Zaczynał dostrzegać w całej historii więcej niewiadomych, niż spodziewał się tego Archie. Chyba że Archie nie wyjawiał wszystkiego. Pracownicy Providence przysłali mu wiadomość z obszernym

załącznikiem zawierającym konieczną dokumentację. Paul wybrał spośród nich kilka artykułów i zaczął czytać. Jednak zarówno ci-sza w mieszkaniu, jak i inna strefa czasowa, do której nie zdążył jeszcze przywyknąć, sprawiły, że po chwili zasnął.

Mikę Bell przyjechał o piątej. Zmienił garnitur na szerokie dżin-sy, wiszące w kroku. Na nogach miał różowe, napompowane jak poduszki sportowe buty Nike, a jego tors przykrywał czerwony, sportowy podkoszulek bez rękawów, uwydatniający olbrzymie, czarne bicepsy.

- Spotkanie zabezpieczają Anglicy - oznajmił. - Strzegą typu bardziej niż królowej. Zresztą sam pan zobaczy. Ja stanę na cza-tach, by upewnić się, że nikt pana nie śledzi ani w jedną, ani w drugą stronę.

Gdy zauważył, że Paul ze zdziwieniem patrzy na jego nowy strój, dodał:

- Przykro to mówić, ale gdy ubrany jestem w garnitur bankiera z City, ludzie oglądają się za mną na ulicy. W tym przebraniu pozostają niezauważony.

Udzielił Paulowi kilku wskazówek co do trasy. Sprawdzili zgod-ność czasu na zegarkach i wyszli w odstępie trzech minut. Paul przeszedł przez Hyde Park i dotarł aż do Marble Arch. Ryzykując życie, przeciął drogę szybkiego ruchu. Nadal był trochę nieprzy-tomny od snu, a angielski ruch lewostronny i przypomnienia wypisane co krok na jezdni: „Spójrz w prawo!”, „Uwaga! Niebez-pieczeństwo!”, „Droga jednokierunkowa!” dodatkowo go otuma-niały. W Grecji czy we Włoszech, podobnie jak wielu Ameryka-nów, pomimo różnic czuł się jak w domu. W świecie brytyjskim natomiast, na przekór zwodniczemu pokrewieństwu językowemu, miał wrażenie osobiłej przepaści.

Dzielnica wąskich uliczek, o dźwięcznej nazwie Mayfair, była spokojniejsza ze względu na opłatę narzuconą wjeżdżającym samochodom, co zniechęcało kierowców. Stanowiła miejsce z ga-tunku bezpiecznych, skąd wygnano dzieci, biedaków, imigrantów i innych mieszkańców. W Mayfair człowiek nie obawiał się o swoje życie, nie istniało bowiem ryzyko awanturniczych spotkań. Dziel-nica była po prostu martwa. Paul szedł wzdłuż szeregu domów z cegły. Kolorowe bramy dumnie obnosiły miedziane tablice z na-

zwami, a jakże, modnych pracowni architektonicznych i agencji reklamowych będących na fali. Zgodnie z zaleceniami Mike'a dwa razy z rzędu skręcił w prawo i wyszedł na skwer Berkeley. Platany rosnące wokół małego placu obsypane były pączkami, a trawnik ozdabiały gdzieniegdzie żonkile. Paul zauważył zaparkowaną na rogu ulicy białą, rozwalającą się furgonetkę. Z całą pewnością w środku czaili się brytyjscy tajniacy. Miał ochotę mrugnąć do kierowcy, który słuchał radia, zajęty dłubaniem wykałaczką w zębach. Wiedział jednak, że ta dziecinada mogła doprowadzić do spalenia akcji na panewce. Nie zatrzymując się więc, jak gdyby nigdy nic, doszedł do numeru 12.

Mieściła się pod nim nowoczesna kamienica, bluźniąca swym stylem małym wiktoriańskim ukwieconym domom po obu stronach. W holu stała hostessa zakamuflowana za marmurowym kontuarem, niczym żołnierz na czatach ukryty za workami piasku.

- Piąte piętro numer 22 - rzuciła, zanim Paul zdążył otworzyć usta.

W windzie nie spotkał nikogo. Gdy tylko stanął przed drzwiami z numerem 22, te otworzyły się i dwie ręce wciągnęły go do środka. Mikę uprzedził go o tym, toteż Paul nie oponował. Mężczyzna, który go chwycił, mierzył teraz w Paula z broni kalibru dziewięć milimetrów. Drugą ręką obszukał go od stóp do głów, po czym bez słowa popchnął w kierunku sąsiedniego pomieszczenia. Tam trzech agentów w cywilu posadziło go na krześle.

Radiodbiornik przyczepiony do paska jednego z mężczyzn zaczął trzeszczeć i rzezić. Agent przyłożył go do ucha. Zebrani zeszywnieli, Paul wstał. Drzwi w głębi pokoju otworzyły się i Paul zniknął jakby wessany do biura z widokiem na plac. Na czarnej kanapie ze skaju siedział mężczyzna. Skinął na Paula i wskazał mu miejsce przed sobą. Gdy Paul przywykł do oślepiającego światła wypełniającego pokój, cofnął się odruchowo.

Człowiek siedzący naprzeciwko niego ubrany był w elegancki, niebieski płócienny garnitur z kamizelką. Pod szyją zawiązany miał jedwabny krawat w kolorach indyjskiego różu i żółci. Jego buty nienagannie wypolerowano. Trudno jednak było patrzeć na to, co kryło się w owym nieskazitelnym opakowaniu. Około

sześciodziesięcioletni człowiek, drobny i wysuszony, przez długie lata nie miał zapewne jakichkolwiek znaków szczególnych, ale teraz to się zmieniło. Prawa strona jego twarzy była straszliwie zdeformowana, pocięta bliznami i przeszczepami. Ich różowy, zaogniony kolor pozwalał przypuszczać, że wypadek zdarzył się dwa albo trzy lata temu. Skóra po tej stronie nosiła ślady oparzeń tworzących bruzdy i zgrubienia. Proste, zapewne sztuczne włosy ukrywały brakujące ucho. Prawe okrągłe i błyszczące oko spoglądało nieruchomo. Widać było tylko lewą rękę. Prawy rękaw był pusty od wysokości łokcia.

- Major Cawthorne, do usług - powiedział krótko.

Trudno czytać w tak zdeformowanej twarzy, jednak ton wskazywał na wybitnie zły humor mężczyzny.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać - zaczął Paul.

- Dostałem takie polecenie - przerwał mu Cawthorne, nie pozostawiając cienia wątpliwości co do tego, jak bardzo mu to nie na rękę. - Lordowi Brenthamowi się nie odmawia, nieprawdaż?

Paul zakaszłał i podjął dalej:

- Pracuję dla agencji, która...

- To już wiemy. Mam niewiele czasu, doktorze Matisse. Proszę łaskawie przejść do rzeczy i zadać mi pytania, na które odpowiedzi chce pan ode mnie usłyszeć.

Paul krótko opisał, co wydarzyło się w Polsce. Major gestem nakazał mu się streszczać.

- Londyn jest najbardziej odpowiednim miejscem do obserwowania radykalnych ugrupowań obrońców zwierząt - zakończył Paul. - Mamy nadzieję, że udzieli nam pan kilku wskazówek na temat naszej sprawy.

- Jakich wskazówek?

- Na przykład czy mamy do czynienia z grupą pokrewną do waszego Frontu Wyzwolenia Zwierząt?

Major wyprostował się. Nietknięta część jego twarzy skurczyła się, co zwiększyło tylko kontrast z przerażająco nieruchomą resztą. Minęła chwila, zanim odpowiedział.

- FWZ nie istnieje - odparował. - To mgławica grup i pojedynczych osób, które poza wspólnym celem nie mają ze sobą nic wspólnego. Oto co może pan powiedzieć swym przełożonym.

Pozwoli to panu uzasadnić należną zapłatę. Oczywiście może pan postarać się o jakieś uzupełniające materiały, by wzbogacić raport. W internecie znajdzie pan mnóstwo informacji.

Brutalność tej odpowiedzi ujawniła frustrację agenta, który pod polityczną presją zmuszony został do ujawnienia swojej tożsamości. Wyrażała się też w niej nienawiść zwykłego i kiepsko opłacanego urzędnika wobec prywatnego konsultanta o teoretycznie wysokich zarobkach.

Paul pokornie przyjął atak. Optymizm, z jakim Archie podchodził do rozwinięcia działalności agencji na starym kontynencie, był przedwczesny. Dwie rozmowy, najpierw z Rogulskim, a teraz z majorem przyniosły mu upokarzającą porażkę.

Tym razem nie miał zamiaru tak łatwo dać za wygraną. Postanowił nie przejmować się ani Archiem, ani agencją. Nie mógł znieść pogardy, jaką mu okazywali Europejczycy. Traktował ją jak osobistą zniewagę, na którą nie zasłużył. Gdy był mały, często wpadał w podobny gniew przy grze w piłkę z ojcem. Jeżył się jak buldog i nacierał. W gimnazjum i w armii był znany z powodu swych ataków szału. Nawet potężniejsi od niego koledzy woleli nie wchodzić mu w drogę. Niewielu było śmiałków, którym udawało się odparować razy Paula, gdy z głową wciśniętą w ramiona rzucał się na nich z pięściami.

Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i wyciągnął szyję, by nie podnosić głosu, ale być usłyszanym przez Cawthorne'a.

- Proszę mnie dobrze posłuchać, majorze - powiedział, celowo używając akcentu z Południa, którego nauczył się u dziadków w Luizjanie. - Jestem żołnierzem, tak jak i pan. Nie znam ani lorda Brenthama, ani nikogo tam na górze i szczerze panu powiem, że w ogóle mnie nie obchodzą. Wykonuję polecenia. Możliwe, że inni ciągną z tego kupę kasy, ale ja nic na tej sprawie nie zarabiam.

Major cofnął się odrobinę. Był to znak, że wyczuł zmianę tonu rozmówcy i nową nutę groźby w jego głosie. Paul zdołał przełamać barierę. By zapewnić powodzenie swojej strategii, musiał wykorzystać w pełni kapitał sympatii, jakim cieszą się młodzi amerykańscy żołnierze, z reguły prości i naiwni, u swych starszych, angielskich kolegów. Paul patrzył teraz na majora błyszczącymi oczami i używając całego swojego czaru, ciągnął z akcentem

dobrego chłopaka z Południa, jako ucieleśnienie rzeszy młodych bohaterów, którzy zapragnęli uwolnić Europę z nazistowskich łap i zostali pochowani na normandzkiej ziemi.

- Majorze, zależy mi na misji. Żołnierz musi wiedzieć, kto jest jego wrogiem. I o ile się nie mylę, mój wróg jest również pańskim? Jeśli łajdacy, którzy zniekształcili panu twarz, aktualnie tkają swoją sieć w kolejnych krajach i przygotowują akcje, w których zginą niewinni ludzie, to sądzę, że obu nam powinno zależeć na tym, by im przeszkodzić. Moim zdaniem mało co ma znaczenie wobec takiego niebezpieczeństwa.

Major zamyślił się, chrząknął, nagle wstał zaskakująco dziarsko jak na swoje rany. Przemierzył pokój wzdłuż i wszerz, wyjrzał przez okno, potem powrócił do Paula i spojrzął na niego przeciągle.

- Niech będzie, Matisse - wypowiedział te słowa sztywno niczym wojskowy, który stara się ukryć wzruszenie i sympatię, jaką żywi wobec swego podopiecznego. - Jest pan lojalnym agentem. Zapomnijmy o wszystkim i porozmawiajmy szczerze o pańskiej sprawie.

Paul uśmiechnął się. Tylko tego oczekiwał od Cawthorne'a. Komunikacja między nimi stała się możliwa z chwilą, gdy major przestał traktować go z wyższością.

- Musi pan wiedzieć - podjął, przechadzając się ze spojrzeniem utkwionym w oddali - że FWZ stanowi dziś w Anglii jedno z najistotniejszych zagrożeń terrorystycznych. Islamiści są niebezpieczni, ma się rozumieć, ale nie dobierają ofiar według grup społecznych, a ich ataki są masowe i rzadkie. AWZ, czyli Armia Wyzwolenia Zwierząt, która jest bojowym ramieniem FWZ, obiera za cel bardzo konkretne środowisko przemysłowe, polityczne albo liderów ideologicznych, starannie wybiera ofiary i atakuje regularnie. Niemal co tydzień dokonują aktu przemocy. Walka z nimi to zadanie wysoce ryzykowne, dlatego nie lubimy niepotrzebnie się ujawniać.

Paul przestraszył się, że major zechce powrócić do tematu lorda Brentthama i braku odpowiedzialności władzy, jednak ten mówił dalej.

- Cieszy nas, że nowe kraje, na przykład Polska, świadome są niebezpieczeństwa, jakie niosą tego typu organizacje. Dobrze to

czy źle, ale to, o czym pan mówił, nie pasuje do schematu działalności FWZ, jaką spotykamy u nas.

Pośrednio Cawthorne przyznawał więc, że FWZ nie jest tylko i wyłącznie spontaniczną mgławicą, lecz zorganizowanym ruchem.

- Może mi pan powiedzieć coś więcej na temat struktury FWZ?

Major wyprostował się i spojrzął na Paula z urazą. W istocie technika dosłowności była w tym wypadku najlepsza. Wobec gruboskórnej prostoty amerykańskiego rozumowania Cawthorne czuł się bezsilny. Zmuszony odłożyć na bok subtelności swojego wywodu, musiał wyciągnąć kilka wniosków zrozumiałych dla tego prostaka.

- FWZ został założony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym w Anglii. Na początku ich konikiem były, dosłownie, protesty przeciwko myślistwu. Sądziłem, że są kolejną organizacją działającą na rzecz ochrony zwierząt, jak SPA', niegroźną i sympatyczną grupą ludzi. Czas pokazał, że się myliliśmy. Pojawienie się FWZ oznaczało całkowity rozłam ideologiczny. Czytał pan ich biblię, książkę Petera Singera zatytułowaną *Wyzwolenie zwierząt*?

- Nie.

Książka ta była jedną z pozycji przygotowanych przez Providence. Paul usnął w trakcie lektury... Na szczęście w kontekście jego stosunków z Cawthome'em był to raczej plus: pasowało do wyobrażenia, jakie Anglik powziął na temat nieoczytanego, ale uczciwego rozmówcy.

- Niech pan ją przeczyta. Lepiej pan zrozumie. Dla Singera wyzwolenie zwierząt nie jest humanitarnym gestem. Nie ma tu mowy o miłości do zwierząt czy o ich użyteczności. Wyzwolenie zwierząt jest walką polityczną i filozoficzną wpisaną w bieg Historii. Zniesiono niewolnictwo, osiągnięto tolerancję religijną, uznano równość ras, a prawa kobiet wpisano do kodeksów prawnych. Teraz nadszedł czas na goryle, psy i ryby.

* Society for the Protection of Animals, stowarzyszenie istniejące rzeczywiście w Fremont, Ohio, opiekujące się bezdomnymi psami i kotami.

Paul zaśmiał się, ale major odpowiedział mu nieskończenie smutnym spojrzeniem. Najwyraźniej dla niego ten temat od dawna nie był przedmiotem żartów.

- Wedle koncepcji teoretyków tego ruchu, człowiek jest gatunkiem jak każdy inny. Nie ma większej wartości niż inne, dlatego też nie powinien mieć więcej praw.

- Istota ludzka jest warta tyle samo, co pies?

- Zgadza się. Ani więcej, ani też mniej, jak pan zauważy.

- Cóż za zaszczyt!

- Nie dziwię się, że to pana szokuje. To zresztą stwierdzenie, które przysporzyło Singerowi najwięcej kłopotów. Musiał nawet z tego powodu opuścić kraj. W swym dziele twierdzi kategorycznie, że nie widzi powodu, dla którego noworodek z niedorozwojem mózgu miałby być chroniony bardziej niż inteligentny goryl. Łapie pan ten sposób myślenia?

Cawthorne wypowiadał te poglądy zupełnie naturalnym tonem. Brało się to z tej szczególnej cechy brytyjskiej mentalności, która polega na szanowaniu nawet najbardziej skrajnych opinii w imię wolności słowa. Jednocześnie nie przeszkadzało to w ich bezlitosnym zwalczaniu.

- Postawienie jednej rasy ponad innymi jest rasistowską zbrodnią. Analogicznie, według zwolenników FWZ, uhonorowanie człowieka specjalnymi względami jest zbrodnią gatunkową. Każdego dnia ludzie dopuszczają się na zwierzętach aktów, które zastosowane wobec nich samych nazywałyby się morderstwem, torturą, niewolnictwem. Zabijamy zwierzęta, by je jeść, poświęcamy je w imię nauki w laboratoriach, zamykamy dożywotnio małpy w klatkach, by móc pokazać je dzieciom. To szczególnie zuchwałe zbrodnie gatunkowe. Zamordowanie winnych tych aktów nie jest więc zbrodnią: jest dobrym uczynkiem.

- Ilu spośród obrońców zwierząt posuwa się tak daleko w swoich przekonaniach?

- Przyznam, że niewielu. Większość troszczących się o prawa zwierząt to działacze w starym stylu. Chcą polepszyć ich los metodami pokojowymi. Wie pan jednak tak samo dobrze jak ja, że terroryzm nie polega na liczbie zwolenników. Często nasilenie przemocy jest odwrotnie proporcjonalne do liczby jej

egzekutorów. Serce FWZ jest niewielkie, acz niezwykle niebezpieczne.

Cawthorne właśnie dobitnie potwierdził, że jednostka, której istnieniu wcześniej zaprzeczał, posiada strukturę. Paul postanowił tego nie komentować.

- Ludzie z FWZ wyzuci są ze współczucia wobec ludzkości i jednocześnie gotowi do poświęcania własnego życia. W czasie wojny w Kosowie na przykład, jeśli pan pamięta, prawie milion ludzi schroniło się w Albanii przed nalotami NATO. Bojownicy FWZ wdarli się nielegalnie do opustoszałej strefy, by opiekować się porzuconym bydłem.

- W czasie bombardowań?

- Właśnie. Nie wahali się ryzykować życia, byle uratować krowy...

Cawthorne skrzywił się okropnie. To było wszystko, co mu pozostało z uśmiechu.

- Gdy ma się za nic swoje życie, nie sposób uszanować czyjeś. Wątpię, by czuli jakiegokolwiek rozterki, gdy podkładali bombę pod mój samochód.

- Był pan na ich tropie?

- Nie wchodzimy w szczegóły. Nie ma stu sposobów tropienia terrorystów. Niczego się nie dowiemy, oglądając zdjęcia satelitarne.

Kamień rzucony w Amerykanów nie osiągną! Paula, gdyż on sam podzielał sceptycyzm Anglika wobec osiągnięć technologii.

- Inni kontynuują pańską pracę?

Paul wiedział, że to pytanie było kolejnym nietaktem z jego strony. Miał wrażenie, że dręczy markizę w podeszłym wieku. Po pierwszym odruchu oburzenia Cawthorne opanował się, usiadł i odparł bezdźwięcznym głosem:

- Nie mają wyjścia.

- Jaki wpływ na przeprowadzane akcje operacyjne ma tajne centrum dowodzenia? Czy to ono im przewodzi? Kto nimi kieruje?

Przywódcy. To oni dają impuls do działania, wskazując główne cele. Na przykład negatywna kampania wymierzona w międzynarodowy koncern kosmetyczny Rexho była sterowana odgórnie. Strażnik wsadził głowę do pokoju przez drzwi, przez które wcześniej wszedł Cawthorne i które zapewne prowadziły do wyjścia na inną ulicę. Wskazał na zegarek. Cawthorne skinął na znak, że pilnuje godziny.

- Jednak szczególną cechą FWZ - podjął pośpiesznie, jak gdyby

zależało mu, by przekazać Paulowi wszystkie informacje - jest jego zdolność rozprzestrzeniania się. Centralna komórka rozpowszechnia przez internet porady, jak przeprowadzać brutalne akcje. Jak wyłamać zamek, wyłączyć alarm, dostać się do instalacji przemysłowych? Jak umknąć przed pościgiem? W co i kogo mierzyć? Te informacje docierają wszędzie i inspirują niezrzeszonych do działania bez porozumienia z kimkolwiek. Czasem są to małe grupy, a czasem pojedynczy ludzie. FWZ zbiera swój plon, którym są informacje o tych spontanicznych akcjach umieszczane potem w internecie pod ich banderą.

- Nie sądzi pan, że polska akcja mogła być kierowana na odległość? Czy pańskim zdaniem mogła stanowić część strategicznych działań, które zmierzają do ekspansji na tereny nowych państw na Wschodzie?

- Bardzo wątpię. To bardzo klasyczna akcja, o mało znaczących konsekwencjach. Gdyby FWZ chciał zorganizować coś w Polsce, byłaby to operacja ze znacznie większym rozmachem i bardziej spójna.

- Może pan podać przykład?

- Mierzyliby raczej w przemysł. Jednak przede wszystkim zadbali o rozgłos, uzasadniali swoje przedsięwzięcie i nawoływali do kolejnych. W pańskim przypadku nic takiego nie miało miejsca, sprawdziłem to.

- Jakie wyciągnąłby pan wobec tego wnioski?

- Według mnie to spontaniczna inicjatywa małej lokalnej grupy, która surfowała na stronach internetowych FWZ...

- Polska policja kategorycznie zaprzeczyła takiej ewentualności.

- Myśli pan, że są wystarczająco kompetentni?

- Odziedziczyli pewne umiejętności w dziedzinie szpiegowania obywateli.

- To prawda.

- Uważają, że operacja kierowana była z zewnątrz. Wrocław leży prawie na samej granicy, być może nie przez przypadek wybrano akurat to miasto.

- Na granicy nikogo nie przechwycili?

- Ani na czeskiej, ani na niemieckiej. Nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi komando. To pozwala przypuszczać, że ucieczka została dobrze przygotowana, podobnie zresztą jak cała akcja.

- Jakie jest zdanie służb niemieckich? Dobrze orientują się w tej materii.

- Polacy skontaktowali się z BND*. Ci ostatni nigdy nie mieli odsłuchów o przeprowadzeniu tego typu akcji przez niemieckie grupy ekologiczne. To wtedy pomyśleli o FWZ.

- Naprawdę wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne...

- A napisy na murach? Jak pan to wytłumaczy?

- No nie wiem... może to forma zmyłki.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Myślę na głos. W tym specyficznym wszechświecie wszystko jest możliwe. Być może chodzi o coś innego, może ta akcja stanowi jeden z etapów o wiele bardziej spektakularnego w skutkach projektu. A nadano jej oblicze operacji wyzwolenia zwierząt wyłącznie w celu odwrócenia uwagi od ciągu dalszego...

Paul nie mógł ukryć zdziwienia i pokiwał głową. Cawthorne wydał się wyraźnie uszczęśliwiony tym, że udało mu się zatriumfować złożoną koncepcją nad dziecinną prostotą zza Atlantyku.

- To interesująca koncepcja - przyznał Paul. - Jak ją sprawdzić?

- Tylko przypadek może nam pomóc. By wygrzebać się z oceanu informacji, które zalewają nas na ten temat, przydałaby się wskazówka, jakiś ciąg dalszy.

- Jaka wskazówka?

- Skąd mogę wiedzieć: podsłuch telefoniczny, podobieństwo do innej akcji, szczególna cecha obiektu ataku.

Zapadła długa cisza. Teraz Cawthorne spojrzał ostentacyjnie na zegarek. Rozmowa powinna zakończyć się ze względów bezpieczeństwa. Podniósł się. „Szczególna cecha obiektu ataku”.

* Bundesnachrichtendienst, niemiecka Federalna Służba Wywiadowcza.

Paul położył rękę na jedynej dłoni majora, chcąc go na chwilę zatrzymać.

- Czy zdarzyło się panu w tym środowisku słyszeć o... cholera?

Cawthorne utkwił w nim wzrok jak porażony piorunem.

- O cholera?

- Właśnie, sam nie wiem, może cholera odgrywa jakąś rolę w publikacjach, projektach, uzasadnieniach filozoficznych ekstremistów?

- Niczego takiego sobie nie przypominam.

Znowu zapadła cisza. Paul miał tak zrozpaczoną minę, że Cawthorne'owi zrobiło się go żal i, pragnąc go pocieszyć, dodał:

- Proszę nie burzyć sobie krwi tą sprawą, mój chłopcze - rzekł łagodnym głosem. - Jeśli temat pana rzeczywiście interesuje, będzie pan miał jeszcze okazję wpaść na trop tych osobników. Spójrzmy prawdzie w oczy: niezależnie od tego, co mówi po licja, polska afera jest bez wątpienia lokalnym zamieszaniem bez większego znaczenia, wykombinowanym przez dwóch czy trzech zapaleńców. Otwierając się na Zachód, kraje wschodnie wchłonęły wszystkie nasze urojenia. Zarówno ochronę zwierząt, jak i inne. Nie jest to ani zaskakujące, ani jeszcze bardzo poważne. By operacja tego typu nabrała dużego znaczenia, potrzeba albo wsparcia z zagranicy, co nie miało miejsca, albo musi na wiązywać do silnej tradycji kraju. O ile się nie mylę, Polacy nie należą do nacji szczególnie uwrażliwionych na dołę zwierząt, czyż nie?

Paul wzruszył ramionami, by okazać swą niewiedzę w tej kwestii.

- W każdym razie wie już pan wystarczająco dużo, by zredagować raport.

Rozstali się w niemal przyjacielskich stosunkach. Paul wracał tą samą drogą, którą przybył, i przy bramie Hyde Parku dołączył do niego Mikę Bell. Razem ruszyli do Kensington.

- I co? Rozmawiał z panem?

- Tak.

- Gratuluję. Ma ohydłą reputację. Woląłem panu o tym nie wspominać... Spodziewałem się, że wyrzuci pana po trzech minutach.

Wybuchnął dźwięcznym śmiechem, kołysząc się w swoich różowych adidasach. Paul po chwili mu zawtórował.

Archie za nic w świecie nie chciał przegapić sprawozdania z konsultacji ze służbami angielskimi. Zadzwoił punktualnie o pierwszej w nocy i Paul zdał mu zwięzłą relację ze spotkania z majorem Cawthorne'em.

- Hm, to dość szczupłe dane - podsumował Archie.
- Też tak uważam. Ale facet był ze mną szczery. Polski incydent jest bez wątpienia odosobnionym i banalnym przypadkiem.

Archie milczał dłuższą chwilę. Paul wyobraził go sobie, jak skubie butonierkę w miejscu, gdzie miał zwyczaj przypinać order, w krajach, w których przywiązywano do tego wagę. W Stanach Zjednoczonych nic nie przypinał.

- Nie należało się zbytnio ludzić - podjął. - I tak lord Brentham wyświadczył uprzejmość, zlecając nam tę sprawę. Nie należało wierzyć, że okaże się ona doniosłym przedsięwzięciem. Ale to bez znaczenia. Odpowiemy Polakom tak, jak odpowiedzieliby Anglicy, gdyby poprowadzili do końca tę sprawę. Na podstawie informacji, jakich dostarczył panu lojalny brytyjski oficer, sporządzi pan ładny raport. Dołożymy kilka stricte naukowych aneksów, z których nic nie rozumieją, całość podpisze pan wszystkimi swoimi naukowymi tytułami, pod, rzecz jasna, fałszywym nazwiskiem. Pojadę do Warszawy i osobiście wręczone ministrowi spraw wewnętrznych.

Paul kazał się ciągnąć za uszy, zanim przystał na misję, i teraz ciężko mu było przystać na takie rozwiązanie.

- Chciałbym jeszcze coś sprawdzić, w związku z tym, co mówił mi Rogulski, kierownik laboratorium.

- Jakie zrobił na panu wrażenie?
- Wydał mi się dziwny.
- Szalony naukowiec - skomentował Archie.

Paul wyobraził sobie, jak wzrusza ramionami. W plejadzie grup społecznych, którymi pogardzał, genialny i biedny mędrzec był zdecydowanie jedną z ulubionych postaci Archiego.

- Nie jest szalony, tylko się boi. Chciałbym wiedzieć czego.
 - Ale czy z naukowego punktu widzenia zauważył pan coś nienormalnego albo podejrzanego?
 - Raczej nie. Wyznam panu szczerze, że byłem dość nieudolny i facet miał się na baczności. Myślę, że nic ważnego nie ukrył przede mną, ale jako że mikrobiologia nie jest moją dziedziną, chciałbym zahaczyć o Paryż, żeby sprawdzić kilka informacji, jakie mi podał.
 - O Paryż! Nie może pan sprawdzić ich po powrocie do Stanów Zjednoczonych?
 - U nas takie węszenie mogłoby się wydać podejrzanе. W Paryżu natomiast pracują najwybitniejsi światowi specjaliści w tej dziedzinie.
- Archie, który zwykł uważać Paryż za miejsce uciech i ojczyznę swawoli, zgodził się pod warunkiem, że Paul pojedzie tam w celach rekreacyjnych.
- Jeśli nic pan nie znajdzie, proszę natychmiast wracać.

VIII

Genewa, Szwajcaria

Teresa nie lubiła wchodzić na swoją górkę wiosną. O tej porze roku pogoda gwałtownie się zmieniała. Gdy wracało zimno i zrywał się wiatr przynoszący deszcz, kamienne stopnie stawały się śliskie. Pomimo to, codziennie, nie zważając na nic, Teresa wdrapywała się po stromym zboczu aż na wysokość pochyłego placu zwanego Bourg de Four, który wieńczył stare miasto Calvin. Mimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat za nic w świecie nie zamieszkałaby gdzie indziej. Przeszła obok okrągłej fontanny, posterunku policji i kawiarnianych ogródków. Następnie zaatakowała z impetem kamienne i nieosłonięte od wiatrów schody prowadzące do mieszkania.

Od ośmiu dni była niespokojna. Mimo że dobrze wiedziała, co miało się wydarzyć, to jednak brak informacji co do dnia i miejsca wprawiał ją stan ciągłego zdenerwowania. Toteż gdy tego ranka dostrzegła chłopca siedzącego na balustradzie pierwszego piętra, odczuła więcej ulgi niż strachu. Przynajmniej czekanie dobiegło końca.

Dlaczego wyobrażała sobie, że będzie masywnym brunetem o wyglądzie ulicznego zbira? Blondyn z kaskiem motorowym na kolanach był - wręcz przeciwnie - dosyć wysmukły i musiała przyznać, że budził sympatię. Przywitał się z nią z szacunkiem.

- Pani Teresa? Dzień dobry. Przyjechałem w sprawie pani siostrzenicy.

Teresa przysięgła, że wiernie odegra komedię. Udała zaskoczenie z niezwykłą dla niej ekspresją.

- Mojej siostrzenicy? Ach, chodzi panu o Juliette.

Gdyby to tylko od niej zależało, ugościłaby młodzieńca oranżadą. Niestety Juliette wyraźnie nakazała jej nie wpuszczać go pod żadnym pozorem do środka. Teresa żałowała, że nie może być uprzejma, kontynuowała więc rozmowę na klatce schodowej.

- Czego pan chce od mojej siostrzenicy?

- W zeszłym tygodniu wyjechała z Chaulmes i automatyczna sekretarka podaje pani adres. Chciałbym się z nią skontaktować. Powie mi pani jak?

- Nie ma jej tutaj, ale dzwoni do mnie co dzień. Ostatnio nie wychodzi za wiele. Z nikim się też nie spotyka. Wydaje mi się, że cierpi. Jeśli życzy pan sobie coś jej przekazać, to proszę mi powiedzieć.

Chłopak mówił, lekko mrużąc oczy. Wydawał się lekko zblazowany, pewny siebie, a jednocześnie zmęczony. Dodawało mu to pewnego uroku.

- Mam dla niej bardzo krótką wiadomość. Proszę jej przekazać, że Jonathan chciałby się z nią zobaczyć. Mam zanotować imię? Jo-na-than. I proszę dodać, że jej warunki zostały przyjęte.

Teresa zrobiła znaczącą minę. Jakże piękny jest ten wiek, kiedy można stawiać miłości warunki, by później z przyjemnością im się poddać, pomyślała.

- W takim razie - wykrzyknęła uradowana, mogąc wyjawic, że wiedziała więcej, niż Jonathan przypuszczał - Juliette z radością spotka się z panem dziś o siedemnastej. Będzie pan mógł?

- O siedemnastej? W porządku. Gdzie?

- Proponuje kawiarnię Griitli, niedaleko teatru. Zna pan Genewę?

- Tak, tak, wiem gdzie to jest - żywo odparł Jonathan. - Będę na pewno.

Pożegnał się, bardzo elegancko zdaniem Teresy.

Wspięła się na ostatni schodek, otworzyła drzwi i postawiła torby na podłodze. Usiadła w przedpokoju i popadła w zadumę.

Siostrzenica od zawsze budziła w niej uczuciową mieszanekę czułości i niepokoju. Traktowała córkę swojej przyrodniej siostry od wczesnego dzieciństwa jak własną, zwłaszcza że sama była bezdzietną wdową. Cierpiała też, widząc, w jaki sposób dziewczynka była wychowywana. Jej ojciec miał prawie sześćdziesiąt lat, gdy

się urodziła. Był człowiekiem interesów. Odziedziczył małą firmę zajmującą się frachtem morskim i umiejętnie pomnożył majątek. Jego bogactwu dorównywał niestety egoizm. Nie znosił hałasu, więc zabraniał dziewczynce zapraszać koleżanki i bezustannie ją dręczył. Matka była za słaba, by wstawić się za córką. Kiedyś się bała, że zostanie starą panną... Nawet po ślubie trudno jej było uwierzyć, że trafiła na tak dobrą partię. Wraz z upływem lat małżeństwo psuło się coraz bardziej i kobieta całą gorycz przelała na dziecko, stając się drugim, po mężu, prześladowcą. Zdawało się wręcz, że jedyne, co łączyło rodziców, to niechęć do małej Juliette, która w ich oczach uosabiała młodość, aktywność i życie. W odpowiedzi na ich wrogość mała zamknęła się w sobie, znosząc wszystko z przesadną obojętnością. Stała się bierna, niekomunikatywna i cicha do tego stopnia, że można ją było posądzić o bezmyślność. Teresa była jedyną osobą, która potrafiła wyczuć skrzętnie ukrywane pod osłoną wiecznego spokoju, przetaczające się w Juliette wewnętrzne burze. By pozbyć się córki, każdego lata rodzice wysyłali ją do ciotki na wakacje. Ta zaś, dzięki swej cierpliwości, nakłoniła siostrzenicę do zwierzeń. Dwa czy trzy razy zdarzyło jej się nawet udzielić dorastającej Juliette schronienia w krytycznych sytuacjach.

Nie dziwiła się wcale, gdy Juliette zadzwoniła do niej w zeszłym tygodniu w pilnej sprawie. Była przecież jedyną osobą na świecie, do której dziewczyna mogła się zwrócić w ciężkiej chwili. Zapytała, czy może pomieszkać przez jakiś czas w pustej kawalerce, którą Teresa posiadała w Carouge. Zgodziła się, jak zwykle nie zadając zbędnych pytań.

Tym bardziej się cieszyła, mogąc poznać Jonathana. Domyślała się, co było prawdziwą przyczyną małej burzy. Najwyraźniej wszystko zmierzało do szczęśliwego końca. Chciała nawet z nią porozmawiać i przypomnieć, jakie krótkie jest życie. Uspokoił się jej oddech, a wraz z nim serce. Teresa wykręciła numer Juliette.

Pałac Griitli, położony niedaleko placu Nowego i teatru, był siedzibą ekskluzywnego kina, toteż pojawiali się w nim wszyscy szanujący się intelektualiści zamieszkujący Genewę. Panujące w kawiarni lewicowe, libertyńskie i alterglobalistyczne nastroje przywoływały na myśl zagęszczoną atmosferę Paryża z 1968, a nie klimat surowej Reformacji. Dla Juliette liczyło się, że budynek miał trzy różne wyjścia, co oznaczało trzy możliwości ucieczki.

Poczekala, aż zegar wybije kwadrans po piątej i dopiero wtedy pchnęła szklane drzwi kawiarni od strony placu Plainpalais. Ubrana w golf i sprane dzinsy, z prostymi włosami opadającymi na ramiona, Juliette idealnie pasowała do otoczenia. Kawiarnia zawsze pełna była ładnych, ale byle jak ubranych dziewcząt. Przed spotkaniem podekscytowana Juliette zajęła się makijażem, by czas nerwowego oczekiwania minął szybciej. Zaowocowało to za dużą ilością podkładu i błyszczyku. Wchodząc do kawiarni, od razu dostrzegła Jonathana. Samotnie siedział przed zbyt pospiesznie wypitą kawą espresso i niecierpliwie przytupywał. Rozejrzała się, by sprawdzić, czy poza stałymi klientami w kawiarni nie było nikogo podejrzanego.

Była zaskoczona, że od czasu kiedy ostatni raz widziała się z Jonathanem w Chaulmes, wciąż funkcjonowała na zdwojonych obrotach, a stopień jej determinacji utrzymywał się na tym samym poziomie. Spała niewiele, nie odczuwając zmęczenia, jej percepcja świata miała wyrazistość i szybkość, które przerażały ją i zarazem upajały. Czuła się jak dziecko na szczycie diabelskiego młyna w wesołym miasteczku. Po chwilach euforii i przyspieszenia przychodziły gwałtowne zawroty głowy, czuła się, jakby miała spaść w głęboką otchłań. A jednak, mimo że zabawa budziła w niej strach, za nic nie chciała się zatrzymać.

Wyjechała z Chaulmes, by wzmocnić się na wypadek ewentualnej presji, którą chcieliby na niej wyrzucić Jonathan i jego „dowódcy”. Przede wszystkim jednak chodziło o to, że o ile spokój i bezruch wioski stroiły idealnie z dawną melancholią Juliette, przy

jej nowym stanie ducha stały się nie do zniesienia. Niepokój nie zniknął, lecz przybrał inne i nieznane oblicze. Był jak wewnętrzne rozedrganie domagające się ciągłego ruchu, hałasu i poruszenia. Można było wyobrazić sobie miejsca, które lepiej niż Genewa zaspokajałyby te potrzeby, ale przynajmniej była to stolica. Juliette mogła przemierzać miasto wzdłuż i wszerz, pewna, że zarówno w dzień, jak i w nocy odnajdzie tłum i światła samochodów. Czuła się nieskończenie krucha, a jednocześnie niezniszczalna. Nic nie mogło odwieść jej od podjętej decyzji.

Zrobiła trzy kroki w stronę sali restauracyjnej. Jonathan dostrzegł ją, więc podeszła i usiadła na stylowym krześle z żelaznych pretów.

- Przepraszam za spóźnienie.
- Nie ma sprawy, ja też właśnie przyjechałem.

Jonathan zmusił się do uśmiechu. Potem przybrał obojętną minę i powiedział z wyższością:

- Możesz mi wytłumaczyć, czemu ma służyć cały ten cyrk?

Udała zaskoczenie.

- Jaki cyrk?

Zrobił ręką gest, który mógł oznaczać równie dobrze bar, jak i cały wszechświat.

- Uciekasz z Chaulmes. Historia z ciotką. Dziwne spotkania...
- Ostrożności nigdy za wiele.

Jonathan spuścił wzrok. W trakcie dyskusji ze słynnymi dowódcami istotnie rozważono wszystkie sposoby zmuszenia Juliette do oddania tego, co przywozła z Wrocławia: porwanie, przemoc, włamanie do domu. Ostatecznie ku zaskoczeniu Jonatana odrzucono te rozwiązania. Nie ukrywał zresztą rozczarowania.

Kelnerka pochodząca z Erytrei, przepiękna, lecz ubrana w bezkształtną tunikę i buty trekkingowe, podeszła do nich, by przyjąć zamówienie. Juliette zamówiła kawę, ale szybko zmieniła zdanie i poprosiła o wodę gazowaną. Już wystarczająco była pobudzona. Myśli kotłowały się w jej głowie. Zapomniała nawet, o czym mówili.

- Zapytałem, czemu związałaś z Chaulmes.

- A, racja, potrzebowałam dużego miasta. Po prostu. W Chaulmes zaczynałam czuć się nieswojo. Nocą słyszałam dziwne odgłosy. Jakby ktoś chciał mi coś zabrać. Wiesz, o czym mówię?

Własny, bardzo głośny śmiech wydał jej się obcy i chorobliwy. Kilka siedzących nieopodal osób odwróciło się w jej stronę. Uznali, że wypaliła jointa i uśmiechnęli się pobłaźliwie. Jonathan był zmieszany.

- Nie wolisz porozmawiać gdzie indziej?

- Nie, świetnie się tu czuję.

W rzeczywistości czuła się strasznie dziwnie, co wywołało kolejne ataki śmiechu. Czym prędzej chciała zakończyć spotkanie.

- Dobra - przerwał jej, pochylając się - chcesz sobie pojeździć? Możesz mi wierzyć, że cię to czeka.

Wyjął z kieszeni kurtki podłużną kopertę i rzucając szybkie spojrzenie na prawo i lewo, wręczył ją Juliette. Czuł się na krawędzi omdlenia, nadal przeciwny postanowieniom, jakie kazano mu zrealizować. Zdobył się na nieludzki wysiłek, by tu przyjechać.

- Oto twój bilet lotniczy. Ruszasz pojutrze - wycodził cierpko, krzywiąc usta.

Juliette chwyciła kopertę. Przyszło jej do głowy, że może trochę za szybko. Opanowała się, otworzyła ją powoli i wyjęła bilet.

- Johannesburg! - przeczytała i podniosła wzrok pełen niedowierzania na Jonathana. - Na pewno?

- A umiesz czytać?

Nuta goryczy mimowolnie przebiła się w jego tonie.

- Ty nie lecisz? - zapytała, nie zdając sobie sprawy z okrucieństwa tego pytania.

Odpowiedź nie pozostawiała cienia wątpliwości. Jonathan potrząsnął głową.

- Nie narzucam się - rzucił wściekły.

Maskował agresją głębokie rozczarowanie i Juliette zrobiło się go żal. Zaraz jednak się opamiętała: „Zasłużył sobie. To cena, jaką płaci za swoje tchórzostwo”. Gdy rozszyfrowywała bilet lotniczy, poziom jej ekscytacji wzrósł o kolejne kilka stopni. Ręce jej drżały, oczy błyszczały niepokojąco, w kącie ust pojawił się nerwowy tik.

- Z kim mam się tam skontaktować?

- Nie musisz się o to martwić. Wyjdą ci na powitanie.

Usłyszała nutę groźby w głosie Jonathana. Bardzo wyczulona ostatnio intuicja podpowiadała jej jednak, że chłopak nic nie wie.

Starł się napędzić jej strachu z czystego pragnienia zemsty. Tak czy inaczej ona postanowiła wejść w to na całego. I odpowiednio się w tym celu zabezpieczyła.

- No *to cóż* - rzekł Jonathan, wyciągając rękę po kask - życzę ci powodzenia.

- Co teraz zrobisz?

Niezręczne pytanie Juliette wypływało z ostatnich pokładów czułości, jakie jeszcze odczuwała wobec niego. Pomimo to wzbu-
dziło w Jonathanie wściekłość.

- Dopiero teraz się nad tym zastanawiasz? Po tym, jak mnie ośmieszylaś! „Co teraz zrobisz?” - powtórzył, naśladowując jej intonację. - Co *możę* w tej sytuacji zrobić? Oto właściwsze pytanie. Pomyśl nad odpowiedzią w samolocie.

- Wybacz mi - powiedziała.

Jej specyficzny stan sprawiał, że krępowały ją nieszczęścia wokół niej. Nawet, jeśli, jak w przypadku Jonathana, było ono zasłużone, a może nawet zamierzone. Na szczęście uczucia galopowały w niej jedno za drugim. Przy sąsiednim stoliku ktoś, wstając, przewrócił filiżankę i zrobił gwałtowny ruch, by ją chwycić. Rozśmieszyło to Juliette i wybuchnęła głupim, nerwowym śmiechem.

- Nie zapomnij zabrać ze sobą najważniejszego - dodał Jonathan złośliwie. - Mówię o czerwonej fiolece.

Potwierdziła ruchem głowy i zrobiła przejętą minę, jakby chcąc uspokoić Jonathana. Prawdę mówiąc, był jej całkowicie obojętny.

Siedząc w pociągu Eurostar, Paul puszczał wodze fantazji, pobieżnie przeglądając papiery przysłane z Providence. Ta makulatura mogła mu się na nic nie przydać. Siedzący naprzeciwko niego mały chłopiec pilnie wpatrywał się w czarną noc za oknem. Gdy opuszczali dworzec Waterloo, jego ojciec głupio zażartował, puszcżając oczko do Paula, jakby w obawie, że ten go wyda.

- Od razu rozpoznasz, kiedy znajdziemy się pod kanałem la Manche.

- Po czym, tato?

- Bo wzdłuż pociągu zobaczysz bańki powietrza i ryby śmigające z zawrotną prędkością.

Dziecko przez całą podróż czekało na bańki i ryby. Paul ze zdziwieniem stwierdził, że wzruszyła go niecierpliwość, a w końcu rozczarowanie chłopca. Sam był jak malec. Wystarczyło, żeby Archie zasugerował mu możliwość nowej podróży wśród ryb, a już oczekiwał jej ze słodkim niepokojem, by potem poznać smak rozczarowania.

Korzyść z całego przedsięwzięcia była przynajmniej taka, że uświadomiło mu ono, jakie ordynarne wytwory ludzkiej duszy uruchamiają sekretny świat. Opisał to wszystko w długim mejlu zaadresowanym do Kerry. Jego laptop mógł wszędzie bezprzewodowo łączyć się z siecią. Ostatecznie nie wysłał wiadomości.

Na Gare du Nord złapał taksówkę, która zawiozła go do Instytutu Pasteura. W tej świątyni mikrobiologii wybitni naukowcy za pomocą prekursorskich metod dzień po dniu budują przyszłość. Jednocześnie przeszłość żyje w geografii ciasnej przestrzeni kampusu, usytuowanego w samym sercu Paryża, przeciętego ulicą, po której pędzą setki samochodów...

Laboratorium Cholery i Przecinkowców mieści się w historycznym budynku, tym samym, w którym półtora wieku temu słynny Ludwik Pasteur potrząsał szatańskimi fiolkami.

Paul, używając swego prawdziwego nazwiska, poprosił o spotkanie pod pretekstem przygotowywania raportu na temat pandemii dla medycznego stowarzyszenia z siedzibą w Georgii.

Wyjaśnienia okazały się zbędne. Profesor Champel nie zapytał Paula ani o nazwisko, ani o powód wizyty. Liczyła się rzadka przyjemność opowiedzenia o przecinkowcu cholery osobie zainteresowanej tematem.

Rzut oka na opustoszałe korytarze laboratorium wystarczył, by odgadnąć, że cholera nie jest już popularną chorobą. Księgi historii badań naukowych pisane są na polach innych bitew. Środki masowego przekazu, polityka i społeczeństwo skupiają uwagę na potworach takich jak HIV, wirus gorączki krwotocznej Ebola czy ptasia grypa. To te monstra pochłaniają najwięcej pieniędzy i produkują noblistów. Stary przecinkowiec cholery ma dziś status kombatanta. Jest skamieliną, pamiątką krwawych, lecz zwycię-

skich wojen. Niemniej jednak profesor Champel nie dał się porwać nowym modom. O swojej dziedzinie mógł mówić godzinami. Jego wiedza na temat cholery zdawała się niewyczerpana. Można było nawet pomyśleć, że poza cholera nic go w życiu nie radowało. Paul stwierdził w głębi duszy, że jego przyjazne nastawienie było miłym kontrastem wobec oziębłości Rogulskiego, i, *a contrario*, czyniło zachowanie polskiego uczonego jeszcze bardziej niezrozumiałym.

- Czy wie pan, co sprawia, że cholera jest najbardziej pasjonującą z patologii? - zapytał Champel w ramach wstępu. - To proste! Jest chorobą literacką.

Niski profesor, o czerwonej, okrągłej twarzy z obwisłymi policzkami zaczął deklamować fragmenty prozy i poezji poświęcone cholercze, głównie francuskich autorów. Wciśnięty za wąskie biurko wspiął się na wyżyny egzaltacji, recytując *Husarza na dachu* pióra Jeana Giono. „Cholera, jęknął, to straaaach”... Paul musiał się bardzo gimnastykować, by powrócić do tematu.

- Nie - wyznał w końcu Champel, wsadzając koszulę do spodni - cholera nie jest w naszych czasach zagrożeniem. Wystarczy przestrzegać podstawowych zasad higieny. - Spiesznie jednak poprawił się: - Nie oznacza to, że nie mamy z nią ogromnych problemów. Cholera jest jedną z głównych chorób dotyczących kraje biedne. A ściślej mówiąc, biedaków z biednych krajów.

- Innymi słowy, mikrob nie stanowi niebezpieczeństwa u nas. Czy jednak kontakt z nim nie wymaga szczególnych zasad postępowania?

Profesor podniósł z biurka małe plastikowe pudełko.

- W suchych warunkach bakteria bardzo dobrze przechowuje się w takich pojemnikach. Zresztą dociera do nas zewsząd pocztą.

- Poczta! A jeśli pojemniki pękają? Zaginają?

- Drogi kolego, zanim przecinkowiec cholery stanie się niebezpieczny, musi zostać spełnionych wiele warunków. Kilka wyizolowanych bakterii to nie wszystko. Musi być ich po pierwsze duża liczba, to znaczy muszą rozmnożyć się w zaatakowanym organizmie. Przenoszone są w środowisku wodnym zawierającym związki organiczne i w wysokiej temperaturze. Po drugie muszą

trafić na wrażliwą populację, źle odżywioną, osłabioną i żyjącą w niehigienicznych warunkach. Cholera to potwór, którego dławimy, myjąc ręce.

To samo mówił Rogulski! Formuła musiała być słynna, kolejny cytat z literatury. Paul nie wątpił w szczerość Polaka. Postanowił sprawdzić ostatnią wątpliwość.

- Gdzie przechowujecie przecinkowca cholery, profesorze?
- Proszę pójść za mną.

Champel poprowadził gościa korytarzem. Wydawało się, że specjalnie patrzy tylko w lewo.

- A tu co jest? - zapytał Paul, wskazując na prawo.
- To nie nasza część - odparł z goryczą profesor. - Od pięciu lat musimy zadowolić się połową laboratorium. Po drugiej stronie rządzi listerioza, wie pan, mikroby żyjące w serach, śmiertelne dla ciężarnych kobiet.

W jego głosie było dużo pogardy dla tych parweniuszy, którzy nie zdołali dotąd zainspirować żadnego artysty.

Przeszli do wypełnionego urządzeniami pomieszczenia, gdzie w skupieniu pracowało kilku badaczy. Champel wyjaśnił, że w tych pracowniach cholera obecna jest wszędzie: w chłodniach, pod dygestorium, na blatach. Mimo to nikt nie nosił masek ani ochronnych kombinezonów.

- Wielu ludzi ma błędne wyobrażenie na temat cholery. Widzą w niej większe niebezpieczeństwo, niż jest nim w rzeczywistości. Pamiętam rosyjską stażystkę, która przyszła tu któregoś ranka. Podeszła pewnym krokiem do tych szafek tam.

Na ich drzwiczkach wisiała tabliczka z napisem: „Zakaz wstępu - niebezpieczeństwo”.

- To pomieszczenie techniczne z bezpiecznikami elektrycznymi. Czekala na mnie przekonana, że tam znajduje się prawdziwa pracownia cholery.

Wyszli i skierowali się do holu z windami. W głębi był magazyn zamknięty na klucz, ale zamek był banalny, a drzwi lekkie.

- Tu przechowujemy pamięć cholery.

W niewielkich przegródkach od podłogi do sufitu od ponad wieku katalogowano szczepy bakterii, które kiedyś stanowiły największe przekleństwo, a dziś stały zamknięte w małych posortowanych

pudełkach mogących pomieścić kolekcję znaczków. Champel wyjaśnił, że w każdej z przegródek drzemały suche przecinkowce cholery, zamrożone zaś przechowywano w zamrażarkach. Oba typy były żywe i w każdej chwili zdolne do przekształcenia w aktywną kulturę. Było w tym coś wzruszającego i wzniosłego. Nic nie obrazowało lepiej potęgi umysłu. W tym maleńkim więzieniu nauka zdołała zamknąć winnych, którzy w zamierzchłych czasach należeli do najgroźniej szych wrogów gatunkowi ludzkiemu.

Wyszli. W głębi korytarza, kilka metrów dalej dostrzegli grupę dzieci przechodzącą za oszklonymi drzwiami. Jedne biegły, inne pokrzykiwały, jeszcze inne rozpląszczały nosy na szybie.

- Wycieczka szkolna - powiedział Champel.
- Czy to oznacza, że ta część jest otwarta dla zwiedzających?
- Tak, to muzeum Pasteura. Nigdy pan w nim nie był? To błąd.

Rogulski miał stuprocentową rację. Skoro umieszczono żywe szczepy bakterii w odległości kilku metrów od spacerujących dzieci, to istotnie cholera nie wymagała przestrzegania szczególnych środków ostrożności. Paul nie mógł nic zarzucić Polakowi.

W drodze powrotnej do biura zadał profesorowi jeszcze jedno pytanie.

- Czy to prawda, że przecinkowiec jest bakterią trwałą genetycznie?

- Ach, wie pan o tym! W rzeczy samej, to prawda. Znamy około dwustu typów przecinkowca, z czego większość nie powoduje choroby. Tylko typ zwany „O1” wywołuje cholere. Nasza kolekcja dowodzi, że nie zmienił się od wieków. Nowy, niebezpieczny typ pojawił się jakieś dziesięć lat temu. Spowodował groźną pandemię populacji odpornej na O1, ale już nie na nowy szczep. Ten wyjątek potwierdza jednak regułę: cholera stoi w miejscu.

Usiedli i Paul przejrzał notatki. Nadszedł czas, by zadać ostatnie pytanie, od którego zależały losy śledztwa, pytanie, na które odpowiedź da sygnał do zamknięcia sprawy.

- Czy jest możliwość, by któregoś dnia przecinkowiec cholery został zastosowany celowo?

- Ma pan na myśli terroryzm?
- Tak.

Champel poruszył wargami. Trudno było nie zauważyć, że jest rozczarowany.

- Cholera nie jest interesującym klientem dla terroryzmu biologicznego, choć teoretycznie mogłaby nim być. W gruncie rzeczy powoduje ostrą chorobę epidemiczną, przeciwko której nie wyina leziono masowo stosowanej, skutecznej i taniej szczepionki. Krążą pogłoski o takowej, w kontekście tajnych badań wojskowych, ale to tylko słowa bez pokrycia. Prawda jest taka, że stary, biedny przecinkowiec nie nadaje się do użycia w celach terrorystycznych. Jest niezbyt odporny, w przeciwieństwie do bakterii laseczkowych, takich jak wąglik, które w formie przetrwalników mogą znieść długi czas w nieprzyjaznych warunkach. Z przecinkowcem cholery łatwo jest również walczyć i większość antybiotyków radzi sobie z nim bez trudności. Cechuje go genetyczna trwałość, co umożliwi wytworzenie się odporności. Organizm ludzki wytwarza przeciwciała, choroba staje się endemiczna, czyli mikrobia jest obecny, lecz rzadko powoduje problemy. Stanie się epidemiczny pod warunkiem, że wybuchnie wojna, kryzys społeczny albo powódzie, które znacznie obniżą poziom higieny.

Profesor z przykrością podawał te informacje, jakby mówił o krewnym, który popadł w nędzę.

- Poza tym, tak jak panu już mówiłem, cholera atakuje wyłącznie nie biednych. W uprzemysłowionych środowiskach nie miałyby szans. A jak pan z pewnością wie, terroryści nie interesują się biednymi...

Paul zamknął notes. W jego uszach rozbrzmiały potężne dźwięki *Tuba mirum*. Requiem dla cholery. Koniec początku jedyne tropu. Polska historia stawiała się na powrót tym, czym nigdy być nie przestała: perypetią bez znaczenia.

Przyjął grzecznie obszerną dokumentację naukową, którą profesor chciał go obdarować, po czym opuścił laboratorium. Była ósma wieczorem i zaczynało się ściemniać. Wedle najbardziej optymistycznego scenariusza jutro wieczorem położy się w swoim łóżku w Atlancie.

IX

Atlanta, stan Georgia

Przez okno taksówki Paul obserwował chmury kłębiące się na niebie jak sterty pluszowych zabawek. Opuszczał swoje mieszkanie z przekonaniem, że nie zobaczy go przez wiele tygodni. Nikt nie zakłócił porządku, jacy sprzątaczką usiłowała nadać mu raz w tygodniu. Łóżko było pościelone, zlew pusty, lodówka wyłączona z prądu, otwarta i opróżniona.

Paul wiedział już, że misja trwała na tyle długo, by zaburzyć codzienny rytym, w którym funkcjonował od czasu zerwania z sekretnym światem. Niestety została szybko przerwana i nie zdążyła osiągnąć punktu kulminacyjnego, który dałby mu energię konieczną do tego, by powrócić do zwykłego trybu życia z przyjemnością i entuzjazmem. Gnębiła go pustka. W dodatku różnica czasu sprawiła, że zapadł w głęboki sen, nie rozpakowawszy nawet walizki.

O czwartej nad ranem obudził go głód. Ostatnie przed nadejściem świtu gwiazdy błyszcząły na pogodnym niebie. Miasto było wyjątkowo ciche. Przyszło mu do głowy, że to może niedziela. Przynajmniej nie było mowy o pójściu do kliniki. Niedziela była dniem odwiedzin, niewymagającym obecności ani jego współpracowników, ani licznego personelu.

Miał w perspektywie leniwy dzień w domu, włożył więc dres i tenisówki. W głębi kuchennej szafki wywęszył kilka opakowań herbatników, słoiczek kawy rozpuszczalnej i cukier. Wiktuały te stanowiły podstawę znośnego śniadania. Jadł kontemplując wschód słońca nad płaskimi dachami East Side. Nie spuszczać wzroku z różowiejącego horyzontu, włączył automatyczną sekretarkę, by odsłuchać wiadomości. Wyjeżdżając, zapomniał zmienić

nagranie, więc większość dzwoniących prosiła go o kontakt następnego dnia. Powróciły te same sprawy bez znaczenia: bank, remont instalacji wodnej na klatce schodowej, niezadowolone głosy kobiet domagających się znaku życia z jego strony, jedna z nich we łzach. Paul odniósł wrażenie, jakby włamywał się do cudzego życia.

Potem niespodziewanie usłyszał Kerry. Pierwszy raz od ponad siedmiu lat. Póki nie spotkał się z Archiem, był pewien, że zapomniał, jak brzmi jej głos. Odstawił filiżankę, usiadł prosto w fotelu i zwiększył głośność.

- Cześć, Paul! Hm, jak pech to pech. Być może już wyjechałeś. Miło mi było cię usłyszeć. Nawet bardzo miło.

Mówiła cichym głosem, tonem intymnego zwierzenia, czasem ledwo dosłyszalnym. Paul wyobraził sobie Kerry nagrywającą mu się w środku nocy. Próbował wyobrazić sobie jej pozycję: wyciągnięta na plecach, z szeroko otwartymi oczami utkwionymi w sufit. Niegdyś tak układała się do zwierzeń, jak gdyby szukała natchnienia w punkcie znajdującym się nieskończenie daleko nad nią.

- W Nowym Jorku jest nadal zimno, ale w końcu to początek wiosny, więc i ja odmarzam. Jakoś niedawno zaczęłam znowu marzyć i wierz mi, twój telefon wcale mnie nie zaskoczył. Jak to kiedyś określiłeś? Nasza bliźniacza telepatia. Raz po raz przerywała, jak gdyby piła coś małymi łydkami. - Albo raczej niezła para głupców.

Teraz widział ją, jak śmieje się po cichu. Umilkła, po czym spoważniała.

- Tak, dzieci mają się dobrze. Uszczęśliwiają mnie. Dziewczynka i chłopiec, tak jak chciałam. W nocy dają mi spać, ale za to tłuką się całymi dniami. Ich ojciec opowiada im bajki. Mnie zresztą też, chyba.

Kolejny cichy śmiech, przez telefon ledwie wyczuwalny w szeleście oddechu.

- Ale takiego go kocham. Powinieneś poznać Robina. To prawdziwy geniusz biznesu. Ma dar zarabiania na wszystkim, czego dotknie. Aktualnie pracuje nad bankiem ubezpieczeń. Nie pytaj mnie, co to oznacza. Jedyne, co wiem, to, że są z tego dolary, do których wydawania również ma talent. Co wieczór przynosi coś

nowego i ładnego. Mam tuziny sukienek w szafie. Tak, ja! W naszym mieszkaniu na Manhattanie jest mnóstwo obrazów i dzieł sztuki. Ale wiesz dobrze, że mam to gdzieś. Wiesz, że pieniądze nigdy mnie nie interesowały. Trzeba jednak powiedzieć, że jestem szczęśliwa, Paul. Nawet bardzo.

Nastąpiła długa cisza i Paul był pewien, że nagranie zostało przerwane. Z poręczy fotela, na którym siedział, pochylił się, by wyłączyć automat. Gdy wyciągnął rękę, usłyszał ją znowu.

- Pomimo to, oddzwaniam.

Chwila milczenia.

- Nie zapomniałam targu, jakiego dobiliśmy. Ty i ja. Mówiła tak cicho, że Paul ledwie rozróżnił głos od trzeszczenia w słuchawce.

- Jeśli potwierdzasz, że tym razem warunki zostały spełnione... tak jak mówiliśmy, naprawdę spełnione... to wiedz, że...

Tym razem cisza w głośniku przekształciła się w gwizd. Był to koniec wiadomości. Paul gorączkowo nacisnął na guzik. Była ostatnia.

Słońce stało już wysoko ponad lasem kominów i anten. Paul wstał i nie wiedzieć czemu powróciły mu w pamięci słowa rosyjskiej litanii. Gdy miał pięć albo sześć lat, matka miała zwyczaj recytowania ich przed ikonami. Choć nie mógł przypomnieć sobie tekstu, tkwiło w nim odległe wspomnienie, że litanie mówiły o duchowych związkach między bytami. Ani on, ani Kerry nie mieli w sobie nic ze świętych, ale łączące ich tchnienie miało coś z natury aniołów. Pojmował w ten sposób ich relację wyłącznie wtedy, gdy Kerry była daleko. Gdy była blisko, ta więź zmieniała się bowiem diametralnie.

Chwyił trąbkę i zagrał stary kawałek Armstronga, który, mimo że przerabiany na tysiące sposobów, nie tracił swego niedościgniętego brzmienia: *It's a wonderful world*. Zagrał go po raz drugi, jeszcze głośniej. Przy trzecim dał w instrument tak potężnie, że zobaczył gwiazdki w oczach. Z gęstej ciszy, jaka zapanowała po wrzasku trąbki, wynurzył się głos, który Paul rozpoznał jako głos Kerry.

„Jeśli warunki zostały spełnione...”, mówiła.

Było to zdanie, które obracało w nicość wszystkie pozostałe. Przypomnienie jedynego istniejącego warunku, który nie został

spełniony. „Niestety, Kerry, ostatecznie się nie udało. To była chybiona misja, która na dodatek już się zakończyła”. Stał tak z opuszczonymi ramionami. Trąbka wysunęła się z jego dłoni i upadła na dywan.

Do diabła z Archiem i jego przekłętymi pomysłami. Że też dopuściłem do siebie myśl o spotkaniu z Kerry.

Znalazł na parapecie butelkę i cisnął nią w pianino. Zaczął chodzić w tę i z powrotem po mieszkaniu napięty jak dziki kot. Szukał wzrokiem przedmiotu, który mógłby stłuc, czegoś na miarę jego złości, większego niż butelka. Zainspirował go jedynie rower górski. Założył go na ramię, zjechał windą i ruszył jak strzała po alejach, gdzie jedynymi przechodniami byli bezdomni włóczędzy.

Wrócił wczesnym popołudniem, wycieńczony ze zmęczenia, spragniony, z palącymi udami, ale już spokojny. Zaaplikował sobie długi prysznic, po czym włożył spodnie do karate. Sposobem na to, by zapanować nad emocjami, było ustalenie sobie prostego i przejrzystego programu na nadchodzący tydzień. W pierwszej kolejności powinien napisać raport. Pojedzie do Providence przedstawić swoje wnioski i definitywnie zamknąć sprawę. Ponadto nigdy więcej nie da się zawrócić z drogi, którą sobie wyznaczył. Postanowił być lekarzem, więc nim już zostanie. Nie sprzeda się Archiemu ani nikomu innemu i za żadne pieniądze.

Otworzył walizkę i wyjął z niej na biurko papiery niezbędne do zredagowania raportu. Po godzinie ponownie odsłuchiwał wiadomość od Kerry, tym razem odpřejony. Przewinął wiadomość jeszcze cztery razy, aż raptem ją wykasował. Wyciągnął się na łóżku i zasnął.

W środku nocy obudził go dzwonek. Chwiejnym krokiem podszedł do telefonu, ale podnosząc słuchawkę, zorientował się, że ktoś dzwoni na jego komórkę. Nie mógł pojąć kto, przecież telefon komórkowy służył mu tylko do dzwonienia. Monitor wyświetlał drugą trzydzieści.

- Tu Cawthorne.

Paul przypomniał sobie nagle, że z racji swojej podróży wyjątkowo zostawił swój numer majorowi.

- Jeśli jest pan wciąż w Londynie, chciałbym się z panem dziś zobaczyć.

- To niemożliwe - jęknął Paul, przecierając oczy. - Wróciłem do Stanów.

- Och, miałem nadzieję, że nie opuścił pan jeszcze Europy. W takim razie przepraszam. U pana musi być środek nocy. Naprawdę mi przykro, zadzwonię później.

- Proszę poczekać, majorze. Byłem... y... nie spałem. Nie przeszkadza mi pan. Porozmawiajmy.

- Jeśli tak, to proszę posłuchać: chodzi o naszą rozmowę...

- Tak?

- Przemyślałem, co pan mi powiedział.

Paul podszedł do lodówki z telefonem przy uchu i wolną ręką wyjął puszkę coca-coli.

- Zmienił pan zdanie w sprawie Wrocławia? Może pojawiły się jakieś nowe dane?

- Prawdę mówiąc ani jedno, ani drugie. Zaintrygował mnie jeden szczegół.

- Który?

- Pytał pan o ewentualny związek z chorobą zakaźną. Pamięta pan?

- Oczywiście. Mówiłem o cholercie.

- Hm...

Na drugim końcu kabla zapadła głucha cisza. Paul wyobraził sobie majora bladego z oburzenia wobec kolejnego objawu amerykańskiej niedelikatności, podczas gdy on starał się wszystko ubrać w metafory.

- Z ciekawości wprowadziliśmy to hasło do naszej wyszukiwarki.

Paul nie wiedział, czy aluzja do informatyki była wyrazem ironii, czy Crawthorne skorzystał z okazji, by wziąć rewanż w imieniu brytyjskiej technologii.

- I co z tego wyszło?

- Przejrzeliśmy liczne radykalne ugrupowania pod kątem korelacji z hm... przypadłością, o której pan wspominał...

- I znalazł pan coś?

- Owszem. Przyznam, że byłem dosyć zaskoczony. Organizacja, w sprawie której pan do mnie przyszedł, nie ma z tym nic wspólnego.

- Jeśli nie FZW, to co?
- Proszę posłuchać - Crawthorne wybełkotał wyraźnie skrepowany - nasze telefony mogą być na podsłuchu. Wolałbym przesłać panu informacje w formie szyfrogramu.

- Niedługo będę w Providence.

- Proszę?

- Chcę powiedzieć, że jadę do siedziby naszej agencji, do Providence w stanie Rhode Island. Mają tam wszystkie konieczne zabezpieczenia. W ciągu godziny Mikę Bell skontaktuje się z panem i poda panu namiary.

- Niech zadzwoni do mnie do biura.

- Natychmiast mu to przekażę.

Major wyczuł, że podniecenie Paula sięgało wyżyn i że palił się, by odłożyć słuchawkę. Podniósł głos, by zmusić Amerykanina do odrobiny cierpliwości.

- Dokonałiśmy weryfikacji danych, Matisse. To wygląda na poważny trop. Pan wie, że nie mam zwyczaju chwalić dnia przed zachodem słońca.

- Dziękuję. Jest pan wybitny, majorze.

- Paul?

- Słucham.

- Niech pan uważa na siebie. Myślę, że pod pewnymi względami ci ludzie są jeszcze bardziej niebezpieczni niż cała reszta, jaką się zajmujemy. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Tak jest, majorze. Będziemy bardzo ostrożni.

Natychmiast wykręcił numer American Airlines. Najbliższy lot do Bostonu był o siódmej. Zarezerwował bilet, pośpiesznie ubrał się i zamknął nierozpakowaną walizkę.

„Jeśli warunki zostaną spełnione...”, pomyślał.

Śpiewając na całe gardło, zatrzasnął drzwi.

CZEŚĆ DRUGA

I

Providence, stan Rhode Island

W sali zebrań panowała atmosfera jak przed bitwą. Wszystkie miejsca przy stole były zajęte i Paul zauważył tym razem obecne ciałem i duszą osoby, które znał tylko z opisu Archiego: małego geniusza informatyki, specjalistkę od namierzania i tak dalej. Do zebranych dołączyli także dyrektorzy wydziałów.

W wydziale operacyjnym Providence obowiązki podzielone były między dwóch mężczyzn siedzących po przeciwnych stronach stołu. Ewidentnie się różnili, a do tego nie darzyli zbytnią sympatią. Taka strategia bardzo pasowała do Archiego, który, obsadzając stanowiska swoich zastępców dwoma zaciekłymi wrogami, zyskiwał najwięcej.

Barney, dyrektor operacyjny, był Haitańczykiem po mieczu. Paul spotkał go kiedyś w Firmie. Starszy od niego, Barney już wtedy wspinał się po szczeblach dyrektorskiej kariery. Był wysokim, poważnym mężczyzną, eleganckim i zadbanym, zawsze jednak wciśniętym w krzesło. Jego spojrzenie było opiekuńcze, a zarazem zrezygnowane. Barney wyglądał na kogoś, kto przemierzył daleką drogę na antypody, osiągnął stan pełni wiedzy o istocie ludzkiej i powrócił stamtąd z przeświadczeniem, że przezorniej jest trzymać się na uboczu.

Siedzący na drugim krańcu stołu Lawrence pełnił dość nieokreśloną funkcję dyrektora do spraw bezpieczeństwa. Najbardziej charakterystyczną jego cechą były krwistoczerwone policzki i nos. Nie tylko lekarz rozpoznałby w tym symptomy ciężkiego alkoholizmu. Ale Lawrence nie pił. W pewnym sensie był ofiarą skazaną na niezасłużone cierpienia. Gdyby chociaż znał smak swojej winy! Niesprawiedliwość losu wprawiała go w stan nieustannej

wściekłości, w związku z czym wyżywał się na wszystkich dookoła, a już w szczególności na Barneyu.

Na prośbę Archiego Barney omówił dokumenty przesłane nocą przez Crawthorne'a.

- Anglicy najwyraźniej nie chcą wyjawić swojego źródła, gdyż przesłane przez nich informacje są dość lakoniczne.

Zebrani słuchali go uważnie i w skupieniu. Niektórzy robili notatki na laptopach pootwieranych na stole. Tylko Lawrence patrzył w okno, nerwowo bębniąc palcami w blat.

- Anglicy są profesjonalistami - sentencjonalnie skomentował Archie.

- Ależ nikt temu nie przeczy - poprawił się znudzony Barney. - Najprościej mówiąc, zwracają naszą uwagę na informacje wy-chwycone w blogach i na forach internetowych. Autorami tekstów są aktywiści jednego ugrupowania. Anglicy uważają, że może to mieć związek z Wrocławiem.

W tej właśnie chwili do sali dyskretnie wśliznął się łysy, niewysoki mężczyzna. Jako że nie dostrzegł żadnego wolnego krzesła, musiał wyjść i przynieść fotel z sąsiedniego biura. Fotel był szerszy niż framugi drzwi, więc dwie osoby pomogły mu go podnieść i, pieczołowicie manipulując, wnieść do sali. Archie, zniecierpliwiony tą przerywającą zebranie operacją, ze złością przedstawił nowo przybyłego:

- Aleksander, dyrektor do spraw strategicznych. Prawdziwy dyplomata, jak widzicie.

Mężczyzna usiadł bez słowa, manifestując w ten sposób ura-żoną dumę.

- Grupa rozpowszechniająca teksty - podjął Barney - wywodzi się z amerykańskiego ruchu radykalnych ekologów.

- Amerykańskiego? - przerwała mu wysoka blondynka, która przez cały czas pilnie notowała.

Paul przypomniał sobie, że to Tara, przedstawiona przez Archiego na początku zebrania. Była specem od przykrywek. Wymyślała legendy i życiorysy dla agentów działających pod fałszywymi nazwiskami.

- Tak, to jedna z głównych wskazówek angielskich. Wyraźnie chodzi o trop amerykański.

Niektórzy spośród uczestników skrzywili się. Barney zrobił gest oznaczający, że czas na dyskusję będzie później.

- Poszlaki wskazywałyby na dysydentów stowarzyszenia One Earth. One Earth jest legalną organizacją, która stara się wyglądać groźnie, a w rzeczywistości dba wyłącznie o rozgłos za pomocą mało wymyślnych metod.

- Według mnie tacy nie mogą mieć niczyjego życia na sumieniu
- wtrącił nagle Lawrence.

Miał więcej doświadczenia i lat pracowanych w zawodzie niż Barney. Nie przyjmował do wiadomości tego, że jest jego podwładnym. Na nieszczęście struktura hierarchiczna w agencji Providence czyniła Barneya, który pracował w niej od samego założenia firmy, wyższym rangą.

- Jeden z moich siostrzeńców należał do One Earth - upierał się Lawrence. - Chłopak ma pustą głowę i do niczego się nie nadaje. Tym bardziej nie można by go podejrzewać o zrobienie krzywdy bliźniemu!

- Masz rację Lawrence - cierpliwie przytaknął Barney. - Z tych samych powodów niektórzy członkowie krytykowali stowarzyszenie. Stworzyli niezależną, o wiele bardziej radykalną frakcję. Nazwali się Nowymi Drapieżcami, nie bardzo zresztą wiemy dlaczego. Podobno starali się zmusić przywódców One Earth, by powrócili do pierwotnych założeń: walki z rozrutnością, która jest nadużyciem właściwym tylko dla człowieka, a rujnuje planetę i stawia jej przyszłość pod znakiem zapytania.

- Doprawdy nie rozumiem, co to ma wspólnego z naszą sprawą - mrucał Lawrence na tyle głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć. - Odnoszę wrażenie, że anglosascy kuzyni chcą zabawić się naszym kosztem...

Uśmiechał się szeroko, by pozyskać życzliwość obecnych. Archie rzucił mu lodowate spojrzenie, które go nieco uspokoiło. Barney kontynuował:

- Jedną z cech charakterystycznych tego radykalnego odłamu jest wrogość w stosunku do obrońców zwierząt. Nie pytajcie mnie o źródła tej nienawiści, bo ich nie znam. Jestem przekonany, że umykają nam w tym momencie liczne kluczowe niuanse.

- Przypomina mi to dawne potyczki ideologiczne pomiędzy trockistami, maoistami, anarchistami i całą resztą kretynów - warknął Aleksander. - A myśleliśmy, że wraz z końcem zimnej wojny uwolniliśmy się od tych bredni...

- W rzeczywistości - odezwał się głośniejszy Barney, by uciąć serię dygresji - grupka, o której mowa, wielokrotnie atakowała obrońców zwierząt. Nie przegapili ani jednej okazji, by zmieszać ich z błotem w internecie. Dzięki temu wytropili ich Anglicy. Informatorzy donieśli im, że FWZ traktował pogróżki serio i nawet planował ripostę.

Dyskutowane tematy dalekie były od spraw, jakimi na co dzień zajmowała się Providence. Eskapada poza ubite ścieżki wywiadu wyraźnie podobała się części zebranych. Pozostali, jak na przykład Lawrence i Aleksander, ostentacyjnie dawali wyraz zdumieniu i oburzeniu.

- Tekst przysłany przez Anglików ilustruje spór ideologiczny między dysydentami stowarzyszenia One Earth a obrońcami zwierząt. Nowi Drapieżcy kpią z absurdalnej czułościowości - bo takiego słowa używają - obrońców zwierząt. Wykazują im ewidentny paradoks: jak daleko w skali klasyfikacji gatunkowej sięga ich gotowość do walki o prawa zwierząt? Innymi słowy, jeśli zamierzają chronić słonie, małpy, świnie, ewentualnie ryby, kraby i mrówki, to czy można zapomnieć o gąbkach, robakach i komarach...

- Dobry Boże! - wykrzyknął Lawrence, wyrzucając w powietrze ramiona. - Zdaje pan sobie sprawę, do czego zmierza nasza dyskusja?

- Do błękitnych alg - wtrącił spontanicznie Tycen. Był młody i zacerwienił się natychmiast. Spojrzenia zebranych powędrowały w jego stronę. - Przeczytałem to w dokumentach, które polecono mi przygotować dla Paula. Ojciec duchowy wyzwolenia zwierząt, Peter Singer twierdzi, że należy zakończyć na algach. Co do reszty...

- Nabiera wody w usta - zażartowała Tara.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem, rozległy się dyskretne oklaski.

- Bardzo was proszę, wróćmy do tematu. - Barney zastukał piórem w blat. - Nie interesuje nas odpowiedź FWZ. Liczy się

filozofia tych, którzy podnieśli tę kwestię. W następnej kolejności ironizują na temat mikrobów: jak odwdzięczymy się wirusom i mikrokom za doprowadzanie ludzi do śmierci? Wszak to ludzie są oprawcami przyrody. Wszystkie mikroorganizmy nieustraszenie atakujące człowieka są drapieżnikami najwyższego drapieżcy. Zasługują więc również na ochronę.

- Mają nierówno pod sufitem - kiwając głową, wyszeptała Marta.

- Dla przykładu - kontynuował Barney, podnosząc głos, by zaakcentować punkt kulminacyjny wykładu - taka cholera. Niepozorny przecinkowiec, który siał terror i zebrał żniwo kilku milionów ofiar, niedługo zniknie - nadal cytuję - czy nie należałoby więc opracować projektu ochrony bakterii? Niech obrońcy zwierząt wezmą się do roboty! Tekst kończy się czymś w stylu wskazówki programowej: by ochronić przyrodę, trzeba zawalczyć o przetrwanie cholery!

Barney zamilkł. W sali zebrania zapanowała cisza. Naraz krzesło Lawrence'a zatrzeszczało. Kołysząc się, wycedził:

- Kpisz sobie z nas, Barney.

- Poczekajcie - Marta ze wszystkich sił pragnęła uniknąć kolejnej odsłony walki na szczycie, jaką permanentnie toczyli obaj mężczyźni. - Dokąd pan zmierza, Barney? Nie widzę związku cholery z wrocławską aferą.

- Oddaję tu głos Paulowi, on wam naświetli sprawę.

Paul był jedyną osobą w sali spoza agencji. Niemniej jednak każdy znał jego rolę w tej sprawie, jak również doskonałą opinię, jaką cieszył się w oczach Archiego. Wszyscy ze szczególną uwagą wyczekiwali jego wypowiedzi.

- Powróćmy do chronologii wypadków - zaczął ostrożnie. - Po pierwsze jestem przekonany, że grupa, która dokonała włamania do laboratorium we Wrocławiu, nie jest grupą polską. Mamy podstawy wierzyć Polakom, że na terenie ich państwa nie działają aktywiści tego kalibru. Fakt, że na granicy nie natknięto się na ich ślad jest według mnie niedopatrzaniem śledztwa. W policyjnym raporcie czytamy, że na miejscu zdarzenia odkryto liczne odciski butów w dwóch rozmiarach: czterdzieści jeden i czterdzieści pięć. Polacy wyciągnęli z tego wnioszek, że napastnikami byli

dwaj mężczyźni i pod tym kątem kontrolowano przekraczających granicę. Gdy przestudiowałem dokładnie raport, uderzył mnie szczegół, na który nikt nie zwrócił uprzednio uwagi: naliczono około trzydziestu śladów buta w rozmiarze czterdzieści jeden i tylko jeden odcisk większego. Być może mamy tu do czynienia z przypadkiem, a być może z pospolitym trikiem. Włamywaczem mógł być jeden mężczyzna.

- Toż to trik stary jak świat - szydził Lawrence. - Falszywy odcisk buta...

- Najwyraźniej wciąż skuteczny, przy mało sumiennym śledztwie policji kryminalnej. W przypadku takim jak ten, gdzie nie miały miejsca zabójstwo ani kradzież, przeprowadzone dochodzenie nie było zbyt szczegółowe.

- W każdym razie Polska jest członkiem Unii Europejskiej - rzekł Aleksander. - Łatwo się z niej wydostać.

- Niemiecka granica jest dosyć pilnie strzeżona. Jednak jeśli szuka się dwóch mężczyzn, podczas gdy akcję przeprowadził jeden...

- Albo jedna kobieta - zauważyła Tara. - Czterdzieści jeden to dziś rozmiar całkiem powszechny wśród kobiet.

Dreszcz przebiegł po ciele Paula. Po raz pierwszy interpretacja śladów, mimo że znikomych, zdawała się potwierdzać jego intuicję co to płci włamywacza do polskiego laboratorium.

- Proszę kontynuować, Paul - nalegał Archie, widząc, że mężczyzna zastanowił się nad uwagą Tary.

- Przyjmijmy zatem, że ona albo on przybył z zagranicy. Skąd i po co? Anglicy nie mają wątpliwości, że nie chodzi o „wyzwolenie zwierząt”. Widziałem się z ich największym specjalistą w tej dziedzinie i mam zaufanie do jego opinii.

Nie potrafiłyby wyjaśnić dlaczego. Czyżby padł ofiarą tego samego zaślepienia wobec Crawthorna, jakiego doznawał Archie w stosunku do Brytyjczyków? Na szczęście nikt spośród zebranych nie odważył się uczynić podobnej sugestii.

- Zastanówmy się. Widzę dwie hipotezy. Albo mamy do czynienia z bandą amatorów, zaskakująco dobrze poinformowanych. Znali okolicę, typ zamków, godziny patroli ochrony. Albo... należy odwrócić perspektywę.

Paul wyrażał się jasno, czym zyskał sobie życzliwość słuchaczy. Siedzące naprzeciwko niego Tara i Martha z przyjemnością słuchały słów wypowiedzianych przez tak zmysłowe usta. Jedynie Lawrence kręcił się niespokojnie i kiwał sceptycznie głową.

- Zapomnijmy na chwilę o wszystkim, co podsunęto nam pod nos: hasła FWZ i wyzwolenie zwierząt. Może to zwykłe mydlenie oczu, kierowanie podejrzeń na kogoś innego. Założmy, że sednem sprawy jest to, co na pierwszy rzut oka wydaje się drugorzędne. Mam na myśli to, co wydarzyło się poza zwierzętarnią. Ale uwaga! Być może i tu napastnik starał się nas zmylić. Być może celem nie była ślepa dewastacja laboratorium. To tylko pozory.

- Pozory? - zasyczał Lawrence.

- Pozory maskujące kradzież.

Paul spojrział błyszczącymi oczyma na Lawrence'a i ten spuścił wzrok, nerwowo skubiąc pióro.

- Wiem, że to tylko hipoteza. Niemniej jednak, skoro nic w tej aferze nie jest pewne, warto rozważyć i ją. Wyobraźmy sobie, że cała ta maskarada miała na celu jedno: zakamuflować o wiele mniej spektakularną operację, taką jak kradzież komórek szczepu cholery. Być może sprawcy powierzono tylko tę jedną misję.

Paul miał zwyczaj gładzenia baczków, gdy mówił.

- Dlaczego nalega pan akurat na historię z cholerą?

- Przyszło mi to do głowy po wizycie w Polsce. Początkowo jako zupełnie niewinna myśl. Mój angielski rozmówca zasugerował, że akcja mogła mieć charakter dywersyjny. Przemyślałem tę opcję. Jeśli dywersja, to w jakim celu? Być może konkurencyjne laboratorium zrabowało wyniki badań prowadzonych przez Rogulskiego. Jednak prowadzone przez profesora eksperymenty nie mają charakteru komercyjnego; profesor nie czerpie żadnych materialnych zysków ze swoich eksperymentów, poza tym nie wspominał nic o kradzieży dokumentów. Kradzież pieniędzy albo sprzętu? Niczego nie wyniesiono pomimo ultranowoczesnego wyposażenia. Wtedy pomyślałem o cholercie, jako jedynej niebezpiecznej i rzadkiej rzeczy, na której komuś mogłoby zależeć. Szczerze przyznaję, że to wszystko podpowiada mi intuicja. Na miejscu zdarzenia nie odkryłem niczego podejrzanego. Rogulski nie powiedział też niczego, co potwierdziłoby moje przypusz-

czenia. Traktował mnie z podejrzliwością, tym bardziej że źle przygotowałem się do rozmowy. Wszystko, co mówił, okazało się prawdą. A mimo to...

- Mimo to? - niecierpliwiła się Tara.

- Mimo to mam przecucie, że trop wiedzie gdzieś tamtędy, szlakiem cholery. Powiedziałem o tym Anglikom, nie łudząc się zbyt co do ich reakcji. I proszę, oto co nam przysłali. Bardzo się cieszę, że trop cholery może dokądś prowadzić.

Oświadczenie Paula przyjęto kłopotliwym milczeniem. Nikt nie znał go na tyle dobrze, by odważyć się na szczerość wobec jego wypowiedzi. Słysząc było szept.

- Hm, a ile dokładnie tekstów nam przesłali?

Martha zadała to pytanie, wkładając w nie całą swą łagodność i życzliwość, niczym prokurator przesłuchujący maltretowane dziecko. Pytanie zaadresowane było do Paula, lecz odpowiedział Barney.

- Posiadamy kopie dwóch pełnych tekstów, jednak w komentarzu zapewniają nas, że dysponują tuzinem oświadczeń o podobnym wydźwięku, zaczerpniętych z internetu bądź „innego źródła”. Zapewne chodzi o podsłuchy albo donosy. Z każdym razem autorami są „nowi drapieży”, a temat cholery powraca regularnie.

- Z jakiego okresu pochodzą informacje?

- Sprzed jakichś dwóch lat.

- Phi!!! - prychnął Lawrence. - Dwa lata!

- Grupa dość niespodziewanie przerwała rozsyłanie komunikatów przez internet półtora roku temu.

- Rozwiązała się? - zapytała Tara.

- Nic nam na ten temat nie wiadomo. Zamilkli bez podania przyczyny. Anglicy są zdania, że to przemawia za poważnym potraktowaniem sprawy. Z doświadczenia wiedzą, że gdy ekstremiści przestają mówić, zaczynają działać.

Ponownie zapadła cisza. Niektórzy spoglądali w okno, kontemplując zalany słońcem park. Na drzewach pojawiły się młode, jasnozielone listki. Obrzeża parkingu ozdabiała fioletowe pompony bzu. Kilka osób zmieniło pozycję na krzesłach, zakaszłało, sięg-

nęło po herbatniki albo stojące na stole filiżanki kawy. Milczenie przerwał Aleksander:

- Paul, wykonał pan kawał dobrej roboty. Postawił pan odważnie hipotezy, nie dało się lepiej, zważywszy na to, co panu дано. Ale bądźmy szczerzy, nich mi pan tego nie ma za złe, to dosyć mało wiarygodne wnioski.

Aleksander lubił podczas przemawiania podsuwać na czoło swe okulary dalekowidza. Wówczas jego spojrzenie stawało się zamglone. Przechylał głowę nieco na bok, jakby słuchał wewnętrzznego głosu i mówił coraz wolniej.

Lawrence wykorzystał moment, by zabrać głos.

- Hipotezy są fajne, nie? Szczególnie gdy się jest początkującym. Wszyscy nauczyliśmy się jednak pewnego sceptycyzmu. To, co pan opowiada, jest ni mniej, ni więcej tylko zamkiem na piasku. Nie mamy dowodu, że chodziło o kradzież. Nie mamy dowodu, że wmieszane są w to grupy amerykańskie – pomijając filozoficzne brednie sprzed dwóch lat. Jeśli nawet te typy zdobyły rzeczony mikroby, to i tak nie mamy pewności, że przywieźli je do Stanów Zjednoczonych, jeśli zaczniemy pracować, opierając się na tak nieprzekonujących dowodach, szybko potłuczemy sobie tyłki. I dopiero wtedy będziemy pana potrzebować, Doktorze Spy!

Wszyscy zebrani spojrzeli na Paula. W rzeczywistości Lawrence, prowokując go, oddał mu przysługę. Wobec tego ataku zniknęły ostatnie skrupuły. W boksie odpowiada to dokładnie uderzeniu, które ogłuszając, natychmiast mobilizuje do zwycięstwa.

- Na tym etapie mamy dwa wyjścia - odparł spokojnie Paul.
- Albo uznamy posiadane dowody za nieprzekonujące i zakończymy śledztwo, nie znajdując winnych, motywu, a nawet przestępstwa. Sporządzimy zgrabny raport z wnioskiem o umorzenie.

- Albo? - zachęcał Aleksander, widząc wahanie na twarzy Paula.

Wziął głęboki oddech i zebrał siły, by zaaplikować prawy sierpowy.

- Albo zadecydujemy, że nie wolno nam pozwolić, by kilku rozwścieczonych szaleńców przechadzało się z mikroblem, który

spowodował śmiertelne pandemie i zabił miliony ludzi. Do tego amerykańskich szaleńców. I zdecydujemy się kontynuować.

Miał chwilę wahania, zanim dopuścił się tej małej intelektualnej nieuczciwości, która obudziła w uczestnikach zebrania podświadomy strach przed cholerą. Champel wyraźnie dał mu do zrozumienia, że przecinkowiec jest kiepskim narzędziem bioterrorystów. Lecz Paul miał swoje racje: zniewaga Lawrence'a i przede wszystkim chęć kontynuowania misji, razem z Kerry.

Blef zadziałał momentalnie. Nikt nie miał odwagi, by podnieść rzuconą rękawicę i zakwestionować moralne wyzwanie. Po dłuższej chwili Aleksander, jako jedyny, zdobył się na mało znaczącą uwagę formalną.

- Nie powinniśmy zapomnieć o jednym - rzekł, zsuwając okulary z powrotem na nos. - Mamy klienta i są nim służby polskie. Wątpię, by zechcieli finansować przez długi czas pogoń za jakimś hipotetycznym ugrupowaniem amerykańskim.

Po tych słowach umilkł. Wiadomo było powszechnie, że jedyną osobą negocjującą kontrakty i rozmawiającą z władzami był Archie.

Ten odczekał moment i rzekł:

- Aleksander ma rację. Spodziewałem się tej uwagi, wobec czego pozwoliłem sobie was ubiec. Mam nadzieję, że nikt nie ma mi tego za złe.

Odegrawszy komedię, Archie postanowił spotęgować niecierpliwość zebranych.

- Chciałbym wpierv podkreślić następującą rzecz: w pełni zgadzam się z wnioskami Paula. Moje długie doświadczenie w wywiadzie dowodzi, że grupy ekstremistów wcześniej czy później, ale *zawsze*, realizują swoje postanowienia.

Podciągnął mankiety, by dodać wagi swoim słowom.

- W tysiąc dziewięćset piętnastym roku w korytarzach genewskiego Stowarzyszenia Czytelników można się było natknąć na małego, łysego człowieczka. Swoją drogą jest to przepiękny bu dynek, niegdysiejszy pałac francuskiego rezydenta.

Kilka osób spuściło wzrok, niektóre wymieniły znaczące spojrzenia, unosząc brwi. Znoszenie uczonych tyrad Archiego było ich zawodowym obowiązkiem.

- Ludzie wiedzieli, że człowiek ten, Rosjanin o nazwisku Ulianow, pisał dość przerażające rzeczy na temat rewolucji i dyktatury proletariatu. Nikt się jednak nie spodziewał, że któregoś dnia Lenin dokona tego, o czym pisał Ulianow. Wiecie oczywiście, że ludzie nie mieli racji, gdyż był to ten sam człowiek.

Podczas gdy Archie rozciągał wargi, by w elegancki sposób okazać swą wesołość, kilka osób podniosło wzrok ku niebu.

- Kto by pomyślał, czytając *Mein Kampf*, że Hitler zrealizuje swoje chore urojenia? - Uniósł dłoń, symbolicznie kładąc kres wyliczaniu, które mógłby zresztą kontynuować bez końca, i podsumował: - Jeśli chodzi o grupę, na której trop Anglicy byli tak uprzejmi nas naprowadzić, pewne jest, że nie poprzestanie na słowach. Moim zdaniem trzeba tak długo nad nimi pracować, aż zdobędziemy wystarczającą ilość dowodów pozwalających sklasyfikować ich jako niebezpiecznych ekstremistów.

Powiew wiatru w ogrodzie zakolysał gałęziami topoli, które zasrebrzyły się wdzięcznie.

- Nie da się ukryć, że sytuacja jest skomplikowana. Nie wiemy, co ani kto jest zagrożony. Zdaje się, że ci osobnicy mają coś za złe całej ludzkości. Komu dokładnie? Istnieje reguła rządząca nie nawiścią ideologów. Mówi ona, że wcześniej czy później wybiorą sobie specyficzną ofiarę spośród grup społecznych. Żydzi czują to instynktownie. Niestetyście chcieli, że jeden z takich pioru nów uderzał często akurat w nich. W przypadku naszej sprawy brak jest jakiegokolwiek wskazówki co do społeczności, którą ekstremiści zechcą zaatakować. Musimy się tego jak najszybciej dowiedzieć. Na tym etapie wiemy na pewno tylko to, że grupa działa w skali światowej. Aleksander i Lawrence dziwią się, że amerykańscy aktywiści jadą po cholere aż do Polski. I mają rację: gdzieś jednak trzeba było bakterię zdobyć. O ile mi wiadomo, choroba ta nie jest u nas endemiczna, a po jedenastym września laboratoria są strzeżone pilniej niż kiedyś. Ci ludzie opracowują plan działania na skalę światową, możemy więc być pewni, że ich mordercze plany przewidziane są na tę samą skalę. Przyzwyczajajmy się do myśli, że scena działań terrorystycznych obejmuje całą planetę. W tej kwestii zdecydowanie mamy asa w rękawie.

Tara przestała notować i spiesznie wymieniła nabój w piórze. Archie wyrozumiale poczekał, aż będzie gotowa.

- Naszym instytucjom brakuje uprawnień do szpiegowania takich grup. FBI koncentruje się na ekstremistach działających na terenie Stanów Zjednoczonych. Oznacza to, że ich kompetencje ograniczają się do terytorium naszego kraju. Działalność grup za granicą pozostaje więc w znacznej mierze niewiadomą. CIA działa na całym świecie. Jak tylko okazuje się, że grupa, którą namierza, pochodzi ze Stanów Zjednoczonych, zmuszeni są oddać pałeczkę. Wniosek? Amerykańskie ugrupowania działające poza naszym krajem nie są kontrolowane w odpowiednim stopniu. Wielokrotnie nie dyskutowałem na ten temat z sekretarzem obrony. Pentagon ma świadomość istniejącej luki.

Paul z zakłopotaniem spojrział na starego mężczyznę. Łączył w sobie w niewyjaśniony sposób pozorną frywolność, sztuczną wykwinność i błyskotliwy profesjonalizm. Pseudobrytyjskie maniere, jakimi starał się zawsze popisać, źle maskowały tak rzadki talent do obracania swoich myśli w czyn.

- W pewnym sensie nasza dyskusja posłużyła za przygotowanie pola działania. Udało mi się skontaktować dziś rano z Marcusem Brownem i, prawdę mówiąc, czułem się, jakbym prawil kazanie pobożnemu.

Marcus Brown zastąpił Archiego na stanowisku wicedyrektora CIA. Był to intrygant, którego mianowanie tak wysokim urzędnikiem było owocem nacisków za strony jego bardzo konserwatywnych przyjaciół polityków. Kontrolował Firmę ze zrećnością florecisty, nie wstając zza biurka. Prawie z nikim się nie widywał. Archie, jako dawny zwierzchnik, był jedyną osobą mającą z Brownem bezpośredni kontakt.

- Doszliśmy do wniosku, że Firma musi za wszelką cenę wykorzystać polską aferę i położyć łapę na amerykańskich ugrupowaniach za granicą. Do tego zadania nie może oddelegować swych funkcjonariuszy, chcąc uniknąć otwartego konfliktu z FBI. Dlatego najmądrzej jest zlecić tę misję nam. Zaczniemy od Nowych Drapiezców. Nie wiemy wprawdzie, co są warci, ale to dobry początek. Po południu mam spotkanie w celu omówienia szczegółów kontraktu.

Pełen podziwu pomruk odbił się echem po sali.

- O ile dobrze zrozumiałem, nie pracujemy już z Polakami?
- Przekażemy im szczegółowy raport, który Paul sporządzi na podstawie informacji uzyskanych w Anglii. Na tym etapie nie będziemy wspominać o cholercie. Powiadomimy ich o zamiarze przeprowadzenia uzupełniających dochodzeń w Stanach Zjednoczonych. Przekażemy im informacje, które ich dotyczą, jeśli, ma się rozumieć, za nie zapłacą.
- Oznacza to wszczęcie nowego śledztwa, tym razem amerykańskim tropem.

- Zgadza się.

- Kto w nim będzie uczestniczył? - zapytała Tara.

- Ta sama osoba. Paul się uprzejmie zgodził.

W tym momencie Lawrence zmanifestował swoje niezadowolenie. Upuścił pióro na blat stołu i głośno westchnął.

- Przyszynają, że zasilamy sektor prywatny i że musimy zadowalać się resztkami. Ale tego już za wiele. Mamy tropić grupę pajaców, która prawdopodobnie już nie istnieje, bo wyczytaliśmy na nieaktualnym forum dwa zdania i jedno z nas ma' niejasne przeczucia. Ludzie wygadują różne bzdury w internecie, ale czy my mamy traktować je poważnie? Nie wmówicie mi, że wokół nie ma poważniejszych zagrożeń.

Archie na chwilę zapomniał o swojej brytyjskiej elegancji. Zareagował żywo, posługując się przy tym akcentem z Brooklynu i ciskając słowa jak pioruny.

- Lepiej by było dla ciebie, Lawrence, gdybyś się zamknął. Może i zadowolamy się resztkami, ale za to z pentagońskiego stołu. Wystaw sobie, że to jeszcze coś znaczy. Zrozumiesz, jak spojrzysz na kwotę figurującą w kontrakcie. Co do reszty, to czas, byś pojął, że zimna wojna się skończyła i że współczesne zagrożenia są trochę jak ty: dziwacznie wyglądają. Co byś powiedział, gdybym zlecił ci śledzenie sekty Aum* i jej cholernego guru? A jednak to członkowie Aum wypuścili sarin w tokijskim metrze. Tak czy nie? A węgiel przesyłany w listach pocztą na początku wojny w Iraku? To nie Saddam Husajn ani żaden z twoich ulubionych poważnych

* Najwyższa Prawda, japońska sekta religijna założona w 1987 r.

typów wpadł na ten pomysł, tylko frakcje wariatów, których nigdy nie udało się nam przymknąć.

Lawrence kiwał głową, ale jego mina nie pozostawiała wątpliwości co do jego prawdziwej opinii.

- A Bin Laden w galabii z brodą po kolana siedzący w gromadzie? Uważasz, że wyglądał na poważne zagrożenie? Pięć lat zajęło nam zorientowanie się, do czego był zdolny. Być może nadarza się tym razem szansa, byśmy zapobiegli katastrofie?

Widząc, że przeciwnik nie reaguje, Archie przedłużył chwilę ciszy, by przypieczętować status quo, po czym zwrócił się do Paula:

- Przekazuję sprawę w pana ręce. Odnajdzie pan tych gnojników. Trzeba poznać motywy ich działania, dowiedzieć się, kim jest ich przywódca, skąd czerpie pomysły, skąd pieniądze, kogo zamierza ją zaatakować. Agencja Providence zapewni panu dokumentację, przykrywkę, kontakty, cokolwiek będzie panu potrzebne. Ochronę również, niestety.

- Jak będzie wyglądał pana zespół operacyjny? - zapytał Aleksander.

- Sądzę, że konieczna jest dyskrecja i operatywność. Będę potrzebował tylko jednego partnera.

- Jakiego typu osoby mamy szukać?

- Prawdę mówiąc... e... mam już kogoś odpowiedniego.

II

Nowy Jork, Stany Zjednoczone

Gdy zobaczył, co dzieje się za oknem, miał ochotę przesunąć godzinę spotkania. Przez okno hotelowego pokoju, wyciągając szyję, zdołał dojrzeć kawałek nieba pomiędzy wieżowcami Lower West End. Było czarne. Nowojorski kwiecień lubił sprawiać tego rodzaju niespodzianki. Po pięknym dniu wczorajszym Atlantyck szychował dla mieszkańców miasta wiadra wody. Po śniadaniu Paul poczuł się trochę raźniej. Deszczowe chmury raz po raz ustępowały miejsca imponującym połaciom błękitu. Było zresztą za późno, by odwołać spotkanie. O dziesiątej poszedł do Central Parku.

Zatrzymał się przed zachodnią bramą, na wysokości 75. Alei. Postawił kołnierz płaszcza i czekał. Przyszedł o dziesięć minut za wcześnie. Wiedział, że możliwe były dwa scenariusze: albo Kerry będzie punktualnie, albo w ogóle nie przyjdzie.

Padał teraz równy, drobny deszcz i Paul miał mokre włosy. Spod drzewa, pod którym się schronił, zauważył, że wejście do parku znajduje się naprzeciwko francuskiego konsulatu. Spojrzał na flagę powiewającą na fasadzie. Jej trzy kolory budziły w nim sprzeczne uczucia. Żarty Archiego na temat pochodzenia Paula nie były całkowicie pozbawione podstaw. Jeszcze dwa wieki po sprzedaniu Luizjany rodzina czuła się na tyle francuska, by jego ojciec zaciągnął się do wojska w 1944. Pozostał w armii aż do śmierci w Wietnamie. Paul poszedł w jego ślady w wieku osiemnastu lat. Trochę ze smutku, trochę z przekory. Żywił w stosunku do Francji kontrowersyjne uczucia. Kraj ten odcisnął głębokie piętno na jego rodzinie. Jednocześnie popchnął go do obrania wojskowej ścieżki, z której trudno mu było potem zejść. Patrzył teraz na

ciemniejące niebo i zastanawiał się, czy właściwie kiedykolwiek z niej tak naprawdę zszedł.

Punktualnie o dziesiątej trzydziestej zobaczył postać mijającą bramę i zmierzającą w jego kierunku. Kobieta ukryła się pod męskim parasolem, z którego zwisały dwa złamane druty powodując, że wąskie strużki wody spływały jej na ramiona. Rozpoznał ją, zanim podeszła i odsłoniła twarz.

- Cześć, Paul!
- Cześć, Kerry!

Kiedy widział ją po raz ostatni? Gdyby zadano mu to pytanie, bez wahania odparłby, że wczoraj. Siedem lat rozplynęło się w jednej chwili.

Pocałować ją? Ale jak? Czuli się wobec siebie onieśmieleni jak ludzie, którzy mają za sobą długi okres bliskości. To, że znali się tak dobrze, uniemożliwiało zadowolenie się zdawkowymi gestami, które towarzyszą witającym się obcym sobie mężczyźnie i kobiecie. Zrobiła niezręczny ruch, chcąc złożyć parasol. Woda utrzymująca się na powierzchni materiału opryskała ich. Zrobił krok w tył, strzepnęli krople deszczu z rękawów. Problem pocałunku tym razem sam się rozwiązał.

- Zawsze miałeś talent do wybierania miejsc spotkań.
- Nie powiesz mi, że taka pływaczka jak ty boi się ulewy!

Ubrana była w jasnozielony trencz z lekkiego, połyskującego materiału. Z całą pewnością był to jeden z kosztownych strojów, jakich pełna była jej szafa.

- Chcesz przejść się parkiem czy od razu schronimy się w kawiarni?
- Skoro mamy być tajnymi agentami, wybieram park jako bardziej odpowiednie miejsce na rozmowę.

Weszli w krętą alejkę pełną zieleńiących romantycznie zagajników. Minęli pojedynczych przechodniów, którzy szybkim krokiem i ze wzrokiem utkwionym w ziemię zmierzali do bramy, niczym rybacy uciekający przed zbliżającym się sztormem.

- Co słychać w klinice? - zapytała Kerry. - Uda się wam w końcu odkupić piętro?
- Skąd wiesz o tych planach? - Paul sądził, że tak jak i on Kerry zerwała z dawnym życiem.

- Przeszliśmy przecież tę samą szkołę.

Paul spojrział na nią zdumiony.

- Dobra, skończmy z zabawą w tajemnice. Jedną z twoich pracownic jest moją koleżanką. Kończyła psychiatrię w tym samym roku co ty.

- Trący?

- Nigdy się do tego nie przyznała, chcąc uszanować twoje „śluby zakonne”.

Mówiąc „śluby zakonne”, patrzyła na niego skrzącymi się zielonymi oczami. Paul przyglądał się jej szczupłej twarzy, enigmatycznym ustom. Pomyślał, że czas, pozbawiwszy jej rysy młodości, nadał im wyrazistość dojrzałej kobiety. Czegoś mu jednak brakowało, by móc ją w pełni rozpoznać.

- Tym lepiej. Nie będę musiał streszczać ci ostatnich odcinków. Na którym się zatrzymałaś?

- Trący dzwoniła do mnie w zeszłym tygodniu. Powiedziała, że wybrałaś się na coś w rodzaju bezpłatnego miesięcznego urlopu. Skojarzyłam to z twoim telefonem. Wszedłeś w to znowu, prawda?

- Archie poprosił mnie o przysługę.

- Dla Firmy?

- Już dla niej nie pracuje. Założył własny biznes.

- Biznes? Jakiego typu? Cóż on potrafi robić innego?

Nagle Paul doznał olśnienia: włosy! Ukryła ich masę pod irlandzkim kapeluszem. Twarz Kerry pozbawiona ognia płynącego z włosów zdawała się słabsza, odmieniona, jak opera śpiewana bez orkiestry.

- Nadal zajmuje się tym samym, tyle że teraz na własny rachunek.

- A ty pracujesz dla niego...

- Tymczasem oddaję mu przysługę.

Weszli na zaokrąglony mostek. Deszcz siekał wodę sadzawki, na której unosiły się kaczki, nieruchome jak gumowe zabawki przybite gwoździami do deski.

- Chcesz, bym ci opowiedział, o co chodzi?

- A po co według ciebie przyszłam? Pamiętasz przecież, jak zadecydowaliśmy, rezygnując razem ze służby.

- Zabawne, bo spodziewałem się, że rodzina i dzieci oddalą cię od tego wszystkiego...

- Mówisz, jakbyś mnie dobrze nie znał.

Dotarli do tej części parku, w której rosną wysokie drzewa o gęstych koronach. Sklepienie z gałęzi wiązów i buków chroniło niemal całkowicie od deszczu, więc Kerry zamknęła parasol. Szli obok siebie, ramię w ramię, ze wzrokiem utkwionym w poszycie alejki, którą sporadycznie przebiegały szare wiewiórki.

Paul opowiedział o wrocławskim laboratorium, tropie podsunętym przez Anglików, na koniec zaś uczciwie przedstawił listę wątpliwości i znaków zapytania, narzucających się w związku z wydarzeniami.

Kerry nie przerwała ani razu. Gdy skończył, powiedziała:

- Kolejna historia dotycząca terroryzmu biologicznego w stylu banalnych dreszczowców, których nigdy nie kupuję.

- Nie spieszyłbym się z wnioskami. Cholera nie jest skuteczną bronią biologiczną. Myślę, że kryją się pod nią sprawy, o których na razie jeszcze nie mamy pojęcia, ale które bez wątpienia są o wiele bardziej interesujące.

- Dlaczego przez telefon powiedziałaś, że warunki zostały spełnione?

- Bo tak myślę. To ryzykowna misja. Po pierwsze nie możemy liczyć na wsparcie FBI. Nie powinni dowiedzieć się, że prowadzimy sprawę. A to dosyć komplikuje naszą sytuację. Co więcej, środowisko ekologów jest politycznie wrażliwe. Ludzie nie widzą różnicy między klasycznymi działaczami a ekstremistami. Jeśli upozorujemy, że kontrolujemy umiarkowane grupy, możemy wywołać skandal. Jeśli natomiast ekstremiści wyczują, że to nimi się interesujemy... - Przypomniał sobie oparzenia na twarzy Crawthorne'a i nie dokończył zdania. - Musimy działać w jak najmniejszym gronie i do tego darzyć się pełnym zaufaniem.

- Kto będzie w zespole operacyjnym?

- Ty i ja.

Kerry szła chwilę w milczeniu i Paul zaczął się obawiać, co może oznaczać ta cisza.

Na szczycie małego wzgórza niedaleko serca parku natknęli się na drewniany pawilon otoczony tarasem. Ustawione na tarasie

metalowe stoły i krzesła mieniły się srebrzyście deszczem. Scena zdawała się opuszczona, lecz za zaporowanymi szybami pawilonu mieniła się żółta poświata lamp. Weszli do środka.

Za kontuarem stał kelner i wpatrywał się w strumienie wody lejące się na trawnik. Wilgotne powietrze przesiąknięte było mieszaniną zapachu kawy i piwa. Kerry otrzepała się i zdjęła trenecz. Miała na sobie czarną obcisłą, uwydatniającą biust bluzkę i dzinsy z zakładkami. Odchyliła nieco głowę do tyłu i jednym ruchem zdjęła kapelusz, uwalniając burzę włosów. Ich ilość robiła wciąż to samo wrażenie. Drobnopofalowane, prawie kędzierzawe, promieniowały niczym ciemnozłote aureole świętych z barokowych płócien. Paradoksem było, że na tych obrazach wizualny atrybut świętości, jakim szczęśliwcy byli uhonorowani, podkreślał raczej ich niepokojące człowieczeństwo, cielesne i prawie przekłete. Podobnie było w przypadku Kerry: burza jasnokasztanowych płomieni dodawała jej regularnym i łagodnym rysom nowej głębi, emanującej energią, inteligencją i bezpruderyjnością, które dotąd były niewidoczne.

Paul, chcąc ukryć wzruszenie, żywo poprosił kelnera o wskazanie stolika, co było oczywiście śmieszne, zważywszy na pustkę w kawiarni.

Usiedli i zamówili dwie kawy. Zapadło długie milczenie, którego Paul nie odważył się zakłócić. Wreszcie Kerry zaśmiała się.

- Trochę zardzewiałam, sam zobaczysz. Skoki ze spadochronem skończyły się wraz z ciążą. Ostatni raz skoczyłam osiem lat temu, tuż przed narodzinami Julii. Co do lekkoatletyki, to nie wiem dokładnie, ale przypuszczam, że pokonanie dwustu metrów zajęłoby mi bite pół godziny, a na maraton musiałabym zabrać śpiwór.

Paul przypomniał sobie wspólne popołudniowe treningi na stadionie w Fort Bragg. W swym pragnieniu opanowania wszystkich dyscyplin sportowych Kerry uosabiała greckie marzenie o igrzyskach olimpijskich. Mimo że nie biła rekordów, w każdej dyscyplinie osiągała bardziej niż godne podziwu wyniki. Była jak eklektyczna budowla. Jej umysł nigdy nie ograniczał się do jednego światopoglądu, lecz gościł w symbiozie przeciwne sobie koncepcje. Przyglądała się realiom życia pod różnymi kątami. Uwielbiała różnorodność, sprzeczności i dwuznaczność egzystencji.

- A aikido? Przestałaś trenować?
- Nie. Uratowało mnie dojo na Manhattanie. Wspaniały mistrz aikido, którego tam poznałam, pozwolił mi ćwiczyć aż do ostatniego tygodnia przed porodem. Robin myślał, że chodzę do kina...
Zaśmiała się, mieszając łyżeczką w filiżance. Potem pochyliła się i powiedziała tonem zwierzenia:

- Nigdy też nie przestałam strzelać. Nadal ładuję cały magazynek kalibru dziewięć milimetrów w tarczę z odległości trzydziestu metrów. Nie mam pojęcia, czy to dzięki ciężom, ale wydaje mi się, że zwiększyła się moja zdolność koncentracji.

- To samo zauważyłem.

- Głupek!

Wybuchnęli gromkim śmiechem. Kerry przykryła usta dłonią, wychwytyjąc złowrogie spojrzenie kelnera, który aż podskoczył z powodu niespodziewanego hałasu.

- Chciałbym zadać ci pytanie, które może wydawać się nie stosowne... - zaczął Paul - jednak czy rodzina, dzieci, życie, jakie wiesziesz...

- Zostaw dzieci w spokoju. Nie mają z tym nic wspólnego. Zresztą, dobrze wiesz, dlaczego nie chciałam ich mieć z tobą.

Kerry wzięła filiżankę w dłonie, by je ogrzać. Uśmiechnęła się i Paul odwzajemnił jej uśmiech. Nigdy nie zastanawiał się, jak z nią postępować. Jego mina uzależniona była od spojrzenia, jakim go obdarzała.

- Rozmawiałaś o misji z Robinem?

- Nie. To zbędne. Zna zasady.

- Co o nich myśli?

- Posłuchaj. Dołączyłam do Firmy w wieku dwudziestu dwóch lat. Od razu złapałam bakcyła. Wprawdzie zrobiłam sobie przerwę, ale to nie oznacza, że wyleczyłam się z tej choroby. Nigdy się z niej nie wyleczę i Robin o tym wie. Nic nie poradzi na nawroty, może je jedynie opóźnić. To może zuchwałe z mojej strony, ale myślę, że kocha mnie taką, jaka jestem. W życiu nie cofam się przed niczym i on to we mnie lubi.

Przy stoliku obok usiedli klienci jeszcze bardziej złani deszczem niż oni. Była to para starszych ludzi z psem ubranym w przeciw-

deszczowy kubraczek w szkocką kratę. Nie odzywali się do siebie ani słowem, więc wydawało się, że są w złym humorze.

- Powiedz szczerze, Paul, dlaczego to robisz? Dla forsy? Dreszczyku emocji? Adrenaliny? Wierzysz w historię o cholercze?

- Tak, myślę, że coś się za tym kryje. Potrzebuję też pieniędzy. Jednak, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to...

Podskubał nerwowo baczki. Kerry uśmiechnęła się, rozpoznając stary tik.

- Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to mam ochotę zanurkować w to z tobą.

- Ty stary francuski podrywacz!

Nadal trzymała filiżankę w dłoniach i sponad niej patrzyła Paulowi w oczy.

Odniosł wrażenie, że od jakiegoś czasu sąsiedzi zwrócili uwagę na nich, by mieć temat do rozmowy, i starali się nie uronić ani słowa. Czuł, że drażniło to również Kerry.

- Mniej pada, proponuję, byśmy wyszli. - Potem, złowieszco łypiąc okiem na jamnika sąsiadów, dodał: - Mój rewolwer jest w samochodzie. Co ty na to, żebyśmy na Manhattanie urządzili sobie polowanie na kundły?

Para z przerażeniem wybałuszyła oczy. Paul wręczył kelnerowi banknot dziesięciodolarowy, po czym wyszedł za Kerry. Na wschodzie ponad linią drzew dało się rozróżnić kontury drapaczy chmur. Po stronie rzeki Hudson niebo było czarne. Przed kawiarnią olbrzymia japońska wiśnia strzelała różowymi pąkami pełnymi wody.

- To jak, szefie, kiedy zaczynam?

- Możesz być w Providence pojutrze rano?

- „Pojutrze rano, w Providence” - powtórzyła śmiejąc się. - Nieźle się zaczyna. Jak w wierszu Emersona.

III

Johannesburg, Republika Południowej Afryki

Julie tte nie czuła strachu. Była raczej niecierpliwa jak student czekający na wyniki egzaminu. Odtąd nie było już odwrotu, co zupełnie jej nie przeszkadzało. W airbusie brytyjskich linii lotniczych kilkakrotnie próbowała oprzeć ramię na podłokietniku. Jej wysiłki za każdym razem spełzały na niczym. Mężczyzna siedzący obok wylewał się z fotela i całą swą masą przypierał ją do okrągłego okienka samolotu.

Na początku podejrzewała, że olbrzym z Afryki Południowej o bardzo krótko obciętych blond włosach został przydzielony, by jej pilnować. Oznaczałoby to, że już jest więźniem. Po chwili rozmowy zorientowała się, że jej domniemany strażnik był nieszkodliwym farmerem, który lekko podchmielony wracał z Paryża, gdzie odwiedził dwie studiujące córki. Juliette stwierdziła, że zdecydowanie powinna uważać na własne reakcje. Była napięta do granic możliwości nerwowych i we wszystkim dopatrywała się intrygi. Karta pokładowa zacięła się w automacie kontrolnym; steward patrzył na nią zbyt natarczywie; nikt nie zajmował foteli w rzędzie przed i za nią; w interpretacji Juliette wszystko to miało związek z rolą, jaką miała odegrać. Naturalnie była to seria czystych przypadków.

Po kolacji zmieniła miejsce i położyła się w pustym rzędzie. Sen jednak nie nadchodził. Wyobrażenia Juliette pracowała na zdwojonych obrotach, rodząc na zmianę rozkosz i przerażenie, maski i przeciwieństwa wciąż tego samego niepokoju.

Na lotnisku w Johannesburgu nie musiała czekać na walizkę. Wszystko, czego potrzebowała, zmieściło się w bagażu podręcznym.

Za rozsuwanymi drzwiami w sali przylotów dojrzała w tłumie młodego Murzyna trzymającego karton z wypisanym jej imieniem. Przywitał się wyszukaną angielszczyzną i powiedział, że nazywają go Roy. Był dla niej miły, niemniej jednak unikał odpowiedzi na pytanie o miejsce, do którego się udawali.

Pomimo specyficznych okoliczności Juliette była w nastroju turystki. Na półkuli południowej zbliżała się jesień, a pogoda wciąż była przepiękna. Obniżyła szybę, by poczuć, jak jej nos marszczy się pod podmuchem ciepłego wiatru. Dziwił ją lewostronny ruch pojazdów w kraju, który tak mało przypominał Anglię. Gdy dotarli do centrum i mknęli prostymi alejami obsadzonymi poincjana królewską i eukaliptusami, Juliette miała dziwne wrażenie, że wjeżdża do okupowanego miasta, które niedawno zdobyto. Panował w nim stary, kolonialny porządek, wille i ogrody otoczone murami zwieńczonymi drutem kolczastym były nietknięte. Natomiast ulice wrzały od czarnego tłumu, który nie wydawał się tutejszy. Nie emanował strachem ani poczuciem zagrożenia, mimo to poczuła się nieswojo.

W pewnej chwili w oddali Juliette zobaczyła wieżowce centrum handlowego i spodziewała się, że pojedą w tamtym kierunku. Roy skręcił jednak w lewo. Minęli kolejną dzielnicę willową. Dotarli w końcu do lotniska krajowego zarezerwowanego dla prywatnych samolotów. Infrastruktura pochodziła z lat pięćdziesiątych, epoki, kiedy lotnictwo symbolizowało luksus i wygodę. Świeżo odmalowane ściany i marmurowe posadzki miały nawiązywać do tej tradycji. Jednak tu do grupy uprzywilejowanych *happy few* należeli ubrani w sprane drelichy łowcy słoni i majątni farmerzy.

Roy wziął paszport Juliette i poprowadził ją do pustego holu, gdzie terkotała taśma ruchomego chodnika. Po kontroli bagażu oddał go dziewczynie. Między strony dokumentu wsunął kartkę papieru. Wyjaśnił, że to karta pokładowa. Nie zawierała jednak żadnej informacji dotyczącej rejsu. Juliette, nadal w towarzystwie swojego anioła stróża, usiadła w pustej poczekalni.

Dwaj lotnicy ubrani w koszule z krótkimi rękawami przeszli przez hol i popchnęli wahadłowe drzwi wiodące na pas startowy. Juliette zobaczyła, jak podchodzą do dwusilnikowego samolotu. Stał przed budynkiem terminalu wśród awionetek ustawionych

w szeregu jak flotylla jachtów. Na znak załogi Roy chwycił Juliette pod ramię i poprowadził ją do samolotu. Prawy silnik był już włączony i odrobinię się krztusząc, wydawał niski pomruk. Juliette rozumiała, że jest jedynym pasażerem. Nadal czuła uścisk Roya, który nie puszczał jej przedramienia, może by dodać jej otuchy, a może by uniemożliwić ucieczkę w ostatniej chwili. Gdy tylko weszła na pokład, drugi pilot pociągnął kabel podtrzymujący drabinę i zamknął drzwi. Dał Juliette sygnał do zajęcia miejsca na skórzanym siedzeniu przy oknie. Pomógł jej zapiąć pasy i poszedł na tył kabiny, podczas gdy siedzący w kokpicie pilot włączał lewy silnik. Samolotem wstrząsały drgania. Drugi pilot pojawił się znowu, niosąc dwie puszki coca-coli. Wręczył jedną z nich Juliette i stuknął się z nią na zdrowie. Była szczęśliwa, mogąc napić się czegoś po godzinie spędzonej w upalnym wnętrzu samochodu. Pociągnęła długi łyk.

Kolejne minuty wypełniło wycie śmigieł i Juliette przez okno zauważyła samolot odrzutowy naprawiany w wielkim hangarze. Drugi pilot poruszył się. Zwróciła uwagę na jego okulary przeciwsłoneczne i zdziwiła się, że nie dostrzegła wcześniej jego jasnego wąsa. Nie zdążyła już odpowiedzieć na jego gest uniesionego kciuka. Poczowała obezwładniającą niemoc. Rzuciła okiem na puszkę coca-coli i pomyślała, że napój był bardziej gorzki niż zwykle. Zanim samolot oderwał się od ziemi, Juliette była już daleko, lewitując w sennych obłokach.

Obudził ją upał. Żar, który niedyskretnie wpychał haczykowate palce do gardła i dmuchał suchym powietrzem na powieki.

Leżała na łóżku polowym, na którym nie było ani prześcieradła, ani poduszki. Betonowe mury pomieszczenia pociągnięto byle jak białą farbą. Na suficie szczapy drewna maskowały spojenia kwadratowych płyt pilśniowych. Lite okiennice zasłaniały światło. Otwarte masywne, drewniane drzwi trzeszczały w zawiasach, chybocząc się pod podmuchem wiatru, który wnosił jeszcze gorętsze powietrze z zewnątrz.

Juliette wstała i stąpając bosymi stopami po czarno-czerwonych nierównych kafelkach, przeciągnąwszy się, podeszła do drzwi. Za nimi znajdowało się najwyraźniej tylne podwórko dużego domu. W rogu stały miotły i wiadra. Na sznurku suszyły się kwadratowe ścierki.

Szybko zorientowała się, że długa droga dzieliła podwórko od wolności. Kamienne mury zakończone drutem kolczastym ograniczały przestrzeń z każdej strony. Od strony domu wyjście dla służby zamknięte było na klucz, a zasłonięte okna okratowano. Nad małą powierzchnią jej odosobnienia widać było jednolicie błękitne niebo, mrocznie nieskazitelne jak blacha wychodząca spod prasy.

Gdyby nie głód i pragnienie, Juliette chętnie stałaby tak i obserwowała. Zapukała jednak w drzwi dla służby. Pojawiła się stara służąca o bardzo czarnej skórze i dziurach w uszach tak dużych, że dałoby się przez nie przelożyć palec. Gdy zobaczyła stojącą na podwórku Juliette, weszła z powrotem do kuchni i wyjęła z lodówki przygotowaną wcześniej tacę. Otworzyła drzwi i bez słowa wręczyła ją dziewczynie. Juliette usiadła w nieco zacienionym przez daszek rogu podwórka. Wypiła duszkiem całą zawartość karafki. Stara kobieta uśmiechnęła się z rozczuleniem i ponownie napełniła dzbanek. Juliette zjadła szynkę, ryż i fasolkę szparagową, zamoczyła kawałek chleba w sosie i połknęła go łapczywie. Na koniec zjadła dwa małe i bardzo dojrzałe banany. Nie miała pojęcia, ile czasu mogło upłynąć od momentu, gdy opuściła Johannesburg. Sądząc po tym, jaki miała apetyt, minął co najmniej jeden dzień. Służąca zabrała tacę i zniknęła.

Juliette dokonała szybkiego podsumowania wydarzeń. Była pewna, że teraz nadszedł czas na poważne sprawy. Czuliła się silniejsza niż kiedykolwiek. Efektem środków usypiających okazało się odprężenie, jakiego brakowało jej od wielu tygodni. Towarzyszyło jej upojne i tak rzadkie uczucie pełni zaufania do samej siebie, energia i optymizm. Sen na chwilę porwał ze sobą niepokój i nerwową kruchość.

Ze spokojem oczekiwała na rozwój wydarzeń.

Do późnego popołudnia nic się nie wydarzyło. Upał się zmniejszył, powpychany do kątów przez wydłużające się cienie.

Wydawało się Juliette, że słyszy w oddali śpiew muezina. Jednak cisza rodziła w jej umyśle iluzje, z których żadnej nie mogła być pewna. Zmierch zapadł bardzo szybko. Wewnątrz domu zapaliły się światła i wkrótce w drzwiach ukazały się dwie zamaskowane postacie.

Kazali jej wejść do środka i poprowadzili zapewne starannie wcześniej przemyślaną trasą. Pokonali puste korytarze, opustoszały hol, w końcu weszli do dość obszernego pomieszczenia z zamkniętymi okiennicami. Na środku stał stół i krzesło. Juliette spodziewała się właśnie takiego rozwoju wydarzeń: wszystko wskazywało na przesłuchanie. Miała siłę stawić czoła długiemu osaczeniu, więc usiadła z uśmiechem. Jej rozmówcami mieli być wysoki mężczyzna i równie wysoka, szczupła i wysportowana kobieta. Oboje nosili wełniane kominiarki. W pokoju nie było klimatyzacji. Nie dałoby znieść takiego dodatku do stroju w ciągu dnia. Z pewnością to zadecydowało o wyborze nocy na czas przesłuchania. Pytania zadawali na zmianę. Kobieta miała wyraźny, amerykański akcent z charakterystyczną dla Teksaszczyków gardłową wymową. Mężczyzna mówił z wiejską nutą diaspory angielskiej: mógł być Australijczykiem, Nowozelandczykiem, a najprawdopodobniej mieszkańcem Afryki Południowej. Nie robili notatek, ich rozmowa była z pewnością nagrywana.

Juliette zrozumiała, że na tym etapie nie chodziło im o zdobycie informacji, lecz o sprawdzenie tych, którymi dysponowali. Zadawali pytania, na które bez wątpienia znali odpowiedzi i bez przerwy starali się zapędzić ją w kozi róg. Pierwsza seria dotyczyła jej pochodzenia, rodziny, znajomych. Trwała trzy długie godziny. Odprowadzili ją potem do pokoju - a może należałoby rzec do celi? Po dwóch godzinach obudzili Juliette, by przedstawić jej syntetyczny raport, zredagowany na podstawie jej zeznań i celowo usiany nieścisłościami i pułapkami.

- Urodziłaś się ósmego czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku w Boulogne-sur-Mer niedaleko Calais - zaczęła Amerykanka, stojąc za plecami Juliette, zapewne by móc swobodnie czytać z kartki. - Twoja matka, Jeanne Helenę Pictet.

- Jeanne Irene.

- Jeanne Irene Pictet była Szwajcarką. W wieku czterdzieści ośmiu lat poślubiła Francuza pochodzącego z Lotaryngii, Edmunda Levasseura, który miał wówczas sześćdziesiąt siedem lat. Jesteś jedynaczką. Rodzice poznali się przez ogłoszenie. Mieszkają w Boulogne-sur-Mer, gdzie twój ojciec prowadzi firmę tranzytową i współpracuje z Anglią.

Juliette myślała o tym, jak zdumiewające jest przeznaczenie. Kto by się spodziewał, że nazwiska jej rodziców burżujów będą kiedyś wypowiedziane przez zakapturzoną Amerykankę z Teksasu na krańcu Afryki Południowej?

- Samotne dzieciństwo. W okresie dojrzewania kilka ucieczek z domu do Belgii.

- Do Szwajcarii. Gdy uciekłam po raz pierwszy, miałam dwaście lat.

- Angielskiego nauczyłaś się w domu, w ramach tradycji rodzinnej. Już twoja prababka handlowała z Wielką Brytanią.

Stanowiło to przede wszystkim metodę jej ojca na wzmocnienie swej pozycji w rodzinie. Był jedyną osobą doskonale władającą tym językiem. Juliette uczyła się go cierpliwie, jak poleruje się broń, która może posłużyć pewnego dnia do obrony albo i kontrataku.

- Nie masz żadnych przyjaciół z dzieciństwa i okresu dorastania?

Mężczyzna dodał pytanie, mimo iż zadali je już trzy razy.

- Ani jednego.

- Ojciec jest również jedynakiem. Jedyna osoba, którą darzysz zaufaniem, to twoja ciotka mieszkająca w Genewie.

Tak, pomyślała Juliette. Jedyna, która miała odwagę stanąć pomiędzy małą dziewczynką a upokorzeniami i razami, jakich doznawała. Przywołanie przeszłości było dla Juliette dziwnym doświadczeniem. Po raz pierwszy spoglądała na nią z zewnątrz. Jako dorosła osoba dostrzegała teraz wszystkie rzucające się w oczy brudne, tragiczne i trudne do zaakceptowania aspekty swojego życia. A jednak nigdy nie chciała czuć się ofiarą. Przepelniały ją powstrzymywana wściekłość i wewnętrzna burza. Jej pozorna uległość była przebiegłą sztuką podobną do przykurczonych i kolczastych form, jakie przybierają niektóre zwierzęta w sytuacjach zagrożenia.

- W wieku dziewiętnastu lat wyjechałaś do Stanów Zjednoczonych, by pracować jako *au-pair* w Chicago.

- W Filadelfii.

- Przez rok mieszkałaś w profesorskiej rodzinie. Mieli dwójkę dzieci niewiele starszych od ciebie.

Było to jej główne kłamstwo. Powinna teraz zdwoić czujność. Zgodnie z tym, co powiedziała wcześniej, potwierdziła fałszywe informacje.

- Starszy syn miał na imię Roger. To z nim zainicjowałaś swoje życie seksualne.

Powracali do prawdziwych wydarzeń, jednak z małym wyjątkiem. Roger nie był synem gospodarzy, lecz wstrętnym sąsiadem, który pewnego wieczoru dopadł ją w drodze z dyskoteki. Zastanawiała się czasem, czy użyć terminu gwałt w związku z tym epizodem. Była poniekąd za niego odpowiedzialna, pomimo brutalnych okoliczności. W tamtym czasie traktowała sferę seksualności jako brutalne narzędzie, które miało pomóc w wyzwoleniu się od nagromadzonej w niej wściekłości. Roger posłużył jej wyłącznie do inicjacji, która sama w sobie była brudną, odrażającą odmianą uciezki.

- Po powrocie ze Stanów rozpoczęłaś studia na Uniwersytecie numer trzy w Lyonie, na wydziale literatury angielskojęzycznej.

- Numer dwa.

- Przez sześć miesięcy byłaś aktywnym członkiem stowarzyszenia studenckiego. Potem przyłączyłaś się do grupy ekologicznej Greenworld. Wzięłaś udział w kilku akcjach protestacyjnych, między innymi przeciwko elektrowni jądrowej w Tricastin. Wtedy właśnie poznałaś Jonathana Clusesa.

Zadaniem ekologów było zablokowanie dostępu do instalacji, by uniemożliwić wydostanie się stamtąd ciężarówka załadowanej materiałem radioaktywnym. Akcję udaremniła potężna interwencja CRS*. Juliette znalazła się pod elektrownią w środku nocy z pięcioma innymi osobami. Nad ranem zaczęło padać. Grupa zablądziła w labiryncie rozkopów otaczających budynki. Przypadkiem

* CRS - Compagnie Républicaine de Sécurité, oddziały porządkowe francuskiej policji.

znaleźli się w pobliżu ogrodzenia pod napięciem i tam zaskoczył ich oddział CRS. Juliette zgubiła się. Głodna i mokra schroniła się w kawiarni, w której spotkała Jonathana. Wyjaśnił jej, że również brał udział w akcji, tylko że od początku zrozumiał, że nie miała szans powodzenia. Postanowił więc poczekać w kawiarni na rozwój wydarzeń. Juliette uznała go za pretensjonalnego aroganta. Sposób, w jaki zaciągał się papierosem i patrzył na nią spod zmrużonych powiek, nadawał mu wygląd zblazowanego dandysa. Zaproponował, że odwiezie ją do domu na motorze. Odmówiła. Wróciła do Lyonu autobusem i zapomniała o Jonathanie.

- Nigdy wcześniej go nie spotkałaś? - zapytał mężczyzna w kominiarce.

- Nie.

Przesłuchująca ją para spoglądała po sobie.

- Był przecież od roku członkiem organizacji Greenworld - zauważyła Amerykanka.

- Dowiedziałam się o tym dużo później. Organizacja ma swoją strukturę. Nie znamy się wszyscy.

Juliette odniosła wrażenie, że zadając pytania, mieli nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej nie o niej, lecz o Jonathanie.

Na tym zakończyła się pierwsza noc przesłuchania. Juliette nie mogła zasnąć w swojej celi. Kolejny dzień spędziła, snując się po podwórku albo półśpiąc na łóżku. Niecierpliwie czekała na kolejne przesłuchanie. Rozpoczęło się wraz z zapadnięciem nocy.

- Co dokładnie przydarzyło ci się w lipcu dwa tysiące drugiego?

- Grennworld zorganizował kampanię protestacyjną przeciwko przyjazdowi Busha do Paryża. Chcieliśmy bojkotować USA dopóty, dopóki nie ratyfikują Protokołu z Kioto. Taki mieliśmy zamysł. Pojechaliśmy do Paryża pociągiem o szóstej rano, na plac Concorde dotarliśmy metrem. Przebraliśmy się w pustych korytarzach. Stojąc pod ambasadą amerykańską w koszulkach z wymalowanymi szkieletami i w trupich maskach, wyglądaliśmy jak przebierańcy na Halloween.

Tak naprawdę akcja była śmiechu warta. Z perspektywy czasu Juliette oceniała ją bardzo surowo. Ale to wtedy odkryła prawdę o sobie.

- Policjanci zareagowali dość brutalnie. Postanowili nas rozproszyc.

- Byłaś ranna?

- Tak. Idiotyczny zbieg okoliczności. Potknęłam się i upadłam obok jednego z policjantów. Skręciłam prawą nogę. Gliniarz krzyczał, żebym się podniosła, w końcu chwycił mnie za włosy. Na miejscu było kilku fotografów. Nazajutrz moje zdjęcie znalazło się na pierwszych stronach gazet. Stałam się bohaterką i męczennicą.

- Mimo to dwa miesiące później wystąpiłaś z organizacji Green-world.

Milczała przez dłuższą chwilę. Jak miała im wyjaśnić, co wtedy czuła? Przez tyle lat była upokarzana, traktowana przez własnego ojca jak debil i pasożyt. Nigdy też nie doświadczyła matczynej czułości. I oto nagle, znalazłszy się na skraju poniżenia, bezlitośnie wleczona za włosy przez mężczyznę w kasku i okutych butach, przeżyła chwilę chwały i słodycz rewanzu. Przeszła drogę godną świętych i proroków, coś na kształt boskiego zmartwychwstania. Świat nareszcie potraktował ją sprawiedliwie i przesunął z ostatniego szeregu do pierwszego. Uwierzyła, że nigdy więcej nie zmieni tego miejsca.

W ciągu kolejnych piętnastu dni przyjęła u siebie znamienite osobistości, udzieliła kilkudziesięciu wywiadów. Z początku wszystko działo się normalnie. Zarząd Greenworldu był zadowolony z rozgłosu w mediach. Wkrótce okazało się jednak, że Juliette straciła nad sobą kontrolę i swymi wypowiedziami nadaje organizacji charakter odwetowy, na dodatek wypowiadając w jej imieniu wojnę całemu światu. Zwierzchnicy próbowali przywołać ją do porządku. Sypiała dwie godziny na dobę, zappełniała całe strony notatkami i proklamacjami, które wysyłała na oślep we wszystkich kierunkach.

- Kto zdecydował o skierowaniu cię do kliniki psychiatrycznej?

- Nie mam pojęcia. Podejrzewałam o to Greenworld, ale nie mam na to żadnych dowodów.

- Jak długo przebywałaś w klinice?

- Trzy tygodnie.

- A potem?
- Potem wróciłam do Lyonu.

Jesień tamtego roku była wczesna i szara. Juliette czuła się zdegustowana sobą. Przerwała leczenie, spędzała w łóżku całe dnie.

- Nie utrzymywałaś kontaktów z organizacją Greenworld?
- Wykluczili mnie ze swoich szeregów i myślę, że zabronili komukolwiek widywania się ze mną.

- Wyjątkiem był Jonathan.

- Bo opuścił organizację. - Widząc zdziwienie na twarzach prowadzących przesłuchanie, dodała: - Tak mi w każdym razie powiedział.

- Zamieszkaliście razem?

- Nie. Jonathan wynajmował pokój w dzielnicy Saint Paul. Jednak przychodził do mnie często. Zostaliśmy kochankami, jeśli to chcecie wiedzieć.

- Podobał ci się?

- Rozśmieszał mnie i był dla mnie dobry. Przede wszystkim zaś potrząsnął mną. To dzięki niemu zdałam egzaminy i znalazłam pracę w Jurze.

- Niedaleko miejsca zamieszkania ciotki?

- Możliwe.

- Co Jonathan mówił ci o swojej przeszłości?

- Opowiadał mi o Stanach Zjednoczonych.

Na tym zakończyli drugą sesję i odprowadzili Juliette do celi. Czowała, że od tej chwili może spodziewać się wszystkiego, nawet przemocy.

IV

Providence, stan Rhode Island

Do ostatniej chwili Paul nie był pewien, czy Kerry nie zmieni zdania. Nie zmieniła jednak. Z Nowego Jorku przyjechała pociągiem i gdy dotarł na dworzec, już czekała na peronie. Tym razem nie padało, więc nie mieli pretekstu, by uniknąć pocałunku. Kerry pocałowała go w jeden, potem w drugi policzek, automatycznie i sztywno jak w wojsku.

Paul przyjechał samochodem wypożyczonym z agencji Providence. Włożył do bagażnika wyglądającą dość zwyczajnie, ale zapewne bardzo drogą torbę Kerry z cielecej skórki. Nie mogło się w niej zmieścić nic poza niezbędnym minimum. Może Kerry spodziewała się, że misja nie potrwa długo? A może uznała, że powinna pozostać wierna starym i dobrym, wojskowym nawykom: strój regulaminowy i kropka. Zajął miejsce za kierownicą i przekręcając kluczyk w stacyjce, zwrócił się do Kerry:

- Gotowa do boju?
- Gotowa.
- Bez żalu i wahania. Jeszcze nie jest za późno, by...
- Ruszaj, proszę. Od tej chwili możesz mnie traktować jak partnera w misji. I postaraj się nie gadać głupstw. Dobrze?

Przyjął to do wiadomości i uśmiechnął się.

Bez przejeżdżania przez miasto, z dworca skierowali się od razu na drogę wylotową w kierunku wybrzeża. Krajobraz przybrał barwy lata. Tym razem było pogodnie.

- Co skusiło tego starego wieprza, by wybrać akurat to miejsce na siedzibę agencji? Proszę, powiedz mi prawdę: kupił sobie tutaj dom na emeryturze, a nas zaprosił w ramach rozrywki, tak?

Kerry nigdy nie ukrywała swojej antypatii wobec Archiego, chociaż, o ile Paulowi było wiadomo, ten zawsze zachowywał się w stosunku do niej poprawnie. Pomimo skłonności do erotycznych podtekstów, w wypadku Kerry nigdy nie odważył się na najmniejszą prowokację. Był wystarczająco inteligentny, by przewidzieć, że zarobiłby jedynie porządny policzek i to bez wątpienia przy świadkach. Kerry wiedziała jednak, jaki był wobec innych kobiet, i postanowiła na wyrost zakwalifikować go do znieawidzonej kategorii starych świń.

Kerry oraz jej pięć siostr wychowywała owdowiała matka. Stosowanie wobec mężczyzn epitetów zapożyczonych ze słownika rzeź-niczego było rodzinną tradycją. Słownik Kerry zawierał określenia takie jak: stare świny i tłuste wieprze, prosięta i ohydne bydlaki. Przymiotnik wskazywał na stopień sympatii: zdarzyło się, że Kerry nazwała Paula miłym świniaczkciem w okolicznościach, które nie pozostawiały wątpliwości co do szczerości uczuć i czułości, którą w ten sposób chciała wyrazić. Nigdy jednak nie zaszczyciła Archiego epitetem innym niż stary, złośliwy i ohydny.

- Wiesz, że on przepada za Nową Anglią. Po pracy jedzie jaguarem do Newport i spaceruje wśród brytyjskich *jachtmenów*. To mu wystarcza do szczęścia. - Kerry wzruszyła ramionami. - Tak czy inaczej, nie zobaczysz go dzisiaj. Rano wyjechał na Daleki Wschód w podróż służbową mającą na celu badanie nowych rynków.

- Badanie nowych rynków? Tak jakby nie mógł tego nazwać tajskimi masażami, jak wszyscy normalni ludzie?

Gdy dotarli do agencji, nastrój Kerry zmienił się w okamgnieniu. Teraz była opanowana i poważna. Kontrastowało to z jej swobodnym zachowaniem w czasie podróży. Paul nie bardzo rozumiał, co miała oznaczać ta odmiana. Dyskretna i powściągliwa, zgrywała niewiniątko. Niemniej jednak dostrzegał wilcze uszy wystające spod czepka babci Czerwonego Kapturka - „Żeby cię łatwiej zjeść, drogie dziecko”.

Udali się prosto do biura Barneya. Wcześniej Kerry poprosiła Paula o szczegółowy opis dyrektora, którego w Firmie widziała kilka razy, ale nigdy nie pracowali razem.

- Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać. - Patrząc Barneyowi prosto w oczy, uściśliła mu dłoń.

Zaplotła włosy w gruby i zdyscyplinowany warkocz, który spoczywał na karku niczym afrykański totem. Ubrana była w szarzone spodnie w kolorze wojskowej zieleni, miejscami obcisłe, co uwydatniało jej kobiece kształty. Naturalnie podbiła serce Barneya, który na chwilę nawet się wyprostował.

Wskazał im krzesła przed biurkiem. Kerry dyskretnie, acz nie kryjąc się z tym specjalnie, omiotła wzrokiem ściany obwieszone dyplomami w ramach i zdjęciami Barneya. Na kilku pozował w todze i kwadratowej czapce profesorskiej. Większość jednak przedstawiała go w stroju baseballowym ze skórzaną rękawicą na dłoni.

- Zawołam Aleksandra i Tarę.

Gestem pełnym elegancji Barney nacisnął guzik osobistej centrali, aparatu, który dodatkowo podkreślał jego władzę. Paul nie podejrzewał, że jest zdolny do takiego symbolicznego aktu próżności. Kerry zdecydowanie miała talent.

Rozkoszował się jej widokiem. Uszczęśliwiała go nie tylko to, że jest blisko niej, ale był teraz pewien, że dokonali właściwego wyboru: udało im się zachować więź. Wiedział, że niebawem przyjdzie czas na ostrą rywalizację, ale jednocześnie czuł, że jak zwykle przyniesie im ona niczym niezastąpione szczęście.

Aleksander pojawił się tak szybko, że można było pomyśleć, iż przebiegał nogami za drzwiami biura, oczekując na wezwanie. Kerry zabrała się do niego niezwłocznie z jeszcze skromniejszym wyrazem twarzy i lojalnym spojrzeniem dużych oczu. W towarzystwie kobiet Aleksander był zwykle speszony, toteż nie połknął haczyka. Patrzył na przynętę na zmianę ze zdegustowaniem i z przerażeniem. Sytuacja stawała się kłopotliwa. Na szczęście weszła Tara. W CIA obie kobiety pracowały krótko na tym samym piętrze. Po odejściu z Firmy Kerry zachowała wspomnienie młodej, błyskotliwej, energicznej i skupionej, niemal agresywnej dziewczyny. Stała teraz przed nią z łagodnym uśmiechem, emanując dojrzałością. Po chwili wahania obie padły sobie w objęcia. Nastąpiła trwająca dobrą minutę seria uścisków i hałaśliwych gestów entuzjazmu, wszystko pod rozczulonym spojrzeniem Barneya.

Nareszcie udało mu się zebrać wąskie grono wokół małego, okrągłego stołu.

- Pozwólcie, że przedstawię najpierw waszego łącznika. Jest nim jeden z naszych utalentowanych juniorów. Ma na imię Tycen. Ze mną będziecie konsultować wszystkie aspekty strategiczne misji. Tycen odpowiedzialny będzie za logistykę. Możecie zwrócić się do niego z każdą potrzebą tego typu. Aleksander będzie was wspierał w dziedzinie dokumentacji i analizy. Zresztą oddaję mu głos. Powie wam, czego do tej pory się dowiedział.

- Dziękuję. Niestety nie mam zbyt dobrych wiadomości. W pionie analitycznym nie ma nikogo, kto orientowałby się w temacie radykalnej ekologii. A w związku z tym, że zmuszeni jesteśmy do dyskrekcji, nie ma mowy o zatrudnieniu kogoś z zewnątrz.

Aleksander nie wydawał się wcale tym zasmucony. Ukończył stosunki międzynarodowe na Harvardzie, więc w oczywisty sposób darzył głęboką pogardą wszelkie tematy wykraczające poza geopolitykę, kwestie strategiczne oraz makroekonomię. Nie miał najmniejszego zamiaru zawracać sobie głowy historiami kotów, które uciekły z klatek czy skradzionymi zarazkami cholery.

- Co pan wobec tego proponuje?

Paul zniecierpliwił się. Jego niechęć podsycalo podobieństwo Aleksandra do Napoleona, i mimo że to nie Aleksander sprzedał Luizjanę, Paul podejrzewał, że byłby do tego zdolny.

- Dostarczymy wam skromną dokumentację, której część pan już posiada. Wydaje mi się, że najlepiej, jeśli będziecie prowadzić śledztwo bez naszej pomocy.

- Właśnie tak mamy zamiar postąpić.

- W takim razie wszystko gra.

- Poza tym małym szczegółem, że nie będziemy w stanie gonić terrorystów i zagłębiać się w ich literaturę.

- Jaką literaturę?

- Musimy wiedzieć, skąd czerpią pomysły, co opublikowali, co może mieć na nich wpływ i na kogo oni wpływają - sprecyzował Paul. - Krótko mówiąc, wszystkie informacje, do których dotarłby pan błyskawicznie, gdyby chodziło o islamistów zagrażających szybom naftowym na Bliskim Wschodzie.

Napięcie roso i z urażonej miny Aleksandra wywnioskować można było, iż przygotowywał się do kontrofensywy.

- Ależ to nic nie szkodzi - włączyła się Kerry. - Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, zajmę się zestawieniem informacji, jakie posiadamy na temat grupy, mogę dokonać analizy danych i porozumieć się z poszczególnymi działami agencji w zależności od naszych potrzeb. Czy odpowiada to panu?

- Jak najbardziej - odparł Aleksander zadowolony, że nie doszło do potyczki z Pauliem.

- Doskonale! - wykrzyknął Barney. - Uważam, że to świetny pomysł. Zorganizujemy pani miejsce w biurze. Będzie pani pracowała jako autonomiczna jednostka, a my dostarczymy pani wszystkich niezbędnych informacji.

W gruncie rzeczy było to dobre rozwiązanie. W ten sposób zapewnią sobie jasny obraz sytuacji, zamiast zadowalać się fragmentarycznymi wiadomościami, na jakie zwykle skazani są agenci operacyjni. Paul spojrział na Kerry. Na jej twarzy wciąż gościła ta sama powściągliwa mina. Miała na tyle tupetu, by skromnie spuścić oczy. Musiał przyznać, że jej posunięcie było godne podziwu, a co ważniejsze, obiecywało walkę i tym samym przyjemność.

- A czy pan ma coś nowego do zakomunikowania? - Barney zapytał Paula.

- Tak.

Tym razem Kerry skierowała uważne spojrzenie na Paula. Wyraźnie postanowił wyłożyć kartę. Była ciekawa jaką.

- Przypomina pan sobie lekarza z Instytutu Pasteura, którego odwiedziłem w Paryżu?

- Specjalistę w dziedzinie cholery.

Aleksander wypowiadał słowo cholera w tylko sobie właściwy sposób, jakby zanurzał nos w latrynie.

- Otóż po otrzymaniu wiadomości od Anglików postanowiłem do niego zadzwonić. Przyszło mi do głowy, że skoro słuch o No wych Drapieżcach zaginął dwa lata temu, być może tymczasem wydarzyło się coś ciekawego w kwestii cholery.

Ostatnie słowo wymówił, symulując mdłości i wykpiwając w ten sposób manierę Aleksandra. Zebrani uśmiechnęli się ukradkiem.

- Powiedział mi wtedy o wyspach Zielonego Przylądka.

Wydawało się, że Tara próbuje zlokalizować je w pamięci na mapie świata. Aleksander wykorzystał okazję, by odzyskać kilka punktów.

- Zielony Przylądek to archipelag w Zatoce Senegalskiej. Dawna kolonia portugalska, niepodległa od tysiąc dziewięćset siedem dziesiątego piątego.

Nareszcie wrócili do poważnej rozmowy.

- Co się wydarzyło?

- W zeszłym roku wybuchła tam epidemia cholery.

- Nic o tym nie słyszałem - powiedział Barney.

- *Nikt* o tym nie słyszał. Republika Zielonego Przylądka to kraj czerpiący dochody z turystyki. Nie zgłosili choroby. Oficjalnie nic się nie stało.

- A w rzeczywistości?

- Nic wielkiego.

Aleksander zdusił śmiech. Barney spiorunował go wzrokiem.

- Zlikwidowali chorobę, wprowadzając kilka zasad higieny oraz kwarantannę.

- Ilu było chorych?

- Kilkudziesięciu nieszczęśników żyjących w norach bez elektryczności i bieżącej wody miało biegunkę. Przeżyli wszyscy poza jednym starym biedakiem. Zresztą i tak był umierający.

- Ta historia zdecydowanie dostarcza nam alarmujących rewelacji - zakpił Aleksander, wyciągając z kieszeni chusteczkę.

- Nie alarmujących, lecz interesujących - gniewnie poprawił go Paul.

- Dlaczego? - spytał Barney.

Efekt, jaki z początku wywołała obecność Kerry, powoli gasł i Barney garbił się coraz bardziej, a w jego tonie słychać było nutę znudzenia.

- Ponieważ po pierwsze, według doktora Chámpela, zahaczając o Zielony Przylądek, cholera znacznie odbiega od swej zwyczajowej trasy. - By nie rozdrażnić Aleksandra, Paul pośpiesznie dodał: - Co więcej, epidemia wybuchła w trzech różnych miejscach archipelagu naraz. A to statystycznie jest niemożliwe.

- leś pan tego pewien?

- Champel nie ma co do tego wątpliwości. Otrzymał poufny raport sporządzony przez grupę portugalskich specjalistów, która udała się na miejsce. Nie doprowadzili swoich badań do końca z powodu nacisków rządu. Ostatecznie zostali wydaleny z kraju. Zdążyli jednak opracować mapę epidemii. Faktycznie wskazuje ona trzy różne ogniska choroby.

- Jakie wyciąga pan z tego wnioski?

- Należy się tam udać.

Kątem oka dojrzał uśmiech Kerry. Przejrzała go i uznała, że jego zagranie nie jest niebezpieczne.

- Proszę się nie obawiać o środki. Archie podpisał bardzo intratny kontrakt i będziecie mogli przemieszczać się wszędzie, gdzie zechcecie.

- Zgłaszam się na ochotnika - zasyczał Aleksander - uwielbiam wyspy.

Nikt nie zareagował, więc Barney ciągnął, zwracając się nadal do Paula.

- Kiedy chce pan polecieć?

- Jak najszybciej.

Paul spojrział ukradkiem na Kerry.

- Na wszelki wypadek zarezerwowałem lot na dziś wieczór.

- Bardzo dobrze. Niech pan tam jedzie i wraca jak najprędzej.

Następnie Barney zwrócił się do nowo przybyłej:

- Jeszcze dziś postaram się, by udostępniono pani biuro. Gdzie zechciałaby pani zamieszkać? Jeśli woli pani zatrzymać się w agencji, mamy pokoje dla przyjezdnych agentów. Jeśli nie, może pani udać się służbowym samochodem do hotelu na wybrzeżu.

- Nie - przerwała mu Kerry. - Pokoik na miejscu bardzo mi odpowiada. Miejsca na wybrzeżu pozostawię innym.

Przez ramię uśmiechnęła się do Paula.

Witamy w grze, pomyślał.

V

Gdzieś w Afryce Południowej

Po kilku przesłuchaniach Juliette zdołała rozszyfrowywać osobowość swoich ciemieńców. Mimo starań, jakich dokładali, by wzbudzić w dziewczynie trwogę, ich brak profesjonalizmu nie budził w niej szacunku. Amerykanka była impulsywna i łatwo dawała się ponieść emocjom. Źle ukrywała uczucia i zadawała zbyt bezpośrednio pytania. Co do mężczyzny, to niezależnie od jego pochodzenia było jasne, że do tej pory praktykował przesłuchania z użyciem siły. Kilka razy z największym wysiłkiem powstrzymał się od przemocy. Jego wyraźna chęć bicia budziła w Juliette niepokój, który potęgował jego zniecierpliwienie. Permanentnie balansowała na granicy śmiechu i płaczu. Gdy w Chaulmes wygrała z Jonathanem tę partię szachów, zdawała sobie sprawę, jak nikła była jej szansa powodzenia. I oto obudziła się na obcym kontynencie, w samym sercu afery, o której nic nie wiedziała, twarzą w twarz z ludźmi o wiele groźniejszymi niż jej dawny chłopak, abnegat i asekurant.

Co więcej, jej zamaskowani strażnicy byli tylko sfrustrowanymi wykonawcami rozkazów. Juliette czuła, że ich działanie uzależnione jest od kogoś z zewnątrz, kto kieruje tą złożoną akcją, kogoś, kto nie chce się na razie ujawnić. Prawdopodobnie tej osoby nie było tu, na miejscu. Nie zdarzyło się, by jedno z przesłuchujących opuściło pokój w celu przeprowadzenia konsultacji z kimś, kto ewentualnie mógłby znajdować się w pobliżu. Niemniej jednak pod koniec każdego przesłuchania ciemniacy Juliette wydawali się bezradni, jak gdyby wyczerpał się przygotowany dla nich zestaw pytań. Nazajutrz powracali z nową serią tematów do omówienia.

Według takiego właśnie scenariusza potoczył się nocny seans, w trakcie którego powrócili do tematu Jonathana.

- Co dokładnie Jonathan opowiadał ci o swoim życiu?
- Powiedział mi, że mieszkał w Stanach Zjednoczonych mniej więcej w tym samym co ja czasie.
- Wyjaśnił, co tam robił?
- Był lektorem języka francuskiego w college'u.
- W którym?
- Brynmore, niedaleko Waszyngtonu. To żeński college. Dostyc sobie použíwał, jak przypuszczam...
- Czy opowiadał ci o swojej działalności? - sucho ucięła Amerykanka, która wyraźnie postanowiła nie pozwolić dziewczynie na zbrukanie prestiżowego amerykańskiego college'u francuską ironią.

Juliette przywykła do gospodarzy i wymuszonych nocnych spowiedzi, toteż pozwalała sobie czasem na odrobinę swobody w zwierzeniach. Bywało, że zamiast udzielenia konkretnej odpowiedzi na pytanie uciekała w świat dygresji. Wystarczyło, by podążyła za nicią poplątanej sieci chaotycznych myśli, jakie kłębiły się w jej głowie. Drażniło to potwornie jej rozmówców, lecz równocześnie nie przeszkadzało im, gdyż mogli w ten sposób przedłużyć proces wyłuskiwania informacji, który powinien wypełnić całą noc.

- W tamtym okresie byłam jeszcze pod wpływem mojej przygody w Greenworldzie.

Tu Juliette zaczęła po raz kolejny snuć opowieść o swojej działalności na łonie organizacji. W pewnym momencie Amerykanka straciła cierpliwość.

- Moje pytanie dotyczyło zaangażowania *Jonathana* w sprawę ekologii w Stanach Zjednoczonych.
- Nie dzielił się ze mną szczegółami. Mogłam jedynie sama wywnioskować różne rzeczy.
- Sama? - zaciskając pięści, warknął Południowoafrykańczyk.
- Musicie zrozumieć, że było to tuż po moim upadku z bardzo wysoka. Po okresie chwały i chwilowego uwznioślenia, postrzegałam wszystko w czarnych barwach. Otaczający mnie świat budził we mnie obrzydzenie. Jonathan powiedział mi coś, co jak sądzę

więzało się z jego własnym doświadczeniem. Doświadczeniem ze Stanów Zjednoczonych.

- Co to było?

- Powiedział mi, że na całym świecie i w każdej epoce wielkie ideały zdradzane były przez ludzi, którzy mieli ich bronić, lecz okazali się na to zbyt słabi. Tym sposobem wszystkie rewolucje unicestwił burżuazyjny reformizm. Jonathan traktował ekologię jako walkę ostateczną, walkę, w której gra nie toczy się o dobro społeczne czy dobro jednego gatunku, lecz o przyszłość całej planety. Niestety i ona nie odbiegała od smutnej reguły. Dusiły ją dewiacje i kompromisy.

Amerykanka robiła notatki od dwóch nocy, może tylko po to, by nadać treści długim godzinom. To, co mówiła Juliette, zdawało się ją pochłaniać bez reszty. Notowała gorączkowo, nie odrywając wzroku od kartki.

- Jonathan uważał, że we Francji debacie ekologicznej bardziej niż gdziekolwiek na świecie brakuje konsystencji. Francuscy ekolodzy po uszy tkwią w bagnie politycznych rozgrywek. Polubili posiadanie władzy, więc do znudzenia praktykują metodę kompromisu. Nawet ci, którzy uważają się za wolnych od polityki, jak na przykład bojownicy organizacji Greenworld, nie mają odwagi na śmielsze akcje. Ja także to odczułam. Po manifestacji, w czasie której zostałam ranna, czułam się jak Joanna d'Arc. Byłam gotowa toczyć walkę do ostatniej kropli krwi, niestety aparatczycy przestraszyli się i haniebnie wzięli nogi za pas.

- Nie chcemy znowu słuchać o Francji. Pytamy o Stany Zjednoczone.

- Jasne. O ile dobrze zrozumiałam Jonathana, w Stanach istnieją o wiele silniejsze grupy ekologiczne, z prawdziwie rewolucyjnymi ambicjami. Jonathan wstąpił do jednej z nich, która miała swą agencję w college'u Brynmore. Nie zdziwiłabym się, gdyby wszystko zaczęło się od jednej czy dwóch ładnych dziewcząt, które w niej działały...

- Wątpisz w szczerość jego przekonań? - przerwała jej Amerykanka.

- Trudno mi je ocenić. Gdy mówi, to wiecznie z tą ironiczną, sceptyczną manierą.

Pomiędzy kolejnymi seansami przesłuchania Juliette miała dużo czasu, by myśleć o Jonathanie. Jej uczucia do niego stawały się klarowne. Po krótkim etapie namiętności, następnie pogardy, nadszedł czas na coś w rodzaju pozbawionej iluzji czułości.

- Jak nazywała się organizacją, do której należał?
- One Earth.
- Zetknęłaś się z nią?
- Nie. Nie istnieje w Europie.
- Starłaś się zdobyć informacje na jej temat?
- Nie. Wiedziałam tylko, że została stworzona w Stanach Zjednoczonych w celu zerwania z bezpłciowym modelem klasycznych stowarzyszeń zajmujących się ochroną przyrody, jak na przykład Sierra Club. Początkowo mieli stosować walkę bezpośrednią, uciekając się czasem do przemocy. To właśnie spodobało się Jonathanowi. Zdał sobie jednak sprawę, że i ta organizacja zdradziła swoje ideały. Podobno przywódcy One Earth znacznie się wzbogacili.

- Powiedział ci, że opuścił organizację?

Juliette zdążyła się zorientować, że jej rozmówcy wiedzieli na ten temat niewiele więcej niż ona. Niemniej jednak ich zainteresowanie było oczywiste: mężczyzna wpatrywał się w nią badawczo, podczas gdy jego współpracowniczka przestała notować i podniosła wzrok.

- Nie podzielił się ze mną szczegółami związanymi z odejściem z One Earth. Wywnioskowałam tylko, że pod koniec pobytu w Stanach Zjednoczonych odbył kilka ostrych rozmów z przełożonymi. W organizacji zebrała się cała grupa aktywistów, którzy odrzucali nowy konformistyczny nurt i żądali powrotu do radykalnych metod.

- Jakiego typu?

- Nie podał konkretów. - Przerwała na chwilę. Przed oczami przesunęły jej się obrazy sprzed lat. - Nie rozmawialiśmy o szczegółach. Porozumiewaliśmy się językiem dość mglistego oburzenia i ogólników. Poiliśmy się pustymi frazesami, obrazami przemocy, nienawiścią do glin i działaczy sektora przemysłowego... byli dla nas synonimami kryminalistów wykańczających planetę, tego typu sprawy... Wtedy dobrze mi to robiło.

- Wyjaśnił ci, dlaczego wyjechał z USA?
- Jego praktyki w college'u dobiegły końca, a rodzice chcieli, by dokończył studia.

- Nie zdziwiło cię to? Buntownik wracający potulnie do rodziców?

- O tym dowiedziałam się później. Początkowo przedstawił mi zupełnie inne powody. Powiedział, że członkowie radykalnego odłamu organizacji zdecydowali z nią zerwać i zachęcili go do powrotu do kraju. Mieli utrzymywać z nim kontakt, gwarantując sobie tym samym łączność z Europą. Dał mi do zrozumienia, że może kiedyś nadarzy się okazja współpracy z nimi. Poprosiłam go, by dał mi o tym znać.

- Kiedy dokładnie to się stało?

- Jakieś dwa lata temu.

- Przez te dwa lata byliście razem?

- Nie. Zdałam egzaminy i zamieszkałam w Chaulmes, by pracować jako nauczycielka w gimnazjum Montbéliard. Jonathan został w Lyonie. Nie widywaliśmy się często.

- Pozostał ci wierny?

Amerykanka rzuciła wściekła spojrzenie na kolegę, słysząc, jak zadaje to pytanie.

- Było mi to obojętne. Nie kochałam go już.

- Dlaczego? - drażył mężczyzna.

- Nakryłam go na kilku ohydnych kłamstwach.

- To znaczy?

- Na temat jego życia, rodziców.

- Poznałaś ich?

- Nie, nie rozmawiał o nich ze mną. Na początku myślałam, że był podobnie jak ja wolny, zbuntowany, i że jego pierwszy bunt polegał na zerwaniu z rodziną. Z biegiem czasu zdałam sobie sprawę, że było zupełnie odwrotnie. Rodzice opłacali mu pokój w Lyonie, odwiedzał ich regularnie, by domagać się pieniędzy.

- Poprosiłaś, by ci to wyjaśnił?

- Nie. Po prostu oddaliłam się od niego. Wkrótce potem dostałam pracę w Jurze, więc rozstaliśmy się w zgodzie.

- Wiesz, czym zajmują się jego rodzice?

- Teraz tak.

- Kiedy odkryłaś prawdę?
- Gdy powiedział mi o Wrocławiu i poprosił o pomoc.
- Dlaczego akurat wtedy chciałaś wiedzieć, kim są jego rodzice?

- Nie chciałam. Odkryłam prawdę przez przypadek, gdy próbowałam się do niego dodzwonić. Nigdy nie odbierał telefonu komórkowego, więc poszłam do niego do domu. Jedynym adresem, jaki miałam, był adres jego rodziców. Dowiedziałam się, jak nazywa się jego ojciec, to znaczy ojczym. Wystarczyło poszperać w internecie, żeby dowiedzieć się reszty.

- To znaczy?

- Ojczym Jonathana jest potentatem zbrojeniowym. Trucicielem numer jeden, a na dodatek handlarzem śmiercią. Tacy jak on zasługują na czołowe miejsce na czarnych listach ekologów.

- Nie przeszkodziło ci to jednak w oddaniu Jonathanowi przysługi?

- Nie - odparła Juliette i zamyśliła się. - To dziwne, prawda?

Wielokrotnie wspominała ich pierwsze spotkanie, w czasie nieudanej akcji w elektrowni jądrowej. Była teraz przekonana, że Jonathan siedział w kawiarni nie dlatego, że się zgubił, lecz chciał uniknąć scysji z policją i umyślnie porzucił grupę bojowników. Był niezdolnym do ryzyka tchórzem.

Niemniej na tym konkretnym etapie przesłuchania zależało jej na ukazaniu Jonathana w nieco bardziej pozytywnym świetle. Nie wiedziała dlaczego, ale intuicja podpowiadała jej, że ich losy w obecnej sytuacji są od siebie zależne. Zapewnienie o lojalności Jonathana oznaczało zagwarantowanie sobie bezpieczeństwa.

- Nigdy nie przyjął pełnej odpowiedzialności za swój bunt, ale w pewnym sensie był w nim szczerzy. Jestem pewna, że pozostał lojalny wobec grupy, do której dołączył w Stanach Zjednoczonych.

Świadkowie jej zwierzeń łączywie chłonęli ostatnie słowa, po czym oświadczyli, że seans dobiegł końca.

Przesłuchania nie sprawiały Juliette przyjemności. Jedyłą ich zaletą było podtrzymanie stanu permanentnej czujności poprzez zmuszanie jej do szybkiego myślenia i uprzedzania ciosów. Zadawane jej pytania i reakcje rozmówców ukierunkowywały przyspieszony tok jej myśli.

Znacznie gorzej znosiła teraz dzień. Myśli bezładnie spływały strumieniami, jedno wspomnienia nakładały się na drugie, zalewały ją obrazy i nieuchwytnie pragnienia. Spędzała czas, krążąc między pokojem i podwórkiem, gorączkowo łapiąc się każdej czynności, byle tylko zająć ręce. Udało jej się rozpleść włókno po włóknie kawałek płótna walający się na patio. Była w stanie pobudzenia, które nie pozwalało jej zasnąć. Nie odczuwała jednak potrzeby snu, jak byk oczekujący na rozpoczęcie korridy, doskonale świadomy walki, którą będzie musiał stoczyć. W ciemności boksu marzyła o złoce- niach areny i pokrzykiwaniu tłumu żądnego krwi. Jej niecierpliwość rosła wraz z upływem godzin przesłuchania. Czuła, że niedługo się zakończy. Kolejnej nocy jej przeczucia potwierdziły się.

- Jakimi słowami Jonathan opisał ci misję we Wrocławiu?
- Amerykanka ruszyła do ataku.

Wreszcie do tego doszliśmy, pomyślała Juliette i wyprostowała się na krześle. Wszystkie jej mięśnie były napięte do granic moż- liwości.

- Powiedział mi, że amerykańska grupa skontaktowała się z nim w sprawie akcji przygotowywanej w Europie.

- Jakiego typu akcji?

Najwyraźniej Amerykanka przygotowała się do samodzielnego prowadzenia przesłuchania.

- Powiedział mi, że celem jest uwolnienie zwierząt laborato- ryjnych.

- Przypuszczałaś, że grupa, z którą Jonathan związał się w Sta- nach Zjednoczonych, interesowała się wyzwoleniem zwierząt?

- Wiedziałałam, że chroniąc przyrodę, preferowali akcję bezpo- średnią.

- Jak uzasadnił wybór celu ataku?

- Nie zrobił tego. Zresztą nie pytałam. Cieszyłam się, że mogę znowu odegrać istotną rolę.

- Nic nie wydało ci się dziwne w opisie misji?

- Nie. Poza tym wyjaśnił mi kilka rzeczy.

- Na przykład?

- Konieczność pozostawienia dwóch różnych śladów, by upo- zorować, że to dwie osoby dokonały włamania. Miało to zmylić straż graniczną i odwlec śledztwo.

- A dewastacja laboratorium?
- Jonathan powiedział, że nie chodzi wyłącznie o uwolnienie zwierząt. Zważywszy na eksperymenty, jakim je poddano, i tak nie przeżyją. Należało przede wszystkim ukarać tych, którzy popełnili te zbrodnie. Koncepcja bardzo mi się spodobała.

Po tym oświadczeniu nastąpiła długa cisza. Południowoafrykańczyk, który od początku przesłuchania trzymał się na uboczu, teraz stanął obok swej współpracownicy, naprzeciwko Juliette. Na jego podkoszulku pod pachami widniały dwie plamy potu. Mężczyzna drżał nieznacznie.

- Czy Jonathan powiedział ci, dlaczego masz zabrać z laboratorium fiolkę z czerwonym korkiem?

- Nie.

Jeżeli ma mnie uderzyć, nastąpi to teraz, Juliette wyprostowała się jeszcze bardziej.

- Nie pytałaś o powód?

- Nie.

Amerykanka była zaskoczona i zirytowana nagłą ingerencją kolegi. Ten jednak kontynuował.

- A czy obecnie orientujesz się, o co chodzi?

Zdenerwowanie Amerykanki było uzasadnione. Mężczyzna zbyt pośpiesznie zdradził niecierpliwość i niepokój w ostatniej, kluczowej fazie przesłuchania. Juliette rozluźniła się i oparła wygodnie na krześle.

- Jonathan bardzo oględnie zasugerował mi, że wrocławska misja stanowiła część operacji na znacznie większą skalę. Była tylko cegiełką budowli.

Ciepłe, nocne powietrze przynosiło ze sobą żabi rechot, szelest liści, Juliette słyszała echo tam-tamów w oddali.

- Nietrudno było odgadnąć, że ogniwem łączącym akcję we Wrocławiu z dalszym ciągiem wydarzeń jest fiołka.

- Z kim podzieliłaś się tymi spostrzeżeniami?

- Z nikim.

- Kto prosił cię o zachowanie fiołki?

- Nikt.

- Kto dał ci pomysł, by użyć jej jako narzędzia szantażu?

- To nie jest szantaż.

- Dlaczego więc nie oddasz jej tym, którzy tego żądają?
- Chcesz zniweczyć plan? - zajadle rzucił mężczyzna.
- Chcę po prostu dalej uczestniczyć w akcji.

Juliette patrzyła im prosto w oczy. Już we Wrocławiu podjęła taką decyzję. Zamknęła rozdział melancholii. Odnalazła odkryty w czasie manifestacji Greenworldu i wkrótce utracony stan uniesienia. Przez tyle lat samotności bezskutecznie starała się go odtworzyć. Czy im się to podoba, czy nie, teraz się jej nie pozbęda. Pozwolą jej kontynuować.

- Wasz cel, czymkolwiek jest, i ja to jedno i to samo. - Wymówiła zdanie powoli i twardo. - Misję we Wrocławiu wypełniłam bez zarzutu. Sama zadecydowałam, że na tym nie poprzestaną. Możecie na mnie liczyć do zakończenia misji.

Po kilku nocach między trojgiem ludzi: więźniem i strażnikami wytworzyła się pewna forma wrogiej zażyłości. Poznała ich charaktery. Z kolei oni, pomimo prostactwa, nie mogli nie nauczyć się rozróżniać prawdy od fałszu w jej zeznaniach.

Cisza zdawała się wydłużać w nieskończoność. Gdy Amerykanka przemówiła, jej ton był już inny.

- Gdzie ona jest?
- Co?
- Fiolka?

Juliette wiedziała, że starannie przeszukali jej bagaż. Była też pewna, że złożono wizytę w domu w Chaulmes w czasie jej nieobecności. Tak jak i w kawalerce w Genewie, a może nawet w mieszkaniu jej ciotki.

- W bezpiecznym miejscu.
- To znaczy gdzie?
- W Stanach Zjednoczonych.

Z opowiadań Jonathana wynikało, że centrum dowodzenia misją znajdowało się w Ameryce. Juliette, próbując przewidzieć logiczny rozwój wydarzeń, wysłała fiolkę za ocean. Dlatego zbierała, odkrywając, że leci do Afryki Południowej.

- Gdzie dokładnie? Komu przekazałaś fiolkę?

Zeznanie Juliette wywołało prawdziwą panikę. Przypuszczenia, które powstały w ich umysłach, musiały ich bardzo przerazić. W paranoicznych umysłach członków radykalnych ugrupowań

wszelkie formy zdrady są prawdopodobne. Jonathan mówił jej o tym. Juliette zaryzykowała...

- Nie ma sensu podawanie nazwiska. Ta osoba nie przekaże fiolki nikomu poza mną i w mojej obecności.

Od początku seansu przyglądała się kwadratowym i pokrytym czarnymi włosami dłoniom mężczyzny. Zastanawiała się, w którym miejscu odcisną się na jej ciele: na policzku, szyi, pokryją je całe sińcami? Te niecierpliwe dłonie zdawały się tylko czekać na zakończenie przesłuchania.

Milczeli. Juliette postawiła sprawę jasno. Albo przyjmą ją do swojego grona i pozwolą jej walczyć dla dobra sprawy z całą jej energią i lojalnością, albo wstąpią na wojenną ścieżkę. Oba rozwiązania nosiły znamiona ryzyka. W centrum obu rozwiązań była Juliette, której nie dało się wyeliminować. Chyba że za cenę utraty wszystkiego.

Amerykanka dała znak koledze, i w tym samym momencie Juliette zrozumiała, że zagrożenie, jakiego obawiała się ze strony mężczyzny, zostało odsunięte w czasie. Zapewne chcieli naradzić się z tajemniczymi partnerami.

Odprowadzili ją do pokoju bez słowa. Południowoafrykańczyk zatrzasnął gniewnie drzwi. Jego twarde dłonie musiały zadowolić się brutalnym przesunięciem skobla. Po raz pierwszy od przyjazdu Juliette została zaryglowana w swej wąskiej celi.

Ocknęła się kolejnego popołudnia. Fałdy poduszki odcisnęły się na jej policzku. W kąciку ust poczuła zaschniętą strużkę śliny. Tak naprawdę ze snu wyrwał ją zgrzyt klucza w zamku. Nie zdążyła nawet zadać sobie pytania, co się dzieje, gdy nagle do pokoju weszli dwaj Afrykańczycy w błękitnych T-shirtach z krótkimi rękawami. Jeden z nich niósł w rękę walizkę Juliette. Dali dziewczynie znak, by poszła z nimi. Przed wyjściem z domu zawiązali jej na oczach czarną opaskę.

Jazda samochodem trwała krótko. Juliette z radością oddychała ciepłym i suchym powietrzem wpadającym do auta przez opuszczoną szybę. Potem poczuła zapach kerozyny. Rozpoznała chłodną gładkość skórzanych siedzeń samolotu, którym przyleciała. Ktoś zdjął jej z oczu opaskę. Dwie godziny później była

w Johannesburgu, na lotnisku. W dłoni trzymała bilet do Miami.

Gdy szła korytarzem z czarnego marmuru do terminalu, zorientowała się, że podśpiewuje pod nosem. Zwyciężyła w pierwszej rundzie.

VI

Archipelag Zielonego Przylądka

W drodze do Ilha do Sal Paul zastanawiał się, czy Lawrence miał rację. Istotnie wszczęli kosmiczne śledztwo, opierając się na relatywnie nikłych przesłankach. Historia cholery, początkowo robocza hipoteza, teraz stała się siłą napędową dochodzenia. Uzależnienie, w jakim tkwił doktor Champel, człowiek teoretycznie rozsądny, ewidentnie mogło się udzielać. Cholera. Było w tej chorobie coś fascynującego. Paul strona po stronie pochłaniał obszerną dokumentację, którą zabrał ze sobą na drogę.

Wszak cholera należała do patologii prostych i nieinteresujących. Żadna inna choroba nie dorównywała nieapetyczności i popolitości jej symptomów. W ciągu kilku minut cholera przeistacza człowieka w dziurawy bukłak, z którego leje się z każdej strony. Z pewnością to nie ten aspekt czyni ją pasjonującą. Cóż więc jest w niej takiego? Być może kilkusetletnia historia na ziemi; a może zuchwałość, dzięki której wyprzedziła pierwsze oznaki globalizacji; a może zażyłość z człowiekiem, z którym od wieków jednoczyła się w cierpieniach, była towarzyszem jego wojen i biedy, wielkich katastrof i smutnej codzienności w nędzy.

Cholera jest ukrytym aspektem człowieczej przygody. Gdy już rozprzestrzeniliśmy się po powierzchni naszej planety, gdy wywalczyliśmy godne miejsce na ziemi, gdy okiełznaliśmy żywioły, cholera zapukała do naszych drzwi, by przypomnieć, że zarówno odwaga, jak i nasza siła nie są nieskończone. Cholera nieustannie każe płacić tym, którzy ośmielą się uznać, że dokonał się postęp. Króluje wśród nędzników, poświęconych w wojnach, ofiar naszej próżności zdobywców. Cholera to świadomość naszych porażek, świadek słabości, symbol ziemi, do której należymy, pomimo

wiary w duszę ulatującą do niebios idei, postępu, nieśmiertelności.

Kto mógłby zechcieć uzbroić się w to właśnie narzędzie? Jaki mógłby być owoc syntezy sumienia ludzkiego i mrocznej strony ludzkiej egzystencji? Z filozoficznego punktu widzenia pomysł manipulowania cholera, niezależnie od znaczenia, jakie może mieć jako broń biologiczna, wydaje się fascynujący. Paul rzucił się w pogoń za tą uludą, ryzykując, że absurdalne pomysły nie przyniosą mu nic poza wysokim rachunkiem.

Takimi torami wędrowały myśli Paula, gdy samolot linii lotniczych TAP zatoczył łuk nad powierzchnią morza, by ustawić się na osi pasa lądowania. Przygnębienie, jakie wywołała myśl o ogromie nieporozumienia, spotęgowało się tylko, gdy przemierzał odległość dzielącą samolot i terminal w duchocie słonecznego popołudnia. Po co przyjechał aż na koniec świata? Czego dokładnie szukał? Śladu przestępstwa popełnionego za pomocą cholery? Prawie nikt nie ucierpiał. Miałby to być dowód na związek choroby z wolą człowieka? Jak jednak ustalić ten związek po upływie roku?

Miał ochotę wycofać się z tych zawodów i wsiąść z powrotem do samolotu. Niestety o tej porze roku Sal jest miejscem, z którego niełatwo się wydostać. Wiosną kursujące samoloty są pełne. Długość wczasów jest przestrzegana tak samo rygorystycznie jak długość kary więziennej. Paul doszedł do kontroli policyjnej otoczony tłumem rozradowanych turystów, skazanych na siedem albo czternaście, w przypadku recydywistów, dni.

We Wrocławiu i w Londynie popełnił wiele błędów, dlatego tym razem przygotował się starannie. W surfingowych bermudach, bejsbolowej czapce z daszkiem z symbolem Nike, sandałach i z rakieta tenisową przewieszoną przez ramię posiadał wszystkie atrybuty poprawnego turysty. Uznał, że taka przykrywka wystarczy mu w zupełności.

Champel przesłał mu kopię kompletnego raportu portugalskich naukowców. Dokument zawierał analizę cech charakterystycznych ostatniej epidemii cholery. We wstępie umieszczono uwagę o ryzyku, jakie podejmowała każda interesująca się tym tematem osoba w razie nakrycia jej przez miejscowe władze. Elita rządząca w Republice Zielonego Przylądka miała pełną świadomość znacze-

nia turystyki dla gospodarki kraju. Postanowiono nie dopuścić do tego, by newralgiczny temat epidemii był poruszany publicznie. Przekonali się o tym portugalscy epidemiolodzy. Tydzień po rozpoczęciu badań zostali zatrzymani przez policję. Po nieprzyjemnym przesłuchaniu zatrzymano ich na kilka dni, a potem wydano z wysp. To wyjaśniało fragmentaryczny charakter wniosków. Zdążyli jedynie sformułować argumenty, które świadczyły według nich o podejrzanym charakterze przyczyn wybuchu epidemii.

Zgodnie z tym, co mówił Champel, epidemia wybuchła jednocześnie w trzech miejscach, na dwóch wysepkach. Hipoteza zakażenia drogą naturalną była mało prawdopodobna ze względu na korelację czasową oraz brak styczności ze sobą trzech ognisk. Winnym epidemii był zwyczajny przecinkowiec typu O1, więc nie dało się stwierdzić, skąd pochodził. Jeden z badaczy portugalskich miał czas sprawdzić listy pasażerów przybyłych na wyspy Zielonego Przylądka na jakiś czas przed wylęgnięciem się choroby. Żaden nie przyjechał z rejonów endemicznych.

Tyle informacji posiadał Paul, rozpoczynając swoje śledztwo.

Udał się do Sao Tiago statkiem i zostawił bagaż w zarezerwowanym dla niego hotelowym pokoju Pousada de Prahia. Z okna dostrzegł skrawek oceanu pomiędzy dwoma szeregami białych domków. Zrobił sobie spacer po mieście. Zapomniał okularów przeciwsłonecznych, więc przy okazji kupił nową parę.

Portugalska tradycja wyrobu porcelany znana jest na całym świecie. Na wyspach Zielonego Przylądka daje to szczególnie kontrastowy efekt. Koronki kutego żelaza, fajansowe biało-niebieskie fasady, czarno-białe arabeski spadzistych stoków, Portugalczycy dokonali cudu, by zamaskować szczątki ostygłych wulkanów. Z czułością wymalowali subtelne kształty, delikatne wzory na szarej i pofałdowanej zastygłej lawie. Biorąc jednak pod uwagę Historię, ornamenty nie odebrały pejzażowi ani cienia tragizmu. Przez długie stulecia Zielony Przylądek stanowił ponury etap na morskim szlaku niewolnictwa. W umyśle Paula odżyła pamięć o losie jego czarnych przodków, uratowanych w Luizjanie przez nieznanego bohatera bractwa zwanego „podziemną koleją żelazną”. W nim samym, poza lekko śniadą cerą i gęstymi włosami, nie było zbyt wielu śladów tych odległych korzeni, zagubionych

w wielokrotnym przemieszaniu się krwi. Mimo to odczuwał czyste wzruszenie, jak gdyby archipelag był jedną z rodzinnych pamiątek.

Dzięki sprawozdaniu epidemiologów dysponował precyzyjnymi danymi na temat lokalizacji zaobserwowanych ognisk cholery. Pierwszy ośrodek znajdował się na wyspie Sao Tiago, na północny zachód od Prahii, w strefie willowej na wybrzeżu. Postanowił w pierwszej kolejności zobaczyć to miejsce.

Nazajutrz rano pojechał taksówką na obrzeża strefy zakażenia. Zamierzał udawać spacerowicza i tym sposobem obejść teren. Niestety okolica miała zupełnie inny charakter, niż przypuszczał. Wybrzeże było strome, a asfaltowa, wąska droga, bez chodnika ani nawet pobocza, wiodła wysoko, prawie grzbietem klifu. Po drugiej stronie jedna za drugą tłoczyły się posiadłości. W otaczających je kamiennych murach co sto metrów znajdowały się bramy z litego żelaza, szczelnie odgradzające domostwa od spojrzeń obcych. Wejście do takiej twierdzy nie było niemożliwe, jednak wymagało specjalnych przygotowań, na które Paul nie miał czasu. Poza tym nic nie gwarantowało, że dowiedziałby się czegoś ciekawego, włamując do jednego z tych przybytków luksusu. Za zakrętem Paul dostrzegł nadbrzeże pokryte wypiełgnowaną roślinnością. Prawie nie widać było domów poutykanych w bujnym listowiu. Drewniane i kamienne schodki prowadziły do prywatnych zatoczek, w których kołysały się na falach sportowe łajby. Nic bardziej nieprawdopodobnego niż epidemia cholery w tej luksusowej krainie dla miliarderów.

Zresztą Paul pamiętał z raportu, że choroba nie dotknęła „wielkich panów”, poza pewnym nastolatkiem o wątpliwej higienie osobistej, lecz sprzątaczkę, strażników, zwykłych pracowników, którzy nie mieli prawa przebywać w salonach i czas spędzali w pomieszczeniach dla służby. Wszystkie przypadki szybko wyleczono.

Podstawowe pytanie, które należało zadać, dotyczyło sposobu, w jaki choroba rozprzestrzeniła się w tych odgradzonych i oddalonych od siebie domostwach. Potężne mury oddzielające posiadłości skutecznie odpierały argument sąsiedzkiej wymiany. Pierwsza hipoteza, jaką postawił Paul, opierając się na swojej wciąż jeszcze podstawowej wiedzy na temat cholery, dotyczyła wody.

- Co piją mieszkańcy tych domów? - zapytał kierowcy tak sówki.

Wielki, łysy i jowialny Murzyn prowadził samochód, niemal kładąc się na kierownicy. Od dłuższego czasu czekał, aż nadarzy się okazja do pożartowania z małomównym pasażerem, mimo iż od samego początku dał mu wyraźnie do zrozumienia, że mówi po angielsku.

- Co piją? Ci bogacze? No, pewnie whisky, porto, wino, co Bóg da. Czemu mieliby sobie odmawiać?

- Mam na myśli wodę. Czy na wzgórzu jest jakieś źródło?

- Nie.

Kierowca wyprostował się i zwiesił luźno ramię przez okno. Nareszcie był w swoim żywiole: zaczynał snuć opowieść o swojej wyspie, odpowiadając na naiwne pytania turystów.

- Kiedy byłem mały, uwierzy mi pan czy nie, niczego tu nie było. Kompletna pustka. Chodziliśmy z bratem łowić czerwone kraby przy skałach. Jeśli zapomnieliśmy manierki, zdychaliśmy z pragnienia. Oto jak było.

- A te drzewa...

- Mają tyle lat, co ja. Posadzono je w czasach, gdy wiercili tam na górze.

Wskazał na lewo, gdzie żadne mury nie zasłaniały widoku. Poza buszem ziemia była z tej strony sucha, czarna i naga. Niedaleko grzbietu dawało się rozróżnić kształty olbrzymiego zbiornika.

- Musi być stamtąd ładny widok. Zatrzyma się pan na chwilę? Chciałbym rozprostować nogi.

Kierowca zerknął w lusterko wsteczne. Ani za nim, ani przed nim nie było samochodów.

- Bardzo proszę. Zapalę sobie przez ten czas.

Wyjął pogniecioną paczkę tytoniu i cienką bibułkę i zaczął skręcać papierosa.

Paul wdrapał się na kamienie i przedzierając się przez krzaki, wyszedł na sam grzbiet, który w rzeczywistości okazał się podnóżem góry i ciągnął aż do stóp widocznego w oddali Pico de Sao Antonio. Od strony morza posiadłości jeszcze bardziej wydawały się ogrodami. Pomimo zrzęczości architektów krajobrazu dało

się zauważyć pewną regularność w układzie lokalnych gatunków drzew, która zdradzała ingerencję ludzkiej ręki.

Było oczywiste, że cholera nie mogła wkraść się do tych bastionów zbytku, chyba że ktoś jej w tym pomógł. Paul miał dwie hipotezy na ten temat, obie dało się sprawdzić z miejsca, w którym się teraz znajdował.

W myśl pierwszej, zainfekowano okolicę, którą zamieszkiwała służba. Rzeczywiście, po drugiej stronie grzbietu, niewidoczne z drogi i willowych ogrodów, znajdowało się skupisko chałup. Prawdopodobnie były to domy personelu. Liczne rodziny pracowników willi żyły w tubylczej wiosce. Być może zakażenie odbyło się tą właśnie drogą. Paul nie mógł się do nich zbliżyć, lecz z daleka wyglądały nędznie, dachy baraków pokrywały blachy, ściany ulepione były z gliny wymieszanej ze słomą. Niemniej jednak obserwacje epidemiologów przemawiały przeciwko pierwszej hipotezie. Podobno prawie nikt z pracujących w bogatych willach nie pochodził z osady. Wynikałoby z tego, że do kontaktu z przecinkowcem doszło w luksusowych domostwach, a nie z powodu uciążliwego sąsiedztwa wioski.

Druga hipoteza była związana z wieżą ciśnień. Miała kształt walca i wybudowana została bezpośrednio na ziemi. Budowlę wieńczyła spłaszczona betonowa kopuła. Udając, że fotografuje morze, Paul pstryknął kilka zdjęć okrągłakowi. Zawrócił do samochodu.

Taksówkarz potwierdził, że woda pompowana i przechowywana w zbiorniku przeznaczona była wyłącznie do użytku mieszkańców posiadłości. Wieśniacy chodzili po wodę kilometr dalej.

Paul wrócił do hotelu, ale najpierw, jak na turystę przystało, pozwolił się obwieźć po najpiękniejszych zakątkach wyspy.

Nazajutrz rano popłynął promem na Agosto. Była to wysepka usytuowana najbliżej wybrzeża senegalskiego, na południowy wschód od archipelagu. To tu znajdowały się pozostałe zarejestrowane ogniska epidemii. Na tle wypiętrzonego z oceanu lądu rysowały się kontury dawnej kaldery, obecnie niemal całkowicie zanurzonej w wodzie.

Stawiając stopę na pomoście, Paul zrozumiał, że w tym miejscu czeka go trudne zadanie: nie sposób działać bez zwracania na

siebie uwagi na tej miniaturowej wysepce, gdzie wszystko, łącznie z portem i wioską, było maleńkie. Na tarasie portowej kawiarni siedziała beczynn timer grupka mężczyzn, unieruchomionych przez głębokie znużenie. Tragarze łowili nielicznych turystów jak rzadką zwierzynę. Paul zmuszony był zaciekle bronić się przed trzema wyrrywającymi sobie nawzajem jego walizkę. Kierowcy moto-taxi natarczywie zapraszali go do skorzystania z ich usług. Chłopcy ubrani w coś, co niegdyś zapewne było tużurkiem, przedstawiali się Paulowi jako przewodnicy i doradzali mu, w którym hotelu powinien się zatrzymać.

Na szczęście i tym razem, dzięki pomocy Providence, Paul wcześniej zarezerwował pokój. Podnosząc wzrok, zobaczył tuż przed sobą tabliczkę „Hotel Tubaráo”. Pokój czekał na niego właśnie w tym zajeździe wznoszącym się przy bulwarze nadbrzeżnym.

Wypisane na pokaźnym transparencie zachęcające hasło „Hotel numer 1 na wyspie” było autoreklamą opartą na grze słów. Istotnie, sądząc po grubych murach, otoczonym arkadami patio i kamiennej posadzce, budynek mógł liczyć kilka wieków. Wątpliwe było zaś to, by przodował pod względem komfortu. Zjedzone przez mole kapy, bakelitowe włączniki światła w kształcie oliwek zwisające nad szafkami nocnymi, i popękane emaliowane umywalki zdecydowanie odbierały hotelowi blask. Niemniej jednak trudno było przewidzieć standard konkurencji. Agosto było odosobnioną wyspą archipelagu, przez co niewielu turystów zapuszczało się w te strony.

Amerykanin natychmiast zrozumiał, że podstawową trudność stanowi nieustająca troskliwość, jaką okazywali mu tubylcy. Przyjęcie roli zwykłego turysty mogłoby całkowicie uniemożliwić mu zboczenie z wydeptanych ścieżek. Najbardziej niewinne, acz nietypowe pytanie wzbudziłoby zapewne podejrzenia. Epidemia cholery była niewątpliwie największym wydarzeniem na wyspie od dziesiątek lat. Nawet jeśli publicznie nikt nie mówił o katastrofie, to zapewne kojarzył z nią wszelkie docieklive pytania i nietypowe zachowania obcokrajowców. Paul postanowił w związku z tym uprzedzić podejrzliwość właściciela hotelu, seniora João, i zaszerwować mu kłamstwo, które usprawiedliwiłoby jego obecność na wyspie, a przede wszystkim jego swobodne wędrówki.

Do tego celu posłużył się zabawą w stereotypy. Któż jest bardziej przekonujący niż Rosjanin z upadłej książęcej rodziny albo mafijnego klanu? Wszak przedstawiając się jako uczciwy przedsiębiorca, nie byłby wiarygodny. Analogiczna sytuacja dotyczy Francuza: niesłychane historie o cudzołóstwie brzmią w jego ustach jak najświętsza prawda. Amerykaninowi zaś, by zaskarbić sobie zaufanie i przychyłność, wypada po prostu napomknąć o wyzwaniach technologicznych, wielkich, choć trochę naiwnych ideałach i kupie pieniędzy.

- Pracuję dla biura badawczego współpracującego z NASA - zaczął staranną angielszczyzną, którą zrozumiałby każdy pracownik hotelu na świecie. - Wyspa Agosto zlokalizowana jest dokładnie na linii planowanej strefy wprowadzenia w atmosferę kolejnego wahadłowca kosmicznego. To na razie dość... tajna sprawa.

Oko hotelarza zabłysło tą szczególną iskierką, jaką w chciwej żrenicy wywołuje wizja dolara. Tysięcy dolarów. Senior João zwinnie skoczył do drzwi, zamknął je i oparł się o nie plecami.

- Proszę mówić dalej.
- NASA zamierza wybudować tu stację obserwacyjną. Moim zadaniem jest określenie najbardziej odpowiedniej parceli.
- Na Zielonym Przylądku?
- Powiem więcej, na wyspie Agosto.

João był jasnoskórym Metyseem. Zanim zainwestował wszystkie oszczędności w hotel, dziesięć lat ciężko pracował w Portugalii, a potem trzy w Anglii. Pocąc się w tropikalnym klimacie, z lubością naśladował maniery Europejczyków, starając się wyróżnić spośród tubylców, których bez zahamowań pogardliwie nazywał „czarnuchami”. To, co właśnie zaanonsował mu Paul, oznaczało dla niego życiową szansę. Oczami wyobraźni ujrzał tabuny Amerykanów wypełniających hotel, płynące strumieniami dolary. Mierzył olbrzymie możliwości, jakie dawało mu utrzymanie informacji w tajemnicy. Kupi ziemię za grosze, odsprzeda agencji NASA, wybuduje wille dla inżynierów. Myśli te przyprawiły João o zawrót głowy. Widząc, jak opiera się o biurko i wyciera zroszone potem czoło, Paul zapytał:

- Żle się pan poczuł?

- Nie, nie, skądże. Proszę się nie niepokoić. Czy rozmawiał pan już z kimś innym o tym projekcie? Władze są poinformowane?

- Nie, w tym cały problem. Otóż jeśli zbyt wcześnie to ogłosimy, pociągnie to za sobą polityczne spory, korupcję... Zresztą zdaje sobie pan sprawę z ryzyka. Chcielibyśmy wprawdzie swobodnie wybrać teren, jaki by nam odpowiadał.

- Ma pan absolutną rację! - wykrzyknął João. - Niech pan nikomu o tym na razie nie wspomina! Może pan liczyć na moją bezinteresowną pomoc. Co za szczęście, że akurat na mnie pan trafił. Nie ma dwóch takich na wyspie.

Zdając się w pełni na bezinteresowną pomoc właściciela hotelu, Paul pozwolił mu opracować program zwiedzania wyspy. João zaproponował, że będzie mu osobiście towarzyszył i przedstawiał go jako dalekiego krewnego, któremu zapragnął pokazać okolicę. Następnego dnia rano pod tym pretekstem ruszyli maszynowym klimatyzowanym samochodem terenowym João w kierunku pierwszej wioski, w której wybuchła epidemia cholery.

Tworzyło ją kilka domków rozsianych po jałowym płaskowyzu. Szara lawowa ziemia pokrojona była siatką murków z kamienia i cierni. Stanowiła ona jedyny szczegół zdradzający, że to pola uprawne. Szczeliny pomiędzy drewnianymi belkami, z jakich zbudowano domy, niedokładnie wypełniono mieszaniną gliny i słomy. Niektóre ściany nosiły słabe ślady farby, którą zmyły zapewne krótkotrwałe, lecz ulewne deszcze. Paul rozejrzał się po osadzie. Obecność João sprawiała, że mieszkańcy trzymali się od nich w pewnej odległości.

- Czy tu jest woda?

João zawołał szefa wioski i szorstkim tonem przetłumaczył pytanie Paula.

- Mówi, że trochę wyżej wykopali zbiornik.

- Kto?

João powtórzył pytanie.

- Chyba Szwedzi. Sądzę, że w ramach jednego z programów rozwojowych.

- Chodzi o organizację pozarządową?

- Co takiego?

- Prywatne stowarzyszenie.

João począł się dopytywać. Wymiana informacji z wieśniakiem trwała długo, a jego ogólna ignorancja rozżłościła hotelarza.

- Mówi, że to byli młodzi ludzie. O ile mnie pamięć nie myli, mógł to być program rozwojowy Banku Światowego.

- Kiedy wykopali zbiornik?

- Jakieś pięć, sześć lat temu.

Poszli mu się przyjrzeć. O tej porze roku zbiornik przeistoczył się w prawie suchą kałużę, na której dnie pleśniało kilka centymetrów błotnistej wody. Brodziły w niej bosa kobiety, próbując napełnić wiadra.

- Poza tym nie mają innego źródła słodkiej wody?

- Mają. O wiele dalej, nieopodal drugiej wioski jest studnia. Czasem muszą chodzić po wodę aż tam.

Wrócili do samochodu i Paul poprosił o pokazanie mu przeciwnieległego zbocza kaldery, gdzie odkryto drugie ognisko choroby.

Droga wiła się po jałowym płaskowyzu. Prowadziła aż do przełęczy, której dwie omszałe krawędzie stanowiły najwyżej położone punkty wyspy. Po drugiej stronie czekała na Paula absolutna niespodzianka. Goły i suchy krajobraz ustępował naraz miejsca bujnej tropikalnej roślinności. Wszystko tu było zielone, gęste, wilgotne. Nawet ciepłe powietrze zdawało się inne. Parne i nawilgotnione, stanowiło mieszaninę oparów próchnicy i palmowych liści.

Paul, obawiając się, że João skojarzy fakty, wolał nie proponować od razu zwiedzania dotkniętej epidemią wioski. Wiedział, że po tej stronie wulkanu znajdowały się tylko trzy osady. Wyraził życzenie, by zawieziono go do nich po kolei, przewidując, że w końcu dotrze do interesującego go miejsca.

Wszystkie wioski okazały się bardzo do siebie podobne. Dotknięta chorobą osada, którą zwiedzili na końcu, nie wyróżniała się niczym szczególnym. W przeciwieństwie do wsi rozciągających się szeroko w suchej przestrzeni kaldery, leśne osady charakteryzowały się znacznym zagęszczeniem. Domki wydawały się tulić do siebie nawzajem, jakby w obawie przed duchami dżungli. Sądząc po wyglądzie, biedą dorównywały sąsiadom z pustynnego zbocza wulkanu. Ludzka nędza w sercu bujnej roślinności była tym bardziej rażąca.

- Przynajmniej tu problem wody nie istnieje - zagadnął Paul.
- Na zboczu jest pełno źródeł. Większość z nich to źródła gorące i mineralne. Część jednak daje wodę niezdatną do picia z powodu zawartych w niej substancji wulkanicznych. Ludzie jakoś sobie radzą, przyzwyczaili się.

W centrum wsi wił się wąski strumyk wypływający z wyżej położonego źródła. Woda płynęła wąskimi kanalikami wzdłuż domów, napełniając wydrążone w ziemi zbiorniki. Czerpano z nich wodę zarówno dla zwierząt, jak i ludzi. Naturalnie nie widać było śladu epidemii. Paul pamiętał, że w tej wiosce cholera dotknęła osiem osób i zebrała jedyne śmiertelne żniwo w postaci starca, biedaka żyjącego na obrzeżu wioski. Można było sobie wyobrazić straszliwe warunki, w jakich żył nieszczęśnik, patrząc na nędzę pozostałych wieśniaków. Paul nie dziwił się wątpliwościom, jakie odnotowano co do związku cholery ze śmiercią biedaka. Może nawet bez epidemii spotkałby go ten sam los?

Z tej przejażdżki zdecydowanie nie dało się wyciągnąć zbyt wielu wniosków. Paul z poświęceniem wykonał kilka rytualnych gestów mających na celu uwiarygodnienie w oczach Joao swojego kłamstwa. Zrobił kilka zdjęć, oszacował długość polany, mierząc ją długimi krokami, fachowo przyjrzał się niebu, jakby gołym okiem mógł dostrzec trajektorie promów kosmicznych.

Gdy wrócili do hotelu, była siódma wieczorem. Paul czekał na umówiony telefon z Providence. Kerry była poza zasięgiem. Każdy, z kim próbował się dogadać, dawał mu wymijające odpowiedzi albo udawał, że jest czymś bardzo zajęty. Śledztwo najwyraźniej toczyło się pełną parą. On z kolei na swoim turystycznym wygnaniu czuł się nieco odsunięty od serca akcji. Odrzucił propozycję Joao, by zjeść z nim kolację. Zamiast tego zamówił do pokoju paskudną kanapkę z pasztetem i usadowił się na balkonie, zaczął analizować zdarzenia mijającego dnia.

Obserwacje poczynione w terenie nie pozostawiały wątpliwości, że cholera nie mogła rozpanoszyć się jednocześnie w trzech różnych strefach bez ludzkiej ingerencji. Nie można było sobie wyobrazić bardziej odosobnionych i odciętych od świata miejsc. Stanowiły trzy niezależne od siebie ogniska, trzy mikrokosmosy,

w których choroba pojawić się mogła dokładnie w tym samym czasie wyłącznie na skutek decyzji człowieka.

Ale po co? Komu miałyby zależeć na chorobie garstki ludzi? Ostatecznie można by dopatrywać się chęci zemsty na mieszkańcach bogatej części willowej. Jak zatem wytłumaczyć przypadek wyspy Agosto? Na całej ziemi nie było bardziej bezbronniego, nic nieznaczącego i zapomnianego przez bogów miejsca.

Noc spowiła port i jego zabudowania. Powietrze, którego nie wypełniał już warkot motorów, odbijało echem głosy przechodniów i przytłumione pobrzękiwanie gitary dobiegające z sąsiedniej kawiarni. Dźwiękom tym wtórowało poszczekiwanie niezliczonych psów nawołujących się przez pola. Paul wyciągnął się na łóżku, wywołując kakofonię zgrzytów i szczęków sprężyn pod materacem. Duża, żółtawa plama na suficie wskazywała na minioną powódź. Kształtem przypominała wyspę ze swymi zatoczkami i przylądkami, gradacja barwy odwzorowywała zaś rzeźbę terenu. Nagle Paul podniósł się. Przypomnił sobie zdanie zasłyszane od doktora Chámpela:

- Wyspy - stwierdził - są prawdziwymi małymi laboratoriami.

To pracownie, w których obserwuje się rozwój epidemii, jej ewolucję, konsekwencje, jakie wywiera na społeczność lokalną.

Gdyby potraktować wprowadzenie przecinkowca cholery na Zielony Przylądek jako akcję terrorystyczną, wydaje się niezrozumiała i daremna. Gdyby jednak rozważyć hipotezę eksperymentu, wtedy wszystko nabiera sensu. Trzy ośrodki choroby stanowiły trzy różne modele wprowadzenia przecinkowca. W willowej dzielnicy Sao Tiago do zakażenia doszło bez wątplenia za pośrednictwem zamkniętego zbiornika. W Agosto czynnik chorobotwórczy został wprowadzony do zbiornika pod gołym niebem (strefa sucha) oraz do ciągu wodnego pochodzącego z ciepłego źródła (strefa tropikalna). Różnorodność warunków naturalnych i sytuacji pozwoliła autorom tego celowego skażenia zebrać informacje o zachowaniu się przecinkowca w odmiennych okolicznościach.

Kto mógłby być autorem operacji i w jakim celu ją przeprowadził?

Wydarzyło się to o wiele wcześniej niż dewastacja laboratorium we Wrocławiu. Nie było więc jej konsekwencją. Grupa działająca

na Zielonym Przylądku posiadała komórki cholery. Dlaczego więc mieliby szukać nowych szczepów? Na dodatek w Polsce? Wszystkie te informacje były podejrzane i niewystarczające. W umyśle Paula rozdziły się luźne powiązania, lecz brakowało spoiwa, które by je połączyło.

Przypomniawszy sobie konferencję w Providence. Być może uda mu się sprawdzić, czy na wyspie Agosto w czasie epidemii przebywali Amerykanie. Jeśli tak, kto wie, czy wśród nich nie było członków radykalnego ugrupowania, które budziło podejrzenia. Postanowił nazajutrz poprosić Joáo o pokazanie mu księgi gości hotelowych. Jeśli wymyśli sprytną historię, uzyska może dostęp do spisów gości innych hoteli.

Po całym dniu wycieczek jeepem po wyspie spokój okolicy udzielił się wreszcie Paulowi i mężczyzna, nie rozbierając się nawet, zasnął we wgnębieniu miękkiego i nierównego materaca.

Następnego dnia zobaczył właściciela hotelu dopiero po południu. Joáo popłynął rano z błyskawiczną wizytą na wyspę Sao Tiago. Po powrocie wydał się mniej serdeczny niż poprzedniego dnia. Paul wyczuł nawet odrobinę dystansu w jego zachowaniu. Wrażenie to potwierdziło się, gdy usiedli na jego zaproszenie ze szklankami piwa na dziedzińcu hotelowym.

- Wiem, że prosił mnie pan o dyskrecję - zaczął Joáo, świdrując Paula wzrokiem spod zmrużonych powiek, jakby chciał złowić każdą jego reakcję - ale cóż, mam brata mlecznego w Prahii. Rozumie pan, że chciałem podzielić się z nim nowiną. Mam do niego bezgraniczne zaufanie. Facet nie puści pary z gęby.

- Co dokładnie pan mu powiedział?

- Wszystko, co od pana usłyszałem. O projekcie, pańskim biurze badawczym...

Mówiąc to, Joáo patrzył ponurym wzrokiem, który od jego powrotu postawił Paula w stan gotowości.

- Nie bardzo mi się to podoba, ale skoro twierdzi pan, że przyjaciel jest godny zaufania... a czym się właściwie zajmuje?

- Fernando? Jest policjantem.

No tak, pomyślał Paul. Jako człowiek interesów, Joáo miał na tyle sprytu, by zdystansować się wobec własnego entuzjazmu i zabezpieczyć na kilka sposobów. Trzeba przyznać, że wtajemnicze-

nie Fernanda, czy był bratem mlecznym, czy nie, było zręcznym posunięciem. Gdyby historia bazy okazała się prawdziwa, dobrze byłoby mieć człowieka umocowanego w stolicy, w administracji państwowej. Jeśli zaś Paul jest oszustem, Fernando będzie odpowiednią osobą do zatrzymania nikczemnika za kłamstwo.

Jedynym realnym wyjaśnieniem takiego postępowania było zdaniem Paula to, że Joao nabrał wobec niego podejrzeń. Historia cholery była odległa, jednak na wyspach czas płynął w zwolnionym tempie i odciskał się na ich historii. Tubylcom przykazano donieść o każdym, kto węszył na terenach dotkniętych epidemią. Paul nie miał ochoty podzielić losu portugalskich epidemiologów, którzy najpierw zostali zatrzymani na piętnaście dni, a potem wydaleny z kraju.

- Fernando przyjedzie pojutrze - rzekł Joao - będzie pan mógł z nim porozmawiać.

Słowa te wypowiedział tonem, który nie pozostawiał wątpliwości co do twardego charakteru Fernanda. Paul zdawał obie sprawę, że kłamstwo zmontowane naprędce, nawet z pomocą Providence, nie wystarczy, by przekonać kogoś bardziej sumiennego. Machnął ręką na listę turystów. Zdobędzie ją innym sposobem. Jeśli nie chce, by unieruchomiono go na wyspie, a śledztwo przeszło mu koło nosa, powinien opuścić to miejsce jak najszybciej.

Oświadczył hotelarzowi, że musi wybrać się na zakupy do Prahii, gdzie zahaczy o bank, by przeprowadzić parę operacji. W Agosto nie było banku. Zakupił w porcie bilet w dwie strony i nazajutrz rano ruszył statkiem na sąsiednią wyspę. By nie wzbudzić najmniejszych podejrzeń, w pokoju zostawił swoje rzeczy rozrzucone w nieładzie z wyjątkiem plecaka, w którym bez problemu zmieścił komputer i dokumenty. Jeden telefon do Providence i oto czekał na niego z trudem wyrwany ostatni bilet na wieczorny rejs. Z Prahii promem dostał się do Sal i stamtąd - tak jak zaplanował - do Chicago. Miał nadzieję, że w Stanach będzie wiosna, miał bowiem na sobie bermudy i cienką hawajską koszulę.

VII

Providence, stan Rhode Island

To, co Paul zastał po powrocie do Providence, nie zaskoczyło go ani odrobinę. Agencja praktycznie przestała istnieć. Przekształciła się w sekretariat Kerry.

Już przy bramie wjazdowej Paul poczuł, że zapanował nowy porządek. Strażnik z fryzurą kadeta z Westpointu zajrzał do samochodu Paula przez opuszczoną szybę i przekrzykując krótkofalówkę, zawołał:

- Aa, pan do Kerry!

Na parterze recepcjonistki mrugnęły do niego porozumiewawczo i szepnęły:

- Znajdzie pan ją na trzecim piętrze.

Do windy, którą jechał, weszły dwie zaaferowane dziewczyny. Każda niosła naręczę papierów.

- Muszę pędzić - odezwała się bardziej obładowana z dziewcząt. - Kerry czeka na te dokumenty.

Idąc korytarzami trzeciego piętra, Paul szybko zrozumiał, że zostało ono w całości skolonizowane przez Kerry. Oficjalnie zajmowała małe, narożne biuro, które Barney zaproponował jej niemal przepraszająco i niczego nie przeczuwając. Nie zdawał sobie sprawy, że właśnie pozwolił, by wirus zaatakował bezbronny organizm.

Najpierw Kerry zaanektowała salę konferencyjną, która sąsiadowała z jej biurem. Od siódmej rano do siódmej wieczorem prowadziła w niej zebrania jedno po drugim. Następnie dokonała kilku kombinacji, by otoczyć się współpracownikami, których najbardziej potrzebowała. Tycenowi przypadła funkcja rycerza, pazia, giermka, trudno było właściwie precyzyjnie określić jej rolę.

W każdym razie obowiązki, jakie wykonywał, pasowały bardziej do wizerunku średniowiecznego sługi niż współczesnego oficera łączności. Ku zdziwieniu Paula Kerry zdołała zdobyć bezwarunkową wierność Tary oraz usługi małego batalionu archiwistów. Ci ostatni zostali bez wątpienia wypożyczeni przez Aleksandra, który gestem tym miał nadzieję zyskać święty spokój. Wszyscy zadomowili się tymczasowo niedaleko informatyka Kevina i dwóch specjalistów od łączności, ubranych, podobnie jak Clint, w kowbojskim stylu.

Paul zobaczył Kerry pochyloną nad jakimś wydrukiem. Otoczona była czwórką młodych dziewcząt i chłopców, skupionych, namiętnie łowiących każde jej słowo. Zapewne porzucili swoje dotychczasowe zajęcia na rzecz afery ich życia - tropienia Nowych Drapieżców.

Najgorsze jest to, że byłaby zdolna zmobilizować całą armię w *każdej innej* sprawie, pomyślał Paul.

Gdy zorientowała się, że ją obserwuje, rzuciła mu rozbawione spojrzenie, oznaczające „każdy liczy swoje punkty”, typowe dla niej zwłaszcza w sytuacjach, gdy to ona je zdobywała.

- OK - zwróciła się do zebranej trzódki. - Za dziesięć minut zarządzam spotkanie generalne. Przedstawimy Paulowi, czego się do tej pory dowiedzieliśmy. Zaproście też Aleksandra, jeśli nie ma nic lepszego do roboty.

Uwaga pod adresem Aleksandra wywołała ogólne rozbawienie. Naturalnie ci zafascynowani Kerry młodzi nie wyobrażali sobie, by można było mieć coś lepszego do roboty niż towarzyszenie jej na każdym etapie śledztwa.

Paul i Kerry przeszli do jej „oficjalnego” biura. W nowych okolicznościach mała klitka służyła już Kerry wyłącznie do poprawiania makijażu.

- Wygląda na to, że całkiem nieźle sobie radzisz - zaczął Paul, uśmiechając się znacząco.

Kerry postanowiła nie dać się wciągnąć w jego grę. Zobaczył to, co chciała, by widział, i nie miała ochoty dać mu okazji na wyrażanie sarkastycznych uwag.

- Najważniejsze, że moje dzieciaki mają się dobrze. Rob zabrał je do Burta, swojego brata. Mówiłam ci, że obaj pochodzą z Ka-

nady? Burt ma ranczo nieopodal jeziora Ontario. Nasze dzieci bawią się razem, żeglują i uczą się doić krowy.

W miarę upływu czasu Kerry coraz swobodniej czuła się w Providence, co szło w parze ze zmianą stylu. Jej ciasny warkocz zastąpił luźny kok, który co chwila poprawiała, wtykając w niego zielony pisak. Miała na sobie obszerny T-shirt, pod którym ledwie zarysowywały się piersi. To jednak wystarczało, by przyprawiać o szaleństwo kręcących się wokół niej chłopców.

- A jak tobie minęły wakacje w tropikach?
- Bosko. Słońce, plaża i seks.
- Wow! Seks?
- Pokój obok zajmowała para głośno baraszkująca całą noc.
- OK. Opowiesz nam o tym wszystkim. Idziemy?

Weszli do sali zebrania. Duży stół zavalony był papierami. Tycen pospiesznie podsunął Kerry fotel i pomógł jej usiąść.

- Może zaczniesz, Wilburn - powiedziała. Odwróciła się do Paula i cicho dodała: - Wilburn jest z parafii Aleksandra. Bardzo zdolny. Bardzo obiecujący. Zanim przejdziemy do meritum i tego, czego dowiedzieliśmy się o nowych drapieźcach, streści sytuację radykalnych ruchów ekologicznych w Ameryce.

Wspomniany Wilburn należał do pokolenia prezentacji multimedialnych w Power Poincie. Natychmiast włączył rzutnik i zaprezentował pierwszy slajd. Na błękitnym tle pokazało się słowo *WPROWADZENIE*. Paul pomyślał, że postęp to jednak wielka sprawa.

- By zrozumieć kontekst, w jakim funkcjonuje grupa Nowych Drapieźców, należy najpierw powiedzieć kilka słów na temat historii ruchów ekologicznych w Stanach Zjednoczonych.

Niski głos Wilburna nie pasował do jego wątej sylwetki. Gardłowa intonacja zdradzała prawdopodobnie australijskie pochodzenie.

- W każdym kraju rodzi się ekologiczna świadomość, która pod pewnymi względami odzwierciedla specyfikę tego kraju. W Anglii przybrała formę zwalczania tradycji łowieckiej w imię miłości do zwierząt. W Kanadzie w centrum zainteresowania jest raczej morze: próby jądrowe i ochrona wielorybów. Francja wstąpiła na

ekologiczną ścieżkę dzięki pięknej kobiecie. Nikogo nie zdziwi, że kraj nawróciła Brigitte Bardot.

W sali rozległy się zduszone śmiechy. Mina Kerry zdradzała, że aluzja przypadła jej do gustu. Paul przypuszczał, że zachęcała do żartów o lekko seksualnym podtekście, by stale podsycać płomień uwielbienia w swoich podopiecznych.

- Podstawowa batalia w Stanach Zjednoczonych toczy się wokół dużych przestrzeni, lasów, dzikiej przyrody, krajobrazów na zachodzie kraju. Stowarzyszenie One Earth, z którego wywodzi się schizmatyczna grupa Nowych Drapieżców, odegrało kluczową i pionierską rolę w uporządkowaniu tej typowo amerykańskiej myśli ekologicznej. Zostało założone w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym przez Elmeta Sloana, drwala, który walczył w Wietnamie, a następnie działał w prawicowej frakcji partii republikańskiej.

- Sądziłem, że zielone organizacje rekrutują raczej w środowiskach lewicowych - przerwał Paul.

- Nie zawsze tak jest. Istnieją różne nurty. One Earth założono w Seattle. To niedaleko Kanady i Kolumbii Brytyjskiej, gdzie narodził się także Greenworld. Organizacje te nie współpracują ze sobą i są nawet względem siebie wrogie. Greenworld dryfuje w kierunku morza, ratowania wielorybów i fok. To przykład skrajnej lewicy. One Earth natomiast zajmuje się górami, puszcza i rzekami. Przemawia głosem konserwatywnej Ameryki traperów i leśnych ludzi. Ostatecznie jednak obie skrajności łączy jedna cecha charakterystyczna.

- Jaka?

- Zarówno jedni, jak i drudzy nie uznają klasycznych i konserwatywnych organizacji. Według nich ochrona przyrody nie powinna pozostać w gestii notabli. Przyroda zamknięta w rezerwach jak Indianie, kiermasze na rzecz niedźwiedzi, wycieczki szkolne w celu zrobienia zielnika to ich zdaniem kompletne nieporozumienie. Chcą powrócić do idei założycielskich, do świętej wojny Johna Muira albo H.D. Thoreau. Ich biblia to zresztą książka napisana przez swojego rodzaju pustynnego proroka Edwarda Abbeya.

- Co to za książka?

- Powieść zatytułowana *Gang Klucza Nastawnego*. Historia grupy wariatów, którzy wsypują piasek do zbiorników na paliwo maszyn gaśnicowych w celu uniemożliwienia konstrukcji dróg. Palą też billboardy wzdłuż autostrad.

- I organizacja podążyła za ich przykładem?

- Tak. Na początku bojownicy One Earth dosłownie skopiowali powieść. Przygotowali akcję sabotażową w tartaku; na ścianie zapory zawiesili transparent przedstawiający gigantyczną szczelinę. To akcje zaczerpnięte bezpośrednio z książki. Potem zaczęli wymyślać bardziej oryginalne przedsięwzięcia.

- To znaczy?

- Na przykład wbijali gwoździe w pnie dużych drzew, które doprowadzały do zrywania się łańcuchów pił łańcuchowych. W ten sposób protestowali przeciwko karczowaniu lasów. Byli i tacy, którzy ukrywali się w korytach rzek, by uniemożliwić wznoszenie zapory.

- Byli skuteczni?

- Dosyć. Kilka razy oberwali, ale głównie przysporzyło im to rozgłosu. Udało im się unicestwić projekt wybudowania zapory na rzece Kolorado. One Earth jest obecnie bardzo rozwiniętą organizacją. Mają reputację rozsądnych buntowników. Zbierają obfite plony w postaci datków. Miliarderzy przepisują im swoje spadki, a fundacje przedsiębiorstw finansują, by pozyskać - jak mawiają - obywatelskie oblicze. Ich siedziba w Seattle to wieżowiec, w którym zatrudniono dziesiątki ludzi. Na ich nieszczęście w tym środowisku sukces bywa w pewnym sensie kłopotliwy. Oskarża się ich o wstąpienie do klasy notabli. Pojawili się kolejni bojownicy, którzy krytykują wzbogacenie się ruchu i żądają powrotu do źródeł.

- Myśli pan, że Nowi Drapieżcy to taki właśnie przypadek?

- Z całą pewnością. Musimy jednak podejść do naszych informacji sceptycznie. Organizacje w stylu One Earth są dość nieprzeniknione. Przeciętny człowiek nie ma do nich dostępu. Nowi członkowie dostaną co najwyżej magazyn informacyjny z zaproszeniem na manifestację. Są zabezpieczeni z informatycznego punktu widzenia, prawda, Kevin?

- Zgadza się - potwierdził Kevin głosem, który, łamiąc się na ostatnich sylabach, zdradzał końcową fazę mutacji. - Ich kom-

putery są dobrze zabezpieczone. Jasne, że udało się nam do nich dostać, jednak niczego interesującego na ich dyskach nie znaleźliśmy. Miernota. Jakby nie przechowywali w pamięci komputerów ważnych informacji. Chyba nie wierzą w informatykę.

Kerry skinęła głową, dając do zrozumienia Kevinowi, że bardzo docenia wysiłek, jaki włożył w ten popis elokwencji. Tara zastąpiła go miłosiernie.

- Do zrekonstruowania debat, toczących się w łonie organizacji w czasie powstawania Nowych Drapieżców, posłużyliśmy się bardzo fragmentarycznymi danymi.

- Jak za starych dobrych czasów kremlinistyki - skomentował Aleksander, który usadowił się przy drzwiach i zdawał się słuchać jednym uchem.

- Opowiedz nam o tym. - Kerry odbiła piłeczkę w stronę Wilburna.

- Historia zaczyna się jakieś cztery lata temu. Pierwsze napięcia wyczuwamy w artykułach publikowanych w magazynie wewnętrznym One Earth. Artykuły adresowane są do członków i mają dosyć przyzwoity wydźwięk. Wydaje się, że na początku kierownictwo nie zdawało sobie sprawy ze zbliżającego się tornada i zezwalało na swobodne wypowiedzi niezadowolonych członków. Wkrótce jednak pojęli wagę niebezpieczeństwa i postanowili dorwać się do organizacji. Od tej chwili w magazynie milkną zbuntowane głosy. Jedyny ślad po nich odnajdujemy w artykułach redakcyjnych z aluzjami do sporów, obiekcji zwalczanych jak prawdziwe herezje.

- O co dokładnie chodziło w ich sporze?

- O miejsce istoty ludzkiej w przyrodzie - odparł Wilburn.

Aleksander, zajęty skubaniem skórek przy paznokciach, weschnął bardzo głośno. Kerry zachęciła Wilburna gestem.

- Amerykańska myśl ekologiczna od zawsze podzielona była na zwolenników dwóch nurtów. Według pierwszego z nich, który możemy nazwać humanistycznym, ochrona przyrody służy szczęściu człowieka. W tej moralnej perspektywie najważniejszy pozostaje człowiek i jego przyszłość.

- To umiarkowana, „rozsądna” wersja - uściśliła Kerry, chcąc pokazać, że poważnie traktuje debatę.

- Inny nurt jest wręcz przeciwnie, antyhumanistyczny. Istnieje od zawsze i regularnie wysuwa się na pierwszy plan. Dla zwolenników tej koncepcji człowiek jest tylko jednym z gatunków. Bezprawnie przywłaszczył sobie władzę i wszystkie prawa. Czas więc, by poznał swoje właściwe miejsce. Chronić przyrodę to dać równe prawa wszystkim jej gatunkom, łącznie z roślinami, skałami i rzekami. Natura jest samowystarczalna. Może obejść się bez człowieka, człowiek zaś bez niej nie.

- Co z tego wynika?

- Konsekwencje są bardzo poważne. Antyhumaniści są zdania, że ekologia to walka wymierzona w człowieka. Odnajdujemy te teorie już na początku dziewiętnastego wieku. U Johna Muira, założyciela Sierra Clubu i teoretyka współczesnej ekologii czytamy na przykład: „Gdyby wybuchła wojna ras pomiędzy dzikimi bestiami a jego wysokością Człowiekiem, skłonny byłbym stanąć po stronie niedźwiedzi”. Wtórzy mu John Howard Moore: „Spośród wszystkich istot na ziemi człowiek to najbardziej rozpustna, zapijaczona, egoistyczna, nędzna, spragniona krwi i pełna hipokryzji kreatura”.

- Jak dobrze, że słowo człowiek jest rodzaju męskiego. Mogę uznać, że mnie to nie dotyczy - zażartowała Kerry.

- Pytanie zaś brzmi: jak dalece posunąć się można w walce z człowiekiem? Tu jest słaby punkt One Earth. Jego powstawaniu towarzyszyły skrajne idee: w imię drzew, rzek i krajobrazów jego członkowie mieli atakować przedsiębiorstwa i stosować metodę sabotażu. Łatwo wszak było przewidzieć, że pewnego dnia znajdą się wśród nich i tacy, którzy zapragną walczyć nie tylko z *działalnością* człowieka, ale i z samym *gatunkiem* ludzkim.

- Dlatego cztery lata temu się podzielili?

- Otóż to. Po bojach stoczonych z drwalami niektórzy powiedzieli sobie: trzeba z tym skończyć. Oprawcy przyrody nie zasłużyli na litość. Nie wystarczy dosypywać piasku do paliwa ich maszyn. Należy usunąć tych, którzy je obsługują.

- Do tego stopnia...

- Nie tylko w One Earth zdarzyły się tego typu napięcia. Taki sam bunt ideologiczny miał miejsce w lewicowym ruchu obrońców wielorybów. Bojownicy, zdaniem których Greenworld prowa-

dził zbyt umiarkowaną politykę, sprawili sobie łódź, uzbroili jej dziób w betonowe płyty i zaatakowali statek do połowu wielorybów z zamiarem zatopienia go.

- Poważnie?

- To są fakty. Przywódcy One Earth przestraszyli się nie na żarty i wyznaczyli granicę: życie ludzkie zostawiamy w spokoju.

- Zadziało?

- Tylko na jakiś czas - podjęła Tara. - Na sześć miesięcy ucichły głosy wewnętrznej opozycji. Jednak niezadowoleni członkowie ruchu nie złożyli broni. Prawdopodobnie początkowo nie byli dobrze zorganizowani i kontrofensywa dysekcji ich zaskoczyła. Stopniowo udoskonalali własne struktury, aż wreszcie nadszedł ich czas.

- Kiedy pojawili się po raz drugi?

- Mniej więcej dwa i pół roku temu. Zbiegło się to z nasileniem antyhumanistycznych haseł na forum internetowym One Earth.

- Nowi Drapieżcy.

- Aha. Umocnili podstawy swej ideologii, powrócili z programem o znacznie jaśniejszej i bardziej konkretnej wymowie. Nadal wychwalali brutalne metody, dopuszczali także zabójstwa w ściśle określonych przypadkach. Uważali się za przeciwników tak zwanego klasycznego terroryzmu. Ataki na pojedyncze osoby pozbawione są sensu. Co więcej, są równie żałosne, jak uwalnianie czyjegoś kota lub psa przez obrońców zwierząt. Nie o to chodzi. Nie interesuje ich uwolnienie albo skazanie *jednostek*, niezależnie od ich rasy czy gatunku. Walczyć należy o *zachowanie równowagi*. Jednostka nie liczy się w przyrodzie. Istotna jest równowaga pomiędzy środowiskiem a istotami żywymi, florą i fauną. W przyrodzie jedynie drapieżniki gwarantują tę równowagę, harmonię. Ekspansja gatunków hamowana przez naturalnych wrogów. Ci zaś mają swoich i tak dalej. Największym błędem człowieka jest to, że uniezależnił się od swoich wrogów, czyli od drapieżników. Dał prawo do życia każdej jednostce, podczas gdy dotąd przywilej ten określała wyłącznie zasada naturalnej równowagi. W konsekwencji człowiek mnoży się i niszczy planetę.

- Jakież to skomplikowane - westchnął Aleksander, wycierając zroszone potem czoło. - Nie zechciałabyś nam tego po prostu streścić?

Kerry spiorunowała go wzrokiem i powiedziała zdecydowanym tonem:

- Faktycznie skomplikowane, ponieważ referujemy wiadomości własnymi słowami. Gdybyśmy cytowali, zwłaszcza pierwsze teksty, byłby to kwiecisty poemat, w którym konkretne idee przekazane są w sposób prosty, a jednocześnie pozostawiający obszerne pole do interpretacji. Mówią na przykład, że trzeba oddać ziemi od dech. Że gatunek ludzki sączy się po powierzchni kontynentów jak potop, miażdżąc wszystkie pozostałe formy życia. Nawołują do odparcia tych fal, wypompowania nadmiaru wody, wzniesienia tamy, która zatrzyma człowieka...

Paul podziwiał, jak w ciągu niespełna tygodnia Kerry zdołała przejąć stery okrętu, którego załoga początkowo była sceptycznie nastawiona do tematu. Wszystkie obecne w sali zebrania osoby oraz poprzez ich pośrednictwo wszystkie newralgiczne departamenty agencji były głęboko przekonane o tym, że nie ma na świecie ważniejszej sprawy niż rozpracowanie ideologicznych waśni członków One Earth. Nawet Aleksander wydawał się zainteresowany tematem, o ile już nie „zdobyty”.

- Ale co właściwe zawiera ich program? - zapytał.

- No właśnie - poparła go Martha. - Co dokładnie chcą robić?

- W moim przekonaniu nic. Myślę, że w przeciwieństwie do Anglików, nie wolno nam brać dosłownie ich haseł.

Mówiąc to, Kerry rzuciła Paulowi przebiegłe spojrzenie.

- Ależ przerwanie potopu ludzkiego *to*, o ile ja dobrze rozumiem, zabijanie - niecierpliwił się Aleksander.

- Niekoniecznie - zaprzeczyła Kerry. - Ekologia już od dawna rozbrzmiewa deklaracjami tego typu. Odnalazłam jedną u wielkiego filozofa Ehrenfelda, który bynajmniej nie był kryminalistą i którego teksty są w programach nauczania najlepszych uniwersytetów. Cytuję: „Należy chronić ludzkość przed jej własnymi nadużyciami”.

- Bardzo mi przykro, najwyraźniej za krótko studiowałam - upierał się Aleksander. - Jednak wciąż nie rozumiem, co ma to oznaczać.

- Wystarczy sięgnąć po teksty Nowych Drapieżców. Znajdzie pan w nich więcej przykładów. Ich pomysły są szokujące, ale

nie zapominajmy, że to nic odkrywczego. Cieszą się na przykład z wysokiej umieralności niemowląt w biednych krajach, gdyż zmniejsza to zbyt szybki przyrost demograficzny. Podobną opinię usłyszeliśmy z ust pewnego europejskiego przywódcy Zielonych. Nowi Drapieźcy są wrogo nastawieni do programów pomocy humanitarnej, ponieważ te obniżają wskaźnik umieralności w strefach podwyższonego przyrostu naturalnego, co pogłębia brak równowagi w tych regionach. Pozostają wierni koncepcjom Malthusa, składając hołd wielkim zarazom i plagom, które przywracały równowagę demograficzną na przestrzeni wieków, gdy tylko rozmiar populacji na ziemi przekraczał zasoby naturalne. Podkreślają pozytywne aspekty wojen domowych, głodu i epidemii. Gdy pandemia AIDS sięgnęła szczytu, Nowi Drapieźcy gratulowali sobie wkładu choroby w wytrzebiecie gatunku ludzkiego.

- Ależ to podłe!

- Zgadzam się. Do tego, głosząc tak skrajne poglądy, Nowi Drapieźcy kompromitują się całkowicie. Ruchy ekologiczne od zarania swych dziejów przechodziły ekstremalne etapy rozwoju. W tekstach Nowych Drapieźców da się rozpoznać stare nurty: antyhumanitarny, antyrozrodczy, wrogi postępowi, zwłaszcza postępowi w medycynie, a to wszystko w imię domniemanego dobra natury. Należy chylić czoła przed dużymi organizacjami ekologicznymi, które oparły się tym koncepcjom. One Earth niewątpliwie do nich należy.

Kerry umilkła. Paul poczekał, aż cisza wypełni wszystkie zakamarki pomieszczenia. Następnie zapytał:

- A cholera?

- Rzeczywiście - przyznała Kerry - Nowi Drapieźcy często wspominają o cholercie. Wypowiedzi na temat choroby są mgliste i ogólnikowe. Nie posiadamy wystarczająco szczegółowych informacji, by stwierdzić, czy chodzi im o zwykły przykład, czy cholera zajmuje bardziej istotne miejsce w ich rozważaniach.

Paul wyczuł w tonie Kerry, że traktuje temat cholery jako pretekst do wszczęcia dochodzenia, ale z całą pewnością nie jako klucz do zagadki. Poza tym temat stanowił kolejny element współzawodnictwa. Jeśli Kerry uda się zminimalizować znaczenie cholery, tym samym stanie się jasne, że chodzi o coś innego i że

ona to bierze na siebie. Paul wołał nie wdawać się w dyskusję w tej kwestii. Zmusił się do wypowiedzenia swego zdania w sposób jak najbardziej uczciwy i jak najmniej polemiczny.

- O ile może to mieć znaczenie dla naszej debaty, chciałbym potwierdzić, że na Zielonym Przylądku doszło do celowego wywołania epidemii.

- To bardzo ważna informacja - podchwyciła entuzjastycznie Martha.

- Ja też tak sądzę. Muszę jednak uczciwie przyznać, że na razie nie mogę wyciągnąć jakichkolwiek wniosków z moich obserwacji. To, co wydarzyło się na wyspach, jest w moim przekonaniu dość paradoksalne. Z jednej strony mamy dowód, że coś istotnie dzieje się w kwestii cholery i że ludzie faktycznie posłużyli się bakterią przecinkowca, by wywołać epidemię. Z innej jednak strony skutki epidemii są żałosne - kilku chorych i śmierć jednego starca, który prawdopodobnie i tak nie dożyłby końca tygodnia. Jeśli rzeczywiście jacyś osobnicy chcą użyć cholery w celach terrorystycznych, to doświadczenie Zielonego Przylądka powinno ich raczej zniechęcić. Trudno uwierzyć, by sześć miesięcy po porażce ta sama grupa zadała sobie trud wykradzenia szczepu cholery z polskiego laboratorium.

W sali zapadła kłopotliwa cisza.

- Co więcej, absolutnie nic nie daje nam prawa powiązania tych wydarzeń z działalnością Nowych Drapieźców.

- Hm, nie odkryłem śladów autorów przestępstwa. Tak naprawdę nie zdążyłem... musiałem pośpiesznie opuścić wyspy.

- Pozwólcie mi podsumować. - Aleksander wstał. - Trop cholery prowadzi donikąd. Co zaś się tyczy bandy początkujących eksterminatorów, wyprodukowali wszystkie zacytowane wcześniej bzdury tylko po to, by przysporzyć kłopotów burzujom z One Earth. Ci ostatni, jak zwykle, szybko poradzili sobie z buntownikami, wywalając ich za drzwi. Wniosek? Kończymy i idziemy na obiad.

- Nie ma mowy - zaprotestowała Kerry. - Podążając tropem cholery czy nie, mamy obowiązek rozpracować niebezpieczną grupę. Na tym etapie śledztwa mamy pewność, że opuścili szeregi One Earth. Na jakiej podstawie mielibyśmy zakładać, że nie

postanowili działać na własną rękę? Nie mamy wyboru, musimy kontynuować.

Paul zrozumiał sens posunięcia Kerry. Pomniejszając rolę cholery, odsunęła go tym samym na drugi plan. Jednocześnie broniła konieczności kontynuowania śledztwa, czyli stawiała siebie na czele armii Providence. Rzuciła mu złośliwe spojrzenie.

- Jak możemy kontynuować, skoro ślad po Nowych Drapieżcach zaginął, a my przejrzelśmy dostępne informacje na temat One Earth i wiemy, że nie sposób przeniknąć do ich kręgu? - zapytała Tara.

- Grupa zniknęła, ale znamy tożsamość jednego spośród jej członków, i to nie byle jakiego. Możemy spróbować pójść ich tropem. Bardzo proszę, Martha, zabierz głos.

- Powiem krótko: w tekstach rozpowszechnionych przez grupę pojawia się jedno nazwisko. Znajdujemy je także w pamfletach autorstwa zarządu One Earth publikowanych w czasie, gdy odpierali buntownicze ataki i starali się skompromitować opozycję. Chodzi tu o niejakiego Teda Harrowa, przywódcę Nowych Drapieżców.

- On naprawdę istnieje?

- Tak, z tym, że od dwóch lat nie wiemy, gdzie jest.

- Co o nim wiemy?

- Urodził się w Connecticut w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym. Uchylił się od służby wojskowej i prawdopodobnie uciekł do Kanady. Po powrocie kilkakrotnie skazany za bójki, cztery lata temu zaatakował kierowcę traktora karczującego tereny leśne w Wisconsin. Wtedy Harrow ujawnił przynależność do One Earth.

- Stowarzyszenie nie wsparło go jednak, akcja była dość brutalna i przywódcy nie mieli zamiaru ponosić konsekwencji wybryku. Zdarzyło się to w czasie sporów z radykalną opozycją w łonie organizacji.

- Czy mamy adres Harrowa?

- Nawet trzy. Żaden z nich nie jest aktualny. Nie ma żony, dzieci, przyjaciół, konta bankowego, ubezpieczenia, pracodawcy.

Zebrani myśleli intensywnie.

- Pierwszy nasz krok to będzie próba przyskrzynienia Harrowa - odezwała się Kerry. - Jest jedynym, jakiego udało się nam

zidentyfikować. Na razie wykonaliśmy w jego sprawie kilka telefonów tu i tam, jednak czas porządnie zabrać się do roboty. Nie przypuszczam, by odnalezienie go zajęło naszemu przebiegłemu doktorowi dużo czasu.

I proszę, jakie sprytne zagranie! Paul podrapał się po głowie, czując na sobie rozbawione spojrzenia. Dwa do zera, pomyślał. Kerry w elegancki sposób zaprosiła go do wyjścia. Czekał na kolejnego asa, jakiego wyciągnie z rękawa.

- A ty? - zapytał.

- Sądzę, że jest wiele spraw, o których wiedzą tylko ludzie z One Earth. Kto oprócz Harrowa należał do grupy Nowych Drapieżców? Dlaczego zniknęli? A przede wszystkim, czy są w stanie działać samodzielnie, bez pomocy stowarzyszenia? By dowiedzieć się tego, należy dostać się do One Earth, do samego serca organizacji...

Paul wiedział, co teraz nastąpi. Gdy Kerry skromnie oznajmiła, że udało jej się uzyskać zgodę na dobrowolny staż w siedzibie organizacji, począwszy od przyszłego tygodnia - przestał słuchać.

Obserwował pełne podziwu zaskoczenie Aleksandra, serdeczną radość Tary, omdlenie Tycena na wieść o nowym dokonaniu jego Pani. W duchu powiedział sobie, że oto dostarczyła mu kolejnych powodów do nienawiści. Może więc prościej będzie ją kochać?

VIII

Kolorado, Stany Zjednoczone

Od czterech godzin Juliette jechała z Denver w kierunku zachodnim. Sekwencja autostrad przecinała w poprzek oszpecone przedmieścia. W pewnym momencie samochód opuścił obszar oznaczony obecnością ludzi i Juliette wkroczyła do krainy przyrody o niespodziewanej sile oddziaływania. Niemal prostą aż do Boulder drogę otaczały zewsząd czerwone klify. W oddali zarysowywały się ośnieżone szczyty. Na niebie nieruchomo zawisły nieskazitelnie białe obłoki, jak gdyby ktoś ułożył je na płaskim postumencie.

Od przyjazdu do Stanów Zjednoczonych Juliette miała wrażenie, że czuwa nad nią jakaś niewidzialna siła. Czuła się uczestnikiem tajemniczej gry znaków, które objawiały się jej po kolei i prowadziły do nieznanego, lecz bardzo konkretnego przeznaczenia. Przy wyjściu z budynku lotniska w Miami zaczął ją taksówkarz i przekazał wiadomość „od Jonathana”. Miała z nim jechać aż do miejsca na uboczu, w którym stał zaparkowany samochód. W hotelu znajdującym się niedaleko lotniska czekał na nią pokój zarezerwowany na jej nazwisko. Z okna pokoju widać było stację benzynową i płaski dach centrum handlowego. Olbrzymi pusty parking oświetlało pomarańczowe światło latarni. Nazajutrz rano w recepcji przekazano jej wiadomość. W biurze American Airlines miała odebrać opłacony bilet lotniczy do Denver w stanie Kolorado. Po przylocie udała się do agencji Herza na lotnisku, gdzie przewidziano dla niej fabrycznie nową terenówkę. Pod siedzeniem odkryła kopertę z kserokopią drogowej mapy regionu, na której ktoś żółtym mazakiem zaznaczył trasę.

Objechała miasto Greek River od południa i tak jak wskazywała mapa, przemierzyła kilka coraz węższych dróg. Rano wiosenne powietrze było chłodne, w miarę jednak upływających godzin robiło się coraz cieplej i po południu Juliette jechała w pełnym słońcu przy opuszczonych szybach. Zamęt w jej głowie nie ustawał, lecz nawiedzały ją teraz myśli raczej euforyczne niż niespokojne. Odnosiła dziwne wrażenie, że rzeczywistość dostosowuje się do bałaganu w jej duszy. Wraz z narastającym tempem myśli i uczuć zmieniał się rytm wydarzeń w jej życiu. Od kiedy wyjechała z Francji, ziemia rozstąpiła się pod jej stopami i Juliette, pozostając w rozkosznym stanie nieważkości, wciągnięta została w ciemną otchłań świata cieni. Mrużąc oczy pod wpływem ciepłego światła, śpiewała na całe gardło. Droga wznosiła się po linii prostej, by następnie serpentynami wić się wśród skalistych wzgórz, porośniętych kępami wilczomlecza i niskopiennym lasem iglastym. Strzałki raz po raz wetknięte po obu stronach drogi wskazywały dojazd na rancza. W końcu asfaltowa szosa zamieniła się w kamienny i wyboisty trakt.

Według mapy miała przejechać jeszcze dwie mile. Za samochodem unosiły się tumany kurzu. Zatrzymała się na piaszczystym placu otoczonym czterema rozłożystymi wiązami. Od placu odchodziły ścieżki zbyt wąskie dla samochodu. Było bardzo ciepło. Juliette wysiadła i zdjęła sweter. Przyglądając się miejscu, szybko zauważyła tabliczkę z napisem „Skala Jonathana”. Poszła we wskazanym przez strzałkę kierunku. Od samego początku wiadomości przeznaczone dla niej nawiązywały do Jonathana. Najpierw sądziła, że to znak rozpoznawczy. Teraz jednak zaczęła podejrzewać, że na końcu swej wędrówki spotka Jonathana.

Niewątpliwie miło byłoby podczas tej samotnej wyprawy spotkać znajomą osobę. Ciągnęło ją jednak ku nieznanemu. Gdyby wszystkie drogi prowadzić miały do Jonatana, czułaby się rozczarowania i oszukana i nigdy by mu tego nie wybaczyła.

Po półgodzinnym marszu dotarła do podnóża płaskowyżu - pagórka o ściętym szczycie, tak charakterystycznym dla krajobrazu południowo-zachodniej Ameryki. Ścieżka, ułożona z potężnych kamiennych stopni, szerokimi zakosami kluczyła po zboczu góry. W dole słychać było szum rzeźbiącego skałę potoku, niewidocz-

negó z powodu urwiska. Suche i gorące powietrze spotęgowało pragnienie i Juliette żałowała, że nie zabrała ze sobą butelki wody. Pokonawszy połowę drogi do szczytu, na szerokiej półce skalnej ujrzała czerwoną metalową manierkę stojącą na kamieniu płaskim niczym blat stołu. Otworzyła ją i wylała odrobinę zawartości. Była to czysta woda. Przechyliła naczynie i piła potężnymi haustami.

Stojąc z pochyloną do tyłu głową i manierką przy ustach, Juliette poczuła naraz silny ucisk na szyi. Wypuściła manierkę z rąk. Do jej karku przyciśnięto lufę.

Juliette ani drgnęła. W głuchej ciszy bulgot sączącej się na piasek wody wydawał się hałasem nie do zniesienia. Nie odczuwała jednak lęku. Po pierwszej chwili zaskoczenia jej puls się uspokoił. W trakcie długich godzin podróży zdążyła przemyśleć wszystko, co mogło ją spotkać. Było wielce nieprawdopodobne, że zlikwidowałiby ją po wezwaniu jej tak daleko. Gdyby chcieli się jej pozbyć, zrobiliby to w Afryce Południowej.

Brutalne przyjęcie nie zaskoczyło jej. Długie rozmyślania na temat swojego dzieciństwa wiele ją nauczyły. Wiedziała, że słabość i strach towarzyszą częściej tym, którzy dopuszczają się przemocy, niż tym, którzy jej doznają. I tym razem mówiła sobie w duchu, że człowiek mierzący do niej z broni boi się bardziej niż ona. Dlatego odważyła się przemówić pierwsza.

- Nie jestem uzbrojona. Jestem sama. Nikt mnie nie śledził. W panującej ciszy usłyszała oddech mężczyzny, który ją nie ruchomił.

- Mógłbym cię zabić - odezwał się prawie szeptem.

Miał zachrypnięty, niski głos. Musiał to być jeden z tych niskich barytonów pasujących do przestrzeni scenicznej albo leśnej.

- Będę o tym pamiętać - odparła Juliette. - Może pan schować rewolwer.

Poczuła jak lufa jeszcze głębiej wbija się w jej mięśnie, odiskając zapewne ślad na szyi. Najwyraźniej przed uwolnieniem mężczyzna chciał wyrzeźbić na jej ciele wspomnienie niebezpieczeństwa, znanie poddaństwa, może nawet własności. Poczuła zmieszanie i jednocześnie gest ten sprawił jej przyjemność.

Nagle mężczyzna puścił ją. Juliette nie odwróciła się. Mierząc rewolwerem w kręgosłup, zaczął metodycznie ją obszukiwać. Jego

duża dłoń brutalnie wodziła z góry na dół po jej ciele, osłoniętym cienkim materiałem podkoszulka i spodni. Znalazł portfel i klucze do samochodu, które wsunął do swojej prawej kieszeni. Juliette pod pachami miała łaskotki, parsknęła więc śmiechem.

Kazał jej położyć ręce za głowę i popchnął przed sobą. Weszli na wąską ścieżkę biegnącą pomiędzy dwoma skałami. Ścieżka prowadziła przez niewidoczny z dołu kamienisty wąwóz obrośnięty sosnami. Korzenie drzew, które wskutek erozji znalazły się ponad ziemią, przypominały gigantyczne pajęczce odnóży, nieruchome i suche. Szli tak aż do miejsca, gdzie wąwóz przekształcał się w wąską gardziel o stromych zboczach. Wzdłuż jednej ze ścian zwisała sznurowa drabina. Mężczyzna kazał Juliette wdrapać się po niej. Wspięła się na głęboką półkę skalną tworzącą na poły naturalny taras. Od przepaści odgradzał go murek z kamieni. W głębi tarasu znajdował się dom troglodyty. Częściowo był wykuty w skale, dalej ciągnęła się chropowata ściana z ochry, poprzebijana małymi kwadratowymi okienkami. Mimo że gardziel wąwozu była wąska, taras położony był na tyle wysoko, by docierały do niego popołudniowe promienie słoneczne. Juliette odwróciła się i zobaczyła, jak mężczyzna wciąga drabinę i zamyka przesmyk, przez który weszli. Rewolwer włożył za pas spodni. Dał jej znak, by usiadła za stołem z grubo ciosanych desek. Stół był bardzo duży i zajmował niemal całą powierzchnię tarasu. Sam zajął miejsce naprzeciwko dziewczyny.

Był wysoki i szeroki w ramionach. Miał długą, kościstą szyję i olbrzymie dłonie. Jego wygląd pasował do jałowej roślinności okolicy. Ciemna, opalona i gruba skóra, sękaty palce i chude kończyny przypominały suche drzewa, sukulenty i kolczaste krzewy rosnące na tych nieprzyjaznych glebach. I tak jak roślinność, przesiąknięta żywicą i wodą, które dawały jej niewyczerpane siły przeżycia i proliferacji, w każdym ruchu mężczyzny wyczuwało się giętkość, siłę i podobną odporność. Harmonię świata człowieka i roślin zakłócało jedynie jego dziwne spojrzenie. Oczy, bladoniebieskie i lodowate niczym nadmorski horyzont albo świt, dziurawiły jego twarz. Ponad wysokim czołem rysowała się czarna linia włosów, prostych i długich, które zaczesywał do tyłu. Pozostała część twarzy była mniej wyrazista. Ani szczupły nos, ani wąskie

usta nie miały w sobie nic szczególnego. To spojrzenie przyciągało wzrok. Juliette nie potrafiła go jednak odczytać. Nie było smutne, nie było w nim też groźby. Zdawało się, że nie przygląda się jej, lecz jej wnętrzu. Było jak okno otwarte na rzeczywistość nie z tego świata, na absolut, marzenie, wewnętrzne niebo pełne abstrakcyjnych stworzeń i szaleństw.

Spojrzenie to skutecznie zastępowało wcześniej wymierzony w nią rewolwer.

- Przyjechałaś więc - rzekł.

Juliette nie okazywała ani strachu, ani zaskoczenia, co uspokoiło gospodarza.

- Nazywam się Ted Harrow.

- A ja Juliette.

- Wiem.

W tej chwili doznała olśnienia. Mężczyzna siedzący naprzeciwko niej był źródłem wszystkich decyzji dotyczących jej osoby. To on opracował wrocławski plan, wydał rozkazy Jonathanowi i kontrolował strażników przesłuchujących ją w Afryce Południowej. Nie miała pojęcia, skąd ta pewność. Nie wyobrażała sobie, by ktoś taki jak on mógł być przed kimkolwiek odpowiedzialny. Spośród wszystkich do tej pory spotkanych osób on jeden nosił piętno „władcy”.

- Dziękuję, że się pan zgodził - powiedziała.

- Na co?

- Bym kontynuowała przygodę razem z wami.

- Dziękujesz mi... - powiedział i zadumał się.

Gdy mówił, żaden mięsień jego twarzy nawet nie drgnął. Spojrzenie również pozostawało nieruchome. Jediną oznaką refleksji czy emocji było powolne podnoszenie się i opadanie powiek. Ukrywał przed rozmówcą wewnętrzny świat, by zataić to wszystko, co mogło dziać się za tą kurtyną. Powracał na scenę ze spokojnym błękitem pustego spojrzenia. Juliette odważyła się przerwać ciszę, co było błędem z jej strony.

- Zdaję sobie sprawę, że nie miał pan wyboru - zaczęła. - Nie mogłam jednak postąpić inaczej.

Okrutny błysk pojawił się w oku Harrowa, gdy przez to, co powiedziała, otworzył oczy nieco wcześniej, niż zamierzał.

- Naprawdę myślisz, że nie mieliśmy wyboru? - wycedził.

Juliette pożałowała swoich słów. Za szybko poczuła się swobodnie. Wobec takiego dziwoląga wszelka swoboda i poufałość były przedwczesne, o ile nie niemożliwe.

- Miniszantaż nie miał znaczenia. Moglibyśmy spokojnie obejść

się bez ciebie. Twoja misja została zakończona.

Zauważyła, że był pierwszą osobą, która nie dbała zupełnie o losy czerwonej fiołki. To potwierdzało jej teorię, że Ted Harrow przewodzi operacji i jest w posiadaniu informacji, jakimi nie dysponowali ani Jonathan, ani jej strażnicy w Afryce.

- Dlaczego więc mnie nie usunęliście?

Ted zamknął na chwilę oczy, po czym otworzył je i wstał. Z krzywej konsoli stojącej pod murem domu wziął gliniany dzban i dwa kubki.

- Bo możesz nam się przydać - odparł, nalewając Juliette wodę.

- Tego właśnie pragnę! - wykrzyknęła i znowu pożałowała swej spontanicznej reakcji.

Ted Harrow był zbijającą z tropu mieszanką siły i chłodu. Miało się ochotę z pasją za nim podążyć, a jednocześnie mroziła pewność, że szczerzy entuzjazm wywołuje w nim gniew i nienawiść. Ale jej uczucia były silniejsze od woli. Nie opuszczał jej stan podniecenia, który nie pozwalał na ukrywanie emocji.

- Ależ ja chcę bić się z wami, służyć sprawie! - zmusiła się do spokoju.

- Jakiej sprawie? - przerwał jej Harrow, stawiając z impetem kubek na stole.

Kilka kropli wody spryskało deski. Przyglądali się jej niby znakowi furii, która zerwała tamę tolerancji. Odezwał się głuchym głosem:

- Myślisz, że chodzi nam o uwalnianie małp i kotów?

- Podejrzewam, że macie większe ambicje - ze złością odrzekła Juliette.

Ted wstał, przeszedł taras w tę i z powrotem, wreszcie usiadł tuż przed nią. Po raz pierwszy Juliette dojrzała na jego obliczu zabłąkany uśmiech, pozbawiony ciepła, jak przedmiot bez uroku, którego wartość określa jedynie to, jak rzadko się pojawia.

- Wiele się jeszcze nauczysz. Zostało ci trochę czasu.

Juliette postanowiła nie roztrząsać nuty groźby, jaką pobrzmiwały te słowa. Uchwyciła się najważniejszego: w przeciwieństwie do Jonathana, który żałośnie poddał się „dowódcom”, ona pokonała przeszkody. Udało jej się w końcu wyrwać z ponurego świata wykonawców rozkazów, by dotrzeć do tego, który je wydaje.

- Zamieszkasz tu - rzekł Ted poważnym tonem, jak gdyby ustalał kolejne etapy taktyki przed bitwą. - Podczas mojej nieobecności towarzyszyć ci będzie Raul.

Ruchem głowy wskazał mężczyznę przykucniętego w rogu tarasu. Juliette nie zauważyła go dotąd. Zastanawiała się, jak zdołał wśliznąć się tak bezszelestnie i czy słyszał ich rozmowę. Był to Indianin o spłaszczonym nosie i czarnych włosach przepasanych płócienną opaską. Miał na sobie koszulę z długimi rękawami, na której wyhaftowano krowy. Uderzało jego podobieństwo do Teda. Poza oczami - u Indianina czarnymi jak węgiel - mieli te same włosy i identyczny kolor skóry. Juliette pomyślała, że Ted musiał być owocem przedziwnego związku.

Usłyszawszy swoje imię, Indianin przesunął się do półcienia i zniknął w drzwiach domu.

- Masz jakieś rzeczy w samochodzie? - zapytał Ted.

- Tylko torbę.

- Raul ci ją przyniesie.

Dał Juliette znak, by podążyła za nim do wnętrza domu. Był tak wysoki, że przechodząc przez próg, musiał się schylić.

Pierwsze pomieszczenie okazało się zadziwiająco duże, wbrew temu, co zapowiadało się z zewnątrz. Sufit stanowiło skaliste sklepienie jaskini. Podłogę z tej samej skały wygładzono dłutem i wypolerowano ludzkimi stopami. Meble ciosane z drewna kontrastowały z nowoczesnym sprzętem elektronicznym, który wypełniał liczne zakamarki pomieszczenia. Telewizor z plazmowym ekranem, dwa albo trzy laptopy najnowszej generacji, drukarki i skanery świeciły metalicznym blaskiem na tle indiańskich wełnianych dywanów i drewnianych kanap przykrytych bawełnianymi materiałami. Zapewne nikt nie projektował tego wnętrza pod względem estetyki, niemniej jednak było ono godne reportażu w jednym z modnych czasopism poświęconych dekoracji.

- Tutaj pracujesz? - zapytała Juliette, ośmielając się skończyć ze zwracaniem się do Teda per pan.

- Ja nie pracuję - mechanicznie odparł Ted. - Tutaj żyję. Między innymi.

Jaskinia była głęboka. Przez pierwsze pomieszczenie, które odgrywało rolę salonu, przechodziło się do labiryntu korytarzy, łazienek i sypialni.

- To prawdziwy raj dla milionera mającego bzika na punkcie natury! - wykrzyknęła dziewczyna.

Ted spojrzął na nią lodowatym wzrokiem i Juliette odechciało się frywolnych komentarzy.

Pokazał jej pokój, w którym miała zamieszkać. Znajdował się na samym końcu jaskini i wydawało się niemożliwe, by docierało do niego powietrze. W sklepieniu wybito dwa otwory, przez które widać było zbocza góry. Wpadało przez nie świeże powietrze, łagodzące skwaśniały zapach unoszący się w pieczarze.

- Jutro muszę udać się do miasta. Poczekasz tu na mnie.

- W grocie?!

Wciąż pamiętała niekończące się godziny odosobnienia w Afryce Południowej.

- Wrócę pojutrze i wtedy zaczniemy.

Po drodze na taras Juliette dostrzegła dwóch innych Indian obecnych w domu i bezgłośnych jak myśliwi.

Czuła się dziwnie odprężona. Miejsce pełne było tajemnic i bez wątpienia stanowiło kolejny etap. Czuła jednak, że przyplęnęła do właściwego portu. Była mniej nerwowa, jej myśli stopniowo zwalniały tempo. Z własnej woli zawróciła do pokoju i położyła się na łóżku. Kontemplując kamienne sklepienie, wkrótce zasnęła.

IX

Seattle, stan Waszyngton

Siedziba organizacji One Earth mieściła się w budynku dawnej szkoły w północnej części miasta. By do niej dotrzeć pieszo, wystarczyło przejść pod żelaznym wiaduktem łączącym przeciwległe brzegi zatoki. Konstrukcja rozbrzmiewała dudnieniem pociągów i wibrowała pod wpływem samochodów ciężarowych, przejeżdżających po nierówno ułożonych płytach nawierzchni. Grupa głuchych albo szczególnie odważnych kloszardów wybrała te piekielne wrota na swoje miejsce zamieszkania. Rozciągająca się po tej stronie, niegdyś przemysłowo-handlowa dzielnica pozbawiona była duszy. Drobni przedsiębiorcy i właściciele hurtowni przenieśli się jakiś czas temu na peryferia. Na upadku północnej części Seattle skorzystały organizacje alternatywne. Ulokowały się w starych budynkach, płacąc niskie czynsze i nie czując potrzeby odmieniania krajobrazu. W pomieszczeniach dawnej rzeźni przemysłowej zadomowiła się na przykład wspólnotowa rozgłośnia radiowa. Chłodnie przekształcili w studia nagrań. Orientalny klub tańca brzucha zajął recepcję agencji ubezpieczeniowej, wykładając ściany i podłogi dywanami i barwnymi tkaninami. Biura One Earth zajmowały trzypiętrowy dom z cegły, otoczony żelaznym płotem. Ogrodzenie to wytyczało kiedyś boisko i za szkolnej kadencji budynku zabezpieczało przed wypadnięciem piłki na jezdnię. Obecnie nadawało miejscu wygląd warownego obozu. Nad bramą główną zainstalowano kamerę. By wejść na teren siedziby, Kerry musiała przedstawić się szczegółowo, następnie długo czekała, by usłyszeć chrzęst zwalnianej zasuwy.

Ściany holu pozaklejane były plakatami. Na postumentach leżały stopy ulotek i publikacji. Młoda piegowata telefonistka krzątała

się za kontuarem recepcji. Nikt nie wszedł ani nie wyszedł przez drzwi w holu. Kerry wydedukowała, że musi istnieć drugie wejście dla personelu.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się plakatom i ulotkom. Stowarzyszenie wyraźniej niż kiedykolwiek podkreślało swój „wyjęty spod prawa” charakter, ostry, oddany bezpośredniej akcji. Na okładce najnowszego numeru „Zielonej Walki” widniało zdjęcie brodatych bojowników walczących w puszczech z podłymi drwalami. Magazyn był propagandową witryną organizacji. Wojownicze obrazy były tym bardziej potrzebne, że od czasu odłączenia się radykalnych grup, takich jak Nowi Drapieżcy, organizacja porządnie zakotwiczyła się w poglądach umiarkowanych.

Kerry załatwiła sobie staż dzięki pośrednictwu Deana, dawnego funkcjonariusza FBI, który pracował w departamencie Barneya, lecz wciąż utrzymywał kontakt z jednym ze swoich informatorów, działających obecnie w One Earth. Dean podejrzewał, że dawny informator nadal może współpracować z policją. Kerry zdołała namówić Deana, by poprosił kolegę o przysługę. Wytłumaczyła mu jednocześnie, że gest ten w niczym nie przeciwstawia się nakazowi dyskrecji wydanemu przez Archiego.

Przyszedł po nią do holu osobiście, przerywając jej studiowanie prospektów. Wręczył elektroniczną przepustkę i razem opuścili hol. Miał około trzydziestki. Jego sylwetka zdeformowana była otyłością rozlewającą się po całym ciele, od brody poprzez szyję aż po nadgarstki. Chodził, kołysząc się zapewne z powodu bolących i przeciążonych stóp.

- Mam na imię Roger - przedstawił się. - Dean powiedział mi, co się pani przydarzyło. To okropne. Cieszę się, że mogę pomóc.

Kerry spojrzała na Rogera przelotnie, by potwierdzić swoje odczucia co do niego. Informator policji czy nie, facet wydawał się szczerze przejęty. Dean poprosił go o udzielenie pomocy przyjaciółce, której mąż i dwójka dzieci zginęli niedawno w wypadku lotniczym nad Atlantykiem. Gdy Kerry dowiedziała się o tym, wpadła w złość, mimo iż nie była przesadną kobietą. Było to alibi w wyjątkowo złym guście i mogło przynieść jej pecha. Musiała jednak przyznać, że Dean dobrze obrał kąć uderzenia. Roger bez-

apelacyjnie wierzył w bajkę i Kerry podejrzewała go nawet o naiwność. Zresztą nie miała wyjścia, musiała odegrać swoją rolę.

Przezornie rozczochrała tłuste włosy, grubym kosmykom pozwoliła zwisać bez ładu ze wszystkich stron. Zrobiła sobie mocny makijaż uwydatniający cienie pod oczami i kiepską formę. Jak każdy, kto romansuje z depresją, miała na sobie stare porozciągane łachy. Uśmiechnęła się blado, przyjmując kondolencje i ospale podziękowała Rogerowi.

Wy tłumaczył jej, czego oczekiwano od niej jako stażystki. Zadanie było banalne: miała rozsyłać zamawiane przez abonentów publikacje propagandowe. Jedni zamawiali podstawowy zestaw, który zawierał standardowy plik broszur i arkusze zgłoszeniowe. Inni mieli precyzyjne życzenia, jak na przykład stary numer magazynu organizacji albo płatne publikacje z konkretnych dziedzin. One Earth miała niewielki dział wydawniczy. Katalog z tytułami książek przyklejony był taśmą klejącą do ściany. Na czerwono zaznaczono w nim wyprzedane pozycje, bestsellerami były niezmiennie *Techniki zielonego sabotażu* i *Samoobrona zielonego wojownika*. Określenie wojownik zastępowało słowo bojownik, co Kerry zdążyła przeczytać w czasopiśmie znalezionym w holu.

Książki i broszury ułożono na metalowym regale. Konieczna była drabina, by dosięgnąć ostatnich półek. Magazyn mieścił się w pomieszczeniu, które kiedyś było salą gimnastyczną. Ze ścian zwisały kosze do gry w koszykówkę, a parkiet pokrywała siatka kolorowych linii.

Gdy Roger skończył omawiać jej obowiązki, Kerry potrząsnęła głową i zapytała ledwie dosłyszalnym głosem:

- Będę tutaj sama?
- Tak, ale zobaczysz: niewiele tu pracy. Może w tym tygodniu trochę więcej. Od miesięcy nikt się tym nie zajmował. Jak tylko jednak nadrobisz nasze zaległości...

Kerry spuściła głowę.

- Nie to miałam na myśli.
- Kłatką piersiową wstrząsnęły spazmy. Była na granicy płaczu.
- Co miałaś na myśli?
 - Samotność. Już nie mogę. Potrzeba mi ludzi. Miałam nadzieję, że tutaj...

Roger był z pewnością dzielnym człowiekiem. Kerry miała wyrzuty sumienia, że tak go oszukuje. Jednocześnie, im bardziej go okłamie, tym mniej będzie cierpiał po tym, co musiała zrobić.

- Ależ nie musisz siedzieć tu cały dzień! - wykrzyknął. - Mamy tu przerwy na kawę i posiłki. I stolówka jest przyjemna. Pokażę ci w południe. Możesz do mnie przychodzić, moje biuro znajduje się na końcu korytarza, na parterze. Niektóre zamówienia są skomplikowane, więc śmiało pytaj mnie o wszystko.

Kerry była zadowolona. Miała już doskonały pretekst, by waleśać się po budynku. Ułożyła usta w mniej zrozpaczony uśmiech i zatrzepotała wilgotnymi rzęsami. Roger wyglądał na uszczęśliwionego, że mógł być sprawcą tej odmiany. Przyszło jej do głowy, że może zdążył się już trochę zakochać. A to mogłoby utrudnić jej zadanie, szczególnie w przypadku, gdyby zapragnął zapamiętałe ją kontrolować i śledzić.

Tak jak się obawiała, cały poranek pomagał jej, mimo iż doskonale rozumiała, co ma robić. Gdy około jedenastej nadal krzątał się koło niej, Kerry postanowiła go wyprzedzić.

- Słuchaj, Roger, musisz mi wybaczyć. Miotają mną sprzeczne uczucia. Boję się samotności, ale czasem jej potrzebuję. Czy mógł być... - Podniósł na nią swe dobre oczy - ...zostawić mnie teraz samą? Muszę się przyzwyczaić. Nie gniewasz się na mnie?

Roger zaczerwienił się i zaczął się niezdarne tłumaczyć.

Gdy wyszedł, Kerry spojrzała na zegarek. Miała godzinę. By skończyć jak najszybciej, zaczęła pośpiesznie pakować książki. Jednocześnie w pamięci powtarzała szczegółowy plan akcji opracowany z pomocą Tary i kilku innych pracowników. Plan był owocem ciężkiej pracy wykonanej w rekordowym tempie. Providence pokazała tym samym, na co ją stać.

Wybrali bardzo prostą metodę. W środowisku szpiegowskim nie miałyby zastosowania, gdyż była znana i od razu wzbudziłaby podejrzenia. Wśród działaczy stowarzyszenia One Earth można było liczyć jeszcze na efekt zaskoczenia. Tak czy inaczej, w Providence nie mieli wyboru z braku czasu.

Kerry ziewała. Poprzedniej nocy położyła się spać o trzeciej na ranem, by zdążyć z próbą generalną. Zrobiła ją z użyciem techniki wideokonferencji, w pokoju hotelowym, komunikując

się z Providence za pomocą ekranu i mikrofonu laptopa. Teraz pozostało jej tylko modlić się, jak niegdyś, by wszystko poszło zgodnie z planem.

O dwunastej wyszła z magazynu. Wzięła ze sobą plik broszur, dzięki czemu mogła udawać zaafierowanie. Korytarze były prawie puste. Pojedyncze osoby, na jakie się natknęła, pozdrawiały ją ruchem głowy. Nie wszyscy pracownicy One Earth znali się, więc jej obecność nie wzbudzała żadnych podejrzeń. Plan działania nie wymagał na tym etapie samotnych wędrówek po siedzibie organizacji, Kerry chciała jednak sprawdzić, czy technicznie jest to możliwe.

Okazało się, że tuż za progiem holu wszystkie zakamarki budynku stały otworem. Bez problemu zwiedziła trzy piętra siedziby. Biura nie były opisane, jedyne, co się zmieniało, to wystrój poszczególnych działów, w zależności od usług. Wskazywał on na rodzaj wykonywanej tam pracy: dział informacyjny wyróżniały stopy gazet i czasopism; szefowie projektów przypięli do ścian mapy świata - pomimo swej nazwy, One Earth najwyraźniej podzieliła glob ziemski na strefy geograficzne wedle różnorodnych zagrożeń środowiska; atrybutem działu księgowego zaś były stopy rachunków. Całość utrzymana była w wielkim porządku. Mijani ludzie wyglądali na pilnych, kompetentnych i światłych. Przyjemnie dyskretni kontrastowali z wrzaskliwymi brodacami, którymi stowarzyszenie chwaliło się na pierwszych stronach gazet. Właściwie można było pomyśleć, że to siedziba małego przedsiębiorstwa usługowego. Brak wydzielonej części dla zarządu był jedynym szczegółem, który zdradzał asocjacyjny i niedochodowy charakter organizacji. Chociaż ruch miał kierownictwo, to celowo nie wyróżniało się ono spośród reszty. Grube wykładziny, ściany wyłożone drewnem tekowym, starannie oprawione obrazy czy inne elementy charakteryzujące zwykle strefę kierowniczą nie miały prawa bytu w tym świecie akcji bezpośredniej. Zwiedzając trzecie piętro, Kerry natrafiła na znaki, które pozwoliły jej przypuszczać, że znalazła się w rejonie biur zwierzchników, były to: bałagan i subtelna zmiana w wyglądzie urzędującej tu fauny. Przez szeroko otwarte drzwi dostrzegła ubranego w kowbojską kamizelkę typa, który rozmawiał przez telefon i trzymał na stole

nogi obute w meksykańskie kozaki. W innych pomieszczeniach zauważyła osoby starsze i bardziej hałaśliwe niż pracownicy działów technicznych. Przedstawiciele pokolenia baby-boom, którzy założyli One Earth, nadal sprawowali kontrolę nad stowarzyszeniem. Mimo siwiejących już włosów ludzie ci całym swym jestestwem wyrażali przynależność do pokolenia, które ma władzę.

Kerry zakończyła inspekcję i zeszła po szerokich betonowych schodach, którymi kiedyś tłumy uczniów zbiegały w czasie przerwy na boisko. Na pierwszym piętrze wpadła na Rogera. Spojrzała na nią ze zdziwieniem i trochę podejrzliwie. Jednak Kerry wiedziała, jak w mgnieniu oka rozwiązać wątpliwości, rzucając mu się w ramiona.

- Nareszcie cię odnalazłam! - jęknęła. - Nie mogę trafić do stołówki, na korytarzach nie ma żywej duszy!

- To nie ten budynek. Trzeba przejść przez boisko.

- Skąd mogłam wiedzieć!

Wypowiedziała te słowa, jak przystało na zrozpaczoną wdowę. Roger się rozczulił, podał jej ramię i zaprowadził Kerry do stołówki. Znajdowała się w parterowym dusznym budynku. Matowe szyby dużych okien były zaparowane. W porze obiadowej stołówka była pełna i huczała od dźwięków, które dodatkowo wzmacniały wykafelkowane ściany i podłoga. Ludzie rozmawiali głośno, prawie krzycząc. Od strony jednego ze stolików dochodziły wysokie tony damskiego śmiechu.

Podczas gdy Roger witał się z kilkoma osobami, Kerry poszukała wzrokiem swej ofiary. Siedziała na końcu sali razem z dwoma mężczyznami i kobietą. Oceniając po stroju i manierach, Kerry skonstatowała, że musieli należeć raczej do kasty pracowników aniżeli pracodawców.

Roger zaproponował właśnie zwolniony stolik. Kerry usadowiła się twarzą do wypatrzonej osoby, która znajdowała się teraz w odległości pięciu metrów. Ledwo usiadła, zaczęła się w nią intensywnie wpatrywać. Była to brunetka około trzydziestki, z długimi falowanymi włosami. Jej duże oczy były mocno umalowane. Na napiętej skórze twarzy w kącikach ust delikatnie zarysowały się pierwsze zmarszczki. Kerry tak często powracała do niej wzrokiem, że zwróciło to uwagę Rogera.

- Komu się tak przyglądasz? Widzisz jakąś znajomą osobę?
- Ciekawe... powiedziałabym, że to koleżanka z dzieciństwa. -
Roger się odwrócił. - Pewnie się pomyliłam - wymamrotała Kerry,
potrząsając głową. - To było tak dawno temu... miała na imię
Ginger.

- A!! Chodzi o Ginger!

Kerry upuściła widelec.

- Co takiego?

- Ee... ta dziewczyna także nazywa się Ginger. Może to ta
sama...

Kerry zbladła. Zaczęła tak natargiwie wpatrywać się w Ginger, że
tamta poczuła na sobie jej spojrzenie i podniosła na nią wzrok.

- Nie zasnę dziś, jeśli się nie upewnię - oznajmiła Kerry i wstała.

Podeszła do dziewczyny, podsunęła krzesło i usiadła tuż obok
niej, zmuszając ją jednocześnie do odwrócenia się plecami do
towarzyszy.

- Przepraszam bardzo, jestem tu nowa - zaczęła. - To może
głupie i wybac mi, jeśli niepotrzebnie cię niepokoję, ale chodzi-
liśmy chyba do tej samej klasy w szkole podstawowej imienia
Marka Twaina w...

- W Moines!

- Masz na imię Ginger, prawda? - pisnęła Kerry. - Nie pozna-
jesz mnie?

Dziewczyna wydobyła z siebie okrzyk zadowolenia. W jej głosie
czuło się jednak wahanie. Nie była w stanie przypomnieć sobie
imienia postaci wynurzającej się nagle z jej dzieciństwa. Była to
normalna reakcja. Tara wyjaśniła Kerry, że wątpliwości nie były
złym znakiem. Najważniejsze to w przekonujący sposób wywołać
wspólne wspomnienia. Nastąpił moment na zaaplikowanie
kolejnego zastrzyku.

- Mam na imię Kerry. Przyjaźniłam się z twoją siostrą, Lindsey.
Właściwie to wiekowo jestem między wami dwiema. Urodziłaś się
w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym prawdą?

- Tak, w czerwcu.

- Pamiętałam, bo jesteś ode mnie starsza dokładnie o rok.
Kiedyś ta różnica wydawała się nam olbrzymia. Byłam smarkulą i
nie zwracałaś na mnie uwagi.

Roześmiały się.

- Między tobą i Lindsey jest więc osiem miesięcy różnicy? - powiedziała Ginger.

- Zgadza się. Co u niej słyhać? Od co najmniej dziesięciu lat nie miałam od niej wieści.

- Wyszła za Kanadyjczyka. Mają trójkę dzieci i mieszkają na północy, w Chicoutimi.

- Musisz mi dać jej adres. Napiszę do niej. A wasi rodzice wciąż żyją w Kansas?

- Już nie. Kupili mieszkanie w Fort Lauderdale, w którym przebywają trzy czwarte roku, a latem przyjeżdżają do Seattle.

Dołączył do nich Roger i zaczął tłumaczyć sytuację towarzyszom Ginger.

- I ona do mnie: „Powiedziałabym, że to Ginger”, a ja jak kretyń odpowiadam: „Ta też ma na imię Ginger”.

Jego relacja dodała wiarygodności spontanicznemu spotkaniu.

Poszedł po kawę dla wszystkich. Gdy wrócił, koleżanki zajęte były odkopywaniem wspomnień: Moines, gdzie Kerry spędziła trzy lata, basen, na który chodziły co niedzielę, rynecek, kiosk, gdzie sprzedawano słodycze...

Tara zapewniła Kerry, że uwiarygodnienie dzieciństwa jest jedną z najprostszych rzeczy. Nadmiar szczegółów może wydać się podejrzany. Wystarczy więc przywołać ogólny nastrój, miejsce, ze dwa szczegóły bez znaczenia, których druga osoba z reguły nie kojarzy. Całość staje się wtedy nie do podważenia.

Potem przechodzi się do opowieści z późniejszych lat, już po domniemanym rozstaniu, które nastąpiło w dzieciństwie. W tej fazie nie wywoływało się wspólnych wspomnień, była więc łatwiejsza. Należało tylko wystrzegać się ewentualnego przepytывania albo dobrze przygotować odpowiedzi, jak w wypadku zwykłej przykrywki.

- Czym się teraz zajmujesz?

- Ach, to długa historia - Kerry na powrót przyjęła pozę osoby przybitej, którą znał Roger. - Masz pewnie dużo pracy...

- Tak, muszę wracać do biura. Chodź ze mną, pogadamy na górze. To ty też pracujesz w One Earth?

- Dopiero od dziś...

- Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Wyszły, obejmując się jak koleżanki z dawnych czasów. Roger odprowadził je rozczulonym wzrokiem, radując się, że jest świadkiem powolnego powrotu Kerry do życia.

Zanim doszły na trzecie piętro, zdążyły sobie niemal wszystko opowiedzieć. O żałobie Kerry, ważnych etapach w jej życiu sprzed tragedii. Ginger opowiedziała jej o swoim mężu i dziesięcioletniej córce, która była „w tym samym wieku co one, gdy się poznały”. Co do pracy, Ginger podjęła temat niechętnie, wzdychając.

- Wyobraź sobie, że pracuję z tą bandą wariatów od piętnastu lat.

- Jest tak ciężko?

- Mam już dość, choć praca ma swoje dobre strony.

- A czy się zajmujesz?

„Zadawaj tylko takie pytania, które będą świadczyły o twojej absolutnej nieznajomości tematu”, radziła Tara.

- Trudno to wytłumaczyć. Jestem, jak by to powiedzieć, ogniwem łączącym.

- Co z czym?

- Radę i pracowników.

- Radę?

- No wiesz, szefostwo. Choć nie lubią, gdy tak ich nazywamy. Większość to założyciele organizacji. Banda geniuszy, z których jeden jest bardziej szalony od drugiego. Teraz są bogaczami. Sami nic nie robią, ale żądają, by reszta harowała. Pomiędzy nimi jestem ja.

- Wiesz, że dopiero tu zaczynam, nie mam pojęcia, jak funkcjonuje stowarzyszenie. Macie przewodniczącego, szefa kierowników, kogoś w tym stylu?

- Jak we wszystkich organizmach tego typu, stacamy tu epickie batalie. Od dwóch lat jest spokojniej, bo pozbyliśmy się zapaleńców. Odtąd kierowanie organizacją jest w rękach trzech w miarę rozsądnych osób.

Ginger za szybko doszła do właściwego tematu. Kerry postanowiła, że ostrożniej będzie nie drażyć go natychmiast. Ścisłe trzymała się planu.

- Muszę wracać do pracy - powiedziała.

- Co robisz?

Kerry opisała swe obowiązki.

- A, rozumiem. Zastępujesz niepełnosprawnego chłopaka, który do tej pory zajmował się wysyłkami. Biedak, ponoć niedobrze z nim. Podoba ci się praca?

- Powiedzmy, że jest... mało skomplikowana.

- A co studiowałaś? Kerry

wzruszyła ramionami.

- Archiwistykę.

- Niemożliwe! Są takie studia?

- Nawet całkiem trudne. Sześćoletnie, magisterskie.

- Na temat układania dokumentów?

- Archiwum to nie tylko ułożone dokumenty. To pamięć kolektywna. Tożsamość instytucji. Ślad czasu odcisnięty na społeczeństwie.

- No proszę, wyczuwam w tobie pasjonatkę! Dlaczego nie pracujesz w swoim zawodzie?

- Robiłam to do śmierci męża. Wylali mnie, bo wpadłam w depresję.

„Unikaj szczegółów dotyczących najbliższej przeszłości”, podkreśliła Tara. Jej fałszywa tożsamość zbudowana była na kruchych fundamentach. W branży nazywało się to przykrywką do wyrzucenia. Miała wystarczyć na kilka godzin albo kilka dni i punkty odniesienia nie były równie konkretne jak w przypadku przykrywki zwykłej. Gdyby Ginger chciała sprawdzić niektóre fakty, kłamstwo szybko wyszłoby na jaw. Na szczęście akcja była obliczona na kilka dni, co nie pozostawiało kobiecie czasu na ewentualne dociekania. Jednak zawsze istniało ryzyko. Kerry zmuszona była szczególnie uważać, by nie stworzyć łatwego do zweryfikowania kontekstu. Powinna unikać mówienia o zbyt świeżych szczegółach swego sfabrykowanego życiorysu.

Ginger rzuciła okiem na zawalony papierami stół. Ściany biura zasłaniały kartony i segregatory. Niektóre pękały w szwach albo przygniatały te mniej wypełnione. Po chwili zastanowienia rzekła:

- Może bardziej przydasz się nam tutaj niż w magazynie. Powinam opowiedzieć ci o naszych archiwach.

- Kto jest za nie odpowiedzialny?

- Nikt. Każdy zajmuje się swoimi sprawami.

Zabrział dzwonek telefonu i Ginger pochłonęła długa dyskusja na temat zebrania, które miało odbyć się w innym terminie. Gdy odłożyła słuchawkę, nie pamiętała już o archiwum.

- Muszę lecieć - zwróciła się do Kerry. - Mam masę spraw do załatwienia. Wracaj do pracy i widzimy się jutro w południe. Może uda mi się zorganizować jakąś domową kolację pod koniec tygodnia.

Kerry zawahała się. Błyskawicznie rozważyła wszystkie za i przeciw. Zważywszy na pilny charakter sprawy i pomimo niebezpieczeństwa, jakie pociągało to za sobą, postanowiła działać.

- Mówiłaś poważnie?

- Na jaki temat?

- Archiwów. Byłabym szczęśliwa, mogąc z tobą pracować. No i nie musiałabym siedzieć cały dzień w magazynie. W dwa tygodnie uporządkowałabym całą dokumentację.

Ginger przystanąła, po czym przyjrzała się jej uważnie. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła.

- Wtedy w Moines - podjęła z podejrzliwym błyskiem w oku - zastanawiam się, czy...

Kerry poczuła, jak pot spływa strużkami po jej plecach. O dziwo, ekstremalne sytuacje wprawiały ją zawsze w wyjątkowo swobodny nastrój. Po raz pierwszy od powrotu do starego fachu poczuła to osobliwe poruszenie, którego nigdy nie udało jej się wymazać z pamięci. Pomyślała o Paulu.

- Hm... nie byłaś przypadkiem dziewczyną Jerry'ego Knoba?

Ekipa Providence w tydzień dokonała cudów; na podstawie informacji o One Earth zidentyfikowali Ginger; sprawdzili, czy nadal jest sekretarką rady stowarzyszenia; dotarli do informacji o jej stanie cywilnym; o miejscu, gdzie się wychowała; wysłali tam kilka osób, które dyskretnie zasięgnęły języka na jej temat. Innymi słowy, zebrali wszystkie dane konieczne do stworzenia przykrywki. Poradzili sobie wspaniale, a Kerry przyswoiła te informacje w rekordowym tempie. Jednak nikt, nigdy, nie wspomniał jej o Jerry'ym Knobie. Kerry miała sekundę na podjęcie decyzji. Ginger spoglądała na nią z enigmatycznym uśmiechem. Trzeba było rzucić monetą: orzeł albo reszka.

- Owszem - odparła Kerry podnosząc na nią wzrok. - Chodzi liśmy ze sobą.

Ginger zerwała się z piskiem. Ominęła biurko i z uniesieniem pocałowała Kerry w oba policzki.

- Czemu się od razu nie przyznałaś? Teraz cię poznaję! Widzisz, to głupie, ale ci nie dowierzałam. To jasne, że bywałyśmy w tych samych miejscach, ale jakoś nie mogłam sobie ciebie przypomniać. Teraz już wiem!

Kerry wstała i Ginger, głaszcząc ją po plecach, wyszła z nią na korytarz.

- Wspomnienia to śmieszna sprawa - powiedziała. - Teraz wszystko sobie przypominam. Wpadnij do mnie jutro, to poplotkujemy

Kerry zrobiła krok w stronę schodów, gdy Ginger chwyciła ją za ramię i szepnęła:

- Ach, ten Jeny Knobe... też z nim chodziłam, rok później... Przyłożyła palec do ust i jak mała dziewczynka parsknęła śmiechem.

CZEŚĆ TRZECIA

I

Pustynia Kolorado, Stany Zjednoczone

Poprzedniego dnia Harrow wrócił późnym wieczorem. Był wykończony i od razu położył się spać. Zdążył tylko zapytać Juliette, czy jeździ konno. Odparła, że tak. W rzeczywistości jej doświadczenie jeździeckie sprowadzało się do kilku lekcji w ośrodku wojskowym, jakie odbyła, mając dwanaście lat. Ojciec, wiecznie żądny metod dyscyplinowania, siłą zapisał ją na lekcje jazdy konnej, celowo wybierając najsurowszego spośród instruktorów. Gdy z kolei matka zorientowała się, że dziecku mimo to spodobał się ten sport, prędko uniemożliwiła jej kontynuowanie zajęć. Na szczęście Juliette potrafiła utrzymać się w amerykańskim, szerokim i miękko wyścielanym siodle.

Konie były gotowe wczesnym rankiem. Juliette nie wiedziała, dokąd pojedą, lecz uznała, że nie ma po co pytać o cel przejażdżki. Czowała, że przynależy do grupy. Musiała poddać się zasadom, z których pierwszą było posłuszeństwo i milczenie.

Dwa srokate i osiodłane konie czekały w suchym wężozie poniżej domostwa troglodyty, przytrzymywane za lejce przez Indianina. Ilość pakunków przywiązanych do siodła i troków pozwalała przypuszczać, że przejażdżka potrwa kilka dni. Z kieszeni siodła Harrowa wystawała zdobiona kolba strzelby.

Wspięli się po zboczu wężozu aż do miejsca, w którym odłamki skał i kamienie wyścielały skarpe i tworzyły chaotyczne wzory. Pomiedzy nimi ledwo rysowała się piaszczysta dróżka. Konie szły pewnie, Juliette pomyślała, że dobrze znały trasę. Harrow dosiadał ogiera o szerokim karku. Dziewczyna podążała za nim na potulnej i wygodnej klaczy. Dotarli za skraj płaskowyżu, gdy słońce wynurzało się ponad linię horyzontu. Ogier wydłużał krok,

pozostawiając nieco w tyle klacz, która co chwilę doganiała go klusem. Harrowowi nie przeszkadzał dystans tworzący się regularnie między nimi, zdawało się wręcz, że celowo go utrzymuje. Narzucił też milczenie. Nic nie zakłócało spektaklu, jaki właśnie rozgrywał się na ich oczach.

Horyzont płonął wraz ze wschodzącym słońcem. W przeciwieństwie do zwyczajnego świtu, kiedy krajobraz blednie, w miarę jak zwiększa się natężenie światła, tu czerwień pochodziła nie od nieba, lecz z ziemi. Im wyżej wschodziło słońce, tym ziemia stawała się ciemniejsza. Jak okiem sięgnąć, spłaszczone i wyrzeźbione przez wiatr i wodę skały przybierały eleganckie barwy ochry i karminu.

W pierwszej kolejności słońce rzeźbiło skały poziomymi liniami. Na tle horyzontu, gdzie jasność nieba stykała się z ciemnością ziemi, zbocza kanionów rysowały prostokątne kształty na różnych wysokościach. Im wyżej wznosiła się słoneczna tarcza, tym większy był kąt padania promieni na ziemię. Wraz z nimi objawiały się pionowe linie krajobrazu: pęknięcia na brzegach płaskich szczytów, wykwintnie udrapowane zbocza, samotne kamienie wynurzające się z dna płaskiej doliny. Konie, które nie były podkute, pędziły w chmurach pyłu, wybijając rytm widowiska głuchym tętentem kopyt.

Juliette poczuła dreszcze emocji. Po raz pierwszy od kiedy znalazła się w przedziwnym stanie ekscytacji, poruszenia i niepokoju poczuła, że świat zewnętrzny stał się na tyle przestronny, by pomieścić egzaltację jej duszy. Skąd brała się niezwykła moc jałowego, pustynnego i wrogiego pejzażu? Dawał on, jak żaden inny, wrażenie nieskończoności. Z perspektywy siodła i grzbietu gór horyzont nie miał końca. Jednak i sama ziemia wydawała się bardziej przestronna. Sinusoida kanionów wyprowadzała spojrzenie poza zwykłe granice. Nieprawdopodobna ilość reliefów, pierwszych i dalekich planów, wypełniała pole widzenia, jak gdyby ziemia zwiększyła swoje rozmiary. Zdziwiające było również to, że nawet niebo wydawało się sięgać dalej. Spiętrzone cumulusy, spoczywające na płaskich piedestałach, na podobieństwo ziemskiego krajobrazu, rysowały w przestrzeni niebieskiej obraz rozedrganych gór i wzburzonych

dolin. Juliette nigdy wcześniej nie doznała takiego wzruszenia na łonie natury.

Harrow, wciąż kilka metrów przed nią, nadawał krajobrazowi ludzki wymiar i znaczenie. Był niczym inteligentne zwierciadło statycznego świata. Wskazywał na jego wartość i kontemplując go, wyzwał piękno, jakie ten świat w sobie zawierał.

Dotarli na skraj płaskowyżu. Stamtąd droga prowadziła w głąb kanionu kipiącego gorącym pyłem. Harrow dał Juliette znak, by ruszyła przed nim. Ubezpieczał ją z tyłu w razie potknięcia się klaczy. Dzięki temu Juliette miała przed oczami sam pejzaż, pozbawiony sylwetki człowieka. Poczula, jak powoli odwraca się perspektywa. Dzika przyroda, w niczym niepodporządkowana człowiekowi, wydała jej się teraz druzgocąco potężna. Istota ludzka zajmowała w niej najbardziej podrzędne i niemal nieznaczące miejsce widza. Pod miażdżącym wrażeniem absolutnego piękna Juliette zdała sobie sprawę, że przyroda żyje własnym życiem i jeśli cokolwiek zawdzięcza ludziom, to jedynie degradację.

Przypomniała sobie książkę, którą poprzedniego dnia znalazła w swoim pokoju, i którą zaczęła czytać, oczekując powrotu Teda. Autor książki, niejaki Aldo Leopold, był emerytowanym strażnikiem parku przyrodniczego. Utwór nosił tytuł *Almanach księstwa piasku*. Opowiadał o górach, rzekach i krajobrazach jak o istotach ludzkich, do których człowiek nie miał żadnych praw. Jonathan wspominał jej kiedyś o tej książce. Pompatycznie nazywał ją aktem urodzenia nowej relacji człowieka z przyrodą, w której człowiek jest znikomą częścią przyrody i nigdy jej nie posiada.

Dla Europejczyków tekst był trudny do zrozumienia. Na starym kontynencie przyroda tak naprawdę już nie istniała. Każdy jej metr kwadratowy został już opodatkowany, wykupiony, przekształcony albo wykarczowany. Amerykańskie krajobrazy zachowały swą przyrodzoną i nieposkromioną siłę. Człowiek nie miał innego wyjścia, jak tylko ugiąć się pod ich prawem. Juliette zgadzała się z koncepcją Aldo Leopolda.

Tego dnia Harrow niemal się do niej nie odzywał. W południe wręczył dziewczynie dwie kanapki oraz manierkę z wodą, które wyjął z torby. Jedli, nie zsiadając z wierzchowców. Dopiero o piątej

po południu zatrzymali się w miejscu, które przypominało szeroki taras na zboczu kanionu. Porastały go suche zarośla i kępy akacji. Harrow przyniósł naręcze gałązek, kawał martwego pnia i, ułożywszy je w stos, rozpalił ognisko. Na ziemi rozłożył koce, które zwinięte w rulon przytroczone były do siodeł. Upiekli kukurydzę, kiełbaski, a na końcu kotlety.

Juliette była pod wrażeniem Harrowa i jego milczenia oraz dystansu, jaki potrafił stworzyć między sobą a drugim człowiekiem. Jednocześnie coraz bardziej mu ufała i pomimo że nie знаła celu wyprawy, nie bała się.

- Urodziłeś się w tej okolicy? - zapytała, gdy dziobali przypieczone ziarna kukurydzy.

- Nie. Dorastałem na północy, w Górach Skalistych.

Nocą jego niebieskie oczy traciły niepokojący błysk. Wydawał się Juliette bliższy, bardziej ludzki.

- W każdym razie dobrze znasz te rejony. Po czym poznajesz drogę? Ja zdążyłabym się zgubić już dziesięć razy.

- Patrzę na znaki.

- Znaki! Od rana nie zauważyłam żadnego śladu człowieka.

Harrow wzruszył ramionami i po raz pierwszy uśmiechnął się do Juliette.

- Jesteśmy na terytorium Indian. Oni nie ranią ziemi. Znaki, które zostawiają, są mało widoczne: ułamana gałązka, przycze pione do drzewa pióro, trzy kamienie ułożone w kształt trójkąta... musisz bardziej uważać.

- Kiedy nauczyłeś się odczytywać indiańskie znaki?

Odwrócił się do niej i w tym samym momencie jego twarz oświetliły płomienie ogniska. Proste włosy, orli nos, wysokie kości policzkowe, cera miedziana w poświęcie ognia przemówiły do Juliette jaśniej niż cokolwiek do tej pory.

- Jesteś Indianinem, prawda?

Harrow wydał z siebie pomruk i potrząsnął głową w sposób, który nie dawał jednoznacznej odpowiedzi na pytanie. Wyciągnął się na kocu. Podpierając się na łokciach, spoglądał na rozgwieżdżone niebo. Juliette nie śmiała nalegać.

- Nie widziałam żadnego Indianina po drodze - zmieniła te mat.

- Na pewno kilku minęliśmy. Po prostu nie pokazali się. Nie za chowują się jak właściciele ziemi, na której żyją. Nie przekształcają jej, nie niszczą. Ziemia ich przyjęła, bo traktują ją z szacunkiem. Nigdy nie odważyliby się jej pociąć na parcele jak kawał mięsa. Wierzą, że ziemia żyje. Mają świadomość, że są częścią pewnej całości. Ich mądrość kryje się w przekonaniu o równowadze wszystkich rzeczy. Tego się od nich uczymy.

Ted mówił o Indianach, ale opisywał siebie samego. Było to zgodne z odczuciami Juliette. Wydawał jej się siłą wtopioną w inne siły, człowiekiem karmiącym się wiatrem, ziemią i przestrzenią.

- Ale z czego oni tu żyją?

- Indianie nie znają takiego pytania - odparował Harrow. -Mają wszystkiego pod dostatkiem. To cywilizacja białych ludzi wymyśliła niedostatek.

Pomimo surowego tonu mężczyzny Juliette była szczęśliwa, że nareszcie wywiązała się rozmowa. Starła się ją podtrzymać.

- Dostatek...! Na tej pustyni...? Gdybyśmy nie wzięli ze sobą kotletów...

- Przyroda dostarcza nam wszystkiego, czego potrzebujemy. Nawet tutaj. Pod warunkiem, że jest nas niewielu.

- No właśnie.

- Tak - rzekł Harrow, rozgrzebując ogień patykami. - Oto wielka tajemnica. Znają ją tradycyjne społeczności. To one przystosowały się do przyrody, a nie na odwrót. Rytualne walki, składanie ofiar czy zakazy miały wyłącznie jeden cel: ograniczyć liczebność grupy. Dzięki temu dary przyrody były obfite.

Harrow zrobił się prawie rozmowny. Perorował wolno i czuło się, jak bardzo bliski był mu ten temat.

- Któregoś dnia ludzie przestali dostrzegać wokół siebie bogów. Zamiast tego ustanowili Boga jedyne. Człowiek jako odbicie tego Boga stał się świętością. Odtąd jednostka miała więcej wartości niż grupa i gatunek ludzki zaczął się rozmnażać. Przyroda nie była w stanie zaspokoić jego potrzeb. Równowaga i harmonia zostały naruszone. Obfitość zmieniła się w biedę.

Małeńka bańka powietrza na rozżarzonej kawałku drewna zaczęła syczeć. Harrow wsłuchiwał się w tę cichą melodię, jak gdyby dawała mu sygnały. Gdy ogień ucichł, Harrow podjął dalej.

- Istota ludzka zaczęła torturować planetę, by wciąż produkowała więcej i więcej. Człowiek wytyczył na niej granice i wybudował ogrodzenia. Rozszarpał ją pługami, poranił motyką, wypatroszył buldożerami i dynamitem. Wyłącznie po to, by coraz więcej ludzi mogło ją zasiedlać. A jednocześnie, by coraz mniej od ziemi dostawać.

W ciszy pustynnej jasnej nocy, ożywionej jedynie cieniami gór, przytłumiony i głęboki głos Harrowa zdawał się wyrażać myśli samej ziemi.

Z daleka, zza ciszy dziewiczej przyrody docierały do Juliette ledwo słyszalne pomruki. W zwyczajnych okolicznościach pomyślałaby, że to krew pulsująca w jej skroniach. Teraz jednak nie miała wątpliwości, skąd pochodzą dźwięki. Były rumorem miast i ich przedniej straży: asfaltowych dróg i śmietnisk; pochodziły z sieci autostrad krępujących ziemię, ciężkiego kroku miliardowej armii ludzi, która wypluwała swój ogrom na bezbronne równiny, wybrzeża, aż do linii gór... Był to hałas wycinanych lasów, masakrowanych dzikich zwierząt, duszonych ściekami rzek, zasmrodzonego dymem nieba i mórz zanieczyszczonych ropą. Obrazy te zasiedliły postawiony w stan gotowości umysł Juliette. Były tak realne, że miała ochotę krzyczeć z bólu. Żadna książka, żaden artykuł ani propaganda nie zdołałyby przemówić do niej tak barczo, jak ta ogromna i cicha pustynia.

Jednocześnie, będąc z dala od wszelkiego brudu, to wspaniałe i dziewicze miejsce zdawało się szeptać, że bitwa nie została jeszcze przegrana. Na kuli ziemskiej nadal było wiele nietkniętych miejsc, pustynnych stref i gór, dziewiczych lasów, a zatem marsz dzikiej przyrody ku śmierci doczeka się może zawieszenia i pewnego dnia przyroda weźmie odwet.

Harrow odgadywał, co dzieje się w wyobraźni dziewczyny. Życzył jej dobrej nocy i zwinąwszy się w koc, zasnął. Juliette długo leżała na plecach, pozwalając, by ogień przypiekał ją z boku. Rozmyślała o walce, której sens właśnie odkryła i którą również jej dane będzie stoczyć.

Ruszyli nazajutrz o świcie. Kilka razy zsiadali z koni i prowadzili je wąskimi ścieżkami. Pokonali chyboczącą się kładkę ponad spienionymi wodami potoku. Szli w górę rzeki wzdłuż brzegu. Nieco

dalej potok rozlewał się szeroko, tworząc odnogi okolone plażami, trawą i żwirem. Lekki wietrzyk, który dmuchał im w twarz, płątał zapachy i dźwięki. Nagle pięćdziesiąt kroków przed sobą ujrzeni stado antylop u wodopoju. Zwierzęta nie spłoszyły się na ich widok. Harrow dał Juliette znak, by się zatrzymała. Ukryli się w wierzbowym lasku. Spomiędzy gałęzi doskonale widzieli głowy antylop, ich drżące chrapy, nieruchome uszy, które lustrowały przestrzeń jak radary. Naraz Juliette ujrzała, jak Harrow wyciąga z kabzy strzelbę i mierzy w zwierzęta.

Nie mogła pojąć, jak obrońca przyrody może porywać się na życie wolnej zwierzyny. Automatycznie zrobiła ruch, by mu przeszkodzić, jednak Harrow zdecydowanym gestem ją powstrzymał.

- Czemu chcesz zabić antyloperkę? - wyszeptwała.

- Uważasz, że należy je chronić? - mruknął Harrow, nie spuszczać stadka z oka.

- Tak.

- Każda z nich to świętość?

Mówił tak cicho, że Juliette nie potrafiła odgadnąć tonu. Spojrzała na zwierzęta i zawahała się.

- Tak, tak myślę.

- Jesteś więc jak ci kretyni, obrońcy zwierząt.

- Dlaczego kretyni? Walczą o ochronę przyrody.

Harrow poprawił kolbę na ramieniu.

- Nie chronią jej, lecz ją wykańczają.

Mrugnął okiem i przyłożył je do celownika.

- Szacunek dla jednostki, który wyrządził przyrodzie tyle złego, popchnął ich na skraj absurdu - wyszeptał. - Dając zwierzętom prawa, które przysługują człowiekowi, doprowadzą do katastrofy. Na przykład obejmując ochroną foki, człowiek pozwala im się mnożyć. Obecnie zwierzęta te zagrażają wielu gatunkom ryb.

Jedna z antylop usłyszała dyskretne echo szeptu. Podniosła głowę i zaczęła lustrować brzeg. Nie dostrzegła nic poza ruchem promieni słonecznych odbijających się na tafli wody, powróciła więc do przerwanej czynności.

- Przyroda nie oznacza szacunku dla życia. Jest wielkim dziełem śmierci. Zabijania i bycia zabijanym. Równowaga to harmonia

pomiędzy drapieżnikami. Chronić naturę to wiedzieć, jak zadawać śmierć.

Wymawiając te słowa, Harrow podał Juliette strzelbę. Spojrzała na niego pytająco. Po chwili, niemal mechanicznie, chwyciła ją. Nigdy wcześniej nie miała w rękach broni, nawet takiej do zabawy. Zdziwiła się, że jest taka ciężka. W jednej chwili zrozumiała, dlaczego broń daje natychmiastowe poczucie bezpieczeństwa. Harrow dalej obserwował zwierzęta. Wiedziała, że nie powie jej, co robić. Dał jej prawo wyboru. Minęła długa chwila, podczas której targały nią sprzeczne myśli. Wreszcie przyłożyła broń do ramienia i wymierzyła.

Trochę przypadkowo wybrała młodą antylopę, która skończyła pić i spokojnie czekała powyżej wodopoju.

Juliette czuła, że Harrow na nią patrzy. Nie przypuszczała, że zdolna jest do skupienia tak wielkiego ładunku niepokoju i pragnienia w oku i palcu zakrzywionym na zimnym cynglu. Jej myśli pędziły z niespotykaną szybkością. Czuła się jak na wirującej karuzeli. Chciała ją zatrzymać, rozpedzić myśli jak wrony. Nacisnęła spust.

Metaliczny dźwięk zabrzmiał wysokim wibrującym tonem, który usłyszały zwierzęta. Całe stado rzuciło się w podskokach do ucieczki. Juliette nie poruszyła się, jak gdyby czekała na opóźniony wybuch. Wreszcie zrozumiała i opuściła strzelbę. Spojrzała na nią, potem na Harrowa. Widząc uśmiech malujący się w kąciку jego ust, domyśliła się, że broń nie była naładowana.

Mężczyzna wziął ją z ręki Juliette.

- Nie należy zabijać antylop. Nie dlatego, że każda z nich jest święta. Gdyby było ich wiele, moglibyśmy jedną ustrzelić. Ale antylop jest coraz mniej i gatunek należy do zagrożonych.

Juliette spojrzała na niego tępym wzrokiem. Znowu targały nią sprzeczne uczucia. Poczowała ulgę, że nie zabiła zwierzęcia. Ze zdziwieniem zdała sobie jednak sprawę z frustracji, niczym bólu niezrealizowanej potrzeby: potrzeby oddania strzału.

- Chronić naturę - powiedział cicho Harrow, wstając i kierując się w stronę koni - to wiedzieć, *kogo* należy zabić. - Potem, wsadzając strzelbę do pokrowca, dodał głośniejszym głosem: - Pożyteczniejszy byłoby zabrać się do kłusowników, którzy przyjeżdżają tu jeepami.

Jechali jeszcze długo, zatem Juliette miała dość czasu, aby prze-
myśleć zdarzenie. Wydawało jej się, że Harrow kpi z niej, więc
dąsała się w milczeniu. Wraz ze zmieniającym się krajobrazem jej
myśli pobiegły innym torem. Ostatecznie doszła do wniosku, że
przewodnik poddał ją pewnego rodzaju rytualnej inicjacji. Była to
historia Izaaka na odwrót. Abraham udał się na górę, by złożyć w
ofierze człowieka, i wtedy Bóg posłał mu barana. Ona, prze-
ciwnie, miała zabić zwierzę, lecz Harrow wszechmogący zalecił
jej uśmiercić kłusowników. Czyli człowieka.

Poczuła, ba, była pewna, że gdyby jakimś cudem na miejscu
antylopy znalazł się myśliwy, nie zawahałaby się ani przez mo-
ment.

Czy to marsz przez pustkowia tak niepokojąco na nią działał?
Czyby Harrow wyłowił z jej duszy i ciała popędy, do których
nawet przed sobą nie chciała się przyznać?

Nazajutrz ich trasa wiodła przez pustynię. Harrow nadal nie
powiedział, dokąd zmierzają. Juliette zaczęła się jednak domyślać.
Pejzaż wydawał się jej znajomy. Zwracała uwagę na wysokość
słońca, na kierunek płynących rzek i strumieni, na ukształtowanie
terenu. Z dumą odkryła, że potrafi rozpoznawać indiańskie
wskazówki pozostawione na gałęziach w miejscach, gdzie należało
skręcić. Była prawie pewna, że zataczają olbrzymią pętlę i że nie-
długo trafią do troglodyckiego domu. Innymi słowy nie zmierzali
w jakieś konkretne miejsce. Celem podróży była sama podróż.
Harrow uprzedzał ją, że musi się wiele nauczyć. Zrozumiała, że ta
uwaga nie dotyczyła słów, lecz cielesno-duchowego doświadcze-
nia, które miało odcisnąć na niej o wiele głębsze piętno.

Ukołysana kłusem konia, otulona ciszą, którą Ted szanował tym
bardziej, że była dla niego naturalna, Juliette rozmyślała nad
swym życiem. Powróciła do wspomnień.

Długo sądziła, że wstąpienie do ruchu Greenworld było czystym
zbiegiem okoliczności. Pewnego słonecznego popołudnia została
porwana z uniwersytetu w Lyonie przez hałaśliwą grupę studen-
tów udających się na manifestację. Nie bardzo wiedziała, dlaczego
do nich dołączyła, ale uszczęśliwiała ją, że może krzyczeć.
Przechodziła wtedy fazę bolesnej samotności. Kilka razy myślała
o samobójstwie. W pewnym sensie tamtego dnia uratowały ją

radosna przepychanka na bulwarach Rodanu, wywrzeszczane solidarnie hasła, rażące słońce na czerwonych dachach dzielnicy St Paul. Niespodziewana kuracja nosiła nazwę Greenworld. Liczyły się jej skutki.

Przemierzając pustynię, powróciła raz jeszcze do tamtych wydarzeń. Przecież nawet w okresach depresji i rozpaczy nie dołączyłaby do byle jakiej grupy. Greenworld uwiódł ją czymś głębszym. Juliette nienawidziła abstrakcyjnych koncepcji; polityka nie wzbudzała w niej absolutnie żadnych emocji. Jeśli ekologiczne przesłanie było wyjątkiem, to dlatego, że odbiło się ono echem w głębi jej duszy.

Otóż Greenworld atakował burżuazyjny świat, który uosabiali jej rodzice. Ojciec, najbardziej egoistyczna i perwersyjna istota pod słońcem, bezlitośnie zwalczał nie tylko tego typu ugrupowania, ale i samą przyrodę. Jego nienawiść do przyrody była dla dziewczyny bolesnym wspomnieniem. Przypomniła sobie parcelę, jaką rodzice kupili niedaleko Aix-en-Provence. W jednym z jej rogów stał malutki domek, podczas gdy resztę terenu zajmował prześliczny lasek sosnowy. Juliette spacerowała w nim przez całe wakacje. Opierała się o rozgrzane pnie drzew, na czworaka szukała cykad w runie pokrytym sosnowymi igłami i kawałkami kory. Rok później olbrzymie żółte maszyny wyrwały z ziemi pnie pozostałe po wyrąbanych sosnach. Obok leżały martwe kłody. Ojciec Juliette kazał wyburzyć domek, a na jego miejscu postawił nową willę. Resztę parceli sprzedał pod budowę betonowych bloków otoczonych trawnikiem i haniebnie nazwanych „Sosnową Rezydencją”.

Kiedyś ojciec wyznał jej coś, co było o wiele gorsze, lecz jednocześnie o wiele bardziej abstrakcyjne: śmiejąc się do rozpuku, opowiadał, jak kiedyś dał rozkaz kapitanowi tankowców, by wypuścić trujące gazy na granicy wód terytorialnych, albo jak w tropikalnych zatokach zatapiał stare i nadzarte statki towarowe transportujące tony mazutu i rdzy. To wszystko dla wysokiego odszkodowania.

Wyeksmitował też biedną rodzinę z mieszkania, jakie posiadał w Calais. Juliette siedziała na tylnym siedzeniu samochodu, który zaparkował na rogu ulicy, i była świadkiem, jak policja wyrzuca

na chodnik materace i zabawki. Schowała się, gdy wyprowadzili płaczące dzieci.

Podobne doświadczenia mogły równie dobrze wzbudzić w niej poczucie niesprawiedliwości społecznej i potrzebę walki w skrajnie lewicowych ugrupowaniach. Nigdy jednak nie przekonywały jej idee rewolucyjne. Uważała, że niegodziwość ludzka rozkłada się równomiernie i że biedni nie są jej pozbawieni. Wręcz przeciwnie.

Ekologia inspirowała ją bardziej niż kwestia różnic społecznych. Pierwszym słowem, jakie przychodziło jej do głowy, gdy myślała o rodzicach, było *wynaturzenie*. Wyparcie ze świadomości przyrody czyniło z jej ojca człowieka nieznającego litości, nieczułego na piękno drzew, żadnego niszczenia, budowania i posiadania. Zwyródnienie jej matki polegało zaś na przedkładaniu materialnego komfortu nad miłość rodzicielską; znienawidziła nędzę i wyparła się krzepkiej prostoty swych przodków wieśniaków.

Znalazłszy się w sercu pustyni, Juliette bardzo silnie odczuła, że podobnie jak ona w dzieciństwie, tak i obecnie przyroda pada ofiarą tej samej przemocy i pogardy. Ta myśl ją pocieszała. Nadawała bowiem sens minionemu cierpieniu oraz uzasadniała bunt. Dziewczyna czuła, że jest na progu spełnienia.

Co więcej, Harrow pomagał jej dostrzec oczywiste kierunki, jakie przyjąć miała wewnętrzna rewolta. Podobnie jak wielu innych sympatyków poglądów ekologicznych, Juliette miała bardzo nikłe pojęcie o tym, co można zrobić, aby chronić planetę. Do tej pory sprowadzało się to w jej przypadku do pielęgnowania humanitarnych uczuć wobec istot żywych. Dlatego w sposób oczywisty zgodziła się przeprowadzić akcję, którą zaproponował jej Jonathan. Nie zastanawiała się nad właściwym celem oraz paradoksami związanymi z wyzwoleniem zwierząt. Była wdzięczna Harrowowi, że uzmysłowił jej daremność tego typu działań. Zrozumiała, że prawdziwą intencją było stawienie oporu człowiekowi niszczącemu przyrodę. To zaś pociągało za sobą stosowanie metod adekwatnych do zamiarów, nie wyłączając przemocy, a nawet morderstwa. Organizacja Greenworld nie wyzwoliła w niej odwagi i zuchwałości, których Juliette tak potrzebowała, zwłaszcza po incydencie w czasie manifestacji.

Tym razem jednak działała z ludźmi mówiącymi tym samym co ona językiem.

Jaki dokładnie kształt przyjmie akcja? Na czym polegać będzie jej rola? Nie miała pojęcia. Ted nie wyjawiał jej żadnych szczegółów. Jednak podzielił się z nią czymś o wiele cenniejszym: zasadami, orientacją, stanem ducha. Ufała mu co do reszty. W odpowiednim czasie dowie się, czego Harrow od niej wymaga oraz jaki ma plan. Najważniejsze było to, że czuła się w pełni członkiem grupy.

O zmroku ich wędrówka dobiegła końca. Wyczerpana i z obojętnym ciałem położyła się spać w swym skalnym pokoju. Wciąż marząc, zapadła w głęboki sen.

II

Seattle, stan Waszyngton

Ginger przechodziła życiowy kryzys. Odkryła, że jej mąż Mark zdradzał ją. Po kilku brutalnych kłótniach wrócił do domu, lecz Ginger była pewna, że nie przestał widywać się z „tą drugą”. Miała olbrzymią potrzebę zwierzenia się komuś i zasięgnięcia rady.

Okoliczności te były Kerry na rękę. Pseudoprzyjaciółka z dzieciństwa dogadała się z Rogerem i w efekcie Kerry spędzała w magazynie poranki, po obiedzie zaś pomagała Ginger, co w rzeczywistości sprowadzało się do słuchania jej paplaniny.

Podstawową trudność sprawiło Kerry podejście do czasu. Miała go mało, jej naprędce wymyślona przykrywka w każdej chwili mogła zawieść. Za niecały tydzień do Seattle miała przyjechać Lindsey. „Rozpoznała” Kerry z opisu, jaki przez telefon zaserwowała jej siostra, jednak można było mieć poważne obawy co do jej reakcji, gdy zobaczy ją na żywo.

Ginger natomiast się nie śpieszyło. Stowarzyszenie One Earth pracowało aktualnie na niskich obrotach. Wielu pracowników administracyjnych było na zwolnieniach lekarskich albo na wakacjach, nie planowano też żadnej dużej kampanii ekologicznej przed nadejściem lata. Dla Ginger najważniejsze były teraz zwierzenia. Ledwie udało się Kerry powrócić do tematu archiwum bez wzbudzenia podejrzeń.

Ginger zachnęła się:

- A, archiwum... Na śmierć zapomniałam. Dobrze, że ty pamiętasz, co zresztą mnie nie dziwi. Już w Moines byłaś pilną uczennicą.
- Proponuję przenieść część na dysk komputerowy. Zrobi się tu więcej miejsca.

- Masz rację. Mnie samej ciężko się czasem połapać. Poczta przychodząca i wychodząca, wezwania na narady, protokoły z obrad rady, listy członków, czegoś się nie nazbierało przez te wszystkie lata... Na dodatek od czasu kryzysu z Markiem złapałam alergię na papier albo kurz. Wciąż łzawią mi oczy. Ten dureń myśli, że to przez niego...

Z obawy, że Ginger znowu zacznie opowiadać o swoim małżeństwie, Kerry przerwała jej zdecydowanym głosem.

- Załatwię to w mig! Iutro rano zacznę skanować papiery. Musisz mi tylko trochę dokładniej wytłumaczyć, na jakich zasadach funkcjonujecie. Pomoże mi to w rozrysowaniu schematu archiwizacji z podziałem na stopnie tajności dokumentów, daty i tak dalej, by łatwiej było odszukiwać je w bazie danych...

Ginger skrzywiła się.

- Spokojnie - powiedziała. - Nie możesz tak po prostu przerobić naszych papierów na pliki. Panowie z szefostwa nie mają zaufania do komputerów. Należą do pokolenia ołówka i gumki, wiesz, co mam na myśli. Uważają, że informacje przechowywane na twardym dysku nigdy nie są zabezpieczone przed spryciarzami, którzy lubią wtykać nos w nie swoje sprawy.

Ginger poruszyła temat najważniejszy dla Kerry.

- Można zastosować kody dostępu...

- Akurat! Nie przekonasz ich. To paranoicy. Można to jednak zrozumieć. One Earth nie należy do organizacji, które zbyt łatwo przejmują się prawem. Tutaj mówi się, że Prawo jest po jednej, a Sprawiedliwość po drugiej stronie. Prawo stworzono po to, by chronić silniejszych. By bronić naszych celów, jesteśmy często zmuszeni do obchodzenia go dookoła. Rozumiesz?

W głosie Ginger nie było cienia entuzjazmu. Recytowała zbyt wiele razy powtórzoną lekcję. Ewidentnie temat nie interesował jej tak, jak osobiste problemy.

- Nie powołujemy się na Prawo, lecz na Sprawiedliwość. Innymi słowy na to, co wydaje się nam dobre z *moralnego* punktu widzenia.

- A jaki to ma związek z papierami?

- Niektóre z nich mają na celu wyłącznie udowodnienie, że działamy zgodnie z prawem. Są do wglądu w przypadku kontroli.

Jeśli poczytasz protokoły z obrad rady, przekonasz się, że nic ciekawego nie zawierają. To dokumenty do powielenia na eksport.

- To znaczy, że inne są poufne.
- Zgadza się.

Ginger podjechała na fotelu do zamkniętej na klucz szafki i otworzyła ją. Znajdowały się w niej ustawione w rzędzie segregatory.

- To na przykład są papiery, których nie udostępniam ciekawskim. Dane osobowe o członkach, raporty z ważnych narad i takie tam. Miałam czas je posortować. Ale jest wiele podobnych, wymieszanych z resztą.

- To skąd mam wiedzieć, co się nadaje do zeskanowania, a co nie?

- Za każdym razem będziesz mnie pytać. Nie ma innej rady.

Tego ranka nie powróciły do tematu archiwum. Kerry cierpliwie wysłuchiwała opowieści sekretarki, wybuchając śmiechem w odpowiednich momentach. Jednocześnie w myślach układała swój plan działania.

Ginger nie była ani metodycznym, ani sumiennym pracownikiem. Zajmowała się wieloma sprawami naraz, poświęcała nieproporcjonalnie dużo czasu niektórym osobom zależnie od przyjemności, jaką sprawiała jej rozmowa z nimi. Jeśli jakaś ważna sprawa wiązała się ze współpracą z nieciekawymi ludźmi, odwaliała ją byle jak. Bez przerwy chodziła na zebrania i nigdy nie było wiadomo, jak długo na nich zostanie. Gdy tylko nudził ją temat albo sąsiedzi, udawała, że ma ważny telefon i znikwała z zaaferowaną miną. Swoje stanowisko zajmowała przez wzgląd na przepracowane w organizacji lata oraz ilość poufnych dokumentów, do których miała dostęp. Gdyby dziś miała przejść jakąkolwiek rozmowę kwalifikacyjną, szybko zaszeregowano by ją do kategorii kiepskich asystentek dyrekcji.

Kerry nie była w stanie przewidzieć, ile czasu spędzi w biurze sama. Z tego powodu musiała drobiazgowo opracować plan działania tak, by zabrał jak najmniej czasu.

Providence przesłał jej ściągę z informacjami do przyswojenia na czas akcji. Kerry nauczyła się ich na pamięć, co sprawiło jej przyjemność. „Normalne” życie rzadko zmusza nas do tego

typu wysiłku. Mięsień pamięci, świetnie wyćwiczony u tajnych agentów, dramatycznie wiotczeje z chwilą ich odejścia z zawodu. Z początku Kerry miała motywację, by uczyć się na pamięć całych artykułów. Z czasem odpuściła sobie. W tej chwili ćwiczenie pamięci dawało jej więc dużo satysfakcji.

Włóczęc się po biurze Ginger, aby „zaplanować kolejne etapy archiwizacji”, sprawdzała swoją pamięć. Oficjalne sprawozdania z obrad zarządu, które łatwo dostępne leżały na półce, były bardzo zwięzłe. Nie zawierały żadnej wskazówki *co* do istoty obrad. Natomiast skrupulatnie sporządzane listy obecności pozwalały precyzyjnie określić moment zniknięcia Harrowa. By odnaleźć nazwiska pozostałych członków jego grupy, Kerry przestudiowała każdorazowo akceptowane przez radę listy skreślonych oraz nowo przyjętych do organizacji osób. Zapamiętała nazwiska piętnastu osób, które zostały wykluczone z One Earth na trzech zebraniach, jakie odbyły się po odejściu Harrowa. Logika pozwalała przypuszczać, że miały one związek z „Nowymi Drapieżcami”.

Teraz należało dotrzeć do sedna sprawy. Potrzebne jej informacje na temat skreślonych członków znajdowały się w segregatorach z danymi osobowymi. Kerry dokładnie wiedziała, czego szuka i gdzie to znajdzie. Pozostało jej przejść do właściwej akcji.

Mieszkała w przeciętnym hotelu na północy Seattle. Codziennie o siódmej rano kontaktowała się telefonicznie z Providence. Trochę plotkowała z Tarą. Rankiem w dniu akcji dowiedziała się, że Paul podążył śladami Harrowa na zachód. Zamierzała w związku z tym skoczyć po akcji do Nowego Jorku, by ucałować dzieci, lecz dzień wcześniej Rob powiadomił ją, że maluchom tak podobało się u kuzynów, że wyprosiły, by zostać tydzień dłużej. Wujek zabrał je do domu nad jeziorem. Pewnie całymi dniami pływali czółnami albo bawili się w traperów. Miała więc czas. Poprosiła Tarę, by zorganizowała spotkanie z Paulem w rejonie Seattle, gdy już zakończy misję w One Earth.

Postanowiła pobiegać w parku ciągnącym się wzdłuż zatoki. Znalazła cichy kąt, by poćwiczyć wschodnie sztuki walki. Gdy atakowała niewidzialnego wroga, zorientowała się, że obserwuje ją mocno przestraszony starszy pan. Musiał w milczeniu stać tak od dłuższej chwili. Skrzywiła się i przyjęła pozycję gotowości do

ataku. Mężczyzna uciekł z przerażeniem, ciągnąc za sobą psa na smyczy. Czowała się doskonale. Bliskość niebezpieczeństwa napełniała ją energią i dobrym humorem.

Był wtorek. Poniedziałkowe wieczory kończyły się dla Ginger najpóźniej ze wszystkich w tygodniu. Ponieważ dowiedziała się, że jej rywalka tego dnia ma wolne, robiła wszystko, by jej niewierny mąż nie miał dla kochanki ani odrobiny czasu. Co poniedziałek Ginger zapraszała przyjaciół na kolację albo ciągnęła Marka do kina lub na tańce. Na koniec wieczoru żądała od niego najzardliwszych dowodów miłości. Nawet po takim sabacie zmuszała się do czuwania, w razie gdyby zdrajca odważył się późną nocą zadzwonić do „tej drugiej”...

Odbijało się to niechlubnie na jej pracy we wtorki rano. Ginger przychodziła do biura około jedenastej, z radosną miną. Jednocześnie była wykończona i zaniepokojona. Wszak był to tylko kolejny wygrany tydzień.

W poniedziałek Kerry sprawdziła w kalendarzu, czy Ginger wpisała coś na wtorkowy poranek. Do wczesnych godzin popołudniowych nie przewidywała żadnego spotkania. Poranne godziny najbardziej nadawały się do działania. Biura stowarzyszenia były puste aż do dziewiątej, co sprawiało, że nieuzasadniona obecność stawała się podejrzana. Roger załatwił nowej magazynierce przepustkę pozwalającą Kerry swobodnie korzystać z tylnego wejścia dla personelu, które nie było nadzorowane. Nie знаła kodu wyłączającego alarm, musiała więc wybrać taką porę, kiedy w budynku już ktoś będzie. Ósma czterdzieści pięć wydała jej się rozsądną godziną.

Zwykle Kerry ubierała się w stylu, jaki narzucił jej nieprawdziwy życiorys. Z nonszalancją nosiła luźne ciuchy jak ktoś, kto nie dba o wygląd, a już szczególnie o atrakcyjność. Tego dnia jednak było inaczej. Po pierwsze musiało jej być wygodnie i w razie ucieczki ubrania nie powinny krępować jej ruchów. Miała na sobie tenisówki, golf i obcisłe dżinsy. Zostawiła w hotelowym pokoju torebkę, portfel i kurtkę. Mogłaby nie mieć czasu po nie wrócić. Włosy zaplotła w dwa warkoczki, które zawinęła po obu stronach głowy. Wyglądała przez to trochę jak z weneckich obrazów. Ludzie oglądali się za nią na ulicy. Wyczuwali zapewne radość i swobodę,

jakie z niej emanowały. To ją nieco zaniepokoiło, niestety nie było już czasu na powrót do hotelu i przebranie się.

Przekraczając próg One Earth, specjalnie przygarbiła się i spochmurniała. Niemniej jednak i tak przyciągała spojrzenia. Chłopak, z którym nigdy wcześniej nie rozmawiała i który pracował, jak jej się wydawało, w departamencie Afryki, zaprosił ją na kawę. Odmówiła, lecz on nie dał za wygraną.

- Ranny z ciebie ptaszek - zagadnął niezręcznie, byle tylko nawiązać rozmowę.

- Muszę pilnie zadzwonić do Laosu.

Pod tym pretekstem - uzgodnionym z Providence - pojawiła się w biurze tak wcześnie.

- A, rozumiem! Różnice czasowe.

Nadal szedł za nią. Zwalisty prosiak! Ale sama była sobie winna. Nie pomyślała o skutkach swego pociągającego wyglądu, który dla niej samej był nowością. Dawniej, gdy pracowała w Firmie, traktowano ją jak wyrośniętą smarkulę, kłębek nerwów, który bawił i fascynował, wzbudzając jednak pewien dystans. Wyczuwało się nieprzewidywalność jej reakcji. Wiek oraz doświadczenie macierzyństwa i szczęśliwego spełnienia dały jej siłę, która przyciąga mężczyzn, zwłaszcza słabych. Ten zaś niewątpliwie do takich należał, przez co kleił się do niej w denerwujący sposób. Zmarszczenie brwi załatwiłoby sprawę. Niestety zdążyła już zwrócić na siebie uwagę. Jednak należało się trzymać pierwszej zasady: mieć konkretne zadanie...

Zatrzymała się przed drzwiami biura Ginger, odwróciła się do chłopaka i z szerokim uśmiechem rzekła:

- Przykro mi, stary, ale muszę przekazać do Laosu poufną wiadomość od zarządu. Zobaczymy się później.

Ostatnie zdanie było klasyczną antyfrazą. Jego prawdziwe, ledwo ukryte znaczenie brzmiało: „Spadaj, prosiaku!”

Weszła do biura i zamknęła za sobą drzwi. Odetchnęła głęboko i wnet zapomniała o głupim incydencie. Miała przed sobą konkretne pole działania.

Najpierw trzeba zamknąć drzwi na klucz.

Długo rozważali tę kwestię. Tara była przeciwna. W końcu Kerry była upoważniona do robienia porządków. Dłaczego miałyby więc

zamykać się na klucz? Jeśli jednak do biura weszłaby Ginger... Ostatecznie Kerry podjęła decyzję i bezszelestnie przekreśliła klucz w zamku.

Następnie wyjęła z kieszeni uniwersalny klucz. Kucnęła przy szafce, w której schowane były tajne dokumenty. Bez trudu ją otworzyła.

Była dziewięta trzydzieści. Miała pół godziny. Po dziesiątej korytarze zapełniały się i prawdopodobieństwo, że ktoś wejdzie, było niebezpiecznie duże. Zaczęła przeglądać segregator zawierający raporty zebrań zarządu. Była mile zaskoczona, że Ginger zdobyła się na wielki wysiłek, by starannie ułożyć akurat te papiery. To zapewne jedyne, do jakich zaglądali członkowie rady, więc zależało jej na ich dobrej opinii o jej pracy. Kerry bez trudu odnalazła sprawozdania z ostatnich posiedzeń, w jakich uczestniczył Harrow. Raporty z poszczególnych zebrań mieściły się na czterech albo pięciu stronach. Położyła segregator na stole i za pomocą małego aparatu fotograficznego, który dostała w agencji, sfotografowała strony jedną po drugiej. Gdy skończyła, odłożyła segregator na miejsce.

Następnie zabrała się do kartonu zielonych arkuszy, w którym znajdowały się tajne dane osobowe członków. Szybko zorientowała się, że nie było w nim informacji na temat nowych drapieżców. Po chwili odnalazła oddzielną teczkę poświęconą wyłącznie członkom skreślonym po odejściu Harrowa. Kariera każdej z osób w One Earth opisana była ze szczegółami (data wstąpienia do organizacji, funkcja, powód wykluczenia itd.), do opisu dołączono też krótką biografię. Nie był to moment na zgłębianie detali, zadaniem Kerry było uwiecznienie informacji, które przejrzą agenci Providence.

Zabrała się do dzieła. Sfotografowanie trzydziestu stron powinno zająć jej najwyżej trzy, cztery minuty.

Przy piętnastej usłyszała zgrzyt klamki.

Wszyscy wiedzieli, że Ginger nie zamyka swego biura na klucz. Twierdziła, że siedziba jest wystarczająco dobrze strzeżona, by nie obawiać się ludzi krążących między piętami. Było to zgodne z filozofią zarządu. Popierano kontrolowanie ludzi z zewnątrz, za to w obrębie budynku kultywowano tradycję wewnętrzną

demokracji. Polegała na zezwoleniu pracownikom na swobodne przemieszczanie się po całej siedzibie, pod warunkiem że przy wejściu okazali przepustkę.

Teraz osoba próbująca dostać się do biura Ginger rozważała niecodzienną sytuację. Kerry znieruchomiała z nadzieją, że cisza w biurze zasugeruje intruzowi, iż biuro jest puste, i że Ginger poprzedniego dnia sama zamknęła je na klucz. Niestety tak się nie stało. Człowiek za drzwiami energicznie szarpnął klamkę. Kerry zrozumiała, że wypróbujecie w ten sposób wytrzymałość drzwi.

Scenariusz ustalony z Providence był następujący: chowa segregatory, zamyka szafkę, otwiera drzwi i tłumaczy, że wykonywała poufny telefon. Niestety był nie do zrealizowania. Intruz zaczął walić w drzwi, robiąc przeraźliwy o tej porze hałas. Trzeba było za wszelką cenę mu przerwać. Kerry zamknęła teczkę i kopniakiem zamknęła drzwiczki szafki. Przyczaiła się za drzwiami, cicho przekręciła klucz w zamku i gwałtownie otworzyła. Stała oko w oko z kobietą, którą mijala kilkakrotnie na korytarzu, lecz ani razu z nią nie rozmawiała. Była starsza niż reszta personelu. Na podbródku miała gigantyczną brodawkę. Kerry przypomniała sobie opowieści o tej historycznej bojownicze, która obecnie pracowała jako wolontariuszka. Patrzyła teraz gniewnie na Kerry. Żadne wyjaśnienia jej nie zadowolą. O czarowaniu nie ma nawet mowy. Gdyby to był Roger albo niezdara sprzed godziny...

Kobieta otworzyła usta, by wrzasnąć na alarm. Nie zdążyła jednak. Kerry walnęła ją pięścią i jedną ręką wciągnęła do biura. Drugą zamknęła drzwi na klucz. Kobieta ze zdumieniem ocknęła się, lecz w tym momencie Kerry wymierzyła jej cios płaską dłonią w podbrzusze i wolontariuszka natychmiast zemdląła. Położyła ją za drzwiami na podłodze.

Była opanowana. Ostatnie chwile przed ucieczką wydały jej się błogie jak wakacje z rodziną. Podeszła do biurka, wyjęła z kieszeni aparat fotograficzny i spokojnie dokończyła robienie zdjęć. Już miała zamknąć teczkę i odłożyć na miejsce, gdy nagle zmieniła zdanie. Otworzyła ją na przypadkowej stronie i położyła w widocznym miejscu na biurku Ginger.

Jej rozumowanie było proste. Niespodziewane wtargnięcie kobiety do biura zmusiło ją do użycia siły. Jeśli czyn ten pozostanie

niewytłumaczony, One Earth zawiadomi policję, sąd, innymi słowy nagłośni sprawę i przedstawi się w roli ofiary. Jeśli natomiast nie będzie wątpliwości, że komuś chodziło o przestudiowanie tajnych dokumentów, zarząd organizacji dwa razy pomyśli, zanim zawiadomi media. Nie chcieliby, by konkurencyjna organizacja, choćby Nowi Drapieżcy albo FBI wyjawiała ich sekreciki. Mądrzej było więc pozostawić wyraźne ślady.

Kerry wahała się, czy nie zabrać ze sobą jednego z segregatorów, zwłaszcza dotyczącego księgowości. Zawierał zapewne dane, które uciszyłyby członków rady. Zrezygnowała jednak z pomysłu, gdyż był ciężki i przeszkadzałby jej w razie ucieczki.

Kobieta budziła się z jękiem. Kerry ominęła ją i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Do schodów szła wolno, minęła fotokopiarkę, przy której stał grubas. Była pewna, że czekał na nią. Gdy tylko się do niej uśmiechnął, pomachała do niego i zniknęła na schodach. Na parterze natknęła się na Rogera. Przytrzymał jej drzwi. Nie zatrzymując się, krzyknęła:

- Zapomniałam czegoś w domu.

Jak dobrze, że nie zabrała ze sobą segregatora. Wynoszenie dokumentów z budynku było surowo zabronione.

Znalazła się na ulicy. Wcześniej rano pogoda wahała się między szarugą a słońcem. Teraz się roz pogodziło. Północne powietrze było rześkie, a niebo błękitne. Kerry szybkim krokiem minęła oba budynki, w których mieściła się organizacja. Gdy znalazła się poza polem widzenia, zaczęła biec. Jej sportowy strój czynił z niej jedną z licznych zwolenniczek porannego joggingu.

Uszcześliwiały ją chwile, kiedy pozwalała ciału wyrazić swą siłę i dobry stan zdrowia. Paul miał rację: warunki zostały spełnione. Przez chwilę obawiała się, czy zastanie samochód. Gdy dostrzegła kierowcę czekającego na nią w ustalonym miejscu, odniosła rozkoszne wrażenie, że jest gładkim kołem zębatym pięknego i dużego zegara odmierzającego godziny na niewidzialnej tarczy. Wsiadła do wozu. Za kierownicą siedział młody chłopak z departamentu Laurence'a i żuł gumę. Ruszył ostro i tak jak ustalono, na wschód.

III

Miasteczko Coeur d'Aléne, stan Idaho

Wiosną Idaho przypomina scenę z baśni o Śpiącej Królewnie. Zimowy letarg ustępuje miejsca wiosennemu przebudzeniu przyrody. Z zacienionych stoków górskich spelzają ostatnie jezory śniegu, a rozczochrani i bladzi ludzie ostrożnie wystawiają nosy z domów, nie bardzo wiedząc, co na siebie włożyć: wszak pomimo ciepłych promieni słonecznych wciąż wieje lodowaty, północny wiatr.

Co najmniej jedna trzecia stanu porośnięta jest dziką i ekspansywną roślinnością. Pozostałą część terytorium przeznaczono pod uprawę ziemniaków. Mieszkańcy Idaho, zbyt pochłonięci polowaniami na niedźwiedzie albo pracą w polu, nie założyli tu miast w pełnym tego słowa znaczeniu. Nawet stolica Boise zawdzięcza swój status całkowitemu brakowi konkurencji.

Paul wynajął starego chevroleta i po drodze z rozbawieniem liczył francuskie nazwy wsi. Mimo iż Idaho położone jest trzy tysiące kilometrów na północ od Nowego Orleanu, czuje się tu nastrój Luizjany, do której stan należał, zanim odkupił go Jefferson. Ziemie francuskie rozciągały się niegdyś aż do stanu Oregon, dawniej niedostępnego terytorium traperów.

Ted Harrow wychował się w Coeur d'Aléne, mieścinie położonej w północno-zachodniej części stanu. Od najmłodszych lat towarzyszyły mu królujące tu od wieków francuskie nazwy. Nie było bez znaczenia dla relacji tworzącej się między nim a agentem. Choć Paul był niemal pewien, że nie odnajdzie mężczyzny w jego rodzinnych stronach, miał poczucie zbliżania się do celu.

Spędził kilka długich dni na zestawianiu informacji zebranych przez Providence na temat Harrowa oraz na zgłębienie wybranych

tropów. Mógł liczyć na szybką i skuteczną pomoc pracowników agencji, którzy nawet pod nieobecność Kerry trwali w stanie pełnej mobilizacji. Na zebraniach w sprawie Nowych Drapieźców stawiali się przedstawiciele wszystkich działów Providence, co świadczyło o tym, że traktowali temat jako kluczowy w ich pracy. Niemniej to Kerry nadal uzyskiwała pomoc w pierwszej kolejności. Wszyscy skupiali się wokół głośnika aparatu w czasie jej porannych telefonów. Paul czuł się zirygowany okazywaną mu mieszanką współczucia i litości. Zaprzysiął sobie rewanż. Dlatego też niezmiernie zależało mu, by trop Harrowa dokądś go zaprowadził.

Na nieszczęście im dalej posuwał się w śledztwie, tym większą miał pewność, że facet jest nieuchwytny. Ted Harrow zniknął, a co gorsza starannie zatarł za sobą wszelkie ślady. Zacieranie śladów było zresztą jego drugą naturą. Nawet okres sprzed wystąpienia z One Earth był mroczny, Harrowa cechowały dyskrecja i mobilność. Nie pozostawiał za sobą, jak większość ludzi, serii przedmiotów, miejsc i siatki znajomych. Gdy udawało się zdobyć informację o jego zajęciu, brakowało danych na temat miejsca pobytu i odwrotnie, o ile dawał się zlokalizować, tajemnicą osnuta była jego działalność. Ta prawidłowość rozciągała się na wiele lat. Dotyczyła nie tylko jego samego, ale i wszystkich krewnych.

W dalekiej przeszłości sprawy miały się inaczej. Nazwisko Harrow znane było w jego rodzinnym Connecticut. Babka ze strony ojca wywodziła się z pielgrzymów, którzy w zamierzczłych czasach przybyli na amerykański kontynent na statku „Mayflower”. Schyłek świetności szanowanej rodziny nastąpił dopiero w latach dwudziestych, gdy krewni ze strony ojca znaleźli się na skraju nędzy wskutek kilku nieudanych interesów. Wtedy reszta rodziny wyparła się nieudaczników. Pytani o Teda Harrowa, dalecy krewni noszący to samo nazwisko nie byli w stanie nic na jego temat powiedzieć. Paul trafił na ślad ojca Teda w rejestrach skarbowych. Zatrudniony był w branży hotelarskiej na wschodnim wybrzeżu. Ślad całkowicie urywał się dwa lub trzy lata po urodzeniu się syna.

Z braku czasu ekipie Providence nie udało się dotrzeć do szczegółów z lat szkolnych Teda: takich dokumentów trzeba by szukać

w całych Stanach Zjednoczonych, a może nawet za granicą. Harrow pojawił się po raz drugi w 1991 roku, przy okazji odbywania obowiązkowej służby wojskowej. Jednak nie na długo. Znalazł się w grupie *draft-dodgers*, żołnierzy zbuntowanych przeciwko wojnie w Zatoce Perskiej. Można było przypuszczać, że jak wielu jemu podobnych uciekł do Kanady. Pracownicy Providence potwierdzili tę hipotezę, przy czym udało się im ustalić nazwiska kilku osób, które tam poznał. Aktualnie żadna nie utrzymywała z Harrowem kontaktu. Zgromadzono wiele dowodów jego uczestnictwa w akcjach ekologicznych w rejonie Kolumbii Brytyjskiej. Niestety i tu okazało się, że Harrow wkrótce zerwał z tamtejszym środowiskiem ekologów.

Najlepiej udokumentowany okres z życia Harrowa to czasy, gdy należał do stowarzyszenia One Earth. W roku 1995 dołączył do organizacji i zrobił w niej oszałamiającą karierę: w niecałe dwa lata znalazł się wśród członków zarządu. Honor ten niewątpliwie zawdzięczał przyjaźni, jaką darzył go Jerry Metcalff, historyczny przywódca ruchu. Metcalff odmówił Providence wywiadu. By uzyskać jego wersję wydarzeń, Paul musiał odwołać się do *Pamiętników*, które ten opublikował rok wcześniej. Utrzymywał w nich, że poznał Harrowa podczas jednej z gwałtownych akcji przeciwko wyrębowi lasów. Był pod wrażeniem odwagi, jaką Ted wyróżnił się w walce fizycznej. Zaproponował mu przystąpienie do organizacji. Ponadto podziwiał jego znajomość kultury Indian i uważał tę wiedzę za pozytywny wkład w działalność One Earth. Metcalff nie ukrywał jednocześnie, że Harrow pozostawał dla niego tajemnicą. Nie wiedział też nic na temat jego wcześniejszego życia. Książka została napisana po rozłamie, który zaowocował odejściem Nowych Drapieźców ze stowarzyszenia, jednak mimo to wyznania dotyczące Harrowa brzmiały wiarygodnie i pasowały do jego złożonej osobowości.

Te zbyt ogólne informacje nadal nie dawały podstaw do wszczęcia konkretnego śledztwa i Paul zaczynał tracić zapał. Na szczęście z pomocą przyszedł mu Barney. Przy okazji jednej z dyskusji na temat postępów w dochodzeniu zadał całkiem oczywiste pytanie, które jednak nikomu do tej pory nie przyszło do głowy.

- A co wiemy o jego matce?

Spśród wszystkich niewiadomych, którymi upstrzony był życiorys Harrowa, nieobecność matki była w istocie zastanawiająca. Początkowo Paul uznał, że zniknęła we wczesnym dzieciństwie Teda. Uwaga Barneya zainspirowała go do przyjrzenia się sprawie bliżej. Nazwisko rodowe matki figurowało obok tracącego snobizmem nowoangielskim nazwiska ojca: niejaka Marie Rosaire, urodzona 01.01.1946 w Boyse w stanie Idaho. Wielu ludzi urodziło się pierwszego stycznia. Niemniej jednak większość dzieci urodzonych akurat w 1946 roku była nieznanego pochodzenia bądź pochodziła z rejonów, w których rejestrowanie noworodków odbywało się w sposób bardzo niesystematyczny. Po wojnie dotyczyło to głównie terytoriów, na których znajdowały się rezerwy dla Indian.

W związku z tym Paul zwrócił się do misji katolickich Idaho, a w szczególności miasta Boyse. Nazwisko Marie Rosaire mogło zostać nadane indiańskiemu dziecku urodzonemu w rezerwacie i nawróconemu na chrześcijaństwo przez siostry zakonne. Dwie stażystki z departamentu Barneya przestudiowały listy dzieci przygarniętych przez zakonników w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Furtianka z hrabstwa Clearwater w Górach Skalistych potwierdziła, że poszukiwane nazwisko figuruje w rejestrach jej misji. Dziewczynka wyuczyła się zawodu praczki. W wieku osiemnastu lat poszła w świat szukać szczęścia na wschodnim wybrzeżu. Daty wskazywały, że mogła być matką Harrowa. W urzędzie stanu cywilnego Idaho, gdzie zakonnice dokonały koniecznych formalności związanych z adopcją, Paul natrafił na ślad Marie Rosaire, jak również informację o jej dwóch zamążpójściach. Siódmego lipca 1968 poślubiła Edgara Harrowa, zmarłego trzy lata później. Mieli razem syna Edwarda. Następnie wdowa wyszła za niejakiego Millera, z którym rozstała się po dziesięciu latach. Zapewne używała nazwiska drugiego męża, dlatego nie zidentyfikowano jej wcześniej w trakcie dochodzenia. Jej ostatni znany adres to Coeur d'Aléne w stanie Idaho.

Region słynie z jeziora pełnego ryb i dorównującego wielkością niejednemu morzu. Miasteczko czerpie zyski głównie z turystyki, lecz niczym nie zaskakuje zwiedzających. Mimo pozorów autentyczności w postaci tradycyjnych domów zbudowanych z drewnianych

bali i sprzedawców garbowanych skór, głęboko tkwi w cywilizacji amerykańskiej, która narzuca się w formie neonów KFC i stacji benzynowych Chevron. Ponadto w regionie kwitnie radykalna prawica i roi się od paramilitarnych ugrupowań hołdujących tezie o wyższości białej rasy.

Paul wynajął pokój w hotelu usytuowanym w centrum miasta, który zajmowała autokarowa wycieczka emerytowanych amatorów wędkarstwa. Zostawił bagaż i natychmiast ruszył na poszukiwanie Marie Rosaire.

Mieszkała za kulisami dekoracji miejskich w przyczepie stojącej na niegdyś asfaltowych klockach. Karawan aż po dach porośnięty był bluszczem. Chaos pustych beczek, drewnianych zadaszeń i pustych klatek optycznie powiększał pierwotne domostwo. Nadawał mu wygląd koczowniczego obozu, a jednocześnie wszystko wskazywało raczej na osiadły charakter mieszkańców przyczepy.

Paulowi w końcu udało się znaleźć wejście: były nim drzwiczki zaokrąglone jak na statku. Zapukał i czekał. Otworzyło mu drobnutkie dziecko indiańskie, ubrane w czerwoną płócienną sukieneczkę, spod której wystawały chude i bose nóżki.

- Przyszedłem zobaczyć się z Marie Rosaire - powiedział.

Z głębi przyczepy dobiegł mocny głos, aż ściany domu zadrżały.

- Jaki czort mnie jeszcze tak nazywa?

Marie Rosaire leżała na łóżku pod pierzyną w kolorze malwy. Głowę wsparła o kwadratową poduszkę obrębioną koronką. Intensywnie wpatrywała się w Paula małymi czarnymi i błyszczącymi oczyma. Ostrość spojrzenia sprawiała, że człowiek zapominał o jej olbrzymim niedołącznym ciele, wystających spod kołdry bosych stopach o zdeformowanych paznokciach, nogach pokrytych żyłkami, sflaczałych ramionach i brudnych dłoniach.

- Niech pan podejdzie. Boi się pan czy co?

Paul podszedł do łóżka.

- Poranny Wiatr wysłucha cię, przyjacielu. Tak brzmi moje imię, lepiej, by pan zapomniał o tamtym. Jeśli chce mi pan coś sprzedać, to proszę nie tracić czasu, nie mam ani grosza. Przyjmuję dary, lecz niczego w zamian nie podpisuję. A więc?

- Przychodzę w sprawie Teda - rzekł Paul łagodnie, jakby przemawiał do pacjentki.

- Coś mu się stało?

Ciężką klatką piersiową kobiety wstrząsnął spazm. Siła grawitacji była jednak większa i Marie Rosaire opadła z powrotem na poduszkę.

- Nie wiem. Szukam go.

Od momentu gdy przekroczył próg, zrozumiał, że nie spotka tu Harrowa.

- Często pytają panią o syna?

- Nigdy. Doprawdy nie wiem, jakim cudem mnie pan wytrpił. Nawet Ted nie potrafi mnie odnaleźć.

Po tych słowach kobieta wyjęła spod poduszki chusteczkę i przyłożyła ją do oczu. Paul rozejrzał się po pomieszczeniu zawalonym barokowymi śmieciami, lampami jarzącymi się przyćmionym światłem, porcelanowymi kotami i kwiatkami z plastiku. Miał wrażenie, że znalazł się we wnętrzu egipskiego grobowca, gdzie nieboszczyk króluje pośród przedmiotów przeznaczonych, tak jak i on, wieczności. Miejsce było dla niego tym bardziej cenne, że nie dotarł tu przed nim żaden grabieżca. FBI najwyraźniej nie zainteresował temat matki. Paul miał nadzieję, że nareszcie trafi na najdrobniejszą wskazówkę, znak czy pamiątkę, która zaprowadzi go na właściwy szlak.

- Jest w niebezpieczeństwie, prawda?

- Możliwe - odparł Paul.

Przysiadł na rogu łóżka i dopiero teraz kobieta mu się przyjrzała.

- Niech się pan pokaże bliżej. Ma pan bardzo czarne włosy, na dodatek kędzierzawe! Czy przypadkiem nie jest pan Portorykańczykiem? - Wytrzeszczyła na niego oczy z przerażeniem.
- Czarnuch! Oto kim pan jest.

Na ten krzyk do pokoju wbiegła dziewczynka. Przyjrzała się Paulowi z dezaprobatą.

- Niech się pani uspokoi. Przecież widzi pani, że mam białą skórę. A zresztą co to ma za znaczenie?

- Nie lubimy tu czarnych. Uprzedzam, że Ted nie znosi ich jeszcze bardziej niż ja. Mała, przynieś nam coca-coli.

Dziecko zniknęło. Marie Rosaire opierała się o poduszki, pot zraszał jej czoło. Zaczęła rozmyślać na głos.

- Widział pan jego oczy? Przestraszyłam się, gdy je ujrzałam po raz pierwszy. Widywałam takie oczy u krewnych jego ojca. Ale oni mieli dystygowane sylwetki Walijczyków. Wyobraża sobie pan taki kolor ze *mnie* ...

- Jak poznała pani męża?

Spojrzała w sufit, rozprostowując blade fałdy na szyi.

- Pana też to dziwi, he? Indiańska sierota z rasowym białasem!

Podniosła się energicznie i ruch ten zdał się dziwić ją samą. Jej twarz znajdowała się teraz tuż przy twarzy Paula.

- A jednak mnie kochał. Ja jego również. Rodzina się go wyparła, ale z takim wykształceniem bez trudu znalazł pracę. Bogaty biedak dogada się z bogatymi bogaczami. Został kierownikiem recepcji w pięciogwiazdkowym hotelu Majestic w Baltimore. Nie licząc gwiazdki, którą on dodawał swoją obecnością.

Dziewczynka podała jej puszkę coca-coli, którą Marie Rosaire wypila duszkiem, wydając dźwięki jak z koryta. Paul postawił swoją na stoliku obok łóżka.

- Pracowałam jako praczka w hotelu. Nie muszę chyba podawać panu szczegółów.

- Ted ma siostry albo braci?

- Na miłość boską, nie! Wystarczy, że przeżyłam pierwszy poród. Trochę się od tamtego czasu zaokrągliłam, ale gdyby mnie pan wtedy widział... sama skóra i kości.

- Długo mieszkała pani w Baltimore?

- Aż do chwili, gdy dyrekcja hotelu odkryła nasz związek. Wyrzucili nas po narodzinach Teda. Biedny Harrow! Pan wie, że w dużych hotelach przekazują sobie czarne listy. Z dnia na dzień nikt nie chciał go zatrudnić. A to był człowiek stworzony do pracy. Przepędzali go jak psa, zaczął więc pić. Coraz gorzej wyglądał. Wreszcie poszedł błagać rodzinę o pomoc. Ci ohydni biali, jeden bogatszy od drugiego, zatrzasnęli mu drzwi przed nosem.

Nagle zamilkła i spojrzała uważnie na Paula.

- Czemu ja to panu opowiadam? - spytała zdławionym głosem.

- Trzy lata później mój biedny Edgar padł jak mucha. I tyle.

Zdusiła łkanie i pociągnęła łyk coca-coli. Napój przywołał ją do porządku.

- Proszę mi teraz wyjaśnić, dlaczego szuka pan Teda.

- Chciałbym zaproponować mu pracę.
Paul improwizował. Wyraźnie uderzył w odpowiednią strunę.

- Dobrze płatną? - zapytała z błyszczącymi oczyma.

- Bardzo dobrze.

- W samą porę.

Uśmiechała się łagodnie.

- Ted potrzebuje pieniędzy? - zagadnął Paul.

- Ted? Nigdy nie miał grosza. Chociaż odziedziczył po ojcu klasę. Może w nieco dzikszej wersji, leśt niezdolny do regularnej pracy. Nie wiem, co chce mu pan zaproponować, ale lepiej, żeby nie trwało to zbyt długo.

- Sądzi pani, że może być w okolicy?

- I nie odwiedził mnie?

- A kiedy był tu po raz ostatni?

- Dwa lata temu.

- Coś mówił?

- Jak zwykle głupoty. Ted jest małomówny, ale jak przemawia, to o wielkich rzeczach.

- Co ma pani na myśli?

- Sama nie wiem. Że nareszcie odnalazł swą drogę... Gadał o Ziemi, Życiu, Przyrodzie, wie pan, dużymi literami. Gdybyśmy my tak przemawiali, nasze słowa brzmiałyby groteskowo. Ale on? Jak by to ująć... To słowa, które pasują do tego, co ma w oczach. - Przyłożyła pięść do ust, by ukryć atak grobowego kaszlu. - Odziedziczył to po Indianach.

- Co takiego?

- Te wielkie słowa.

- Chce pani powiedzieć, że to pani nauczyła go takiego sposobu mówienia?

Marie Rosaire wzruszyła ramionami.

- Ja nie jestem Indianką.

Widząc zdziwienie na twarzy Paula, dodała:

- Urodziłam się jako Indianka, to prawda. Ale siostry zakonne przepuściły mnie przez maszynkę... Za to Ted spotykał się z prawdziwymi Indianami. Niedaleko stąd jest duży rezerwat. Gdy miał dwanaście lat, przesiadywał u nich całymi dniami. A ja znam Czerwone Twarze: tak naprawdę nie są bardziej indiańscy

ode mnie. Tyle że powrócili do korzeni. Nawet trochę za bardzo, by dodać sobie powagi. Potrafią wpatrywać się w księżyc przez całą noc i powiedzieć trzy słowa na krzyż. Za to przeżują je wiele razy i wypowiedzą jak świętość. Nigdy nie dałam się na to nabrać. Uważam ich za bandę zgrywusów. Ale Ted im wierzy.

- Od dawna pani tu mieszka?

- Przyjechaliśmy cztery lata po śmierci Edgara. Ted miał siedem lat. Nie wiem, skąd przyszedł mi do głowy pomysł, by powrócić do tej dziury. Na wschodnim wybrzeżu harowałam jak wół. Pracznia nie zarabia za dużo. Mogłam dorobić sobie na boku z mężczyznami. I to nie klasztorne wychowanie mnie od tego odwiodło, ale dziecko. Mieszkaliśmy w jednym pokoju. Szukałam bardziej godziwego zarobku we wszystkich zapyziałych dzielnicach Filadelfii. Dotarliśmy nawet do Detroit, i nic. Przyjechałam więc tutaj. Pożyczyłam trzy grosze i otworzyłam kantynę nad jeziorem. Potem wysłałam za Millera. Wynajmował barki. Złapał mnie na przejażdżkę łódką po jeziorze.

Wydała z siebie gwizd jak dźwig hydrauliczny i Paul zorientował się, że był to śmiech pomieszany z westchnieniem, umiejętność, której zapewne zawdzięczała swe indiańskie imię Poranny Wiatr.

- Miller i Ted nie dogadali się. To przez niego dzieciak uciekał do Indian. Gdy wreszcie udało mi się wyrzucić Millera za drzwi, było za późno. Ted nie wrócił już do domu.

- Co dokładnie pani powiedział dwa lata temu?

- Już panu mówiłam: że odnalazł swą ścieżkę i takie tam głupstwa.

- Ale co to było dokładnie?

- Że będzie dużo podróżował, aby „świat stał się lepszy”.

- Nie zauważyła pani niczego szczególnego w jego wyglądzie? Stroju?

- Nie. - Po chwili zastanowienia dodała: - Hm. Miał nowy zegarek. Taki duży, z kilkoma tarczami i pięknym skórzanym paskiem.

- Wcześniej takiego nie miał?

- Nigdy nie nosił zegarka. Mówił, że Indianie nauczyli go czytać godzinę z długości cieni na ziemi. W rezultacie wszędzie się spóźniał. Banda głupków!

- Pomyślała pani, że zarabia?
- Nie wiem, w każdym razie po raz pierwszy był dobrze ubrany. Przyniósł mi kwiaty. Olbrzymi bukiet, za który zapłacił ze sto dolarów.

- Powiedział pani, czym się zajmuje?

- Nie.

- Skąd więc miał pieniądze? Ma bogatych przyjaciół?

Marie Rosaire otwierała usta, by odpowiedzieć, gdy nagle odwróciła się do Paula i wbiła w niego przeszywające czarne spojrzenie.

- Nie - jęknęła i położyła się, przymykając powieki. - Nie sądzę, by miał przyjaciół. Nigdy żadnego nie poznałam. Ted jest człowiekiem utrzymującym dystans, rozumie pan?

Ziewnęła, obnażając spróchniałe uzębienie.

- Proszę już iść, panie glino. Niech pan szuka Teda, gdzie się panu żywnie podoba. Dobrze mi zrobiło mówienie o nim, ale już wystarczy. Teraz będę o nim śnić.

Paul wstał, wygładził zmięte spodnie i odszedł od łóżka. W rogu przyczepy czuwała mała Indianka. Słyszała rozmowę. Paul uśmiechnął się, lecz jej twarz ani nie drgnęła.

- Jeszcze jedno. - Paul odwrócił się. - Dlaczego Ted tak nie nawidzi czarnych?

Marie Rosaire prawie spała. Nozdrza poruszały jej się w rytm głębokiego oddechu.

- Nauczył się od ojca, gdy zaczął pić - mruknęła, nie otwierając oczu. - A może w czasach, gdy byliśmy na wschodnim wybrzeżu...

Paul pomyślał, że skończyła. Podeszedł do drzwi. Nagle kobieta dodała głębokim głosem osoby śpiącej:

- Ted nienawidzi nie czarnych, lecz biednych. Dziś to prawie jedno i to samo. Zresztą nieważne. Taa, nienawidzi biednych.

Paul oparł się o framugę drzwi przyczepy. Słowa Marie Rosaire sprawiły, że zakręciło mu się w głowie. Minęło kilka sekund, zanim zrozumiał powód. Popędził do hotelu i nagryzmolił dwie strony sprawozdania, by utrwalić myśli, które nagle zaczęły układać się w spójną całość.

IV

Odessa, stan Waszyngton

Paul *zdążył* poznać Kerry i jej skłonności. Wiedział, że niezależnie jak długo potrwa etap kokieterii, intryg, podgryzania, zadrapywania i prowokacji, wcześniej czy później przychodzi czas na nieuniknione. Wystarczy być cierpliwym. Paul postanowił poczekać, tym bardziej że intuicja podpowiadała mu, że jego cierpliwość zostanie wynagrodzona. Rozgrzewka dobiegała końca. Nadchodził czas na wyjaśnienia. Kerry także o tym wiedziała i dlatego zaproponowała mu spotkanie na Zachodzie, sam na sam, rozprawę przy drzwiach zamkniętych, godzinę szczerości.

Tycen odpowiedzialny był za zorganizowanie spotkania, a jako że nie znał regionu, poprosił o radę Barneya. Jakie miejsce położone jest w połowie drogi pomiędzy Seattle a Coeur d'Aléne, które i tak dzieli prawie siedemset mil? Barney uśmiechnął się zagadkowo i rzucił krótko: Odessa.

Tycen dał się złapać w pułapkę. Wrócił do swego biura i zaczął wyszukiwać loty na Ukrainę. Z Seattle dało się coś wykombinować. Natomiast znalezienie połączenia między Krymem i Coeur d'Aléne było niemałym wyzwaniem. Minimum trzy przesiadki. Przyszło mu do głowy, że Barney nie zrozumiał pytania. Potem pomyślał o Odessie w Teksasie. Już miał sprawdzać nowe połączenia, gdy otrzymał wiadomość od Barneya. Zawierała drobne uściślenie: „Dom Ipatieffa, Odessa, Waszyngton”.

Po kilku sekundach poszukiwań w Encarcie Tycen odkrył, że w północno-wschodniej części stanu Waszyngton faktycznie jest miasteczko o tej nazwie.

Podobnie jak Moskwa położona w sąsiednim Idaho, Odessa została założona w XIX wieku przez starowierców, rosyjskich

emigrantów. Zarówno Paula, jak i Kerry, dzieliło od tego miejsca kilka godzin jazdy samochodem. Dom Ipatieffa był starą posiadłością przekształconą w hotel, położoną na obrzeżach miasta. Wokół rozciągał się lasek brzoź i wiązów poprzecinany polanami, po których przechadzały się konie wierzchowe. Główny budynek ukryty był w głębi posiadłości i ukazywał się dopiero za zakrętem leśnej drogi. Był to podłużny, klasyczny dworek, któremu biały perystyl przydawał pałacowego szyku, a efektu dopełniał trójkątny tympanon wieńczący wejście.

Największą zaletą hotelu było jego położenie. Znajdował się na uboczu, goście zaś mieszkali w domkach rozproszonych po parku. Tycen zarezerwował dla Kerry i Paula czteroizbową rosyjską chatę z drewna świerkowego, którą otaczał taras z widokiem, zachęcającym do spacerów po równo skoszonym trawniku aż do niżej położonego stawu porośniętego nenufarami. Dom Ipatieffa miał charakter uniwersalny; mógł zarówno z powodzeniem stać się tłem dla romantycznego spotkania, jak i być idealnym miejscem do pracy dzięki sprawnym połączeniom internetowym.

Kerry pierwsza przyjechała na miejsce, a właściwie została przywieziona. Kierowca, który czekał na nią przy wyjściu z siedziby One Earth, najpierw wywiózł ją poza Seattle. Gdy znaleźli się trzydzieści mil za miastem, zatrzymali się na stacji benzynowej, by zjeść śniadanie i wysłać do Providence zdjęcia cyfrowe, które Kerry zrobiła w biurze Ginger. Następnie ruszyli na wschód. Przez pierwsze trzy godziny prowadzili na zmianę, potem Kerry usnęła. Do Domu Ipatieffa zajechali przed świtem.

Kerry wzięła prysznic, zjadła śniadanie i natychmiast zadzwoniła do Providence. Tara wraz ze swoją ekipą zdążyła rozszyfrować raporty z zebrań zarządu One Earth oraz życiorysy kilku członków grupy Harrowa. Rezultaty wprawiły Kerry w stan wielkiej ekscytacji.

Paul dołączył do Kerry o dziesiątej. Zamierzał pokonać trasę za jednym zamachem, jednak przeszkodziło mu w tym zmęczenie. Do szóstej rano spał na parkingu. Nie powiedział jej, że po przekroczeniu granicy stanu Waszyngton zatrzymał się drugi raz w lesie, w miejscu, gdzie skały tworzyły samotny cypel pośród dębów. Wdrapał się na niego i przez godzinę grał na trąbce.

Kerry siedziała na tarasie. W słońcu jej rozpuszczone włosy mieniły się złotem. Ubrana była w błękitną koszulę. Podwinęła rękawy i rozpięła guziki pod szyją. Jej ciało, pomyślał Paul, jest sprężyste i drży w sytuacjach napięcia.

Jego partnerka przybrała naraz minę osoby zaaferowanej i dała mu znak, by usiadł naprzeciwko niej.

- Podsumujmy, Paul. Musimy podjąć kilka niecierpiących zwłoki decyzji.

W drodze do ich domku Paul zamówił w recepcji herbatę i ciasteczka. Pojawił się kelner i z poważną miną postawił przed nimi czarną tacę, na której stał błękitny serwis Łomonosowa.

- Słucham cię - rzekł Paul, opierając bosc stopy o drewnianą balustradę.

Po godzinnej grze na trąbce czuł się zrelaksowany, spokojny. Pozwoli, by Kerry opowiedziała mu o swoich odkryciach. Miał asa w rękawie i dobrze wiedział, kiedy zagrać, by wygrać.

- Nasi koledzy w Providence sprawdzają właśnie dokumenty, które sfotografowałam w One Earth.

Kerry wypowiedziała zdanie szybko, jak gdyby stanowiło ono tylko wprowadzenie. Paul szczerze pogratulował jej udanej akcji w Seattle. Do gratulacji wkradła się nuta czułości, co zaskoczyło i wzruszyło Kerry.

- Opowiedz mi, jak tego dokonałaś.

- Naprawdę masz ochotę posłuchać?

Nie dała się prosić dwa razy. Opisała Ginger, korytarze One Earth, kobietę, która przeszkodziła jej w robieniu zdjęć. Dużo się śmiali i Paul czuł, że powoli mija etap rywalizacji. Powracając do akcji, Kerry zawsze potrzebowała tej małej gierki, wykazania sobie samej, do czego jest zdolna. Nie miała zwyczaju zwierzać się i Paul w gruncie rzeczy nic nie wiedział o jej dzieciństwie w domu pełnym kobiet. Rodzina Kerry pochodziła z Europy Środkowej, a dokładnie z terenów byłej Czechosłowacji. Z braku innych danych, Paul stworzył w wyobraźni paralełę ze swoim dzieciństwem i własną matką, która była Rosjanką. Przyпускаł, że Kerry od najmłodszych lat przyzwyczajona była do niepokojącej mieszanki czułości i atmosfery rywalizacji. Prawdopodobnie była bardzo kochana, miłością, której towarzyszyły gwałtowne wybu-

chy czułości, płacz, krzyk i przytulanie. Jednocześnie, by zasłużyć na miłość, dziewczynka musiała wszędzie i we wszystkim być najlepszą. Takie sprzeczności rodzą w dziecku głębokie poczucie lęku. Gdy Kerry postanowiła przystąpić z Paulem do akcji, dopadło ją to specyficzne uczucie i chciała się go jak najszybciej pozbyć. Pomogła jej w tym udana misja w siedzibie One Earth. Paul pomyślał, że teraz są gotowi, by razem stawiać czoła niebezpiecznym i trudnym sytuacjom.

- Rano rozmawiałam z Tarą. Poinformowała mnie o wstępnych wynikach analizy. Zadzwoń do nas w ciągu dnia, jak tylko zakończysz sprawdzanie danych. Streścić ci, co na razie wiemy?

- Bardzo proszę!

Kerry wstała i usiadła na balustradzie. Paul widział ją teraz pod światło na tle zalanego słońcem trawnika i drzew.

- Po pierwsze, mam wiadomość, która powinna sprawić ci przyjemność. Prawdopodobnie odkryliśmy brakujące ogniwo.

- Ogniwo między czym a czym?

- Między grupą Harrowa a Europą. Wyobraź sobie, że do Nowych Drapieżców należy jeden Europejczyk. Jeden jedyny. Młody Francuz, student, Jonathan Cluse. Przyjechał do Stanów Zjednoczonych na staż. Do One Earth trafił za pośrednictwem swojej dziewczyny. Wykazywał wyraźną słabość do poglądów ekstremistycznych i natychmiast trafił pod skrzydła proroka Harrowa.

- Co się z nim stało?

- Gdy kryzys między organizacją a Harrowem zaostrzył się, zarząd zamierzał go wykluczyć. Okazało się, że już wcześniej opuścił Stany Zjednoczone.

- Wiadomo dlaczego?

- Oficjalna wersja jest taka, że zakończył staż. Możemy jednak przypuszczać, że ta świnka Harrow zachęcił go do powrotu.

- Wrócił do Francji?

- Tak sądzę. Sprawdzamy to.

- Myślisz, że chłopak ma coś wspólnego z włamaniem do laboratorium we Wrocławiu?

Paul starał się ukryć rozczarowanie. W jego umyśle zdążyła się zagnieździć teoria, że to kobieta stała za akcją w laboratorium, choć nie pamiętał już, na jakiej podstawie ją wybudował. Tak jak

w dawnych czasach, gdy pracował jako tajny agent, i tym razem nieświadomie nadał kształty sprawcy włamania, które, mimo iż początkowo dość niewyraźne, z upływem czasu stawały się coraz bardziej konkretne. Smutno mu było rozstawać się z tą niewysoką, szczupłą i gibką kobietą, którą stworzył w wyobraźni.

- Nie musiał włamywać się osobiście. Niemniej byłby to do wód, że Harrow ma za oceanem swojego człowieka, dzięki które mu wszelkie działania w Europie stają się możliwe.

Kerry nadal nie była do końca przekonana o związku pomiędzy Wrocławiem a dysydentami stowarzyszenia One Earth. Ustępstwo na rzecz teorii Paula stanowiło gwarancję pokoju, prawdziwy dowód zawieszenia broni. Decydowało też o dalszym przebiegu dyskusji.

- Co jeszcze odkryłaś?

- Raporty z posiedzeń zarządu One Earth w czasie rozłamu.

Paul skwitował to pełnym uznania skinieniem głowy.

- Wstępne analizy wskazują na trzy etapy wydarzeń. Najpierw dwa i pół roku temu tworzy się grupa Nowi Drapieżcy. Początkowo stanowi nurt opozycyjny, skupiony wokół guru, którym jest Harrow. Dyrekcja One Earth ubolewa nad tym, bo nie lubi nieposłuszeństwa. Na tym etapie nic wielkiego się nie dzieje.

- A potem?

- Kolejny etap to miesiąc poprzedzający rozłam. Dwa lata temu. Posiadamy na ten temat szczegółowy raport. Niespodziewanie Harrow zaostrza ton. Przedstawia zarządowi tajny projekt i żąda, by cała organizacja One Earth przystąpiła do akcji. Na dodatek otwarcie szantażuje kolegów z zarządu, grożąc, że jeśli go nie poprą, będzie działał na własną rękę. Twierdzi, że dysponuje koniecznymi środkami. Zarząd wpada w przerażenie. Toczą się gorące debaty. Dyrekcja dzieli się na dwie grupy: jedni uważają, że Harrow blefuje i że jeśli go zignorują, sam przestanie się gorączkować, gdyż w rzeczywistości nie posiada środków do zrealizowania swego planu. Drudzy z kolei boją się, że mówi on poważnie. Opierają swe obawy na niepokojących informacjach, jakoby Harrow wynajął ultranowoczesne biuro w Kansas i odbywał liczne podróże na własny koszt nie tylko po Stanach Zjednoczonych, ale i do Chin, Indii i Brazylii.

Tak jakby znalazł niezależne i hojne źródło finansowania, sam bowiem nie posiadał oszczędności.

- Co postanawiają?
- Zwyciężają zwolennicy status quo. Decydują się na zignorowanie ultimatum Harrowa. Nie pozbawiają go też członkostwa, gdyż mogłoby mu to tylko dodać zbędnego rozgłosu.
- Trzeci etap inicjuje sam Harrow, czyż nie?
- Bingo. Miesiąc później składa dymisję. Dyrekcja zwołuje zebranie na dwa dni przed oficjalną datą jego odejścia i przecina wrzód. Wyznacza jednego spośród swych kolegów do ustalenia listy sympatyków Harrowa i wyklucza ich wszystkich z organizacji.
- Chociaż nie miało to już znaczenia, skoro sam Harrow odszedł...
- Obawiali się, że jeśli jego zwolennicy pozostaną w One Earth, pociągnie organizację za sobą.

Przed przystąpieniem do wniosków Kerry zrobiła pauzę.

- To wszystko potwierdza nasze obawy: grupa Harrowa zdecydowała się działać na własną rękę. Na dodatek ktoś ich znacząco wspiera finansowo.
- Masz pomysł, kto to może być?
- Mamy pewność, że żaden z członków grupy Harrowa nie jest dostatecznie bogaty, by być sponsorem. Jest oczywiste, że to ktoś spoza One Earth.

Paul pokiwał głową i zastanowił się. Wstał i zrobił kilka kroków w stronę schodów prowadzących na trawnik. W sprawozdaniu Kerry widział istotną lukę, której ona sama również była świadoma i przedstawiając fakty w taki a nie inny sposób, otwierała dyskusję. Znała swe słabe punkty i wyrażała gotowość wysłuchania sugestii Paula.

- W żadnym z raportów nie wspomina się, czego właściwie dotyczył projekt Harrowa?

- Nie. Wydaje się, że Harrow z zasady mówił o tym kolegom z zarządu, a oni celowo nie zapisali tego w żadnych raportach, nawet poufnych. Z całą pewnością chcieli uniknąć ewentualnych oskarżeń o współautorstwo bądź zatajenie zbrodni. Bo możemy być pewni, że projekt Harrowa zahacza o kryminał. Wynika to z antyhumanistycznych poglądów, które głosi.

- To jasne - uznał Paul. - Jednak jeśli ktoś chce przejść do akcji, najpierw musi ustalić środki, cele, kalendarz działań... jak sądzisz, o co *dokładnie* mogło chodzić w przedstawionym zarządowi projekcie Harrowa? Czego się wystraszyli?

Kerry potrzęsnęła głową. Nie miała nic więcej do dodania. Defensywa nigdy nie była jej ulubioną pozycją, więc odwróciła pytanie.

- A ty masz jakiś pomysł? Opowiedz mi, czego się dowiedziałeś o Harrowie?

- Chodź, zastanowimy się, spacerując.

Był to ich stary zwyczaj. Pochodził z nie tak odległej, choć obecnie prehistorycznej epoki, kiedy szpiegów uczono, by nie lekceważyli podsłuchów. O poważnych sprawach należało rozprawiać w ruchu i na otwartych przestrzeniach. Ale Kerry i Paul prędko polubili te spacerunki. Był to najprostszy sposób, by uniknąć skrupowania i niedyskrecji obsługi.

- Zaczniemy wszystko od początku - rzekł Paul i zsunął okulary przeciwsloneczne z czoła na nos.

Weszli na trawnik i powolnym krokiem ruszyli w kierunku stawu.

- Ojciec Teda Harrowa był czarną owcą jednej z dużych rodzin Nowej Anglii. Zrujnował się zawodowo i nędznie skończył wskutek mezaliansu z Indianką, którą w dzieciństwie wydarł z jej naturalnego środowiska kulturowego. To ona jest matką Teda. Udało mi się ją odnaleźć. Mieszka niedaleko stąd w Idaho. Życie okrutnie ją skrzywdziło i efekt jest taki, że kobieta rzyga gatunkiem ludzkim. Nienawidzi Indian za ich zdegenerowanie; białych, ponieważ ją odrzucili; ale najbardziej na świecie nienawidzi czarnych, bo są w jej oczach symbolem nędzy. Wszystko wskazuje na to, że przekazała te uczucia synowi. Młody Harrow knuje z Indianami z okolicznego rezerwatu. Swoją wizję świata buduje tak, jak inni szalas, z tego co mu wpadnie do ręki. Ucieka do Kanady, by nie walczyć w Zatoce Perskiej. W Vancouverze wiąże się ze środowiskiem zaangażowanych ekologów. Opowiadają mu o przyrodzie, podsuwają do czytania książki, ciągną ze sobą na bójki z policją. Wydaje mu się, że znalazł to, czego szukał. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych dołącza do organizacji One Earth, gdzie jego brutalna prostota robi furorę.

- Paul, to wszystko już wiemy.
- Tak, ale powiedziałem ci, że chcę zebrać dane do kupy.

Doszli do brzegu stawu. Pomiędzy kępami trzciny wiodła ledwo dostrzegalna ścieżka wydeptana w błotnistej ziemi. Prawdopodobnie można nią było obejść jeziorko. Paul zaproponował tę trasę i podjął swój wywód.

- Cztery lata temu w One Earth Harrow jest świadkiem pierwszej frondy. Członkowie stowarzyszenia krytykują bogacenie się jej zarządu. Osobiście podziela ich krytyczne opinie. Zarząd po stanawia rozprawić się z buntownikami. Harrow pozostaje w organizacji, lecz jego poglądy radykalizują się. Mając doświadczenie w akcji i prosty sposób rozumowania, wypracowuje coś na kształt radykalnej syntezy ideologicznej. Jest człowiekiem o niebywałej charyzmie, a przy okazji nikt nie wątpi w jego uczciwość. Ma przerażające pomysły. Proponuje wprost wypowiedzenie wojny gatunkowi ludzkiemu, ubierając swe deklaracje w słowa tchnące chłodną brutalnością półdzikiego człowieka. Nie wypowiada się jasno na temat metod, które zamierza stosować. Sama zauważyłaś, że jego pierwsze teksty utrzymane są w dość poetyckim tonie. Ewidentnie czerpie inspirację z symboliki indiańskiej.

Kerry zdała sobie sprawę, że podczas jej nieobecności Paul przestudiował całą dokumentację, jaką zgromadziła wraz ze swoją ekipą. Sprawdził nieścisłości i luki hipotez, doprecyzował słabe punkty w toku jej rozumowania. Prezentował teraz tak zwane drugie czytanie wniosków, jakie ona przedstawiła na ostatnim zebraniu.

- Tuż po stworzeniu grupy Nowych Drapieżców Harrow opowiada o szkodliwych aspektach istnienia gatunku ludzkiego oraz jego rozmnażania się. Wydaje się, że w tym okresie nie ma jeszcze jasnego programu działań. Mówi, co mu przychodzi do głowy, na przykład wymienia metody zredukowania nadwyżki demograficznej. Chwała AIDS, śmiertelności noworodków, wojnom... Już wtedy Harrow ma cholere na swojej liście, lecz nie podkreśla w jakiś szczególny sposób jej wartości. Posługuje się nią jako zwyczajną, acz interesującą metaforą. Cholera to choroba biedaków. Rozprzestrzenianie się biedy jest zaś tym, co Harrowa boli najbardziej. W przeciwieństwie do przekonania

panujących w radykalnych środowiskach ekologicznych, Harrow główne zagrożenie widzi nie w przemysłowej działalności człowieka, lecz w mnożeniu się biednych. Dodam tu, że to w głównej mierze owoc jego doświadczenia życiowego, a nie przemyśleń. Oto, co dała mi do zrozumienia matka Harrowa. Zna syna jak własną kieszeń, mimo iż uciekł od niej. Ted nade wszystko nienawidzi biednych.

Paul nie ukrywał, jak bardzo pasjonuje go temat. Mówił coraz głośniej i szybciej. Kerry słuchała uważnie. Nie byli już rywalami. Rozpoczął się nowy etap, który przynieść miał im dużo radości: radości z dzielenia wspólnych poglądów, intelektualnego porozumienia i partnerstwa w akcji.

- OK - przytaknęła. - Jesteśmy zgodni co do tego, że na początku Harrow nie miał konkretnego planu. Zależało mu na zdobyciu wpływów w One Earth, może nawet chciał przejąć władzę. Kierownictwo stowarzyszenia niczego nie podejrzewało. I nagle, bum, zaczęło się. Raporty wyraźnie to obrazują.

- Harrow dostaje pieniądze. Zauważyli to jego koledzy z organizacji, potwierdziła również matka. Ten, który zawsze był splukany, nagle pojawia się z drogim zegarkiem na ręce, wynajmuje biura, zaczyna podróżować. Jednocześnie poglądy Nowych Drapiezców stają się bardziej akademickie i złożone, jak gdyby ktoś wspierał ich nie tylko finansowo, ale i intelektualnie.

- Nie przyszło mi to do głowy, ale brzmi logicznie.

- Sprawdziłem chronologię wydarzeń. Wszystko się zgadza; publikują wyrefinowane teksty na półtora miesiąca przed definitywnym rozłamem.

- Co zbiega się w czasie z oznakami wsparcia finansowego z zewnątrz.

- Przyjrzyjmy się teraz przemianie ideologicznej. Rozumowanie Nowych Drapiezców staje się przejrzyste. Znikają niestosowne deklaracje na temat umiERALNOŚCI noworodków w Trzecim Świecie. Podobnie znika przykład AIDS jako czynnika sprzyjającego regulacji wskaźników demograficznych. Tylko jedna stała wartość niezmiennie przewija się przez wszystkie ich teksty, obecna jest nawet w dokumentacji przekazanej nam przez Anglików.

- Cholera - przyznała Kerry bez entuzjazmu.

- Otóż to! Cholera. Przy czym wydaje się, że Harrow wyznacza jej nową rolę. We wczesnych tekstach choroba służy do zobrazowania delirycznych teorii utrzymanych w tonie indiańskiej bajki. Teraz, znalazłszy potężnych współników, Harrow może działać. Gdyby cholera miała być nadal zwykłą metaforą, nie wspominałby tylko i wyłącznie o niej. Traktuje ją jak realną broń, zagrożenie albo zbawienie, wszystko zależy od punktu widzenia, jaki przyjmujemy. W każdym razie jednego jestem pewien: nasz przyjaciel Harrow postanowił się nią posłużyć.

Usiedli na pniu. Patrzyli na odbicie modrzewi w nieruchomej tafli wody.

- Nasuwa mi się następujący wniosek. To, że temat cholery stanowi podstawowy element retoryki Harrowa nawet po związaniu się z nowymi partnerami, oznacza, że podzielają oni fundamentalne hipotezy założyciela Nowych Drapieźców. Tak jak i on, uważają biedne populacje za wroga, a co najmniej niebezpieczeństwo. Nie mamy więc do czynienia z typowymi terrorystami atakującymi zwykle kraje rozwinięte, które stworzyły superstruktury przemysłowe i które jednocześnie są podatne na strach przed terrorystycznym zagrożeniem. Wspólnicy Harrowa to ludzie, których celem jest rozprzestrzenienie choroby biedaków w biednych krajach.

- Komu mogłoby na tym zależeć? Rozumiem, że Harrowowi, w końcu to stuknięty idealista. Ale co za potęgą finansowa lub intelektualna miałyby pragnąć eksterminacji biednych?

- Nawet najpotworniejsze pomysły da się realizować. Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie, mimo to nie podważa ono mojej teorii.

- Nadal widzę pewien problem - Kerry postanowiła podejść Paula z innej strony. - Sam przecież twierdziłeś, że przecinkowiec cholery jest kiepską bronią biologiczną, że łatwo się na niego uodpornić i że w wielu miejscach na świecie stał się endemiczny.

- Rzeczywiście, w swej obecnej postaci cholera nie jest groźna.

- Istnieją inne typy cholery?

- Wrocławskie laboratorium specjalizuje się w modyfikowaniu przecinkowca.

- Chcesz powiedzieć, że Rogulski w taki sposób zmodyfikował bakterię, że wywołuje ona chorobę o wiele bardziej skuteczną, na którą trudniej jest się uodpornić?

- Przyznaję, że wkraczamy tu na grząski teren hipotez. Należałoby zasięgnąć opinii profesora Chámpela w paryskim Instytucie Pasteura. Przeczytałem opracowania, które mi sprezentował, i wynika z nich, że wynalezienie przecinkowca innego typu niż Ol jest całkiem realne. Taki przecinkowiec wywoływałby chorobę, którą trudniej byłoby na większą skalę zwalczyć antybiotykami oraz byłby trudniejszy do zniszczenia, gdyby znalazł się w stanie wolnym w przyrodzie.

- Polski naukowiec jest współnikiem Harrowa...

- Spokojnie. Na razie możemy tylko powiedzieć, że Harrow dostał w prezencie ślubnym od swych nowych kompanów zapewnienie, że dostarczą mu zmodyfikowany szczep cholery. Szczep ten wywoływałby klasyczne symptomy, jednak byłby o wiele trudniejszy do pokonania. To, czy Rogulski jest świadomie umoczony w aferze, czy tylko dał się manipulować, jest na razie niewiadomą. Myślę, że powinniśmy wstrzymać się z wnioskami w tej kwestii.

- A Zielony Przylądek?

- Tak jak przypuszczałem, jest to próba generalna, polegająca na porównaniu różnych sposobów zakażenia w zamkniętym środowisku, tyle że z użyciem zwykłego przecinkowca cholery.

Kerry wstała i ruszyła w kierunku ich drewnianego domu. Paul podążył za nią bez słowa. Oboje pogrążyli się w zadumie, wzburzonej chaotycznym wirym wątpliwości, przekonań, silnej woli działania, a jednocześnie poczuciem bezsilności i niesmaku.

- Jeśli to prawda - powiedziała cicho Kerry - to rozumiem jakiego stracha Harrow napędził zarządowi One Earth, przed stawiając swój projekt. To jasne, że w raportach ani słowem nie wspomnieli o jego istocie.

Niespiesznie doszli na skraj murawy przed domem. Słońce weszło ponad wierzchołki drzew i uwydatniało soczystą zieleń gęstej trawy.

- Plan Harrowa jest potworny i niesłychany - odezwał się Paul. - To największe w historii ludobójstwo, katastrofa na skalę

planetarną. - Uśmiechnął się blade i jednym tchem dodał: - Nikt dotąd nie podjął podobnego wyzwania...

Kerry była poruszona pełną pasji postawą Paula. Spojrzała na niego przeciągle. Jego czarne włosy były potargane przez wiatr. Gdy mówił, odruchowo skubał baczki. Właśnie takiego go lubiła: czujnego, przekonanego, że zidentyfikował wroga, gotowego stoczyć każdą walkę. Zbliżyła się do niego. Przez chwilę stali blisko siebie, czując, jak mieszają się ich oddechy. Potem oparła głowę o jego pierś i obie dłonie położyła mu na plecach. Delikatnie pogładziła jej włosy. Zniknęło napięcie ostatnich dni. Pozostała czułość, jaką mieli dla siebie.

- Wiesz - wyszeptła - to dla mnie wielkie szczęście, że znowu jestem z tobą.

W takiej pozycji zastał ich starszy rosyjski kelner, ubrany w uniform z kołnierzykiem zapinanym z boku. Gdy tylko ich ujrzał, dyskretnie wycofał się, kiwając z powagą swoją dużą głową, okoloną białą brodą.

Dawno temu Paul i Kerry byli kochankami.

Zdarza się często, że wzajemna namiętność wykluwa się z czegoś wręcz przeciwnego. Tak było i w ich przypadku. W czasach szkolnych, młody i arcydyscyplinowany żołnierz, który chętnie się, iż został powołany do tajnych służb ze względu na swą brawurę i zmysł posłuszeństwa, niezmiernie drażnił Kerry. Jak na złość znaleźli się w jednej grupie. Paul z kolei czuł, że jest nagminnie znieważany przez tę nieszczydzącą ironicznych uwag smarkulę o ognistych włosach. W jej spojrzeniu malowało się wieczne wyzwanie i miała gotową odpowiedź na każdą seksistowską uwagę.

W tamtych czasach Paul miał nikle i dość ogólnikowe pojęcie o kobietach. Wysnuwał je ze wspomnień o matce, która była surową formalistką, oraz z kilku przypadkowych wizyt w azjatyckich burdelach. Wolna i zuchwała natura Kerry nie pasowała ani do obrazu poważnej kobiety, której należy się szacunek, ani do

sprzedanej dziewczyny, której się pożąda. Większość mężczyzn z ich roku - a była to wówczas większość miazdząca - miała o Kerry to samo zdanie, co Paul, i nie dopuszczali jej do dyskusji i wspólnych wypadów. Kerry udawała, że się tym nie przejmuje, lecz któregoś weekendu, gdy jak zwykle została sama w obozie, Paul zastał ją płaczącą na łóżku. Dyskretnie wymknął się z sali i nigdy nie wrócił do tematu.

W analogicznej sytuacji ona okazała mniej delikatności. Pewnego wieczoru weszła do mesy dla uczniów i nie zastała tam nikogo z wyjątkiem Paula. Studenci udali się na imprezę zorganizowaną w sąsiedniej jednostce. Chłopak miał warte, więc włóczył się po budynku. Z nudów i niewątpliwie bolesnej nostalgii, jaką budziły w nim wspomnienia o matce, usiadł do pianina. Paul, który nie nawidził tego instrumentu i nikomu nie przyznał się, że potrafi na nim grać, zaczął czule gładzić klawisze. Wspomnienie dzieciństwa wywołane dotknięciem klawiatury sprawiło, że palce same ułożyły się do gry i zagrał nokturn Chopina, po czym płynnie przeszedł do transkrybowanych na fortepian utworów Bacha. Był przekonany, że jest sam. Gdy usłyszał oklaski, gwałtownie opuścił klawiaturę, wstał, czerwony i trzęsący się ze wstydu, jak gdyby przyłapano go na czymś nagannym. Kerry poprosiła, żeby grał dalej, on jednak ze złością odmówił i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Przez trzy miesiące nie odezwali się do siebie ani słowem, poza sytuacjami, w których wymagała tego służba. Potem zostali przydzieleni do tej samej jednostki operacyjnej 18. kompanii powietrznej w Fort Bagg. W pierwszą misję wysłano ich do Bośni. Ich zadaniem było przeniknięcie na stronę serbską. Mieli tam wykonać pomiary konieczne do przygotowania nalotu bombowego sił NATO. Rozkaz dowództwa polegał na zdobyciu tych informacji pod pozorem niesienia pomocy humanitarnej. By zagwarantować maksymalną wiarygodność przykrywkę, dowództwo wyznaczyło mieszaną ekipę składającą się z dwóch mężczyzn i kobiety. Znalazł się w niej Paul i niejaki Tibor, Amerykanin pochodzenia węgierskiego, którego rodzice należeli do mniejszości wojwodińskiej, dzięki czemu władał językiem serbsko-chorwackim. W grupie była też Kerry, która wiekiem i wyglądem - szczególnie z rozpuszczonymi włosami - idealnie pasowała do roli młodej, pełnej ideałów

i okresowo zbuntowanej wolontariuszki. Przedostali się do strefy serbskiej z konwojem ciężarówek wypełnionych żywnością. Mieli przy sobie fałszywe australijskie i fińskie paszporty. Dostali rozkaz opuszczenia konwoju tuż za górą Igmam. W środku nocy piechotą dotarli do wyznaczonej strefy. Prowiant ukryty na dnie sportowych plecaków miał wystarczyć na kilkudniowe biwakowanie. Mieli ze sobą także sprzęt do nocnych obserwacji i zaszyfrowanych radiotransmisji. W trakcie szkoleń opanowali do perfekcji sztukę kamuflażu, toteż bez trudu rozbili obóz w lasku nieopodal Pale, tymczasowej stolicy serbskiej Bośni. Stamtąd mogli prowadzić działania dwojakiego rodzaju: Tibor ze względu na znajomość języka mógł swobodnie poruszać się po okolicy w stroju milicjanta. Jego zadanie polegało na zlokalizowaniu domów dowódców armii bośniacko-serbskiej oraz ich kryjówek. Z kolei Kerry i Paul mieli obserwować nocny ruch czołgów i artylerii w okolicach wzgórza, na którym wedle informacji dostarczonych przez amerykański wywiad znajdował się podziemny arsenał. Pierwszy incydent miał miejsce nazajutrz po przyjeździe. Tibor nie wrócił o ustalonej porze.

Zdażył jedynie wysłać radiowy sygnał, że został schwytyany.

Pierwotny plan akcji przewidywał, że grupa zostanie ewakuowana trzy dni później helikopterem, z ustalonego wcześniej miejsca. Oczywiście przewidziano akcję ratunkową w razie niepowodzenia, była ona jednak dość ryzykowna. Poza tym po ujęciu Tibora Serbowie wzmoogli czujność i dotarcie do stosunkowo oddalonej polany, na której miał wylądować helikopter, nie wydawało się możliwe.

Nawet w najtrudniejszych chwilach, jakie przeżył w czasie szkolenia wojskowego, Paul nie czuł się tak, jak wtedy. Dotychczas każdy wysiłek, nawet do granic wytrzymałości, znosił zgodnie z rozkazem. Pomimo wyczerpania, strachu czy bólu był posłuszny i podporządkowany hierarchii, chociaż nie zawsze dobrze ją znosił. Tym razem jednak byli z Kerry sami i do tego w beznadziejnej sytuacji. W przeciwieństwie do Tibora, który został pojmany jako cywil i zapewne potraktowano go jak szpiega, czyli zakładnika politycznego, oni ujawniając się ryzykowali, że zostaną uznani za zwykłych partyzantów i z miejsca zlikwidowani.

W tych specyficznych okolicznościach Kerry ujawniła swoje talenty. Bez wysiłku i w zaskakująco naturalny sposób przejęła stery i sama zdecydowała o ich dalszym postępowaniu. Tego samego wieczoru wprowadzili w życie jej plan. Nie tylko miała zamiar spokojnie dotrzeć do przewidzianej daty ewakuacji, lecz również zebrać potrzebne informacje. Trudności zdawały się ją elektryzować. Była nadzwyczaj opanowana, a to, że znaleźli się w nieprzewidzianej sytuacji, sprawiło jej ewidentnie przyjemność. Przez trzy dni kierowała ich życiem rozbitków w sercu lasu.

Wybudowali podziemny schron, który starannie zakamuflowali. Umieścili w nim czujniki bezpieczeństwa i na zmianę trzymali wartę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, lustrując teren za pomocą lornetek na podczerwień. Dzień po tym, jak Tibor został schwytany, zapuścili się na skraj lasu. Ponieważ nic podejrzanego nie stwierdzili, uspokoili się trochę. Serbowie nie zdawali sobie sprawy z ich obecności. Wiejskie życie toczyło się normalnie: od czasu do czasu główną ulicą przejeżdżał traktor ciągnący wóz siana, pojawiali się piesi, rozklekotane samochody, stary autobus. W nocy zaobserwowali przemieszczenie się konwoju wojskowego oraz transport dywizji pancernej. Serbskie czołgi były w opłakanym stanie. Większość była w częściach przewożona samochodami ciężarowymi. W tych okolicznościach nie czuli się już jak w potrzasku i ze wschodem księżyca wrócili do kryjówki. Paul był pod silnym wrażeniem stanowczości Kerry. Odkryli wtedy, że zuchwałość i odwaga jednego z nich stymuluje drugie. Potem wielokrotnie mieli jeszcze okazję obserwować to zjawisko. Zapanowała między nimi zasada współzawodnictwa - mimo iż nie została ani zadeklarowana, ani też objęta regulami - która w tajemniczy sposób pomnażała ich siły i energię. Nigdy o tym nie rozmawiali. Rywalizacja ta pozostawała niewypowiedziana, nieustająca, wspaniała i wykalkulowana. Gdy jedno z nich zdobywało punkt, spotykało się ze szczerym uznaniem drugiego. Ta gra zbliżała ich bardziej niż zwierzenia albo deklaracje zaufania.

Kolejnego dnia Kerry zarządziła, że się rozdzieli. Podczas gdy jedno zostanie, by strzec kryjówki i sprzętu, drugie uda się trzy kilometry dalej i zlokalizuje ukryty arsenał serbski. Paul błyskawicznie oświadczył, że podejmuje się zadania. Udało mu się zaskoczyć

Kerry tą decyzją i był z siebie bardzo zadowolony. Potem jednak zastanawiał się, czy diablica celowo nie pomogła mu w podjęciu wyzwania. Być może szykowała otwartą konfrontację.

Wrócił z ekspedycji z dwugodzinnym opóźnieniem. Kerry nie szczędziła słów, by wyrazić niepokój i ulgę, że wrócił cały i zdrowy. Z dumą poinformował ją, że wykonał precyzyjne zdjęcia wejść do arsenału, a nawet jego ukrytych wywietrzników. Sfotografował też konwoj wojskowych ciężarówek wjeżdżających do środka.

Nazajutrz to Kerry miała udać się na patrol. Postanowiła obejść obserwowaną strefę od północy, zbadać drogi dostępu do podziemnego arsenału po drugiej stronie wzgórza. Gdy Paul został sam w ich obozowisku, zaczął zastanawiać się nad swoimi uczuciami. Oczekując powrotu Kerry, odczuwał braterskie zaniepokojenie, jakie budzi przedłużająca się nieobecność towarzysza niebezpiecznej misji. Przepędzał go bolesny strach i głęboka obawa, że wydarzyło się coś złego i może utracić Kerry. Poczucie straty nasiliło się z nadejściem nocy. Minęło dziewięć godzin. Prawie idealnie okrągły księżyc był teraz wysoko na niebie i oświetlał las. Paul wiedział, że trasa do ich kryjówki wiedzie wzdłuż drogi i gospodarstw. Jeśli Kerry nie udało się do tej pory wrócić, ten ostatni odcinek mógł być nadzwyczaj niebezpieczny. Około jedenastej usłyszał ujadanie psów, krzyki i dalekie, tępe wystrzały z broni myśliwskiej. Instynktownie zaczął zwijać obóz i pakować sprzęt do plecaków na wypadek konieczności szybkiego opuszczenia schronu. Nagle Kerry wynurzyła się z ciemności. Pot lał się jej z czoła, twarz miała podrapaną gałęziami, dyszała. Nie wyglądała jednak na przestraszoną, wręcz przeciwnie, była opanowana. Bardzo spokojnie oznajmiła mu, że zauważono ją i grupa myśliwych dała o tym znać milicji, która jest na jej tropie. Paul kończył zapinać plecaki. Założyli je na plecy i weszli w las.

Pościg trwał całą noc, lecz udało im się zmylić trop. Pokonali pełen ciernistych chaszczki, wilgotny wąwóz i zrobili postój na porośniętej trawą, niewidocznej z dołu niewielkiej półce skalnej. Przez całą noc prowadzili milczące zawody w zachowaniu zimnej krwi i wytrzymałości. Zaledwie jednak padli na dziko rosnącą trawę w ustronnym miejscu, rzucili się sobie w ramiona. Niepokój, ból i zmęczenie utonęły w długim i zachłannym pocałunku.

Kochali się, prawie nie zdejmując ubrań, dziko, a zarazem oswojeni ze sobą jak istoty, które znają się od zawsze.

Tak zaczęła się historia ich namiętności. Na skalnym zboczku, na wrogiej ziemi. Nie mieli pewności czy ujdą z tego z życiem.

Nazajutrz wieczorem, po długiej goniwce przez lasy, dotarli do miejsca ewakuacji. Helikopter wylądował punktualnie i zabrał ich do Splitu. Samolot typu C-130 odstawił do bazy w Aviano. Dwa dni później byli w Fort Bragg.

Okoliczności, w jakich doszło do miłosnego zbliżenia sprawiły, że oboje mogli potraktować to jako przypadek bez konsekwencji i źródło anegdot. A jednak odcisnęły się one głęboko na ich wzajemnych relacjach. W „normalnych” warunkach koszarowej rutyny ich fizyczne zespolenie było niepełne, współzawodnictwo brało górę nad bliskością. Szybko dochodziło między nimi do starć, gotowi byli się zniechęcić. Gdy zaś wspólnie stawiali czoła niebezpieczeństwu, a zdarzyło im się to wiele razy podczas akcji, do których zgłaszali się razem na ochotnika, odnajdywali to samo absolutne szczęście, jakie towarzyszyło ich pierwszemu spotkaniu. Byli jak para narkomanów, którzy po skosztowaniu bardzo toksycznej substancji, zażywając mniej inwazyjny narkotyk, nie są już w stanie odczuć niczego poza frustracją.

Razem postanowili opuścić armię, chociaż każde z innych powodów. Paul nie widział swojej przyszłości w mnożeniu ekscytujących misji, które po zakończeniu dawały straszliwe poczucie pustki. Takie życie wydawało mu się szyderczym i jałowym poruszeniem, rozrywką w sensie pascalowskim, która oddala od istoty rzeczy. Dużo czytał, wykorzystując długie przerwy między kolejnymi misjami. Przemyślał przyczyny, dla których wstąpił do armii, i przekonał się, że to, co przez wiele lat uważał za zuchwałość, było zwykłym tchórzostwem i ucieczką przed koniecznością dokonania osobistych wyborów. Gdy miał osiemnaście lat, pragnął studiować medycynę, budować głębsze i trwalsze związki międzyludzkie. Pod wpływem impulsu przeciął swoje wahania, chroniąc się pod skrzydłami armii i służby wojskowej, gdzie nie było czasu na zadawanie sobie egzystencjalnych pytań. Teraz czuł się na tyle dojrzały, by wrócić do miejsca, w którym brutalnie przerwał rozważania.

Mógł jeszcze zmienić zdanie i podjąć studia medyczne, które nie przestały go pociągać.

Kerry miała wątpliwości co do sensu dalszej służby, jednak z innych powodów. Wybrała karierę w tajnym świecie akcji przez przekorę i z chęci prowokacji. Być może chciała nadal cieszyć się reputacją oryginalnej i buntowniczej dziewczynki, za jaką uchodziła wśród sióstr. Potem zrozumiała, że w głębi duszy działała pod presją małej grupy, jaką była jej rodzina, na łonie której, chcąc, nie chcąc, musiała odgrywać rolę chłopca. Kerry marzyła o studiach. Pociągała ją psychologia i któregoś dnia uznała, że jej naukowe ambicje zasługują na więcej niż karmienie się przeciętnymi artykułami lub czytałkami. W męskim świecie, w jakim żyła ze względu na swój zawód, zaczęła postrzegać swą kobiecość inaczej niż pośród próżnych sióstr kokietek, które zmusiły ją do odrzucenia kobiecości na rzecz inteligencji, sportu i poczucia humoru. Dziś dostrzegała w tym głębszy wymiar i nową wartość, pragnęła żyć jak kobieta, mieć rodzinę, dom.

Spędzili długie godziny, dyskutując na temat powodów, jakie przywiodły ich do decyzji o wystąpieniu z szeregów tajnych służb. Pokusa wspólnego, nowego życia była silna. Jednak ostatnia misja okazała się rozstrzygająca. Polecili na Kaukaz, do grup czeczeńskich bojowników, którym Stany Zjednoczone miały pomóc. Była to prosta, lecz fizycznie wyczerpująca misja i nic specjalnego się nie wydarzyło. Jednak to w zachwycających górach Kaukazu, pośród pełnego poświęcenia i niewiarygodnie twardego ludu, Paul i Kerry przeżyli chwile tak silnych miłosnych uniesień, że sama myśl o zniszczeniu tego pośród banału i spokoju codziennego życia wydała im się nie do przyjęcia. Dwadzieścia kilometrów od bombardowanego Groźnego, w drewnianych kazamatach przyprószonych śniegiem podjęli decyzję o zakończeniu ich związku w tym wzniosłym momencie i zachowaniu o nim nieskażonego wspomnienia. Podarowali sobie wolność jak podróżni, którzy po chwili postoju na skrzyżowaniu dróg ruszają każdy w swoją stronę.

Przysięgli sobie dwie rzeczy: ich uczucia pozostaną niezmiennie. Nie będzie w ich nowej relacji miejsca dla seksualności, zachowają jednak siłę pożądania, piękno wspomnienia, intensywność

podziwu i szacunku, jakim się wzajemnie darzyli. Co do drugiej przysięgi była raczej życzeniem: spotkają się kiedyś, o ile życie przyniesie im w darze równie podniosłe chwile, jak te, które ich połączyły. Było to mało prawdopodobne, jednak obiecali sobie wierność, gdyby jakimś cudem „warunki zostały spełnione”. W Odessie nie mieli wątpliwości, że tak się właśnie stało.

Związek Paula i Kerry, zrodzony w atmosferze szczególnej służby i tajności akcji wymagał ognia, by trwać. Ich uczucie karmiło się niebezpieczeństwem, ruchem, trudnymi decyzjami. Gdyby nie to, miłość udusiłaby się sama. Kiedy więc minęła chwila czułości, która na polanie domu Ipatieffa przywołały wspomnienia, zabrali się z powrotem do pracy.

Jeszcze tego samego wieczoru przełożyli wnioski na język celów operacyjnych. Pierwszym było odnalezienie śladu szczepów cholery skradzionych w Polsce. Wiedzieli, że tylko jeden trop mógł do nich doprowadzić: Jonathan Cluse i jego ewentualni współpracownicy. Za drugi cel Kerry i Paul uznali zidentyfikowanie źródła pomocy finansowej, z której korzystał Harrow. Wsparcie Providence będzie w tej kwestii nieodzowne. Napisali do agencji prośbę o zlokalizowanie biur Harrowa w Kansas i dotarcie do konta, z którego opłacany jest za nie czynsz. Poza tym poprosili Tycena o uważne poszperanie w życiorysie Rogulskiego. Winny czy nie, miał prawdopodobnie kontakt z tajemniczą grupą wspierającą Harrowa.

Była dziewiąta, gdy skończyli. Piechotą udali się do głównego budynku na kolację, podawaną na koronkowych obrusach z Krymu i w kryształach przywiezionych koleją transsyberyjską aż z cieśniny Beringa. Po wykwintnym posiłku wrócili do izby.

O świcie byli na nogach. Zrobili rundkę po parku, ledwie spowitym w białą poświatę poranka. Dzięki różnicy czasu mogli swobodnie porozumieć się z Providence i pracownikami departamentów zaangażowanych w sprawę. Tuż przed wyjazdem, o dziesiątej zadzwonili do Tary. Jej ekipa zakończyła sprawdzanie aktualnych danych na temat członków usuniętych z One Earth

wraz z odejściem Harrowa. Okazało się, że dwa lata temu ślad po nich zagańał. Co do niektórych potwierdziły się informacje, że wy-
parowali, zanim jeszcze powiadomiono ich o wykluczeniu z orga-
nizacji. Odnalezienie tych osób byłoby bardzo czasochłonne.
Udało się jednak zidentyfikować czworo spośród nich. Pierwsza
dwójka, kobieta i mężczyzna, byli nauczycielami w szkole wyższej
w Baltimore. Kilka dni temu polecili do Afryki Południowej, skąd
pochodził mężczyzna, kupując bilet w jedną stronę. Adres ich
pobytu pozostaje nieznanym.

Dwudziestoletni chłopak, który dołączył do grupy Harrowa
stosunkowo krótko przed rozłamek, opisany został w kartotece
One Earth jako osoba pozostająca na etapie „konstruowania
autodydaktycznych kompetencji”. Zanim wstąpił do One Earth,
pracował na dalekiej północy w Kanadzie. Providence zdobyła
informacje na temat jego obecnego zajęcia. Jako specjalista od
logistyki wstąpił do Lekarzy Bez Granic i bierze udział w misji w
Afryce, w rejonie Wielkich Jezior.

Co do Jonathana, to ekipa Tary zdobyła jego adres w regionie
Alp francuskich, jednak bez gwarancji, że jest on aktualny. Dean
umówił Kerry i Paula z inspektorem DST* w Paryżu. Człowiek
ten z bliska śledził działalność skrajnie lewicowych ugrupowań w
kraju.

Miastem leżącym najbliżej Odessy było Spokane, skąd tego
samego popołudnia odlatywał samolot do Nowego Jorku. W Pa-
ryżu mieli się znaleźć nazajutrz wieczorem. Spakowali walizki i
wyregulowali zegarki.

Punktualnie o jedenastej wzbili się w przestrzeń powietrzną
Spokane.

V

Paryż, Francja

- „Paul Matisse” to francuskie nazwisko?

Inspektor Lebel, któremu roztrzepani rodzice dali na imię Filip, był człowieczkiem o długim nosie i słabowitym wyglądem. Natura obdarzyła go tą charakterystyczną dla paryżan cerą koloru chodników, która w zależności od nastroju przybierać mogła odcienie bieli kamiennych fasad aż po gołębią szarość cynkowych dachów.

Paul i Kerry siedzieli naprzeciwko niego na wąskiej ławce obitej czerwonym moleskinem. W hałaśliwej kawiarni przy ulicy des Saussaies, naprzeciwko siedziby DST, nawet wąsaty właściciel miał minę człowieka ukrywającego tajemnice stanu.

- Tak, ale jego historia sięga dalekiej przeszłości, kiedy Napoleon sprzedał nam Luizjanę... pamięta pan?

- Czy pamiętam? Tysiąc osiemset czwarty rok, ależ zrobił głupstwo! Inaczej byśmy dzisiaj wyglądali. Ale cóż... A mogę zapytać o godność miłą panią?

Lebel zwracał się do kobiet tonem zabarwionym lekką ironią, który Amerykanki, w zależności od wieku i doświadczenia, interpretowały jako absolutnie czarujący bądź skandalicznie lubieżny. Kerry postanowiła traktować go jak całkiem sympatycznego żartownisia, bowiem w odniesieniu do jegomościa z palcami zabarwionymi na żółto od nikotyny określenie „uwodzicielski” nie przyszło jej nawet do głowy. Przede wszystkim cieszyła się, że może poćwiczyć francuski. Nie władała tym językiem tak dobrze jak Paul, lecz zawsze lubiła jego brzmienie.

- Mam na imię Kerry. Ale proszę uważać - dodała ze śmiechem - jestem diabłem wcielonym: prawdziwą amerykańską jędzą.

Wypowiedziała to słowo z naciskiem. Lebel gromko się zaśmiał, lecz sądząc po wyrazie twarzy, jaki zaraz przybrał, poważnie potraktował ostrzeżenie i postanowił mieć się na baczności.

- Jak się miewa sir Archibald Morton? - zapytał z namaszczaniem.

- Archi ma się dobrze - odparł Paul. - Niedługo powróci z tournée na Dalekim Wschodzie. Zobaczymy się z nim we Włoszech pod koniec tego tygodnia.

Za pośrednictwem Providence porozumiał się z nimi i, nie podając przyczyn, zapowiedział spotkanie w Europie przed ich powrotem do Stanów Zjednoczonych.

- Proszę mu przekazać moje uszanowanie - rzekł inspektor. - Bardzo go podziwiam.

Lebel wyglądał na człowieka raczej krytycznie nastawionego do ludzi. Tym bardziej komplement pod adresem Archiego brzmiał jak rzadkie wyróżnienie, jak gdyby inspektor osobiście uhonorował go orderem. Kerry i Paul pomyśleli, że Archie oddał mu kiedyś przysługę i w ten sposób zapewnił sobie jego dozągonną wdzięczność.

- Zatem zainteresował was młody Jonathan? - Widząc, że jego rozmówcy niepewnie rozejrzeli się wokół, dodał: - Zapewniam, że możemy tu swobodnie rozmawiać.

- Owszem - odezwała się Kerry. - Rozpracowujemy amerykańskie ugrupowanie radykalnych ekologów, do którego należał...

- Tak, ekolodzy bywają u was niebezpieczni - skonstratował Lebel. - We Francji to raczej odważni ludzie, którzy śnią o ministerialnej teczce. Swoją drogą, nie wiem, co lepsze.

Zrozumieli, że będą musieli przyzwyczać się do filozoficznego poczucia humoru Francuza, dumnego przedstawiciela swego narodu. Paul westchnął.

- Napijcie się czegoś? - znieacka spytał Lebel, po czym krzyknął do właściciela baru: - Raymond, poproszę o małe piwo.

- Chłopak wrócił do Francji mniej więcej dwa lata temu - podjęła Kerry. - Chcielibyśmy się dowiedzieć, co porabia.

- Tak właśnie zrozumiąłem z rozmowy z waszymi służbami. A tak na marginesie zapytam, czy pan Archibal pracuje teraz na własny rachunek?

- Otworzył prywatną agencję. W Providence.
- Providence! - wykrzyknął Lebel, składając ręce jak do modlitwy. - Tylko Amerykanie mogli wymyślić taką nazwę...

Widząc, że nie rozśmieszyło to rozmówców, głośno zakaszła i powiedział:

- Przed naszym spotkaniem rzuciłem okiem do kartoteki.

Paul wyjął z kieszeni notes i podkładkę.

- Będzie panu przeszkadzało, jeśli zrobię notatki?
- Uzywacie jeszcze w Ameryce takich rzeczy? - Lebel błysnął okiem. - Byłem przekonany, że nie rozstajecie się z laptopami...

Paul zmusił się do uśmiechu, czym najwyraźniej usatysfakcjonował inspektora.

- Od bardzo dawna obserwujemy waszego chłopaczka.
- Z powodu jego działalności?
- Nie, przede wszystkim z powodu jego ojczyma.

Paul i Kerry spojrzeli po sobie. Do tej pory nic o nim nie słyszeli.

- Matka Jonathana rozwiodła się przed piętnastoma laty. Ojciec chłopaka zmarł wkrótce po tym na raka. Powtarzam, na raka, więc nie traćcie czasu na szukanie dziury w całym.

Amerykanie utkwili w nim bezradne spojrzenia, więc przetłumaczył wyrażenie na elementarny angielski.

- Chcę powiedzieć, że nie należy dopatrywać się podstępu tam, gdzie go nie ma. Facet zmarł śmiercią naturalną. Matka Jonathana wyszła następnie za niejakiego Hervé de Bionnay, błyskotliwego absolwenta ENA*. Wiecie, co to oznacza? Nasza narodowa specjalność, nie tak dobra jak ślimaki, ale za to o wiele bardziej toksyczna. Porzucił posadę urzędnika państwowego dla przemysłu.

- Jakiego przemysłu?
- No właśnie. Jest dyrektorem przedsiębiorstwa Béta-Tech-nology, największego europejskiego konstruktora rakiet wojskowych.
- Handluje bronią.

Ecole Nationale d'Administration, prestiżowa szkoła podyplomowa, kształcąca przyszłych polityków i mężów stanu.

- Można i tak to nazwać. Jedyne, co możemy, to nie spuszczać z oka jego otoczenia. Nigdy nie miał dzieci. Żona jest czysta. Tylko młody Jonathan przysparza kłopotów.

- Co pan ma na myśli?

- To bardzo ciekawy przypadek. Chłopak flirtuje z niebezpieczeństwem, choć nigdy nie robi poważniejszych głupstw. W szkole nie uczył się dobrze. Do matury dociągnął dzięki prywatnym szkołom opłacanym przez ojczyma. Włączył się z muzykami - chyba nawet gra na gitarze - różnymi ćpunami, ale nie ma odwagi na nic więcej niż jointy.

- A handel narkotykami?

- To tak, przyłapano go kiedyś przy kontroli celnej. Szmuglował kokainę z Kolumbii.

- Kiedy to było?

- Cztery lata temu.

- Skazano go?

- Nie, tylko dyskretnie poinformowano jego ojca, to znaczy ojczyma. Zadbał o interwencję samego ministra spraw wewnętrznych. Smarkacz wyparował nagle, gdy przejęto cały transport narkotyków. Jego wspólnicy byli przekonani, że ich sypanął. Ale to bez znaczenia, wszyscy siedzą, u nas i w Kolumbii.

- A potem rodzice wysłali go na staż do Stanów Zjednoczonych.

- Tak jest.

- Czyli chłopak ma u was teczkę.

- W której jest wystarczająco dowodów, by go zamknąć na kilka dobrych lat. Na razie zadowolamy się pilnowaniem.

- Wie pan, co robił w Stanach?

- Wiemy tylko, że FBI trzymało na nim łapę. Przyłączył się do radykalnego ugrupowania ekologicznego i gdy wrócił do Francji, wasi koledzy poradzili nam, by go pilnować. Zamieszkał w regionie Alp. Nasza ekipa na miejscu kontroluje go od czasu do czasu. Mogę przy was zakurzyć?

Wyjął paczkę marlboro i czule spojrzał na znajomy napis „Palenie zabija”.

- Wolałabym nie - wypaliła Kerry i widząc zmartwione spojrzenie Lebela, dodała: - Uprzedzałam, że jestem jędzą.

- Jestem niewolnikiem pragnień, madam - odparł i uśmiechnął się szeroko, ukazując poźółkłe małe zęby.

Schował papierosy do kieszeni.

- Czyli mieszka w Alpach? - podchwycił Paul.

- Wasz synalek zapisał się do organizacji ekologicznej. Wygląda na to, że mu się u was spodobało. Wybrał najostrzejszą grupę, jaka istnieje we Francji. Ale to oznacza co najwyżej manifestacje antynuklearne.

- Niefajnie dla ojczyma...

- Tak i nie. To całkiem miły chłopak. Nadal żyje na garnuszku mamusi i przybranego tatusia. Zdaje się że nie robią z tego tragedii. Pewnie uznali, że musi się wyszumieć. Zresztą Jonathan to playboy, trochę meloman... Te pseudobunty mają jeden cel: zaliczanie laseczek. Szanowna pani wybaczy wyrażenie - dodał i ukłonił się Kerry.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Nadal bierze udział w akcjach ekologicznych? - zapytała.

- Nie, rok temu opuścił stowarzyszenie.

- Wiadomo dlaczego?

- Bez powodu. Być może to zbieg okoliczności, ale w tym czasie jego dziewczyna miała tam poważne problemy.

Lebe z żalem spojrział na pusty kufel. Nie miał odwagi zamówić kolejnego.

- Zamówi pan coś jeszcze? - Paul przyszedł mu z pomocą.

- Hm... czemu nie? Może piwko?

- I dwie kawy. - Paul skinął na kelnera.

- Otóż - podjął Lebel z entuzjazmem - w czasie manifestacji dziewczynę poszturczał policjant. Nic wielkiego, ale zrobiło się o tym głośno. Stowarzyszenie zręcznie posłużyło się incydem: dzikie represje, brutalność policji, zwyczajne bzdury... Dziewczyna udzielała wywiadów na prawo i lewo, na nieszczęście organizacji, zaczęła głosić poglądy kompromitujące stowarzyszenie...

- Krytykowała swoje ugrupowanie?

- Nie. Ale wypadek przewrócił jej w głowie. Wzywała do powstania i walki wręcz, śmierć glinom i te sprawy. Bredziła od rzeczy i wkurzyło to ekologów.

- La Pasionaria?

- Niezupełnie. Wyglądało na to, że nagle jej odbiło. Dziewczyna jest raczej nieśmiała i dość skryta. Jej rodzice to starzy notable z regionu Pas-de-Calais. Trzeba było umieścić ją na kilka tygodni w klinice psychiatrycznej.

- Jak się nazywa?

- Juliette Descombes.

- Jak zachował się Jonathan?

- Został w Lyonie. Gdy ją wypuścili z oddziału, rozpoczęła pracę jako nauczycielka w gimnazjum w regionie Jury.

- Jaki to ma związek z odejściem Jonathana ze stowarzyszenia?

- Czysto chronologiczny. Tuż po incydencie zrezygnował z członkostwa. Kropka. Być może nie ma to żadnego związku. A jednak odwiedzał Juliette w klinice, podczas gdy koledzy ze stowarzyszenia na wszelki wypadek zerwali z nią kontakt.

Paul zrobił przerwę w notowaniu. Lebel czekał na pytania.

- Czy ktoś wspominał panu o aferze wrocławskiej?

- Bardzo lakonicznie. Wiem, że interesuje was marzec, bo wtedy nastąpiło włamanie do zagranicznego laboratorium, zgadza się?

- Sprawdził pan, co Jonathan robił w tym czasie?

- Nie jest dla nas wystarczająco grubą rybą, abyśmy śledzili go codziennie. Moi ludzie regularnie go namierzają, ale macie szczęście. To może również przypadek, chociaż w naszym fachu nie wierzy się w przypadki, czyż nie? Otóż tego samego dnia, kiedy zdewastowano laboratorium we Wrocławiu, Jonathan Cluse został zatrzymany przez dwóch stróżów prawa za przejechanie na czerwonym świetle. Wlepili mu mandat i odjęli trzy punkty.

- Gdzie to się stało?

- W centrum Lyonu, w dzielnicy Bellecour.

Paul i Kerry wymienili spojrzenia: ich hipoteza właśnie runęła.

Lebel milczał. Pomacał kieszeń i wyjął papierosa.

- Bez obaw, nie zapalę go. Trzymanie w dłoni papierosa działa na mnie kojąco.

- Ależ proszę - zachęciła go Kerry.

- Dziękuję.

Inspektor zaciągnął się głęboko. Paul zafascynowany czekał, aż Lebel wypuści z ust szare kłęby, lecz jego płuca najwyraźniej

zatrzymały dla siebie wyęskniony dym. Nikotyna przywróciła kolory jego twarzy. Róż w odcieniu szynki zabarwił delikatnie policzki urzędnika.

Bawiła go bezradność rozmówców. Z przyjemnością brał rewanż za tyle razy nadszarpnięty honor francuskiej policji. Postanowił zagrać ostatnią kartę:

- Wasza agencja skontaktowała się z nami dopiero wczoraj. Nie mieliśmy czasu na dogłębne śledztwo. Niemniej jednak...

Zrobił skromną minę i zawiesił głos, by zrobić większe wrażenie na Amerykanach:

- Sprawdziłem, co robiła Juliette w czasie włamania.

Paul przygryzł wargę: dobre zagranie. Różnica czasu otumaniała go trochę i pozbawiła chwilowo zawodowych odruchów.

- I co?

- Wzięła czterodniowy urlop. Wróciła do pracy dzień po aferze we Wrocławiu. Rzekomy powód urlopu: choroba. Nie przedstawiła jednak zaświadczenia lekarskiego.

Paul poczuł krew napływającą do skroni. Czyli przeczucie go nie myliło. A już gotów był się poddać. Teraz poznał imię kobiety, która włamała się do laboratorium.

- Juliette - wyszeptał.

- Ma pan jej adres? - wykrzyknęła żywo Kerry. - Może uda się ją przesłuchać?

- Znamy jedynie jej dotychczasowy adres - odparł Lebel ze sprytną miną.

- Co pan przez to rozumie?

- Piękna Juliette zaginęła bez śladu trzy tygodnie temu.

Kerry i Paul, nie zahaczając o dzielnicę Saint-Germain-des-Prés, gdzie zarezerwowano dla nich pokoje, pomknęli taksówką do Instytutu Pasteura.

Pochodzący z Kambodży kierowca raz po raz spoglądał w lusterko wsteczne, upierając się, że pokaże im Paryż. Przez całą drogę musieli odwozić go od tego pomysłu i w efekcie nie zdążyli wy-

mienić spostrzeżeń na temat rozmowy z Lebelem. Poprzedniego dnia Paul telefonicznie umówił się na spotkanie z profesorem Champem. Naukowiec miał czas. By nie ograniczać się do pytań logicznie pasujących do przykrywki, Paul postanowił wyjawić profesorowi swoją prawdziwą tożsamość. Decyzja ta pociągała za sobą ryzyko, że Champel odmówi współpracy z tajnymi służbami. Jeśli natomiast się zgodzi, ich spotkanie będzie o wiele bardziej owocne.

Wbrew obawom Paula, jego krępujące wyznanie nie zrobiło absolutnie żadnego wrażenia na starym profesorze. Było mu całkowicie obojętne, czy rozmawia z tajnym agentem, czy światłym prelegentem. Wydawał się natomiast oczarowany obecnością Kerry. Tym sposobem zdwoiła się liczba par uszu, do których wyszepcze tajemnice związane z jego ulubionym tematem. Tylko to się dla niego liczyło.

- Musimy koniecznie porozmawiać o pewnych szczegółach - zaczął Paul.

- Bardzo chętnie. Co konkretnie państwa interesuje?

- W czasie naszego pierwszego spotkania rozmawialiśmy o genetycznej trwałości przecinkowca cholery.

- Istotnie jest ona niezwykła.

- Czy jednak absolutna? Czy nie zaobserwowano dotąd pojawienia się zupełnie nowych szczepów tej bakterii?

- Przecież panu mówiłem, że od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku istnieje nowy typ przecinkowca. - Profesor zmarszczył brwi, jakby ganił niedouczonego studenta. - W przeciwieństwie do przecinkowców, które atakowały przez setki lat, nowy typ nie jest rozpoznawany przez zwykłą surowicę O1. Nazwaliśmy go 0139.

- Gdzie po raz pierwszy pojawił się nowy przecinkowiec?

- W Bangladeszu. Ofiarami epidemii, która wybuchła tam w dziewięćdziesiątym drugim, byli dorośli. Wydało się nam to dziwne, bo w krajach, gdzie cholera jest endemiczna, dorośli zwykle są na nią uodpornieni. Badając mikroba, odkryliśmy, że przeciwciała 01, czyli wytwarzane przeciwko klasycznemu przecinkowcowi, nie chronią przed nowym szczepem. Cholera spustoszyła więc kraj.

- Skąd według pana mógł się wziąć nowy przecinkowiec?
- Powstał wskutek wprowadzenia do klasycznego mikroba fragmentów materiału genetycznego licznych niepatogennych szczepów. Zapożyczenie to czyni bakterię trwalszą. Otoczona jest torebką, która chroni ją przed czynnikami zewnętrznymi oraz ułatwia zakażenie przez kontakt fizyczny. Pozwala jej ona również przedostać się do krwi. Zaobserwowaliśmy przypadek zakażenia septycznego, co nie zdarza się nigdy w przypadku zwyczajnej cholery.

- Panie profesorze - przerwała mu Kerry, wpatrując się uważnie w uczonego - czy może pan potwierdzić, że do mutacji doszło w sposób... naturalny?

- Podzielim pani zakłopotanie. Wydaje się, że to niewiarygodne, by mikroby pozostawały takie same przez wieki i nagle się zmieniły. Powiem uczciwie: niczego nie da się wykluczyć. Być może to naturalna modyfikacja, a być może... celowa.

- Przyjmijmy na chwilę, że bakterię zmodyfikowano celowo - powiedział Paul. - Czy może to być tylko pewien etap?

Profesor wyprostował się i spojrzał na Amerykanina zaskoczony.

- Co właściwie ma pan na myśli?

- Popuśćmy wodze wyobraźni. Czy realnie jest dalsze modyfikowanie przecinkowca i uczynienie go... jeszcze bardziej niebezpiecznym?

- Z całą pewnością można krzyżować go z materiałem genetycznym niepatogennych typów przecinkowca. Znamy ich obecnie ponad sto pięćdziesiąt. Każdy z nich ma swoją charakterystykę, rzekłbym nawet, zalety. Niektóre są bardzo zakaźne, inne przedostają się do krwi i powodują posocznice. Z bakteriami jest jak z hodowlą psów albo koni, można poprawiać rasę, wybierając konkretne właściwości.

- Czy to oznacza, że możliwe jest stworzenie megacholery?

- Na pewno da się uzyskać mikroba o większej odporności, bardziej patogennego. Nie sposób jednak odmienić go całkowicie. Nawet zmutowana cholera zawsze pozostanie chorobą biednych.

- Na jakiej podstawie tak pan sądzi?

- Zakażenie cholera związane jest i będzie z brakiem higieny. Dotyczy to wszystkich przecinkowców. Poza tym to choroba atakująca osobniki źle odżywione i słabe.

Paul siedział na brzegu krzesła. Intensywnie pracujący umysł i pragnienie odkrycia kolejnego tropu sprawiały, że łączywie chwycił słowa profesora.

- Czyli możemy przypuszczać, że dzięki szczepowi o nowej odporności ta sama choroba biednych stanie się bardziej zaraźliwa, spektakularna, częściej śmiertelna. Wystarczy połączyć zakażenie septyczne z chorobą trawienną i bakteria stanie się odporna na działanie środków odkażających i szczepionek?

- Przypadek z Bangladeszu podniesiony do dziesiątej potęgi?
- podchwyciła Kerry.

- Tak - potwierdził profesor. - Mogę to sobie wyobrazić. Nie rozumiem jednak, komu mogłoby zależeć na takim...

- Ile było ofiar tradycyjnych pandemii cholery?

- Ostatnia, szósta, zebrała żniwo kilkuset milionów ofiar w ciągu trzydziestu lat.

- Zmutowany przecinkowiec spowodowałby takie same śmiertelne skutki w o wiele krótszym czasie! Wystarczyłoby kilka miesięcy? A może nawet tygodni?

Paul wypowiedział ostatnie słowa z tak wielkim entuzjazmem, że stary profesor się zawahał. Podejrzliwie spojrzął na swych rozmówców. Zapadła niezręczna cisza.

- Hm - mruknął Paul, zdając sobie sprawę, że popełnił błąd

- bez wątplenia zaraził mnie pan swoją pasją dla tej szczególnej choroby.

- Cieszę się niezmiernie. - Champel przetarł okulary rogiem krawata. Założył je na nos i dodał surowym tonem: - Mam tylko nadzieję, że pańska pasja posłuży dobrej sprawie.

Po raz pierwszy okazał, że zaniepokoiły go prawdziwe intencje rozmówców. Paul postanowił natychmiast rozwiać wątpliwości naukowca.

- Niech pan posłucha, profesorze, mamy powody podejrzewać, że pewne, powiedzmy, terrorystyczne ugrupowania interesują się cholera ze względu na swe bardzo szczególne zamiary.

- Jedyna korzyść z jedenastego września jest taka, że dzień ten uzmysłowił nam realność najbardziej nieprawdopodobnych scenariuszy. - Profesor westchnął.

Pokiwał głową jak ktoś, kto potępia decyzję dalekiego krewnego o małżeństwie.

- Czy słyszał pan, żeby gdzieś prowadzono badania nad przecinkowcem cholery dla celów bioterroryzmu? Miał pan choćby niepotwierdzone pogłoski na ten temat?

- Nie. W czasach zimnej wojny krążyły takie pogłoski, bo cóż, wierzyło się tylko bogatemu. Podejrzewano Rosjan o prowadzenie eksperymentów naukowych nad wszelkiego rodzaju świństwami. Czasem wspomniano o cholery. Jednak o wiele częściej o ospie, dżumie albo chorobie Francisa. Nigdy oficjalnie nie potwierdzono tych plotek.

- A dziś? Czyż broń biologiczna nie jest przedmiotem prywatyzacji? Wszak mówi się, że każdy może za pomocą szybkowaru...

- To prawda, ale łatwo rozmnażające się hybrydy zmagistrowane przez amatorów to efekty dość prostych operacji, opierających się na dobrze nam znanych mikroorganizmach typu węglik czy jad kiełbasiany. Wspomniany przez was przykład cholery i genetycznej modyfikacji, która polega na skrzyżowaniu kilku gatunków przecinkowca, to proces złożony, możliwy do przeprowadzenia wyłącznie przez kompetentne zespoły w wyspecjalizowanych laboratoriach.

- Wspomniałem panu o laboratorium we Wrocławiu...

- Tak - przerwał mu Champel. - Zaintrygowało mnie to. Proszę sobie wyobrazić, że poszperałem w literaturze naukowej. Nigdy wcześniej nie słyszałem o polskim centrum badawczym. Z moich informacji wynika, że prowadzą badania podstawowe, podczas gdy ja pracuję w zakresie zastosowań. Muszę jednak przyznać, że ich praca jest na bardzo wysokim poziomie.

- Czym dokładnie się zajmują?

- Zanalizowali genetyczne właściwości przecinkowca typu 0139. Wskazali genetyczną sekwencję, która odpowiada za wytworzenie się torebki, oraz zbadali, u których innych przecinkowców sekwencja ta występuje.

- Innymi słowy wiedzą wszystko, co jest konieczne do „ulepszenia” cholery.

- Sądzi pan, że... - zawołał profesor. - Ależ to wciąż pozosta je dziedziną badań podstawowych... ich wyniki publikowane są w międzynarodowych czasopiśmie.

Czuło się, że kontrargumenty profesora są szczerze, ale jednocześnie jego głos zdradzał wątpliwości.

Paul i Kerry poprosili go o dyskrecję ze względu na wczesne stadium, w jakim znajdowało się dochodzenie. Champel przyrzekł milczenie. Obiecali, że poinformują go o wynikach śledztwa.

- Ostatnie pytanie, profesorze. - Paul zatrzymał się w drzwiach. - W regionie Wielkich Jezior Afrykańskich cholera jest endemiczna, prawda?

- Rzeczywiście.

- Czy jednak półtora roku temu, w czasie zamieszek politycznych, nie nastąpiło nasilenie epidemii? Wydaje mi się, że gdzieś o tym czytałem.

- Tak, pojechałem tam w celach badawczych.

- Czy może mi pan zdradzić, kto opiekował się chorymi?

- W tamtym regionie nie istnieją obecnie żadne struktury opieki zdrowotnej. Państwo jest w stanie totalnego rozkładu. Gdyby nie organizacje pozarządowe, nie dałoby się pomóc nieszczęśnikom.

- Które to organizacje?

- Gdy tam przebywałem, najaktywniejsi w strefie byli Lekarze Bez Granic.

Organizacja, w której pracował jeden z członków grupy Harrowa...

Paul i Kerry spojrzeli po sobie. Wiedzieli już, skąd pochodził „zwyczajny” szczep, którym posłużono się na Zielonym Przylądku. Profesor potwierdził też ich przypuszczenia co do charakteru badań prowadzonych we Wrocławiu. Przerosło to ich oczekiwania. Musieli wracać do hotelu.

Mieli tylko nadzieję, że Jonathan będzie na tyle miły, by spokojnie poczekać, aż odeśpią różnicę czasu.

VI

Lyon, Francja

Wszyscy są zgodni co do tego, że ulice zabytkowej części Lyonu mają niepowtarzalny charakter. Władze miasta również zdają sobie z tego sprawę i podjęły decyzję o odrestaurowaniu ich centymetr po centymetrze, dzięki czemu sędziwe ulice są w świetnej formie. Tłumy gapiów snują się po zaułkach starego miasta jak trucizna po nieutleniających się przewodach.

Z okna swego pokoju Jonathan widział stromą uliczkę z bezużytecznym już rynsztokiem wyżłobionym na środku oraz średniowiecznymi kramami przekształconymi w kafejki internetowe i antykwariaty. Nieco dalej ponad romańskimi dachami wznosiła się wieża dzwonnicy kościoła Świętego Pawła. Jonathan lubił obserwować ulicę z okna. Zajęcie to działało na niego uspokajająco. Czasem, gdy wypalił za dużo, widok stawał się tłem fantastycznych scenariuszy: wyobrażał sobie na przykład pluton policjantów wślizgujących się po tramboulach* i otaczających dom. Przyczajony w swoim gołębniku Jonathan, śmiejąc się szyderczo, strzelał do nich jak do zajęcy. Jednak w tej chwili jego myśli krążyły z dala od ulubionych scenek.

Ulica była niemal pusta. Pojedyncze pary, które wynurzyły się przed chwilą z szynków, mając przed sobą perspektywę miłosnej nocy, przechadzały się z nadzieją, że strawienie kielbasy i czosnku nie zajmie im dużo czasu. Jonathan nie zauważył nic podejrzanego. Ani śladu obserwatora ukrywającego się w cieniu bramy wjazdowej, chociaż telefon w niedzielne popołudnie wydał mu się dziwny...

Od fr. *tmboule* - typowe dla starej części Lyonu średniowieczne pasaże łączące sąsiednie ulice.

Amerykanka powiedziała, że ma na imię Ruth. Twierdziła, że spotkali się w One Earth. Podróżowała po Europie i ostatnim etapem wędrówki po Francji był Lyon, gdzie zamierzała zatrzymać się na dwa dni. Czowała się niezręcznie, prosząc Jonathana o pomoc, ale cóż, była splukana. Gdyby miał możliwość przenocowania jej przez noc lub dwie... Jej głos uroczo drżał. Powiedziała nawet, że wystarczy jej zwykły fotel, co porządnie ubawiło Jonathana. Intuicja podpowiadała mu jednak ostrożność. Nie pamiętał żadnej Ruth, ale to nic nie znaczyło. Chciał kiedyś sporządzić listę wszystkich dziewcząt, które poderwał. Zadanie okazało się niewykonalne... Czemu miałby sobie odmówić takiej okazji? Jeśli reszta jest równie obiecująca jak jej miły głos... Zaproponował spotkanie w kawiarni przy ulicy Republiki. Powiedziała, że prościej dla niej będzie, jeśli przyjdzie bezpośrednio do niego. Miała duży bagaż. Jonathan zeszywniał. To już było co najmniej podejrzane: skąd znała jego adres? Podawał go rzadko, a już na pewno nie zostawił go nikomu z One Earth. Zapytał, skąd go miała. Odparła, że to seria przypadków. Opowie mu, jak się zobaczą...

Jonathan czuł pożądanie. Głos nieznajomej podniecał go. W zeszłym tygodniu wpadł w pułapkę własnych kłamstw, które przez jakiś czas pozwoliły mu spotykać się z trzema dziewczynami naraz. Nie wiedział, jak to się stało, lecz wszystkie trzy zemściły się na nim jednocześnie. Chude lata. Jonathan był na głodzie.

- Za ile będziesz?
- Za godzinę. Pasuje ci?

Rzucił okiem na swoje dwupokojowe mieszkanie: zlew pełen brudnych naczyń, porzrzucone skarpety, puszki po piwie Buck wały się po parkiecie. Potrzebował trzydziestu minut, by posprzątać.

- W porządku. Będziesz po kolacji?

Było już wpół do ósmej.

- Nie przejmuj się mną.

Dziewczyna była w radosnym nastroju. To trochę uspokoiło Jonathana. Natychmiast zabrał się do roboty. W dwadzieścia minut doprowadził mieszkanie do jako takiego wyglądu. Fachowym okiem ocenił celowo zaaranżowany bałagan. Dodawał mu cech zbuntowanego artysty i człowieka z marginesu.

Stał teraz i czekał, obserwując pomarańczowe światła latarni odbijające się na fasadach kamienic. Znowu ogarnął go niepokój. Jakiś facet szedł ulicą, ciągnąc za sobą psa na smyczy. Biedna bestia obwąchiwała wszystko. Miejskie służby porządkowe dwa razy dziennie zlewające ulice wodą nie zostawiały zbyt wielu interesujących zapachów.

Nagle Jonathan znieruchomiał. Zobaczył ją. Wyszła zza zakrętu ulicy Ferronnerie i stała na skrzyżowaniu, rozglądając się w prawo i lewo, zdezorientowana jak wszyscy turyści. Potem odważnie zaczęła wspinać się ulicą, pomimo olbrzymiego plecaka i dwóch płóciennych toreb na skórzanych paskach. Ze swojej kryjówki Jonathan nie mógł dojrzeć jej twarzy, zwłaszcza że przysłaniała ją dzinsowa plażowa czapka. Spodobała mu się jednak sportowa sylwetka dziewczyny: pod szerokimi podróżnymi spodniami jej nogi w górskich buciorach wydawały się szczupłe i obiecujące. Stanął w rogu pokoju najbardziej oddalonym od drzwi. Gdy Ruth zapuka, podejdzie do drzwi wolnym i niezdradzającym zniecierpliwienia krokiem. Cóż, była *to* cena jego ujmującej swobody, cena, jaką płacił za szarmancki luz.

Miał czas, gdyż Amerykanka musiała jeszcze wdrapać się na piąte piętro. Kamienne spiralne schody wybudowano w siedemnastowiecznej przepięknej wieżycze sklasyfikowanej jako zabytek historyczny. Mieszkanie, mimo że położone było w jednej z najdroższych dzielnic miasta, znajdowało się na piątym piętrze bez windy. Jonathan zadbał o ten szczegół, gdy rodzice mu je kupowali. W ten sposób niewątpliwie burżuazyjny charakter miejsca niwelowany był przez wysiłek, jakiego wymagało dotarcie do mieszkania. Dzięki temu również mniej zaskakiwały plakaty Che Guevary czy alterglobalistycznego szczytu w Durbanie, oraz wiele innych atrybutów ekologicznej kontrkultury znajdujących się w podniebnym gołębniku. Mimo to cena za metr kwadratowy na tej wysokości pozostawała tak samo wysoka, jak na tak zwanych szlacheckich piętrach.

Nareszcie rozległo się pukanie. Zgodnie z planem, Jonathan nieśpiesznie podszedł do drzwi i otworzył je. Znieruchomiał na widok stojącej na progu, trochę zdyszanej dziewczyny. Zdjęła brzydką czapkę, uwalniając burzę kręconych i nieprawdopodobnie zmy-

słowych włosów. Wbrew temu, co wyobraził sobie na podstawie rozmowy telefonicznej, Ruth była już po trzydziestce i tchnęła dojrzałą i wciąż świeżą kobiecością. Jonathan uwielbiał starsze od siebie kobiety. Lubił je uwodzić, posiadać, a nade wszystko porzucać. Z doświadczenia wiedział, że zrywanie z kobietami spełnionymi życiowo popychało je na skraj poniżenia i błagalnych zaklęć. Nic nie dawało mu większej satysfakcji. Teraz z dużym wysiłkiem powstrzymał się od okazania entuzjazmu i zachował zblazowany i znudzony wyraz twarzy, który, jak mawiały jego wielbicielki, dodawał mu nieodpartego uroku. Ruth pocałowała go w oba policzki. Jak większość dziewcząt, które poznał w One Earth, nie była umalowana i pachniała migdałami.

Postawiła plecak koło drzwi i weszła do pokoju. Pod spadzistym dachem dwie japońskie kanapy ustawione były w literę L wokół kilimu w jesiennych barwach.

Jonathan miał teraz pewność, że nie była jedną z jego dawnych dziewczyn. Nie zapomniałby jej. Jednak możliwe, że zetknęli się w One Earth. W końcu po siedzibie organizacji przewijały się tłumy. Schlebiało mu, że go zapamiętała.

- Napijesz się kawy?
- Raczej herbaty. Dzięki.

Jonathan zniknął w maleńkiej kuchni bez okna. Wywrócił ją do góry nogami, by dokopać się do torebek Liptona. Tymczasem dziewczyna rozglądała się po mieszkaniu.

- Mogę zwiedzić? - zapytała. - Tak tu ślicznie.

Mówiąc to, dyskretnie i sprawnie odłączyła telefon stacjonarny, którego kabel zlokalizowała w pierwszej kolejności.

- Czuj się jak u siebie w domu - Jonathan starał się przekrzyć cześć hałas wody szumiącej w czajniku elektrycznym.

Weszła do sypialni i upewniła się, że nie było w niej drugiego aparatu telefonicznego. Wróciła do salonu, gdzie Jonathan właśnie przyniósł plecioną bambusową tacę z dwoma kamionkowymi filiżankami i czerwonym czajnikiem.

- Rozgość się, Ruth - wskazał jej miejsce obok siebie na kanapie. - Tak masz na imię, prawda?

- Właśnie tak - odparła z uśmiechem. Nadal stała. - Przepraszam cię, muszę zażyć lekarstwo.

Zniknęła na chwilę w korytarzu, gdzie zostawiła bagaże, i od tej chwili wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zamiast pochylić się nad plecakiem, Kerry szybko otworzyła drzwi wejściowe. Paul czekał już na klatce schodowej. Wpadł z impetem do salonu i stanął przed kanapą. W tym samym czasie Kerry zamknęła drzwi i wyjęła z torby flashballa*.

Jonathan zajęty był nalewaniem herbaty i dostrzegł mężczyznę w ostatniej chwili, gdy ten nad nim stanął.

- Podnieś się powoli - rozkazał Paul.

Młody Francuz wpadł w panikę, pobladł i wypuścił filiżankę z trzęsących się dłońmi. Tępo wpatrywał się w gorący płyn wsiąkający w sploty dywanu. Strach spowodował tak silne odrętwienie mięśni jego szyi i pleców, że z trudem się podniósł. Paul go przeszukał.

Lekarz dotykający ciała pacjenta szuka anomalii w jego wnętrzu, podczas gdy przeszukiwanie dla bezpieczeństwa skupia się głównie na powierzchni ciała. Niemniej jednak wciąż są to dwie siostrzane czynności i Paul uśmiechnął się na myśl o niespodziewanej bliskości obu zawodów.

W kieszeni spodni Jonathana znalazł telefon komórkowy, wyjął z niego baterię i rzucił aparat w kąt pokoju. Gdy pozwolił chłopakowi usiąść, ten bezwładnie zwałił się na kanapę, jak epileptyk upadający na podłogę w chwili ataku.

- Czego pan chce? - wydusił z trudem.

- Porozmawiać.

- O czym?

Paul uśmiechnął się i spokojnie poszedł po ośmiokątny wiklinowy taboret. Zdjął leżące na nim rzeczy i usiadł naprzeciwko Jonathana.

- Rozluźnij się, nie zrobię ci nic złego.

Tak mniej więcej zwracał się do swoich pacjentów po lekarskich oględzinach i wywiadzie. Wizyta jeszcze się nie skończyła.

- Co to za metody? - wymruczał pod nosem Jonathan.

Spokój nieznajomego dodał mu pewności siebie. Wyprostował się na kanapie i rzucił wrogie spojrzenie w stronę Kerry.

Flashball: broń na gumowe kule, przypominająca pistolet.

- A tak w ogóle ma pan pozwolenie, żeby wchodzić do ludzi tak po prostu? Jest pan gliną? Chcę zobaczyć odznakę służbową albo legitymację.

- Powiedzmy, że jestem lekarzem i przyszedłem sprawdzić, co z tobą nie tak.

Jonathan wzruszył ramionami, chociaż zarówno twardy ton, jak i stanowczość rozmówcy kazały mu traktować jego słowa poważnie.

- W Stanach Zjednoczonych należałeś do grupy One Earth - zaczął Paul.

- I co z tego? Przecież to nie przestępstwo.

- Dlaczego wróciłeś do Francji?

- Bo mój staż dobiegł końca. Jesteście z FBI?

Jonathan przyjrzał się rozmówcom. Po akcencie starał się rozpoznać, z którego regionu pochodzi Paul. Za wszelką cenę chciał dowiedzieć się, o co mu szło. Nie po to, by dodać sobie otuchy, lecz by spróbować go oczarować i ewentualnie onieśmielić, wspominając o koneksjach, jakie ma jego rodzina.

- Chcielibyśmy, żebyś opowiedział nam o Tedzie Harrowie.

- Nie znam.

- Nowi Drapieżcy?

- Też nie.

Dawniej, jako agent CIA, Paul przeprowadzał przesłuchania w inny sposób. Natychmiast „ustawiał” osobnika, nawet gdy oznaczało to działanie wbrew przepisom; nie wahał się przed wymierzeniem kilku precyzyjnych ciosów. Po drodze jednak studiował medycynę i pod wpływem tego doświadczenia zmienił metody. Nauczył się, że przystępując do badania brzucha, należy zacząć od obmacania najmniej bolesnych okolic, a w przypadku gwałtownej reakcji pacjenta zająć się innymi częściami ciała, by na końcu niepostrzeżenie powrócić do wrażliwego miejsca.

- Jesteś w kontakcie z kimś w Seattle?

- Nie.

- Dlaczego po powrocie do Francji zapisałeś się do organizacji Greenworld?

- By kontynuować walkę. Wierzyć w coś to dla was takie dziwne?

Jonathan siedział teraz normalnie. Zrobił nawet wysiłek, by całkowicie się wyprostować. Jasny i wiotki kosmyk włosów opadał mu na czoło niczym koguci grzebień. Arogancją starał się zatuszować wstyd z powodu okazanej przed chwilą słabości.

- Gdzie jest Juliette? - zapytał Paul.

Jonathan nie spodziewał się tak bezpośredniego pytania. Zamrugał.

- Jaka Juliette?

Kerry oparta o framugę drzwi przestąpiła z nogi na nogę i przełożyła broń do drugiej ręki. Jonathan automatycznie odwrócił się w jej stronę. Albo źle zinterpretował jej gest, albo właśnie zdał sobie sprawę z nedorzeczności własnych kłamstw. Wcisnął się w kanapę z przestraszonym spojrzeniem.

- Nie wiem, gdzie jest Juliette - powiedział. - Może siedzi w swojej dziurze. Nie sprawdziliście tego?

Był to głupi argument i Jonathan wiedział o tym. Paul westchnął i zdecydował się użyć broni, którą zdobył dzięki znajomościom Lebela. Był to sposób nie tyle na onieśmienie chłopaka, ile danie mu realnego powodu do wyjawienia całej prawdy.

- Widziałeś się już z Pepe Guzmanem?

Usłyszawszy to pytanie, Jonathan otworzył usta i zaczął się trząść. Złapał srebrną obrączkę, która tkwiła na jego palcu serdecznym, i wymamrotał coś, niczym penitent wymawiający rytualne formuły.

- Wiesz, że wypuszczają go w tym roku?

Paul zrobił pauzę, dając Jonatanowi czas na zagubienie się w domysłach, z których jeden był bardziej przerażający od drugiego. Potem gwałtownie potrząsał Francuzem, by oszczędzić mu młodości.

- Nie martw się, nie przychodzimy w jego imieniu.

- Dlaczego więc pan o nim mówi?

- Żebyś znał ryzyko. Skoro nam udało się ciebie odnaleźć, twój dawny kolumbijski wspólnik też nie będzie miał z tym kłopotu. Zwłaszcza jeśli ktoś mu da kilka wskazówek.

Wymienili długie, znaczące spojrzenie. Paul postarał się włożyć w nie całe serdeczne współczucie lekarza, który z przykrością proponuje pacjentowi bolesne, ale skuteczne leczenie.

- Może więc wszystko nam opowiesz?
- Co chcecie wiedzieć? - Jonathan dał za wygraną, rozluźniając naprężone ramiona.

Nie miał zbyt wiele do powiedzenia na temat Harrowa. Należał do grupy jego zaufanych współpracowników, jednak na swój zdystansowany sposób: dyskretnie, entuzjastycznie, lecz ostrożnie.

- Co takiego podoba ci się w Harrowie? Czemu przyłączyłeś się do niego?

Jonathan przyglądał się przez chwilę swojej obrączce. Nadal bawił się nią, lecz teraz bardziej kokieteryjnie kontemlował węża oplatającego srebrną blaszkę. Nie podobało mu się, że jest przesłuchiwany, chciał jednak wydać się interesujący, skoro i tak już go pokonano.

- Do ekologów - odezwał się wreszcie - dołączyłem trochę przez przypadek. Nadal uważam ich za bandę lewusów. Harrow to co innego. Nazywa rzeczy po imieniu i nie rzuca słów na wiatr.

Mówił o Harrowie jak o wielkim sportowcu.

- Znasz jego plan?
- Znam jego poglądy.
- A bardziej precyzyjnie?
- Bardziej precyzyjnie w jakiej kwestii? Nie rozumiem, czego się spodziewacie.

Zerknął ukradkiem na Paula, chcąc sprawdzić, czy uwierzył.

- Harrow nie zlecił ci żadnej misji, gdy wracałeś do Francji?
- Chciał się ze mną zobaczyć, zanim wyjadę.
- W One Earth?
- Nie, w tamtym czasie nie przekraczał już progu siedziby.
- Zaprosił cię do siebie?
- Nikt nigdy u niego nie był. Umówił się ze mną w tylnej sali kawiarni Starbucks w Seattle. Okropnie głośnie miejsce, szczególnie że siedzieliśmy przy stoliku tuż przy wahadłowych drzwiach kuchennych. Harrow ma niski głos, więc ledwo słyszałem, co

mówił. - Paul uniósł brwi. - Przysięgam panu, że to prawda. Zrozumiałem przesłanie.

- Co to było?
- Chciał, abym był wtyczką w Europie.
- W jakim celu?
- Na wszelki wypadek.
- W celu zrealizowania jego planu.
- Chciał kontaktów, to wszystko.
- Z podobną organizacją.
- Harrow nie lubi organizacji. Uważa je za zbieraniny tchórzliwych niedołęgów.

Mówiąc to, Jonathan jeszcze bardziej wyprostował się, by przypadkiem nie pomyłono go z pogardzanym gatunkiem cykorów.

- A jednak po powrocie zapisałeś się do Greenworldu.
- Nie miałem złudzeń co do samego stowarzyszenia. Ale przecież gdzieś trzeba szukać ludzi z motywacją.
- Tak naprawdę twoim zadaniem było rekrutowanie działaczy zawiedzionych klasyczną ekologią.
- Można to tak nazwać.
- Tam spotkałeś Juliette?
- Tak.

Kolejny niespokojny ruch powiek.

- Nie chodzi mi o wasze relacje - dorzucił Paul. - Chcę wiedzieć, co takiego kazałeś jej zrobić *dla Harrowa*.
- Nic.

Paul westchnął. Chwycił brzeg taboretu i przysunął się do karnapy.

- Mówimy o Wrocławiu, żeby było jasne.
- O czym?

Od początku przesłuchania Paul nie przestał myśleć o Juliette. Kiedy patrzył na chłopaka, którego znała i prawdopodobnie kiedyś kochała, na pokój, gdzie spędziła z nim niejedną noc, jej obraz nabierał coraz bardziej wyraźnych kształtów, jak puzzle, do których Paul dołożył kolejny fragment. Uczucie satysfakcji w dziwny sposób mieszało się z zazdrością o Jonathana. Wprawdzie Paul nie miał pojęcia, co to za dziewczyna, jednak przeczuwał, że jest więcej warta niż bogaty, strachliwy i gnuśny smarkacz.

- Słuchaj - powiedział, pochylając się w stronę Joanthana. - W Lyonie jest sporo do zobaczenia, więc ani ja, ani moja przyjaciółka nie mamy ochoty użerać się z tobą. Przypuszczam, że ty także nie masz na to ochoty. Streszczę ci zatem wydarzenia i przejdziemy do spraw bieżących. Twoja dziewczyna Juliette włamała się do laboratorium w centrum badawczym we Wrocławiu. Zgadza się czy nie?

- Zgadza się.

- Ty ją tam wysłałeś?

Jonathan skinął głową. Zrozumiał, że Paul nie był gliną, co o dziwo ułatwiało mu składanie zeznań. Najważniejsze, że nie zostanie oskarżony o współudział. Jedyne, czego się mógł obawiać, to jego gniew.

- Taa - mruknął pod nosem. - To ja ją tam wysłałem.

- Sam nie pojechałeś?

- Nie.

- Wcześniej też nie?

- Nigdy.

- Czyli ktoś dał ci plan budynku. Wskazano ci trasę, a ty przekazałeś informacje Juliette.

- Tak.

- Od kogo miałeś informacje? Od Harrowa?

- Powiedziałem panu, że od wyjazdu ze Stanów nie widziałem się z nim.

- Ale byłeś z nim w kontakcie.

- Nie z nim.

Na twarzy Jonathana pojawił się znowu grymas. Jak najszybciej ominąć bolesną strefę. Powrócić do niej później. Paul spróbował podejść go z innej strony.

- Na czym dokładnie polegała misja Juliette?

- Wyzwolić torturowane zwierzęta. Biedne koty z elektrodami powtykanymi w głowę, myszy przekształcone w potwory. Małpy...

- Oszczędź mi tego, bardzo cię proszę. Chcemy wiedzieć, co *ponadto* miała zrobić?

Podobnie jak wcześniej, Jonathan ukradkiem przyjrzał się Paulowi, by sprawdzić, czy warto blefować. Amerykanin jednak nie

tracił czujności i trudno było odgadnąć, ile wiedział. Spróbował ominąć przeszkodę...

- Ponadto? Nie bardzo rozumiem...

Siarczysty policzek dosięgnął go, zanim zdążył zrobić unik. Leżał teraz na lewym boku z krwawiącą wargą. Sparaliżowanemu strachem Jonathanowi wydało się, że Paul wcale się nie poruszył. Ból nie miał takiego znaczenia. Ogarnęła go archaiczna panika, ukryta w naj intymniej szych zakątkach jego duszy i zrodzona w zamierzchłych chwilach dzieciństwa, pokrewna niekontrolowanej fobii.

- Fiolkę - wycedził, trzymając się za szczękę.

- Skąd miała ją zabrać?

- Z szafy chłodzącej.

- Fiolka zawierała...

- Nie wiem - ryknął Jonathan.

Jego oczy miotały gromy, dolna warga zwiślała bezwładnie, pazurek darły krwawiącą kącik warg. Był to krzyk pilota latającego balonu, który zrzucił ostatni worek piasku, nie pozostało mu nic innego niż on sam, a czuje, że balon za chwilę rozbije się o ziemię. Paul uwierzył mu i łaskawie dostarczył mu trochę balastu do wyrzucenia za burtę.

- Gdzie pojechała Juliette?

- Do Stanów Zjednoczonych.

Skazany na tortury Jonathan zrezygnował z kłamstw i nie miał odwagi na wymyślanie kolejnych. Łkał teraz cichutko.

- Masz jej adres?

Zalewając się łzami, chłopak potrząsnął głową. Paul czuł, że Jonathan osiągnął stadium szczerości adekwatne do wagi przestępstwa.

- Kto jest pośrednikiem między tobą a Harrowem?

Nie pokazując tego zbytnio po sobie, Paul rozluźnił się. Jonathan spostrzegł to jednak dzięki wyczulonej wrażliwości i intuicji, która dotąd zawsze pomagała mu unikać przemocy. Doszedł do wniosku, że najgorsze już za nim i że przesłuchanie niedługo się skończy. Mógł więc z łatwością wymknąć się z pułapki, w którą dał się złapać. Od straszliwych konsekwencji dzieliło go jedno słowo. Wciąż pociągając nosem i stękając, zaczął intensywnie

myśleć. Chciał zyskać na czasie. W końcu wskazał mały segregator w metalowej okładce.

- Proszę tam poszukać.

Paul otworzył segregator. Uporządkowane dokumenty oddzielone były od siebie kawałkami kartonu.

- Pierwszy od lewej.

Paul wyjął cienką błękitną plastikową koszulkę i wręczył ją Jonathanowi.

- Nie znam adresu na pamięć. Jest tu zapisany.

Wyciągnął dwie spięte zszywaczem kartki i podał je Paulowi.

Na

pierwszej było napisane „Reguły baseballu”, w rogu zaś widniało nabazgrane nazwisko, adres pocztowy i elektroniczny. Paul złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

- Przepraszamy za kłopot.

Wstał i podszedł do Kerry stojącej wciąż w korytarzu. Po chwili już ich nie było.

Jonathan przez dłuższą chwilę nieruchomo trwał w półcieniu, z głową w dłoniach. Następnie włożył baterię do telefonu i pozwolił wybrać numer, którego kiedyś nauczył się na pamięć.

VII

Turyń, Włochy

Michał Gorbaczow, generał Jaruzelski, Benazir Bhutto, Giulio Andreotti i John Major siedzieli spokojnie przy stole. Można by pomyśleć, że to figury woskowe, włoska wersja muzeum Grevin gdyby nie jeden szczegół: osobistości te poruszały się. Od czasu do czasu któraś mrugała powiekami, niczym jaszczurka, albo dyskretnie pochylała się do sąsiada, by wyszeptać mu coś na ucho. Lakierowany blat długiego stołu konferencyjnego pokrywały papiery, na każdym z nich widniało logo „Fundacji dla Pokoju”.

Tylko emerytowani przywódcy polityczni mogą rozprawiać o pokoju, pomyślał Paul z ironią. Szkoda, że nie zajęli się tym tematem wcześniej...

Siedział w drugim rzędzie za obradującymi politykami. Kątem oka dostrzegł, że Kerry ziewa. Konferencja odbywała się w Turyń, czyli mieście, które Archie, ze swą ogólną wiedzą o geografii, uznał za położone w okolicach Lyonu. Archie zapomniał jedynie, że bezpośrednie połączenie kolejowe pomiędzy miastami było dopiero budowane. Dotarcie do Turyngu zajęło Paulowi i Kerry sześć godzin.

Archie tak wszystko zorganizował, by zostali dopuszczeni do zamkniętego koła świadków tego show, choć mógł spotkać się z nimi spokojnie wieczorem w restauracji. Nie był jednak w stanie odmówić sobie przyjemności przybycia w towarzystwie dwóch widzów, którzy poświadczą w Providence, iż zaiste miał zaszczyt zasiadać w szacownym gronie dawnych tuzów polityki światowej.

Zajmował miejsce obok brytyjskiego parlamentarzysty, który równie dobrze mógłby reklamować luksusową markę ubrań lub whisky. Odcień jedwabnej chustki wetkniętej do kieszonki ma-

rynarki deputowanego harmonizował z sinoczerwonym kolorem jego nosa, który szpeciły cieniutkie żyłki. Zmęczone oczy zdradzały wieloletnie przyzwyczajenie do komfortu, wyścigów konnych i zdrad. Z pełną powagą aprobatą raz po raz kiwał głową, gdy Archie naświetlał znaczenie „Prywatnych instytucji i ich wkładu w proces pokojowy”.

Zachęcony elegancką obecnością sąsiada Archie wzmocnił swój brytyjski akcent i zwiększył ilość onomatopei oraz pochrząkiwań typu „hum”, „well” i „indeed”, które przekształciły jego wystąpienie w skoszony i dobrze wydeptany trawnik. Zebrani nie omieszkałi podeptać go, szepcząc bezwstydnie i nie obdarzając go ani żdźbłem uwagi.

Gorbaczow nie zadał sobie nawet trudu, by spojrzeć na prelegenta. Gdy Archie skończył, Rosjanin machinalnie zaklaskał, nie przerywając rozmowy z sąsiadem.

Zaraz potem ogłoszono przerwę. Kerry i Paul, czekając, aż Archie przyjmie gratulacje, zeszli do holu. Miał on kształt gigantycznego szklanego i supernowoczesnego sześcianu wspartego na pajęczej konstrukcji z polerowanej stali. Wnętrze wypełniały tropikalne rośliny, przez co znajdujące się powyżej szyby były pokryte kropelkami pary. Wśród zebranych migały młode kobiety o zachwycającej urodzie oraz piękni chłopcy w okularach. Ściskali w rękach teczki pełne dokumentów. Były to typowe gwiazdki polityki i asystenci wszelkiej maści, którzy nieustannie krążyli wokół upadłych, lecz czasem wciąż potężnych ludzi. Pośród nich, w strategicznych miejscach przy windach i wyjściu stali na czatach ochroniarze, wsłuchani w niebiańskie głosy przemawiające do nich przez małe słuchawki. Wszystko to działo się we Włoszech, więc czarne okulary przeciwsłoneczne obstawy nosiły symbole największych projektantów mody, a granatowe garnitury były doskonale skrojone.

Po półgodzinie Archie wyostał się z małego kręgu tych, którzy go bynajmniej nie zatrzymywali. Przyglądał dłońią skromną czuprynę i dołączył do swoich gości. Twarzą do Paula usadowił się obok Kerry na czerwonej kanapie o szlachetnych kształtach.

- Cóż za ścisk! - zaczął, pokasłując dyskretnie.

Kerry nigdy nie darzyła Archiego szacunkiem. Nie rozśmieszał jej wcale, a jego maniery wobec kobiet wręcz ją drażniły. Mimo to jej bardzo agresywny ton zdziwił Paula.

- Co ma znaczyć ta konferencja?

- Najdoskonalsza operacja prania pieniędzy, jaką kiedykolwiek było mi dane obserwować. Międzynarodowa fundacja zrzeszająca najwyższej klasy śmietankę. Mafia płaci za wszystko. Dyryguje Kościół katolicki. Wiecie, że właśnie nawracają Gorbaczowa? Od śmierci żony robi się z niego bigot.

- Kto na tym wszystkim korzysta?

- Nie mam pojęcia, ale to bez znaczenia. Wszyscy są zadowoleni. Przez dwa dni traktuje się nas jak królów. Jutro rozjedziemy się, a w przyszłym roku spotkamy się w Wenecji, o ile się nie mylę.

Przed wejściem do hotelu długa kolumna czarnych alfa romeo przywoziła ważne osobistości i zabierała inne.

- Wiedzieliście, że kiedyś mieściła się tu fabryka Fiata? Prze kształcili budynek w centrum biznesu i konferencji. Ależ ci Włosi mają gust!

W prywatnej hierarchii Archiego, po honorach, jakie przyznawał Anglikom i ich pochodnym, wyróżniał ludy romańskie w kilku druzgórnych dziedzinach, takich jak kuchnia, wystrój i miłość.

- Nie chcę być niedyskretny, Archie, ale co pan tu robi? Od kiedy jest pan specjalistą od spraw pokoju?

Pytanie to zdawało się urazić Archiego.

- Jak to? Nie wie pan, że jestem honorowym prezesem ważnej pozarządowej organizacji humanitarnej?

- Pan!

- Owszem, ja. Dlaczego to pana dziwi? Bracia Ludzkości to wspinała organizacja. Finansują stowarzyszenie wdów w Liberii, projekty na rzecz sierot w Peru... albo w Ekwadorze. Ale mniejsza z tym, nie zajmuję się detalami. - Widząc drwiący uśmiezek rozmówców, Archie zmienił temat. - Najważniejsze, że pozwala mi to nawiązać interesujące znajomości. To błogosławieństwo dla Providence... No dobrze, przejdźmy do naszych spraw.

Tutaj?

Hol był otwartą, dużą przestrzenią. Grupki prelegentów lub gości siedziały kilka metrów dalej na sąsiednich kanapach.

- Rozmowa w tym miejscu nie niesie żadnego ryzyka - odparł Archie. - Nikomu z tu obecnych nie przysłoby do głowy pod słuchiwać.

I tego zapewne żałują ci wszyscy *dawni*, pomyślał Paul.

- Mam wam do powiedzenia coś bardzo istotnego. Dlatego tak pilnie chciałem spotkać się z wami. Podjąłem ważną decyzję.

- W związku z naszym śledztwem?

- Otóż to.

- Wobec tego - przerwała Kerry - może powinniśmy streścić panu wstępne rezultaty naszych działań?

- To zbędne! Providence regularnie informowała mnie o każdym waszym kroku. Nie musimy do tego wracać.

- Od wczoraj mamy kilka nowości - nalegała Kerry. - Na pewno pan o nich nie wie, gdyż nie zdążyliśmy zdać raportu kolegom z agencji.

- Chodzi o francuskiego studenta - zawtórował jej Paul. - Widzieliśmy się z nim. W Lyonie. Jest brakującym ogniwem pomiędzy amerykańską grupą a polskim laboratorium. Dziewczyna, którą poinstruował, co zrobić we Wrocławiu, jest aktualnie w Stanach Zjednoczonych.

- Potwierdził też, że celem włamania była kradzież próbki laboratoryjnej, a nie wyzwolenie psów i kotów.

Archie odegnał ich argumenty szerokim gestem dłoni.

- Wspaniale. To tylko potwierdza wasze dotychczasowe hipotezy. Osobiście nie miałem wątpliwości co do waszej intuicji. Wykonaliście kawał świetnej roboty. Gratuluję. Tak, dla mnie cappuccino.

Kelner albańskiego pochodzenia zmęczonym uśmiechem potwierdził przyjęcie zamówienia i powłókł się do sąsiedniej grupki gości.

- Zamknęliście sprawę w niecałe trzy tygodnie. Jestem pełen podziwu.

- Jak to: zamknęliśmy?

Pierwsza zareagowała Kerry. Być może dlatego, że w towarzystwie Archiego zawsze miała się na baczności.

- Potwierdziliście przypuszczenia Brytyjczyków - ciągnął Archie. - Faktycznie to amerykańska grupa dokonała kradzieży.

Mamy do czynienia z fanatykami najgorszego rodzaju, którzy z powodów równie abstrakcyjnych co śmiesznych postanowili załatwić bliźnich.

Starszy mężczyzna wziął do ręki filizankę, którą wręczył mu kelner, i postawił ją przed sobą na stole, wylewając na talerzyk spieniony płyn, przyprószony kakao.

- Naszym obowiązkiem jest bezzwłocznie oddać sprawę w ręce amerykańskich służb federalnych - podsumował.

Kerry i Paul spojrzeli po sobie. Oboje byli zaskoczeni i obrażeni.

- Oddać sprawę? Nie zakończyliśmy jeszcze śledztwa!

Paul zrozumiał, dlaczego Archie wolał usiąść obok Kerry; nie zniosłby spojrzeń jej zielonych i błyszczących wściekłością oczu.

- To nowe reguły gry. - Westchnął i złożył ręce, upodabniając się bardziej niż zwykle do ojca-filozofa duchownego. - Agencje takie jak nasza mogą prowadzić dochodzenia *tylko do pewnych granic bezpieczeństwa*. Na tym polega subtelny aspekt naszego zawodu; wyczuć tę granicę i jej nie przekroczyć.

- Bzdury! - wykrzyknęła Kerry głośno, chcąc zmusić opierającego się Archiego do patrzenia jej w oczy. - Nie w tym problem. Jesteśmy pewni tropu i tego, że chodzi o niezwykle groźną sprawę. To bardzo niebezpieczni szaleńcy. Mają zamiar niebawem przejść do akcji, nie wiemy tylko gdzie. Każdy dzień jest na wagę złota. Nie możemy przekazać sprawy administracji federalnej, która prawdopodobnie się nią nie przejmie i zaklasyfikuje ją jako trzydziestą pozycję na liście priorytetów.

Archie zmarszczył się, jakby przeszkadzał mu przejściowy harmider. Potem jeszcze łagodniejszym tonem rzekł:

- Ujmę to inaczej: dzięki waszej pracy sprawa nareszcie stała się prosta: mamy do czynienia z sygnałem o bakteriologicznym zagrożeniu na terenie Stanów Zjednoczonych.

- Słucham? - przerwał Paul. - Dlaczego pan tak mówi?

- Trzymam się tylko faktów. Niebezpieczna substancja organiczna jest gdzieś w Ameryce w rękach grupy zdecydowanej zrobić z niej terrorystyczny użytek. Może się myłę? Nieważne, czy chodzi o ekologów, neonazistów czy islamistów: to tylko retoryka.

- Jesteśmy przekonani o światowym wymiarze planu Harrowa oraz o tym, że to nie Stany Zjednoczone są jego celem - zaopiniował Paul.

- A dlaczego to?

Paul zawahał się, proste pytania były najtrudniejsze.

- Ponieważ... w jego wizji świata nie ma miejsca dla biednych.

Archie wybuchnął szyderczym śmiechem.

- A w Stanach Zjednoczonych według pana nie ma biednych? Wydawało mi się, że w czasie powodzi w Nowym Orleanie...

W tej chwili niewysoki brunet przeszedł przez hol. Za nim podążał tabun gorliwych asystentów. Archie wstał, by mu się uklonić.

- To ten Kostarykańczyk, laureat pokojowej Nagrody Nobla. Uciekło mi jego nazwisko... porządny facet.

Potem wrócił do rozmowy ze znużoną miną człowieka interesów, który pośpiesznie kończy ważne negocjacje, by udać się na przymiarkę spodni.

- Nie wiem, co myślą ekolodzy. Za to wyraźnie dostrzegam, że wszystko w tej sprawie wskazuje na Stany Zjednoczone. Wasza dziewczyna udała się tam ze skradzioną w Polsce próbką. Grupa terrorystów, jak na razie, również się tam znajduje, podobnie jak pośrednik francuskiego studenta. Czyli sprawa staje się jasna. Priorytetem jest bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych i nie możemy działać dalej tylko na własną rękę. - Poczul, że Kerry szykuje się do nowego ataku, więc prędko dodał: - W każdym razie CIA żąda, byśmy zaprzestali wszelkich działań.

- Co takiego?

Archie spuścił spojrzenie, strzepnął pyłek z krawata i dodał niskim głosem:

- Dwa dni temu zadzwoniono do mnie z Langley. To, hm, telefon z najwyższego szczebla. Chcą przejąć sprawę i oficjalnie zabraniają nam działać. Według mnie to skutki waszej małej akcji w Seattle.

Kerry zadrżała.

- Niczego wam nie zarzucam. Zrobiliście, co należało, i cało z tego wyszliście. Jednak o sprawie dowiedziało się zapewne FBI

i zapewne doszło do konfrontacji obu instytucji. W każdym razie CIA szukała mnie aż w Singapurze, by zażądać zakończenia misji i przekazania im wniosków.

- I zgodził się pan?

- Proszę się nie martwić - rzekł Archie tonem najgłębszej troski - wypłacę całą sumę, na jaką opiewał kontrakt. Jestem również przekonany, że są zadowoleni z naszej pracy. W tej chwili zaznajamiają się z notatką, jaką na moją prośbę przesłała im agencja Providence.

Paul czuł się bezsilny. Pragnął tylko uniknąć niepotrzebnej walki na tyłach, jaką ze złości i goryczy gotowa była stoczyć Kerry. Wiedział, że znosiła dyscyplinę gorzej niż on. Chociaż, prawdę mówiąc, miała czas się przyzwyczać. Przez całą służbę doświadczali wyłącznie tego typu frustracji, która stała się zresztą powodem ich odejścia. Zaczyna się entuzjastycznie, bębny biją na chwałę pierwszych wyników śledztwa, gdy zaś przychodzi chwila inkasowania dywidend wysiłku, to smycz i waruj!

Przyjrzał się uważnie Kerry. Przez moment był pewien, że rzuci się na Archiego z pazurami, że go spoliczkuje i zrobi aferę. Jednak, ku jego największemu zdziwieniu, uspokoiła się. Zdobyła się nawet na wysiłek i uśmiechnęła do niego.

- Moje dzieci się ucieszą - powiedziała nienaturalnie opanowanym tonem. - Zobaczą mnie prędzej, niż się spodziewają.

Archie zachichotał i zamieszał łyżeczką w filizance. Nie był jeszcze całkiem pewien, czy Kerry mówi szczerze, czy zaraz skoczy na niego.

- Zadzwoń do nich od razu, pewnie się budzą. Wstała z telefonem przy uchu i oddaliła się w głąb holu.

- Cóż za niezwykła kobieta! - Archie pokiwał głową. Chętnie dodałby jakiś komentarz i wypytał Paula o prawdziwy charakter ich relacji, lecz nie był to dobry moment. Wolał to przemilczeć.

- Wraz z dwójką zaprzyjaźnionych senatorów wyczarterowałem lot do Waszyngtonu na dziś wieczór. Jeśli chcecie, możemy was podrzucić.

Paul był jeszcze w stanie oszołomienia tym brutalnym i przedwczesnym zakończeniem. Nie potrafił sobie uzmysłowić, co to

oznaczało. Czuł się jak alpinista, któremu nagle przerwano wspinaczkę i siłą zabrano go z powrotem na start.

Kerry zmierzała w ich kierunku. Schowała telefon komórkowy i pokiwała głową.

- Zapomniałam, że dzieciaki są na wakacjach u rodziny w Sacramento.

Paul słuchał bezmyślnie, aż nagle podskoczył i przyjrzał się jej z uwagą. Rob? Sacramento? O ile wiedział, mąż Kerry pochodził z Toronto i Saskatchewan. Mówiła mu zresztą, że pojechał z dziećmi do Kanady.

- Zaproponowałem Paulowi, że dziś wieczorem zabiorę was do domu moim samolotem.

- Świetny pomysł. Lećcie razem. Mnie się nie śpieszy, pojedę do Mediolanu na zakupy.

Archie podniósł się zadowolony, że stojąca przed nim kobieta okazała się taką, jakie lubił, próżną i pełną wdzięku, nie zaś opętaną fanatyczką. Ujął dłoń Kerry i z galanterią zbliżył ją do ust.

Zaśmiała się perliście i trochę głupkowato, zgodnie z upodobaniami Archiego.

- Wracam do hotelu - powiedziała do Paula. - Idziesz po walizkę?

- Tak, odprowadzę cię - bąknął ogłupiały.

- Proszę bardzo - zachęcił go Archie. - Na lotnisko jadę dopiero o osiemnastej. Proszę się nie śpieszyć, mój drogi. Będę na pana czekał tu, w holu.

Wcześniej, jeszcze w korytarzach wiodących do sali konferencyjnej, Archie zauważył srebrną czuprynę lorda Landby i za wszelką cenę postanowił się z nim przywitać. Załatwiwszy sprawę dochodzenia, obrócił się na pięcie i pospiesznie oddalił z dystygowaną miną, z jaką wypada zagadnąć dobrze wychowanego człowieka.

VIII

Pustynia Kolorado, Stany Zjednoczone

Upłynął tydzień od pustynnej wędrówki z Harrowem, a Juliette nadal obserwowała swoją przemianę duchową. Krótka podróż ukoili ją, uspokoiła, sprawiła, że dziewczyna stała się mniej podatna na zmiany nastroju i ataki lęku. Euforia utrzymywała się na starym poziomie. Tendencja do nadaktywności także, przez co leniwa atmosfera domu troglodyty wywoływała czasem zniecierpliwienie Juliette. Ogólnie rzecz biorąc, czuła się coraz lepiej.

Dopiero teraz dotarło do niej, jak wielki był niepokój towarzyszący jej przez długie tygodnie od czasu wrocławskiej misji. Na początku brała lekarstwa. Potem jednak egzaltacja zaczęła maskować objawy; im gorzej z nią było, tym lepiej się czuła i tym rzadziej przychodziła jej do głowy myśl o realnej potrzebie leczenia.

Teraz, kiedy powoli uświadamiała sobie, co przez cały ten czas się z nią działo, ogarnął ją strach. Była wystarczająco inteligentna, by wiedzieć, jak bardzo jest jeszcze krucha. Prześladowała ją myśl o nawrocie choroby. A przecież właśnie teraz powinna być silniejsza niż kiedykolwiek. Liczono na nią. Ze wszystkich sił pragnęła pokazać Harrowowi, że jest godna powierzonego jej zadania.

Nadal nie wytłumaczył jej, na czym dokładnie będzie ono polegać. Juliette milcząco przystała na reguły gry. Jednocześnie popuściła wodze fantazji i snuła najśmielsze scenariusze. Znajdzie się w nieprzyjaznych warunkach i będzie musiała znosić niewygodę, brak snu, przerażenie, może nawet tortury... Czy wytrzyma mimo swej kruchości i niestabilności psychicznej? Obawiała się, że nie.

Zdecydowała się wrócić do kuracji. Dobrze, że zabrała ze sobą kilka opakowań leków uspokajających. Były to ostatnie dawki

przepisane jeszcze w szpitalu. Znała ich działanie. Wywoływały w niej uczucie, jakby była okrętem, który płynie coraz wolniej i wolniej, by rozpocząć proces powolnego zanurzania się. Przedawkowanie groziło skutkami odwrotnymi niż pożądane; przychodziło nagle załamanie, pesymizm i zdegustowanie sobą oraz otaczającym światem.

Z dwojga złego Juliette wolała to drugie. Bolesna melancholia, która dopadała ją tak często w czasie studiów albo w jej samotni w miasteczku Chaulmes, tutaj, przy Tedzie, raczej jej nie groziła.

Nie miała złudzeń, że pokłada w tym mężczyźnie wielkie nadzieje. Być może były nieproporcjonalne do jego możliwości. Czy człowiek, któremu przyglądała się niemal codziennie, nie był przypadkiem niebezpiecznie zafalszowanym, wyidealizowanym wyobrażeniem? Czy możliwe, że się w nim zakochała?

Gdy był nieobecny, Juliette rozmyślała godzinami, leżąc na plecach w swoim skalnym pokoju. Doszła do wniosku, że to, co czuje do Harrowa, nie jest miłością. W każdym razie nie przypomina uczucia, jakie znała do tej pory. Nie miała potrzeby ani ochoty, by zmniejszać dystans, jaki wytworzyły między nimi jej podziw i ufność. Gdyby do ich relacji wkraść się aspekt cielesny, straciłby na tym wizerunek Harrowa. Być może byłoby inaczej, gdyby to on wyszedł z inicjatywą. Uległaby mu z całą pewnością. Ale Ted nie stał się mniej małowówny niż na początku. Wyjeżdżał, wracał, spędzał godziny przed komputerem albo przy telefonie. Jeździł na spotkania, które trwały od rana do wieczora. Zawsze przemieszczał się z którymś z Indian i prawdopodobnie samochodem.

Pewnego dnia Harrow wyszedł z domu, nie wyłączwszy komputera, i Juliette zobaczyła na ekranie listę wiadomości w skrzynce odbiorczej. Nie przeczytała żadnej. Za bardzo szanowała gospodarza, by popełnić ten godny pogardy czyn. Nawet gdyby czuła pokusę, to od przeczytania wiadomości odwiodłaby ją milcząca obecność Raula, przykucniętego w cieniu w najmniej oczekiwanym miejscu. Nie zbliżając się zbyt do ekranu, Juliette była w stanie dojrzeć, że wiadomości nadchodziły z całego świata: z Chin, z Afryki, z Europy. Dziewczyna pomyślała też, że Harrow specjalnie nie wyłączył komputera. Pasowało to do

jego dyskretnych i skutecznych metod; może chciał, by Juliette była pewna, iż organizacja, do której teraz należy, ma wymiar globalny.

Pozwalało to naturalnie przypuszczać, że Harrow zaplanował operację na wielką skalę; złożoną i wymagającą cierpliwości.

W tych rzadkich momentach, kiedy Juliette i Harrow spędzali czas razem, Ted wypytywał ją o przeczytane książki. Uczył ją obserwować gwiazdy za pomocą lunety astronomicznej na stałe zamontowanej w rogu tarasu. Nie wspominał ani słowem o przygotowywanej akcji. Ona również narzuciła sobie w tej kwestii milczenie. Raz tylko zapytała go, czy nie obawia się, że ich kryjówka kiedyś zostanie zdemaskowana. Regularne snucie się po tej dzikiej okolicy może przecież wydać się podejrzane. Co dopiero sprzęt elektroniczny, w sercu pustyni... A wiadomości nadchodzące z całego świata?

Pytania Juliette nie brały się z czystej ciekawości, lecz troski o Teda, w domyśle zaś o powodzenie ich akcji.

Harrow wysłuchał Juliette z obojętną miną i odpowiedział zdaniem, które dostarczyło jej tematu do rozważań na cały kolejny dzień.

- Nie spuszczaamy z oka tylko tego, czego się boimy - stwierdził krótko. Zamrugał błękitnymi oczami, jak gdyby chciał zatuszować wzruszenie i dodał: - Nie boimy się tego, co przekracza nasze wyobrażenia.

Jak zwykle nie był dosłowny. Nie odpowiadał wprost na pytanie Juliette. Ostatecznie kto powiedział, że są obserwowani ze względu na plan Harrowa? Policja mogłaby równie dobrze podejrzewać go o to, że jest przestępcą albo członkiem zagranicznego ugrupowania terrorystycznego.

Harrow zrozumiał, że Juliette, zadając sprytnie pytanie, chciała dowiedzieć się czegoś o operacji. Dał jej zatem wskazówkę, dzięki której podsycił niecierpliwość i entuzjazm dziewczyny, jednocześnie nie zdradzając tajemnicy. Planowana akcja była czymś niesłychanym i dotąd nieznanym. To absolutnie nowatorski projekt, który wykraczał poza wszelkie wyobrażenia.

Osiągnął spodziewany efekt. Przez dwa dni Juliette przeżuwała dwa zdania Harrowa. Nie zapytała go o nic więcej.

Sielska rutyna, podsycana oczekiwaniem i sprzyjająca marzeniom zakończyła się brutalnie pewnego ranka. Obudziwszy się, zobaczyła Harrowa stojącego na tarasie z pochmurnym obliczem. Usiadła naprzeciwko niego przy stole, a on wbrew dotychczasowym nawykom natychmiast się odezwał.

- Rozmawiałas z kimś przed wyjazdem?
- Wyjazdem skąd?
- Z Francji.

Przyjrzała się mu uważnie.

- Chyba nie zaczniesz mnie przesłuchiwać! Znowu czuję się jak w Afryce Południowej. Co się stało?

- Ktoś cię szuka.
- Kto?
- Nie wiem.

Wzruszyła ramionami i podniosła czajnik, by nalać sobie herbaty.

- To w każdym razie dobrze poinformowani ludzie. Znają Jonathana i wiedzą, że to ty byłaś we Wrocławiu.

- Gliny?
- Raczej nie.
- Francuzi?
- Amerykanie.
- To na pewno FBI. Mają was na oku.

- Przynajmniej tego jesteśmy pewni: to nie FBI. Mamy tam kilku przyjaciół. Nie wtrącają się od czasu, gdy wystąpiliśmy z One Earth.

- Sądzisz, że ci, którzy mnie szukają, mogą nas znaleźć?
- Być może. Na szczęście dzieli ich od nas trochę.

Harrow mówił cichym głosem, w którym nie było cienia agresji. Jednak Juliette czuła, że uważa sytuację za bardzo poważną.

- Jesteśmy zmuszeni zacząć wcześniej, niż przewidywaliśmy.
- To znaczy kiedy?
- Jutro rano. Teraz twój ruch. Przywieziesz mi czerwoną fiołkę.

Kerry i Paul rozstali się z Archiem. Na ulicy gestem przywołali tak-sówkę jadącą wolno w poszukiwaniu pasażerów. Była to giulietta Ti z lat siedemdziesiątych, a jej właściciel był do niej niezwykle przywiązany. Miał około osiemdziesiątki, czarne okulary przeciwsłoneczne na nosie i rękawiczki z cielejącej skórki. Na każdym zakręcie wpadał w lekki poślizg. Z reguły Paula urzekały takie spektakle. Tym razem siedział sztywno na skórzanym tylnym siedzeniu i smutnym spojrzeniem żegnał lśniące w strugach deszczu czerwone fasady turyńskich kamienic.

- Co ci jest? - zapytała wreszcie Kerry, która dla odmiany była rozluźniona i nie przestawała się uśmiechać.

Paul wzruszył ramionami.

- A co, powinienem się cieszyć z żałosnego zakończenia tej historii?

- Kto tu mówi o zakończeniu?

Łypnął na Kerry, by sprawdzić, czy nie kpi z niego, ale młoda kobieta wyglądała na absolutnie pewną siebie.

- Co masz na myśli?

Odwróciła się do niego. By uczcić wiosnę w Piemontcie, włożyła wydekoltowaną, zwiewną sukienkę i rano uczesała się w misterne warkocze, którymi oplotła całą głowę. To była prawdziwa Kerry; wychwytyjąca z perfekcyjnym wyczuciem nastroj i specyfikę miejsca, stającą się na chwilę bardziej włoska niż wszystkie Włoszki razem wzięte, jednocześnie gotowa wskoczyć w wojskowe drelichy spadochroniarza, gdyby tylko zaszła taka potrzeba. Żadne z tysięcy wcieleń Kerry nie było w stanie naruszyć solidnych podstaw jej osobowości. Nie była istotą gorączkowo poszukującą swej tożsamości. Po prostu bawiła się i z radosnym apetytem degustowała różnorodne smaki życia.

- Nasz kontrakt został rozwiązany i jesteśmy wolni. To powie dział nam Archibald *the pork*?

Paul skinął głową. Był ciekaw, co ma do powiedzenia.

- O ile wiem - ciągnęła Kerry - to nigdy nie utraciliśmy wolności, którą nam właśnie zwrócił. Nie jesteśmy jego pracownikami i nigdy nimi nie byliśmy. *Dobrowolnie* zgodziliśmy się pomóc im w prowadzeniu trudnego śledztwa. Odprawił nas. Jego sprawa.

Gdy taksówka z warkotem wjechała na ośmiokątny plac otoczony kolumnadami, przez zasłonę deszczu przedarło się kilka promieni słonecznych. Z chodników unosiła się para, a na niebie pojawiły się skrawki błękitu.

- Odtąd sami decydujemy, co dalej robić.

- Chcesz powiedzieć, że mimo wszystko będziemy kontynuować?

- A postanowiłeś przerwać śledztwo?

- Nie.

- Tym lepiej, bo ja również nie mam takiego zamiaru.

Spojrzeni po sobie i równocześnie wybuchnęli śmiechem.

Znaleźli się na wysokości hotelu. Kierowca zatrzymał samochód z piskiem opon. Najpierw spojrzał na zegarek, dopiero potem sprawdził licznik. Mimo iż słońce oświetlało plac, poza nim ulewa staczała jeszcze ostatnią bitwę, spuszczając na miasto ciepłe i duże krople deszczu. Paul zdjął swój płaszcz i rozciągnął go jak baldachim nad sobą i Kerry. Pobiegli do hotelu. Po wzięciu prysznicza spotkali się w pokoju Paula. Kerry przebrała się w białe spodnie i elegancką bluzkę, którą w wyszukany sposób zawiązała w tali. Usadowiła się w fotelu naprzeciwko Paula, który w hotelowym szlafroku z miękkiej gąbczastej tkaniny, z ręką za głową, leżał wyciągnięty na łóżku.

- Najważniejsze jest odnalezienie dziewczyny - zaczęła Kerry.

- Musimy sprawdzić nowojorski adres, który dał nam Jonathan. Nie zdążyliśmy zlecić tego zadania Providence, a teraz jest za późno. Musimy poradzić sobie sami.

- Zastanawiam się, czy to adres prywatnej osoby, czy organizacji ekologicznej?

- Uwaga, to może być pułapka. Trzeba będzie zmajstrować małą przykrywkę. Lepiej, żebyś ty zajął się sprawą, bo mnie już kojarzą.

- W One Earth.

- Być może również gdzie indziej. W środowisku ekologicznym plotki rozchodzą się szybko.

Kerry od niechciany bawiła się połamami bluzki. Myśli Paula mimowolnie odbiegały w stronę Juliette, której obecność czuł gdzieś obok, z każdym dniem coraz bliżej. Była niczym tajemnicza posiadaczka klucza do zagadki. Chyba że i ona była tylko narzędziem w czyichś rękach.

- Wieczorem sir Archibald zabiera cię do Nowego Jorku. Jak tylko się od niego uwolnisz, wsiądziesz do taksówki i zamiast na lotnisko, każesz się odwieźć na Manhattan.

- A ty? - spytał Paul.

- Najchętniej pojechałabym z tobą. Najpierw będę jednak musiała zrobić małą rundkę po Europie.

- Zakupy w Mediolanie...

- Niezupełnie. Tym lepiej zresztą. Słuchaj, ostatniej nocy nie mogłam spać. Zabrałam się więc do przeglądania wiadomości, jakie Tycen przysyłał nam przez ostatnich kilka dni. Dowiedział się czegoś bardzo interesującego o polskim profesorze z Wrocławia.

Paul zrozumiał, że po raz kolejny Kerry zyskała nad nim przewagę. Teraz nie miało to jednak znaczenia.

- Wyobraź sobie, że Rogulski nie pracował wyłącznie na Wschodzie. W siedemdziesiątym drugim otrzymał dwuletnie stypendium na austriackim uniwersytecie.

- Mów dalej - mruknął Paul.

- Zgadnij, co studiował: filozofię. U niejakiego Konrada Fritscha. Mówi ci coś to nazwisko?

- Absolutnie nic.

- Mnie też nie. W Ameryce mamy za mało lekcji filozofii - skonstatowała Kerry.

Paul był gotów przyznać jej rację, jednak w tej chwili zupełnie nie miał ochoty zajmować się tym zaiste godnym pożałowania faktem.

- Sprawdziłam w internecie i oto co odkryłam: profesor Fritsch jest jednym z ojców filozofii środowiska. Spłodził kilka traktatów na temat tak zwanej głębokiej ekologii, które odbiły się szerokim echem w kręgach uniwersyteckich na całym świecie.

- I co w związku z tym?

- W związku z tym powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej o Rogulskim i ludziach, z którymi utrzymuje kontakt, a także zobaczyć się z dzielnym profesorem, który obecnie ma osiemdziesiąt osiem lat. Być może jest brakującym ogniwem między polskim uczonym i amerykańskimi ekologami. O ile taki związek w ogóle istnieje, rzecz jasna.

Rozumowanie Kerry było bezbłędne. Miała rację w każdym calu.

- Pojedziesz więc do Austrii?

- Zostanę tam tak krótko, jak tylko możliwe. Najdalej za trzy dni spotykamy się w Nowym Jorku.

Filadelfia, stan Pensylwania

Zawód gliny w Filadelfii nie należy do godnych pozazdroszczenia. Miasto jest złudnie spokojne: wszyscy myślą, że czas płynie tu błogo, tymczasem roboty jest co najmniej tyle, ile w Miami albo w Chicago. Na szczęście, im bliżej emerytury, tym większa jest szansa na znalezienie spokojnej posiadki. Sześćdziesięciodwuletniemu Burtonowi Hopkinsowi udało się zdobyć jedną z nich: pod koniec kariery został strażnikiem pomnika.

Jego obowiązkiem było przemierzanie dostojnym krokiem małego placu obsadzonego drzewami, gdzie wszelkie akty przemocy sprowadzały się do czułych sprzeczek starszych pań z ich czworonożnymi ulubieńcami. Turyści bardzo często fotografowali Burtona na tle pomnika, tak że policjant czuł się jak część dziedzictwa narodowego. Dobroduszny wygląd, duży brzuch wystający nad pasa i imponujące wąsy czyniły go uosobieniem minionej epoki, w której policja należała do grupy społecznej darzonej szacunkiem, a czasem nawet sympatią.

Ponadto mieszkał niedaleko, więc do pracy chodził piechotą i rozkoszował się atmosferą zmieniających się pór roku. Najbardziej lubił wiosnę, która w Pensylwanii nadchodziła późno, lecz gwałtownie, jak długo wyczekiwany przyjaciel niespodziewanie pukający do drzwi.

Z racji wieku Burton nie czatował już na przestępców. Spoglądał raczej w niebo, obserwował jego bladość pomiędzy szklanymi drapaczami chmur. Nie zwrócił też najmniejszej uwagi na chevroleta zaparkowanego przed jednym z wjazdów do garażu. Gdy tylko minął samochód, drzwi otworzyły się i wysiadła z niego kobieta. Bardzo szczupła brunetka w nieco za dużym, mocno ściśniętym w talii płaszczu, szybkim krokiem podążyła za policjantem. W kilka sekund dogoniła go.

- Burt! - zawołała go cicho.

Starszy mężczyzna, marszcząc brwi, odwrócił się. W takich chwilach przybierał pozę służbową, która mimo symulowanego wzburzenia i szorstkości zdradzała jego pocziwy charakter.

- Juliette!

Położył ręce na jej ramionach i ucałował w oba policzki. Zaraz potem z niepokojem rozejrzał się wokół, by sprawdzić, czy przypadkiem ktoś nie był świadkiem tak niestosownego, zważywszy na jego poważną funkcję, zachowania.

- Co robisz w Filadelfii?

- Uprzedzałam pana, że wpadnę. Dostał pan mój list?

- Razem z paczką! Troskliwie przechowuję ją w domu. Na jak długo przyjechałaś?

- Wracam wieczorem.

- Ojej, Luiza jest do końca tygodnia u swojej ciotki w Baltimore. Powinnaś była nas uprzedzić.

- Nie byłam pewna, kiedy dokładnie uda mi się przyjechać - bąknęła Juliette i spuściła wzrok.

- Ach, nic się nie zmieniłaś - wzruszony Burton westchnął nostalgicznie.

Gdy Juliette przyjechała do Filadelfii po raz pierwszy, miała zaledwie osiemnaście lat. Do ostatniego momentu toczyła z rodzicami batalię, by pozwolili jej wyjechać. Gdy w końcu udało się jej uzyskać zgodę, stowarzyszenie organizujące pobyty u rodzin amerykańskich nie oferowało już dużego wyboru. Juliette zadowolili się ostatnim miejscem. Uprzedzono ją, że wyląduje w rodzinie prostego policjanta. Miał ułomną żonę i wychowywał wnuczkę Luizę, której rodzice rozwiedli się dość brutalnie. Podczas prze-

śluchania w Afryce Południowej Juliette ukryła swoje związki ze starym policjantem, który traktował ją jak córkę.

Pobyt dziewczyny w Filadelfii stał się bowiem jej pierwszym doświadczeniem czułości. Dziesięcioletnia Luiza była radosnym dzieckiem, pomimo dramatycznych przeżyć. Co do Burtona, to odziedziczona po matce surowość kwakra mieszała się w nim z irlandzką krwią ze strony ojca, sprawiając, że emanował ciepłem i miał rubaszną słabość do whisky, ale tylko po zachodzie słońca.

- Odprowadź mnie do pomnika. Przynajmniej opowiesz mi trochę o sobie.

- Nie mogę, Burt, wybacz. W przyszłym miesiącu wpadnę na trzy, cztery dni, ale za kilka godzin lecę z powrotem. Przyszła wiosna i przyjaciel ogrodnik, o którym ci wspominałam, musi niezwłocznie zacząć wysiew. Przyjechałam tylko po nasionka. Następnym razem spędzimy ze sobą więcej czasu.

Burton zmarszczył brwi.

- Jeśli mogę być z tobą szczerzy, to ta sprawa z nasionami nie trzyma się kupy.

Juliette zadrżała. Już miała odpowiedzieć, gdy nagle stary policjant pogroził jej palcem.

- Kryje się za tym historia miłosna, czyż nie?

Juliette odetchnęła z ulgą, co Amerykanin uznał za oznakę zakłopotania.

- Hę? Mnie nie nabierzesz w tych sprawach. Nie na darmo spędziłem trzydzieści lat w policji, wiem, jak rozpoznać winnego.

Juliette zatrzepotała rękami, udając zaskoczenie, potem skromnie spuściła wzrok.

- No już, aresztuję cię, moja mała. Chodź ze mną do pomnika, wszystko mi wyśpiewasz. Jak on ma na imię?

Burton wziął Juliette pod ramię i ruszył jak do kadryla.

- Ee, Simon.

- Gdzie mieszka?

- W... Wyoming.

- W takim razie rozumiem. Istotnie pora zasiewów trwa tam krócej, zima jest długa. Czym prędzej zawieź mu nasiona. - Nagle

Burt zatrzymał się z surową miną. - Gdy pomyślę, że dla ciebie złamałem prawo federalne...

- Przepraszam cię, Burt. Ale z powodu historii z ptasią grypą, chorobą wściekłych krów...

- I przyszczyty, wiem, wiem, oszaleli na punkcie przewożenia produktów biologicznych. - Potem poprawił się: - Ale to dla dobra ogółu. Poza tym prawo jest prawem.

Ruszył, gderając pod nosem:

- Wiesz, nie ma Ethel. Musiałem umieścić ją w domu opieki medycznej. Odwiedzam ją co wieczór, ma się rozumieć. To tylko godzina autobusem. - Westchnął ciężko. - Ale nadal jest pani Brown. Pamiętasz sprzątaczkę? Zadzwońię do niej, żeby wiedziała, że jesteś. Da ci paczkę.

Juliette rzuciła mu się na szyję i ucałowała go.

- Dziękuję, Burt. Jest pan kochany.

Stary gliniarz poprawił czapkę i tym razem nie rozejrzał się wokół. W końcu to nie przestępstwo dać się cmoknąć tak ładnej dziewczynie.

- Masz szczęście, że to dla chmielu - mruknął pod nosem.

- I to nie byle jakiego, tłumaczyłam panu. To rzadki gatunek dający flamandzki słód przedniej jakości. Dzięki temu Simon będzie robił najlepsze piwo w Stanach Zjednoczonych. Przywiozę panu beczkę.

Burton wzruszył ramionami.

- W każdym razie nie przekonałabyś mnie tak łatwo, gdyby chodziło o zwykłe cebulki tulipanów.

CZEŚĆ CZWARTA

Hochfilzen, Austria

Resztki śniegu ociągały się w tyrolskich dolinach. Wiośnie nie udało się ich jeszcze przegnać. Brudne i zmrożone połacie, zewsząd otoczone zieleniącą się łąką, spełzały z północno-wschodnich stoków aż do jezdni.

Kerry wynajęła samochód w Salzburgu. Kosztowało ją to długie popołudniowe godziny mozartowskiego koszmaru. Wolfgang Amadeusz był wszechobecny, poczynając od butików, czekoladek i billboardów, a skończywszy na fordzie Fiesta, którego wynajęła z nadzieją, że wymknie się prześladowcy. Niestety, nawet breloczek u kluczy dyndający ze stacyjki przedstawiał profil małego geniusza na czerwonym tle.

Miasteczko, w którym mieszkał profesor Fritsch, położone było w górach i oddalone od pierwszego zjazdu z autostrady o dwadzieścia kilometrów serpentynami. Kerry minęła kilka opustoszałych wiosek z ich nieproporcjonalnie dużymi barokowymi kościołami. Czują, że Austria to kraj o zdecydowanie zbyt świetnej przeszłości jak dla niej.

Gdy wstała rano, ołowiane niebo przygniatało świat. Jednak im bliżej była celu, tym horyzont stawał się jaśniejszy. Patrząc w dal, w melanżu kilku odcieni bieli mogła rozróżnić splątaną linię lodowców i chmur. Zanim dojechała na miejsce, całkowicie się rozpogodziło. W oddali połyskiwały szczyty Kaisergebirge.

Dom profesora znajdował się nieco na uboczu miasteczka. Dzięki temu roztaczał się z niego widok na panoramę gór aż do wierzchołków sąsiedniego łańcucha Kitzbuhel i Sankt Johann w Tyrolu, wciąż jeszcze pograżonych w porannej mgle. Brązowe krowy kluczyły pomiędzy plackami śniegu, łakomie poszukując

młodej trawy. Podobnie jak w całym kraju, i tu na balkonach czerwieniały przepisowe pelargonie posadzone w zdyscyplinowanym ordynku.

Kerry zaparkowała samochód na skraju poletka przylegającego do domu. Żwirowa alejka prowadziła pod górę aż do otwartego ogrodu. Lekki wietrzyk przynosił dalekie echo pobrzękujących dzwonek. Lasy sosnowe czerniejące powyżej alpejskiego szaletu pachniały żywicą. Kerry pomyślała, że po powrocie koniecznie musi zabrać dzieci na kilka dni w Góry Skaliste.

Drzwi otworzyły się, gdy wchodziła na ostatni schodek. Gruba kobieta w roboczej bluzie w malwy przywitała ją szerokim uśmiechem. Jej gęste i bardzo jasne włosy były starannie zaczesane do tyłu i tak sztywne od lakieru, że przypominały stalowego jeża.

- Pani być dziennikarz z wizytą do profesor?

Angielszczyzna kobiety była jak góraska chata: stos drewnianych i ledwie obciosanych bali, niepołączonych ani gwoździem, ani śrubą.

Kerry przytaknęła i weszła do środka. Dom pachniał politurą woskową i środkami do czyszczenia. Gdyby najdrobniejszy pyłek kurzu śmiał zapędzić się na te wysokości, nie przetrwałoby w tym miejscu ani chwili. Gospodyni poprowadziła Kerry do pokoju gościnnego, który lśnił mimo półmroku. Lakierowany parkiet, polerowana miedź, obrazy przedstawiające leśne potoki i sarny łączyły skąpe światło, jakie wpadało przez malutkie okna i odbijały je, połyskując. Austriaczka wskazała Kerry miejsce na kanapie pokrytej haftowanymi poduszkami.

- Profesor nadejść zaraz. Czego do picia podać?

Kerry czuła się niepewnie wobec tej herkulesowej baby o kwadratowej szczęce. Była żoną Fritscha czy jego opiekunką? Mówiła o nim „profesor”, ale to nie przesądzało o charakterze ich relacji, zważywszy na to, że w kulturze germańskiej mężowie zwracali się czasem do małżonek per „mama”. Kerry nie zdążyła zastanowić się nad tą kwestią, gdyż profesor wszedł do pokoju.

Fritsch należał do gatunku ładnych starsuszków. Na pierwszy rzut oka trudno było odgadnąć jego sędziwy wiek. Kerry nie była zdziwiona, przecież spędził całe życie w tym miejscu. Mówi się, że sucha kiełbasa korsykańska pachnie wszystkimi aromatycznymi

ziołami, jakie świnia skubie na wyspie. W analogiczny sposób trwający niemal sto lat pobyt w dolinach alpejskich odbijał się na stanie ducha, a przede wszystkim wyglądzie Fritscha. Bujna i kręcona grzywa profesora miała kolor śniegu; jego kanciasty nos - profil skały, podobnie zresztą jak łuki brwiowe i jego podbródek. Szeroko otwarte, jasne oczy o ufnym i bezpośrednim spojrzeniu były bladobłękitne jak głębokie warstwy lodu, które, paradoksalnie, miewają ciepły, niemal aksamitny poblask.

Zapewne wywarłby dobre wrażenie na kimś innym niż Kelly. Fritsch był wcieleniem dobra i mądrości, uosabiał patriarchę, którego każdy życzyłby sobie mieć za dziadka. Kerry jednak odziedziczyła po matce instynktowną podejrzliwość wobec ludzi Kościoła, a w szczególności pastorów luterańskich. Nieufność sięgała korzeniami czasów sporów religijnych, jakie toczyły się w Europie Środkowej, z której Kerry się wywodziła. Wobec Fritscha od razu stała się czujna.

- Przybywa pani z Nowego Jorku, czyż nie? Witam serdecznie, czuję się zaszczycony, że dla mnie odbyła pani tak długą podróż.

Kerry przeczytała w internecie, że Fritsch przez trzy lata wykładał na uniwersytecie w Charlestonie jako *visiting professor*. Z tamtego czasu odziedziczył zapewne rozwlekły sposób mówienia po angielsku. Typowo germańska wymowa dodawała jego wypowiedzi powolności i monotonii, charakterystycznej dla reformacyjnych pastorów, dopóki nie zaczęli prawić o grzechu.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, przejdziemy do mojego gabinetu. Będzie nam się tam lepiej rozmawiało. Słyszałaś, Hilda? Idziemy do gabinetu. Nie przedstawiłem pani jeszcze mojego anioła stróża. Od dwóch lat Hilda czuwa nade mną z wielkim oddaniem. Jest tak dobra, że pilnuje, abym nie robił zbyt wielu głupstw.

Biuro Fritscha znajdowało się na tym samym piętrze. Olbrzymie okna balkonowe wychodziły na alpejskie hale i pastwiska, przez co pomieszczenie było skąpane w słońcu. Przez kontrast z ciemnością, jaka panowała w salonie, miało się wrażenie wychodzenia na zewnątrz. Pozostałe ściany od podłogi do sufitu zajmowały regały pełne książek. Na środku stał duży stół. Leżały na nim stosy papierów, niektóre poukładane w równe pryzmy.

- Nie piszę już za wiele, staram się jednak czytać i segregować - wyznał Fritsch, jakby chciał przeprosić za coś karygodnego.

Kerry usiadła w fotelu wyściełanym niebieskim aksamitem, a profesor zajął miejsce za biurkiem.

- Teraz słucham. O czym chciałaby pani porozmawiać?

Kerry starała się nie patrzeć Fritschowi w oczy. Nauczyła się od matki unikać spojrzeń świętoszków, by nie wpaść w pułapkę ich pretensjonalnej czystości.

- O panu, profesorze. Redaguję artykuł o wielkich myślicielach zajmujących się problemami środowiska i dlatego uważałam za niezbędne spotkanie z panem... Mam zamiar zaproponować te mat „Time Magazine” jako niezależna dziennikarka.

Podowała mu wizytówkę. Fritsch wziął do ręki dużą lupę z rzeźbionym uchwytem z rogu kozicy, po czym uważnie przyjrzał się kartonikowi.

- Deborah Carnegie. Bardzo mi miło. - Położył wizytówkę i lupę na stole. - Nie spodziewałem się, że mogę jeszcze zainteresować kogoś w Stanach Zjednoczonych. Faktycznie, moje dzieło było w pewnym sensie pionierskie, ale od tamtych czasów Amerykanie zrobili o wiele więcej.

- Pańskie koncepcje wywarły istotny wpływ na większość współczesnych filozofów ekologii. Poza tym uczył pan wielu spośród nich.

- To prawda! - wykrzyknął Fritsch.

W urzekający i trochę naiwny sposób przyjmował słowa drugiego człowieka. Pomimo doświadczenia, jakie miał stary profesor, jego stosunek do świata charakteryzowały wciąż to samo dobrotliwe zaskoczenie, życzliwa ciekawość i nieustanne zadziwienie niezliczonymi aspektami życia. Było to jednak za mało, by oczarować Kerry.

- Wie pani, z czego po latach jestem najbardziej dumny? Z seminariów, które prowadziłem. Młodzi ludzie całymi latami przybywali z daleka, by posłuchać, co mam do powiedzenia.

- Właśnie to interesuje mnie w szczególności - podchwyciła Kerry. - Pana publikacje są ogólnodostępne. Ja zaś chciałabym posłuchać pana wspomnień jako wykładowcy i zrozumieć, jak ewoluowały pana wykłady w miarę ewolucji pana poglądów.

- Och, nie mogła mi pani zrobić większej przyjemności!

Kerry pomyślała, że profesor ucieszył się jak z prezentu gwiazdkowego. Szczerłość szacownego starca cudownie harmonizowała z jego dzieciinną naiwnością.

- W którym roku rozpoczął pan seminaria?

- Gdy opuściłem uniwersytet wiedeński, w pięćdziesiątym dziewiątym...

- Opuścił pan... na własne życzenie?

- Tak i nie. Dusilem się. Trzeba tu wspomnieć, że w Austrii do połowy lat pięćdziesiątych stacjonowały wojska alianckie. Uniwersytet był jedną z najbardziej kontrolowanych instytucji. Było wiele tematów, których nie mogliśmy podejmować. Pragnąłem nauczać o przyrodzie, a dla tych ludzi przyroda należała do tematyki nazistowskiej. Wypominano mi bez przerwy *Tierschutzgesetz* Hitlera...

- Ale pana poglądy polityczne były raczej lewicowe...

- Nie pomogło mi to wcale, bo z kolei inni podejrzewali mnie o sympatyzowanie z komunistami... Lepiej nie traćmy czasu na mówienie o tamtym okresie. To było piekło dla wolnego umysłu.

Fritsch potrząsnął piękną głową, jakby zrzucał z niej ostatnie drobiny błota. Po chwili uśmiechnął się.

- Powiedziałem sobie: skupiaj wyłącznie tych, którzy potrafią słuchać, i rozpocząłem seminarium tutaj.

- W tym domu?

- Nie, w poprzednim, który był większy i znajdował się bliżej Salzburga. Spotykałem się z moimi studentami w pomieszczeniu przeznaczonym na myśliwskie bankiety.

Mężczyzna wstał żwawo i zdjął ze ściany oprawione zdjęcie przedstawiające dawne domostwo.

- To ten dom - powiedział, patrząc na zdjęcie z rozculeniem. - W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku matka podarowała mi kodaka. Był to mój pierwszy aparat fotograficzny. Od tamtej pory bez przerwy pstrykałem zdjęcia, które w moim wieku zastępują pamięć.

- Jaki był temat pańskich seminariów?

- Na początku zajmowałem się filozofią nauki. Wszystkie moje późniejsze rozważania miały w niej swoje źródło. Uderzyło mnie

pewne odkrycie paleontologów. Odsłoniли tajemnicę pięciu okresów w historii świata, w których nastąpił regres istot żywych. Nazwali je pięcioma wyginięciami. Naturalnie najstraszniejsze z nich to wyginięcie dinozaurów. Ci sami naukowcy - a przypominam, że wszystko działo się w połowie lat pięćdziesiątych - zdali sobie sprawę, że ludzkość wkroczyła w szóstą erę wyginięcia. Polega ona na zanikaniu licznych gatunków roślin i zwierząt. Podstawowa różnica między dzisiejszym zjawiskiem a pięcioma poprzednimi jest taka, że wcześniejsze były skutkiem procesów naturalnych, obecne zaś to skutek działalności człowieka. Jeden z gatunków, i tak się składa, że akurat nasz, niszczy inne gatunki. Tematem mojego pierwszego seminarium było właśnie sześć wyginięć. Przyzna pani, że brzmiało to co najmniej jak program przewodniczącego Mao!

Fritsch mówił jak ktoś, kto przez całe życie nauczał: wyraźnie i wolno, dając słuchaczce czas na przyswojenie każdego zdania.

Kerry dobrze znała ten uparty, konsekwentny i niezwykle skuteczny sposób powolnego wpajania idei. Nawet jeśli ma się głębokie przekonanie, iż prowadzi ono do błędnych wniosków, bardzo trudno jest się sprzeciwić rozumowaniu opartemu na logice. Rodzina Kerry, by uwolnić się od niemieckiej filozofii i ciężkiej retoryki marksistowskiej, zwróciła się w stronę ironicznej giętkości myśli w stylu Diderota lub Woltera. Jako studentka, Kerry poznała francuskich autorów w klimacie intelektualnej wolności amerykańskiego campusu. Dowcip, błyskotliwość i intuicja stały się dla niej bronią wobec gruboskórnej brutalności komunistycznego świata, z którego się wywodziła.

- Dziś poglądy te wydają się dość banalne - ciągnął profesor - lecz w latach pięćdziesiątych moje koncepcje nie wpisywały się w żaden oficjalny nurt. Roztrząsanie kwestii szóstego wymarcia pociągało za sobą krytykę indywidualizmu oraz wolnego prawa człowieka do niszczenia swego środowiska. W mojej pierwszej książce zawarłem pewne kłopotliwe stwierdzenie: „Niewątpliwie Deklaracja Praw Człowieka z tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego wyzwala istoty ludzkie z pęt despotyzmu i władzy absolutnej. Jednocześnie powierza im władzę absolutną i arbitralną nad innymi istotami i w ogóle nad całą przyrodą”.

- Wtedy postawił pan Spinozę nad Kartezjuszem...
- Tym podłym i bezwzględnym apostołem rozumu! Kartezjusz traktuje zwierzęta jak zwykłe maszyny i, co gorsza, pozostawia absolutną wolność ludzkiemu umysłowi... Jest wielkim winowajcą, ba, rzekłbym nawet zbrodniarzem!

Mimika Fritscha była bardzo bogata i wymowna. Gdy wspominał imię Kartezjusza, jego twarz krzyczała: „Szatan!” Podnosząc głos, mówił coraz szybciej.

- Spinoza to jego przeciwieństwo, harmonia wszelkich bytów, rozproszony bóg, obecny w każdej istocie żywej, w każdej rzeczy, innymi słowy, w całej przyrodzie, w której i człowiek musi pozostać na swoim miejscu.

- Miał pan wielu studentów?

- Na początku niewielu. Uniwersytet opuściło wraz ze mną tylko kilku wiernych. Wkrótce opublikowałem program seminarium. Oczywiście za granicą. Co ciekawe, najbardziej otwarte okazały się Stany Zjednoczone, mimo iż moje poglądy na temat kapitalizmu były tam początkowo krytykowane. Wyjechałem na trzy lata do Karoliny Południowej, ujmującego i posiniaczonego przez wojnę secesyjną stanu, którego mieszkańcy byli dość odporni na koncepcje produktywności wprowadzone przez Jankesów. Kiedy wróciłem do Austrii, moje idee przyjęto z prawdziwym zachwytem. Co roku przychodziło pięćdziesiąt zgłoszeń na seminarium. Przyjmowałem jednak najwyżej dwadzieścia osób.

- Odnalazłam niektóre nazwiska - wtrąciła Kerry i zaczęła szperać w swoich papierach. - Chciałabym spotkać się z nimi i posłuchać ich wspomnień.

Zrobiła minę, jakby znalazła kartkę, której szukała.

- Będę miała dużo pracy. Pana studenci rozproszeni są po całym świecie. O, na przykład w przyszłym tygodniu jadę do Polski, skoro już jestem w tej części Europy.

- Do Polski? Nie przypominam sobie, bym miał wielu studentów z tego kraju.

- Ro-gul-ski - Kerry przeczytała z trudem. - Mówi coś panu to nazwisko?

- Paweł Rogulski. Oczywiście, że pamiętam. Wybitny i odważny młodzienc. Jeden z nielicznych studentów z krajów komunis-

tycznych na moim seminarium. Nie było to proste w sześćdziesiątym siódmym... Ma pani o nim jakieś wieści?

- Jest znakomitym profesorem biologii.

- Doprawdy? Ani trochę mnie to nie dziwi. Nie był zbyt komunikatywny, mimo to wyczuwało się, że to nieprzeciętny umysł. Zresztą cała grupa z sześćdziesiątego siódmego była wyjątkowa. Fritsch podniósł się i podszedł do mebla zdobionego malutkimi kolumnkami stojącego w głębi gabinetu. Otworzył jedno z jego rozlicznych rzeźbionych drzwiczek i spomiędzy pionowo ułożonych segregatorów wyjął czarno-białą dużą fotografię. Mrużąc oczy, odczytał datę wypisaną czarnym atramentem w dolnym rogu zdjęcia.

- Rok sześćdziesiąty siódmy, zgadza się. Segregowanie dokumentów ma swoje dobre strony.

Podał Kerry prostokątną odbitkę. Stał przy niej, gdy przyglądała się zdjęciu.

- Rogulski to ten. Jak zwykle, z papierosem w dłoni.

Zdjęcie zrobiono przed dużym, alpejskim szaletem, obowiązkowo ozdobionym pelargoniami, krzaczastymi i już nieco zwiędłymi z racji jesiennej pory. Ujęcie przedstawiało grupę dwudziestu młodych mężczyzn. Stojący w pierwszym rzędzie przyklekli na ziemi. Fritsch robił zdjęcie za pomocą samowyzwalacza i nie zdążył dobiec na miejsce. Widoczny był na zdjęciu w ruchu z nieco rozmazaną dłonią.

- Bardzo kosmopolityczna grupa, prawda?

Wśród studentów był jeden Azjata oraz dwóch chłopców o indiańskich rysach i śniadej cerze. Biali także prezentowali szeroki wachlarz narodowości: ich twarze przywoływały na myśl stereotypy Hiszpana, Anglika, Francuza albo Amerykanina.

- Skąd byli ci chłopcy?

- W sumie nie tak bardzo - Fritsch rozważał jeszcze poprzednie pytanie. - Bywały lata akademickie, kiedy było bardziej kolorowo.

Gdy wziął z powrotem zdjęcie, Kerry zorientowała się, że na odwrocie zapisane były nazwiska. Lecz profesor zbliżał się już do szafki, by je schować.

- Czy mógłby pan... pożyczyć mi zdjęcie? Chciałabym zrobić kopię. Idealnie wzbogaciłoby to mój artykuł.

Starszy pan udał, że nie dosłyszał. Odłożył odbitkę na miejsce, zamknął szafkę i powrócił na swój fotel.

- Droga pani, zawsze szanowałem pewną zasadę, dzięki której moja kolekcja jest dziś kompletna. Nigdy nie pożyczam zdjęć. W domu nie ma kserokopiarki. Musiałaby pani zabrać fotografię ze sobą i następnie mi ją odesłać. Proszę mi wybaczyć, ale nigdy na to nie pozwalam.

Twarda jak skała materia, z której wyrzeźbiony był Fritsch, nadawała słowom „zawsze” i „nigdy” znaczący sens. Kerry nie nalegała, lecz zrobiła zawiedzioną minę.

- Proszę się nie martwić - Fritsch poklepał ją po dłoni. - Z przyjemnością zrobię pani odbitkę. W garażu zorganizowałem małe laboratorium fotograficzne. Nie zajmie to dużo czasu, wyślę pani zdjęcie w przyszłym tygodniu. O czym wcześniej mówiliśmy?

- O programie seminariów. Wyjechał pan do Ameryki.

- Otóż to! Wróciłem w sześćdziesiątym szóstym i rok później wznowiłem kurs. Nastąpiła nowa era. Grupa, której zdjęcie pani widziała, była pierwszą z tego cyklu, dlatego dobrze ja pamiętam. Rok sześćdziesiąty siódmy... Eksperymentowałem, podejmowałem nowe tropy. Nasze spotkania były inspirujące i wszyscy to czuliśmy. Moi studenci czuli się tak, jakby dokonywali odkryć wraz ze mną. Szczerze mówiąc, bez nich miałbym mniej natchnienia, z całą pewnością byłbym mniej nowatorski.

Nagle do gabinetu wkroczyła Hilda w kasku. Przyniosła napoje, o które Kerry, jeśli dobrze pamiętała, wcale nie prosiła.

- W Stanach Zjednoczonych poznałem wielkiego filozofa Herberta Marcuse'a. Wywarł na mnie olbrzymi wpływ. Teoretycznie nasze poglądy były skrajnie odmienne: podczas gdy on wypowiadał się za całkowitym wyzwoleniem istoty ludzkiej, ja nie prześtawiałem dowodzić zgubnych skutków indywidualizmu. Tylko w jednym punkcie się zgadzaliśmy, obaj odrzucaliśmy model społeczeństwa produktywnego, industrialnego i kapitalistycznego. Najbardziej uderzyła mnie popularność, jaką jego filozofia cieszyła się wśród młodych ludzi. Mniej obchodziło mnie, co mówił, najważniejsze było dla mnie to, że *nawoływał do akcji*. Jego krytyka filozoficzna otwierała drogę dla programu, nawet jeśli on sam go nie sformułował. Po powrocie do kraju, za jego przykładem,

postanowiłem nie poprzestawać na samych stwierdzeniach. Zaczęłem proponować konkretne rozwiązania.

Kerry notowała, obserwując miejsce i obmyślając operację jednocześnie. Zdawała sobie sprawę, że z tego powodu niektóre szczegóły powieści Fritscha mogły jej umknąć. Wszystkie nadzieje pokładała w miniaturowym magnetofonie, który zabrała ze sobą.

- Tematem mojego seminarium w roku sześćdziesiątym siódmym była demografia. Uznałem, że jest kluczowym zagadnieniem w relacji człowiek - przyroda. Człowiek sam w sobie nie stanowi problemu z punktu widzenia ekologii: przyroda, z którą prymitywne społeczności żyły w harmonii, dostarczała im wszystkiego pod dostatkiem. Tajemnica tej równowagi tkwiła w liczebności. Aby dary ziemi wystarczały dla wszystkich, należało utrzymywać stałą liczbę członków plemienia. Stąd rytuały, których celem było usuwanie nadwyżek; ofiary z noworodków, kastrowanie wroga, rytualny kanibalizm albo wymuszony celibat. W pewnej chwili człowiek zachwiał tę równowagę i zaczął się rozmnażać, stając się tym samym zagrożeniem dla przyrody. Potrzebował od niej więcej, niż była mu w stanie zaoferować. Po czasie obfitości na stał czas niedoboru. By poradzić sobie z tą trudnością, człowiek wynalazł rolnictwo i przemysł. Poćwiartował ziemię na parcele. Mówię skrótowo, ale jestem pewien, że to wszystko jest dla pani tak samo jasne jak dla mnie.

Kerry zrobiła minę pilnej uczennicy. Potem przypomniała sobie, że jest dziennikarką, a nie studentką, i podjęła próbę skłonienia Fritscha do bardziej odważnych wyznań.

- To, co pan mówi, nadal jest tylko stwierdzeniem. Wspominał pan o akcji...

- Zgadza się. Całe seminarium ukierunkowane było na kwestie pragmatyczne i programowe. Jak ograniczyć presję, jaką ludzie wywierają na przyrodę?

Profesor pociągnął długi łyk bardzo czerwonego płynu, który nie mógł być niczym innym niż sokiem z truskawek albo z owoców granatu. Wyjął z kieszeni chustkę i metodycznie wytarł nią usta.

- Temat wciągnął moich studentów. Prowadziliśmy pasjonujące intelektualne debaty, czuliśmy się jak w antycznej szkole filozofów...

Wypowiedziawszy te słowa, wielki człowiek dyskretnie zdusił szpazm szloch, który zdarza się starszym ludziom, kiedy są wzruszeni.

- Dzięki temu posunęliśmy się do tak daleko idących wniosków. Były zaiste rewolucyjne.

- W którym z pańskich dzieł można o nich przeczytać?

- W żadnym! - wykrzyknął Fritsch. - Nigdy nie opublikowałem tych tekstów. Na szczęście! Był koniec lat sześćdziesiątych, nurt myśli ekologicznej dopiero powstawał. Proszę sobie tylko wyobrazić, co by było, gdybym w tamtych czasach bronił tak radykalnych tez. Wyklęto by mnie.

- Na czym polegała rewolucyjność pańskich poglądów?

Gdzieś w domu rozległ się głos kukułki, która zdartym kukaniem oznajmiała godzinę.

- Że też nie pokazałem pani domu!

- Naprawdę nie trzeba. Przecież dobrze nam się tutaj siedzi.

- Ależ nalegam, będziemy kontynuować rozmowę po drodze.

Profesor był już na nogach. Także Hilda stała na progu i trzymała w rękach płaszcz i filcowy kapelusz profesora. Kerry zrozumiała, że przez grzeczność nie wypada jej zmieniać nawyków starszego pana. Codziennie o dziesiątej rano robił małą rundkę po ogrodzie i nic na świecie nie powinno mu w tym przeszkodzić. Tak pod gładką powierzchnią uprzejmości wyrastały rafy egoizmu, zdolnego niszczyć każdego, kto śmiałby za bardzo się zbliżyć.

- Ten dom należał do moich rodziców. Urodziłem się tu jako czwarty z sześciorga - wyjaśnił Fritsch, gdy przechodzili przez salon na taras, z którego następnie zeszli do ogrodu. - Z wiekiem zaczynamy rozliczać się z życia. Zdałem sobie sprawę, że poza pobyt w Ameryce oraz jednym lub dwoma krótkimi wyjazdami za granicę całe życie spędziłem tu albo w drugim domu, o którym pani wspominałem.

Całe życie z dala od świata, życie, którego rytm odmierza kukanie kukułki zegara, a urozmaica muczenie krów, pomyślała Kerry. A mimo to miał i potrafił przedstawić swoją wizję świata. Może to po prostu cecha filozofów, w każdym razie większości z nich. Kant również nigdy nie opuścił swego rodzinnego miasta...

Fritsch z dumą pokazał Kerry szklarnię, w której hodował fuksje i drzewa cytrynowe. Następnie zaznajomił ją z królikami, indorami oraz gęsiami, które zdawał się bezgranicznie kochać. Stało się to, czego się Kerry obawiała, profesor stracił wątek. Z trudem udało jej się powrócić do tematu przerwanej rozmowy.

- Nadal nie wiem, co odkrył pan w sześćdziesiątym siódmym roku. Chodzi mi o te rewolucyjne poglądy, które skreśliłyby pana w oczach krytyki.

Byli teraz na dziedzińcu. Fritsch stał z rękami wyciągniętymi w stronę gęsi. Ptaki lekko chwyciły dziobami jego palce. Wydawał się pogrążony w ekstazie, jego oczy stały się bledsze niż zwykle.

- Tak, to było dokładnie tutaj - rzekł. - Przyjechałem odwiedzić rodziców. W czasie wizyty przyszła mi do głowy niezwykła myśl. Pani rozumie, że pasjonował mnie temat...

- Temat demografii?

- Tak, niebezpieczeństwa, jakie my, ludzie, stanowimy dla przyrody, która nas stworzyła. Pomyślałem o mojej matce. Ilekroć rozważam temat przyrody, myślę właśnie o niej. To normalne, przecież nosiła mnie w swoim łonie, karmiła mnie. Matka natura!

Gęsi, kołysząc się, stapały wokół Kerry, z nadzieją, że i ona odda im swe dłonie do zabawy. Jako że nie cierpiała ptaszysk, walczyła z pokusą dokopania im w tłuste kupry. Na szczęście Fritsch, zapatrzony w swoją wizję świata, niczego nie dostrzegał.

- Ujrzałem obraz synów marnotrawnych, którzy ograbiają biedną matkę i doprowadzają ją do ruiny swymi kaprysmi. My podobnie postępujemy z matką naturą. Pomyślałem następnie, że jeden z synów eksploatował rodzicielkę, by uniezależnić się i wzbogacić. Drugi zaś pozostał niezorganizowanym i nędznym pasożytem. Który z nich, według pani, wyrządza mniej szkody matce? Bogaty? Któregoś dnia odejdzie swoją drogą, a nawet bę dzie w stanie pomóc matce, jeśli zajdzie taka potrzeba. Biedny? Pozostanie na zawsze ciężarem.

Kerry sama nie wiedziała, co ją bardziej irytowało: deptanie po gęsich kupach, których pełno miała pod nogami, czy ekologiczne parable starca.

- Profesorze, bardzo przepraszam, ale trochę zmarzłam. Czy moglibyśmy wejść do środka? Naświetli mi pan sens metafory o biednym i bogatym synu. Nie bardzo rozumiem...

- Jak to? Nie rozumie pani? - zapytał Fritsch, zamykając z zalem furtkę oddzielającą dziedziniec od ogrodu. - Zamożny syn to kraje rozwinięte i industrialna cywilizacja, biedny syn to Trzeci Świat.

Podeszli do oszklonych drzwi na tyłach domu i wytarli zabrudzone odchodami buty o wycieraczkę w kształcie jeża. Po przejściu przez kilka pokoi, trochę zdyszani, znaleźli się wreszcie w gabinecie profesora.

- Tamtego dnia pospiesznie wróciłem do siebie i zapisałem wszystkie pomysły. Nazwałem to aporią rozwoju.

- Aporią?

- To termin filozoficzny oznaczający nierozwiązywalny problem, sprzeczność nie do pokonania. Moja aporią rozwoju przedstawia się w następujący sposób: wiadomo, że przyroda cierpi wskutek cywilizacji technicznej i industrialnej. Jednocześnie ta sama cywilizacja przynosi rozwiązania problemów, których przysparza. Na przykład rozwinięte społeczeństwa charakteryzują się słabym bądź wręcz ujemnym przyrostem naturalnym. Inaczej jest w przypadku biednego syna, czyli krajów nierozwiniętych: liczba ich ludności bez przerwy rośnie. Mrowią się, nie podlegając żadnej ewolucji technicznej, a konsekwencje tego są dramatyczne: masowe karczowanie lasów, pustynnienie, rozrastanie się olbrzymich miast, w których panuje całkowita anarchia... *Nie ma sposobu, by to rozwiązać*, od kiedy ludzkość rozmnożyła się do tego stopnia. Prowadzenie tych krajów ścieżką postępu przemysłowego grozi katastrofą. Proszę tylko zauważyć, jaki bałagan i chaos sieją Chiny, które wstąpiły na tę ścieżkę. Co stanie się z naszą matką naturą, jeśli wszyscy Chińczycy, Hindusi i Afrykańczycy zaczną konsumować choćby połowę tego, co konsumują Amerykanie?

- Jak więc brzmią pańskie wnioski?

- Otóż te właśnie wnioski spowodowały fantastyczne wrzenie i pasjonujące debaty wśród moich studentów. Gdybyśmy dalej rozumowali zgodnie z tą logiką, ekologia powinna obrać sobie za cel walkę nie z bogatym, lecz z biednym synem.

Powoli fragmenty puzzli zaczęły do siebie pasować. Słowa profesora odbijały ostateczne tezy sformułowane przez Nowych Drapieżców. To tak, jakby nieokrzeseane pomysły Harrowa uszlachetniono subtelną filozofią Fritscha...

- Co pan rozumie przez sformułowanie „walka z biednym synem”?

- Najzwyczajniej na świecie to, że priorytetem ekologii nie powinno być toczenie wojny ze społeczeństwem industrialnym i produkcyjnym, nawet jeśli metody, wedle których funkcjonuje, są karygodne. Stanowi ono nieduży odsetek populacji światowej i żyje na stosunkowo niewielkiej powierzchni globu. Nieustannie zwiększa wydajność, ulepsza systemy kontroli zanieczyszczenia i recyklingu. Przemysł ukierunkowany jest w głównej mierze na dziedziny wirtualne, czyli ten najmniej lub wcale nieszkodliwy dla środowiska rodzaj produkcji. Tak naprawdę nasz industrialny model społeczny jest najmniejszym złem, pod warunkiem oczywiście, że nie będzie się rozprzestrzeniał. Natomiast biedne kraje stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo. Przodują w emisji toksycznych gazów, poprzez stosowanie zarówno elementarnych technologii, jak i tradycyjnych metod produkowania energii. Ich bardzo liczne populacje dysponujące prostymi narzędziami rolniczymi eksploatują ostatnie zachowane dziewicze rejony planety. Masakrują dziką faunę, zatruwają rzeki, handlują chronionymi gatunkami, bezmyślnie wycinają drzewa o cennym drewnie, paskudzą tysiące kilometrów wybrzeży. Ich stare samochody, napędzane ropą, rokrocznie wypluwają do atmosfery objętość dwutlenku węgla równoważną ich masie rzeczywistej.

W drzwiach bezszelestnie pojawiła się smocza sylwetka grenadiera. Fritsch porozumiał się z Hildą dyskretnym gestem.

- Zostanie pani na obiad? Jest środa, więc będą *canaderli* z serem, tradycyjne danie z południowego Tyrolu.

- Nie chciałabym robić kłopotu - wybałała Kerry.

Prawdziwym kłopotem byłoby dla profesora przegapienie pory posiłku, więc tylko kiwnął głową w kierunku Hildy.

- W takim oto klimacie toczyły się tamtego roku seminaria z moimi diabelskimi studentami - rzekł profesor z wyrozumiałym uśmiechem. - Doszliśmy do wniosku, że nie wolno pozwo-

lić, by społeczeństwo industrialne rozprzestrzeniło się na skalę światową. Oznaczało to zakwestionowanie dążenia do rozwoju. Pomaganie krajom trzeciego świata we wstąpieniu na ścieżkę szybkiego rozwoju jest działaniem uzasadnionym z ludzkiego punktu widzenia. Niestety, z punktu widzenia ochrony środowiska to samobójstwo.

Szary kocur, którego Kerry nie zauważyła wcześniej, podszedł do staruszka i zaczął ocierać się o jego nogi. W domu panowała idealna cisza, tak że słychać było delikatny odgłos zetknięcia miękkiego futra z chropowatą powierzchnią nogawek spodni.

- Stwierdziliśmy, że największym wyzwaniem jest zapanowanie nad rozrastaniem się populacji biednych krajów.

- W jaki sposób?

- Ach, proszę mi uwierzyć, debaty na ten temat były jeszcze bardziej porywające. Niektórzy opowiadali się za radykalnymi rozwiązaniami, jak na przykład koniecznością utrzymania tradycyjnej struktury społecznej w Trzecim Świecie, wodzów plemiennych, zwyczajów odziedziczonych po przodkach, mało wydajnych metod uprawiania ziemi itd. Uważali, że realizowanie tam programów medycznych jest przestępstwem, gdyż mają one na celu ograniczanie śmiertelności bez względu na przyrost naturalny, innymi słowy, sprzyjają wzrostowi demograficznemu. Podkreślali pozytywne skutki wojen lokalnych, byli przeciwni interwencji w rejonach, gdzie wybuchały pandemie albo malthuzjański kryzys z powodu przewagi liczby ludności nad ilością pożywienia. Krótko mówiąc, chcieli, by tam, gdzie nie zapanował jeszcze rozsądek, ludzkość żyła zgodnie z dawną równowagą, zachowała swą chwiejność i zależność od drapieżników. W latach sześćdziesiątych wydawało się to jeszcze możliwe. Trzeci Świat trwał w stanie stosunkowo niezmiennym i można było pozwolić mu takim pozostać.

- To dosyć... hm, śmiałe tezy. Być przeciwnym rozwojowi w czasach, gdy państwa zdobywały niepodległość?

- Zgadza się, dlatego musiałem ich trochę przytemperować. Na zakończenie seminarium oznajmiłem studentom, że nasze rozważania mają charakter czysto spekulatywny, wnioski są pasjonujące, lecz przedwczesne. Konieczna jest dalsza refleksja.

Międzynarodowa opinia publiczna nie była przygotowana na przyjęcie tych koncepcji. Już wtedy byłem uznanym myślicielem i mogłem liczyć na wyrozumiałość, nawet gdybym przesadził, jednak moją zasadą było niełamanie konsensusów.

- Co oni na to?

- Myślę że zrozumieli. Szanowali mnie i nie pozwoliliby sobie nigdy na podważenie moich wyborów.

- Czy spotkał się pan później ze studentami rocznika sześćdziesiąt siedem?

- Niestety nie. Niektórzy pisali do mnie. Wydaje mi się, że utrzymują kontakty między sobą. Nasze wspólne doświadczenie filozoficzne stworzyło silne więzi. Być może czuli się strażnikami sekretu? Przecież nigdy nie opublikowaliśmy efektu naszej pracy.

Kukułka zaanonsowała południe zachrypniętym głosem starej śpiewaczki. Kerry zorientowała się, że profesor wstał, zanim zabrzmiało pierwsze kukanie, widocznie jego biologiczny zegar funkcjonował wyśmienicie. Przeszli do salonu, którego jeden róg stanowił jadalnię. Długa drewniana ława ustawiona była wzdłuż ściany. Na białym obrusie Hilda ustawiła mnóstwo porcelanowych naczyń oraz srebrnych sztuczków, którymi Fritsch swobodnie się posługiwał.

- Może napije się pani białego wina? Pochodzi stąd. Jeden z kuzynów ma winnicę w dolinie i muszę przyznać, że klimat mu sprzyja.

Jedli w ciszy.

- A w kolejnych latach? - zapytała Kerry, gdy już ostrożnie przełknęła ostatni kęs sera.

- Zdecydowałem się na bardziej klasyczną tematykę. Nadal poszukiwałem praktycznych, ale bardziej realistycznych rozwiązań. Zajmowaliśmy się zagadnieniem niebezpieczeństwa industrialnej cywilizacji. Na chwilę zapomnieliśmy o Trzecim Świecie, bo społeczeństwa rozwinięte wcale nie są tak bardzo życzliwe środowisku: próby jądrowe, efekt cieplarniany, toksyczne odpady... W latach sześćdziesiątych prąd ekologiczny ustrukturyzował się. Wiadomo było, że mierzy w społeczeństwo przemysłowe i jego zgubną działalność. Podwaliny filozoficzne nowego nurtu

przedstawione w książce Hansa Jonasa *Zasada odpowiedzialności* zasłyszeli na całym świecie. Nagle na pierwszy plan wysunął się strach przed postępowaniem technicznym, w związku z tym ryzyko związane z zafaniem i rozprzestrzenianiem się biedy stało się kwestią drugorzędną. Wytworzyło się bardzo silne tabu moralne, które nie pozwalało wnosić oskarżenia wobec Trzeciego Świata. Seminarium z sześćdziesiątego siódmego to odległa przeszłość. To smutne, ale cóż, takie jest życie. Przystosowałem się do nowego nurtu filozofii ekologicznej i próbowałem go pogłębić.

Kerry nie słuchała, gdy Fritsch rozwekle opowiadał o tym etapie swej pracy naukowej.

- Bardzo przepraszam, że powracam do wcześniejszych czasów, ale czy na seminarium, w którym uczestniczył Rogulski, nie miał pan studenta o nazwisku Ted Harrow?

- Był Anglikiem?

- Raczej Amerykaninem z indiańskiej matki.

- Ted Harrow. Nie sądzę. Żałuję, bo bardzo chciałem mieć wśród studentów kogoś, kto opowiedziałby nam o Indianach Ameryki Północnej. Uważałem Indian za przykład ilustrujący temat odpowiedzialności ekologicznej. - Profesor zadumał się, poruszając ustami, jakby raz jeszcze wypowiadał nazwisko Harrowa. - Musiałbym zobaczyć jego zdjęcie, bo nazwiska rzadko mi coś mówią. Tylko twarze studentów nadal mam przed oczami.

Po pewnym czasie Kerry zaatakowała z innej strony.

- Moje pytanie może wydać się panu dziwne, lecz czy w pańskich rozważaniach kiedykolwiek większą rolę odegrała cholera?

- Cholera? - powtórzył Fritsch z grymasem obrzydzenia. - Po jakie лихо miałbym zastanawiać się nad takim paskudztwem!

Pomimo zbieżności, jakie idee profesora miały z koncepcjami Nowych Drapieżców, z całą pewnością nic nie wiedział o ich istnieniu ani tym bardziej nie znał sedna proponowanej przez nich akcji. Trudno było wątpić w jego szczerą w tej kwestii, zwłaszcza że żadna z jego dotychczasowych odpowiedzi nie dawała podstawy, by podejrzewać go o kłamstwo. Kerry zrozumiała, że nie był świadomy wpływu swojej myśli na Nowych Drapieżców. Kto wobec tego mógł być pośrednikiem?

Po obiedzie najprawdopodobniej profesor ucinął sobie drzemkę. Tak odczytała jego zniecierpliwienie i chęć prędkiego zakończenia rozmowy. Złożyła notatki i podziękowała.

- Teraz, gdy już jest po wszystkim, zdarza mi się czasami myśleć, że się myliłem. Zabrakło mi w tamtych latach odwagi.
- Dopiero po chwili Kerry zorientowała się, że Fritsch mówił o seminarium z sześćdziesiątego siódmego roku. - To moi studenci mieli rację. Dzisiaj jestem tego pewien.

Naraz obrócił się do Kerry i spytał:

- Słyszała pani o kapitanie Cousteau?
- Wiem tylko, kim jest.
- Niezwykły człowiek. Poznałem go osiemdziesiątym piątym na kolokwium. Jego wykład na temat cierpienia oceanów był absolutnie wstrząsający. Otóż Cousteau powiedział, a wydaje mi się nawet, że miał odwagę to napisać, że ziemi nie powinno zamieszkiwać więcej niż dwieście milionów ludzi. Gdzieś czytałem o stu milionach, gdzie indziej o pięciuset. W każdym razie ta liczba wydaje się rozsądna. Obecnie ziemia musi wyżywić sześć miliardów ludzi! W jaki sposób zapanować nad rozmnażaniem się istoty ludzkiej? To, czego nie odważyliśmy się nazwać po imieniu w sześćdziesiątym siódmym roku, stało się dziś kluczowym pytaniem dla przyszłości planety.

- Proszę doprecyzować profesorze: jak z pięciu miliardów zrobić pięć milionów?

Kerry pożałowała, że zadała to pytanie. Twarz profesora spochmurniała, jego oczy się zaczerwieńczyły. Godzina rozpoczęcia sjeisty już zapewne minęła, a wraz z nią życzliwość starszego człowieka. Odparł gniewnie:

- Wypowiadam się wyłącznie na tematy norm filozoficznych. Niech pani nie liczy na moją pomoc w precyzowaniu kwestii.

Pożegnał się tak grzecznie, jak potrafił, i opuścił ją. Kerry dostrzegła w sieni Hildę trzymającą szlafrok profesora.

II

Nowy Jork, Stany Zjednoczone

Głos w słuchawce był miły i zmysłowy, lecz jego lekkie drżenie zdradzało obawę, może nawet strach. Paul jednak miał wrażenie, że to nie jego obawiała się rozmówczyni. Od czasu do czasu urywała w połowie zdania, jak gdyby nasłuchując szmerów dochodzących z zewnątrz.

Paul przedstawił się jako dawny kolega Juliette, z czasów, kiedy przebywała jeszcze w Stanach Zjednoczonych. Wrócił niedawno z podróży po Francji, gdzie bezskutecznie próbował odnaleźć ją w Chaulmes. Sąsiad przekazał mu paczkę listów oraz ten nowojorski numer kontaktowy.

Była to nędzna przykrywka, która - prawdę powiedziawszy - przeciekała z każdej strony. Bez pomocy Providence Paul nie mógł zrobić nic więcej. Mimo iż bez zająknięcia wyrecytował swoją rolę, im dłużej mówił, tym bardziej głupio się czuł. Jednak ku jego uldze i wielkiemu zdziwieniu nieznajoma rozmówczyni, której numer podał mu Jonathan, połknęła haczyk. Rzeczywiście widziała Juliette. Niestety wyjechała już z Nowego Jorku (co było Paulowi na rękę). Czy może więc mu powiedzieć, jak się ma i gdzie jej szukać? Z przyjemnością, lecz wolałaby się z nim spotkać osobiście. Może wieczorem? Ma na imię Natasza. Wszystko udało się lepiej, niż Paul mógł przypuszczać.

Natasza wahała się co do miejsca spotkania. Mieszkała u rodziców w Rhode Island, lecz jako że byli w podeszłym wieku, nie lubili odwiedzin nieznajomych, szczególnie płci męskiej. Nie warto było tracić czasu na tłumaczenie im... Mogą się spotkać w kawiarni, tak, ale cierpiała na agorafobię i nie znosiła miejsc pełnych ludzi.

Najlepiej, jeśli Paul pojedzie do jej biura. Pracowała jako ekspert chemiczny w stowarzyszeniu ekologicznym.

- Od dawna zna pani Juliette?
- Spotkałam ją kilka lat temu w Lyonie, kiedy należała do organizacji Greenworld. Byłam na stażu u konkurencji.
- U konkurencji?
- Pechiney! - zaśmiała się.
- A obecnie?
- Pracuję dla czcigodnego, amerykańskiego stowarzyszenia ochrony przyrody SACN. Słyszał pan o nim?

Paul czytał coś o SACN w dokumentacji zebranej przez Providence. Towarzystwo było wizytówką ekologii reformistycznej. Powstało pod koniec dziewiętnastego wieku i stanowiło jedno z głównych narzędzi lobbingu w relacjach z ministerstwami. Władze traktowały je jako quasi-oficjalnego partnera na równi z Czerwonym Krzyżem albo Amerykańskim Stowarzyszeniem Broni Palnej.

- O której mam podjechać?
- Hm... pracuję z trzema innymi osobami, więc staramy się wszyscy unikać prywatnych rozmów w biurze. - Z całą pewnością tłumaczyło to skrępowanie Nataszy, jakie Paul wyczuwał przez telefon. - Najlepiej będzie, jeśli spotkamy się wieczorem po wyjściu moich współpracowników.

Umówili się o ósmej.

- Ale uwaga! Nie pracuję w siedzibie przy Czwartej Alei. Departament naukowy mieści się w niewielkim wieżowcu położonym na zachodnim brzegu Hudsonu. Przyjedzie pan samochodem?

- Taksówką.
- W takim razie proszę zadzwonić do mnie na komórkę, gdy będzie pan na miejscu.

Natasza podyktowała swój numer telefonu.

- Główne wejście będzie już zamknięte, wejdzie pan przez garaż.

Paul spędził cały dzień w łóżku w pokoju hotelowym. Przeczytał wiadomości z Providence, które zdążyły się nagromadzić przez kilka ostatnich dni. Pootwierał wszystkie załączniki, z którymi powinien był już dawno się zaznajomić, by dotrzymać tempa Kerry. Od czasu ich ostatniej rozmowy z Archiem nie było nowych

wiadomości z agencji, gdy zaś zadzwonił do Tycena, mówił tylko o pogodzie.

Starsze wiadomości nie zawierały nic nowego poza uzupełniającą listą członków grupy Harrowa. Oprócz czterech znanych już Paulowi i Kerry pracownicy Providence namierzali sześciu kolejnych. Dwóch mężczyzn pracowało jako dziennikarze telewizyjni, jeden pracował dla firmy Nike w Pekinie, dwóch innych było pracownikami biurowymi na wschodnim wybrzeżu, a jedna kobieta zatrudniona była w SACN...

Nie nazywała się Natasza, lecz Klara, nie była też z wykształcenia chemikiem, lecz inżynierem rolnictwa. Niemniej jednak Paul był przekonany, że to ona umówiła się z nim na wieczorne spotkanie. Tym bardziej niecierpliwie wyczekiwał ósmej i tego, czego dowie się od tej pierwszej członkini grupy Harrowa, z jaką dane mu będzie spotkać się osobiście.

Rozstając się, Paul i Kerry zakupili w Turynie dwa telefony komórkowe na fałszywe nazwiska. Tylko oni znali swoje numery. Paul wyjął z portfela kartę SIM, włożył do swojego aparatu i wykrecił numer Kerry. Umówili się, że zadzwonią do siebie o dwudziestej drugiej czasu nowojorskiego, więc było jeszcze za wcześnie. Włączyła się automatyczna poczta głosowa. Paul nagrał się, mówiąc, że zadzwoni po spotkaniu i że wszystko jest u niego w porządku.

Miał kłopoty ze złapaniem taksówki. Mżyło i nowojorczyrzy zdobywali je szturmem. W końcu udało mu się zatrzymać haitańskiego pasjonata piłki nożnej. Wywiązała się rozmowa, i kierowca nie spuszczał oka z lusterka wstecznego, z rzadka i tylko na wszelki wypadek spoglądając na to, co działo się przed przednią szybą. Paul musiał przerwać tyradę na cześć Ronaldinho, by zadzwonić do Nataszy. Poinformował ją, że jest niedaleko wieżowca. Kazał wysadzić się budynek wcześniej, tak by Natasza zdążyła zejść i otworzyć mu drzwi do garażu. Krótki spacer pozwolił mu przewietrzyć uszy po hałaśliwym zouk, który przymusowo chłonał, siedząc na tylnym siedzeniu taksówki.

Budynek, w którym mieściło się SACN, był oświetlony, pomimo późnej pory. Paul zawahał się przez chwilę. Dlaczego powiedziała mu, że wejście główne będzie zamknięte, skoro wyglądało na to,

że wielu pracowników nie opuściło jeszcze biur? Zdawało mu się nawet, że widzi człowieka wychodzącego na ulicę przez duże oszklone drzwi. Potem pomyślał, że Natasza miała zapewne swoje powody. Nie miał zresztą czasu zastanowić się nad tym, bo oto nagle usłyszał szczęk metalowej bramy garażowej. Zamigotało małe żółte światelko. W głębi parkingu dostrzegł w ciemności kobiecą sylwetkę. Pomachała do niego. Patrząc pod nogi i uważając, by się nie pośliznąć na tłustych plamach oleju, które pokrywały betonową rampę, Paul wszedł na mroczny podjazd. Był w połowie drogi, gdy z boku zauważył coś w rodzaju wystającego muru, zapewne śmietnika. Od kilku minut walczył z irracjonalnym poczuciem, że popełnia błąd, że nie zabezpieczył się odpowiednio, nie zadbał o podstawowe środki ostrożności, nadal jednak schodził po podjeździe. To, co nagle nastąpiło, zamiast go przerazić, przyniosło mu paradoksalne uczucie ulgi, że intuicja go jednak nie zawiodła. Było już jednak za późno. Dwie zamaskowane postaci doskoczyły do niego, poczuł zimny dotyk lufy na karku. Człowiek po jego lewej stronie wykręcił mu ramiona do tyłu i popchnął przed siebie. Dziewczyna zniknęła. Zgasł również czasowy włącznik światła. Zmuszony przez napastników szedł naprzód, w zielonkawym świetle neonów wskazujących wyjścia awaryjne. Popchnęli go w kierunku ciemnej terenówki zaparkowanej przodem do podjazdu. Bagażnik samochodu był otwarty. Zakneblowali mu usta i wepchnęli do bagażnika. Paul skulił się, by uniknąć uderzenia klapą. Potem usłyszał odgłos zamykanych drzwi i warkot silnika. Na zakręcie blacha z trzaskiem uderzyła o ziemię. Paul przez chwilę widział żółte światło przy bramie parkingu, rozróżniał też światła neonów, pomarańczowe aureole latarni, błysk światel postojowych. Samochód pędził drogą szybkiego ruchu.

Tyrol, Austria

Kerry jechała do Innsbrucka trasą wiodącą przez doliny. Z piśkiem opon na wilgotnym asfalcie pokonywała dziesiątki zakrętów. Okolicę zalewały promienie słoneczne, które na zmianę

z gwałtownym deszczem przebijały chmury ponad szczytami. Trawa alpejskich hal miała kolor absyntu, albo podobnej, równie upajającej zieleni.

Automatyczne i powtarzające się gesty towarzyszące kierowaniu samochodem uwalniały umysł. Kerry myślała o dzieciach, Robie, o swoim zamożnym i wygodnym życiu, przyjaciółach spotykanych przed szkołą, którym nawet do głowy nie przyszłoby, co teraz przeżywała. Powróciła ekscytacja, jaką wzniewał w niej pościg, i odkrycie tego, co zgodnie z jej przypuszczeniami stanowiło epicentrum afery i ukryte źródło przedsięwzięcia: to Fritsch ze swoją dobrocią i słowami mordercy. Następnie pomyślała o Paulu, o ich spotkaniu w Odessie, o operacji, o Providence. Ta właśnie druga rzeczywistość, drugie oblicze jej życia, niczym bicz budziło jej uszpanowaną świadomość, przeistaczało rutynę w wyjątkowość, dobrobyt w szczęście, bliskie osoby w dalekie byty, za którymi tęskniła, i które pragnęła zobaczyć, kochając je po powrocie jeszcze bardziej, jakkolwiek przed wyjazdem wydawałoby się jej to niemożliwe.

W Innsbrucku zatrzymała się w starym, bardzo drogim i eleganckim hotelu. Uznała, że samotna Amerykanka mniej będzie zwracała uwagę w tak luksusowym otoczeniu niż w skromnym pensjonacie w weekendy wypełnionym rodzinami. Tak naprawdę miała ochotę sprawić sobie przyjemność; przygotować długą kąpiel, wyciągnąć się na miękkim łóżku, na starannie wyprasowanej pościeli. Zrobiła wszystko, jak zaplanowała, i zasnęła.

O dziewiątej wieczorem obudził ją głód. Zamówiła do pokoju omlet z sałata. To proste danie wraz ze wszystkimi akcesoriami zajmowało cały stolik na kółkach: talerze, solniczka, pieprzniczka, chleb, masło, nakrycia, przyprawy, serwetka i tak dalej. Pulchna pokojówka wjechała z nim na środek pokoju. Następnie energicznie wytrzepała poduszki oraz kołdrę, zaciągnęła zasłony, położyła na łóżku czekoladkę zawiniętą w złotko i zniknęła bez słowa.

Kerry przerzuciła kilka kanałów telewizyjnych, przez chwilę oglądała CNN: Irak, strzelanina w szkole w Newark, kolejny stan, w którym zalegalizowano małżeństwa homoseksualne. Innymi słowy, rutyna. Wyłączyła telewizor.

Paul mógł w każdej chwili zadzwonić. Zastanowiła się nad decyzjami, jakie powinni podjąć. Poczeka, aż opowie jej o swoich

odkryciach. Wedle najlepszego scenariusza Paul odnalazł Juliette i Kerry dołączy do niego. W ten sposób niedługo znowu będą działać razem. W przypadku impasu na tym froncie zajmą się tropem, jaki otworzyło spotkanie z Fritschem.

To zaś obfitowało w liczne znaki zapytania. Bez wątpienia grupa Harrowa powiązana była intelektualnie, a może nawet bezpośrednio z seminarium z sześćdziesiątego siódmego roku. Zapis seminariów nigdy nie został opublikowany, więc pośrednikiem musiał być jeden ze studentów profesora. Najpoważniejsze podejrzenie padało na Rogulskiego. Kerry powoli przyznawała Paulowi rację *co* do tego, że akcja we Wrocławiu miała charakter dywersyjny. Jeśli Rogulski był faktycznie wplątany w aferę, włamanie do jego laboratorium było sposobem pozostawienia go poza podejrzeniami, w roli ofiary, a nie winnego.

Mimo to Rogulski sam w sobie nie był kluczem do zagadki. Wsparcie, jakiego udzielił grupie Harrowa, mogło być istotne w sensie intelektualnym. Dostarczył im też prawdopodobnie substancji zakaźnej koniecznej do realizacji projektu. Jego życiorys wykazywał jednak, że dysponował bardzo skromnymi środkami finansowymi. Po upadku komunizmu przez jakiś czas klepał biedę. Nie byłby w stanie pełnić roli mecenasa Nowych Drapieźców. Do układanki nadal brakowało elementów.

Ponadto pójście tropem Rogulskiego stanowiło pewną trudność, gdyż nie było przeciwko niemu realnych dowodów. Kolejna przejażdżka do Polski oznaczała stratę czasu i niepotrzebne ryzyko. Rozsądniej będzie więc skoncentrować się na bieżących wydarzeniach. Harrow był już w posiadaniu szczepów niebezpiecznego przecinkowca. Priorytetem było więc to, by mu uniemożliwić posłużenie się nimi. Najważniejsze pytania były proste: gdzie i kiedy? Kiedy zaatakuje? Było to niemożliwe do przewidzenia, chyba że Paul odnalazł dziewczynę. Gdzie zamierzał rozprzestrzenić nosiciela śmierci? Kerry była przekonana, że odpowiedź znajdzie u Fritscha. Ze zdjęcia pamiętała Chińczyka, dwóch mężczyzn o indyjskich albo pakistańskich rysach, a także małą grupkę latynoamerykańską. Zasadniczy klucz do zagadki był właśnie tam. Miała sobie za złe, że od razu nie odwróciła fotografii, by przeczytać zapisane na niej nazwiska. Potrafiła zapamiętywać

słowa widziane tylko przez kilka sekund. Od jednego być może dotarłaby do pozostałych. Nie zrobiła tego jednak. Będzie teraz czekać na odbitkę. Fritsch obiecał wysłać ją DHL-em w ciągu trzech albo czterech dni. Podała mu adres koleżanki, Trący, tej samej, która pracowała w klinice Paula. Pozostawało jej czekać, a tego nienawidziła z całego serca.

Siedząc w fotelu przed nakrytym stołem, Kerry zupełnie nieświadomie zapadła w drzemkę. Głośny dzwonek telefonu brutalnie przywołał ją do rzeczywistości. Miała obok siebie telefon, na który miał zadzwonić Paul. Dzwonił jednak telefon przeznaczony do kontaktowania się z Providence. Od oficjalnego zakończenia operacji nie powinien się już przydać. Tego popołudnia ze zdziwieniem dwukrotnie odebrała głuchy telefon. I tym razem ktoś do niej dzwonił z zastrzeżonego numeru. Nacisnęła guzik z symbolem zielonej słuchawki i nie odzywając się, czekała z aparatem przy uchu. Ktoś się jednak odezwał.

- Proszę wstać i podejść do okna.

Był to głos Archiego, który mówił z brooklińskim akcentem bez cienia brytyjskiej uprzejmości. Był wściekły do granic możliwości.

- Ależ...

- No dalej, na Boga. Jest tam pani? Widzi pani ulicę?

Kerry wstała i odsunęła ciężkie podwójne kotary. Z okna widziała dziedziniec hotelu. Mokra chodniki lśniły w żółtej poświacie. Metalowa balustrada wzdłuż brzegu górskiej rzeki rysowała się wyraźnie na tle czarnej połyskującej wody.

- Jest już pani przy oknie czy nie?

- Tak.

- Widzi pani faceta w czarnym kapeluszu?

O tej porze na brzegach kanału nie było prawie nikogo. Jakaś para przeszła, trzymając się za ręce. Niski człowieczek spacerował z psem.

- Nie.

- Niech się pani lepiej przyjrzy...

Wychyliwszy się nieco na lewo, Kerry dojrzała wysokiego mężczyznę w płaszczu z gabardyny i filcowym kapeluszu, prosto z filmu *Trzeci człowiek*.

- Już go widzę.
- Proszę dać znak.

Kerry usłyszała dźwięk na drugim końcu kabla. Mężczyzna także słuchał rozmowy. Zobaczyła, jak unosi głowę, dotyka ręką runda kapelusza i macha w stronę okna.

- Widziała go pani?
- Tak.
- To niech pani teraz usiądzie i posłucha.

Kerry wolno podeszła do łóżka i przysiadła na skraju. Rozumiała już głuche telefony tego popołudnia. Namierzyli ją za pomocą telefonu komórkowego. Gdy zadzwonili pierwszy raz, była w samochodzie. Za drugim razem - wjeżdżała do Innsbrucka.

- Moi ludzie są również w holu i na tyłach hotelu. Radzę nie wychodzić nigdzie bez wcześniejszego uzgodnienia ze mną. Do kogo pani tu przyjechała?

Kerry zawahała się. Czy Tycen powiedział Archiemu o swoich odkryciach związanych z Rogulskim i Fritschem? W każdym razie znalazła się w sytuacji, w której, udając idiotkę, nic nie traciła.

- Proszę mi odpowiedzieć. Do kogo pani tu przyjechała?
- Do Mozarta.

Na drugim końcu przewodu wrzało. Wściekłość najpierw pozbawiła Archiego jego oksfordzkiego akcentu, teraz zaś zabrakło mu nawet nowojorskich przekleństw. Dźwięki, jakie z siebie wydawał, przypominały zachrypnięte sapanie. Słowa powróciły powoli:

- Od teraz nigdzie się pani nie ruszy. Czy to jasne? Nigdzie. Chłopcy na dole tego dopilnują. Proszę nie próbować ich przechytrzyć, wypożyczyła mi ich miejscowa agencja bezpieczeństwa i nauczeni są najpierw uderzyć, potem dopiero rozmawiać. I w niczym nie pomoże tu pani anielska buźka.

- Potraktuję to jak komplement. Zatrzymałam się w bardzo przyjemnym hotelu i nie mam najmniejszego zamiaru go opuszczać.

- Akurat! - Archie zaklął pod nosem. - Zważywszy na to, co wyprawia pani przyjaciel, nie uwierzę, że odwiesiliście rękawice.

Na wzmiankę o Paulu Kerry zadrżała.

- Co takiego zrobił?

- „Co takiego zrobił?" Żartuje sobie pani?

Archie powtórzył zdanie, przedrzeźniając Kerry, co pomogło jej pozbyć się resztek skrupułów.

- Tego już za wiele, stary wieprzu! Powiesz mi, co się przytrafiło Paulowi, czy nie?

Pomimo obelgi, a może właśnie dzięki niej, Archie odzyskał równowagę i w jego ustach na nowo zagościł brytyjski akcent.

- Hm, otóż po przylocie do Nowego Jorku wcale nie udał się do Atlanty, lecz popędził węszyć u nowojorskich ekologów. I to nie byle jakich, niech mi pani wierzy. Najbardziej zasłużone, szanowane, najbardziej wpływowe z amerykańskich towarzystw ochrony przyrody. A obiecał mi, zresztą tak jak i pani, że przerwie dochodzenie. Dał mi swoje słowo...

- Co takiego się stało?

- Zastanawiam się, czy mi nawet nie przysięgał...

Archie znowu zaczął wrzeszczeć. Kerry przerwała mu ostrym pytaniem:

- Co mu się przydarzyło, do cholery? Powie mi pan wreszcie?

- Dał się złapać. Na dodatek dał się złapać.

Kerry wyobraziła sobie, jak przy tych słowach Archie wznosi oczy ku niebu, biorąc Boga za świadka.

- Kto go złapał?

- Strażnicy amerykańskiego towarzystwa ochrony przyrody. Nielegalnie wdarł się do ich siedziby. Wyobraża to sobie pani? Najpierw przyrzeka, że przerwie śledztwo w sprawie radykalnych ekologów, a potem co? Zabiera się do umiarkowanych działaczy, ludzi, którzy nie skrzywdziliby muchy, i którzy co roku sprzedają losy na loterię Amerykanom z najwyższych sfer!

- Niemożliwe.

- Jak to niemożliwe? Śmie pani zaprzeczać faktom?

- Paul miał tam z kimś spotkanie. Oficjalne spotkanie.

- No proszę, wróciła pani pamięć.

- Umówił się z dziewczyną, której namiary dał nam student z Lyonu.

- W takim razie po drodze zmienił zdanie. Wykorzystał spotkanie, by powęszyć. Trudno odgadnąć, co mu strzeliło do głowy. Nigdy nie powinienem był mu zaufać. Jest równie nieprzewidy-

walny jak pani! - Kerry milczała dłuższą chwilę. - Jest tam pani? - upewnił się Archie.

- Tak. Kto poinformował pana o ujęciu Paula?
 - Jak to kto? Sama CIA. W ramach ukoronowania akcji! Wie pani, jak to możliwe? Mają swojego człowieka w prywatnej agencji ochrony, która wynajmuje SACN. To dawny kolega z Firmy, który z przyjemnością...
 - A policja? A FBI?
 - Na razie, o ile się orientuję, nikt nie powiadomił policji.
 - W takim razie Paul jest cały czas przetrzymywany przez służby ochroniarskie towarzystwa... Nie wydaje się to panu dziwne?
 - Może być pani pewna, że w tym momencie dział prasowy SACN przygotowuje zgrabną informację dla policji: będą znowu apelować o wolność i swoje prawa, i odegrają rolę ofiary podłych prześladowań. Zadbają też o to, by w telewizji zaczęli ich bronić słynni piosenkarze i gwiazdy kina.
 - Bronić? Ale przed kim?
 - Pewnie się teraz nad tym zastanawiają. Strażnicy, którzy mają go w garści, zapewne go przesłuchują. Jeśli nic z niego nie wydobędą, oskarżą władze federalne, które nigdy mi nie wybaczą. A jeśli im powie o nas, runie prywatne szpiegostwo i inne bzdury, nie będę ich pani tłumaczył... w obu jednak wypadkach oznacza to koniec dla Providence.
 - Czyli w tej chwili Paul nadal przetrzymywany jest przez strażników organizacji?
 - Na to wygląda.
 - Nie mógłby pan się z nimi dyskretnie porozumieć?
- Archie roześmiał się kpiąco.
- Za kogo mnie pani uważa? Już próbowałem. Tak się składa, że szefem agencji ochroniarskiej jest jeden z moich dawnych współpracowników. To stare dzieje, ale jestem pewien, że mnie pamięta...
 - Wspaniale!
 - Pamięta mnie... bo wywaliłem go z Firmy za sprzeniewierzenie kapitału.
 - Co zamierza pan zrobić?

- Czekać, na Boga! Pani drogi Paul został złapany wczoraj wieczorem, czyli niecałe dziesięć godzin temu. Według mnie jutro rano oddadzą go w ręce policji. Chyba że poczekają do popołudnia, tak by wiadomość została podana jako pierwsza w wieczornym wydaniu dziennika telewizyjnego. Trzeba pamiętać, że w aktualnym kontekście przedwyborczym ekolodzy sprzyjają kandydatowi demokratów. Jeśli dobrze to zaplanują, incydent może przekształcić się w niezłą akcję polityczną, taka afera Watergate na zielono.

Tak, tylko błyskotliwa uwaga mogła zahamować potok wściekłych słów Archiego. Przez chwilę z lubością medytował nad sformułowaniem.

- Otóż to - powtórzył - afera Watergate na zielono. - Raptem przypomniał sobie okoliczności rozmowy i dodał ze złością: - A to wszystko dlatego, że odmówił wykonania mojego polecenia.

Kerry milczała. Archie potrzebował znaleźć sobie ofiarę, która by była w jego zasięgu, więc podsumował:

- Niech się pani nigdzie nie rusza i czeka na moje polecenia.
Odłożył słuchawkę.

III

Innsbruck, Austria

Kerry szwendała się po pokoju. Przenosiła się z łóżka na fotel lub odwrotnie, szła do łazienki, by poprzeglądać się w lustrze. Czasem podchodziła do okna, by zza zasłony zerknąć na ulicę, gdzie mężczyzna w kapeluszu wciąż tkwił w tym samym miejscu.

Czas sprawił, że Kerry wyidealizowała wspomnienia o fachu tajnego agenta. W pamięci zachowała wyłącznie wznioste chwile i ekscytację rodzącą się pod wpływem strachu i akcji. To, co się właśnie działo, pozwoliło jej powrócić na ziemię. W większości wypadków przeszkody, jakie na swojej drodze napotykały tajni agenci, biorą się nie z działań wroga ani ze szlachetnych powodów, lecz powstają w wyniku drobnych administracyjnych utrudnień, waśni pomiędzy siatkami szpiegowskimi, wykretów szefostwa albo konkurencji. Niemal każda akcja, w której Kerry brała udział, kończyła się frustrującym odwołaniem i niezrozumiałym rozkazem wycofania się. Niegdyś rywalizacja na linii Wschód-Zachód dostarczała logicznych wyjaśnień, należało bowiem brać pod uwagę drażliwość polityczną, która wymagała kompromisów i negocjacji w celu uniknięcia interwencji wojska. Jednak zimna wojna była przeszłością i Kerry zdawała sobie sprawę, że aktualne praktyki nie miały z nią nic wspólnego. Obrzydliwe zwyczaje wynikały z tego, że na czele zespołów odważnych ludzi stali tchórze i nieudacznicy. W tym środowisku przeżyć mogli jedynie bierni mistrzowie dyplomacji, których uosobieniem był właśnie Archie.

Około drugiej zadzwoniła do dzieci. Dowiedziała się, że mała Julia znalazła nową koleżankę, a jej braciszek Dick uczył się grać w baseball. Rob wyjechał na dwa dni do San Francisco, więc porozmawiała chwilę z Sue, opiekunką dzieci.

Odłożyła słuchawkę i wyciągnęła się na łóżku. Ze wzrokiem utkwionym w stiukach na suficie zatopiła się w marzeniach. Martwiła się o Paula i szukała sposobu, w jaki mogłaby mu pomóc. Jednocześnie kipiała czułością wobec wszystkich tych, których kochała. Ta czułość była w niej, gdy rozmawiała z dziećmi, budziła też tęsknotę za głosem Roba. Kerry pomyślała, że jest jak planeta uczuć, na której swe miejsce mają także strach, pogarda i nienawiść. Na planecie rysowały się lądy: kontynent Paula, Roba, Julii i Dicka, przyjaciół i rodziców. Każdy ląd miał swój wyjątkowy kształt, rzeźbę terenu, zatoki i przesmyki. Wszystkie dzieliły wspólny los; jeśli jeden z nich cierpiał, inne drgały konwulsyjnie.

W końcu zasnęła. Gdy rozległ się dzwonek telefonu, Kerry nie od razu uświadomiła sobie, skąd pochodził hałas. Bez wątpienia znowu dzwonił Archie. Niespiesznie ruszyła w stronę telefonu, gdy nagle zdała sobie sprawę, że to sygnał telefonu zakupionego razem z Paulem. Tylko on znał ten numer. Rzuciła się w kierunku porzuconych na krzesła dżinsów. Wyjęła z kieszeni aparat i chwilę przyglądała mu się. Dzwonił Paul czy jego ciemniejszy?

Sprzeczne hipotezy zakotłowały się w jej głowie. Wreszcie odebrała telefon.

- Kerry? - usłyszała głos Paula.

Pozostała czujna. Czy powinna się odezwać? Czy Paul dzwonił na polecenie swych strażników?

- Kerry, słyszysz mnie?

- Tak.

- Słuchaj, nie mam teraz czasu opowiedzieć ci, co się stało, ale mam mały problem.

- Co jest?

Kerry nadal miała się na baczności.

- Zadzwoń na numer podany przez francuskiego studenta. Dziewczyna umówiła się ze mną. Gdy przyszedłem na miejsce spotkania, grupa mięśniaków mnie dopadła i porwała.

Kerry uśmiechnęła się: Paul nie wyjawiał od razu, że był już wolny, gdyż nie wiedział, że ona o wszystkim została już poinformowana.

- Udało ci się uwolnić? - przerwała mu.

Usłyszała śmiech Paula.

- Moi porywacze nie byli zbyt profesjonalni. Chcieli mnie zmusić do zeznań, a następnie oddać w ręce policji. Udało mi się ich zwieść.

Kerry miała ochotę płakać, choć czuła, że to głupie. Po strasznej burzy kontynenty w jej sercu jaśniały w słońcu.

- Gdzie cię zabrali?

- W głąb Bronksu. Gdy im zwiąłem, przez dwie godziny kluczyłem po dzielnicy, chcąc uniknąć patroli policyjnych. Nie sądzę, by zadowolilo ich jakiegokolwiek wytłumaczenie mojej obecności w Bronksie w środku nocy.

- I nie zabrali ci telefonu? - podejrzliwie spytała Kerry.

- Nie miałem go ze sobą. Zostawiłem telefon w hotelu razem z koszulami i kartą kredytową.

- Gdzie teraz jesteś?

- Na parkingu przy wylocie z Nowego Jorku od strony New Jersey. Siedzę w wynajętym samochodzie.

Paul był w szampańskim nastroju uciekiniera, któremu udało się wydostać z więzienia i którego pobudziły pościg i niebezpieczeństwo. Wciąż jeszcze panował nad swymi ruchami, lecz nie miał pewności, ile potrwa ten stan upojenia wolnością.

- Jesteśmy na dobrej drodze, Kerry. Osoba wskazana przez Jonathana to z całą pewnością ktoś z grupy Harrowa.

- Dlaczego tak sądzisz?

Paul opowiedział jej o dziewczynie, z którą się umówił w SACN, oraz o zbieżności faktów z informacjami nadesłanymi z Providence.

- Jesteśmy tak blisko celu! Harrow to czuje i się boi. Bo jak inaczej wytłumaczyć sidła, jakie na mnie zastawił?

Kerry wyobraziła sobie świt w New Jersey i zieleniejące wierzchołki wierzb oraz ich pnie spowite jeszcze w nocne ciemności. Wyobraziła sobie Paula za kierownicą, bardziej niż dotąd gotowego do walki, z nieco pochyloną głową i wyzywającym uśmiechem, który malował się na jego ustach, ilekroć zbliżała się chwila uderzenia.

- Mieli zamiar oddać mnie w ręce FBI, udając, że myszkowałem po siedzibie SACN. Niezły pomysł, nie uważasz? Najpierw jednak chcieli mnie przesłuchać. Z ich pytań wynikało, że wiedzieli mniej

więcej wszystko o etapie, na jakim znajduje się dochodzenie. Wiedzą o moim spotkaniu z Rogulskim, matką Harrowa, o naszej wyprawie do Lyonu. Wygląda na to, że wiedzą również, że rozszyfrowaliśmy ich plan związany z cholerą. Mają dużo informacji. Myślę, że także o tym, kim jesteśmy i dla kogo pracujemy.

- Dlaczego więc cię przesłuchiwali?

- Mam wrażenie, że chcieli dowiedzieć się więcej o Providence. Próbowali wydusić ze mnie, kto kazał nam kontynuować śledztwo pomimo rozkazu CIA o zaniechaniu. Nic nie wspominali o Archiem, ale być może to o niego im chodzi.

- W jaki sposób się im wymknąłeś?

- Grałem na zwłokę. Zrozumiałem, że mają tylko kilka godzin czasu. Aby ich plan się powiódł, powinni odstawić mnie do siedziby organizacji przed jej otwarciem i wtedy zaalarmować policję. Przeczynałem to i w czasie przesłuchania byłem twardy. O czwartej nad ranem przerwali przesłuchanie i zapakowali mnie do samochodu. Przez pół godziny byłem w nim sam, więc uciekłem. Przepadłem w terenie.

Kerry od początku ich rozmowy chciała oznajmić Paulowi, w jakiej sytuacji się znalazła, lecz on rozgadał się i nie dał sobie wejść w słowo.

- Skoro im uciekłem, bez wątpienia przyspieszą akcję. Jestem pewien, że zechcą przejść do działania tak szybko, jak tylko możliwe. My też musimy zwiększyć tempo. Spróbuję odnaleźć Juliette w jakiś inny sposób. A jak tobie się powiodło? Czego dowiedziałas się od Fritscha?

- On ma klucz do zagadki. Jestem o tym przekonana. Bardzo wiele sygnałów wskazuje na małą grupę studentów profesora. Ale...

- Pysznie! Masz ich nazwiska?

- Wiem, gdzie je znaleźć. Ale Paul...

- Genialnie. A więc do dzieła. Jesteś na dobrym tropie.

- Paul, posłuchaj mnie przez chwilę!

- Słucham cię.

- Jestem uwięziona w Innsbrucku. W hotelu. Na ulicy stoją uzbrojeni faceci i pilnują każdego wyjścia.

- Jak to możliwe...?

- To Archie. Zadzwoił do mnie wczoraj wieczorem. Wiedział, że zostaniesz oddany w ręce FBI.

- Kto go o tym uprzedził?

- Podobno CIA.

- Ale skąd CIA mogła mieć takie informacje?

- Mają swojego człowieka wśród strażników SACN-u.

- Tak ci powiedział? Archie twierdzi, że CIA przeniknęło ochronę budynku?

- Zgadza się.

Paul zamilkł na chwilę. Połączenie zakłócały trzaski i skrzypienie, lecz Kerry słyszała jego przyspieszony oddech młodego byka gotowego do natarcia.

- Co jest nie tak, Paul?

- To, że moi porywacze *nie byli* z ochrony SACN.

- Jesteś tego pewien?

- O tej porze budynek nie jest strzeżony. Ochrona przyjeżdża wyłącznie na wezwanie telefoniczne albo w przypadku alarmu. Miałem wejść do budynku przez bramę garażową, którą za pomocą swego identyfikatora otworzyła dla mnie Natasza, znajoma Jonathana. Goście, którzy na mnie napadli, nie pracowali na miejscu. Tak wynikało z ich rozmowy. To Natasza ich wpuściła i ukryła w garażu. Ostro ruszyli ze mną w bagażniku. Z tego, co zrozumiałem, zamierzali przywieźć mnie z powrotem o szóstej trzydzieści rano. Wówczas Natasza miała zadzwonić po ochronę i udać, że razem z kolegą wcześniej przyszli do pracy i zastali mnie w trakcie myszkowania po budynku. Zresztą nieważne. Jedno jest pewne, ochrona w żaden sposób nie mogła wiedzieć, co działo się na przesłuchaniu, gdyż po prostu nie byli jeszcze o niczym poinformowani.

- Chcesz powiedzieć, że skoro CIA wiedziała o twoim pojmaniu, to dlatego, że przeniknęli... grupę Harrowa?

- Rzeczywiście byłoby to wytłumaczenie.

- To by tłumaczyło, dlaczego kazali Archiemu przerwać śledstwo! Są już na tropie Harrowa i nie chcą, byśmy deptali im po piętach.

Paul intensywnie myślał.

- To najbardziej prawdopodobna hipoteza.

- A widzisz inną?
- A może to... - rzekł Paul zamyślony - ktoś z CIA chroni Harrowa?

Potworność tego przypuszczenia sprawiła, że oboje zamilkli, wążąc jego konsekwencje. Zmęczenie Kerry zniknęło bez śladu. Udzielił się jej entuzjazm Paula. Naga, z telefonem przy uchu, chodziła w tę i z powrotem po pokoju.

- Nie mamy wyboru - Paul przerwał ciszę - musimy absolutnie brnąć w to dalej. Nie możemy zdać się na kogoś innego i czekać, aż za nas zapobiegnie katastrofie.

- Daj mi czas do jutra wieczór. Dowiem się czegoś więcej o tamtej grupie studentów Fritscha. W nich cała nasza nadzieja.

- Powiedziałaś, że nie możesz ruszyć się z hotelu.

- Czyżbyś zapomniał, że przeszliśmy to samo szkolenie? Na dodatek to ja miałam lepsze oceny z technik przeżycia we wrogim środowisku.

- OK - zgodził się Paul. - Zadzwoń do ciebie jutro wieczorem.

- A ty co zamierzasz zrobić? Będziesz szukał dziewczyny?

- Tak, ale najpierw spróbuję dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja w Providence.

- Jeśli ktoś z nas coś odkryje, drugie natychmiast do niego dołącza. Tak bardzo chciałabym być już z tobą, Paul!

Podrygi przedwstępnych rozgrywek mieli daleko za sobą, a ich rozłąka trwała zdecydowanie za długo. Oboje pragnęli jak najszybciej znaleźć się razem i wspólnie dzielić przeżycia. Ta potrzeba była jak olbrzymia dawka energii.

Było już jasno, gdy Paul odłożył słuchawkę. Ruszył z piskiem opon i pomknął w kierunku klifów Rhode Island.

Rhode Island, Stany Zjednoczone

Barney ożenił się późno. Był już po czterdziestce, gdy poślubił Salehwork, Etiopkę młodszą o piętnaście lat. Poznali się na seminarium zorganizowanym przez Bank Światowy. Przez pięć lat

po opuszczeniu CIA pracował w Waszyngtonie jako szef ochrony międzynarodowej instytucji finansowej. To tam dopadł go Archie, gdy rozpoczął przygodę z Providence.

Salehwork była młodą ekonomistką w Banku. Specjalizowała się w dziedzinie kredytów dostosowawczych. Przybyła do Stanów Zjednoczonych jako mała dziewczynka wraz z rodzicami, którym udało się wyrwać z sidła czerwonego terroru, jaki nastał w Etiopii po rewolucji 1974 roku. Barney nie potrafiłby tego prawdopodobnie wytłumaczyć, lecz poślubiając Salehwork, poczuł się bezpieczniej. Tak jakby ich związek położył kres cierpieniu i niedosytowi związanemu z kwestią tożsamości Amerykanów afrykańskiego pochodzenia. Dzięki żonie Barney przestał szarpać się pomiędzy kontrowersyjną przeszłością, zakorzenił się bowiem w Afryce, która nie miała nic wspólnego z handlem niewolnikami i kolonizacją, lecz była dziewicza, dumna i cesarska, zakotwiczona w wieczności.

Salehwork uosabiała w jego oczach wyniosłą niezależność rodzinnej Abisynii. Barney uwielbiał, kiedy ubierała się w tradycyjną białą togę. Wkładała ją, ilekroć udawała się na nabożeństwo koptyjskie. Tego ranka odwiózł ją wraz z ich dwiema córeczkami, ośmio- i dziesięcioletnią, do Rhode Island. Dzieci ubrane były w białe lniane stroje zdobione delikatnym złotym haftem. Barney patrzył za nimi z rozczuleniem. Wchodząc po schodach prowadzących do wrót ortodoksyjnego kościoła etiopskiego, odwróciły się i pomachały do niego, po czym zniknęły w tłumie wiernych. Przez szacunek, a być może również utajone poczucie winy, że zarazi je wirusem zwątpienia i dyskomfortu psychicznego, Barney nie nawrócił się. Nie uczestniczył więc w obrzędach, zadowolając się odwożeniem ich do kościoła.

Jak zwykle w takich chwilach, wracał do samochodu głęboko poruszony. Ze względu na zamknięte dla ruchu uliczki otaczające świątynię, Barney zaparkował daleko. Niemrawy strażnik w budce wartowniczej prawie wcale nie pilnował wjazdu na parking. Pochłonięty oglądaniem filmu kung-fu na podręcznym odtwarzaczu DVD, nie zwrócił nawet uwagi na Barneya, który dwa razy obszedł plac dookoła, zanim odnalazł swojego forda zaparkowanego z wyraźnym roztargnieniem. Wsiadł do auta

i przekręcił kluczyk w stacyjce. Musiał to zrobić trzy razy, by stary mechanizm wreszcie zechciał się uruchomić. Ruszył na zachód. Mimo niedzieli, postanowił wstąpić do biura. Archie przywiózł nowe kontrakty z podróży po Dalekim Wschodzie i zaczynało się odczuwać ich skutki. Pracownicy Departamentu Operacyjnego zawalieni byli robotą.

Włączył radio i nastawił stację muzyczną. Odkręcił szybę, gdyż klimatyzacja wozu już dawno przestała działać. Pogwizdując, podziwiał pejzaże. Przejechał dwadzieścia mil od wyjazdu z Rhode Island, gdy zorientował się, że nie jest sam w samochodzie. Miał pasażera na tylnym siedzeniu.

- Cześć, Barney.

W tylnym lusterku ujrzał spokojną, uśmiechniętą twarz Paula.

- Muszę cię ostrzec, że jestem uzbrojony. A jako że wolałbym nie wracać do tematu, poproszę cię, żebyś wyjął swojego 7.65 i położył go na siedzeniu obok.

Archie nie życzył sobie, by pracownicy Providence nosili przy sobie broń, z wyjątkiem agentów w misji. Jednak dyrektor operacyjny cieszył się specjalnymi względami z uwagi na ryzyko, jakie wiązało się z jego funkcją.

Barney wykonał polecenie Paula, który natychmiast przejął rewolwer.

- Co to ma znaczyć, Paul?

- Być może nie znajduję powodów, by cię o coś podejrzewać. Ale wybacz, w tym momencie nikomu nie mogę zaufać.

- Gdzie chcesz jechać?

- Zjedź z autostrady. Zatrzymamy się w pierwszej napotkanej po drodze kawiarni. Musimy poważnie porozmawiać.

Barney jechał teraz wolniej. Zakręcił szyby, by zmniejszyć hałas i umożliwić rozmowę.

- Wyglądasz na zmęczonego - odezwał się, rzucając okiem w lusterko wsteczne.

- Jestem wykończony. Nie spałem tej nocy.

- Jak leci w klinice?

- Od tygodnia nie mam wieści. Ta cholerna misja pochłonięła mnie całkowicie.

- Jak się ma Kerry?

Paul wzruszył ramionami.

- Wiesz zapewne lepiej niż ja, gdzie się obecnie znajduje.
- Mylisz się, Paul. Tydzień temu Archie odsunął nas wszystkich od operacji i od tego czasu nic o was nie wiemy.
- Dlatego właśnie chcę z tobą porozmawiać.

Zjechali z głównej drogi i mijali wiejską okolicę; białe domki, otoczone wypiełgnowanymi trawnikami. Pierwsza miejscowość wydawała się martwa. Zapewne mieszkańcy podążyli do kościoła na nabożeństwo. Na parkingu usytuowanym na krańcu miasteczka stała budka z hamburgerami. Sprzedawca urzędował w starym kontenerze ustawionym na ceglach i odpowiednio przyciętym za pomocą palnika do spawania. Trzy czy cztery stoliki osłonięte parasolami czekały na klientów. Barney zaparkował samochód i wraz z Paulem usiedli przy stoliku, który był najbardziej oddalony od kontenera i smrodu oleju do smażenia. Jowialny Latynos podszedł do nich, by przyjąć zamówienie, i zdawał się rozczarowany, że jego hot dogi odrzucono pogardliwie na rzecz coca-coli.

Paul czuł się mniej komfortowo, siedząc teraz naprzeciwko Barneya. Było mu wstyd, że okazał wobec niego nieufność i tak brutalnie zaczął spotkanie.

- Nie miej mi za złe, stary. Jestem aktualnie ścigany.
- Tym bardziej chcę, byś wiedział, że masz we mnie przyjaciela. Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale spodziewałem się ciebie lada moment.
- Dlaczego sądziłeś, że się odezwę?
- Bo sprawy w Providence potoczyły się tak, a nie inaczej. Musisz wiedzieć, że nie ja jeden nie rozumiem decyzji Archiego. Z dnia na dzień, bez słowa wyjaśnienia, kazał zamknąć sprawę. Powiedział, że ani ty, ani Kerry nie pracujecie już dla agencji i że należy zerwać z wami wszelki kontakt.

Barney przesunął dużą dłoń po krótko przystrzyżonych włosach, jak gdyby ktoś właśnie zdzielił go po głowie.

- Zauważ, że na początku wielu z nas, a ja w pierwszej kolejności, sceptycznie podchodziło do całej sprawy. Od kiedy jednak zaczęliście działać, cała ekipa Providence poparła was z przekonaniem. Zmobilizowaliśmy się wszyscy, odtworzyliśmy dzieje grupy

Harrowa, skutkiem czego jesteśmy przekonani, że przygotowuje straszliwe uderzenie na skalę planety.

Paul przyznał w duchu, że zjednoczenie całego zespołu było osiągnięciem Kerry. Poczł lekkie ukłucie zazdrości. Sam nigdy nie zdołałby przekonać ich o wadze przedsięwzięcia.

- Dla mnie operacja stała się wręcz sprawą osobistą - ciągnął Barney. - Podzielał z wami przekonanie, że te typy zaatakują kraje Trzeciego Świata, a głównie najbiedniejsze. Afryka padnie ofiarą jako pierwsza. Ci ludzie to neonaziści. Tyle że nie dążą do usunięcia ludzi konkretnej rasy, przekonań czy wyznania. Chcą pozbyć się ich *nadmiaru*. Od lat obawiałem się, że powstanie taka ideologia. Lękałem się o mój lud, Afrykańczyków żyjących i tam, i tu. Cierpienia czynią nas obiektem nienawiści, bowiem hamu jemy postęp, jesteśmy jak ujma na honorze bogatych. I któregoś dnia ludzie tacy jak Harrow przyjdą z nowiną, że jest nas za dużo i że nie zasługujemy na to, by żyć.

Mijające ich ciężarówki zagłuszały niektóre słowa Barneya. Jednak Paul pojął najważniejsze. Barney był całym sobą po ich stronie. Oznaczało to, że zapukał do dobrych drzwi.

- Słuchaj - powiedział - musimy wiedzieć, co dzieje się wokół Archiego. Dlaczego tak nagle zmienił zdanie? Dlaczego nas odsunął od śledztwa? Czy na pewno stoi za tym CIA? Jeśli tak, to kto w Firmie jest za to odpowiedzialny?

Barney pociągnął długi łyk coca-coli i zamyślił się. Jego pośepna mina kontrastowała z podobną poczciwej Myszki Miki na stojącej przed nim na stole wysokiej i wąskiej szklance.

- Po tym jak Archie obwieścił nam swoją decyzję, sprawdziłem coś. Dzięki prywatnym kontaktom, jakie wciąż utrzymuję z Firmą, zbadałem, czy faktycznie CIA przejęła po was śledztwo.

- I co?

- Według moich informatorów, nikomu nie powierzono sprawy Harrowa.

- Chcesz powiedzieć, że odsunęli nas i porzucili operację.

- Pogrzebali ją. Sprawę przesunięto do archiwum.

Patrzyli sobie w oczy, myśląc intensywnie.

- Potwierdzałoby to moje podejrzenia. Ktoś w CIA chroni Harrowa.

Opowiedział Barneyowi swoją przygodę w siedzibie SACN i o informatorze Archiego z Firmy, który odegrał w niej niejednoznaczную rolę.

- Czy wiesz, z kim konkretnie Archie utrzymuje stosunki w Firmie?

- Niestety nie. Jest dość skryty w tej materii. Stary zwyczaj „przepierzeń”. Musi to być jednak ktoś usytuowany bardzo wysoko w hierarchii, na poziomie dyrekcji.

- Szczerze wątpię, żeby to był sam dyrektor Firmy. Zresztą ci zmieniają się nieustannie i odgrywają rolę polityczną, żaden nie brałby więc na siebie odpowiedzialności za operację.

- Archie niejednokrotnie wspominał nazwisko Marcusa Browna, zastępcy dyrektora... niestety, facet jest jedną wielką zagadką. A poza tym nie ma z nim bezpośredniego kontaktu.

- Też o nim słyszałem. Jeśli chcesz, mogę spróbować dotrzeć do jakichś informacji na jego temat. Zasięgnę też języka o pozostałych ludziach z dyrekcji.

- Naprawdę to zrobisz?

- Jasne.

Paulowi zależało tylko na jednym: żeby Barney zgodził się im pomóc. Mniejsza o skutki. Nie byli już przynajmniej sami. Paul wyciągnął rękę ponad stolikiem i uściśnął łokieć Barneya.

- Dziękuję!

Barney bez uśmiechu pokiwał głową. Miał minę człowieka, który zdecydował się działać ze względu na własne przekonania i nie potrzebuje podziękowań.

- Jak nastroje wśród pracowników twojego departamentu? Myślisz, że możemy liczyć na twoje dzieciaki?

- Wszyscy co do jednego są z wami. Tycen, Tara, Kevin, nawet Aleksander. Mówię w ich imieniu. Jeśli masz do nich jakąkolwiek prośbę, powiedz, a przekażę im ją. Jedyne warunki to utrzymanie tajemnicy.

- Z powodu Archiego?

- Przede wszystkim Lawrence'a. To, że Archie was odsunął, uznał za powód do świętowania. Tym sposobem zdobył nade mną przewagę. Szkoda, że nie słyszałeś jego ironicznych komentarzy na temat naszego tropienia myszy laboratoryjnych i tak dalej. Dzięki

tej historii zyskał kilku nowych sprzymierzeńców, cichociemnych zazdrośników, zadekowanych na spokojnych posadkach, którzy nigdy nie pogodzili się z zaufaniem, jakim darzy mnie Archie. Na szczęście nie jest to dla nas wielki powód do zmartwienia.

Właściciel baru od jakiegoś czasu kręcił się w pobliżu ich stolika. Wciąż liczył, że dadzą się namówić na jego hamburgery. Był najwyższy czas się zbierać.

- Założę się, że to Lawrence na polecenie Archiego was wytropił. I że to jego ludzie pilnują Kerry w Austrii.

- Niebawem będę potrzebował twojej pomocy w bardzo konkretnej sprawie. Kerry przekaże mi listę osób, które trzeba będzie odnaleźć, zidentyfikować i opisać. Nazwiska zdobędzie w Austrii. Obawiam się, że czeka was trudne zadanie, gdyż informacje, jakich ci dostarczymy, pochodzą z lat sześćdziesiątych.

- Nie ma sprawy. Podam ci adres, na jaki możesz mi przesłać wszystko, co tylko zechcesz, tak aby zbiry Lawrence'a niczego nie zauważyły.

Na skrawku papieru Barney napisał numer telefonu oraz adres elektroniczny.

- Jeszcze jedno - powiedział Paul. - Przypominasz sobie tę Francuzkę, która zamieszana była we włamanie do laboratorium? Dziewczyna, na której ślad naprowadził nas inspektor z DST?

- Oczywiście.

- To jej szukałem w Nowym Jorku, kiedy mnie porwano.

- Ciekawe, bo jak tylko oznajmiłeś mi, że student podał wam czyjś numer, zacząłem podejrzewać pułapkę.

- Mnie też wydawało się to podejrzane, ale nie miałem wyboru. Za wszelką cenę trzeba dotrzeć do dziewczyny. Czy mógłbyś zebrać o niej informacje we Francji, sprawdzić listy pasażerów linii lotniczych, zidentyfikować numery, na jakie dzwoniła ze swojego telefonu komórkowego, sprawdzić, gdzie się ostatnio przemieszczała... Znaleźć cokolwiek, co pozwoli mi ruszyć jej tropem.

- Zrobię, co mogę.

Stali teraz pośrodku niechlujnej scenerii przy szosie. Kelner - Meksykanin z rozczuleniem patrzył, jak serdecznie uścisnęli sobie dłonie. Trudno byłoby mu uwierzyć, że jakiś czas temu jeden z nich groził drugiemu rewolwerem.

- Dzięki, Barney.
- Podrzucić cię gdzieś?
- Wiesz, na razie mieszkam w samochodzie. Zostawiłem go przy zachodnim wylocie z Newport.
- Odwiozę cię tam. Włóż czapkę i okulary przeciwsłoneczne, lepiej żeby nikt nas nie widział razem w tej okolicy.

IV

Innsbruck, Austria

W hotelu Inn zatrzymuje się bardzo szczególny typ podróżnych. Jako że większość zagranicznych turystów rozplywa się gdzieś pomiędzy Salzburgiem a Wiedniem, udanie się zwłaszcza latem aż do Innsbrucka świadczy o głębszym zainteresowaniu Austrią. W związku z tym gros gości hotelu Inn ma germański rodowód. Ciekawi sąsiednich regionów, delektują się wariacjami na znane im już tematy: barokowych kościołów, murów pruskich zdobących domy, gotyckich zapisów na godłach. Większość podróżnych stanowią pary w średnim wieku, którym czasem towarzyszy jedna lub dwie wdowy. O ile zaś zdarzy się samotny mężczyzna, to trzyma się od reszty klientów z daleka i najczęściej oddaje się picciu.

Obecność samotnej i porażająco pięknej Amerykanki o swobodnym stylu bycia zakrawającym w oczach niektórych osób na nieprzyzwoity rozpętało w tym szacownym towarzystwie burzę złośliwych plotek i komentarzy tym bardziej opatrnościowych, że powróciła deszczowa pogoda. Opłacanie uzbrojonych agentów do pilnowania Kerry było prawie niepotrzebne, gdyż każdy jej gest i czyn był pilnie śledzony, komentowany, a być może i zapisywany przez pozostałych gości hotelowych.

Po telefonie Paula Kerry postanowiła dyskretnie zmienić swoje zachowanie i sama zaczęła obserwować otoczenie. Zeszła na śniadanie dokładnie o godzinie otwarcia restauracji. Zajęła miejsce pod żyrandolem imitującym poroże jelenia, skąd mogła swobodnie przyjrzeć się klientom defilującym przed parującymi rondlami ustawionymi na stole bufetu. Na początku zjawiła się grupa komiwojażerów i ludzi będących w podróży służbowej. Następnie

zeszli pojedynczy, najaktywniejsi przedstawiciele trzeciego wieku. Już od ósmej rano odziani byli turystycznie w tradycyjne lodeny zestawione w wyszukany sposób z modną odzieżą goreteksową.

Następnie Kerry przemieściła się do holu, by obserwować gości udających się na spacer. Niektórzy z nich wybierali piesze wycieczki po mieście. Inni, zaopatrzeni w plecaki, najwyraźniej zamierzali iść w góry i zdecydowali się samochodem wyjechać z miasta. Hotelowy parking znajdował się na dziedzińcu i widoczny był z werandy ciągnącej się wzdłuż salonów wypoczynkowych. Kerry wypatrzyła wsiadającą do auta parę, która następnie pojechała ulicą równoległą do potoku. Stało na niej dwóch ludzi Archiego, po obu stronach bramy wjazdowej.

Kerry przez cały dzień przechadzała się między swoim pokojem na piętrze a parterem. W pasażu handlowym otwartym na hol zakupiła kilka austriackich ubrań. Wypisała też kartki pocztowe do dzieci, po czym wrzuciła je do miedzianej skrzynki pocztowej ozdobionej herbem Habsburgów. O piątej po południu wróciła na stanowisko w holu. Wkrótce zjawiła się para spacerowiczów, którzy rano odjechali samochodem. Twarz mężczyzny była zaczerwieniona, lecz triumfalnie zsunął nieco do tyłu swój tyrolski kapelusz.

Na ścianie przy windach zawieszona była duża mapa regionu. Kerry celowo usadowiła się niedaleko niej. Spacerowicze podeszli do mapy, podczas gdy grupa zaciekawionych gości hotelowych skupiła się wokół nich. Zdobywcy mówili po niemiecku, lecz nietrudno było odgadnąć, że puszyli się przed resztą, wskazując na niewielki szczyt położony kilka kilometrów za miastem. Kerry wstała i wmieszała się w mały tłum. Przemawiający głośno mężczyzna zauważył ją pierwszy i dumnie wyprostowany powiódł palcem po mapie, pokazując trasę, jaką zrobili z towarzyszką. Kerry grzecznie zapytała, czy mówią po angielsku. Skinęli głową, więc zapytała ich o program na następny dzień. Para z dumą oświadczyła, że nazajutrz o ósmej trzydzieści będzie ich można zobaczyć w samochodzie, gotowych do wdrapania się na lodowiec położony trzydzieści kilometrów od Innsbrucka.

Kerry bardzo uprzejmie życzyła im powodzenia, po czym się oddaliła.

Pozostała część wieczoru była jak zwykle ponura i cicha. Tuż po kolacji turyści udali się na spoczynek, a amatorzy canasty wykłócali się o centyma za punkt, grając w minilicytację.

Nazajutrz rano zdobywcy szczytu zeszli na śniadanie o siódmej trzydzieści. Godzinę później położyli plecaki na tylnym siedzeniu pasata i opuścili parking hotelu Inn w kierunku góry Hochgleit-cher, do której chcieli dotrzeć o dziesiątej. Starannie zaparkowali samochód w zacienionym rogu parkingu, z którego odchodził szlak. Założyli na plecy nieduże, skórzane plecaki, każde wzięło do ręki Alpenstock i pogwizdując, ruszyli w trasę.

Dziesięć minut po ich zniknięciu Kerry wyszła z bagażnika pasata, uważnie nasłuchując leśnych hałasów. Poprzedniego wieczoru przestudiowała mapę okolicy, wiedziała więc, że kilometr dalej biegła droga łącząca Innsbruck z Monachium. Potem wszystko zależało od szczęścia, lecz w Austrii, tak jak wszędzie, ładna auto-stopowiczka nie powinna mieć problemu ze złapaniem okazji.

Juliette powróciła do Salt Lake City rejsem linii lotniczych United Airlines. Umieściła czerwoną fiolkę w walizce, którą zarejestrowała jako bagaż główny, by uniknąć kontroli.

W samolocie połknęła dwie tabletki neuroleptyków i popiła je coca-colą light. Tak jak się obawiała, stres towarzyszący rozpoczęciu akcji sprawił, że jej podniecenie na nowo wzrosło. Czowała, że znów zanurza się w euforyczny wir, który dawał jej poczucie niezniszczalności i ciekawości wszystkiego, jednocześnie jednak spychał w stronę nadpobudliwości. W każdej chwili mogła stracić panowanie nad sobą. Postanowiła zażywać lekarstwa nawet wtedy, gdy będzie czuła się zupełnie dobrze. Zwłaszcza wtedy.

Harrow czekał na nią na parkingu przy lotnisku. Przyjechał beżowym nissanem Patrol zarejestrowanym w Utah.

Mimo iż nie widzieli się zaledwie dwa dni, Juliette wzruszyła się na jego widok. Była dumna, że prawidłowo wykonała powierzoną jej misję. Przyjemność, jaką odczuwała, będąc posłuszną

Harrowowi, bliska była żołnierskiej satysfakcji, tym milszej, iż zdała sobie sprawę, że Ted jest dla niej jedyną rodziną.

Obserwowała, jak w milczeniu prowadzi samochód. To, co mówiła sobie w skalnym domu w Kolorado, było szczerą prawdą: Harrow nie pociągał jej fizycznie. Jednak łącząca ich szczególna więź, powstała w wyniku wspólnie dzielonej tajemnicy, wzbudziła w niej teraz niespodziewane pożądanie. Była nawet lekko rozczarowana, że skoncentrowany na drodze, tak ewidentnie nie zwracał na nią uwagi. Potem uciekła myślami w głąb swej duszy. Powtarzała sobie, że subtelna frustracja da jej tylko więcej energii do wykonania tego, czego od niej zażąda.

Harrow zatrzymał samochód pod zwyczajnym blokiem na przedmieściach Salt Lake City. Weszli na drugie piętro po metalowych zewnętrznych schodach. Zagłębili się w ciemny korytarz, którego ściany pokrywały tagi. Harrow zapukał trzy razy do nieopisanych drzwi. Weszli do mieszkania, w którym poza dwoma żelaznymi łóżkami i stołem nie było nic. Potężny jasnowłosy chłopak, który im otworzył, oznajmił, że wyłot przewidziano na wpół do pierwszej w nocy. Wskazał leżące na podłodze dwie torby z marynarskiego płótna i powiedział, że w środku znajdują wszystkie niezbędne rzeczy. Na stole przygotowano dla nich dwie butelki wody sodowej oraz kanapki. Harrow podziękował chłopakowi. Wychodząc, ten ostatni potwierdził, że będzie czekał pod blokiem o jedenastej wieczorem.

Postanowili zdrzemnąć się przed czekającą ich bezsenną nocą. Juliette obróciła się na bok. Zawtórował jej szcęk żelaznych prętów pod materacem.

- Ted...
- Słucham.
- Nie śpisz?
- Jeszcze nie.
- Chciałam zapytać

Czekał bez ruchu. Łóżka ustawiono na waleta, więc Juliette widziała spiczaste czubki jego meksykańskich butów.

- Co zawiera fiolka?

Czubki butów rozsunały się i pomiędzy nimi ukazała się twarz Harrowa. Był wściekły.

- Ciesz się, że uczestniczysz w misji, i o nic nie pytaj.

Odpowiedział jej tak agresywnie, że Juliette nie ośmieliła się dodać ani słowa. Nie rozczarował jej ostry ton Harrowa, w końcu sama dokonała wyboru i nie liczyła, że zacznie ją traktować inaczej. Tylko przykro jej było na myśl, że jej nie ufał. Zastanawiała się nad zawartością fiolki, by działać z większą motywacją. Nie pytała więc z braku wiary, lecz aby pogłębić swoje oddanie dla sprawy.

Zadumała się nad istotą tego posłuszeństwa. Doszła do wniosku, że Harrow miał rację. Wiara nie ma nic wspólnego z rozumem. Święty Augustyn objawił się, gdy ogień wiary pierwszych chrześcijan zaczął przygasać. Po ośnieniu nowo nawrócony dokona wielkich rzeczy wyłącznie pod warunkiem ślepego posłuszeństwa.

Zdziwiły ją te religijne myśli i doszła do wniosku, że miasto mormonów wywiera na nią jakiś tajemny wpływ. Potem zasnęła.

Zgodnie z planem o jedenastej pod blokiem czekał na nich samochód. Prowadził go człowiek milczący, a może niemy. Nie odezwał się do nich ani słowem przez całą, trwającą dwie godziny drogę. Przywiózł ich do miejsca, które nie wyróżniało się niczym szczególnym. Był to zwykły zakręt w pobliżu Słonego Jeziora. Po pokonaniu kamiennej skarpy można było przejść jezioro na piechotę po jego płaskiej zaschniętej skorupie. Samochód odjechał.

Noc była bezksiężycowa. Gwiazdy błyszczące na czystym niebie odbijały się zimną poświatą w srebrzystym lustrze powierzchni jeziora. Sinusoidalna linia pasma górskiego daleko na horyzoncie była widoczna na tle rozgwieżdżonego nieba, dzięki swej głębokiej i jednolitej czerni. Lekki powiew wschodniego wiatru przynosił chłód zimnych wąwozów Gór Skalistych. Juliette i Harrow spędzili niecałą godziną, siedząc na torbach. Naraz, kilkaset metrów przed nimi, rozbłysły dwie linie białych świateł. Przypominały bożonarodzeniowe girlandy rozciągnięte na ziemi. Wpatrując się w dal, Juliette dostrzegła kotłujące się w okolicy świateł cienie i usłyszała stłumiony i przerywany hałas małego generatora.

Po pięciu minutach na horyzoncie ukazały się reflektory samolotu. Gdy był bliżej, Juliette rozpoznała dwusilnikową awionetkę z trzema okienkami po każdej stronie. Był to ten sam samolot, który zabrał ją z Afryki Południowej w nieznane miejsce. Gdy

schodził do lądowania na pasie oznaczonym przez świetlne linie, dziewczyna odczytała litery widniejące na skrzydle maszyny. Stwierdziła, że są inne niż w Afryce Południowej. Mimo woli zapamiętała je, podobnie jak poprzednim razem.

Zanim samolot dotknął ziemi, Harrow wstał i zarzucił swoją torbę na ramię. Dał Juliette znak i oboje biegiem rzucili się w kierunku zaimprovizowanego pasa startowego.

Ludzie, którzy przygotowali lądowisko, trzymali się nieco z dala, więc trudno było rozpoznać ich sylwetki. Śmigło wytwarzało silny podmuch, przez co Harrow i Juliette musieli podejść do samolotu od tyłu i w pozycji pochylonej. Wbrew wszelkim zasadom bezpieczeństwa silnik był na chodzie, gdy otworzyły się boczne drzwi. Harrow najpierw wrzucił do środka plecaki, potem popchnął Juliette i dopiero za nią sam wsiadł na pokład. Maszyna natychmiast wystartowała.

Poza dwoma pilotami w samolocie nie było nikogo. Juliette przez chwilę pomyślała, że może znowu będą chcieli ją uspić. Jednak Harrow nie zaproponował jej nic do picia.

Niedbale wyciągnięty na siedzeniu ze skaju wydawał się zrelaksowany, szczęśliwy. Po raz pierwszy od rozpoczęcia akcji Juliette zobaczyła uśmiech na jego twarzy. Mimo iż nie był skierowany konkretnie do niej, złowiła jego skrawek jak wyraz szczęścia przepelniającego ukochaną osobę.

Nocny lot trwał długo, więc Juliette zasnęła. O świcie, gdy horyzont różowił się po ich prawej stronie, zdała sobie sprawę, że lecą na południe. Zrobili dwa międzylądowania. Przy pierwszym, w szczerym polu, zostali na pokładzie i przez okrągłe okienka obserwowali anonimowych mężczyzn napełniających bak kerozyną z dużych beczek. Drugie międzylądowanie odbyło się na małym prywatnym lotnisku bez nazwy. Podczas gdy na nowo napełniano bak samolotu, przeszli do białego budynku pokrytego dachówką w stylu romańskim. Siedziało w nim trzech mężczyzn. Mieli meksykańskie rysy i rozmawiali po hiszpańsku. Panował upał. Juliette zastanawiała się, czy opuścili już terytorium Stanów Zjednoczonych. O nic jednak nie pytała. Nikt, włącznie z Harrowem, nie zwracał na nią uwagi. Stała się ekspertem w dziedzinie ciszy, w której tym razem nie czuło się pogardy ani nieufności,

lecz wszechobecny niepokój. Jako jedyna nie miała pojęcia, co ma się wydarzyć, była więc nadzwyczaj spokojna. Lekarstwa zwolniły tempo jej myśli do tego stopnia, że z upojeniem podtrzymywała stan obojętności i łagodny uśmiech Madonny roztaczającej wokół siebie życzliwe, bezinteresowne i dostępne dla wszystkich miłosierdzie.

Wrócili do samolotu, który po kilkunastominutowym postoju na słońcu przekształcił się w piec. Lecieli nad jednolicie jałowym krajobrazem. Wcześniej chmury przesłaniały ziemię. Teraz suche powietrze pozwalało im dostrzec wzgórze żłobione matrycą równoległych dróg. Po raz ostatni nabrali paliwa o zmierzchu, na małym lotnisku usytuowanym na obrzeżach rozległego miasteczka. Juliette zrozumiała, że znaleźli się w Meksyku, gdyż piloci po raz pierwszy obrócili się do pasażerów z uśmiechem. Nawet Harrow, który zazwyczaj skąpo wyrażał uczucia, okazał wyraźną ulgę. Przed lotniskiem czekał na nich samochód z meksykańskimi tablicami rejestracyjnymi, a w otynkowanym białym motelu czekały na nich zarezerwowane pokoje. W niedużej, pomalowanej na kolor ochry jadalni za recepcją podano im makaron. O czwartej nad ranem tym samym samochodem ruszyli wiodącą przez góry drogą na lotnisko. Było większe niż poprzednie. Na końcu asfaltowego pasa startowego stał mały odrzutowiec. Jego załoga okazała się bardziej rozmowna od poprzedniej. Rudowłosy kapitan mówiący z brytyjskim akcentem okazywał swe umiłowanie życia, uśmiechając się szeroko pod imponującym i starannie przyczesanym, podkreślonym do góry wąsem. Bez przerwy obracał się do nich i komentował lot. Wyjaśnił, że przelecą nad półwyspem Jukatan oraz kilkoma wyspami karaibskimi. Następnie obiorą kurs na wybrzeże południowoamerykańskie.

Juliette obserwowała, jak błękit fal morskich ustępuje oddzielonej od oceanu wąskim pasem piasku, soczystej zieleni puszczy amazońskiej. Mimo iż nic nie stanowiło widocznej granicy pomiędzy Gujaną Francuską a Brazylią, kapitan z obojętną miną zarysował palcem abstrakcyjną linię, która miała podobno dzielić zespoloną gęstwinę koron drzew lasu tropikalnego.

W południe nabrali paliwa na lotnisku w Santarém. Najwyraźniej w Brazylii zakończyli sekretną fazę swego lotu, gdyż umundu-

rowany policjant przywitał się z pilotami i ucieli sobie przyjazną pogawędkę. Ostatni etap podróży odbyli ponad wierzchołkami amazońskich drzew oraz gór Minas Gerais. Po południu wylądowali w Rio de Janeiro.

Otumaniona lotem Juliette czuła, jak topnieje w wilgotnym ciepłym powietrzu. Z niedowierzaniem wdychała zapach morza i cukru, tak typowy dla Brazylii, a zarazem jedyny w swoim rodzaju.

Bez wahania powierzyła swój paszport mężczyźnie, który wyszedł im na powitanie i wskazał specjalne przejście pomiędzy budkami celników. Gdy oddawał jej paszport, przypomniała sobie, że jako Francuzka potrzebowała wizy na pobyt w Brazylii. Powiedziała o tym Harrowowi.

- Wizy? - wtrącił się ich przewodnik. - Ależ ma ją pani!

Pokazał Juliette stronę paszportu, na której widniała świeżo wklejona i przypieczętowana wiza.

Postanowiła nie szukać interpretacji dla tego ominięcia prawa. Najważniejsze, że dzięki niemu mogła uniknąć administracyjnych komplikacji i szybciej położyć się spać. A w tej chwili właśnie tego pragnęła najbardziej.

V

Hochfilzen, Austria

Oto dylemat znany wszystkim włamywaczom: czy lepiej jest działać w strefach gęsto zaludnionych, takich jak przepełnione bloki w centrum miasta, czy może w wioskach na odludziu? W pierwszym przypadku istnieje ryzyko natknięcia się na niedyskretnego sąsiada, który staje się niewygodnym świadkiem przestępstwa. W drugim zaś niebezpieczna jest cisza. Nawet najmniejszy, lecz niecodzienny hałas zdradza obecność intruza.

Ubrana w czarne getry i polar, rękawiczki i czapkę kominiarękę Kerry rozważała tę kwestię, zbliżając się do domu Fritscha. Zaparkowała wynajęty samochód kilometr dalej w lesie. Alpejska dolina ciągnąca się od jego skraju aż do posiadłości profesora nie działała na jej korzyść, tym bardziej że noc była jasna, a zimne powietrze niesło najmniejsze szmery z mrozącą krew w żyłach wyrazistością. Bała się też psów. Poza tym szczelnie zamknięte okiennice szałetu, zamiast uspokajać, budziły w niej dodatkowy niepokój. Miała wrażenie, że w cieniu okien czają się ponure bezsenne istoty i śledzą każdy nocny ruch.

Mrok otulał całą wioskę. Dom Fritscha, przygnieciony nocnym ogromem czarnych gór, wydał się Kerry o wiele mniejszy niż za dnia. Na szczęście po ucieczce z hotelu Amerykanka w skupieniu przywołała w pamięci ważne szczegóły. Zatrzymała się nawet w małej *weinstube* naprzeciwko agencji wynajmu samochodów i na papierowej serwetce naszkicowała plan domu.

Biuro profesora mieściło się na pierwszym piętrze, w połowie drogi między drzwiami frontowymi a tylnym wyjściem na taras. Można było dostać się do niego, wchodząc głównymi drzwiami, Kerry wołała jednak drugą opcję, od ogrodu. Być może podświa-

domie chciała uniknąć ryzyka, że zostanie zauważona przez sąsiadów, gdy będzie otwierać drzwi wytrychem. Otworzenie zamka antywłamaniowego może zabrać jej trochę czasu. Kerry nie miała niezbędnych narzędzi. W supermarkecie zakupiła kilka podstawowych akcesoriów włamywacza, niestety nie była w stanie zdobyć sprzętu specjalistycznego, takiego jak mikrośrodki wybuchowe.

Wśliznęła się do ogrodu. Ku radości Kerry dom nie był zaopatrzone w tak popularne dziś radary ani fotokomórkę wykrywającą ruch i powodującą automatyczne włączenie się światła.

Zamek w tylnych drzwiach okazał się mocny, jak przystało na produkt germański. W innych okolicznościach Kerry z przyjemnością rozpracowywałaby mechanizm, była to bowiem dziedzina, w której niegdyś brylowała. Jednak cisza i ciemność panujące nad alpejską doliną ani odrobinę nie stymulowały jej intelektu. Mimo że Kerry nie odczuwała strachu, skurcze żołądka były sygnałem, że jej ciało paraliżuje instynktowna trwoga.

Słyszała za sobą kotłujące się w zagrodzie zwierzęta domowe. Kłapanie pletwiastych gęsiich nóg i szelest skrzydeł były oznaką zaniepokojenia ptaków. Gęsi! Kerry zupełnie o nich zapomniała. Wszak gęsi to lepsi strażnicy niż psy, uratowały Rzym i być może miały ją zgubić tej nocy.

Skoro jednak nic nie mogła na to poradzić, wołała skoncentrować się na zamku. Wsadziła wiertło w wydrążenie klucza i ze wszystkich sił nacisnęła na nie. Zręcznie uruchomiła ręczną wiertarkę. Iskry posypały się wokół zamka. Droga była wolna.

Przystanąła, nasłuchując. Wydawało jej się, że narobiła piekielnego hałasu. Wkrótce jednak zapanowała ta sama co przedtem cisza. Z piętra nie dochodził żaden szmer. Domownicy spali. Kerry przestąpiła próg.

W ciemności zapach woskowanego drewna, detergentów i gotowanej kapusty wydawał jej się jeszcze bardziej intensywny niż przy pierwszej wizycie. Świecąc sobie kieszonkową latarką, weszła po schodach na piętro, po czym, przesuwając się wzdłuż ściany, odnalazła biuro Fritscha. Delikatnie nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Kerry przypuszczała, że powodem nie była ostrożność, lecz prawdopodobnie sumienność i dyscyplina, dzięki której także papiery i przedmioty miały swoje miejsce w uporząd-

kowanym wszechświecie mędrca. Przyszła jej nagle do głowy myśl pocieszna, a jednocześnie przerażająca, że jedno z najbardziej morderczych przedsięwzięć w dziejach ludzkości wysączyło się z tak łagodnego, uległego i pozornie bezbronnego umysłu.

Jedyną trudnością przy otwieraniu prostego, metalowego i typowego dla wewnętrznych drzwi zamka było zrobienie tego możliwie cicho. Po kilku sekundach Kerry była w gabinecie. Panował w nim geometryczny ład: krzesła przystawiono do stołu pod kątem prostym; w rygorystycznym i zapewne stałym porządku ułożono na biurku kałamarz, podkładkę do pisania i mały zegarek.

Kerry zlustrowała sufit, chcąc sprawdzić, czy nie umieszczono na nim laserów. Nie zauważyła nic podejrzanego. Podeszła do mebla ozdobionego kolumnkami, w którym Fritsch trzymał archiwa. Szafka była również zamknięta, lecz ozdobiony pomponem klucz tkwił w zamku. Kerry otworzyła drzwiczki. Każda szuflada opisana była datą. To ułatwiało jej zadanie. Odnalazła rok 1967 i wysunęła szufladę. Napisy na pionowych przedziałkach informowały o typie dokumentów znajdujących się między nimi. Miała ochotę zabrać ze sobą wszystko. W przegródce zatytułowanej „Lekcje” Fritsch ułożył notatki z wykładów seminarium. Obok znajdowały się „Ćwiczenia” i „Bibliografia”. Dokumentacja była obszerna. Kerry postanowiła nie obarczać się taką ilością papierów. Z przegródki „Notatki” wyjęła pojedynczą kartkę, na której Fritsch podsumował roczne seminarium. Studenci wspomniani byli tylko z imienia. Potem Kerry wysunęła przegródkę zatytułowaną „Zdjęcie klasowe” i zamarła: przegródka była pusta.

Cisza w jej uszach rozbrzmiała setką podejrzanych szmerów. Kerry zadrżała. Przewidziała wszystko z wyjątkiem tego. Przez chwilę stała, omiatając gabinet światłem latarki, bez pomysłu, co dalej robić. Na biurku nie leżał żaden papier, na stolikach przy fotelach też nie.

Nagle przypomniała sobie, że profesor obiecał jej zrobić odbitkę. Wspomniał o laboratorium w garażu. Zapewne tam zaniósł zdjęcie. Ale jak się dostać do garażu? Kerry wyszła na korytarz. Gęsta cisza, która wokół niej zapanowała, nie miała w sobie nic, co by dodawało otuchy. Stała teraz na progu salonu i jadalni urządzonych na tarasie oszklonym żółto-białym witrażem. To na

pewno nie tu. Skręciła na prawo i z powrotem znalazła się na niewielkiej klatce schodowej. Trzy schodki prowadziły w dół do masywnych drzwi, za którymi zapewne znajdowała się piwnica albo dobudówka. Ciekawe, że zamek umieszczono od wewnątrz. Być może tu znajdowała się kryjówka profesora, który zamykał się w niej, gdy chciał pracować nad swoimi zdjęciami. Kerry popchnęła drzwi i zaczęła schodzić po betonowych schodach. Oblepiło ją ciepłe wilgotne powietrze. Z dołu dochodził pomruk bojlera. Znalazła się w obszernym garażu, na którego środku stało stare audi w metalicznym odcieniu szarości. Na ścianach wisiały łopaty do odgarniania śniegu, sanki, aluminiowa drabina. Kerry obeszła garaż dookoła, otwierając po kolei liczne małe drzwiczki, za którymi odkryła komórki, składy i wreszcie studio fotograficzne. W powietrzu unosił się ostry zapach wywoływacza. Na półkach ułożone były kartonowe pudełka. Na wysokim stole z melaminy górował nad resztą sprzętów powiększalnik marki Zeiss. Kerry odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła na stole zdjęcie uczestników seminarium z sześćdziesiątego siódmego. Dwie odbitki przyczepione metalowymi klamerkami do sznurka suszyły się nad czerwonymi zbiornikami do wywoływania zdjęć. Sprawdziła, na którym egzemplarzu widnieją nazwiska studentów. Oryginał znajdował się nadal na podstawce powiększalnika. Już miała wziąć zdjęcie do ręki, gdy nagle w garażu zapaliło się światło.

Kerry błyskawicznie wyskoczyła ze studia. Ktoś wolnym krokiem schodził po schodach. W mgnieniu oka wróciła do pomieszczenia, zabrała zdjęcie, złożyła je na pół i wsunęła do kieszeni polara, bezszelestnie wyszła do garażu i kucnęła za samochodem. Przez tylną szybę zobaczyła nieruchomą sylwetkę na ostatnim schodku. Widziała tylko ramię. Końcówka czarnej rury przesuwała się okrężnym ruchem po pomieszczeniu. Intruz w końcu zrobił krok do przodu. W czerwonej koszuli nocnej, kasku błyszczących włosów na głowie i z wiatrówką w rękach, Hilda powoli szła w kierunku laboratorium.

Kerry przygotowana była na ucieczkę, nie na walkę. Jediną jej bronią był wielofunkcyjny scyzoryk zaopatrzony także w cienkie ostrze. Wyjęła go z kieszeni, gdy w garażu zagrzemiał naraz potężny wybuch. Powiększalnik został rozstrzelany na tysiące kawałków,

a pudełka do wywoływania zdjęć z łoskotem potoczyły się po betonowej podłodze.

Opiekunka lustrowała wzrokiem tylną część garażu. Kerry, wciąż przyczajona, uchwyciła przez sekundę jej spojrzenie. Na twarzy Hildy nie malował się nawet cień strachu. Jej zimna krew oraz profesjonalizm, z jakim trzymała broń i ładowała ją, przesuwając pionowo w bok, dowodziły, że rzekoma matrona w rzeczywistości jest doskonale wyszkolonym agentem. Kto mógł ją zatrudnić do opieki nad profesorem? Miała o niego dbać czy go pilnować? Drugi strzał rozwalił przednią szybę samochodu. Kerry poczuła, jak odłamek szkła uderza ją w policzek. Przypadła do ziemi.

Podwójny zgrzyt oznajmił, że Hilda ponownie załadowała broń. Łuska naboju z brzękiem upadła na beton. Nie było wątpliwości: strzelała, by zabić, ze świadomością działania we własnej obronie. Kerry uprzytomniła sobie, że wystrzał był słyszalny w okolicy, więc niebawem przybędą sąsiedzi z myśliwskimi strzelbami. Powinna jak najprędzej się stąd wydostać.

Leżąc na ziemi, widziała, jak opiekunka podchodzi do samochodu. Kerry przeczołgała się do tyłu i przykucnęła przy zderzaku. Wyciągnęła ramię, by sięgnąć guzika otwierającego bagażnik. Kłapa podniosła się z cichym hydraulicznym świstem. Hilda nasłuchiwała, z której strony dochodził ten szmer. Strzeliła w kłapę. Szklany deszcz runął do bagażnika.

W tym samym momencie Kerry przyskoczyła do ściany, zdjęła łopatę i gdy Hilda ładowała broń, uderzyła ją prosto w czerep. Opiekunka straciła równowagę, ale nie wypuściła strzelby z rąk. Kerry wbiła jej trzonek łopaty w brzuch. Hilda uderzyła głową w mur, a wtedy spadła jasna peruka, ukazując łysą czaszkę. Hilda była mężczyzną.

Siedział teraz pod ścianą pośrodku bezładnie rozrzuconych kłębków drutu i plastikowych plandek. Nadal trzymał w rękach strzelbę. Kerry nie chciała ryzykować, że załatwi ją, zanim zdoła dotrzeć do schodów. Zaaplikowała mu więc kilka precyzyjnych kopniaków, których nauczyła się kiedyś na kursie francuskiego boksu. Atakując przede wszystkim dłoń nieznajomego, zmusiła go do wypuszczenia broni z rąk. Podniosła ją i wbiegła na schody.

Po drodze potrafiła Fritscha, który, przestraszony, stał na pierwszym schodku, trzymając się balustrady. Gęsi gęgały jak szalone.

- Za późno, moje śliczne! - krzyknęła do nich Kerry.

Biegła. Strzelbę cisnęła do pierwszego rowu, jaki udało jej się dojrzeć w ciemnościach. Powietrze było cudownie orzeźwiające. Kerry czuła się lekka i zwinna.

Na piętrze jednego z domów zapaliły się światła. Nikt jednak nie wyszedł na dwór. Kerry dotarła do samochodu, nie napotkawszy żywej duszy. Odniosła nawet wrażenie, że pościg jeszcze się nie zaczął. Fritsch zapewne zaznajamiał się właśnie z człowiekiem, którego tak długo brał za uczciwą kucharkę. Chyba że od samego początku wiedział, kim jest Hilda.

Ale nie miało to już znaczenia. Kerry dotknęła sztywnej powierzchni fotografii. Najważniejsza rzecz bezpiecznie tkwiła w jej kieszeni. Ruszyła z miejsca i z piskiem opon pokonała górskie zakręty aż do przełęczy Brenner. O świcie przekroczyła granicę i skierowała się w stronę jeziora Garda. Kilka minut przed południem była już w Wenecji.

VI

Rio de Janeiro, Brazylia

Harrow i Juliette zatrzymali się w dzielnicy Laranjeiras, w małym pensjonacie, otoczonym mangowcami, krzewami poinsecji królewskiej i ozdobną bugenwillą. Z tego miejsca roztaczał się widok na dachy i tarasy schodzące aż do morza. Dostali do dyspozycji dwa przylegające do siebie pokoje ze wspólnym balkonem z metalową balustradą. Podano im śniadanie w małym hotelowym ogrodzie, którego każdą wolną przestrzeń wypełniały rozłożyste rośliny w donicach i kolorowe kwiaty. Nad wodą szemrzącą w skalnej fontannie unosił się przyjemny chłód.

Pokój Juliette zarezerwowany był na jej prawdziwe nazwisko, natomiast Harrow przedstawił się w recepcji jako Patrick Hull z Aberdeen w Szkocji. Dziewczyna uznała, że ostrożność jej towarzysza związana jest zapewne z jego burzliwą przeszłością. Prawdopodobnie jako Ted Harrow nie przekroczyłby granicy.

Parter dawnej rezydencji zajmowały pomieszczenia o ścianach do połowy wysokości pokrytych płytkami azulejos. Pokoje te pełniły funkcję salonów, a jeden z nich zarezerwowano dla nowo przybyłych. Harrow urządził w nim prawdziwą kwaterę główną: zażądał stolika pod laptop i odsunął koronkowe serwety zdobiące blat kształtnej komody, by następnie umieścić na meblu stosy papierów. Siedząc na czerwonym aksamitnym fotelu o lwich nóżkach, przyjmował licznych gości, którzy przybywali na audiencję jeden po drugim.

Pierwszym gościem był czterdziestoletni, szczupły i jowialny Brazylijczyk. Miał na sobie pospolity garnitur, w którym każdy inny człowiek wtopiłby się w szarą masę. Jednak jego śniada skóra, charakterystyczne kości policzkowe i czarne błyszczące oczy

gorejące niczym rozżarzony węgiel na tle popielatego garnituru przypominały o tajemniczej obecności indiańskich korzeni pod tą europejską powierzchnością. Przedstawił się jako Ubiraci. Miał przejąć fiolkę przywiezioną z Wrocławia. Z jego aluzji można było wywnioskować, że korzystając z materiału, jaki zawierała, wraz z zespołem swoich pracowników spreparuje produkt finalny. Zapewnił Harrowa, że zajmie mu to niecały tydzień. Zapytany przez Amerykanina o dostawę odparł, że przywiezie produkt w czterech dziesięciolitrowych bańkach.

Juliette cieszyła się, że może uczestniczyć w rozmowach. Traktowała to jako dowód, że w pełni przynależy do grupy. Mimo to kilka razy uchwyciła zaniepokojone spojrzenie, jakie Ubiraci rzucił w jej kierunku. Prawdopodobnie wolał nie poruszać wszystkich planowanych tematów, a w niektórych sytuacjach używał kryptonimów, których Juliette nie rozumiała.

Po Ubiracim wszedł kolejny Brazylijczyk. Bardzo różnił się od pierwszego gościa. Jego naturalnie mocny kościec dźwigał męską, krzepką nadwagę w postaci mieszaniny mięśni i tłuszczu. Gdy siedział, krzyżował ramiona i opierał je na olbrzymim brzuchu, niczym na blacie stołu. Pocił się na potęgę i bez przerwy przecierał czoło białą chustką. W jej rogu wyhaftowane były inicjały, lecz nie zgadzały się z imieniem, jakie podał, witając się z Harrowem. Rzekomy Zé-Paulo Albuquerque używał chustki z literami RB. Niewykluczone, że i on stosował przykrywkę.

Zé-Paulo przyniósł mapę Rio de Janeiro. Rozłożył ją na okrągłym stoliku. Na środku widać było zatokę Guanabara z torem wodnym prowadzącym od oceanu do portu, nad którym wznosi się słynna Głowa Cukru, a dalej historyczną część miasta z dzielnicami Flamengo, Botafogo, Gracas oraz rozległą strefę mieszkalną ciągnącą się wzdłuż wybrzeża Atlantyku i jej dzielnice o znajomych nazwach, takich jak Ipanema, Copacabana, Leblon i Sao Cristováo. Po przeciwnej stronie zatoki rozciągała się przemysłowa część miasta, połączona z centrum mostem Niteroi. Cała ta przestrzeń na mapie została zakreskowana na niebiesko. Wokół niebieskiego pola zaznaczono na czerwono pierścień peryferii, który wspinał się na zbocza pagórków i rozrastał w kierunku północnym.

- Na czerwono zaznaczyłem fawele - wyjaśnił Zé-Paulo, wo-
dząc po mapie grubym palcem o wypięęgnowanym paznokciu.
- Najstarsze skupione są wokół historycznego centrum miasta.
Fawele rozrastają się codziennie i pną się na wielką równinę,
głównie w kierunku regionu Baixada Fluminense.

Harrow w skupieniu pochylał się nad mapą.

- Jak duża jest populacja Rio?

- Cała aglomeracja liczy mniej więcej osiem milionów miesz-
kańców. Jeśli chodzi o dane z dzielnic murowanych, to możemy je
bez większych trudności zestawić w rzetelny sposób dzięki na
przykład spisom podatników. W naszych rejestrach znajdują się
dwa miliony osób. Co do reszty miasta, trudno powiedzieć.

- Reszty miasta? - spytała Juliette.

Zé-Paulo spojrział na nią z błyskiem niepewności w oku, lecz
uznał, że powinien odpowiedzieć na pytanie:

- Obejmuje tych wszystkich, którzy żyją bez zezwolenia, innymi
słowy, mieszkańców faweli. Te najstarsze, położone w centrum
miasta, z czasem udało się wymurować. Teraz są tam ulice, chod-
niki, budowle, które można nazwać domami. Niemniej jednak co
roku w porze deszczowej część tych dzielnic spływa ze strumie-
niami błota. Natomiast na przedmieściach trwa nieustający proces
powstawania faweli. Co roku pochłaniają kolejne setki hektarów.
Ludzie budują baraki z blach, desek, nawet gałęzi. Gnieźdzą
się w nich i w żaden sposób nie jesteśmy w stanie kontrolować
liczebności tej populacji. Zabiorę was tam jutro, zobaczycie, jak
wygląda brazylijska fawela.

Harrow ani na chwilę nie podniósł wzroku znad mapy, jak gdy-
by był pilotem przygotowującym się do oblatywania nieznanego
terenu.

- Co oznaczają czarne strzałki pośrodku obszaru zaznaczonego
na czerwono?

Zé-Paulo ponownie spojrział niespokojnie na Juliette i po chwili
zastanowienia odparł:

- To... zbiorniki wodne usytuowane w strefach, którymi zamie-
rzamy się zająć. Jak pan widzi, są trzy.

- Zbiorniki wody pitnej czy zużytej? - zapytała Juliette.

- Tego nie jesteśmy w stanie ustalić. Musi pani wiedzieć, że w strefach niekontrolowanej urbanizacji wszystko jest kradzione; w pierwszej kolejności ziemia, lecz także elektryczność i woda. W fawelach nie ma żadnych lub niemal żadnych instalacji ogólnego użytku. Odchody i zużyta woda trafiają do kanałów, które są jednocześnie źródłem wody do prania lub gotowania, a nawet wody pitnej. Są to albo archaiczne kanały wykopane niegdyś w celu odprowadzania ścieków z bogatych dzielnic willowych, albo naturalne ciekły wodne. Dziś przekształciły się w kloaki, nie muszą nic więcej dodawać.

- Jakiej liczbie ludzi służą te trzy zbiorniki?

- Powtarzam, panie Hull, że nie jesteśmy w stanie podać precyzyjnej liczby. Szacujemy ją jednak na trzy, cztery miliony.

Spośród wszystkich hipotez, które zrodziły się w umyśle Juliette, jedna wydawała się jej najbardziej prawdopodobna: zamierzali przeprowadzić operację masowej sterylizacji. Harrow wiele razy podkreślał, że świat wpadł w diabelskie błędne koło, chcąc obniżyć wskaźnik śmiertelności bez szkody dla przyrostu naturalnego. Jego argumenty były dość przekonujące, prawie humanitarne. Obrazowo i dobitnie opisywał skrajną nędzę, na jaką ludzka arogancja skazywała dzieci rodzące się w środowisku, które nie mogło zagwarantować im podstawowych środków przeżycia. Słuchając wyjaśnień Zé-Paulo, Juliette nabrała pewności, że grupa Harrowa postanowiła raz na zawsze rozprawić się z problemem dzięki substancji, którą ukradła z wrocławskiego laboratorium.

Pomimo to coś nie dawało jej spokoju. Wyczuwała różnicę między tym lękiem a nerwowością zwykle towarzyszącą jej w okresach ekscytacji. Prześladowało ją podświadome widmo dylematu, którego nie potrafiła ani nie chciała nazwać. W głębi jej umysłu majaczyła myśl, że to nieprzyjemne uczucie miało związek z akcją, jaką planowali. Wiedziała, że powinna zadawać więcej pytań, zażądać szczegółów rozpoczynającej się operacji. Przygotowała się na walkę, na poświęcenie, ale jakiś przytłumiony wewnętrzny głos podpowiadał jej, że wcale nie o to chodziło.

Nic wokół nie wskazywało na istnienie przeciwnika, kogoś, kogo należało zaatakować. W kogo więc mierzyli? Mogła to bez trudu odgadnąć. Bała się jednak wyniku swoich dociekań. Za

zadne skarby nie godziła się na zerwanie z misją ani też na obojętność wobec jej konsekwencji. Na siłę starała przekonać samą siebie, że wszystko, co mieli zrobić, było pożyteczne, konieczne dla dobra przyrody i miłosierne wobec istot ludzkich wiodących beznadziejne życie.

Gdy tylko do jej umysłu wkradały się wątpliwości, odpierała je, przywołując w pamięci noc, którą wraz z Harrowem spędziła na sawannie w Kolorado. Przypominała sobie quasi-zwierzęcy sposób postrzegania planety i jej cierpienia.

Ponieważ lekarstwa, które zażywała, nie poprawiły tym razem jej stanu, dziewczyna zaczęła przyjmować je w podwójnej dawce. Wywołane tym uczucie suchości w ustach, zeszywnienia i senności pozwalały jej zapomnieć o obawach.

Zé-Paulo kontynuował swój długi wywód, wskazując Harrowowi kilka punktów na mapie. Częściowo ze względu na dziwne uczucie niepokoju, po części zaś z pełnej zrozumienia uprzejmości, Juliette przestała słuchać mężczyzn, a nawet kilkakrotnie na dłużej opuściła salon. Jedno zapamiętała dobrze: Zé-Paulo przestrzegał przed pogodą. Szczególnie nalegał, by poczekać na porę deszczową. Tylko wtedy „operacja zyska maksymalny zasięg”.

Harrow żądał daty, Zó Paulo wykręcał się jednak. Wyjaśnił, że przy tak nieprzewidywalnym klimacie trudno jest określić konkretną datę. Pora deszczowa co roku zaczynała się inaczej. Była to kwestia dwóch dni do kilku tygodni. Czasem deszcze przychodziły późno. Pozostawało mieć nadzieję, że tego roku dla odmiany opady będą przedwczesne.

- Może pogoda potraktuje pana łaskawie i w ciągu ośmiu dni wystąpią pierwsze błyskawice zwiastujące burze.

Nie wiedzieć czemu, Juliette po raz pierwszy poczuła straszliwe mdłości.

CZEŚĆ PIĄTA

I

Newport, stan Rhode Island

Z upływem czasu sklep Somerseta Browna zyskał reputację najlepszego *shipchandra* - zaopatrzeniowca statków na wybrzeżu. Sklep znajdował się w zachodniej części Newport, nad cieśniną słynącą z ożywionego ruchu żaglowców. Jego właściciel nie starał się przypodobać klienteli modelami statków, które zwykle w takich miejscach piętrzą się od podłogi aż po sufit, ani też oprawionymi w ramki żeglarskimi węzłami. Na półkach, owszem, błyszczą piękne miedziane busole i korby, lecz Somerset chwali się nimi tylko dlatego, że są precyzyjne i wytrzymałe. Okna na parterze sklepu wychodzą na nadbrzeże. Mapy żeglarskie pokrywają wystawę na całej długości. Małe drzwi dla pracowników znajdujące się na tyłach sklepu prowadzą na wąską i pachnącą morzem uliczkę. Z tej strony mieszczą się też kuchnie większości restauracji portowych, o czym świadczą kubły wypełnione ościami i muszlami skorupiaków czekające na poranny wywóz śmieci.

Barney, nie kryjąc się, wszedł do sklepu od frontu. W końcu odwiedzał kuzyna i nikt nie mógłby temu zaprzeczyć. Somerset był synem ciotki Barneya, Haitanki o jasnej karnacji, i marynarza z Nantucket, syna szwedzkich imigrantów. O ile Barney był czarny, to Somerset odziedziczył błądź i jasne włosy po ojcu, w związku z czym kuzyni w ogóle nie byli do siebie podobni. Jednak od zawsze darzyli się sympatią. Zastanawiając się nad miejscem tajnego spotkania z Paulem, Barney od razu pomyślał o jego sklepie.

Właściciel mieszkał na piętrze. Mieszkanie, równie podłużne jak lokal handlowy, było pozbawione ozdób, co kontrastowało z wystrojem sklepu. Na ścianach wisiały pamiątki po ojcu, wszystkie przywodzące na myśl połowy wielorybów. Na olbrzymim

obrazie widniała podobizna harpunnika stojącego na pokładzie barki opatrzonej wiosłami i wypatrującego w czerwonej pianie kaszalota, który oddalał się z harpunem tkwiącym w grzbiecie. Całość stanowiła brutalną, lecz zarazem romantyczną i nade wszystko harmonijną scenę; skorupa łodzi miała kolor, kształt i strukturę cielska wieloryba, lina przymocowana do harpuna i łącząca obie bryły sprawiała, że trudno było odgadnąć, czyje losy okażą się bardziej tragiczne, myśliwego czy jego potężnej ofiary. Jedynymi meblami w pomieszczeniu były podłużny mahoniowy stół i taborety. Barney usiadł przy stole samotnie. Była jedenasta dwadzieścia pięć. Somerset zajęty był klientami na dole, a reszta jeszcze nie dotarła.

O jedenastej trzydzieści Martha wśliznęła się do butiku przez tylne drzwi, które celowo pozostawiono otwarte. Dołączyła do Barneya na piętrze.

- Żadnych kłopotów? - zapytał.

- Śledzenie ludzi to moja specjalność - odparła, śmiejąc się. - Ten bałwan Lawrence nie miałby ze mną szans!

Po dwóch minutach usłyszeli pod sobą głuchy dźwięk chińskiego dzwonka, potem kroki na schodach i wreszcie ujrzeli Paula ubranego w kurtkę żeglarską i dżersejową czapkę w paski. Trzydniowy zarost i czarne kwadratowe okulary przeciwsłoneczne upodabniały go do typowych klientów Somersetu. Z całą pewnością nie ściągnął po drodze niczyjej uwagi.

W ciągu kwadransa przybyła Tara. Weszła do sklepu, po czym dyskretnie wymknęła się innym wyjściem, by zmylić ewentualnych szpiegów. W końcu ku wielkiemu zaskoczeniu Paula pojawił się Aleksander. Przyszedł spóźniony, a oczekiwaniu na niego towarzyszyło ciężkie milczenie. Aleksander, dyplomata i analityk, nie znał sztuki przeprowadzania tajnych akcji. Był słabym ogniwo i narażał grupę na realne ryzyko wobec służb Lawrence'a. Jednak poprzedniego wieczoru Martha przygotowała dla niego scenariusz (odwiedziny u chorej ciotki, poranny wyjazd samochodem, wielokrotne zawracanie, w celu upewnienia się, że nie jest śledzony na opustoszałych drogach, przebranie się na parking i przybycie w stroju turysty do portu w Newport). Aleksander zrealizował plan bez zarzutu. Nikt go nie śledził.

Gdy już byli w komplecie, Barney oświadczył, że Tycen dołączy do nich telefonicznie. Jako junior, nie dysponował taką swobodą jak pozostali pracownicy Providence. Jak wszyscy łącznicy pracował na miejscu, w agencji. W południe zadzwonił ze swojego telefonu komórkowego. Barney włączył zestaw głośnomówiący.

Zebrani zostali poinformowani o szczegółach spotkania Barneya z Pauliem. Wszyscy mieli świadomość niebezpieczeństwa, jakie stanowiła grupa Harrowa oraz nieuchronności dalekosiężnej zbrodniczej operacji, którą miał zamiar przeprowadzić. Wreszcie, pomimo lojalności wobec Archiego, wszyscy byli przekonani, że przerwanie akcji to poważny błąd z jego strony.

- Dzwoniła Kerry - dodał Paul - o szóstej trzydzieści przyleciała szwajcarskimi liniami lotniczymi do Nowego Jorku. Za godzinę lub dwie powinna do nas dołączyć.

- Nie musimy na nią czekać - zauważył Barney. - Pokaże nam oryginał zdjęcia, lecz nie sądzę, by to cokolwiek zmieniło. Kopia, którą nam przesłała, była dobrej jakości.

Barney wręczył ją Paulowi. Inni wyjęli swoje egzemplarze i w milczeniu przyglądali się uczestnikom seminarium z sześćdziesiątego siódmego roku.

- Jestem pewien, że Kerry ma rację - podjął Barney. - Klucz do tajemnicy znajduje się na tym zdjęciu. Są na nim osoby, które wspierają Harrowa. Dzięki nim możemy dowiedzieć się, kto finansuje operację oraz w jakim kraju Harrow zamierza ją przeprowadzić.

- Proponuję, byśmy od razu przeszli do analizy rezultatów naszej pracy. Zacznij, Martha.

- Dobry pomysł!

Odłożyła palmtop na stół i się wyprostowała.

- Przypomnę, zwłaszcza do wiadomości Paula, że podzieliliśmy się pracą. Każdy z nas zajął się identyfikacją jednego lub dwóch mężczyzn widniejących na zdjęciu. Pion analityczny Aleksandra bardzo nam w tym dopomógł. Jako że nasze archiwa nie zawierają wszystkich informacji, szperaliśmy, gdzie się dało.

Paul pokiwał głową na znak, że przyjmuje do wiadomości ten skrót metodologiczny.

- Mnie trafili się dwaj Azjaci z pierwszego rzędu. - Zebrani ponownie przyjrzeni się zdjęciu. - Oprócz zdjęcia punktem wyjścia były dla nas imiona zapisane na odwrocie oraz notatka, którą Kerry znalazła razem z fotografią. Po zestawieniu danych otrzy maliśmy następujące informacje.

Spojrzenia kolegów powędrowały automatycznie w stronę ściany, lecz tym razem nie było im dane korzystać z udogodnień Providence. Nie dysponowali komputerem ani ekranem umożliwiającymi prezentację, lecz obrazem przedstawiającym polowanie na wieloryby i spłoszony wzrok walenia umykającego w spienionej i czerwonej od krwi wodzie.

- Pierwsza z dwóch „chińskich” twarzy należy do niejakiego Kima Rae z Korei Południowej. Jest dziś przedsiębiorcą budowlanym w Seulu. Jego życiorys nie zawiera żadnego kompromitującego elementu, z wyjątkiem może związków z sektą Moon, dla której zrealizował wiele projektów.

Martha wygłosiła nowinę bez przekonania. Słuchacze wydali z siebie pomruki wskazujące, że oczekują czegoś ciekawszego.

- Drugi student azjatycki jest faktycznie Chińczykiem. Nazywa się Teng Lui Cheng. Dziś ma siedemdziesiąt lat. Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku należy do partii. Pochodzi z północnych Chin, po matce odziedziczył mongolską krew.

- Cóż on robił w Austrii w latach pięćdziesiątych?

- Jest językoznawcą. Włada zarówno niemieckim, jak i rosyjskim. Studiował w Europie i prawdopodobnie szpiegował dla Rosjan. U Fritscha wylądował przez pomyłkę. Uniwersytety zamknęły przed nim swe wrota, a jako że koniecznie musiał studiować, zwrócił się do profesora.

Większość zebranych wokół stołu sceptycznie kręciła nosami. Jednak Martha wiedziała, jak zrobić wrażenie. Aż podskoczyli, gdy nagle podniosła głos.

- Wprawdzie trafił do Fritscha przez przypadek, lecz złapał bakcyła. Po powrocie do Chin stał się czołowym piewą pro gramu redukcji populacji. Jedno dziecko na rodzinę i te sprawy... Niezmordowanie bronił swych pomysłów i wspiał się na najwyższe szczeble państwowe: jest obecnie członkiem Cen-

tralnego Komitetu Komunistycznej Partii Chin. Natomiast jego dwaj synowie...

- Dwaj! - krzyknęła Tara. - Powinno się go za to wsadzić za kratki!

- Urodzili się, zanim wylansował hasło „jedno dziecko na rodzinę”. Zresztą ta zasada nigdy nie dotyczyła dygnitarzy państwowych.

- No proszę!

Martha zignorowała komentarze i drwiny. Przeszła do sedna sprawy:

- Chcę powiedzieć, że obaj synowie wiodą dość interesujące z punktu widzenia naszej sprawy życie. Starszy jest dyrektorem lotniska w Szanghaju, co umożliwi mu kontrolę niemal każdego towaru docierającego do Chin, legalnie czy nie.

Słuchacze nie wydawali się całkiem przekonani o znaczeniu tej informacji, więc Martha odczekała chwilę, zanim wyłożyła ostatnią kartę na stół.

- Młodszy zaś syn jest biologiem specjalizującym się w dziedzinie dzikiej fauny. Odbył dwuletnie praktyki w... Seattle. Istnieją dowody na to, że był w środowisku radykalnych ekologów, między innymi w One Earth.

- Nie ma go na liście członków grupy Harrowa - zauważył Barney.

- Nie, bo opuścił Stany Zjednoczone sześć miesięcy przed przybyciem Harrowa do Organizacji. Nie było więc kogo wykluczać.

Zebrani zaczęli intensywnie myśleć. Aleksander podrapał się w ucho, Paul bawił się ołówkiem.

- To rzeczywiście niezły trop, Martha - przyznał Barney.

Niezły i niewątpliwie skomplikowany, bowiem każdy wyobrażał sobie trudności, jakie oznaczałoby prowadzenie dochodzenia tego typu w Chinach...

- Czy ktoś ma coś lepszego? Tara?

- Ja przeprowadziłam śledztwo w sprawie czterech osób. Nie wiem, kto rozdzielał pracę, lecz ewidentnym kryterium był kolor skóry studentów; dostali mi się wszyscy śniadzi.

- Dzięki temu pracowaliście na przedstawicielach konkretnego regionu, na przykład Azji południowo-wschodniej.

W szybkim wyjaśnieniu Barneya dało się jednak wyczuć skrępowanie.

- Ta zasada nie sprawdza się w moim przypadku. Moi studenci to Albańczyk, Libijczyk, Hindus i Kanak z Nowej Kaledonii...

- Rzeczywiście - przyznał Barney, próbując się uśmiechnąć, i zakaszłał.

- O Albańczyku i Kanaku powiem krótko: pierwszy zmarł cztery lata temu, nie pozostawiając potomka, drugi zaś wiódł spokojne życie naukowca w dziedzinie oceanografii w mieście Noumea, obecnie jest emerytem totalnie niezwiązanym ze sprawą.

- A Libijczyk? - spytał Aleksander, przesiąknięty geopolityką administracji Busha, w której Libia znajdowała się na „osi zła”.

- Przykro mi, że pana rozczaruję. Libijczyk prawdopodobnie jest czysty. To prawda, że mamy tendencję do podejrzewania Libii o współudział w zbrodniach, dzięki czemu od trzydziestu lat nie spuszczaamy tego kraju z oka i sporo o nim wiemy. Libijski student Fritscha pracował do emerytury, czyli końca zeszłego roku jako profesor na uniwersytecie w Benghazi. Wyróżnił się żalonym konformizmem naukowym. Gwoli przypomnienia, Harrow walczy z wielkimi i biednymi populacjami. A mieszkańcy Libii są raczej bogaci i niezbyt liczni...

- A Hindus?

- Do niego zmierzam. Rajiv Singh uchodzi w swoim kraju za człowieka dyskretnego, lecz wpływowego w kwestiach dotyczących demografii. Również na niego, podobnie jak na chińskiego kolegę, koncepcje Fritscha wywarły ogromny wpływ. Odegrał znaczną rolę polityczną w Partii Kongresu. Oficjalnie jest biologiem z tytułem profesora. W rzeczywistości pochodzi ze znanej rodziny w Radżastanie i po śmierci ojca w siedemdziesiątym czwartym roku odziedziczył w spadku fortunę i nigdy nie musiał pracować. Niemniej jednak zawdzięczamy mu kilka artykułów i wkład w kolokwia poświęcone tematyce ludności indyjskiej. Uważany jest za ortodoksyjnego wyznawcę idei Malthusa.

- W jakim sensie? - zapytał Barney.

- Rajiv Singh twierdził, że rozwój gospodarczy można osiągnąć tylko tam, gdzie liczba ludności utrzymuje się na stałym poziomie. Dlatego nie należy działać wbrew naturalnym mechanizmom

regulującym tę liczbę. Innymi słowy, podkreśla absolutne pierwszeństwo inwestycji produktywnych, ponadto zaleca sprzyjanie bogatym i redukovanie wydatków państwa na cele społeczne dla biednych. Czyż to nie idee seminarium z sześćdziesiątego siódmego?

Słońce świeciło teraz przez okna wychodzące na port i jego promienie padały prosto na obraz z wielorybem. Dzięki ich światłu gest harpunnika zyskiwał nieco wdzięku. Jego twarz nieoczekiwanie nabierała radosnego wyrazu, podczas gdy waleń zanurzony w różowej pianie łypał na widzów złośliwym okiem.

- Mam nadzieję, że przekonam was argumentem, że facet był przez dwadzieścia lat żonaty z Amerykanką, która po rozwodzie pięć lat temu powróciła do Stanów Zjednoczonych. I *ona* figuruje na liście członków grupy Harrowa. To jeszcze nie wszystko. Po wydaleniu z One Earth wróciła do... Delhi. Nadal czekam na potwierdzenie z naszej ambasady, ale wygląda na to, że jest regularnie widywana ze swym byłym mężem. Można się wręcz zastanawiać, czy kiedykolwiek naprawdę się rozwiedli. Krótko mówiąc, pan Singh jest związany zarówno z Fritschem, jak i z Harrowem.

- Powiedziałaś, że jest bardzo bogaty - zagadnął Paul. Czy mógłby być tajemniczym sponsorem Harrowa?

- Nie jest *bardzo* bogaty. Jest majątnym człowiekiem z dobrej rodziny. Nie sądzę, aby środki, jakimi dysponuje, były na tyle duże, by sfinansować operację takiego kalibru.

W wyniku tych odkryć w pomieszczeniu zapanowało radosne poruszenie. Już wywiązać się miała gorąca dyskusja, gdy oto nagle weszła Kerry, co dodatkowo poprawiło nastroje obecnych. Albo nie zdążyła się przebrać, albo miała ochotę pochwalić się wyczynami w Austrii, miała bowiem na sobie czarny polar stanowiący część jej przebrania „włamywacza”. Na jego tle twarz młodej kobiety zdawała się jeszcze bledsza i Kerry wyglądała trochę jak mim. Zmęczone oczy błyszczały gorączką i żądzą akcji.

Barney streścił jej poprzednie wystąpienia. Nalegał, by wszyscy przedstawili zebrane informacje i dopiero potem przeszli do dyskusji.

Tycen zabrał głos przez głośnik zestawu Barneya umieszczony na środku stołu. Chłopak zajął się dwoma mężczyzunami o połud-

niowoamerykańskich rysach stojącymi w drugim rzędzie. Pierwszy był Kolumbijczykiem zamordowanym niedługo po powrocie do kraju, najprawdopodobniej w łajdackich porachunkach. Drugi z nich był Brazylijczykiem.

- Nie musiałem daleko szukać. Jego nazwisko znane jest w całym kraju. Oswaldo Leite jest politykiem centroprawicy, dość skorumpowanym, lecz do tej pory wszystko uchodziło mu na sucho. Jak wieść gminna niesie, jest politycznym ramieniem potężnego lobby trzciny cukrowej.

- Dawnych zwolenników niewolnictwa? - spytała Martha.

- A co najmniej najbardziej konserwatywnych spośród *fazenderos*". To radykalne skrzydło światka biznesu i wielkich posiadaczy latyfundiów.

- Co masz na myśli, mówiąc centroprawica? - wtrącił Paul.

- W Brazylii taka klasyfikacja niewiele oznacza - uczenie rzekł Aleksander. - Prowadzą raczej politykę klientelistyczną.

Pochrząkiwanie w głośniku znaczyło, że Tycen chce coś powiedzieć. Barney gestem przerwał dyskusję wokół stołu.

- Słuchamy cię, Tycen.

- Chciałem dodać tylko jedno: to urzędujący minister spraw wewnętrznych... Facet jest zwierzchnikiem policji i ma olbrzymie wpływy we wszystkich środowiskach. Można powiedzieć, że pozostając za kulisami, jest jednym z najpotężniejszych ludzi w swoim kraju.

Zebrani milczeli. Dopiero Kerry przerwała włądco:

- Tycen, czy masz pomysł, co taki facet jak on robił w sześćdziesiątym siódmym u Fritscha?

- Dobrze pytanie, choć nie wiem, kto je zadał.

- Kerry.

- Brawo, Kerry. W tym właśnie rzecz. Na początku lat sześćdziesiątych w Brazylii wrzało. Lewica cieszyła się wysoką pozycją. Wznoszono Brasilię, kolejną utopię wszech czasów. Środowiska konserwatywne były zaniepokojone rosnącą siłą pospółstwa. W tym czasie Oswaldo Leite ma osiemnaście lat. Jest wyrzutkiem ze zrujnowanej rodziny plantatorów. Matka cierpi na depresję,

ojciec szuka pracy w Sao Paulo. Wychowuje go babka w Récife. Chłopiec jest marzycielem - tak przynajmniej twierdzi autor jego biografii - interesują go ryby, rośliny. Studiuje biologię. Dużo czyta. Któregoś dnia wpada na ręce artykuł Fritscha. To miłość od pierwszego wejrzenia. Babka rozbija skarbonkę, by umożliwić wnuczkowi wyjazd do Austrii. Tam Oswaldo odkrywa politykę. Koncepcje Fritscha na temat biednych, demograficznego niebezpieczeństwa i szacunku dla przyrody dojrzewają w jego umyśle. Od środowiska naturalnego do środowiska społecznego, po nitce do kłębka, zaczyna rozumieć, że aby ochronić to, co się kocha, trzeba działać.

- W sześćdziesiątym siódmym w Brazylii mamy dyktaturę wojskową - wtrącił Aleksander.

- Zgadza się. Wspierany przez nas zamach stanu przywraca porządek w kraju. Oswaldo przebywa za granicą. Woli pozostać w Europie, pomimo sympatii, jaką jego rodzina darzy juntę. To spryciarz. Rozumie, że wojskowym przypadła brudna robota: tylko wyeliminowanie lewicy gwarantowało zachowanie przywilejów klasy bogaczy. Oswaldo czeka, aż się z tym uporają. Gra opozycjonistę. Gdy w kraju sytuacja się uspokaja, wraca i broni tych samych ideałów, tyle że w garniturze - po stronie bogatych.

- Temat cię pasjonuje hę? - zadrwiła Martha.

- Nie bez powodu - wypaliła Kerry z policzkami zaczerwienionymi od ciepła i podniecenia. - To szalenie ważny trop. Jeśli facet dochował wierności poglądom Fritscha, można je przecież realizować u niego...

- Uwaga - przerwał Paul - nic jak dotąd nie wskazuje, że facet miał kontakt z Harrowem...

Barney uniósł dłoń, nakazując ciszę.

- Spokój proszę! Chciałbym najpierw usłyszeć wszystkich. Aleksandrze?

- Mnie w spadku przypadli Europejczycy ze zdjęcia, a raczej ci, którzy wyglądają na Europejczyków.

- Czyli biali - rzekł zniechęconym głosem Barney.

- Otóż to, biali! Zacznę od Rogulskiego. Znacnie go wszyscy, bowiem od niego zaczęła się historia. Dzięki kontaktom, jaki utrzymuję z piekielnym środowiskiem sowietologów, udało mi się

odkryć kilka nowych elementów. W latach sześćdziesiątych spędził w Rosji trzy lata. Dotąd nie przywiązywaliśmy wagi do tego szczegółu, gdyż wydawało się nam logiczne, że Polak odwiedza swego starszego sowieckiego brata. Jednak okazuje się, że jest w tym coś więcej. Przez trzy lata Rogulski mieszkał nad Jeziorem Aralskim, czyli tam, gdzie znajdowało się centrum badawcze Armii Czerwonej prowadzące prace nad bronią niekonwencjonalną, głównie bakteriologiczną i chemiczną.

- Proszę, proszę...

- Tak, Paul, to niezaprzeczalny argument przemawiający za pańską tezą. Kto, jak nie Rogulski, wie, w jaki sposób przekształcić czynnik patogenny w broń. Mamy powody obawiać się, że Harrow dysponuje w tej chwili przecinkowcem w dalece ulepszonej formie.

- Jednak to nie bardzo posuwa nasze śledztwo - sprzeciwiła się Kerry. - Chcemy dowiedzieć się przede wszystkim, *gdzie* Harrow zamierza zaatakować.

- Przykro mi, że cię rozczarowuję - oschle odparował Aleksander.

- Kontynuuj stary - zachęcił go Barney - na tym etapie każdy element jest ważny.

Wolał uniknąć skutków zranienia dumy Aleksandra.

- Dzięki, Barney. Na zakończenie mam wam do powiedzenia coś jeszcze. Myślę, że to najciekawsza postać wśród studentów.

Wziął do ręki fotografię i palcem wskazał na młodego mężczyznę stojącego po lewej stronie grupy. Chłopak uśmiechał się łagodnie, jakby do siebie, zdawał się niepokojąco nieobecny, niczym przedstawiciel gatunku marzycieli należących do obcego świata chimer i ułudy.

- Allistair McLeod - oznajmił Bennet. - Jego losy są niezwykle, choć początkowo życie młodego Szkota było dość banalne. Urodził się w robotniczej rodzinie z Glasgow. Jego ojciec był pastorem w kościele episkopalnym. Allistair jest ósmym z dwunastki dzieci. Jako świetny uczeń zdobywa królewskie stypendium i udaje się na studia rolnicze do Manchesteru, potem do Oxfordu. Wyjeżdża na praktyki do Niemiec, również jako stypendysta. Nie bardzo wiadomo, w jaki sposób trafił do Fritscha. McLeod jest tak biedny, że

profesor zgadza się przyjąć go bez wpisowego. Na liście ocen jego nazwisko figuruje oddzielnie, jak gdyby był wolnym słuchaczem. Monotonny głos Aleksandra odebrał słuchaczom entuzjazm. Promienie słoneczne zmieniły kąt padania, do tego słońce zasnuła chmura i w pomieszczeniu zapanował półmrok. Wykład nabierał charakteru epitafium na cześć umarłej akcji.

- Błagam, Aleksander, przejdź wreszcie do sedna! - popędziła go Kerry, chcąc ratować przedsięwzięcie.

- Wysłuchajcie mnie spokojnie. Zobaczycie, że warto. Ukończywszy seminarium, McLeod wbrew wszelkim oczekiwaniom nie wraca do Anglii. Na dziesięć lat przepada bez wieści w Afryce Południowej. W oficjalnej biografii czytamy, że zbił majątek na handlu nawozem. To prawda, lecz liczne głosy przemawiają za tym, że zaczął od bardzo złego uczynku. Miał ponoć rywala, którego rzekomo otruił... Jedno jest pewne, nie był już tym samym człowiekiem, co w Austrii. Marzyciel i syn pastora wychowany zgodnie z zasadami moralnymi stał się człowiekiem żadnym sukcesu, który przysiągł sobie, że nigdy więcej nie będzie biedny.

Na słowa „nigdy więcej nie będzie biedny” Paul nadstawił uszu.

- Ciąg dalszy to już legenda o jednej z największych fortun na świecie w różnych latach sklasyfikowanej na dziesiątym lub czternastym miejscu listy „Forbesa”.

- Myślisz, że to on przyczynił się do możliwości finansowych Harrowa w ostatnim czasie? - zapytał Barney.

- Nic nie myślę. Wy pomyślcie, jeżeli dacie mi skończyć.

- Mów.

- McLeod działał dosyć logicznie. Zaczął od nawozów. Potem transport: kupuje przedsiębiorstwo samochodów dostawczych.

- Nadal w Afryce Południowej?

- Z początku tak. W siedemdziesiątym trzecim przerzuca się na lotnictwo, kupując linie lotnicze Groóse Airlines, które po dziś dzień traktuje jak swój fetysz. Początek lat siedemdziesiątych to okres rewolucji marksistowskiej w Angoli i Mozambiku. Samoloty Groóse Airlines obsłużyły niejedną operację południowoafrykańskich służb specjalnych i brały udział w wielu obłąkańczych akcjach. Po czterech latach McLeod miał tyle pieniędzy, że mógł

pozwolić sobie na wykupienie prywatnych amerykańskich linii lotniczych. Rozszerzył działalność na Karaiby i Amerykę Łacińską. W latach osiemdziesiątych zapoczątkował loty czarterowe, potem rejsy pierwszych tanich linii lotniczych: Fun Jet.

- Coś takiego! - wykrzyknęła Tara. - Nie skojarzyłam go z McLeodem od rewolucji taryf lotniczych. Oglądałam kiedyś program na ten temat w telewizji. Facet jest ponoć nieprzyzwoicie bogaty.

- To ten sam. Zawsze wiedział, z której strony wieje wiatr. Największą jego zaletą jest łatwość, z jaką lokuje kapitał w różne intratne interesy. Nie zadowolili się zarabianiem pieniędzy na lotnictwie. Jest obecny w wielu innych branżach, jak na przykład energetycznej ze swoimi tankowcami powietrznymi, w nieruchomościach, bo zabudował karaibskie wybrzeża, a po zakończeniu wojny w Rodezji i Mozambiku...

- OK, Aleksander - przerwał mu Barney. - Myślę, że zrozumieliśmy dobrze. McLeod jest miliarderem. Powiedz nam teraz, jaki ma związek z naszą sprawą, poza oczywiście tym, że był studentem Fritscha.

- Razem z Tycenem pracowaliśmy nad *dossier* dziewczyny, która włamała się do laboratorium Rogulskiego.

- Chodzi ci o Juliette?

- Tak. Poprosiłem Tycena, by sprawdził kilka rzeczy. Opuściła Francję dwudziestego trzeciego marca. Z dokumentacji amerykańskiego biura imigracyjnego wynika, że przybyła do Stanów Zjednoczonych szóstego kwietnia. Aby dowiedzieć się, gdzie podziwiała się w międzyczasie, sprawdziliśmy listy pasażerów wszystkich linii lotniczych. Odkryliśmy, że nie przyleciała do Ameryki z Europy, lecz z Afryki Południowej, z Johannesburga.

Uśmiech zagościł na twarzach zebranych. Jako agenci operacyjni, uważali Aleksandra za skończonego biurokratę, faceta zdolnego do przekładania papierów. I oto ujawniał prawdziwy talent śledczy.

- Trudno było uzyskać informację, gdzie dokładnie udała się w Afryce Południowej. Jest mnóstwo możliwości. Zdając się na intuicję, sprawdziliśmy listy pasażerów prywatnych linii lotniczych latających z Johannesburga. To był zakład i my go wygraliśmy! Dwudziestego czwartego marca rano Juliette zarejestrowała się na

rejs Groóse Airlines do Chimoyo w Mozambiku. Wróciła stamtąd piątego kwietnia rano. Była jedynym pasażerem. Gdy Aleksander skończył, rozbrzmiały oklaski.

- Trzeba przesłuchać tego McLeoda! - wykrzyknęła Kerry.
- Gdzie mieszka?

Aleksander z trudem powstrzymał się od okazania satysfakcji. By dodać sobie powagi i ukryć mgiełkę zasnuwającą mu spojrzenie, zdjął okulary i przetarł je rogiem krawata.

- Poczekajcie - wydusił przez ściśnięte gardło. - Nie powie działem wam wszystkiego.

Założył okulary i poszperał w papierach.

- Od jakichś trzech lat McLeod wycofał się z interesów. Zarządzenie majątkiem powierzył zaufanemu wspólnikowi. Ma jedną córkę, Carlottę, którą zresztą uwielbia. Jej matką jest była żona McLeoda, włoska hrabina. Małżeństwo trwało dwa lata. Córka żyje wystawnie pomiędzy Houston, Paryżem a Sankt Petersburgiem. McLeod trzyma ją z dala od interesów, lecz wypłaca jej hojną pensję i spełnia wszystkie zachcianki. Córka jest dość niewdzięczna, bo odmówiła noszenia jego nazwiska. Każe się nazywać baronową Castelfranco, od jednej z posiadłości matki. McLeod jednak żywi wobec niej rozzdzierające ojcowskie uczucia.

- A gdzie on jest? - Kerry powtórzyła pytanie.

- Niedaleko Genewy, zabarykadowany w willi. Zerwał kontakt ze światem zewnętrznym.

- Od jak dawna tak żyje? - zapytał Paul.

- Od końca dwa tysiące trzeciego roku, kiedy zachorował na depresję. Zaczął wyprzedawać akcje, w prasie ekonomicznej pojawiły się alarmujące artykuły. Potem wziął się w garść, wydał zarządzenia gwarantujące sprawne funkcjonowanie interesów bez jego ingerencji i wyjechał do Szwajcarii.

- Czyli od dwóch lat jest poza obiegiem? - nalegał Paul.

- Mniej więcej.

- Usunął się w cień w momencie, w którym Harrow odszedł z One Earth, by działać na własną rękę.

- Chciałem, byście sami wyciągnęli wnioski - skromnie przyznał Aleksander.

- I od tego czasu nikt nie ma do niego dostępu?

- Nie da się do niego dodzwonić, nie umawia się z nikim, nikogo nie przyjmuje. Jedyne ludźmi, z jakimi się widuje, są jego ochroniarze.

- Czy podał przyczynę zerwania ze światem? - zapytał Barney.

- Nie. Wiemy tylko, że cierpi na chroniczną chorobę. Coś w rodzaju postępującego powoli raka kości. Jego stan ustabilizował się dzięki chemioterapii, lecz jednocześnie to leczenie znacznie osłabiło McLeoda. Jednak są to tylko plotki.

Wszystkie usłyszane rewelacje wprawiły towarzystwo w stan lekkiego oszołomienia. Każdy intensywnie myślał. O ile na początku ciężko było przerwać serie komentarzy, tak teraz, gdy Barney zarządził dyskusję, nikt nie palił się do zabrania głosu.

- Ten McLeod - podsumował Barney - jest bezapelacyjnie mecenasem operacji. Nikt jednak nie ma do niego dostępu. Co zaś do odpowiedzi na pytanie, gdzie operacja zostanie przeprowadzona, mamy co najmniej trzy solidne tropy: Indie, Chiny i Brazylia. To za dużo.

- Chyba że Harrow chce uderzyć w trzech miejscach równocześnie - nieśmiało burknęła Martha.

- Gdybyśmy dysponowali środkami CIA, moglibyśmy obserwować wszystkich trzech - rzekła Tara, wyrażając tym samym rozterki całej grupy. - Daleko nam jednak do tego...

- Owszem, daleko - uciał poirytowany Barney. - A co więcej, nie wiemy, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Firma. Musimy zatem poradzić sobie sami.

Znowu zapanowała cisza. Wszyscy zaczęli rozmyślać nad chwiejnością sytuacji. Wodzili wzrokiem po ścianach pomieszczenia i nagle poczuli, że coś odbiera im energię. Nie tylko nie przynależeli już do potężnej rządowej instytucji, lecz złamali zakaz wydany w prywatnej organizacji, do której stworzenia się przyczynili. Walczyli w słusznej sprawie. Była to jednak walka samotna. Osiągnęli apogeum tego, do czego byli zdolni w takich warunkach.

Wreszcie Paul przerwał ciszę.

- Klucz jest u McLeoda - powiedział. Był zwarty w sobie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, głowę wtulił w ramiona i złożył

ręce niczym bokser gotowy przed walką. - To jego trzeba dokładnie przesłuchać. Powtarzam dokładnie, czyli tak, by nie mógł nam nie odpowiedzieć. Jeżeli finansuje operację i zabezpiecza ją logistycznie, to wie, gdzie w tej chwili znajduje się Harrow.

- Powtarzam, że w żaden sposób nie da się dotrzeć do McLeoda - przypomniał Aleksander urażonym tonem. - Użycie siły może się okazać zgubne. Facet ma kontakty na najwyższych szczeblach, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i gdzie indziej. Podobno trzyma z neokonserwatystami i sfinansował już kilka ich kampanii.

Wobec determinacji Paula Aleksander przeistoczył się w bojaźliwego gryziopórka, który przestał być sobą tylko na chwilę. Znowu nikt nie dałby złamanego grosza za to, co mówi.

- Słyszeliśmy to - fuknął Paul. - To zapewne bardzo trudne, lecz jestem pewien, że jest jakiś sposób. - Po czym dodał głuchym i zaskakująco stanowczym głosem: - Zostawcie to mnie.

Kontrast jego słów z urażoną miną Aleksandra wywołały uśmiechy zebranych.

Paul poczekał, aż jego decyzja zostanie przypieczętowana niemą zgodą i rzekł do Kerry:

- No cóż, niepotrzebnie zboczyłaś z drogi. Z Austrii jest o wiele bliżej do Szwajcarii niż przez Rhode Island.

A gdy napotkał spojrzenie jej błyszczących oczu, krzyknął w stronę głośnika:

- Tycen, jesteś tam jeszcze? Zarezerwuj dla nas dwa bilety do Genewy na najbliższy lot, dobrze?

II

Rio de Janeiro, Brazylia

Gdy zjechali z autostrady, Zé-Paulo zwolnił. Krajobraz zmienił się gwałtownie, jakby znaleźli się w innym kraju. Brazylijskie plaże, wielkie hotele i drogi szybkiego ruchu ustąpiły jednolicie płaskiej, szarej przestrzeni, pokrytej aż po horyzont płozącymi się przy ziemi barakami.

W regionie Baixada Fluminense nie zachowało się nawet najbardziej nikłe wspomnienie jego dawnego rolniczego powołania. Słońce żywi teraz jedynie pył, który gromadzi się wzdłuż ścian lepierek. Bose dzieci bawią się przed chatami. Wyglądają na całkiem dobrze odżywione, większość może nawet ma rodziców. Są tylko niewyobrażalnie biedne. Trudno to zrozumieć, gdyż ich nędza nie wynika z kataklizmu ani upadku, lecz z głęboko zakorzenionego i najpewniej nieodwracalnego położenia w hierarchii społecznej. Te dzieci urodziły się biedne, tak samo jak lisy rodzą się lisami, konie końmi. Nędza nie jest sytuacją, w której znalazły się tymczasowo. Jest wpisana w ich los. Dzieci przystosowują się do niej jak mogą. W upale rozżarzonej wielkiej faweli biegają za piłką zrobioną ze szmat i śmieją się, uśmiechają, i trudno jest ocenić, czy ta bez troska jest wyrazem skrajnej rozpacz, czy paradoksalną formą szczęścia.

Juliette jak oniemiała przyglądała się tej scenie przez szybę tylnego siedzenia forda. Starła się wyczuć zapach ulicy, lecz na próżno, jej nozdrza wypełniał leśny zapach klimatyzowanego powietrza. Czowała się zażenowana, obserwując tę bezwonną nędzę. Niektóre dzieciaki biegły za samochodem, pukały w szyby i wykrzywiały twarzyczki w okropnych szczerbatych grymasach. Harrow siedział na przednim siedzeniu. Był wyprostowany, spięty,

patrzył prosto przed siebie jak ktoś, kto przechodzi obok węża i boi się, że gad obudzi się nagle i go ukąsi. Zé-Paulo robił co mógł, by odgonić dzieciaki, lecz jego zamaszyste gesty potęgowały tylko śmiechy i radość gromady.

- To nieszczęśnicy - odezwał się, manewrując jednocześnie samochodem między dziurami na wyboistej drodze. - Nieszczęśnicy i potwory. W fawelach tak już jest: dziś niewiniątka, jutro chuligani. Wiek niewinności kończy się z piątym rokiem życia, potem zaczynają palić, ćpać, handlować narkotykami i zabijać.

Dzieci w potarganych podkoszulkach biegly za samochodem. Spojrzenia opalonych pyszczków okolonych krótkimi zawoszonymi włosami wyrażały wszystko to, o czym mówił Zé-Paulo; wypaloną niewinność, trudne do zniesienia zacięcie, niemal zwierzęce wybuchy nienawiści i zaraz potem rozczulający śmiech.

- To najstarsza część faweli. Przy odrobinie wyobraźni można by nazwać te baraki domami, z tym że co do jednego są przeżarte przez robactwo. Co roku znajdujemy tu niemowlęta w kołyskach zniekształcone przez blizny po ugryzieniach szczurów. Ale cóż, baraki mają drzwi, okna. Gdy alkoholik bije żonę, przynajmniej nie robi tego na oczach sąsiadów.

Samochód jechał szeroką niby-aleją przecinającej Baixade na pół.

- im dalej w tamtą stronę, tym chaty są prymitywniejsze - Zé-Paulo wskazał na zakurzony horyzont pomiędzy stertą ręcznych wózków a grupą mężczyzn z niezrozumiałych powodów bezczynnie tkwiących w miejscu. - Na skraju faweli spotkać można i takich, którzy mieszkają w szałasach z gałęzi, worków, kawałków plastiku. To dzielnica nowo przybyłych.

- Wciąż przybywają?

Brazylijczyk obrócił się, by odpowiedzieć na pytanie Juliette.

- Kilka tysięcy miesięcznie. Może kilkadziesiąt. Napływają z głębi kraju, głównie z północno-wschodniej części Brazylii.

Zwolnił i objechał ciało leżące na środku drogi. Nie dało się stwierdzić, czy był to martwy człowiek, czy po prostu śpiący pijak.

- Nasze miasta przekształciły się w bestie. Ludzie przybywają z zewnątrz, wierząc, że będzie im w nich lepiej. Ich nadzieje są płonne, pozostaje im walka o przeżycie w nędzy i bezprawiu.

- Być może w ogóle nie przeżyliby tam, skąd pochodzą.

Zé-Paulo rzucił dziewczynie dziwne spojrzenie przez ramię.

- To prawda, że tam nie przeżyliby. Na wsi utrzymuje się stan równowagi pomiędzy liczbą mieszkańców a darami ziemi. Gdy ziemia nie nadąza z wyżywieniem ludzi, ich liczba stabilizuje się lub maleje. O tym mówi prawo Malthusa. Jednak w fawelach nie panują żadne prawa. Ponieważ władze nie mogą sobie pozwolić na głodzenie społeczności miejskiej, żywią ją. Jednak nic nie hamuje rozmnażania się biednych. Wskaźnik płodności jest tu nadal gigantyczny.

Skreślili w węższą, nadal bitą drogę. W cieniu baraków kobiety prały bieliznę w kolorowych plastikowych miednicach.

- Liczymy, że dzięki waszej misji ta tendencja się zmieni - Zé-Paulo zwrócił się do Harrowa. - Mamy nadzieję, że uda się odwrócić prąd i przezwyciężyć modę na miasto. Przywrócić harmonię i równowagę życia na wsi.

W samochodzie zapanowała krępująca cisza. Juliette czuła, że to ona była przyczyną milczenia towarzyszy. Miała wrażenie, że oczekują od niej reakcji. Rzeczywiście cisnęły się jej na usta pytania, które od kilku dni błąkały się po jej umyśle: „Ale jak?“, „Jak odwrócimy bieg wydarzeń?“, „Czego dodamy albo ujmijemy będzie, by sytuacja uległa zmianie?“

Myśli te przyprawiły ją o zawrót głowy. Za każdym razem dawała za wygraną. Ostatnio trochę przesadzała z lekarstwami. Czuła się przyczołajona, opancerzona, bezpieczna niczym żołnierz za barykadą chroniącą go przed wybuchem niepokoju. Trzymała się też kurczowo roli posłusznego członka grupy. Zrobi wszystko, czego Harrow od niej zażąda, byle tylko nie pogрузić się na nowo w miernocie życia pozbawionego ideałów.

- Kanał jest tam - oświadczył Zé-Paulo, przerywając męczącą ciszę.

Samochód podskakiwał na wybojach, a jego miękkie zawieszenie wznosiło wstrząsy. Przez szeroko otwarte drzwi lepierek Juliette dostrzegła wychudzone sylwetki mężczyzn, którzy, wodząc wokół błędnym wzrokiem, budzili się z alkoholowego zamroczenia. Zé-Paulo podjechał kawałek i zatrzymał wóz na samym środku małego placu, na którego skraju wznosiła się skarpa ziemi.

- Nie idziemy daleko, chciałbym, żebyście zobaczyli, jak wygląda sieć wodna.

Gdy wysiedli z samochodu, uderzyła ich fala gorąca. Twarze oblepiła ciężka i gęsta wilgoć, wypełniona mieszaniną lepkich zapachów, odoru brudnej ziemi, odchodów i trzewi.

Harrow kroczył sztywno z zaciśniętymi pięściami. Juliette miała ochotę go przytulić. Niespodziewanie ogarnęła ją bezbrzeżna litość i czułość. Oczami wyobraźni ujrzała go na pustyni Kolorado i dzięki swej empatii rozumiała, co musiał czuć tutaj, gdzie przyroda zniknęła całkowicie, a jedyne, co pozostało, to ludzkość w swej najpodlejszej postaci. W tym miejscu istota ludzka uosabiała zniszczenie i śmierć. Delikatnie dotknęła dłoni Harrowa. Instynktownie cofnął ją, co tylko wzmogło litość dziewczyny.

Szli w kierunku skarpy po ziemi, która wessała najróżniejsze przedmioty: strzępy plastikowych siatek, kawałki drutu, zmiażdżone kości kur i baranów. W porze deszczowej odpady mieszały się z błotem, przyschnąwszy zaś, wyglądały jak obnażona przez erozję część skorupy ziemskiej.

Wzdłuż skarpy pięły się do góry udeptane ścieżki. Obrali jedną z nich i szybko znaleźli się na szczycie. Kobiety pokonywały te trasy w tę i z powrotem, nosząc blaszane bańki wody. Z góry widać było kanał wijący się przez cały region Baixada. Zé-Paulo zdecydowanym gestem odgonił grupę dzieciaków, które próbowały się do nich zbliżyć. Założył na głowę panamę i co chwila przecierał czoło białą chustką. Jednocześnie wskazywał na horyzont.

- Ten kanał to odnoga rzeki. Wpada do zatoki. Doprowadza wodę i pełni funkcję ścieku jednocześnie.

Na dnie kanału, poniżej jego cementowych ścian, zalegała brunatnozielona kałuża. Przykucnięte kobiety nabierały wodę, podczas gdy tuż obok inne robiły pranie.

- Oni piją tę wodę! - krzyknęła Juliette.

- Nie mają wyboru. Podgrzewają ją, o ile mają taką możliwość. Zresztą, z punktu widzenia środowiska, to niczego nie zmienia, gdyż ich jedynym źródłem energii jest drewno.

Ze skarpy, która wznosiła się kilka metrów nad fawelą, mogli zobaczyć ciemny dym unoszący się z domostw i zasnuwający wyżynę.

- W porze deszczowej poziom wody w kanale znacznie się podnosi. Zdarzają się nawet przypadki utonięć. A jako że prawie nie ma tu nachylenia, kanał staje się zbiornikiem.

- Nie ma przepływu? - spytał Harrow.

- Jest, ale bardzo słaby.

- Warto by go zmierzyć. To istotne z punktu widzenia naszych obliczeń. Podczas symulacji na Zielonym Przylądku obliczyliśmy stosunek dawki produktu i jego dyfuzji do natężenia przepływu wody. Jeżeli chcemy działać skutecznie, potrzebujemy precyzyjnych danych.

Rozmowa o technicznych aspektach pomogła Harrowowi się rozluźnić. Zé-Paulo wyjął z kieszeni mały notes i zapisał kilka uwag.

- Dostarczę panu informację o średnim nachyleniu koryta. To powinno wystarczyć do obliczeń.

Idąc grzbietem skarpy, mężczyźni rozprawiali o kwestiach technicznych, między innymi o tym, czy warto rozlać produkt w jednym bądź w kilku miejscach jednocześnie. Juliette przestała słuchać. Powróciły zawroty głowy i mdłości, które tłumaczyła sobie upałem i dużą dawką zażywanych lekarstw. Oznajmiła, że poczeka na nich w samochodzie. U stóp pagórka, za samochodem zebrała się grupka mężczyzn, kobiet i dzieci. Gdyby nie obecność dorosłych, dzieci zapewne rozrabiałyby tak jak wcześniej. Juliette czytała w ich dzikich błyszczących spojrzeniach groźbę i niemy zarzut, jak gdyby żądali wyjaśnień.

Zaczęła przyglądać się gromadzie, poszukując wśród nich kogoś o przyjaznym wyglądzie, kogoś, komu mogłaby odwzajemnić uśmiech, obdarzyć życzliwym spojrzeniem. Jednak wszystkie twarze były jednakowo napięte i wrogie.

- Proszę się nie obawiać - z góry krzyknął do niej Zé-Paulo - nie ruszą się z miejsca.

Podążywszy wzrokiem za spojrzeniami tubylców, Juliette dopiero teraz dostrzegła po lewej stronie wóz policyjny zaparkowany w odległości stu metrów. Pięciu uzbrojonych mężczyzn siedziało na platformie, a dwóch innych opierało się o maskę samochodu.

Odwróciła się do mieszkańców faweli. Harrow i Zé-Paulo zdążyli zejść ze skarpy i zbliżali się do niej. I wtedy jej spojrzenie

skrzyżowało się ze spojrzeniem małej dziewczynki, stojącej nieco z boku. Była przyodziana w coś, co przypominało potargany worek z czerwonego płótna. Miała brudną buzię, a z nosa zwisał jej smark, w którym dziecko umoczyło palec. A mimo to spod tej brudnej osłony spozierało na Juliette dwoje błyszczących szafirowych oczu. Była w nich inteligencja, tęsknota za czułością i siłą marzeń.

Juliette uśmiechnęła się do dziewczynki. Twarz dziecka rozjaśniła się momentalnie, po czym mała uciekła.

Zé-Paulo, który powierzył się opiece policji, podszedł do samochodu, dumnie wypinając pierś, a nawet zmuszając biedaków do cofnięcia się o kilka kroków. Harrow wsiadł do forda, Juliette za nim.

W drodze powrotnej Brazylijczyk opowiadał im o okolicznych fawelach. Bez wysiadania z samochodu objechali obrzeża głównych dzielnic nędzarzy.

O piątej po południu cień rzeźbił już mangowce Laranjeiras. Juliette i Harrow udali się do swoich pokoi, by wziąć prysznic. Gdy spotkali się w salonie, na dworze było już ciemno. Z kawiarni znajdującej się na tej samej ulicy co hotel dochodziły brzęki gitary. W milczeniu usiedli w ogrodzie, gdzie na stole czekała na nich gorąca *moqueca* z krewetkami i butelka piwa.

Juliette stwierdziła ze zdziwieniem, że od wizyty w faweli inaczej postrzega Harrowa. Odkryła jego wrażliwość. Czuli, że udało jej się dotrzeć do sekretnego miejsca, w którym rodzą się jego pomysły, z którego zawiaduje akcją, wreszcie do miejsca, gdzie spoczywa tajemniczy skarb; zmysł harmonii ze światem, cierpienie zrodzone z cierpienia, zuchwała wizja istoty ludzkiej, która nie godzi się na samounicestwienie.

Taką w każdym razie miała nadzieję, bo w jego zachowaniu nic się nie zmieniło. Był równie małomówny i zamknięty w sobie, jak wcześniej.

Jeśli zaś chodzi o nią samą, to nie doznała żadnego olśnienia. Piwo i leki sprawiły, że jej ciałem wstrząsały lekkie dreszcze. Siedziała nieruchoma, cicha i niespokojna.

Nie zamienili ani słowa. Zawarli milczącą umowę. Trzymając się żelaznej poręczy, wspięli się na piętro. Weszli do pokoju Juliette.

Spowiała ich ciepła noc, blask księżyca i echo samby wpadające przez otwarte okno. Kochali się w milczeniu.

Wydawało się Juliette, że w ciemności rozpoznaje kolor oczu Teda: były takie same jak oczy małej dziewczynki z faweli. Usnęła, ukołysana ich czystym błękitem, a budząc się rano, odnalazła ich kolor na niebie.

III

Genewa, Szwajcaria

Doktor Charles Jaegli mieszkał przy nadreńskich bulwarach od dwudziestu lat. Gdy wprowadzał się do tej dzielnicy, co już wówczas było symbolem awansu społecznego, nie kierował się wyłącznie snobizmem. Owszem, takie pobudki nie były mu obce, jednak postanowił tu zamieszkać przede wszystkim ze względu na poetyckość okolicy. Czy uwierzyłyby w to rodzina i znajomi? Jaegli uwielbiał obserwować wiosenny spektakl, jaki rozgrywał się na tafli jeziora, kiedy to Ren nadawał swym wodom lodowatą przejrzystość. Nic nie dorównywało przyjemności, jaką stary lekarz czerpał z samotnych posiłków spożywanych w małej jadalni, naprzeciwko okna z widokiem na kołyszące się maszty jachtów zacumowanych w porcie. Dachy szklarni znajdujących się na przeciwległym brzegu mieniły się w słońcu tysiącem barw. Ten żywy, utrzymany w błękitnych tonach obraz wypełniał całą powierzchnię pięciometrowego okna jadalni. Jego szyba była na tyle gruba i mocna, że nie przepuszczała ulicznego zgiełku, wywołując złudzenie ciszy i spokoju, tak pasujące do harmonijnych linii i kształtów jeziora Leman.

Być może to ów spokój pomagał doktorowi Jaegliemu stawiać czoła szturmującej zewsząd śmierci. Pięć lat temu jego żona umarła na zakrzepicę. Wcześniej pochował osiemnastoletnią, jedyną córkę, która nagle, po powrocie z wakacji na Sycylii, zachorowała na straszliwą żółtaczkę. A jednak nie stracił gruntu pod nogami. Pokój płynący z poetyckiego krajobrazu pomagał mu odpierać ataki śmierci, z którą stykał się na co dzień, odwiedzając pacjentów. Śmierci rzeczywistej, bo wielu spośród nich umierało w wyniku choroby, oraz śmierci wyimaginowanej, gdyż wszyscy

bez wyjątku zaczęli o niej myśleć, gdy tylko w diagnozie padało słowo rak.

A był on drugą, po jeziorze, pasją doktora Jaegliego. Poświęcił swoją karierę tej chorobie po śmierci matki, która umarła na raka piersi w wieku trzydziestu pięciu lat. Kształcił się w najbardziej prestiżowych centrach badawczych w Stanach Zjednoczonych i w Szwajcarii. Obecnie, ku swojej niepomiernej satysfakcji, był emerytowanym profesorem uniwersytetu w Genewie. Uważał, że „ciało profesorskie” stoczyło się na godny pożałowania, mierny poziom. Doktor Jaegli udzielał więc prywatnych konsultacji w za-
bytkowym centrum Genewy, w gabinecie położonym przy Grande Rue. Do pracy chodził pieszo. Jako lekarz międzynarodowej sławy miał wśród swych pacjentów ludzi znanych i majątnych. Poza bardzo nielicznymi wyjątkami, nie odwiedzał pacjentów w ich domach. A już zwłaszcza nieznajomych. Czemu więc uległ poprzedniego wieczoru?

Młody, nieznajomy kolega po fachu, przybyły ze Stanów Zjednoczonych, odwiedził go w gabinecie pod koniec dnia i odprowadził aż samej furtki, na nadreński bulwar. Po drodze bez przerwy mówił. Młodzieniec ujął starego lekarza swoim entuzjazmem, a zwłaszcza opowieściami o swych mistrzach z czasów studiów w Stanach Zjednoczonych. Wielu z nich, jak twierdził, miało zwyczaj z dumą podkreślać, że są „uczniami doktora Jaegliego”. Oto najwięksi światowi specjaliści w dziedzinie onkologii nadal powoływali się na niego, skromnego szwajcarskiego praktyka-jak lubił o sobie mówić. Słowa młodego Amerykanina sprawiały mu przyjemność.

Mówiąc najprościej, ten młody diabeł o krzywym nosie i potarganych wiatrem czarnych włosach, a do tego tryskający energią małego buldoga, wzbudził sympatię starego lekarza. Mężczyźni, którzy nie doczekali się syna, bywają podatni na tego typu wdzięki. Jaegli nie byłby w stanie niczego odmówić doktorowi Serrano. Tym bardziej że młody Amerykanin nie prosił o wiele. Chciał tylko, by stary przyk zbadał jego żonę i wypowiedział się na temat odpowiedniej dla niej kuracji.

- Niech przyjdzie jutro rano do mojego gabinetu - zgodził się Jaegli, mimo iż w jego kalendarzu wizyt przez najbliższe trzy miesiące nie było wolnego terminu.

- Proszę mi wybaczyć, profesorze - odparł Serrano cichym głosem - wiem, że nadużywam pańskiej życzliwości. Moja małżonka nie zna przyczyny swych dolegliwości, a słowo onkologia jest dobrze widoczne na drzwiach pańskiego gabinetu... Czy mógłby pan zbadać ją w hotelu, w którym się zatrzymaliśmy?

Jaegli zaprotestował w duchu. Z zasady nie odwiedzał pacjentów, poza kilkoma wyjątkami, gdy w grę wchodziło ich uwikłanie w delikatne afery.

- Niech będzie tym razem - usłyszał swój własny głos. - Podejdę do hotelu jutro o siódmej rano, w drodze do gabinetu.

Jakże błagalne musiało być spojrzenie, którym obdarzył go ten smarkacz i któremu tak łatwo uległ!

Czas był na niego. Doktor Jaegli odłożył białą wykrochmaloną serwetkę obok posrebrzanego kieliszka na jajko. Wypił ostatni łyk kawy z filiżanki tak delikatnej, że lekkie ściśnięcie jej brzegu ustami rozkruszyłoby ciekawą porcelanę. Wstał, zarzucił palto i poszedł zbadać panią Serrano.

To, czego Paul i Kerry dokonali w trzy dni, było istnym cudem. Paul rad był, że znowu mogli liczyć na pomoc Providence, nawet jeśli była ona tajna i pokątna, przez co nadchodziła wolniej niż zwykle. Gdyby nie zaangażowanie całego zespołu, nigdy nie udałoby im się równie szybko przygotować tej złożonej operacji.

Zgodnie z zapowiedziami Aleksandra, dotarcie do McLeoda wydawało się niemożliwe. Jego dom w Morges był prawdziwą fortecą. Stał na wzgórzu o łagodnych stokach, pośrodku ogrodu ciągnącego się przez dwa hektary aż do brzegu jeziora. Na pierwszy rzut oka budynek współgrał z dyskretną estetyką regionu. Mury miały normalną wysokość, a urządzenia ochronne nie były widoczne. Po dokładniejszych oględzinach posesji za pomocą lornetki Paul i Kerry odkryli wyraźnie odznaczający się na trawniku pęk przewodów elektrycznych biegnących wzdłuż ogrodzenia oraz ultranowoczesny system kamer. Brzeg jeziora przemierzali w tę i z powrotem wartownicy z psami. Nieco wyżej pas gołej

ziemi usiany był fluorescencyjnymi palikami, które wskazywały na umieszczone tam czujniki i bez wątpienia miny.

Paul i Kerry wynajęli jacht i uporczywie podpływali bajdewindem, raz prawym, raz lewym halsem, by pozostać w odległości półtorej mili od warowni McLeoda. To wystarczyło, aby strażnicy wzmożli czujność i zarządzili regularne patrole od strony jeziora. Wkrótce żeglarzy skontrolował patrol szwajcarskiej policji wodnej, prawdopodobnie zaalarmowany przez prywatne służby chroniące biznesmena. Dowódca brygady po wejściu na pokład natychmiast zrozumiał, że ma do czynienia z parą zakochanych, niemniej poprosił ich o zbytkowanie na szerszych wodach.

Spróbowali też zbliżyć się do celu od strony lądu. Jednak samochodowa przejażdżka ulicą biegnącą wzdłuż muru posesji przekonała ich, że urządzenie tu tradycyjnej kryjówki nie miałoby sensu. Dwa wozy patrolowe dzień i noc stacjonowały przed bramą.

Studując mapę okolicy, Paul i Kerry odkryli wieżę ciśnień usytuowaną na północny zachód od domu McLeoda. Z jej wierzchołka można było obserwować drzwi wejściowe. Nie zwlekając, jeszcze tej samej nocy zaatakowali wieżę w maskujących strojach, wyposażeni w niezbędny ekwipunek w postaci wody i wiktuałów. Wieża ciśnień była starą budowlą w kształcie grzyba. Do środka weszli przez metalowe drzwi, których zamek bez trudu otworzyli wytrychem. Po wąskich i krętych schodkach wspięli się na dach. Odgłos ciekącej wody odbijający się echem od surowych betonowych ścian sprawił, że czuli się jak speleolodzy eksplorujący jaskinię. Dotarli na szczyt i położyli na płaskim szklanym dachu. W tej pozycji, za pomocą lornetek na podczerwień, mogli z łatwością śledzić ruch na terenie posiadłości McLeoda oraz na drodze dojazdowej. Ponadto widzieli ganek i zachodnią fasadę domu, w której mieściły się okna kuchenne oraz drzwi dla służby. Mieli przed sobą całą noc. W czarnych getrach i kominiarkach przypominali nieziemskie stworzenia, które odkrywają nieznaną planetę. Wokół nich panowała cisza jak makiem zasiał. Wyczuwali niepokojącą bliskość nieruchomego jeziora, którego brzegi wyznaczały sznury światła. Ich żołądki wibrowały bulgotaniem wody wewnątrz wieży ciśnień. W Szwajcarii byli zaledwie od poprzedniego poranka, a dokonali już tak wiele. Zmęczeni podróżą, różnicą czasową oraz

trwaniem w stanie oczekiwania, pełnego napięcia i niepewności, Paul i Kerry czuli, jak ich umysły powoli wypełnia pustka, a ich byty umykają w te najgłębsze zakamarki mózgu, które zawiadują pierwotnymi odczuciami, takimi jak strach, głód i pragnienie. Całą noc spędzili, przysypiając albo jedząc przyszykowane kanapki na swym chłodzonym letnią bryzą tarasie.

O świcie wznowili obserwację. W samym domu nie zauważyli żadnego ruchu. Z powodu prostoty fasady i zasłoniętych okien nie dało się odgadnąć rozmieszczenia pokoi. Jedyne strażnicy w cywilu odbywali regularne obchody posesji. Było ich co najmniej dwudziestu.

Brama dostawcza prowadziła na małe podwórko położone przy bocznym skrzydle warowni. Około ósmej wjechała przez nią furgonetka. Dwie kucharki wyszły z domu, by pomóc w rozładowaniu samochodu, zabrały skrzynki pełne warzyw i owoców, po czym wszystko znowu ucichło.

Kilka minut przed dziesiątą Kerry, pełniąca dyżur z lornetką, zakomunikowała Paulowi poruszenie przy bramie głównej. Punktualnie o dziesiątej szare antracytowe volvo pojawiło się u wylotu ulicy i wolno zbliżało się do posesji McLeoda. Dwóch strażników otworzyło bramę z taką synchronizacją, że samochód, nie zwalniając, wjechał na dziedziniec i zatrzymał się dopiero przed głównymi drzwiami. Z samochodu wysiadł mężczyzna. Zdjął rękawiczki, rzucił je na tylne skórzane siedzenie, następnie sztywno podszedł do bagażnika. Wyjął z niego lekarską walizeczkę o starodawnym kształcie, lecz zrobioną z modnych i luksusowych materiałów, i ceremonialnym krokiem wszedł po schodkach prowadzących do domu McLeoda.

- To on - wyszeptała Kerry.

Paul wziął lornetkę z jej rąk. Z ich punktu obserwacyjnego dobrze widział tablicę rejestracyjną wozu. Paul zanotował numery i wysłał je esemesem do Barneya. Dzięki łączności z Providence otrzymał odpowiedź, zanim doktor opuścił dom pacjenta.

Gdy wychodził o jedenastej trzydzieści, nie był już tym samym anonimowym lekarzem, który dziewięćdziesiąt minut temu zniknął za drzwiami domu McLeoda. Profesor Charles Jaegli mieszkał przy bulwarze Nadreńskim 37, na trzecim piętrze. Jego

życiorys wyświetlał się właśnie na ekranie laptopa Paula, któremu pozostało już tylko wprowadzić na scenę doktora Paula Serrano.

Doktor Jaegli zawahał się, wypowiadając swoje imię i nazwisko w recepcji hotelu Astrid przy ulicy Lozanny. Intuicja podpowiadała mu, że powinien natychmiast opuścić to miejsce. Jednak ku swojej wielkiej satysfakcji od dawna już nie dawał się zwodzić sygnałom tego typu. Ostatni raz uległ trzydzieści lat temu; porwał bilet kolejowy do Paryża i pognał do Neuchatel, by oświadczyć się swojej przyszłej żonie. Nigdy nie pożałował tej spontanicznej decyzji, ale z czasem doszedł do wniosku, że równie dobrze mógł poślubić wybrankę po powrocie.

Z zadumy wyrwał go Serrano. Powitał doktora szczerym uśmiechem i pociągnął w kierunku windy. Hotel Astrid był olbrzymim nowoczesnym budynkiem, którego pozbawione uroku mury wznosiły się równoległe do parku. Pojechali na siódme piętro. W imponująco długim korytarzu ozdobionym serią identycznych drzwi stały wózki pokojówek, tace ze śniadaniem, buty.

Weszli do pokoju numer 739. Do sypialni przechodziło się przez przedpokój, do którego przylegały łazienka, toaleta i garderoba. Gdy tylko doktor Jaegli przekroczył próg pokoju, Serrano zamknął za nimi drzwi. Piękna młoda kobieta z burzą kręconych włosów przywitała doktora z serdecznością, która nie pozostawiała cienia wątpliwości co do jej stanu zdrowia: pani Serrano nic nie dolegało, za to on dał się złapać w pułapkę. Gdy się odwrócił, zobaczył, że oparty plecami o drzwi rzekomy doktor Serrano mierzy do niego z rewolweru.

Dziesięć lat temu, w swoim gabinecie, Jaegli przeżył już raz włamanie i napad z bronią w rękę. Wiedział, jak w takim wypadku powinien się zachować. Odda wszystko, nie uczyni żadnego gwałtownego gestu, nie spojrzy napastnikom w oczy. A jednak czuł, że tym razem sytuacja była inna. Agresorów najwyraźniej nie interesował ani jego portfel, ani jego osoba. Czego od niego chcieli?

- Proszę nam wybaczyć brutalność, profesorze - odezwała się Kerry. - Nie mieliśmy wyboru. Proszę usiąść, wszystko panu wyjaśnimy.

Wskazała fotel w stylu Napoleona III pokryty żółtą arlejańską tkaniną. Jaegli spoczął na nim z wdzięcznością.

- Otóż - podjął Paul głosem, w którym nie było śladu dziecinnej intonacji młodego Serrano - nie mamy zamiaru zrobić panu krzywdy. Interesuje nas pan jako osobisty lekarz Allistaira McLeoda.

Twarz starego doktora rozjaśniła się w wyrazie zrozumienia. Spojrzał na swych napastników wzrokiem domyślnym i nieco pogardliwym. Więc o to chodzi: za pomocą łajdackiego podstępu chcą się dostać do miliardera. Dość częsty przypadek po tej stronie jeziora Lemana. Na szczęście Szwajcaria była lepiej przygotowana na takie cwaniackie akcje, niżby się to mogło wydawać. Poza tym kreuzi rzadko mają przy sobie więcej gotówki, niż wynosiłyby honoraria fryzjera. Niecne wysiłki z góry skazane są na niepowodzenie. Świadomy tego stanu rzeczy Jaegli spokojnie czekał na rozwój wypadków.

- Wie pan, kim jest McLeod? - zapytała Kerry.

- Jest moim pacjentem, proszę pani.

- Pańska taktowność przynosi zaszczyt Szwajcarii. Jakże pasuje do tego kraju. My nie jesteśmy tacy bezkrytyczni jak pan. Proponuję nazwać rzeczy po imieniu: McLeod to śmieć.

Jaegli, słuchając tego wstępu, czuł się coraz bardziej zbity z tropu. Zwyczajni złodzieje są jak lekarze albo bankowcy: klient to dla nich świętość. Zadadzą sobie wiele trudu, by go oskubać, lecz wygłaszanie nad nim sądów moralnych uważają za stratę czasu. Do czego zmierzała para Amerykanów?

- Nie interesuje nas, jak zdobył pieniądze - kontynuował Paul. - Martwimy się raczej o cel, na jaki je przeznaczą i o jego plany na przyszłość.

- Jeśli pan pozwoli - zagadnął profesor, który w miarę dyskusji powoli odzyskiwał pewność siebie - sądzę, że w swym aktualnym stanie zdrowia biedak nie może przeznaczyć ich na nic zdrożnego.

- Jego aktualny stan zdrowia jest jednak na tyle dobry, by zorganizować śmierć milionów ludzi.

Jaegli wybuchnął śmiechem. Odchylając się do tyłu sztywniej niż zwykle, wydał z siebie serię urywanych wysokich tonów.

- Ha! Ha! McLeod! Ależ on prawie nie wychodzi ze swojego pokoju, a co dopiero z domu...

- Tak wszystko zorganizował, że wystarczy jedno pociągnięcie za sznurek, a cała machina zostanie wprawiona w ruch - wtrąciła Kerry rozdrażniona arogancją doktora. - Naciśnie jeden guzik i wszystko wybuchnie.

Mężczyzna kręcił głową, by pokazać, jak bardzo absurdalne były jej słowa. Postanowił zastosować jedną z jego ulubionych metod z dziedziny psychiatrii: niezależnie od stopnia niedorzeczności, nie zaprzeczać słowom pacjenta.

- Niech będzie, droga pani! Proszę mi więc powiedzieć, kim jesteście i w czym mogę wam pomóc.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie działalności McLeoda.

- Zapewne dla CIA? - zakpił lekarz.

Motyw szpiegowski często powtarza się w przypadkach uporczywych zaburzeń urojeniowych. Toteż udzielona poważnym głosem odpowiedź nie zdziwiła doktora Jaegliego:

- Pracujemy dla prywatnej agencji współpracującej z CIA.

W myślach postawił diagnozę: miał do czynienia z wariatami. Zastanawiał się tylko, czy to dla niego dobra, czy zła wiadomość.

- A jaką rolę ja mam odegrać?

- Był pan wczoraj rano u McLeoda, nieprawdaż?

- Owszem, byłem. To rutynowa wizyta.

- Kiedy ma się tam pan udać ponownie?

- Odwiedzam pacjenta trzy razy w tygodniu, o dziesiątej. Powinniście to wiedzieć, skoro mnie obserwujecie.

- Czyli idzie pan do niego jutro?

- Tak.

Paul opuścił stanowisko przy drzwiach do przedpokoju. Usiadł na skraju łóżka. Jego kolana prawie stykały się teraz z kolanami doktora Jaegliego.

- Musi nam pan powiedzieć absolutnie wszystko na temat choroby McLeoda. Jak go pan leczy, jakie zabiegi pan wykonuje, krok po kroku. Chcemy, by powiadomił go pan osobiście, że jutro zastąpi pana zaufany kolega po fachu.

- A kto, jeśli wolno spytać, miałby mnie zastąpić?
- Ja - rzekł Paul.

Profesor wydał wargi jak obrażony wielbłąd, któremu przeszkodzone w sjeście. Nie krył zgorznienia wobec ekstrawaganckich pomysłów swego rozmówcy. Mimo to postanowił wiernie trwać przy strategii, jaką sobie wytyczył, i pozornie poddać się obłąkanej logice napastników.

- Wykluczone, nie jest pan przecież lekarzem.
- Owszem, jestem. Mam przy sobie dyplomy i certyfikaty świadczące o moich umiejętnościach, a także doświadczeniu.
- Phi, jakby papier mógł być dowodem...
- Profesorze - odezwał się Paul łagodnie, kładąc dłoń na kolanie starego mężczyzny - z papierami czy bez, *jestem* lekarzem. Proszę porozmawiać ze mną tak, jak pan to czyni z innymi kolegami, a przekona się pan, że mówię prawdę.
- A... jeśli odmówię?
- Nie wierzę, by chciał pan odmówić. - Paul ze smutkiem pokręcił głową.

W tej samej chwili Kerry włożyła tłumik na rewolwer, po czym odbezpieczyła broń z posępnym odgłosem, przypominającym trzask łamanej kości.

Agencja ochroniarska zatrudniona przez McLeoda rzetelnie wywiązała się ze swych obowiązków. Zatelefonowali do kliniki uniwersyteckiej im. Nancy Reagan w Buffalo w celu sprawdzenia referencji doktora Johna Serrano. Wykręcając numer telefonu zapisany na jego CV, dodzwonili się do Providence, gdzie zespół Tary świetnie odegrał rolę personelu medycznego. Telefon do jego rzekomego mieszkania w Genewie odebrała Kerry w hotelowym pokoju. Jako że wizyta miała odbyć się nazajutrz, strażnicy McLeoda nie byli w stanie przeprowadzić dalszych weryfikacji. To, że doktor Jaegli osobiście powiadomił o swojej nieobecności, przyniosło spodziewany skutek. Kiedy onkolog dodatkowo oświadczył,

że pożyczony swojemu współpracownikowi własny samochód, potraktowano to jako ostateczny dowód zaufania, jakim go darzył.

Pomimo to, gdy Paul o dziewiątej pięćdziesiąt siedem, siedząc za kierownicą popielatego audi, skręcił w ulicę, przy której znajdował się dom McLeoda, zastał nadzwyczajną sytuację.

Strażnicy uzbrojeni w uzi ustawili się tym razem na zewnątrz, wzdłuż muru posesji. Zasięki z drutu kolczastego zagradzały bramę. Za samochodem strażnik rozwinął na jezdni zębatą kratę uniemożliwiającą cofnięcie się. Paul wysiadł z wozu i z gapowatą miną poddał się skrupulatnemu obszukaniu. Ubrany był w tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach. Kieszenie wypełnił ulotkami o lekarstwach, na których nabazgrał przypadkowe numery telefonu. Opróżniając jego kieszenie, wartownicy odkryli cały kramik najróżniejszych przedmiotów: minilatarkę firmy Mag-Lite, suwmiarkę do EKG, dwa pióra, strzykawkę bez igły, agrałkę, „na wypadek gdybym chciał sprawdzić odruch Babińskiego...”, wyjaśnił strażnikom.

Po przejściu kontroli Paul pieszo wszedł na teren posesji. Przekroczywszy próg domu, znalazł się w obszernym holu, z którego dwie symetryczne klatki schodowe wiodły na piętro. Marmurowa posadzka zdobiona czarnymi kamiennymi płytkami nadawała miejscu przepych, choć zapewne nigdy nie zapraszano tu gości.

Paul niósł w rękę walizeczkę Jaeglego wypełnioną lekarstwami i lekarskimi przyrządami. Po raz pierwszy sprawdzono jej zawartość na zewnątrz. W holu zainstalowana była maszyna na podczerwień, podobna do tych, jakimi kontrolerzy posługują się na lotniskach. Prześwietlono kufer, portfel, telefon komórkowy Paula oraz jego buty. Po kontroli prawymi schodami wszedł na pierwsze piętro. Zauważył, że było ono równie puste i ponure jak parter. Pod obrazem Klimta, wyglądającym na autentyk, w pełnej gotowości stał ochroniarz. Minął kwadrans, zanim wezwano Paula. Miał czas, by powtórzyć w myślach kolejne etapy zaplanowanej akcji. Uspokoilo go to. Przypomniał sobie szczegóły z życiorysu McLeoda, który poprzedniej nocy przysłał mu Barney.

Wreszcie pojawił się majordomus indyjskiego pochodzenia i dał znak, by Paul szedł za nim. Mężczyzna był stary, zblazowany i ospały. Mówił z afrykańskim akcentem. Być może jest Hindusem

z Madagaskaru, myślał Paul. Oznaczałoby to, że jest zaufanym człowiekiem McLeoda jeszcze z czasów jego pobytu w Afryce Południowej.

Paul zagłębił się w wąskie korytarze wyścielane zieloną wykładziną. Doszli do przedpokoju, w którym stał inny strażnik. Paul, na znak dany mu przez Hindusa, postawił lekarską walizczkę na stole, po czym wyjął z niej potrzebne narzędzia. Zgodnie z zaleceniami Jaeglego wybrał fiolkę stężonej pięcioprocentowej glukozy, dwie ampułki chlorku sodu i chlorku potasu konieczne do zrobienia roztworu, wenflon, dwie ampułki antymetabolitów, strzykawkę, ciśnieniomierz, stetoskop oraz lateksowe rękawiczki. Wreszcie, pomimo zastrzeżeń majordomusa, Paul postawił na stole ampułkę leku o nazwie Traxen.

- Obecność nieznanego lekarza może wzbudzić niepokój pacjenta - wyjaśnił. - Należy być przygotowanym na ewentualność ataku lękowego w trakcie infuzji.

Hindus wykonał szybki telefon i zasłaniając usta dłonią, skonsultował coś z nieznanym rozmówcą. Odłożył słuchawkę i oznajmił Paulowi, że zgadza się na traxen.

Cały medyczny zestaw znalazł się na białej emaliowanej tacy. Majordomus ujął ją w obie ręce z miną godną, a zarazem nieobecną i zrobił kilka kroków w kierunku dwuskrzydłowych drzwi. Strażnik otworzył je przed Hindusem. Paul wszedł za nim do pokoju.

W głębi dużego i jasnego pomieszczenia, zwrócony plecami do drzwi, na drewnianym bujanym fotelu siedział mężczyzna. Odwrócił się z wolna. Paul zadrżał. Ledwo rozpoznawał w starcu McLeoda. Nie miał jednak wątpliwości, że to on.

IV

Morges, Szwajcaria

Szczupły, jasnowłosy i rozmarzony uczeń Fritscha przeobraził się najpierw w człowieka sukcesu. McLeod nie stronił od dziennikarstwa, toteż dawniej kolorowe czasopisma pełne były jego zdjęć z aktorkami, politykami i bankierami. Miał opaloną skórę, łysinę ukrytą pod wartymi fortunę implantami i uzębienie mięsożercy, z którego co miesiąc za pomocą ultradźwięków usuwano kamień. Paul dobrze znał podobizny McLeoda z okresu jego chwały. Nie widział natomiast żadnej aktualnej fotografii mężczyzny. Podejrzewał, że chory i żyjący z dala od ludzi miliarder w niczym nie przypomina dawnego biznesmena.

Dlatego też Paul uruchomił całą swą wyobraźnię, aby ze zdjęć nadesłanych przez zespół Aleksandra wyłowić kwintesencję fizjonomii McLeoda. Składały się na nią kwadratowa szczęka, kształt nosa niezależny od gry światła i miny, niepokojący błysk w oczach, sposób, w jaki lekko pochylał głowę, a wtedy dolny rąbek tęczówki zdawał się wystawać poza powiekę, niczym tarcza słoneczna wynurzająca się o świcie.

Paul odnalazł te cechy w twarzy starca kołyszącego się na bujanym fotelu. Jednak to było wszystko; czaszki nie przykrywała już niegdysiejsza czupryna. Pozostała po niej szara wiotka kępka w kształcie półksiężyca w miejscu, gdzie cesarze rzymscy zwykli nosić wieńce z liści laurowych. McLeod utył w sposób charakterystyczny dla ludzi chorych i leczonych pochodnymi kortyzonu: nadwaga uwidaczniała się pod postacią byczego karku i nieproporcjonalnie ciężkiego - w stosunku do chudych kończyn - tułowia. Jednocześnie chorobliwa opuchlizna twarzy w sposób

zupełnie kuriozalny dodawała jej gładkości i lunatycznego wyglądu młodego idealisty, znanego Paulowi ze zdjęcia seminarium.

Majordomus położył tacę na podręcznym kredensie. Tak jak zapowiedział Jaegli, Hindus wyszedł na znak McLeoda. Chory zawsze przyjmował swego lekarza bez świadków. Paul odetchnął z ulgą. Był to warunek, od którego zależało powodzenie akcji.

- Dzień dobry, doktorze, proszę, niech pan usiądzie.

Wskazał krzesło stojące nieopodal kredensu, naprzeciwko swego fotela.

- Zatem jest pan uczniem profesora Jaegliego? Przypuszczam, że to wielki zaszczyt?

McLeod mówił cichym, łamiącym się głosem. W jego tonie nie było cienia hardości. Paul zastanawiał się, czy był to wynik choroby, czy może jego prawdziwa natura.

- Rzeczywiście, nazwisko profesora Jaegliego znane jest na świecie - potwierdził Paul, pochrzając. - Nawet w Stanach Zjednoczonych brakuje lekarzy z jego doświadczeniem.

- Wie pan, co mi dolega, nieprawdaż? Rozmawialiście o mojej chorobie?

Paul wiedział, że McLeod cierpi od czterech lat na chorobę Kahlera, znaną także jako plazmocytoma, zagnieżdżoną w wielu odcinkach kręgosłupa. Po chemioterapii jego stan ustabilizował się. Jednakże w wypadku tej choroby niezmiernie trudno jest o pewne rokowania. O ile pacjent pozostaje pod stałą opieką i jeśli nie pojawią się niespodziewane komplikacje, może żyć nawet kilka lat.

Przez chwilę wymieniali uwagi na temat choroby. Paul z największym trudem powstrzymał się od okazania zniecierpliwienia. Krew boleśnie pulsowała mu w skroniach. Zaskoczył go niemal przyjacielski ton rozmowy. Te nieprzewidziane elementy zamiast go uspokoić, wzbudzały jego niepokój. Czy uda mu się brutalnie zmienić charakter spotkania? Opanował swoje zdenerwowanie. Nie miał innego wyjścia jak dostosować się do sytuacji. Właściwie to dobrze, gdy wizyta lekarska nastrojem zaczyna przypominać towarzyską partię szachów.

Podczas gdy McLeod zagadywał go o badania naukowe prowadzone w Stanach Zjednoczonych, Paul przygotował zestaw do infuzji dożylniej. Miliarder miał niezachwianą wiarę w postęp. Wierzył, że nauka poradzi sobie z każdą przeszkodą techniczną, i że to tylko kwestia czasu.

Paul wprawnym gestem wkłuł się w żyłę promieniową i za pomocą plastra umocował wenflon na przedramieniu. Stojak do kroplówki stał w rogu pokoju. Przysunął go do fotela i powiesił na nim worek z płynem. McLeod śledził każdy ruch Paula. Nadszedł najtrudniejszy moment. Paul spokojnym głosem spróbował zmylić pacjenta.

- Przeraża mnie jednak myśl, że któregoś dnia postęp naukowy zacznie dotyczyć wszystkich ludzi. Wyobraża pan sobie sześć miliardów ludzi dożywających stu lat?

McLeod połknął haczyk.

- To bardzo trafna uwaga, doktorze. Nie jestem pewien, czy zdaje pan sobie sprawę z zakresu tej problematyki.

- Na pewno nie do końca.

Paul napełniał właśnie strzykawkę płynem z jednej z przygotowanych fiolek. Jednocześnie starał się jak najdłużej przytrzymać spojrzenie McLeoda.

- To, co powiedział pan właśnie na temat ograniczeń nauki, jest dowodem małej rewolucji w historii ludzkości.

Paul przytaknął i ukradkiem schował w dłoni ampułkę antymetabolitu, którym miał dopełnić strzykawkę.

- Tak - z ożywieniem ciągnął McLeod - oznacza to, że postęp nie powinien dotyczyć wszystkich ludzi. Pewien ułamek populacji ziemskiej nie zostanie zaproszony na pokład, w przeciwnym razie okręt zatonie.

- To okropne - rzekł Paul wolno - innymi słowy miliardy ludzi skazane są na nędzę i cierpienia.

Przybliżył strzykawkę do kauczukowej złączki umieszczonej na końcu wenflonu. Kończąc zdanie, wbił igłę w kauczuk. McLeod jakby naraz zdał sobie z czegoś sprawę, spojrzał na rurkę, na strzykawkę, aż wreszcie jego spojrzenie powędrowało do góry, gdzie skrzyżowało się ze wzrokiem Paula.

- To nie jest...

- Nie.

Paul rozwarł dłoń, w której trzymał ampułkę antymetabolitu. Była pełna. Miliarder spojrział znowu na strzykawkę i pytająco uniół brwi.

- Potas - oznajmił Paul. - Gdy go wstrzyknę, komory pańskiego serca zaczną migotać i po chwili pan umrze.

McLeod nie odpowiedział. Jego spojrzenie wędrowało od strzykawki na Paula i odwrotnie. Był jednak spokojny.

- Naprawdę jest pan lekarzem?

- Tak.

- I nie wstyd panu stosować takie metody? Wykorzystuje pan słabość pacjenta. To sprzeczne z przysięgą Hipokratesa!

- Ma pan rację. Zdarzają się jednak sytuacje, w których trzeba złamać zasady. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi życie dużej grupy ludzi. To pan nie daje nam wyboru.

Rozmawiali cicho, jak przy partii szachów, gdzie każdy ruch należy spokojnie rozważyć.

- Nie mam zamiaru pana zabić. Nie zawaham się jednak, jeżeli nie będę miał innej możliwości. Chciałbym przede wszystkim, żebyśmy spokojnie porozmawiali podczas trwania infuzji.

Według doktora Jaegliego Paul miał od tej chwili godzinę.

- Niech pan potraktuje tę strzykawkę jak wymierzony w pana rewolwer.

McLeod przez kilka chwil trwał nieruchomo pochylony do przodu. Nagle rozluźnił się i swobodnie opadł na oparcie fotela, odchylając głowę nieco do tyłu.

- Słucham pana - powiedział.

- Pracuję dla agencji, która od jakiegoś czasu śledzi pańskie ruchy. Mamy pewność, że odgrywa pan kluczową rolę w rozległej akcji zagłady wymierzonej przeciwko części ludzkości. - McLeod uśmiechnął się i zrobił minę, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Opanował się jednak i słuchał dalej. - Sądzymy, że sygnał rozpoczęcia tej morderczej akcji nadejdzie od pana. Oczekujemy więc pewnych dodatkowych informacji. Chcemy wiedzieć, gdzie i kiedy operacja się rozpocznie.

- Wysuwa pan bardzo poważne oskarżenia - mruknął McLeod, lecz ani na chwilę nie przestał się uśmiechać. - Mam nadzieję, że ma pan wystarczające dowody na ich poparcie.

- Nie dla FBI, zważywszy na pańskie tam znajomości. McLeod przymknął powieki ze smutkiem chińskiego mędrca.

- A to przykre.

- Niemniej mamy dostatecznie dużo argumentów, by przekonać baronową de Castelfranco.

Aleksander i Barney uznali, że warto posłużyć się tym argumentem, aby zmusić McLeoda do zeznań. Pomysł ten opierał się na niepewnych przypuszczeniach, że córka nie jest wtajemniczona w projekty ojca oraz że on sam chce trzymać ją z dala od sprawy. Paul z początku podszedł do tej sugestii sceptycznie, zwłaszcza że z zasady nie lubił uciekać się do szantażu, a zwłaszcza do szantażu emocjonalnego. Ostatecznie dał się przekonać Barneyowi, do którego miał zaufanie. Wypowiadając jednak ostatnie zdanie, czuł się nie tylko podle, lecz co więcej odniósł wrażenie, że pomysł okazał się totalnym fiaskiem.

McLeod długo milczał. Omiótł spojrzeniem pokój i zatrzymał wzrok na portrecie przedstawiającym go w epoce chwały potentata przemysłowego, niedbale opierającego się o popiersie Sokratesa, z błękitną jedwabną chustką wetkniętą w kieszonkę tweedowego garnituru.

- Przybywa pan w dość nieoczekiwanym momencie - odezwał się wreszcie. - Chociaż z drugiej strony w tego typu przedsięwzięciach do ostatniej chwili wszystko się może wydarzyć... Rozumiem, że chciał się pan zabezpieczyć (ruchem podbródka wskazał na strzykawkę). To jednak zbędne. Jak sam pan po wiedział, nie dysponuje pan dowodami, które uczyniłyby mnie winnym w oczach sędziów, a o ile mi wiadomo pańskie stosunki z instytucjami federalnymi są dość... jak by to ująć, kruche. Co do mojej córki, to nie obawiam się o jej osąd. Zna moje poglądy i myślę, że je podziela.

Paul przerabiał ten moment w wyobraźni przez pół nocy. Wiedział, że nie zmusi McLeoda do zeznań, jeśli ten twardo odmówi. Doszedł do wniosku, że jedyne, co miałoby w takim wypadku sens, to uniemożliwienie mu wprawienia śmiertelności maszyny

w ruch. Pociągałoby to za sobą zamordowanie z zimną krwią człowieka, na którym ciążyły jedynie podejrzenia. Paul nigdy nie zdecydowałby się na takie rozwiązanie.

McLeod najwyraźniej czytał w myślach Amerykanina i uprzedził jego pytanie, nawiązując do Harrowa.

- Przyznaję, że wykonaliście kawał dobrej roboty - rzekł, kiwając głową. - Niestety, za późno do mnie dotarliście. Operacja trwa. Moja interwencja jest na tym etapie zbędna, kolejne jej fazy same się napędzają. Stanie się to, co stać się powinno, niezależnie od tego, czy będę martwy, czy żywy.

Paul poczuł, że opuszczają go wszelkie nadzieje, jakie pokładał w tym spotkaniu. Grożąc McLeodowi strzykawką, czuł się równie idiotycznie jak złodziej włamujący się do banku zamkniętego z powodu remontu. Lecz naraz stała się rzecz zadziwiająca. Paradoksalnie i wbrew wszelkiej logice, spokój i pewność siebie, którymi Paul emanował chwilę wcześniej, obudziły w McLeodzie potrzebę szczerości.

- Gdyby losy operacji spoczywały jeszcze w moich rękach, niczego bym panu nie powiedział. A tak, z radością się komuś zwierzę. Od dwóch lat ciąży mi samotność. Proszę dobrze zrozumieć: to nie świata mi brakuje. Niewiele mnie w nim pociąga. Cierpię, gdyż nie wolno mi mówić o projekcie mojego życia. Zwierzam się panu z tym większą chęcią, że dotarł pan po nitce do kłębka. Komuż innemu, jak nie panu, miałbym więc opowiezieć *całą* historię?

Skąd McLeod mógł mieć pewność, że Paul nie wykorzysta powierzonych mu informacji? A może starzec grał na zwłokę i zamierzał opowiedzieć mu zmyśloną historyjkę. Niemniej jednak, nie wiedzieć czemu, Paul miał przeczucie, że McLeod był z nim szczery. Poza tym fascynowała go ta mroczna postać, krucha, lecz wystarczająco silna, by walczyć o projekt donioślejszy niż jego własne życie.

- Dobrze to rozegraliście u Fritscha - odezwał się McLeod głuchym głosem. - Nasz człowiek opiekujący się starym mistrzem był bezsilny.

Siedzieli naprzeciwko siebie. McLeod odchylił głowę daleko do tyłu i oparł ją o zagłówek. Patrzył w dal. Paul zrozumiał, że zaraz

rozpocznie opowieść o seminarium z sześćdziesiątego siódmego roku i że nie powinno się mu przerywać.

- Kiedy zapisałem się na seminarium do Fritscha, byłem biedny, naprawdę bardzo biedny. Bywały dni, że rano znajdowałem w kieszeni tylko tyle pieniędzy, ile starczało na pół, czasem ćwierć bochenka chleba. Fritsch nie kazał mi płacić za kurs, ale mnie nie karmił. Wieczorami wracałem autostopem do oddalonego o dwadzieścia kilometrów miasteczka i pracowałem do późnej nocy. Chwytałem się każdego zajęcia: bary, restauracje, nocne stróżowanie... Gdy rano przychodziłem do Fritscha, czułem, jakbym przenosił się do innego świata; świata dobrze odżywionych i bez trosk ludzi, którzy mogli oddawać swą energię ideom.

Pewnie zdziwi się pan, jeśli wyznam, że w sześćdziesiątym siódmym roku nie rozumiałem, w czym tkwiła istota naszych debat. Czułem tylko, że dzieje się coś ważnego. Fritsch był wówczas młody, niewiarygodnie inteligentny i bardzo obyty. Studenci żywo reagowali na jego przemyślenia, prowokowali go, rozprawiali między sobą. Z tego okresu utkwiała mi w pamięci wyłącznie nienawiść do biedy. Było to, rzecz jasna, nieporozumienie. Słuchacze Fritscha roztrząsali temat biedy w skali całej planety, dyskutowali o wielkiej równowadze populacji, o Naturze. Ja nie dostrzegałem niczego poza własną nędzą. Dla pozostałych bieda była konceptem, dla mnie zaś rzeczywistością.

Na zakończenie seminarium odebrałem upragniony dyplom, a co ważniejsze, pozbyłem się złudzeń studenta. Miałem tylko jeden cel: wyrwać się z sidła biedy i uciec od niej jak najdalej.

Wyjechałem do Afryki Południowej, gdyż potrzebowano tam białych imigrantów i wyjazd nic nie kosztował. Przydzielono mnie do pracy w Transwaalu u poczciwego Greka, który handlował nawozami. W tamtych czasach popyt na produkty rolne był olbrzymi. Od razu zrozumiałem, jakie możliwości dawała ta branża. Ale stary Costa miał to gdzieś. Był człowiekiem bez ambicji, który czas i energię marnował na picie ouzo. Wkrótce przejąłem stery.

Potem wydarzył się wypadek... Trzeba było przeć dalej. Wiem, co pan myśli. Nie, to nie ja go zabiłem. Jednocześnie nie kiwnąłem palcem, by go ratować. Lekarze zabronili mu pić. Przynosząc codziennie alkohol, przyczyniałem się jednocześnie do jego szczęścia i zguby. Czyje pragnienia realizowałem? Costy czy moje własne? Bez wątplenia nas obu. Podpisał akt darowizny i umarł. To odległe czasy, wołę o nich zapomnieć.

Potem wszystko potoczyło się szybko i pomyślnie. Nareszcie odbiłem się od dna. To mi wystarczyło. W mojej biografii znajdzie pan informacje o kolejnych etapach gospodarczego sukcesu. Zresztą pan i tak pewnie już ją przeczytał.

Jedno jest istotne: to, że byłem synem pastora, nie pozostawało bez wpływu na moje życie. Im wyżej się wspinałem, tym bliżej byłem Tego, który rządzi światem. Im bardziej czułem na sobie Jego spojrzenie, tym większy był strach przed Jego sądem. Nie byłem już biedny. Ba, mogłem bez trudu zaspokoić wszystkie potrzeby. Posiadałem domy, lasy, samochody, jacht. Stałem się obywatelem Ameryki i chciałem przysłużyć się ojczyźnie. Naturalnie byłem żarliwym obrońcą liberalizmu ekonomicznego, wierzyłem w kapitalizm. Traktowałem Amerykę jak jego świątynię i siłę napędową. Trafiłem do republikańskich kręgów politycznych. Finansowałem kampanie wyborcze, uczestniczyłem w think-tankach. Były to czasy odnowy myśli konserwatywnej, czasy takich pasjonatów jak Norman Podhoretz, Richard Perle, Alan Bloom. Wspólnie podjęliśmy szczerą debatę nad zagrożeniami postępu i wolności.

Mnie najbardziej interesowały kwestie związane ze środowiskiem. To zabawne, lecz nawet tu dostrzegałem wpływy ojca. W całej Biblii przebija nostalgia za minionymi czasami, kiedy to człowiek i przyroda żyli w zgodzie i harmonii. Raj utracony jest najpotężniejszą siłą napędową chrześcijaństwa. Wierni, poprzez jednostkowe zbawienie, dążą do osiągnięcia raju po śmierci. Jednak dla ludzi takich jak ja, którzy utracili wiarę, raj ziemski pozostaje zbiorowym i konkretnym ideałem, jedynym gdzie można odbudować utraconą harmonię.

Ojciec często powtarzał jedno zdanie. Od dzieciństwa znam je na pamięć. Początek jest nieważny, jednak z przyjemnością zacytuję panu cały fragment:

*Człowiek pokorny nie lęka się dzikich bestii.
Gdy tylko go dostrzegą, chowają pazury.
Rozpoznają w nim bowiem zapach Adama sprzed upadku,
Kiedy do niego podchodziły, a on nadawał im rajskie imiona.*

Chodzi mi dokładnie o to: jak przywrócić Adamowi, powtarzam za wschodnim ascetą, „zapach, który wydzielał przed upadkiem”, i który spokojnie przyciągał do niego nawet najbliższe bestie? Jak pogodzić człowieka z przyrodą?

Kiedy zaproponowałem, że zajmę się tematyką ekologiczną, członkowie zarządu czasopisma „Commentary” oraz cała grupa neokonserwatystów skakali z radości. Działo się to w latach dziewięćdziesiątych, tuż przed Protokołem z Kioto. Stany Zjednoczone odgrywały rolę winowajcy, ale zarówno ja, jak i moi przyjaciele byliśmy przekonani, że kraje Trzeciego Świata podle nas szantażują, posługując się argumentami związanymi z ochroną środowiska.

Przecież to państwa bankruci ponoszą główną odpowiedzialność za rujnowanie planety. Nie walczą z niekontrolowanym wzrostem demograficznym, dlatego ich wielkie miasta przekształcają się w potwory, a wsie - w pustynie. Niszczą lasy, zanieczyszczają rzeki i wybrzeża. A od nas, pracowitych i produktywnych krajów żąda się ograniczenia działalności przemysłowej. Dzięki bezprecedensowemu w historii ludzkości wysiłkowi to nam udało się wypracować rozwiązania dla wszystkich problemów, włącznie z tymi, które sami tworzymy. Bez przerwy obniżamy poziom zanieczyszczenia spalinami. Znaleźliśmy alternatywę dla materiałów naturalnego pochodzenia. Wymyśliliśmy lekarstwa, które zwalczyły epidemie. Wynaleźliśmy maszyny, które wyzwoliły świat od niewolnictwa. Dzięki doskonałej broni, jaką wyprodukowaliśmy, od ponad pół wieku nie nęka nas wojna. Wybudowaliśmy państwa opiekuńcze i zniwelowaliśmy różnice społeczne, wyraźniej niż kiedykolwiek w przeszłości. A jednak, to *my* zasiadamy na ławie oskarżonych. Kto zaciera w tym czasie ręce? Chiny, Indie, Brazylia, państwa rozwijające się, napędzające maszyną brudnych technologii, państwa zastraszających nierówności społecznych, państwa czerpiące korzyści z pracy nieletnich i niewolników, którzy stanowią dwie

trzecie populacji. Te państwa chcą nauczyć miliardy swych obywateli nawyków konsumpcyjnych. A to grozi kataklizmem...

Zabawne, jak dobrze pamiętam dzień, w którym mój świat zatrząsł się w posiadach. Był październik, czas babiego lata w Nowej Anglii. Uczestniczyłem w spotkaniu z ekonomistami frakcji zwanej dziś neokonserwatywną. Ktoś odczytał błyskotliwy, choć momentami przykry referat na temat „Czy należy wspierać rozwój Trzeciego Świata?” Dla zwolenników kapitalizmu kwestia jest delikatna. Odpowiedź przecząca oznaczałaby przyznanie się do porażki globalizacji, w którą tak wierzymy. Jednocześnie wiemy, że zapewnienie sześciu miliardom ludzi naszego poziomu życia jest technicznie niemożliwe. Poza tym z góry wykluczamy rozwiązanie polegające na zahamowaniu postępu tylko dlatego, że nasze osiągnięcia nie dają się zastosować na szeroką skalę w krajach Trzeciego Świata.

Prelegent zręcznie uniknął odpowiedzi na pytanie, poprzestając na wymienieniu argumentów za i przeciw.

Wtedy właśnie zabrałem głos: „Czy nie sądzicie, że kluczową kwestią jest problem demografii? Biedne kraje osiągną postęp tylko wtedy, gdy znacznie obniży się liczba ich ludności”. Moje zupełnie spontaniczne pytanie zmroziło zebranych. Ekonomiści nie lubią, by im przypominać o ludzkim wymiarze ich wyborów. Finansowałem spotkanie, więc nikt nie ośmielił się na krytykę. Niemniej poczułem, że przezorniej będzie zmienić temat. Zwłaszcza że wśród uczestników było wielu przedstawicieli środowiska chrześcijańskich integrystów, którzy moją refleksję zinterpretowali jako zachęcanie do aborcji i antykoncepcji.

Nie odezwałem się więcej ani słowem. Przez resztę spotkania patrzyłem w okno na żółto-czerwone liście drzew. Przypomniała mi się nagle Austria, Fritsch. Powróciły wspomnienia z seminarium w sześćdziesiątym siódmym roku. Wtedy, jako młody chłopak, niczego nie rozumiałem. Dopiero trzydzieści lat później pojąłem, jak głęboko, zupełnie podświadomie, wyryły się w mojej pamięci treści naszych dyskusji. Pytanie, jakie tamtego dnia zadałem współtowarzyszom konferencji, wyplęnęło bez wątpienia z tych pozornie zapomnianych rozważań.

Po powrocie do domu zacząłem przeszukiwać stare szpargały. Jestem dość zorganizowany, a jednak dotarcie do teczek z notat-

kami z seminarium zajęło mi całą noc. Proszę sobie tylko wyobrazić; na czworaka, pośród porzucanych dokumentów mojego archiwum, pochylałem się nad zdjęciem grupy, tym samym, które ukradliście u Fritscha. Następnego dnia rozszyfrowałem nazwiska, odnalazłem adresy kolegów. Moim najbliższym kolegą w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym był Rogulski. To normalne: obaj byliśmy biedni jak myszy kościelne. Potem całkowicie straciłem z nim kontakt. Cóż, moja kariera nie bardzo sprzyjała rozwijaniu stosunków z państwami Bloku Wschodniego... Był jednak rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty. Mur berliński został zburzony. Wytropiłem starego Roga. Sprowadziłem go do Nowego Jorku, gdzie wówczas mieszkałem. Biedaczyna, wyglądał jak kloszard! Spędził kilka lat w Związku Radzieckim, a potem dostał pracę w laboratorium na peryferiach Gdańska. Jedyne, na co mógł liczyć, to nędzna emerytura trzy lata później. Zaproponowałem mu, by został w Ameryce. Odmówił. Proszę sobie wyobrazić, że ten głupek kocha Polskę! Nie chce żyć gdzie indziej. Wobec tego wykombinowałem, że zrobię anonimowy dar na rzecz zarządzanej przeze mnie fundacji badań genetycznych, co pozwoli na otwarcie supernowoczesnego centrum badawczego we Wrocławiu. Tak się stało i Rogulski został kierownikiem laboratorium. Nie wiedział pan o tym, co?

W czasie pobytu Rogulskiego u mnie odnaleźliśmy pozostałych kolegów z seminarium. Dowiedzieliśmy się przy okazji, że niektórzy nadal byli ze sobą w kontakcie, a nawet organizowali spotkania „absolwentów”. Kilku już nie żyło. Założę się, że na podstawie zdjęcia zrekonstruował pan grupę, oszczędzę więc panu szczegółów. Zdaje pan sobie również sprawę, że wielu spośród studentów tego szczególnego roku pełni obecnie ważne funkcje państwowe. Zapewniam pana, że żaden z nas nie pogrzebał młodzieńczej pasji ani też nie wyparł się seminarium u Fritscha. Powiem więcej, niektórzy spróbowali wcielić idee w życie za pomocą środków, jakimi dysponowali, będąc na takim czy innym stanowisku.

Postanowiliśmy spotkać się w Ułan Bator w Mongolii. Każdy wymyślił sobie oficjalny powód wyprawy: wakacje, podróż służbowa, sąsiedzkie odwiedziny... Zastanawialiśmy się, czy zaprosić samego Fritscha. Woleliśmy jednak uniknąć konfrontacji ze świą-

tolbiwym mędrcom, jakim stał się z wiekiem. Zgodnie pragnęliśmy zachować we wspomnieniach obraz młodego, zuchwałego i awangardowego profesora.

Gdy wszyscy dojechali do Ułan Bator, zabrałem ich prywatnym samolotem w bardziej dyskretne miejsce. Urządziliśmy kilkudniowe seminarium po naszymu, w jurcie pośród stepów Bajan Olgi w północno-zachodniej części kraju. Zabawnie było znowu usiąść razem, w kręgu, na turkmeńskim dywanie. Trzeba było nie Jada wyobraźni, by w naszych pomarszczonych twarzach odnaleźć rysy młodych wilków z seminarium sześćdziesiąt siedem. Jednak rozpoznaliśmy się bez trudu, gdy tylko zaczęła się dyskusja.

Nie jestem w stanie powiedzieć, kto dokładnie wyszedł z inicjatywą. To jednak wtedy narodził się projekt. Ktoś - nie ja - powiedział: „A gdybyśmy tak zrealizowali nasze pomysły z młodości?”, ktoś inny podchwycił, chyba nawet Chińczyk: „Na cóż by się w przeciwnym razie zdała nasza praca, zwłaszcza że wielu z nas osiągnęło nadzwyczajny sukces, jeśli nie po to, by nadać konkretne kształty marzeniom, jakie snuliśmy, będąc u progu życia?”

Nie ma pan pojęcia, jak silne jest pragnienie powrotu do ideałów z młodości w przypadku takich starców jak my. I oto nadarzała się okazja... Myśl o wspólnym przedsięwzięciu napełniła nas entuzjazmem. Gruntownie przedyskutowaliśmy temat, rozważyliśmy, jak poważne środki konieczne są do zrealizowania pomysłu i stwierdziliśmy, że mamy je w zasięgu ręki.

Był tylko jeden istotny kłopot. Od seminarium u Fritscha minęło wiele lat. Dziś każdy miał coś do stracenia. W związku z tym uznaliśmy, że nasza inicjatywa pod żadnym pozorem nie może wyjść na jaw. Nie wolno nam było narazić niczyjogo dobrego imienia.

Jednogłośnie uchwalono, że to ja dopracuję szczegóły projektu. Byłem do głębi wzruszony zaufaniem, jakie okazali mi koledzy. Uzgodniliśmy tajne sposoby komunikowania się, po czym pożegnaliśmy się serdecznie.

W tamtym mniej więcej czasie zachorowałem i postanowiłem potraktować chorobę jak omen. Porzuciłem interesy i zamieszkałem tu, w mojej pustelni, by móc poświęcić pomysłowi całą uwagę.

Pomagał mi Rogulski. Wiedzieliśmy obaj, że jeśli chcemy pozostać w cieniu, musimy znaleźć wsparcie na zewnątrz. Szukaliśmy

ludzi o radykalnych poglądach, brutalnych fanatyków, którym moglibyśmy dostarczyć niezbędne środki, i którzy działaliby za nas. Zadanie okazało się niełatwe. Zaczęliśmy przeczesywać internet, czytać teksty publikowane przez skrajne ugrupowania, niemal straciliśmy nadzieję.

Oczywiście w pierwszej kolejności spróbowaliśmy nawiązać kontakt ze środowiskiem radykalnych ekologów. Szybko zrozumieliśmy, że taka kombinacja nie wypali. Gdy tylko w rozmowach pojawiała się idea postępu, ekolodzy stawiali weto. Są przeciwni próbom jądrowym, organizmom modyfikowanym genetycznie, przeciwni nanotechnologii. Tak naprawdę nie mieliśmy z nimi nic wspólnego. Nawiasem mówiąc, ich walka jest bezcelowa. Mierzą w społeczeństwo industrialne, badania jądrowe, ropę, postęp farmakologiczny. O ile w ogóle zajmują się katastrofą demograficzną w Trzecim Świecie, to tylko pobieżnie i po to, by rytualnie obwinie Zachód.

Następnie zainteresowaliśmy się aktywistami wszelkiej maści, ultralewicą, anarchistami, działaczami regionalnymi i bojownikami na rzecz Trzeciego Świata. Byliśmy dość elastyczni, pod warunkiem że znajdziemy kogoś gotowego podjąć się radykalnej akcji zgodnej z naszymi oczekiwaniami. Niestety i tu napotkaliśmy olbrzymie trudności: odkryliśmy, że grupy te nie zgadzają się z nami w kluczowej kwestii: walczą z elitami, a nie z tłumem. Oni również myślą cel. Zwalczają nie problem, lecz jego rozwiązanie. Innymi słowy ludzie powielają wciąż ten sam błąd, co w latach sześćdziesiątych, kiedy to Fritsch przegrał bitwę o uczynienie z ekologii sprawy państwowej. Byliśmy bliscy zniechęcenia.

Aż pewnego dnia zdarzył się cud! Przypadkiem trafiliśmy na forum dysydentów organizacji One Earth. Grupa była niewielka, quasi-tajna. Nazywali siebie Nowymi Drapieżcami. Największym ich zmartwieniem była destrukcyjna siła biednych mas. Podważali sens ludzkiej prokreacji i zdawali sobie sprawę z przesłania statystyk demograficznych. Ich teksty zawierały czytelne echo seminarium z sześćdziesiątego siódmego roku. Zadziwiające było to, że nigdy nie zetknęli się ani z Fritschem, ani z żadnym z jego uczniów.

Nawiązałem kontakt z facetem, który podpisywał się pod artykułami zamieszczanymi w necie. Przedstawiłem się fałszywym

nazwiskiem i zaserwowałem mu historyjkę o fundacji naukowej. Sądzę, że mi nie uwierzył, niemniej zgodził się ze mną dyskretnie spotkać. Umówiliśmy się na jeziorze Erie. Była to moja ostatnia podróż przed definitywnym wyjazdem do Szwajcarii. Miałem wówczas jacht. Zakotwiczony był w porcie nieopodal Chicago. Jacht był olbrzymi, lecz tak nowoczesny, że mogłem nawigować samodzielnie. Na silnikach odpłynąłem na północ, potem sunąłem na fokę wzdłuż brzegu, by zanadto nie rozwijać prędkości. Wiosną tamte okolice często bywają zamglone. Na szczęście w umówionym miejscu dostrzegłem wysokiego mężczyznę w motorówce. Zarzuciłem pętlę i pomogłem mu wejść na pokład. Tak poznałem Teda Harrowa. Nie muszę panu mówić, kim jest.

Poprosiłem, by przedstawił mi swój projekt. Powtórzył dokładnie to samo, czego dowiedziałem się, czytając jego blog. Ale słuchając go, pojąłem, w jaki sposób, mimo zupełnie innego punktu wyjścia, doszedł do identycznych wniosków jak my. Jego idee wywodziły się z indiańskiej mistyki, czy, ściślej biorąc, z indiańskiej neokultury, skorygowanej przez współczesnych Amerykanów pragnących odnaleźć zagubione korzenie. Facet twierdził, że jest Indianinem, lecz niebieskie oczy odziedziczyć musiał po Szkotach. Jego koncepcje wciąż tkwiły w kokonie intuicji. Formułował je na wzór prorocत्व niczym poeta doznający olśnień i wizji. Podejrzywałem, że nie miał planu działania.

Doniosłość jego idei była nieproporcjonalna do jego praktycznych ambicji. Jedynym w miarę konkretnym motywem był powracający temat cholery. Gdy poprosiłem go o szczegóły, okazało się, że i tu Harrowowi brakowało inwencji. Uważał, że cholera jako drapieżnik biednych ludzi jest wartością samą w sobie. Poza tym niewiele był w stanie powiedzieć, nie przestudiował realnych możliwości zastosowania mikroba. Wyznaczył jej rolę metafory, dzięki której chciał zmienić kierunek strategii One Earth.

Dostrzegłem szansę na zawiązanie koalicji. Tam, na środku jeziora, w mesie oficerskiej mojego starego Pinguin Wing, zawarliśmy umowę. Zobowiązałem się zapewnić mu nieograniczoną pomoc finansową. Kazałem mu wynająć biuro oraz odbyć podróżę w celu dokonania koniecznych ustaleń. Zachęciłem go do stworzenia prawdziwej ekipy. Zapewnił mnie o piętnastu zaufanych

ludziach, którzy gotowi byli działać, o ile One Earth nie postanowi ich inwigilować. Obliczyliśmy szybko kwotę, jakiej potrzebował.

Powiedziałem mu, że dzięki siatce dobrze usytuowanych i podzielających moje poglądy przyjaciół jestem w stanie nadać operacji isticie planetarny wymiar. Rzecz jasna nie wyjawilem mu tożsamości członków grupy Fritscha. Chciałem, by Harrow dodał swoim koncepcjom śmiałości i rozmachu. Indiańska intuicja jest płodna, lecz wymaga ugruntowania naukowego i filozoficznego, by się uwiarygodnić. Przynależem przestudiować temat cholery i sprawdzić, czy naprawdę można się nią posłużyć jako czynnikiem zakaźnym.

W rzeczywistości już wtedy sporo wiedziałem na ten temat dzięki Rogulskiemu. Nie ukrywał przede mną, że przecinkowiec jako taki nie stanowi groźnej broni biologicznej. Z doświadczenia nabytego w Rosji wiedział jednak, że mikroba można udoskonalić. Według mojego polskiego współnika było to możliwe na dwa sposoby: albo przez stworzenie patogenicznego przecinkowca cholery różniącego się własnościami immunologicznymi od zwyczajnego szczepu, dzięki czemu w strefach endemicznych będzie dla ludzi śmiertelny, albo poprzez zwiększenie jego odporności w celu ułatwienia procesu zarażenia się. Mikroba zmodyfikowany wedle tej drugiej metody został ukradziony z laboratorium Rogulskiego. Choroba wywołana przez nawilżony i odpowiednio ogrzany nowy szczep jest bardzo zaraźliwa i ostra w przebiegu. Obecnie nikt nie jest na nią uodporniony. Poza tym ten rodzaj cholery zachowuje swoje klasyczne cechy: jest chorobą biednych, rozprzestrzenia się w dużych skupiskach ludzkich i wiąże się z brakiem higieny.

Wystarczy wywołać epidemię w sprzyjających warunkach. Dzięki transportowi powietrznemu cholera rozprzestrzeni się po całym świecie. Wszędzie tam, gdzie absolwenci seminarium sześćdziesiąt siedem mogą przyczynić się do wzmocnienia jej efektów, cholera zbierze plon. Uczestnicy spotkania w Ułan Bator nie ugną się pod ciężarem zobowiązań. A dzięki znajomościom, jakie mamy w środowisku mass mediów, opracowane przez nas analizy na temat katastrofy i nędzy, która jest jej winna, zostaną szeroko rozpropagowane. W ten sposób nie unikniemy debaty nad kwestią przeludnienia. Opinia publiczna przejrzy na oczy. Będzie to

pierwszy etap przedsięwzięcia mającego na celu wprowadzenie w życie idei Fritscha.

Rogulski twierdzi, że pandemia, którą wywołamy, siódma historyczna pandemia cholery, powinna dotknąć dwa miliardy ludzi i spowodować śmierć połowy z nich. Pragnę zauważyć, że dzięki temu nadrobimy zaledwie stratę ostatnich trzydziestu lat, kiedy ów miliard ludzi pojawił się na ziemi, czego w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku nie braliśmy nawet pod uwagę...

Kropla po kropli glukoza niemal cała krążyła już we krwi McLeoda. Mężczyzna wydawał się senny, zmęczony długim monologiem. Pochylił lekko głowę, a na jego ustach pojawił się spokojny uśmiech.

- Drogi przyjacielu, wie pan już wszystko. Albo prawie, bo mógłbym o tym opowiadać przez długie godziny. O naszych nadziejach, obawach, osiągnięciach. Nigdy wcześniej nie przeżywałem równie intensywnych chwil. Potem dowiedzieliśmy się o pańskim dochodzeniu, co tylko dodało pieprzyku naszej operacji. Musieliśmy zwiększyć tempo. W gruncie rzeczy oddaliście nam przysługę.

- Gdzie zaczynacie? - Paul zapytał gwałtownie, gdyż czuł, że czas ucieka, a McLeod w swej opowieści odszedł daleko od sedna sprawy.

- Ach, bardzo długo nad tym rozprawialiśmy! Z początku wydawało się nam, że epidemia powinna zachować wszelkie pozory katastrofy naturalnej. Chcieliśmy tak to rozegrać, jak gdyby nowy typ przecinkowca pojawił się na drodze naturalnej ewolucji. Potem przyszło nam do głowy, że trop mikroba doprowadzi mimo wszystko do laboratorium Rogulskiego. Uznaliśmy więc, że należy odsunąć od niego wszelkie podejrzenia. Stąd pomysł małej inscenizacji. Harrow odświeżył znajomość z kimś w Europie. To młody student, o ile się nie mylę. On z kolei skaptował dziewczynę, która miała ukraść mikroba.

- Dziewczyna nie miała uczestniczyć w całej operacji?

- Nie. Wyłącznie w pierwszej fazie. Ale zaszantażowała nas. Chciała koniecznie kontynuować... mogliśmy się jej sprawnie pozbyć, lecz wtedy dowiedzieliśmy się, że wszyscy, i uznaliśmy, że dziewczyna może się nam jeszcze przydać.

- W jaki sposób?

- To bez znaczenia.

- Gdzie teraz jest?

- Być może popełniam nieostrożność, lecz powiem panu. Najpierw jednak dam pewną wskazówkę. Pomoże panu wstąpić na ścieżkę, łaką? To dobre pytanie. Ścieżkę pańskiego przeznaczenia.

McLeod uśmiechał się. Paul był zaskoczony tym, jak bardzo przypominał teraz chłopca z fotografii. Zmęczenie i egzaltacja granicząca z szaleństwem nadawały spojrzeniu McLeoda ten sam nieobecny i niepokojący wyraz.

- Harrow i dziewczyna są w Brazylii, przyjacielu. Brazylia jest duża, zna pan jednak hasło chłopców ze Scotland Yardu: kto szuka, ten znajduje.

Paula ogarnęło brutalne poczucie, że czas nagli. Infuzja dawno się zakończyła. Może McLeod celowo rozwlekał opowieść. Zapewne zaraz pojawi się majordomus. Spojrzał na strzykawkę, której przez całą rozmowę nie wypuścił z rąk. McLeod powędrował za spojrzeniem Paula i ze zdziwieniem zobaczył, jak pompka wypycha ciecz do wenflonu. Przeszył Paula wzrokiem, w którym małowowało się zarówno niedowierzenie, jak i rozbawienie, podczas gdy ten zdecydowanym gestem kończył wstrzykiwanie roztworu do krwi chorego.

McLeod zakołysał się i zamknął oczy. Głowa opadła mu na oparcie fotela. Paul rozkręcił zestaw do infuzji, poukładał przedmioty na tacy poza strzykawką, którą zabezpieczył i włożył do kieszeni. Podszedł do drzwi i otworzył je. W przedpokoju stało dwóch strażników.

- Pacjent odpoczywa - wyjaśnił. - Zabieg był dla niego bardzo męczący.

Strażnicy sprawdzili, że pracodawca spokojnie oddycha. Paul w rzeczywistości napełnił strzykawkę traxenem, a nie potasem. Środek uspokajający uspił McLeoda na co najmniej godzinę.

Poprowadzony przez ochroniarzy do wyjścia, Paul pożegnał się, wsiadł do samochodu i odjechał.

Po drodze do Genewy, gdzie czekała na niego Kerry pilnująca doktora Jaegliego, miały nim sprzeczne odczucia. Coś się nie zgadzało. Skąd McLeod wiedział o śledztwie prowadzonym przez Providence? I skąd miał pewność, że nic nie zatrzyma operacji? Czyżby Brazylia była pułapką? Paul był tego prawie pewien. Przypomniał sobie ironiczny, prawie perwersyjny uśmiech McLeoda, gdy wypowiadał ostatnie słowa.

Mimo to Paul i Kerry nie mieli wyboru i musieli pójść tym tropem.

V

Rio de Janeiro, Brazylia

Pochmurne niebo nad wzgórzami zapowiadało rychłe nadejście pierwszych burz. Głowa Cukru zanurzona była we mgle. Wprawdzie nie padało, ale pora słoneczna minęła bezpowrotnie. W opustoszałej i sposepniałej dzielnicy Copacabana, pod niebem zasnutym ciemnymi chmurami, morze szumiało i lśniło metalicznym blaskiem.

Juliette spędzała długie godziny w pensjonacie w Laranjeiras, leżąc na brzuchu. Przez zamknięte okno obserwowała chmury. Przejmująca wilgoć tropikalnego kraju, nagle pozbawionego słońca, wypełzała z kątów nieogrzewanych domów.

Dziewczyna czuła się jak gladiator, który miał odegrać główną rolę w widowisku, ale został odsunięty od przygotowań. Natomiast z każdym dniem rosło ożywienie Harrowa. Regularnie wołano go do telefonu i Juliette słyszała, jak pośpiesznie wybiegał z pokoju. W salonie napalono w kominku eukaliptusowym drewnem. Harrow nadal przyjmował tam interesantów. Zé-Paulo był obecny przy wszystkich spotkaniach. Potem obaj jechali gdzieś samochodem i wracali dopiero późną nocą. Juliette przywykła więc jadać w samotności. Było poza sezonem i restauracja hotelowa została zamknięta. Posiłki przynosiła jej stara kobieta ze znajdującej się nieopodal *churrascaria*.

Gdy Harrow wieczorami wracał do hotelu, Juliette przytulała się do niego. Pozwalał jej na to dość niechętnie. Pomimo wspólnie spędzonej nocy nie okazywał dziewczynie ani odrobiny czułości. Kochali się drugi raz, lecz tym razem z inicjatywy Juliette. Wydało jej się, że Harrow potraktował ją bardziej obojętnie i mechanicznie niż za pierwszym razem. A może po prostu to jej oczekiwania

się zmieniły? Po oszołomieniu nieznanym i upojeniu odkryciem, po zawrotnym tańcu gestów i doznań, Juliette spodziewała się czułych słów, uwagi, cichego porozumienia. Harrow okazał się niezdolny do żadnego z tych gestów.

Młoda kobieta tłumaczyła sobie jego chłód napięciem ostatnich dni. Zmieniła więc przedmiot pragnień: mniej marzyła o obietnicach nocy, a więcej o swym nowym kochanku.

Któregoś wieczoru nadeszły pierwsze deszcze. Juliette nie spała. Wyszła na balkon i cieszyła się widokiem wody spływającej kaskadami po palmowych liściach i wijącej się strumieniami wokół pni jakarandów. Słyszała, jak sąsiednią uliczkę pochłaniają spienione fale potoków. Powietrze nasiąkło ciepłą i słodką wilgocią o zapachu morza. Wróciła do łóżka dopiero o świcie, gdy niebo zaczęły zabarwiać odcienie szarości. Usnęła, wsłuchana w bębnienie kropli deszczu o metalowe zadaszanie balkonu.

Wraz z nadejściem pory deszczowej przyspieszono przygotowania. Telefon komórkowy Harrowa dzwonił nieustannie. Juliette nie chciała podsłuchiwać, lecz mimo woli docierały do niej strzępy rozmów. Była w nich mowa o zbiornikach mających nadejść z Amazonii, o suszarni do przechowywania, o pomiarach gęstości. Jakaś część jej mózgu była uspiona i słowa, które słyszała, przestały się łączyć w logiczne treści. Nie starała się ich nawet zrozumieć, przestała też zastanawiać się nad rolą, jaką dla niej przeznaczono. Przebywała w stanie umysłowej nieważkości, gdzieś pomiędzy egzaltacją a melancholią, niczym nurko-skoczek, który wzbił się w powietrze i czuje, że jego rozpęd maleje i że wkrótce podda się sile grawitacji.

Juliette śniła o Harrowie. Przywoływała w pamięci kształt jego ust. Czowała na swym ciele szorstkość jego dłoni. Zapytywała samą siebie, czy go kocha, stwierdzała, że nie, potem wyliczała w myślach wszystkie powody, dla których nie mogła go pokochać, aż wreszcie dochodziła do wniosku, że żaden nie jest dostatecznie konkretny ani nieodwołalny.

Drugiego dnia jej deszczowego osamotnienia Harrow znalazł wreszcie dla niej czas. Usiedli przy kominku. Nie przypadkiem zaprosił ją do salonu, gdzie panowały ruch i wrzawa. W ten sposób unikał intymnego sam na sam.

- Zbliżamy się do ostatniej fazy operacji - oświadczył. Juliette uśmiechnęła się. - Substancja, o której wspominałem, zostanie przywieziona w czterech małych kanistrach ciśnieniowych, każdy wielkości dużego szybkaru.

Juliette starała się uchwycić spojrzenie Harrowa, lecz on umykał wzrokiem. Nie chodziło jej o wyczytanie w jego oczach prawdy czy kłamstwa. Pragnęła po prostu zanurzyć się w ich błękicie, napić się jak ze źródła.

- Pojedziesz taksówką do Baixady. Do miejsca, które zwiedzaliśmy z Zé-Paulo. Pamiętasz je?

- Nad kanał.

Wypowiedziała te słowa mechanicznie, po wojskowemu, chcąc w ten sposób zapewnić Harrowa o swoim absolutnym posłuszeństwie i zmusić go, by na nią spojrział.

- Kierowca zawiezie cię na miejsce. Poczeka, aż wylejesz zawartość kanistrów do kanału i odwiezie cię z powrotem. Pojedziecie tam o ósmej trzydzieści, więc będzie ciemno. Zresztą będą cię zabezpieczać cztery patrole policji.

Juliette wyciągnęła dłoń do ognia, by poczuć ciepło, którego mężczyzna jej nie dawał.

- A ty? - zapytała, próbując złowić błękitny promień jego spojrzenia.

- Ze względów bezpieczeństwa nie mogę z tobą pojechać.

- Juliette zaniemówiła. Patrzyła na Harrowa wzrokiem uderzonego człowieka, który nie poczuł jeszcze bólu. - Po wypełnieniu misji - ciągnął Harrow, nadal unikając jej wzroku - kierowca przywiezie cię tutaj. Spędzisz tu noc i rano...

- Nie będzie cię ze mną? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Pozwól mi skończyć: rano polecisz do Denver.

Juliette wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Gdzieś w głębi jej duszy właśnie rozstąpiła się ziemia. Poczwała, jak z zawrotną prędkością spada w ciemną otchłań.

- Nie będzie cię ze mną - powtórzyła powoli.

Harrow wpadł w złość i zaczął rozswlekle perorować o kwestiach bezpieczeństwa, spójności akcji, konieczności kontrolowania działań zarówno z operacyjnego, jak i logistycznego punktu wi-

dzenia. Uciekał spojrzeniem i wbrew swym nawykom przesadnie gestykulował.

Juliette poczuła, że dzielą ich lata świetlne. Nagle wszystko zobaczyła z zaskakującą wyrazistością. W ciągu kilku sekund przesunęły jej się przed oczami sceny z ostatnich tygodni, z których opadła kurtyna pozorów. Wydało jej się nagle, że pojęła prawdę o bohaterach wydarzeń i o samej historii. Harrow nie kochał jej, nie darzył jej nawet przyjaźnią, nie łączyła ich wspólna walka ani tym bardziej wspólne ideały. Wraz ze swoją bandą uczynił tylko to, co konieczne, by Juliette uwierzyła w swoje własne fantazje.

Ulegli jej szantażowi, bo dostrzegli w niej narzędzie, którym cynicznie mogą się posłużyć. W gruncie rzeczy była tylko niezrównoważoną pacjentką oddziału psychiatrycznego, wykluczoną z organizacji Greenworld za ekstrawaganckie poglądy. Poza tym dokonała włamania do wrocławskiego laboratorium. Była w ich oczach doskonałym materiałem na winowajczynię. Zaplanowali, że poniesie odpowiedzialność za ich czyny, że zapłaci za wszystko. Musiało to być bardzo wygodne rozwiązanie, zważywszy na to, że Harrow z całą pewnością nie zamierzał dać jej szansy na obronę.

Wciąż rozwodził się na temat bezpieczeństwa. Juliette już go nie słuchała. Skulona, czuła, że zamyka się w sobie dokładnie jak w dzieciństwie, kiedy musiała znosić rozkazy i ciosy. Znowu kąsała ją nienawistna, okrutna samotność. Jednocześnie czuła, że w dal odchodzą miłość, uczucie braterstwa i ideały. Pozostał tylko wstręt i niemy bunt, który wbrew woli dziewczyny paraliżował jej ciało.

Harrow odebrał jej odrętwienie jak znak całkowitej uległości i zgodę. Uznał, że jego argumenty przekonały ją, po czym, uspokojony, wyszedł z salonu, by odebrać telefon, który właśnie zadzwonił.

Juliette poszła do swojego pokoju. Położyła się na łóżku i wsłuchiwała w odgłosy dochodzące z dołu. Czuła się jak okręt, który skrzypi, wciągając kotwicę. Czerwony parkiet błyszczał w słabym świetle lampy. Deszcz, który przestał padać po południu, teraz lał się z nieba regularnymi, lecz drobnymi strugami, wydymając

rynny i wywołując pobrzękiwanie cynowych gargulców na dachu sąsiedniego domu. Juliette nie odczuwała nic poza bolesną pustką. Zapragnęła poczuć na twarzy ciepłą pieszczotę deszczu. Wstała i nie wkładając płaszcza, wyszła z pokoju, zeszła po schodach i minawszy wykafelkowane patio, weszła do ogrodu.

Zrobiła kilka kroków wzdłuż zadaszenia, które wyznaczało drżącą linię zasłony deszczu. Przystanęła na granicy cienia i wody, wahając się, czy przekroczyć granicę pomiędzy dwoma żywiołami. Olbrzymie krople toczyły się po błyszczących liściach tropikalnych roślin. Z głębi ogrodu dochodziło regularne skrzeczenie ropuchy.

Naraz Juliette podskoczyła. Poczula czyjś dotyk. Odruchowo się cofnęła. W przyćmionym świetle latarni przywieszonej nad drzwiami hotelu dostrzegła zarysy ludzkiej sylwetki. Rozpoznała w nich Joaquima, całodobowego portiera hotelowego i kalekę, który swe nieprawdopodobnie zniekształcone ciało kulił na specjalnie dla niego skonstruowanym krześle. Pomimo metalowej skorupy, której zadaniem było podpieranie szyi, jego duża głowa była nieustannie pochylona. Świadomy tego, że wzbudzał w ludziach wyłącznie przerażenie i odrazę, starał się nieustannie uśmiechać, ukazując swe lśniące uzębienie, jedyną prawdziwie ludzką, a nawet godną podziwu część jego osoby. Jednak ten uśmiech skierowany do wszystkich, a zarazem do nikogo, nie zawierał treści. Był jak paszport, który Joaquim wręczał nieznajomym przybyłym w celu zapewnienia ich o swoim człowieczeństwie. W rzeczywistości okolicznościowy grymas przysłaniał całą gamę min, którymi kaleka potrafił wyrazić ekstremalne i gwałtowne uczucia, jakie wzbudzali w nim napotkani ludzie. Podzielił on gatunek ludzki na dwie grupy, z których jednej szczerze nienawidził, a drugą adorował. Lubił istoty proste i czyste, dzieci, zwierzęta. Unieruchomiony na swym krześle z radością przyjmował wizyty ptaków, które siadały mu na ramieniu. Jednocześnie szóstym zmysłem wyczuwał zło. W tej materii nawet najsztelniejsza hipokryzja nie była w stanie go zmylić.

Od chwili przybycia do hotelu Juliette nigdy nie zamieniła z Joaquimem ani słowa, jednak kilka razy zdarzyło się, że gdy przechodziła obok niego, wręczył jej bukietek kwiatków. Toteż

tęgo deszczowego wieczoru jej przepelnione pustką serce przyjęło obecność portiera na ganku jak największy dar.

- Panienska Juliette jeszcze nie śpi - zagadnął.

W tym samym momencie poczuła chropowaty dotyk. Joaquim wziął jej dłoń w swoje ręce, jakby chronił rannego ptaka.

- Zrobił paniencie krzywdę, prawda?

- O kim mówisz, Joaquim?

Wznosił na nią oczy spod pochylonej głowy i to spojrzenie zwrócone ku niebu nadawało mu wygląd świętego męczennika.

- Panienska przyjaciel - wysyczał.

W jego oczach pojawił się złowrogi błysk. Nie było wątpliwości, że Harrow ucieleśniał w jego mniemaniu tę drugą półkulę, świat niebezpieczeństwa i zła.

- Co ty możesz wiedzieć, Joaquim?

- Nic - odparł, lekko mrugając powiekami. - Ale słyszę, jak o paniencie rozmawiają. Wiem, że to niedobrze podsłuchiwać, ale widzi panienska, nikt nie zwraca na mnie uwagi. Jestem jak mebel albo roślina i ludzie nie krępują się w mojej obecności. Zapominają o niej.

- I co o mnie mówią?

Deszcz kropił teraz lekko. Duże krople spadające na ziemię pochodziły nie z chmur, lecz z gęstego listowia.

- Panienska Juliette - odezwał się Joaquim głuchym głosem - mówią o pani jak o wrogu.

- Ale kto?

- Pani przyjaciela i wszyscy ci, którzy go tu odwiedzają. Na przykład Zé-Paulo. - On był drugą piekielną bestią i Joaquim wysyczał jego imię jak wąż. - Nie potrafię powtórzyć nic konkretnego. Musiałbym lepiej się przysłuchiwać. Zrobię to, jeśli panienska sobie tego życzy. Wiem jednak na pewno, że nie ufają paniencie. Że umawiają się, co mogą paniencie powiedzieć, a co nie. „W żadnym wypadku nie powinna o tym wiedzieć”, albo „tak powinienes jej przedstawić tę sprawę”. Mówią jeszcze niezrozumiałe dla mnie rzeczy, które jednak brzmią bardzo niepokojąco.

- Co to za rzeczy, Joaquim?

W pobliskiej magnolii zakotłowało się i na trawę spadło kilka papuzich piór i kropli deszczu.

- Nie pamiętam każdego słowa. Brzmi to, jakby pani rola niebawem miała się zakończyć. Tak jak gdyby niedługo prze stała pani stanowić zagrożenie - wytrzeszczył okragłe oczy, przygniecionie zbyt ciężkimi powiekami - jakby miała pani wkrótce umrzeć.

Juliette wstała i zrobiła kilka kroków przed siebie. Patrzyła w dal, w kierunku migających poniżej świateł miasta, w ciemność. Słowa Joaquima potwierdziły poczucie zagrożenia i zdrady, jakie ostatnio budził w niej Harrow. Jednocześnie kaleka pomógł jej przepędzić miazdzące uczucie samotności. Odwróciła się, usiadła na skraju kamiennej donicy z niebieskimi hortensjami i spojrzała Joaquimowi prosto w oczy.

- Czy myślisz, że mogę się stąd jakoś wydostać? - zapytała.

Portier westchnął ciężko.

- Przypuszczam, że w hotelu nikt poza Harrowem nie zwraca na panienkę uwagi. Jednak u wylotu ulicy stacjonuje patrol policyjny. Gliny trzymają straż na zmianę w dzień i noc. Jest ich zawsze dwóch. Kontrolują samochody, które jadą w stronę miasta. Me interesują się wjeżdżającymi w stronę hotelu. /estem pewien, że to ze względu na panienkę tam stoją.

- A powyżej hotelu?

- To ślepa ulica. Trzy domy wyżej droga się kończy i nie ma możliwości ucieczki samochodem.

- A na piechotę?

- Jest ścieżka. Chodzą nią sprzątaczk.

- Ktoś jej strzeże?

- Nie. Niestety nie. Ponieważ akurat tam przydałoby się kilku policjantów. Ścieżka wiedzie przez starą niebezpieczną fawelę. Grasujące tam bandy małych uzbójczych zębów zrobiłyby z panienki pasztet.

Zamilkli oboje. Joaquim chwycił się za kolana i jedna po drugiej podciągnął bezwładne nogi, wyginając się w fotelu. Juliette zrozumiała, że chce się wyprostować i wzięła go pod pachy, podczas gdy on podparł się na rękach.

- Dziękuję - rzekł do niej.

Znowu zapadła cisza, którą zakłócało tylko poszczekiwanie bezdomnych psów.

Nagle w oknie powyżej zapaliło się światło. Był to Harrow. Joaquim wyrócił oczami. Myślał szybko i intensywnie. Przytrzymał Juliette za rękę, by pozostała pochylona, i szepnął:

- Kiedy panienka chciałaby uciec?
- Dziś w nocy.
- O czwartej trzydzieści dostawca mięsa podjeżdża ciężarówką pod restaurację naprzeciwko. Kierowca ciężarówki to mój kuzyn.
- Wydało mu się, że słyszy kroki na schodach wiodących na parter. - Proszę być tu o czwartej piętnaście.

Juliette wstała, podeszła na skraj tarasu i oparła się plecami o metalową kolumnę. Kontemplowała światła Rio, gdy Harrow wyjrzał przez oszklone drzwi prowadzące do ogrodu.

- Nie śpisz jeszcze?
- Nie sądzisz, że to piękny widok? - spytała.

Podniósł wzrok w kierunku zatoki i po raz kolejny Juliette zauważyła w jego spojrzeniu pogardę i wstręt, obecne zawsze wtedy, gdy przyglądał się światu. Przypomniała sobie ich wyprawę do Baixady, kiedy szli jazgotliwymi ulicami faweli. Najdelikatniejsze muśnięcie go kłuło, wszystko wokół zdawało się mu przeszkadzać.

Wcale nie kocha przyrody, pomyślała Juliette. Nienawidzi ludzi, ze mną włącznie.

Paradoksalnie odkrycie horroru, o który ocierała się tak blisko, przyniosło dziewczynie ulgę. Poznała prawdziwe oblicze Harrowa i to pomogło jej podjąć decyzję. Będzie gotowa o czwartej trzydzieści. Ale tymczasem ujęła potulnie dłoń, którą mężczyzna do niej wyciągnął, i podążyła za nim do pokoju.

VI

Newport, Rhode Island

Odsunąwszy Paula i Kerry od śledztwa, Archie polecił odnaleźć ich i dał w tym celu wolną rękę departamentowi ochrony i bezpieczeństwa agencji. Lawrence tak bardzo przejął się zadaniem, że nie tylko sypiał w biurze, ale i całkowicie przestał widywać żonę i dzieci.

Po namyśle doszedł do wniosku, że Barney i jego banda muszą pozostawać w kontakcie ze zdrajcami, którzy sami nie mogliby kontynuować dochodzenia. To, że ktoś im pomaga, było bardziej niż pewne.

Na planszy zawieszony nad biurkiem odtworzył schemat organizacyjny grupy, która w jego mniemaniu w ukryciu pomagała Paulowi i Kerry. Ośrodkiem dowodzenia był oczywiście ten szarlatan Barney i jego zespół. Lawrence kazał ich wszystkich obserwować. Trudność polegała na tym, że członkowie tej grupy posiadali wysokie kwalifikacje w dziedzinie podsłuchów i inwigilacji. Wiedzieli, jak wymknąć się niedyskretnym agentom, więc jak dotąd ludzie Lawrence'a nie zasygnalizowali mu nic podejrzanego.

Na peryferiach schematu, niczym krążące satelity, Lawrence umieścił kilka postaci, które z jednej strony budziły w nim pewne podejrzenia, z drugiej jednak należały do raczej niegroźnych. Wśród nich czołowe miejsce zajmował Aleksander. Trudno go było rozgryźć, ponieważ na pierwszy rzut oka wydawał się intelektualistą wyposażonym w abstrakcyjny umysł, człowiekiem, który nigdy nie przeszedł szkolenia właściwego dla służb tajnych. Teoretycznie Lawrence nie miał się czego obawiać. A jednak sprawozdania współpracowników skłoniły go do tego, by przyjrzeć

mu się uważniej. Ostatnio Aleksander wyraźnie zmienił zwyczaje i nawyki. Podskakiwał, gdy ktoś niespodziewanie wchodził do jego gabinetu. Ten, który zawsze zostawiał straszliwy bałagan, teraz co do jednego porządkował papiery, a niektóre dokumenty chował do teczek i zabierał ze sobą do domu.

Koledzy tłumaczyli zmianę w jego zachowaniu problemami w życiu osobistym. Jeden z nich słyszał nawet któregoś dnia, jak Aleksander, wychodząc z pracy wcześniej niż zwykle, mamrocze coś pod nosem o swym sześcioletnim synu Matteo, który miał nieprzyjemny wypadek na zjeżdżalni.

Lawrence postanowił to sprawdzić. Cathy, była żona Aleksandra mieszkała w New Jersey. W trakcie zwyczajnej rozmowy telefonicznej, którą dwa razy do roku miał zwyczaj odbywać z nią jako dawny przyjaciel rodziny, dyskretnie wypytał o dzieci i nabrał przekonania, że żadne z dwojga ani nie skakało ze zjeżdżalni, ani tym bardziej niczego sobie nie złamało. Od następnego dnia zarządził ścisłą kontrolę rozkładu zajęć dziennych i nocnych dyrektora departamentu analitycznego. Nie pozwolił, by sztuczki Aleksandra okazały się bardziej skuteczne niż profesjonalna inwigilacja.

Toteż gdy Aleksander przekraczał próg położonej w północnej dzielnicy Newport afgańskiej restauracji, w której czekał Barney z grupą spiskowców, nie wiedział, że śledzi go trzech mężczyzn. Przestrzeń restauracji podzielono na wnęki, każda z nich zasłonięta była wiszącymi dywanami albo tkaninami. W głębi sali na podwyższeniu znajdowało się dodatkowe pomieszczenie, w którym niskie ławki ustawione w kręgu wysłano dywanami i barwnymi poduszkami.

- A więc powtórzmy - rzekł Barney, pozdrowiwszy gestem nowo przybyłego. - Kerry i Paul muszą udać się do Rio jutro rano. Musimy być w pogotowiu w czasie tej ostatniej fazy operacji. Oto dlaczego zależało mi na dzisiejszym spotkaniu.

Nikt nie zwrócił uwagi na rozchylające się poły dywanu. Zebrani przyzwyczajeni byli do permanentnej obecności kelnerów, którzy raz po raz pojawiali się i znikali za zasłoną. Lawrence dłuższą chwilę stał w milczeniu, opierając się plecami o ścianę. Dopiero Tara zauważyła go i krzyknęła przestraszona.

- Gratuluję dobrego gustu - głos Lawrence'a zabrzmiał w ciszy, która zapanowała w pomieszczeniu restauracji. - Wprawdzie to Afgańczycy, lecz mają najlepszą kartę win w całym stanie...

Wszyscy utkwili w nim przerażone spojrzenia. Barney zamknął oczy.

- Zapewne powiecie mi, że jesteście tu z okazji urodzin Marthy - podjął Lawrence. - Urodziłaś się dwunastego czerwca, a mamy połowę marca. Mógłbym w to uwierzyć, prawda? - Martha z obu rzeniem spuściła oczy. - W takim razie powinniście byli mnie zaprosić. Chyba że rozmawiacie o sprawach, które chcecie przede mną ukryć.

Lawrence nigdy nie zadowalał się skromnym zwycięstwem. Przygotowali się na długi i upokarzający do głębi monolog, który zaserwuje im w podzięcie za pogardę, jaką mu okazywali.

Z tym większym zaskoczeniem i niejaką ulgą przyjęli nagłe pojawienie się Archiego. To nic, że szalał ze wściekłości. Zaplątał się w wiszący dywan i zaklął siarczyście. Stał teraz nad biesiadnikami i szukał dla nich w myślach wyzwiska większego niż to, jakim sklął niewinną zasłonę.

Barney wykorzystał chwilę i wstał.

- Archie - odezwał się stanowczym tonem - czy mógłbym porozmawiać z panem w cztery oczy?

Jego słowa zabrzmiały bardziej jak stwierdzenie niż pytanie i zdziwiony Archie nie znalazł wystarczającego powodu, by mu odmówić.

Wyszli z pomieszczenia, pozostawiając zbitego z tropu Lawrence'a ze spiskowcami, którzy po wyjściu szefa czym prędzej pośpieszyli do wyjścia.

- Przyjechał pan samochodem? - zapytał Archiego Barney.

- Stoi przed restauracją.

- Będzie chyba najodpowiedniejszym miejscem do rozmowy.

Wyszli z lokalu. Jaguar Archiego zaparkowany był tuż przy bramie. Kierowca usypiał nad kierownicą. Barney zapukał w szybę i dał mu znak, by wysiadł z wozu.

- Lawrence zabierze cię z powrotem - rzekł, po czym zwrócił się do Archiego: - Poprowadzę.

Ruszyli.

Archie zawsze darzył Barneya szczególnym szacunkiem. W zwykłych okolicznościach dyrektor departamentu analitycznego ulegał kaprysom szefa i pokornie przyjmował jego zwierzchnictwo, a nawet dąsy. Jednak obaj doskonale wiedzieli, że posłuszeństwo to było świadomie odgrywaną komedią. Mógłby z powodzeniem sprzeciwić się Archiemu, jeśli tylko zapragnął. Tak jak na przykład w tym momencie. Archie przybył do restauracji z zamiarem zrobienia mu sceny i oto siedział grzecznie obok Barneya, czekając, aż ten zacznie mówić.

- Cała ta sprawa to blef- zaczął. Wymienili szybkie spojrzenia.
- Daliśmy sobą manipulować.

Archie chciał wydobyć z siebie krzyk oburzenia albo złośliwy śmiech, zamiast tego zakaszłał, przykrywając usta dłonią. Wiedział, że z Barneyem się nie żartuje.

- Blef. Niech pan mówi jaśniej.
- Porozmawiajmy o Marcusie Brownie.

Barney postanowił sprowokować Archiego. Kontakty z dowództwem Providence były domeną starego. Archie wolałby naturalnie, by jego pracownicy nie znali nazwisk z „góry”. Jednak skoro rekrutował ich pośród dawnych agentów CIA, znajomość z Marcusem Brownem nie była tajemnicą.

- I cóż z tym Marcusem Brownem?
- Zdaje się, że to miły facet. Trochę skryty, ale tego wymaga zawód, nieprawdaż?

Barney prowadził samochód, lekko pochylając głowę. Jego dłoń spoczywała na lakierowanej główce dźwigni zmiany biegów w odcieniu wrzosu.

- Poznałem go w osiemdziesiątym dziewiątym roku w Libanie
- ciągnął. - Był szefem jednostki. Wojna się skończyła i wiedliśmy spokojny żywot. Byłem od niego o wiele młodszy. Wierzyłem we wszystko, co mówił.

- I co z tego wynika?
- Tak więc zdawało mi się, że dobrze go poznałem. Byłem jego kompanem do kielicha.

Archie podskoczył. Czuł, że daje się wywieść w pole.

- Barney, proszę nawet nie próbować mnie oczarować. Zrobił pan wielkie głupstwo i wie pan o tym doskonale...

- Niech pan pozwoli mi dokończyć.

Gdy Barney był poważny, jego twarz jaśniała władczością, która budziła szacunek w jego rozmówcach. Nawet Archie nie potrafił mu się sprzeciwić.

- Kazałem moim ludziom przestudiować życiorys Marcusa Browna.

- „Pańskim” ludziom.

- Naszym, jeśli pan woli. Chodzi tu o losy Providence.

- I co dalej?

- Dziura. Żadnych konkretnych danych. Żadnych tajemnic. Z wyjątkiem trzech lat, o których mi nie opowiadał, podobnie jak nikomu innemu.

Absurdalna w szczerym polu sygnalizacja świetlna zatrzymała jaguara. Na zielonym ruszyli dalej.

- Od siedemdziesiątego piątego do ósmego przebywał w Afryce

Południowej. Właśnie w tym czasie, kiedy w Mozambiku rządy objęli komuniści i zaczęli gnębić południowoafrykańskiego sąsiada. Trzeba było powołać do życia partyzantkę. Tajne służby z Rodezji zmawiają się z portugalskimi osadnikami oraz bandą mozambickich opozycjonistów rozczarowanych rewolucją. Two rzą Renamo, dość podejrzane ugrupowanie, złożone głównie z nieudaczników, których trzeba wyszkolić. Stany Zjednoczone nie sprzeciwiają się operacji, lecz wolą trzymać się od niej z dala. Potrzebne jest wsparcie osoby prywatnej, kogoś zdolnego do wejścia w kontakt z partyzantami bez narażania ani swojego, ani niczyjego dobrego imienia.

Polityczne akrobacje Afryki i Zachodu wzbudzały w Barneyu niemal fizyczne obrzydzenie. Gdy poruszał ten temat, jego twarz wykrzywiała się w paraliżującym grymasie.

- Tak zaczyna się znajomość z McLeodem, który był wtedy początkującym przedsiębiorcą transportowym, miał jednak apetyt na każdy towar, a szczególnie egzotyczny. Postarał się, by Marcus Brown się nim zainteresował. Spotykają się. Brown młodszy jest od McLeoda o dziesięć lat. Jednak dogadują się. CIA potrzebuje transportera. McLeod siedzi w ciężarówkach, lecz dla rozrywki wykupił kiedyś linie lotnicze. Kontrakty z CIA przyniosą mu mi liony zysku.

Archie przyglądał się Barneyowi z boku. Profil skoncentrowanego na drodze mężczyzny był śmiertelnie poważny.

- Skąd pan to wszystko wie?
- Powiedziałem już: w zyciorysie Browna wszystko, co niedopowiedziane, jasne jest jak słońce. Po zestawieniu kilku danych oczywiście.

- I co dalej?

- Następnie McLeod robi karierę biznesmena, a Marcus - agenta tajnych służb. Łączą ich przyjacielskie stosunki. Mimo iż McLeod nie pracuje dla Firmy, widują się regularnie jako kumple. Postanawiają być dyskretni. Spotykają się zawsze sami. Czasem na wiecach politycznych. Wiesz, że Brown zawdzięcza karierę partii republikańskiej. McLeod trzyma z neokonserwatystami. Podobne poglądy, te same kontakty, ta sama siatka.

- Jaki wniosek pan z tego wyciąga?

- Żaden, ma się rozumieć. Nikt nie jest w stanie stwierdzić, na czym opierają się stosunki obu mężczyzn. Być może to rzeczywistość zwyczajna przyjaźń.

Ku wiecznej irytacji Archiego Barney miał zwyczaj podpierania solidnymi argumentami punktu widzenia, który następnie obalał.

- Nie wierzy pan?

Droga stała się kręta, więc Barney pochylił się nisko jak kierowca rajdowy.

- Od dwóch lat... Marcus Brown bywa na urlopie częściej niż przez poprzednie dwadzieścia. Sprawdziliśmy kilkanaście podróży, jakie ostatnio odbył. Za każdym razem McLeod przebywał w tych samych okolicach.

- Od dwóch lat - Archie pokiwał głową.

- Proszę mnie teraz uważnie posłuchać i nie pytać o dowody. Bowiem to, co panu powiem, jest wynikiem czystej dedukcji, to intelektualna kalkulacja, z którą wcale nie musi się pan zgodzić.

- Niech pan mówi.

- McLeod i Harrow wymyślili projekt związany z cholerą. Paul widział się z McLeodem i potwierdził tę hipotezę.

Na wspomnienie zdrady Matisse'a Archie wydobył z siebie pomruk.

- Opracowując szczegóły zagłady, McLeod zdaje sobie sprawę, że musi zadbać o bezpieczeństwo swoje, a także pozostałych członków seminarium z sześćdziesiątego siódmego, Rogulskiego w pierwszej kolejności. Prosi o pomoc Marcusa Browna. Ufa mu, wie, że mają te same poglądy. Możliwe również, że ma na niego haka. Jestem prawie pewny, że Brown skorzystał finansowo na kontraktach z Firmą, które dzięki niemu podpisał McLeod.

- O! Nie wstydzisz się pan takich insynuacji?

- Niech pan wreszcie przestanie udawać podstarzałego angielskiego dżentelmena. Wie pan lepiej niż ja, jak funkcjonuje świat. Ale nieważne. Liczy się to, że Brown jest doradcą McLeoda. Założę się nawet, że włamanie we Wrocławiu to jego pomysł.

Archie przytaknął, choć jego mina wskazywała, że w głębi duszy nie zgadzał się z Barneyem.

- Na nieszczęście Harrow dorzuca swoje trzy grosze. Nie może się powstrzymać od złośliwości pod adresem swoich rywali obrońców zwierząt. Stąd nawiązanie do Frontu Wyzwolenia Zwierząt na murach zwierzętarni. Ten teoretycznie nic nieznaczący gest pokrzyżuje im szyki. Napisy zaintrygują polskie służby. Powiadamiają o nich Anglików. Pański przyjaciel lord Brentham ma okazję zrobić panu przyjemność. A MI 5 przypadkiem naprowadza nas na trop amerykański...

Barney uśmiechnął się, zerkając na Archiego wcisniętego w fotel.

- A pan - ciągnął - jak bukiet kwiatów zanoszą sprawę Marcusiowi Brownowi.

- Sformułowanie „jak bukiet kwiatów” jest zbyt cenne, powiedziałbym nawet, że niestosowne.

- Tak zwał, tak zwał.

Miło słonecznej pogody kilka kropel deszczu spadło na przednią szybę i Barney pochylił się, by zlokalizować chmurę.

- Co zaś robi Marcus? Kupuje sprawę. Gdyby nie podpisał kontraktu z Providence, prawdopodobnie zwróciłby się pan do kogoś innego. Kto wie, może zdecydowałby się pan poprowadzić śledztwo na własny rachunek?

- Chyba kiepsko mnie pan zna, Barney.

- Niemniej jednak Brown postanawia się zaangażować. Podpisuje z nami kontrakt. W ten sposób zapewnia sobie dostęp do

teczki. Na bieżąco śledzi postępy dochodzenia. Pozwala, byśmy wskazali słabe punktu jego własnego planu... Niestety Paul i Kerry radzą sobie dobrze, ba, zbyt dobrze, i dochodzą po nitce do kłębka. Harrow, student z Francji, Rogulski, cholera: za dużo wiedzą. Brown wlepia im czerwoną kartkę. Zatrzymuje operację. Pan zaś spotyka się z nimi w Turynie i każe wracać do budy.

- Do budy! - powtórzył Archie, wzruszając ramionami.

Czuło się jednak, że powoli ulegał sile perswazji Barneya.

- Problem w tym, że nie słuchają pana, a Brown nalega. Jednocześnie pomaga panu ich unieszkodliwić. To dzięki niemu znalazł pan w Austrii ludzi do pilnowania Kerry. Czyżbym się mylił?

- Nie.

- Podobnie jest w Nowym Jorku. Brown pomaga grupie Harrowa zastawić sidła na Paula i złapać go w podziemiach SACN-u. Dlatego to Brown jako pierwszy powiadomiony jest o jego pojmaniu.

Archie nadymał policzki, po czym wypuszczał powietrze z ust, jak gdyby grał na klawecie. Był to jego sposób na zachowanie powagi. Od czasu, kiedy zajął kierownicze stanowisko, nie zdarzyło mu się przyjmować poleceń. W bogatym repertuarze swej osobowości gorączkowo szukał najbardziej odpowiedniej reakcji: wahał się między brooklińską wiązką przekleństw albo kąśliwą frazą brytyjskiej ironii. W końcu postanowił zagrać *fair*.

- Punkt dla pana, Barney. Przyznaję, że pańska teoria jest dość wiarygodna. Przypuśćmy, że ma pan rację. Co w związku z powyższym pan proponuje? Co powinniśmy zrobić?

- Przystajemy szczerze nawzajem. Musimy wesprzeć Paula i Kerry. To właśnie zamierzałem panu powiedzieć jutro rano. Dzisiejsze spotkanie z moim zespołem służyło potwierdzeniu pewnych faktów i zgromadzeniu dostatecznie przekonujących argumentów do rozmowy z panem.

Barney przygotował się na ewentualny sprzeciw. Przewidział nawet, że w takim wypadku ucieknie się do szantażu emocjonalnego w stylu „po tym wszystkim, co dla pana zrobiłem” albo „chce mnie pan odłożyć do lamusa”. Tymczasem wobec szybkiego przyznania się Archiego do porażki pomyślał, że i on od jakiegoś czasu musiał mieć wątpliwości co do intencji Browna.

- Według pana dotarli już do Rio?

Barney podskoczył, omal nie tracąc kontroli nad kierownicą. Na szczęście droga była pusta.

- Kto panu powiedział, że udali się do Rio?

- Brown.

- A skąd on to może wiedzieć?

- Myślę, że poinformowali go jego ludzie. Są już na tropie Kerry i Paula.

- Kiedy to panu powiedział?

- Dziś rano.

- Dziś rano nie byli w samolocie. Podróżują zresztą z fałszywymi paszportami. Nikt poza McLeodem nie wiedział, że mieli lecieć do Brazylii.

- McLeodem?

- To on im powiedział, gdzie jechać. Co dokładnie powiedział panu Brown?

- Aby dotarł do ludzi, którzy wspierają ich z ramienia Providence.

- Nie chciał, by pan za nimi jechał?

- Nie.

- To znaczy, że wie, jak się tam nimi zająć. Rozumiem już wszystko: spośród wszystkich krajów ujętych w projekcie cholery tylko w Brazylii zwierzchnikiem policji jest dawny absolwent seminarium z sześćdziesiątego siódmego. - Nagle Barney zawrócił samochód i pomknęli w przeciwnym kierunku. - Tam policja nie cacka się z nikim, tylko strzela.

VII

Rio de Janeiro, Brazylia

O czwartej nad ranem brazylijska noc powoli rozrzedza się i nabiera przejrzystości. Niebo jest nadal granatowe, ale lekki powiew wiatru wślizguje się przez otwarte okna i zaduch ustępuje niespodziewanej rzeźkości, która przywodzi wspomnienie dalekich, innych klimatów.

Dobrze, że Juliette nakłoniła Harrowa do wypicia drinka przed snem. Zdążyła wsypać porcję leków uspokajających do jego rumu z coca-colą i to dodało jej pewności siebie. Patrzyła teraz na mężczyznę śpiącego z otwartymi ustami i oddychającego głęboko, wróżąc mu długi, spokojny sen. Ona sama czuła, że jej ekscytacja sięga szczytu.

Na parterze spotkała Joaquina, który przesunął się tymczasem bliżej wyjścia dla personelu, znajdującego się w głębi ogrodu. Pokazał jej, jak otworzyć drzwi. Na stromej ulicy nie było żywej duszy. Latarnie jarzyły się bladopomarańczowym światłem. Zawartość wywróconego kubła na śmieci mieszała się z wodą, którą chleptały wychudzone i zmokłe psy. Znowu padał drobny deszcz.

- Proszę poczekać tu przy mnie - odezwał się Joaquim. - Lepiej, żeby się pani niepotrzebnie nie pokazywała. Zresztą kuzyn zaraz tu będzie.

Trzymał ją za drżącą rękę. W ciągu niespełna pięciu minut stara ciężarówka z zaokrągloną maską pojawiła się w oddali i z kłopotem podjechała w ich kierunku. Jej żółte, okrągłe reflektory oświetlały fasady budynków po obu stronach drogi. Kierowca wielokrotnie zmieniał biegi, pnąc się w górę ulicy, i gdy wreszcie podjechał pod hotel, ciężarówka wyła na jedyńce. Zatrzymał się

przy wyjściu dla personelu i wysiadł z samochodu. Trudno było stwierdzić, ile miał lat. Jego podobieństwo do Joaquina było frapujące, a jednocześnie dziwne, gdyż mężczyzna był atletycznie zbudowany, podczas gdy jego kuzyn rachityczny i niezgrabny. Być może symboliczną więzią między nimi był ich strój? Carlos - kuzyn Joaquina - ubrany był w fartuch rzeźnika poplamiony z przodu i na ramionach krwią i tłuszczem. Tym sposobem obaj przynależeli do świata choroby, cielesności, płynów ustrojowych i cierpienia: Joaquim przez okropieństwo swego upośledzenia, on zaś z powodu ubioru, który kojarzył się z lekarzem. Lekarzem, który nie waha się badać potworności ciała.

Joaquim przytrzymał kuzyna za brudny rękaw fartucha i powiedział coś szybko po portugalsku. Patrzył na niego spode łba, z wykrzywioną konwulsyjnie szyją i oczami zwróconymi ku niebu. Dostawca mięsa rozważał jego słowa z poważną miną. Brazylia jest jednym z tych krajów, w których wierzy się, że bogowie przemawiają ustami kalek i niewidomych. Joaquim, mimo swej słabości, posiadał niespotykaną moc zaklętą w ułomnym ciecie. Pozostałaby ona jednak niezauważona, gdyby nie wiara w jego zażyłość z tajemnymi mocami i bóstwami chtonicznymi. Wzrok rzeźnika wędrował od kuzyna do Juliette i z powrotem. Czasem odpowiadał na pytanie monosylabami. W końcu Joaquim rzekł:

- W porządku, panienko Juliette. Patrol nie kontroluje cię żarówki. Ukryje się pani z tyłu za mięsem. Nie będzie to zbyt przyjemne, ale potrwa tylko dziesięć minut. Carlos odwiezie panią na postój taksówek.

Podczas gdy Joaquim dawał Juliette ostatnie rady, kuzyn podszedł do ciężarówki, wyjął z naczepy pół wieprza i załadował mięso na ramię jak kłodę.

- A właśnie, czy ma pani jakieś pieniądze?

Od przyjazdu do Brazylii Juliette nie miała tutejszych pieniędzy. Tym sposobem Harrow przytrzymywał ją w hotelu. Joaquim sięgnął do kieszeni przyszytej na wysokości serca. Wyjął z niej cienki zwitek banknotów i długopis. Na brzegu jednego z banknotów zapisał coś.

- To mój numer telefonu - powiedział.

Popchnął ją na ulicę słabym ruchem ramion. Juliette omal nie potknęła się na chodniku śliskim od deszczu.

Rzeźnik pomógł jej wsiąść do naczepy. Wnętrze oświetlała słaba żarówka zamontowana przy suficie. W półcieniu Juliette rozróżniała podłużne kształty cielsk zwierząt powieszonych na żelaznych hakach, sinych, wyczyszczonych z kości i krwi. Słaby zapach zimnego mięsa unosił się w zamkniętej przestrzeni. Dostawca dał dziewczynie znak, by schowała się w głębi naczepy. Skuliła się w kącie. Światło zgasło, usłyszała trzask drzwi. Ciężarówka ruszyła i Juliette czuła kołysanie się zwierzęcych zwłok, podczas gdy samochód, podskakując na kocich łbach, zjeżdżał stromą ulicą. Na dole zwolnił, zatrzymał się i dobiegły ją głosy żołnierzy. Po chwili ruszyli.

Można by sądzić, że zamknięcie w ciemnościach ze zwierzęcymi zwłokami wywoła w Juliette wisielcze myśli. Tymczasem wręcz przeciwnie, wypełniała ją niecierpliwa i wrząca, prawie nieprzytomna radość. Quasi-pogrzebowemu doświadczeniu towarzyszyła świadomość rychłego odrodzenia. Juliette chciała śmiać się, krzyczeć. Pomyślała o Harrowie, którego zostawiała za sobą. Bardziej niż ona zasłużył na znalezienie się w mięsnej lodówce, wszak należał do świata śmierci. Wszystkie deklaracje na temat życia, przyrody i pierwotnej czystości były niczym blichtr, którym maskował wypełniającą go nienawiść.

On nie kocha niczego ani nikogo. Ani mnie, ani kogokolwiek na świecie. On nie chce uratować świata przed sześcioma miliardami ludzi. Gdyby wraz z nim na powierzchni ziemi znalazła się tylko jedna osoba, też znenawidziłby ją i znalazł sposób, by się jej pozbyć.

Juliette czuła się szczęśliwa, wypowiadając w myślach te słowa. Fizyczna bliskość śmierci i jej słodkawy, mdlący zapach czyniły bardziej wyrazistą granicę, którą chciała czym prędzej przekroczyć. Gdy tylko drzwi naczepy się otworzą, będzie uratowana i być może po raz pierwszy naprawdę będzie wiedziała, co powinna zrobić.

Mineło jednak kilka długich minut, zanim ciężarówka zatrzymała się i kierowca uwolnił Juliette. Znajdowali się przy alei biegnącej wzdłuż Copacabany, za blokami graniczącymi z plażą. Padało.

Wokół nie było nikogo, a aleja zdawała się nie mieć końca. Juliette uświadomiła sobie, że kuzyn Joaquim po prostu długo szukał taksówki. Mały żółty samochód stał przed ciężarówką. Kierowca czekał, wybijając dłonią o drzwi rytm samby.

Juliette ruszyła w jego kierunku. Ubrana była w cienkie dzinsy i biały podkoszulek. Nie zabrała ze sobą niczego więcej, gdyż jej rzeczy znajdowały się w skrzypiącej szafie. Bała się, że otwierając ją, obudzi Harrowa. Gdy rzeźnik zobaczył, że Juliette się oddala, pobiegnął za nią i niezdarnymi gestami nakłonił ją do podejścia raz jeszcze do ciężarówki. Wyjął z kabiny ręcznik, zwilżył go wodą z kanistra i podał dziewczynie. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że poplamiała się krwią. Wylała się na tyle dokładnie, na ile potrafiła, i wręczyła ręcznik Carlosowi. Chwyciła go też za nadgarstek, by sprawdzić godzinę. ' Była czwarta pięćdziesiąt pięć.

Taksówkarz otworzył drzwi wiekowego forda i Juliette usadowiła się na czerwonym i błyszczącym plastikowym siedzeniu. Rzeźnik nieśmiało pomachał jej, a ona odpowiedziała mu zdmuchniętym z dłoni pocałunkiem. Odprężona opadła na siedzenie. Kierowca czekał, aż wskaże mu jakiś adres. Wpatrywał się w jej odbicie we wstecznym lusterku.

Gdzie miała jechać? Pieniądze, które dał jej Joaquim, ledwie wystarczą na jeden kurs. Nie знаła nikogo w mieście i nawet gdyby udało jej się przekonać recepcjonistę hotelu, by pozwolił jej wynająć pokój na kredyt, Harrow odnalazłby ją prędko dzięki swoim znajomościom na policji...

Nagle przyszedł jej do głowy pomysł. Nie była w stanie ocenić wszystkich jego konsekwencji, lecz przynajmniej podejmowała decyzję.

- Proszę mnie zawieźć do Baixada Fluminense.

Mężczyzna spojrział na nią niepewnie i przez chwilę przyglądał się młodej nieznanemu bez bagaży. Miała smutną twarz. Oznajmił jej cenę kursu, by się upewnić, że ma przy sobie pieniądze. Nie patrząc na niego, Juliette poszperała w kieszeniach dzinsów i wyjęła z nich dwa banknoty, które dał jej Joaquim. Kierowca schował pieniądze i ruszył.

W deszczową noc Rio przypomina jedno z tych ubogich miast Północy, w których straszą zniszczone tunele, kiepsko oświetlone

ulice, nierówne chodniki i porozbijane latarnie. Znika czar, jakim słońce przyozdabia nędzę. Jedyne, co widać, to sączące się blizny zranionego miasta, upadłej stolicy, i jej dekadentcki blichtr. Taksówka opuściła eleganckie dzielnice i zanurzyła się w mroczny labirynt nisko zabudowanych ulic. Juliette obniżyła szybkość i rozpoznała zawieszony w wilgotnym powietrzu typowy dla faweli smród zgnilizny i ziemi.

Kierowca zapytał, gdzie ma ją wysadzić. Bardzo źle mówił po angielsku, więc starała się odpowiedzieć, używając jak najprostszych słów. Opisała mu kanał. Samochód wolno pokonywał śliskie koleiny. Gdy znaleźli się w trochę lepiej oświetlonym miejscu, Juliette powiedziała „to tutaj” i wysiadła z taksówki.

Deszcz siąpił delikatnie. W białej księżycowej poświacie rysowały się porwane kontury ciężkich chmur, które zlewały się z ciemniejszą sylwetką górskich szczytów. Na płaskiej powierzchni Baixady żarzyły się pojedyncze żarówki powieszona na słupach i odbijające się światłem w kałużach. Błotniste bruzdy lśniły w deszczu i wątłym świetle tych prowizorycznych lampionów. Taksówka zniknęła w oddali, na ulicy nie było nikogo; ani człowieka, ani zwierzęcia. Baraki z kartonów i desek pochłoneły w swym wnętrzu wszystkie żywe istoty, były niczym gigantyczna arka Noego walcząca z czarnymi strugami deszczu i burzą.

Juliette szła ulicą wybraną na chybił trafił. Noc pod tym nieprzeniknionym niebem była równie cicha jak na pustyni Kolorado. Zdawało się jej jednak, że znalazła się na innej planecie. Tutaj ziemia pozbawiona była przyrody. Zniknęły lasy, dzika fauna i naturalna rzeźba terenu. Nie było śladu swoistej syntezy pomiędzy człowiekiem a przyrodą w postaci pól uprawnych, udomowionych zwierząt, domów otoczonych ogrodami. Bezkształtna masa ludzka rozciągała się na setkach kilometrów kwadratowych pokrytych odpadami jej niszycielskiej działalności.

A jednak ta noc nie różniła się zbyt wiele od nocy spędzonej w Kolorado. Juliette nie czuła, by natura ludzka była tu bardziej wroga niż dzika przyroda. Obie miały w sobie coś magnetycznego, obie ją pociągały. Zagłębiając się w labirynt faweli, czuła podobną osobliwą przyjemność jak wtedy, gdy wędrowała wśród kanionów amerykańskiego Zachodu. Pomyślała nawet, że fawela

budzi w niej więcej ufności, a jednocześnie fascynacji, bowiem formy dzikiego życia, jakie mogła tu odkryć, miały ludzkie oblicze. Śmierć także.

Silne podmuchy wiatru przybyłego z wysokich gór przepędzały chmury i co jakiś czas księżyc ukazywał swą pełną tarczę, oświetlając chaty. Ktoś ukryty w cieniu wpatrywał się w nią w mroku ulicy i po chwili Juliette usłyszała wołanie.

Przystanęła, nie widząc nikogo, jednak słyszała szepty i zduszone pogwizdywanie. Nagle bosy dzieciak wynurzył się z mroku i podbiegł, rozpryskując błotnistą wodę kałuży. Zatrzymał się tuż przed Juliette z rękami na biodrach. Miał najwyżej dwanaście lat, ciemną skórę, kręcone krótko obcięte włosy upstrzone barwnymi plamami farby. Z przodu brakowało mu dwóch zębów i nie zanosilo się, by miały mu one kiedykolwiek urosnąć. Ramiona chłopca pokryte były bliznami po oparzeniach i ranach ciętych. Na dłoniach widać było zadrapania i ślady po świerzbie. Powiedział po portugalsku coś, czego nie rozumiała. W jego spojrzeniu czytała pewną gwałtowność, lecz nie potrafiła ocenić, czy była odbiciem agresji, czy strachu. Naraz chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku baraków. Drzwi jednej z chat otworzyły się. Juliette zobaczyła światło, było jednak tak wątle, że z trudem przedzierało się przez ciemność.

Weszła do środka za chłopcem.

Wewnątrz powietrze gęste było od zapachu potu i ziemi. Płomyk pochodził z knota, który powoli spalał się w puszcze po konserwie wypełnionej olejem. Juliette coraz lepiej rozróżniała sylwetki wokół niej i błyszczące pary oczu. Mimo iż nie była w stanie dojrzeć twarzy, nie bała się. Odniosła wrażenie, że wręcz przeciwnie, ktoś chciał ją ochronić. Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń na zewnątrz rozległ się grzmot. Deszcz znowu zaczął padać dużymi kroplami.

Ulewa wywołała poruszenie wśród domowników. Ktoś cicho krzyknął. Wzrok Juliette przywykł do mroku i dostrzegła zarys otaczających ją rzeczy i osób. Barak był jednoizbowy. Ponad połowę jego powierzchni zajmowały piętrowe prycze. Hałas dochodził z najwyższego piętra tuż pod sufitem. Strużki deszczu lały się na łóżka. Pod największy strumień podstawiono plastikowe wiadra i garnki. Mieszkańcy górnych pięter przenieśli się niżej. Tuzin

dziecięcych główek wystawał poza krawędzie prycz. Jedne obserwowały rozwój wydarzeń pod dachem, inne nadal przyglądały się Juliette stojącej na środku izby.

Nieco z tyłu, jak gdyby dla zaznaczenia swojej wyższości nad dzieciarnią, stała czarna kobieta w ciemnym ubraniu. Dała znak, by Juliette usiadła. Sama zajęła miejsce naprzeciwko niej.

Stwierdzenie, że zapanowała niezręczna cisza byłoby nieprawdą. Nieustanny ruch dzieci wynoszących wiadra z wodą oraz brzęk naczyń i deszczu wypełniały ciasne pomieszczenie stłumionymi hałasami. Jednak Juliette tak właśnie odebrała długie chwile bezruchu i krępującego milczenia. Kobieta świdrowała ją wzrokiem. Jej spojrzenie było mroczne, a zarazem błyszczące jak andezyt. Miała równomiernie pomarszczoną twarz. Mimo to, gdy tylko płomyk oświetlił ją lepiej, Juliette dostrzegła w nieznajomej coś młodzieńczego. Z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że ta zniszczona i zużyta kobieta, która była prawdopodobnie matką wszystkich wiercących się wokół niej dzieci, kojarzy jej się z dziewiczością.

Najwyraźniej wiertło jej spojrzenia dotarło zadowalająco głęboko, gdyż kobieta cofnęła się wreszcie z uśmiechem. Ujęła dłonie Juliette w swoje, lodowate i szorstkie. W kącie izby młoda dziewczyna klęczała przed dymiącym kociołkiem, w którym gotowała się woda. Na sygnał matki podniosła się i przyniosła dwa plastikowe kubki wypełnione parującą i mętną cieczą, która bez wątplenia była herbatą. Juliette grzała dłonie zaciśnięte wokół kubka. Kobieta uniosła swój, niczym kielich w toaście, i zachrypniętym głosem wypowiedziała swoje imię: Carmen. Juliette zrobiła to samo i zaśmiały się obie. Potem nieznośnym sprzeciwu tonem odezwała się po portugalsku do dzieci. Juliette nie zrozumiała ani słowa. Carmen zachęciła je, by się przedstawiły. Dzieci zrobiły to, śmiejąc się radośnie. Zaskakiwały na ziemię, witały się z Juliette, po czym wracały do łóżek. Były ubrane w przeraźliwie brudne łańchmany. Jednocześnie unosiła się wokół nich radosna i świeża aura, w żaden sposób niekojarząca się z nędzą.

Juliette była oszołomiona liczbą dzieci. Zastanawiała się nawet, czy niektóre nie przywitały się z nią dwa razy. Gdy przyjrzała się uważniej izbie, stwierdziła, że jednak nie. Dzieci było co najmniej dwanaścioro. Najwyraźniej byli wśród nich także kuzyni, kuzynki

i przygarnięte sieroty. Juliette nie pojmowała ani słowa z wesołych wyjaśnień.

Była również zaskoczona, gdy nadszedł czas powitań ze starszymi dziećmi i dorosłymi. Wszyscy wynurzyli się z półmroku. Dojrzała nawet kościstą dłoń chorego starca, który nie mógł podnieść się ze swego posłania.

To była rodzina Carmen. Po zakończeniu części powitalnej gospodyni cofnęła się zadowolona i dumnym spojrzeniem ogarnęła całą gromadkę.

Zapanowało milczenie. Tym razem cisza była niemal całkowita, bo deszcz przestał padać, a wraz z nim urwały się strugi ciekące z dachu. Niektóre dzieci usnęły. Zamierał szept. Herbata została wypita, a spojrzenie Carmen stało się nagle nieobecne. Juliette zaczęła rozmyślać o swojej sytuacji, o Harrowie, który pewnie gorączkowo jej szukał. Nagle usłyszała przygłuszone dźwięki gitary. To Chico, ukochany syn Carmen, którego tuliła w ramionach, gdy przedstawiał się Juliette. Miał dwadzieścia lat, umięśnione ramiona i płaski, indiański nos. Śpiewając, pochylał się nad gitarą, szlachetnym instrumentem, który wycierpiał pewnie tyle samo, co Carmen. Chłopak musnął struny i wydobył z nich przepiękną melodię europejskiego menueta, ubarwiając go afrykańskim rytmem, wybijanym na drewnianym pudle rezonansowym cztero-strunowego indiańskiego ukulele.

Juliette zamarła. Nagle uleciały myśli, które zaprzętały jej umysł. Poczula, jak gdyby ktoś cienkim ostrzem przeciął jej duszę na pół. Melodia sprawiła, że pękły przez lata budowane i zaciskane wokół niej okowy. Muzyka wyzwoliła ukrytą na dnie osobowości, tę najwrażliwszą, najczulszą i najbardziej chronioną część jej istoty. Poczula, że wypełnia ją nieskończony smutek. Uświadomiła sobie całą niesprawiedliwość i samotność, jakie w dzieciństwie przypadły jej w udziale. Razem ze złem ofiarowano jej lekarstwo, którego dobrodziejstw nie miała jeszcze nigdy okazji zakosztować. W śmierdzącej, wilgotnej chacie, zakłęta przez lekkość palców Chico i ukojona cierpliwością Carmen, Juliette poczuła, że przynależy do rodziny, tej konkretnej i równocześnie o wiele większej, rodziny ludzkiej.

Łkając, skuliła się w ramionach Carmen.

Paul i Kerry lecieli do Rio przez Lizbonę. Na miejsce dotarli dopiero po południu. W samolocie nie spali ani nie rozmawiali. Zatopili się we własnych myślach.

Paul dobrze wiedział, co oznaczała ta faza misji. Gdy operacja stawała się maksymalnie niebezpieczna, a zarazem bliska finału, emocje opadały gwałtownie. Byli jak konie, które czują zbliżającą się śmierć i nie reagują na bicz. Podniecenie przestało działać jak bodziec. Towarzyszyła im druzgocąca myśl, że niedługo wszystko się skończy.

Przyłapał Kerry na ukradkowym oglądaniu zdjęć dzieci pod pozorem sprawdzania czegoś w portfelu. On sam myślał o klinice i o wszystkim, co powinien zrobić po długiej nieobecności. Normalne życie powracało za szybko, jak przedwczesna pora roku.

Niemniej jednak nic jeszcze nie zostało rozstrzygnięte. Zdawali sobie sprawę, że ostatnia faza operacji, w Rio, może okazać się fiaskiem. Być może zbliżali się do mety. Jednakże pokonanie niewielkiej odległości, jaka dzieliła ich od bohaterów akcji, mogło zająć im więcej czasu, niż go mieli. Zaczęło się bowiem odliczanie. Prawdę mówiąc, było to jedyne wyjaśnienie zachowania McLeoda. Paul i Kerry woleli myśleć, że wysłał ich do Brazylii, by zaspokoić żądzę perwersyjnej przyjemności: wiedział, że początek operacji Harrowa zbliżał się nieuchronnie i radował się na myśl, że Paul i Kerry będą pierwszymi, lecz zarazem bezsilnymi świadkami katastrofy, której nie uda im się zażegnać. Druga hipoteza głęboko zniechęcała: czyżby McLeod chciał odsunąć ich od właściwego tropu... a może to po prostu pułapka?

Samolot wylądował o czwartej. Zabrali tylko bagaż podręczny, więc już po półgodzinie udało im się wydostać z lotniska. Mężczyzna w mundurze wykrzykiwał coś, przydzielając taksówki podróżnym czekającym w kolejce. Wsiadli do żółtego chevroleta monza pachnącego mieszaniną oleju tłoczonego na zimno i kurzu. Kierowca taksówki nie odwrócił się do nich, więc Paul odezwał się do plastikowej Madonny dyndającej pod lusterkiem wstecznym. Poprosił o zawiezenie ich do taniego i wygodnego hotelu

w centrum miasta. Szofer zawiózł ich do Copacabany i zatrzymał się przed hotelem Oceania.

Był to budynek wzniesiony w latach trzydziestych, z całą pewnością modny w czasach, kiedy Copacabana była szykowną dzielnicą Rio. Z czasem fasada zestarzała się, wiatr dmuchał przez szpary w oknach ze stalowymi okuciami. Meble wyglądały, jakby właściciel zakupił je na kiermaszu dobroczynnym. Jedyne ocean dobrze znosił upływający czas. Olbrzymie fale spiętrzały się daleko od lądu, wznosiły się spienionymi bałwanami, by rozlać się po piasku cieniutką koronkową mgiełką.

Czarne chmurzyska tkwiły na niebie w równym szeregu, z lancami światła u stóp i czekały na posiłki, by przypuszczalnie nocą ruszyć na ziemię deszczowym szturmem.

Paul i Kerry mieli czas, by zastanowić się nad ewentualnymi znajomymi, na których mogli liczyć w Rio. Szybko podsumowali: Kerry miała niegdyś koleżankę o imieniu Deborah. Poznała ją w Pasadenie, w czasie pisania pracy dyplomowej z psychologii. Deborah była wtedy stażystką na oddziale dzieci autystycznych. Mieszkała w Rio, lecz Kerry nie znała ani jej adresu, ani numeru telefonu. Paul utrzymywał kontakt z dawnym oficerem, który opuścił armię, by zająć się interesami. Długo pracował w Brazylii jako doradca przedsiębiorstw współpracujących z amerykańskim Ministerstwem Obrony. Obecnie mieszkał w Houston. Paul próbował dodzwonić się do niego z hotelu, jednak połączenie ze Stanami Zjednoczonymi okazało się niemożliwe. Telefony komórkowe na kartę, zakupione w Europie, okazały się w Brazylii bezużyteczne.

Dużo czasu zajęło im dogadanie się z pracownikami lokalnego biura informacji. Kerry zdobyła numer telefonu psychologa klinicznego o tym samym imieniu, co jej koleżanka. Niestety, był to numer do jej gabinetu. Zadzwoiła i natrafiła na automatyczną sekretarkę. Postanowili kontynuować poszukiwania nazajutrz od samego rana.

W Rio niezależnie od pory roku zmrok zapada o szóstej wieczorem. W ciągu kilku minut robi się zupełnie ciemno. Paul otworzył okno. Ciepłe powietrze pachniało melasą z silników napędzanych alkoholem. Byli głodni i zniechęceni. Zaproponował Kerry, by

wyszli coś zjeść i położyli się wcześniej spać. Do recepcji zjechali starą windą, którą uruchamiało wciśnięcie dużego, czerwonego guzika. Portier pogardliwie wskazał im adres restauracji rybnej, do której mogli udać się pieszo. Wyszli na ulicę.

Przechodząc przez hol, nie zwrócili uwagi na dwóch mężczyzn siedzących na fotelach o zielonym skóropodobnym obiciu. Mężczyźni wstali, gdy tylko Amerykanie przekroczyli próg hotelu. Wyższy wyjął telefon komórkowy i wystukał numer.

- Wyszli na kolację - powiedział z silnym teksaskim akcentem.
- Tak, Mauro nie spuszcza z nich oka.

Gniewnie schował telefon.

- Zastanawiam się czasem, do czego my w ogóle jesteśmy potrzebni - mruknął do towarzysza.

- Wiedzieli wszystko, he?

- Pewnie, że tak. Mają ich na GPS-ie. Wiedzą nawet, na jakiej wysokości alei się teraz znajdują.

Niższy mężczyzna wzruszył ramionami.

- I co robimy?

- Czekamy, aż wrócą i informujemy o tym przełożonych.

- Przecież to zbędna fatyga...

- Taa, ale rozkaz to rozkaz.

Wychylił szklankę swojego caipirinha.

- A najgorsze jest to, że nic nie możemy zrobić. Polecenia Marcusa są jasne: my ich tylko pilnujemy, a Brazylijczycy sami się z nimi rozprawią.

- Hm.

- Nie rób takiej miny. Pomyśl, że mogło być gorzej. Moglibyśmy na przykład sterczeć teraz w Bagdadzie nabici na pale przez świrów z Al-Kaidy...

VIII

Rio de Janeiro, Brazylia

Gdy stary tramwaj połyka kręte tory dzielnicy Santa Teresa, spod jego sztywno przymocowanych kół wydobywa się przeraźliwy pisk i błękitne iskry. Ludzie przepychają się na wszystkich przystankach, a zwłaszcza na ostatnim, znajdującym się przy placu Sé, skąd tramwaj rusza w przeciwnym kierunku. O ósmej rano wydobyć siebie i swój wózek inwalidzki z pojazdu jest nie lada wyzwaniem. To prawdziwie samotna walka z tłumem. Na szczęście ludzie znają Joaquina. Reputacja boskiego pomazańca, którą cieszy się w okolicy, gwarantuje mu ich szacunek. Podczas gdy dwóch mężczyzn podnosi fotel na kółkach, tłum rozstępuje się w milczeniu. Niektóre kobiety robią znak krzyża, inne pochylają głowy. Joaquim zaś, na swym koślawym tronie, z godnością mruga powiekami i czasem, niczym papież, unosi palec na znak błogosławieństwa. Potem, zgodnie z przyjętym już rytuałem, tragarze stawiają fotel Joaquina u wylotu uliczki biegnącej na zachód, a następnie dwaj młodzi chłopcy prowadzą go do znajdującej się poniżej faweli. W końcu Joaquim dociera do domu wyczerpany kurczowym przytrzymywaniem się podłokietników, z twarzą wykrzywioną bólem wywołanym wstrząsami żelaznego siedziska. Właśnie dlatego przyjeżdża tu tylko raz w tygodniu. Zwykle wracał do faweli we czwartki, ale tym razem przyspieszył powrót o jeden dzień. Juliette uciekła poprzedniej nocy i tu umówili się na spotkanie. Za nic w świecie nie chciał tego przegapić.

Skromne domostwo Joaquina składało się z dwóch pomieszczeń prawie pozbawionych mebli, dzięki czemu poruszanie się po domu na wózku było łatwiejsze. Podczas pierwszej części tygodnia, którą Joaquim spędzał w hotelu, domem zajmowała się

sąsiadka. Gdy wracał, gotowała dla niego posiłki. Gdy tego ranka znalazł się u siebie, kazał jej prędko przygotować syrop owocowy, krzesło z miękkim siedzeniem i pobiec do piekarni po kawałek ciasta waniliowego. Joaquim oczekiwał gościa.

Juliette przyszła w południe. Przeprowadzili ją ci sami chłopcy, którzy wcześniej dopchali fotel kaleki do domu. Joaquim kazał jej usiąść i z największym wysiłkiem krzyknął do sąsiadki słabym głosem, by przyniosła syrop i ciasto.

- Gdzie spałaś?

Dziewczyna opowiedziała mu o nocy spędzonej w Baixadzie. Joaquim pokiwał głową z enigmatyczną miną. Ucieszył się, że znalazła sposób, by uniknąć spotkania z policją i bandą Harrowa. Jednocześnie poczuł ukłucie zazdrości, że to innym, a nie jemu, przypadł honor goszczenia jej u siebie. Joaquim, przyzwyczajony do tego, by od życia nie oczekiwać niczego, pragnął wszystkiego tylko w marzeniach. Uczucia, jakie żywił wobec Juliette, były pozbawione nadziei, ale mógł wyobrażać sobie, co tylko zapragnął.

- A jak wygląda sytuacja w hotelu? - zapytała Juliette.

Joaquim zamrugał powiekami. Nareszcie nadeszła i jego chwila. W swoich wyobrażeniach był tenorem; stawał z przodu sceny, rozkładał ramiona i zaczynał śpiewać, a wtedy jego mocny głos wprawiał w drżenie ciała kobiet siedzących i w pierwszych, i w ostatnich rzędach.

- Katastrofa! - rzucił jednym tchem i zaraz skrzywił się na odgłos zachrypniętego i ledwie słyszalnego głosu. - Wszyscy wpadli w popłoch. Ten Zé-Paulo o mało co nie przyjechał na sygnale, za to z trzema policjantami. Przez telefon wydali rozkaz przeszukania wszystkich hoteli w mieście, a nawet mieszkań wynajmowanych turystom. Harrow osobiście zadzwonił do konsulatu, podając się za Amerykanina żonatego z Francuzką. Podał oczywiście fałszywe nazwisko. Jak to dobrze, że zatrzy małaś się u osób prywatnych.

Kładąc nacisk na ostatnie słowo, dał jednak do zrozumienia, że nie musiała się posuwać do tego stopnia, by nocować u nędzarzy z Babcady.

- Zamierzają rozpocząć beze mnie?

- Nie. Postanowili przesunąć operację. Wygląda na to, że spodziewają się cię odnaleźć albo podejrzewają, że wkrótce sama wrócisz.

Joaquim drżącą ręką podniósł do ust szklanke oranżady. Chciał w ten sposób przedłużyć ciszę, pozwolić dziewczynie odbić piłeczkę, ale przede wszystkim uzyskać zaplanowany efekt.

- Co zamierzasz zrobić? - ponaglił ją pytaniem i wierzchem dłoni wytarł usta.

Trzeba przyznać, że Juliette nie zdażyła się jeszcze nad tą kwestią zastanowić. Nadal wibrowały w niej nocne emocje, czekała więc na słowa Joaquina jak na wyrocznie.

- Nie mam pojęcia. Może powinnam tam wrócić?

- Do hotelu! Po co?

- Grać dalej, skoro mnie potrzebują. I dopiero w ostatnim momencie pokrzyżować im szyki.

- W jaki sposób?

- Na przykład odmawiając wylania zawartości tych ich kanistrów, albo zawiadamiając policję, sama nie wiem.

Joaquim uniósł ramiona na wysokość uszu, jakby chciał osłonić głowę przed uderzeniem.

- Policja jest po ich stronie. W stu procentach.

- Niemniej do niczego mnie nie zmuszą.

Juliette mówiła cicho, dostrajając swój głos do głosu kaleki, zużywając jednocześnie ostatnie pokłady swojej energii.

- Wydaje mi się, że nie zrozumiałaś, jaką rolę ci przeznaczyli.

- To znaczy?

- Rolę winnego.

Podniosła spojrzenie i utkwiała je w gorejących bezręcznych oczach Joaquina. Patrzył na nią bez cienia kokieterii.

- Nie potrzebują cię do wylania swoich świństw. Wręcz przeciwnie, chcą odwrócić od siebie uwagę, ściągając ją na kogoś trzeciego. I to masz być ty, Juliette. - Pod oknem pozbawionym szyb ujadły walczące psy i Joaquim przerwał na chwilę, bo hałas zagłuszał jego słowa. - Policjantom, którzy mieli ci towarzyszyć nad kanał, dali rozkaz, by cię usunęli, jak tylko opróżnisz kanistry. Przygotowali też informację dla prasy: „Niezrównoważona

i wykluczona z organizacji ekologicznej kobieta, która obrabowała laboratorium w Europie, usiłowała otruć mieszkańców największej południowoamerykańskiej faweli".

- Skąd to wiesz?

- Ubiraci to głupek - Joaquim zasyczał pogardliwie. - Gdybym był jego pracodawcą, już dawno wyrzuciłbym go za drzwi. Nie tylko za dużo mówi, ale zostawia włączony komputer, tak jak wczoraj wieczorem, kiedy poszedł na kolację.

Joaquim był usatysfakcjonowany, widząc wrażenie, jakie jego słowa wywarły na Juliette. Od poprzedniej nocy bez ustanku wyobrażał sobie tę krótką chwilę triumfu. Zdziwienie dziewczyny wynagrodziło jego trud, jednak potem jej uśmiech był dla niego o wiele większą nagrodą.

- Dobrze zagranie, Joaquim.

Oklaskiwany tenor pochylił głowę. Kto powiedział, że potrzebny mu teatr, widownia. Wzruszenie jednej kobiety wystarczało mu całkowicie.

A to był dopiero wstęp. Nie wyśpiewał jeszcze popisowego kawałka. Juliette spochmurniała, potem zamyśliła się. Wreszcie zapytała:

- Co według ciebie powinnam zrobić?

Joaquim tylko na to czekał. Zakaszłał, by dać do zrozumienia swojej pomocnicy, że nie musi dolewać im napojów. Dyskretnie nakazał jej opuścić pokój.

- Może... - odparł i niespodziewanie urwał.

Chciał, by Juliette spojrzała na niego. Chciał, by zatopiła czyste spojrzenie swoich dużych oczu w jego oczach. Odczuwał ciekawość graniczącą z żądzą. To mu wystarczało.

- Może?

Skrzyżował ramiona.

- Tak. Być może jest jedno wyjście. Jednak uprzedzam, że jest ono dość subtelne. Wydaje mi się jednak, że nie masz wyboru.

- Widział, że dziewczyna zaczyna się niecierpliwić. Chciał dać jej nadzieję, nie zaś przysporzyć cierpień. Dlatego szybko dodał:

- Wczoraj do Rio przyleciała dwójka amerykańskich agentów. O ile wiem, od dawna cię szukają. We Francji podobno odnaleźli jednego z twoich przyjaciół.

Przez kilka ostatnich tygodni Juliette ani razu nie pomyślała o Jonathanie. Wzmianka o nim w ustach Joaquina wydała jej się nieprawdopodobna niczym surrealistyczny sen.

- W jaki sposób dotarli aż tutaj?

- Tego nie wiem - wyznał Joaquim trochę urażony, że Juliette zmusza go, by przyznał się do niewiedzy w tej materii. - Jestem jednak pewny, że Harrow i jego banda chcą ich jak najszybciej, usunąć. Ponoć nie ma to z tobą nic wspólnego. Otrzymali taki rozkaz. Wraz z policją przygotowują na nich zasadzkę.

Joaquim starał się mówić wolno i spokojnie, tak by Juliette przy całym swym zagubieniu rozumiała każde słowo i zastanowiła się nad ich znaczeniem. Po jej spojrzeniu odgadł, że doszła do podobnych jak on wniosków. Popatrzył na nią z czułością mistrza, który cieszy się z postępów zdolnego ucznia.

- Gdzie mogę ich znaleźć?

- W hotelu Oceania, w dzielnicy Copacabana.

Po chwili milczenia roześmiali się jednocześnie i Juliette pocałowała Joaquina w czoło.

Bywają, pomyślał, chwile szczęścia tak cenne, że mogą przytrafić się bardzo rzadko, może nawet tylko raz w życiu.

Paul obserwował pracującą sprzątaczkę. W hotelowym pokoju przemienionym w biuro otwarte walizki leżały na podłodze, a porozkładane papiery przykrywały łóżko i stolik obok telefonu. Na szafce nocnej Kerry rozsypała całą zawartość swojej torebki. Nie udało jej się dodzwonić do koleżanki ze studiów i postanowiła udać się do jej gabinetu lekarskiego, by tam o nią popytać. Przed wyjściem Paul poradził, by zabrała ze sobą minimum rzeczy osobistych, bez zegarka, bez biżuterii. Teraz on, niezmordowanie próbując dodzwonić się do kolegi w Houston, bawił się jej złotym łańcuszkiem. Jednak wyglądało na to, że połączenie ze Stanami Zjednoczonymi jest niemożliwe.

Pokojówka z niejakim wahaniem kręciła się pośrodku tego bałaganu. Jako tako udało jej się wytrzepać poduszki, trochę zwawiej

poruszała się po łazience. Paul wpuścił ją, gdyż nie wiedział, jak długo pozostanie w pokoju. Już lepiej, żeby biedaczka rano uporała się ze swoim obowiązkiem.

Za piątym razem udało mu się wreszcie uzyskać połączenie z sekretarką znajomego z Houston. W mig zapomniał o pokojówce. Co za pech! Kolega był właśnie w drodze do Japonii i w ciągu dwóch najbliższych dni nie będzie z nim kontaktu. Odłożył słuchawkę i złapał się za głowę. Czas mijał, a on powoli tracił nadzieję. Harrow prawdopodobnie rozpoczął operację gdzieś w mieście, tuż obok. Świadomość, że mija się z tak bliskim celem wprawiała Paula w stan tępego przygnębienia.

Nagle zaniepokoiła go panująca wokół cisza. Błyskawicznie zdał sobie sprawę z serii szczegółów, które teraz zaalarmowały go o niebezpieczeństwie. Drzwi do pokoju były zamknięte. Z reguły pokojówki zostawiają wózek na korytarzu i podczas sprzątanía kursują między nim a pokojem. Nadal stał zwrócony twarzą do okna, lecz czuł za sobą czyjąś nieruchomą obecność. Paul odwrócił się.

Dziewczyna stała przy łóżku na lekko ugiętych nogach i mierzyła go czujnym spojrzeniem. W prawej ręce trzymała jakiś przedmiot. Był tak zaskoczony, że nie od razu uzmysłowił sobie, co to było. Przede wszystkim dostrzegł jej długie, czarne włosy, które wyzwolone spod plastikowego czepka luźno opadały na błękitny fartuch sprzątaczkii.

Jej dłonie trzęsły się lekko. Dopiero teraz Paul zdał sobie sprawę, że celuje w niego z rewolweru.

- Proszę wstać i podejść - odezwała się świetną, amerykańską angielszczyzną z obcym akcentem. Nie był to jednak akcent brazylijski.

Paul podniósł się z krzesła. Miał na sobie dość obcisły T-shirt i błękitne bokserki do połowy uda. Dziewczyna kazała mu się obrócić wokół własnej osi. Przez moment miał wrażenie, że chciała go obszukać. Powstrzymała się jednak. Może przestraszyła się, że skorzystałby z okazji, by ją unieszkodliwić. Z wyraźnym zadowoleniem skonstatowała, że skąpy strój Paula nie pozwalał mu nic ukryć. Dała znak, by podszedł do fotela. Był to mebel pokryty skajem i równie stary jak hotel, a przy tym tak niski, że gdy Paul

usiadł, dziewczyna górowała nad nim bezpiecznie. Zrobiła kilka kroków do tyłu i oparła się plecami o ścianę łazienki, by zapanaować nad drzeniem całego ciała.

Długo patrzyła na niego intensywnym i zachłannym spojrzeniem, które Paul widywał u pacjentów oddziału psychiatrycznego, gdzie dawno temu odbył staż rezydenta. To zagubione, a jednocześnie niezwykle przenikliwe spojrzenie budowało kanał komunikacyjny między podświadomością patrzących na siebie osób. Paul czuł się zupełnie obnażony. Bez mrugnięcia okiem i w milczeniu poddał się wnikliwej obserwacji. Miał silne przeczucie, że dziewczyna przejrzała go na wylot i że kłamstwo nie wyjdzie mu na dobre. Minuty ciągnęły się w nieskończoność, zanim trzymająca go na muszce nieznajoma odprężyła się, jak gdyby uspokoiły ją wyniki testu, któremu go poddała.

- Jest pan gliną?
- Niezupełnie.
- FBI?

A więc tego nie wiedziała. Paul poczuł nieznaczną ulgę. Nie pytałaby go o tożsamość, gdyby należała do bandy Harrowa albo gdyby przysłał ją McLeod. Kim więc była?

- Pracuję dla prywatnej agencji - powiedział Paul. - A szczerze mówiąc, w tej dokładnie chwili działałem wyłącznie we własnym imieniu.

- Szuka pan Harrowa?

Paul zadrżał. Nie wymówiła jego nazwiska po angielsku. Połknęła H, przez co Harrow zabrzmiał jak Arrow. Nagle doznał olśnienia. Grasejowanie, śpiewna intonacja samogłosek, to wszystko wskazywało *na* jedno: dziewczyna była Francuzką. Nie miał już wątpliwości, kto to jest.

- Juliette!

Zamrugła powiekami i na ułamek sekundy opuściła rewolwer, jakby na dźwięk własnego imienia doznała ulgi.

Paul zrozumiał, że nie musi się już obawiać broni. Strach zastąpiła bezmierna ciekawość. Tak często wyobrażał sobie Juliette i t)to teraz stała przed nim. Patrzył na dziewczynę, o której tyle wiedział; była bohaterką niewiarygodnej historii, rozpaczliwą i tajemniczą wojowniczką, a jednocześnie tak niespodziewanie objawioną i ba-

nalnie dostępną. Była wychudzona, blada i miała podkrążone ze zmęczenia oczy. Jej ciało łaknęło snu i pielęgnacji. Intuicja podpowiadała mu jednak, że to ona, i Paul poczuł się raźniej. Bezpośrednie spojrzenie niezasnute mgiełką okrucieństwa i egoizmu, emanująca z niej kruchość, wreszcie malująca się na twarzy nieśmiała i szlachetna szczerość potwierdzały jego wcześniejsze wyobrażenia o nieznanym. Pomimo rewolweru i tego, co Juliette miała zamiar z nim uczynić, wszelka myśl o niebezpieczeństwie uleciała.

- Dlaczego nas szukacie? - zapytała znienacka nienaturalnym tonem.

Paul postanowił niczego nie ukrywać. Na tym etapie byłoby to bezcelowe. Dziewczyna nie oczekiwała informacji, jako że zapewne wszystko wiedziała, lecz pyta go o sens. Zdał sobie sprawę, że zarówno przedmiot tej rozmowy, jak i jej wynik zależą od głębi i stopnia szczerości, na jakie się zdobędą.

- By uniemożliwić wam popełnienie straszliwego czynu.
- Przyplływ humanitarnych uczuć, tak?

Paul spuścił wzrok. Od początku śledztwa działał mechanicznie, goniąc zającą, który wpadł w oko Archiemu. Jednak w miarę jak odkrywały się przed nim kolejne odsłony historii, coraz częściej zadawał sobie pytanie o własną, rzeczywistą motywację. Z nikim nie podzielił się wątpliwościami. W tej chwili Juliette dotknęła samego sedna, tak więc z ulgą, choć nie bez zażenowania, postanowił wyjawić jej swoje przemyślenia.

- Jestem lekarzem.
- Lekarzem czy tajnym agentem?
- I jednym, i drugim. Poproszono mnie o poprowadzenie śledztwa, ponieważ zaczynało się w laboratorium.

Juliette zamrugała. Nawiedziło ją przelotne wspomnienie Wrocławia. Wydało jej się ono bardzo odległe.

- Lekarze chronią życie. Do tego pan zmierza, tak?
- Tak.
- I uważa pan, że każdy zasługuje na to, by żyć.
- W każdym razie nie jest naszą rzeczą decydować o cudzym życiu.
- A co powiedziałby pan komuś, kto chce popełnić samobójstwo?

- Że popełnia błąd.
- Więc to jednak pan decyduje.

Paul przypomniał sobie swój pierwszy staż na oddziale psychiatrycznym. Zetknął się tam z pacjentem, który cierpiał na poważne zaburzenia maniakalno-depresyjne i znajdował się akurat w fazie melancholijnej. Paul odbył z nim długą rozmowę, w trakcie której mężczyzna ze spokojem przedstawił mu racjonalne, i o ile nie przekonujące, to z całą pewnością mocne argumenty przemawiające za tym, że powinien umrzeć. Tego samego popołudnia pacjent rozpoczął kurację antydepresyjną i po piętnastu dniach dziękował lekarzom, że go uratowali.

Opowiedział dziewczynie tę historię. Przez chwilę milczała. On również na chwilę zapomniał o broni, o okolicznościach ich spotkania, a nawet o hałasie samochodów w dzielnicy Copacabana. Oboje zatopili się we własnych przekonaniach i wątpliwościach. Tylko tam mogli szukać wybawienia.

- A jeśli nie ma nadziei na wyzdrowienie pacjenta? - zapytała. - Jeśli przez pana ponownie pogrąży się w nędzy, rozpacz, przemocy i szturach? Jeśli jego chorobą nie jest życie, lecz brak szans na normalną egzystencję?

- Nic nie usprawiedliwia zabijania.

Paul powiedział to zbyt szybko. Słyszając własne słowa, poczuł ich absurdalność. Juliette odwróciła na chwilę wzrok, jak gdyby chcąc oszczędzić mu upokorzenia. Potem, prawie szeptem, wysunęła prosty argument, którego mógł się spodziewać.

- Nie zabijałby pan nazistów? Nie zabiłby pan w obronie czegoś, co jest najbliższe pana sercu?

- Nie zabiłbym dla poglądów, dla abstrakcji.

- Zdewastowana planeta to abstrakcja? Biedne przedmieścia, wykarczowane lasy, wojny między biednymi ludami, których ofiarami są głównie dzieci? Czy ci ludzie mogą, według pana, oczekiwać czegokolwiek innego niż powolna, okrutna śmierć i cierpienie, a wraz z nimi zniszczenie resztek życia na ziemi?

- Wydaje mi się, że nie takie są poglądy Harrowa i że kryje się za nimi coś więcej.

- Co pan ma na myśli?

- Harrow stawia człowieka na równi z innymi zwierzętami. Z tą różnicą, że człowiek jest według niego o wiele bardziej niebezpieczny i krwiożerczy. On i jego ludzie uważają, że rozwiązaniem jest akcja w terenie, że powinni stać się drapieżcami, którzy wyeliminują gatunek ludzki jako zbyt liczny i szkodliwy.

- I pan się z tym nie zgadza?

- W żadnym wypadku. Uważam, że to nie zwierzęce oblicze człowieka go uratuje, lecz ludzkie. Jego samoświadomość oraz świadomość środowiska, w jakim żyje, poczucie solidarności i sprawiedliwości, oraz miłość. - Widząc zaskoczenie Juliette, Paul nabral pewności, że użył dobrego argumentu. Mówił dalej: - Pani chce zaradzić cierpieniu ludzkości, a Harrow widzi jedynie abstrakcyjne korzyści planety. Co do jego współpracowników, to przede wszystkim dbają o bardzo namacalne wartości: swój majątek.

- O czym pan w ogóle mówi?

Naraz wszystko stało się jasne. Juliette nie знаła prawdziwego przebiegu operacji. Nie była współniczką Harrowa, lecz narzędziem w jego rękach. Czuła to w głębi duszy.

Paul opowiedział jej o seminarium w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku, o roli McLeoda i Rogulskiego, spotkaniu z Harrowem, a na samym końcu wyjawiał jej plan związany z cholera.

Cdy skończył, Juliette drżała. Dwie łzy spływały po jej niewzruszonej twarzy.

Powolnym ruchem Paul pochylił się i wstał. Nie odrywając od niej wzroku, zbliżył się i wyjął rewolwer z jej dłoni. Pozwoliła mu pozbawić się broni bez sprzeciwu, niczym zawodnik, który przekazuje pałeczkę kapitanowi drużyny, gotowemu kontynuować wyścig. Paul rzucił rewolwer na łóżko. Stał teraz tuż przy dziewczynie i czuł, jak jej głowa powoli opada na jego pierś. Objął ją ramieniem, podczas gdy nieme łzy przekształcały się w bolesny, dławiący szloch, który był jednocześnie wyrazem cierpienia i ulgi. Gładził jej włosy jakby była dzieckiem, które trzeba utulić i pocieszyć. Ona zaś uczepliła się jego ciała jak topielec, który ma wrażenie, że nadal opada na dno, chociaż nadeszła już pomoc. Paul nie czuł pożądania. Wezbrała w nim ogromna czułość dla istoty,

która tak ufnie dzieliła się z nim siłą rozczarowania, nieszczęścia, ale i odnalezionej nadziei.

Czuł jak bardzo była wychudzona i drżąca. Czy to szczęście, czy może gwałtownie opadające, nieznośne napięcie przyspieszyło jej oddech? Począł, aż dziewczyna uspokoi się i gdy miał pewność, że panuje nad emocjami, pozbywszy się jarzma, którego nie była w stanie dłużej dźwigać, posadził ją na brzegu łóżka. Nie wypuszczając jej dłoni ze swoich rąk, sam usiadł tuż obok.

Nagle, z przerażoną miną osoby, która budzi się w środku koszmaru, Juliette skoczyła na równe nogi. Ze wszystkich sił ścisnęła dłoń Paula.

- Szybko! - krzyknęła, jak gdyby naraz zdała sobie sprawę z wielkiego niebezpieczeństwa. - Musi się pan śpieszyć. Wkrótce zaczynają, może nawet dziś.

Wypowiedziawszy ostatnie zdanie, osunęła się z powrotem na łóżko niczym wycieńczona gimnastyczka, która nie ma siły utrzymać się w zbyt trudnej pozycji akrobatycznej. Umilkła i zamyśliła się.

- Mówi pani o Harrowie? - spytał Paul łagodnym głosem.

Spojrzała na niego roztargnionym wzrokiem, jakby zapomniała, że wiedział o jego istnieniu.

- Harrowie? Tak, o nim.

- Gdzie jest w tej chwili?

- W pensjonacie w Laranjeiras na wzgórzu Botafogo.

Paul poczuł, że ogarnia go podniecenie. Opatrzność pozwoliła mu niespodziewanie powrócić na trop człowieka, którego szukał i tak bardzo bał się, że nie zdąży go odnaleźć na czas.

- Wobec tego chodźmy! - krzyknął i chwycił za broń leżącą na łóżku.

Zrobiła ręką nieczytelny gest, jakby chciała opisać coś dużego.

- Niemożliwe! Jego ludzie są wszędzie. Jest ich bardzo wielu. Nawet policja jest po stronie Harrowa. Żołnierze, tłumy odwie dzające go w hotelu, ci wszyscy ludzie, którzy z różnych stron świata przysyłają mu maile...

Odchyliła się nieco i utkwiała wzrok w mężczyźnie. Dopiero teraz dotarło do niej, z kim ma do czynienia.

- Pan nie może stąd wyjść. W holu są agenci. Podслуchują pana rozmowy telefoniczne. Mają zamiar pozbyć się pana jak najszybciej.

- Jak pani tu weszła?

- Dzięki Joaquimowi - uśmiechnęła się delikatnie, wymawiając imię kaleki.

Wnet uświadomiła sobie, że nie znał Joaquim. Opowiedziała mu o nim szybko.

- W środowisku hotelarskim wszyscy się znają. Porozmawiał z jedną pokojówką i ta zgodziła się, bym zastąpiła ją dzisiejszego ranka.

Paul zbierał myśli. Przyjrzał się rewolwerowi. Był to stary model Taurusa, do tego naoliwiony jak stara lokomotywa. Otworzył bębenek i przekręcił go. Broń nie była załadowana.

- To Joaquim zdobył go dla mnie.

- Dlaczego wyjął kule?

- Ja je wyjęłam.

Juliette spojrzała na Paula i po raz pierwszy zobaczył, jak się do niego uśmiecha.

- Ma je pani?

Sięgnęła do kieszeni fartucha i rzuciła na łóżko kilka miedzianych pocisków. Mężczyzna odwzajemnił jej uśmiech i z wprawą umieścił kule na miejscu. Bębenek zaskoczył z suchym trzaskiem. Gest Juliette sprawił, że zawiązała się między nimi cicha nieporozumienia. Walczyli po tej samej stronie i gotowi byli działać, nie zważając na ryzyko. To porozumienie dało im także poczucie siły w walce ze wspólnym wrogiem. Paradoksalnie jednak wraz z siłą Paula rosło jego niezdecydowanie. Mógł działać, ale pytanie brzmiało jak? Nagle ołśniło go i gwałtownie zwrócił się do Juliette:

- Powiedziała pani, że słuchają naszych rozmów telefonicznych?

- Tak twierdzi Joaquim.

Paul myślał o Kerry, która dzwoniła do koleżanki z hotelu.

Wstał i podszedł do okna. Przed hotelem stało kilka taksówek. Nieco na uboczu zaparkowany był samochód. Kierowca opierał się o maskę wozu i w dłoni trzymał krótkofalówkę. Paul miał

wrażenie, że był to samochód, którym przyjechali z lotniska. Zastanawiał się, czy również tym autem Kerry odjechała rano spod hotelu. Przypominał sobie, że zanotowała na kawałku papieru adres i numer telefonu koleżanki. Nie znalazł go jednak ani na biurku, ani na stoliku nocnym. Zabrała go ze sobą.

Juliette w tym czasie rozmyślała o planie Harrowa. Przypomniała Paulowi, że mieli jeszcze jeden problem, którego rozwiązanie było równie ważne.

- Nie wiem, czy Harrow rozpocznie operację beze mnie. Szuka mnie wszędzie. Jeśli jednak mnie nie odnajdą, to i tak sobie po radzą. Zbyt daleko posunęli się w przygotowaniach, by zwlekać w nieskończoność.

Balansując pomiędzy niepokojem o Kerry, która znajdowała się na prostej drodze do paszczy lwa, a silnym poczuciem odpowiedzialności za katastrofę szykowaną przez Harrowa, Paul poczuł zawrót głowy. Tak bardzo pragnął działać, a czuł się totalnie sparalizowany. Juliette przeczuwając, co dzieje się w jego duszy, nakłoniła go do ważniejszej, z jej punktu widzenia, sprawy.

- Skoro nie jestem już sama, być może będę w stanie ich zatrzymać...

- W jaki sposób?

Juliette przymknęła oczy, starając się sformułować pomysł, który wyklął się w jej umyśle, zanim zdołała ubrać go w słowa.

- Wracając tam.

- Gdzie?

- Do Harrowa.

Wstała i zrobiła kilka kroków, wymachując rękami. Potem odrzuciła do tyłu włosy i z błyszczącymi oczyma przedstawiła swój plan.

- Wrócę i wytłumaczę moje zniknięcie kryzysem egzystencjalnym. Spacerowałam po mieście, zbulwersowała mnie nędza, w pełni zgadzam się z ich poglądami. Innymi słowy, powiem im to, co chcą usłyszeć. Rozpoczniemy akcję. W ten sposób będę wiedziała, kiedy to dokładnie nastąpi. I dam panu znać.

- Jak?

- Przez Joaquina - odparła, gestem powstrzymując go od protestu. - Dzięki temu zyska pan na czasie i powiadomi pan agencję.

- Agencję! - jęknął Paul.

Rzecz jasna nie zdążył jej powiedzieć, że złamał zakaz Providence i że Barney ukradkiem udzielał mu wsparcia. Przypomniawszy sobie przy okazji, że od czasu ich przyjazdu do Rio nie powiadomił go nawet, gdzie zatrzymali się z Kerry. Już miał wyjawić Juliette tę deprymującą prawdę, lecz wyraz jej twarzy momentalnie pomógł mu zmienić zdanie. Jej oczy błyszczały, cała emanowała zdecydowaniem i odwagą. Paul zawstydzony własnym zwątpieniem. W końcu miał w dłoni wszystkie karty. McLeod nie przewidział, że Paul, wysłany na śmierć do Brazylii, stanie się ziarnkiem piasku gładko przeslizgującym się przez tryby złożonego mechanizmu. Paul dysponował odpowiednią bronią do stoczenia tej walki. Nie pogrzebał też całkowicie nadziei, że Archie zmieni zdanie.

- Zgoda - powiedział. - Cóż lepszego możemy uczynić.

Wyrzekł te słowa tonem, w którym mimowolnie przemycił ziarno niepewności i Juliette bez trudu to wychwyciła. Nie było gwarancji sukcesu. Innymi słowy, zdecydowała się na wielce ryzykowną akcję, którą mogła przypłacić życiem. Mimo tej świadomości zdecydowana była działać. Po raz pierwszy uśmiechała się, rozluźniając mięśnie twarzy, zmieniając dekorację na scenie teatru, przesuując nieznacznie pierwszy plan w tył, ukazując tło i głębszą perspektywę, której widzieć wcale się nie spodziewał. Gdyby Paul mógł przez chwilę zastanowić się nad tym zjawiskiem, rzekłby zapewne, że na jej twarzy odmalowała się pokora. Słowo pokora* wywodzi się od *humus*, a tym samym implikuje bliskość z ziemią i współczucie dla żyjących na niej istot. W odpowiedzi na tę niedopowiedzianą myśl, w pamięci Paula odbiło się echem zdanie zacytowane przez McLeoda:

„Człowiek pokorny nie lęka się dzikich bestii”. Było to pierwsze zdanie fragmentu przywołanego przez starego miliardera. Paul pamiętał, że dalej była mowa o zapachu Adama. Nie potrafił jednak

Pokora, po francusku *humilité*, etymologicznie pochodzi od łacińskiego *humus*.

przypomnieć sobie środkowych wersów. „Człowiek pokorny nie lęka się dzikich bestii”, powtórzył, patrząc na dziewczynę, która z własnej i nieprzymuszonej woli gotowa była wrócić do Harrowa i jego zbirów. Podziwiał ją.

- Niech tak będzie - powiedział na głos.

Wzięła go za rękę. Paul wstał, otoczył ją ramieniem i mocno przytulił. Przez cienką tkaninę koszulki poczuł jej przyciśnięte piersi. Zalała go fala pożądania, której ze względu na swój strój i bliskość ciał nie mógł ukryć. Nie nalegał jednak, by uścisk trwał dłużej. Zdawało się, że Juliette napełnia się jego męską, promieniującą w jej kierunku siłą, że karmi nią swoją odwagę. Wyswobodziła się z jego objęć i podeszła do drzwi.

- By wyjść z hotelu, musi pan zejść klatką schodową dla personelu. Narysowałam panu mapkę. Gdy będzie pan na zewnątrz, proszę kupić telefon komórkowy i zadzwonić do Joaquina, żeby mu powiedzieć, gdzie pan jest. Zapisałam jego numer z brzegu mapki.

Podążyła Paulowi złożoną kartkę papieru. Schował ją natychmiast do kieszeni szortów.

- Ktoś się z panem skontaktuje, jak tylko będę wiedziała, kiedy rozpoczynamy operację.

Posłała mu ostatni uśmiech, trochę automatycznie, jak gdyby myślami była już gdzie indziej. Potem zniknęła na końcu korytarza.

Paul stał przez chwilę bez ruchu, wzruszony, zamyślony, skonsternowany tym nagłym pojawieniem się i równie nagłym zniknięciem.

IX

Rio de Janeiro, Brazylia

Nie ma nic prostszego niż wystrychnąć na dudka glinę. Juliette na tyle dobrze orientowała się już w zagmatwanych uliczkach faweli, że dotarłaby do pensjonatu niepostrzeżenie. Niemniej jednak, chcąc uczynić swój nagły powrót bardziej wiarygodnym, postanowiła dać się złapać. Wynajęła pokój w przypadkowo wybranym hotelu w dzielnicy Botafogo. Po błysku w oku recepcjonisty - gdy podawała swoje prawdziwe nazwisko - zorientowała się, że informacja o poszukiwaniu zaginionej przez policję już tu dotarła. Recepcjonista na chwilę oddalił się, by dyskretnie wykonać telefon. Piętnaście minut później, gdy wyciągnięta leżała na skrzypiącym łóżku w pokoju numer 6, drzwi otworzyły się z hukiem i ujrzała małego okrągłego człowieczka na czele oddziału policjantów. Miał czarne kędzierzawe włosy i pistolet w dłoni. Juliette, nie stawiając oporu, pozwoliła się wyprowadzić z hotelu. Udała, że jest przestraszona i zdziwiona. Kazali jej wsiąść do zakratowanej furgonetki, śmierdzącej mieszaniną smaru i potu, i na wyjących syrenach zawieźli ją do betonowego budynku położonego niedaleko zatoki. Na korytarzu pod ścianą siedziały zakute w kajdanki prostytutki oraz kilku wyrostków o nieobecnym spojrzeniu. Poprowadzili ją na piętro, gdzie na końcu krętego korytarza znajdowały się drzwi z tabliczką „Divisão criminal”. Mały człowieczek zapukał. Drzwi natychmiast otworzyły się i w obszernym pomieszczeniu o nagich ścianach, w którym nie było nic poza stołem zawałonym papierami i kilkoma rozstawionymi w nieładzie krzesłami z metalu, Juliette zobaczyła trzech mężczyzn. Jeden z nich był najwyraźniej oficerem policji. Obok stali Harrow i Zé-Paulo.

Maglowali ją ponad godzinę. Chociaż Harrow nie zadał jej ani jednego pytania, nie przestawał mierzyć ją swym błękitnym spojrzeniem, w którym malowała się czysta nienawiść.

Juliette ściśle trzymała się swojej wersji. Przestraszyła się. Ogarnięta niewytłumaczalną paniką ruszyła prosto przed siebie. Być może to stres związany ze zbliżającym się wielkim dniem, wycieńczenie oczekiwaniem, miłosne rozterki (tu ukradkiem spojrziała na Harrowa). Policjanci kontrolujący ulicę zagadali się i nie zauważyli, gdy przechodziła obok. Noc przespała skulona na ziemi, na progu jakiegoś domu. Pojedynczy przechodnie myśleli zapewne, że jest żebraczką. Nie, z nikim nie rozmawiała. Nie, nikt nie odezwał się do niej ani słowem. Uciekła bez konkretnego planu. Hotel w Botafogo wybrała przypadkiem, była tak bardzo zmęczona. Tak, cieszy się, że ją odnaleźli. Ma nadzieję, że nadal jej ufają. Bardziej niż kiedykolwiek odczuwa potrzebę działania i niecierpliwi się, nie może dłużej czekać. Chce, by zaczęli jak najprędzej.

Oficer zawałał policjantów, którzy trzymali straż przed drzwiami. Kazał im pilnować dziewczyny, podczas gdy sam przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Podążył za nim Zé-Paulo, śmieszny w swej dumnej postawie prokuratora żądającego kary śmierci, oraz nieprzenikniony Harrow.

Pojawili się po kilku minutach. Zé-Paulo był zirytowany i miał skwaszoną minę. Najwyraźniej nie przekonał rozmówców. Tym razem przemówił Harrow. Przynalął krzesło, usiadł obok Juliette i spuszczać głowę, łagodnie ujął jej dłoń.

- Już dobrze - powiedział. - Zabiorę cię do hotelu. Nie będziesz musiała dłużej czekać. Jeszcze dziś wieczorem rozpoczniemy operację. Gdy tylko się ściemni.

Po rozstaniu z Juliette przez następne pół godziny Paul pilnie starał się uzmysłwić swoją obecność strażnikom - taksówkarzom stojącym przed hotelem i nieudolnie ukrywającym krótkofalówki. Zadzwoił do recepcji i poprosił o przyniesienie mu do pokoju

butelki coca-coli. Przez dłuższą chwilę marudził oparty o parapet okienny w dobrze widocznym z dołu miejscu. Z aparatu znajdującego się w pokoju wykonał kilka telefonów: do dentysty, do notariusza, a nawet do kabalarki. Za każdym razem cierpliwie wyluszczał rozmówcom, że właśnie przybył do Rio i że kiepsko mówi po portugalsku, że dziś odpoczywa, lecz od jutra gotów jest umówić się na spotkanie. Informacje krążyły zapewne szybkimi i sumiennymi zarazem kanałami mechanizmu śledczego. Podczas gdy zastęp jego aniołów stróżów zajęty będzie rozpracowywaniem świeżo dostarczonych danych, on będzie mógł swobodnie działać.

Juliette powiedziała, że nikt nie pilnował go na piętrze. Po wyjściu z pokoju, jakby nigdy nic, poszedł korytarzem w kierunku wind. Zatrzymał się na wysokości drzwi z napisem „Personel”. Za radą Juliette, z mebla stojącego nieopodal zabrał bukiet kwiatów. Przykazała mu również, by wędrując po meandrach przybytku takiego jak hotel Oceania, starał się wyglądać na zaaferowanego. Skryty za olbrzymim naręczem kwiatów Paul wyglądał przekonująco, zwłaszcza że trzewia hotelu wrzały od niewidocznego dla klientów mrowia pokojówek, dostawców, pracowników obsługi, którzy nieustannie biegali po słabo oświetlonych i obskurnych schodach. Za drzwiami prowadzącymi do świata personelu wypłowiwały aksamit z korytarzy przeznaczonych dla gości ustępował przypadkowym dekoracjom w postaci gaśnic, wózków sprzątaczek i kubeków farby.

Dzięki temu, że Paul postąpił zgodnie z zaleceniami Juliette, nikt nie zaczepił go po drodze i bez problemu dotarł do wahadłowych drzwi prowadzących do hotelowego śmietnika. Stamtąd prowadziła uliczka do handlowej alei Copacabany, biegnąca na tyłach bloków graniczących z plażą. Paul złapał taksówkę i kazał się zawieźć do centrum. Na ulicy Rio Branco kupił telefon komórkowy na kartę. Przysiadł na ławce i zadzwonił do Providence, do Barneya.

Telefon odebrał Tycen. Gdy tylko usłyszał głos Paula, ryknął do słuchawki:

- Wszędzie was szukamy! Dlaczego nie odezwaliście się zaraz po przyjeździe do Brazylia?

Paul streścił mu wydarzenia.

- Zarówno Barney, jak i Archie przeczuwali, że to pułapka.
- Archie! To on wie, że tu jesteśmy?

W tym momencie Tycen zdał sobie sprawę, że Paul nie wiedział, jak potoczyły się sprawy w agencji, więc czym prędzej opowiedział mu o niespodziewanym wtargnięciu Lawrence'a i o rozmowie Barneya z Archie.

- Gdzie znajdują się w tej chwili?
- W drodze do Rio.
- Obaj?
- Tak.
- O której lądują?

Tycen postukał w klawiaturę.

- O jedenastej trzydzieści czasu miejscowego. Przylatują na lotnisko Galião.

Paul zerknął na zegarek. Była za dziesięć jedenasta.

- Jadę po nich - powiedział.

Schował telefon i wskoczył do taksówki.

Kerry przedzierała się przez Rio w godzinie szczytu. Rano, gdy czuje się jeszcze rześkość nocy, mieszkańcy przedmieść tłoczą się na drogach dojazdowych do centrum. Gabinet lekarski koleżanki Kerry znajdował się po drugiej stronie mostu Niteroi, w dzielnicy willowej. Popękane chodniki ukazywały napojone deszczem i odżywione słońcem korzenie drzew. Za żelaznymi ogrodzeniami w ogrodach rosły mangowce i drzewa cytrynowe. Gdy Kerry po raz dziesiąty nacisnęła dzwonek, w drzwiach pojawiła się czarna pracownica ubrana w drelichowy fartuch, mgliście kojarzący się z lekarskim kitem. Przez furtkę oznajmiła, że „doktor” nie przyjmuje w czwartki. Nie pojawi się. Nie, nie zna numeru telefonu komórkowego. Na pytania Kerry odpowiadała lakonicznie, mierząc ją podejrziwym i lekko pogardliwym spojrzeniem. Najwyraźniej uważała, że głębokie szaleństwo pacjentów paradujących po korytarzach ośrodka nie polegało na zaburzeniach psychicznych,

na które przychodzili się skarżyć, lecz na ich absolutnej gotowości wydania fortuny w zamian za szansę bycia wysłuchanym. Przeczesując swój wyczerpujący się zapas argumentów, Kerry zdołała w końcu wydobyć z siebie coś dostatecznie rozsądnego, by pracownica raczyła jej odpowiedzieć. Zapytała mianowicie, czy Deborah („doktor”) nadal przyjmuje w szpitalu. Udzielenie takiej informacji nie było dla starej pracownicy ryzykowne, wręcz przeciwnie, podkreślało tylko szacunek, jakim darzyła szefową. Oparła, że istotnie, „doktor” przyjmuje w szpitalu Niepokalanego Poczęcia w Gracas. Nie była w stanie powiedzieć, kiedy ani na jakim oddziale, lecz przynajmniej Kerry miała się czego uchwycić.

Taksówka czekała na nią na ulicy. Kerry zapytała kierowcę, czy zna szpital. Odpowiedział, że nie, ale wystarczy, że pojedą do dzielnicy Gracas, zapytają o drogę i znajdą szpital bez trudu.

Powrót na drugi koniec zatoki zajął im dobrą godzinę z powodu korków. Kerry miała wrażenie, że czas płynie za wolno i jednocześnie za szybko. Za wolno, zważywszy na jej niecierpliwość; wiedziała, że wraz z Paulem ruszyli do walki z upływającym czasem, że katastrofa mogła wydarzyć się w każdej chwili. Za szybko zaś, ponieważ ostatnia faza misji, stres i niecierpliwość, a wraz z nimi niepokój, wprawiły młodą kobietę w trans, którego dawno nie przeżywała i którego być może już nigdy więcej nie zazna. Była niczym podróżnik spędzający ostatnie godziny w kraju, w którym czuje się wyjątkowo dobrze, lecz który musi opuścić następnego dnia.

W Gracas kierowca zaparkował taksówkę przed niewielkim barem, gdzie przy wystawionych na zewnątrz stolikach niedbale siedziały zakochane pary studentów. Taksówkarz poszedł zapytać o drogę do szpitala Niepokalanego Poczęcia. Kerry oparła głowę o szybę i przymknęła oczy. Ogarnęła ją senność wywołana częstym zmienianiem strefy czasowej, bezsennymi nocami i napięciem towarzyszącym jej w ciągu ostatnich dni.

Zmęczenie wzmagało jej niecierpliwość i wrażliwość na pejzaże, kolory i nastroje, zmniejszając jednocześnie czujność. Podobnie jak Paul nie zwróciła uwagi na to, że samochód, który podjechał, gdy wychodziła z hotelu, nie stał w szeregu taksówek. Nie zaniepokoiła jej też długa nieobecność kierowcy. Skąd mogła wiedzieć,

że ukryty za rogiem przy pomocy krótkofalówki zdawał relację swym nieznanym zleceniodawcom.

Wrócił do wozu i wyjaśnił, że udało mu się zdobyć adres szpitala. Kerry uznała, że sumiennie wykonał powierzone mu zadanie.

Minęło dużo czasu, zanim dotarli do celu. Nieznająca miasta Kerry przypuszczała, że winić należy skomplikowany system wąskich uliczek, po których nieprzerwanie poruszają się sznury samochodów. Zatrzymali się w końcu przed nieoznakowanym budynkiem z cegły. Jedynym szczegółem pozwalającym odgadnąć przeznaczenie budynku była długa kolejka biedaków oczekujących na darmową pomoc medyczną. Kerry minęła kolejkę i po trudnej przeprawie z cerberem pilnującym wejścia znalazła się wreszcie w środku. W holu było cicho i pusto. Pomimo zapachu eteru, jakim przeżarte były mury, miejsce kojarzyło się Kerry raczej z klasztorem niż szpitalem. Cudem znalazła osobę mówiącą po angielsku. Była nią potężnych rozmiarów siostra w białym fartuchu i plisowanym czepku, który świadczył o jej przynależności do zakonu, a zarazem był atrybutem pielęgniarki. Siostra zmierzyła Kerry karcącym wzrokiem, zatrzymując spojrzenie zwłaszcza na jej rozczochranych włosach.

Pouczyła ją, że oddział psychologii znajduje się na trzecim piętrze. Kerry wspięła się po schodach pokrytych linoleum. Na klatce schodowej nie było żywej duszy. Długi korytarz z rzędem identycznych i nieopisanych drzwi ciągnął się przez całe piętro. W głębi Kerry dostrzegła okno na wpół przykryte olbrzymią palmą w donicy. Istniały dwie możliwości: czekać, aż ktoś się pojawi albo otworzyć któreś drzwi, ryzykując, że przeszkodzi w badaniu lekarskim. Spojrzała na zegarek: było już wpół do trzeciej. Nie miała czasu do stracenia. Popchnęła pierwsze drzwi i znalazła się w pustym pomieszczeniu. Na środku stał stół z dwoma krzesłami. Otworzyła kolejne drzwi, potem trzecie i dopiero przy czwartym podejściu trafiła na lekarza słuchającego skarg bardzo starego mężczyzny. Pacjent nie zdał sobie sprawy z wtargnięcia intruza i nie przestawał mówić. Lekarz bynajmniej nie okazał niezadowolenia z tej nagej przerwy w obowiązkach. Wstał, podszedł do Kerry, po czym wyprowadził ją na korytarz.

- Proszę mi wybaczyć, szukam pańskiej koleżanki. Chodzi o bardzo pilną sprawę.

Mężczyzna zapytał o nazwisko poszukiwanego lekarza i zamyślił się na moment.

- Ona nie jest lekarzem - wyjaśnił trochę lekceważącym tonem.
- Deborah jest zwykłym psychologiem. O ile się nie mylę, bywa tu w środy rano.

Był czwartek.

- Wie pan, gdzie mogłabym ją znaleźć?

- Proszę dać mi chwilę.

Zniknął w swoim gabinecie, a po chwili pojawił się, kartkując książkę telefoniczną.

- Proszę bardzo - oświadczył z dumą.

Wręczył Kerry kartkę, by sama odczytała adres. Był to ten sam adres, pod który udała się rano. Miała również ten sam numer telefonu.

- Nie zna pan jej domowego adresu?

- Niestety, nie znam pani koleżanki osobiście. To wszystko, co mogę zrobić.

- Czy ktoś oprócz pana jest dziś obecny na oddziale? - Kerry wskazała na pozostałe drzwi.

- Obawiam się, że nikt nie będzie w stanie pani pomóc. Każdy z lekarzy ma tu swoją praktykę i nie utrzymujemy między sobą kontaktów towarzyskich.

Kerry podziękowała mu i zeszła do holu. Ileszcze jeden bezwzględny trop. Czowała jak zniechęcenie wkrada się do jej serca.

Na parterze nie natknęła się już na siostrę zakonną pielęgniarkę. Za to po holu kręcił się mężczyzna z telefonem przy uchu. Był to ciemnoskóry Brazylijczyk w eleganckim białym garniturze i modnej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem.

- Szanowna pani potrzebuje pomocy? - zagadnął, chowając telefon do kieszeni.

Kerry nie zrozumiała pytania, gdyż nieznajomy odezwał się po portugalsku. Ilego trochę sztuczna galanteria pozwoliła jej zorientować się, że pytanie jest szczere, lecz zabarwione uwodzicielską nutą. Ale czy mogła w takiej sytuacji odmówić sobie czyjejkolwiek pomocy?

- Szukam psychologa, który pracuje tu w środy - odpowiedziała po angielsku.

- Jak się nazywa?

Nieznajomy nauczył się angielskiego zapewne na Florydzie albo w Teksasie. Mówił z syczącym akcentem Cariocas.

- Deborah! - wykrzyknął gdy Kerry okazała mu imię koleżanki. - Ależ to moja dobra przyjaciółka!

Widząc zaskoczenie i podejrzliwość malującą się na twarzy Kerry, pośpieszył z wyjaśnieniami, że również pracuje w przychodni, choć nie na tym samym oddziale.

- Jestem neurologiem. Poznałem Deborah na uniwersytecie, gdzie przez kilka lat pracowaliśmy razem. Proszę pozwolić, że się przedstawię: nazywam się Mauro Mota.

- Zna pan... jej adres?

- Oczywiście! Nie dalej jak w zeszłym tygodniu byliśmy razem na kolacji.

Spotkanie to było zrzędzeniem losu i Kerry, mimo że pamiętała o zasadzie czujności, nie mogła pozwolić sobie na luksus żądania od nieznajomego dowodów i gwarancji.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie Deborah mieszka? Muszę się z nią bardzo pilnie zobaczyć.

- Rozumiem. Ale najpierw do niej zadzwońmy. Wątpię, by o tej porze była w domu.

Wystukał numer. Po krótkiej serii pytań i odpowiedzi po portugalsku zakończył rozmowę.

- Deborah będzie u siebie około piątej.

- Gdzie mieszka?

- Jest pani samochodem?

- Taksówką. Czeka na mnie przed szpitalem.

Lekarz wyduł wargi.

- Taksówkarz nigdy tam nie trafi. Deborah mieszka w willi na wzgórzu Corcovado, swoją drogą to przepiękne miejsce, jednak ulice pozbawione są tam nazw. Trzeba po prostu wiedzieć, jak dojechać.

Zerknął na zegarek.

- Dochodzi trzecia. Mieszkam niedaleko stamtąd. Skończyłem na dziś i jeśli pani zechce, mogę ją podrzucić.

Co miała do stracenia? Facet był typowym macho podrywaczem. Nie pierwszym, z jakim miała do czynienia, przy tym nie wydawał się groźny.

- To miłe z pana strony. Jeśli naprawdę nie sprawi to panu kłopotu, z chęcią się zgodzę.

Wyszli z budynku szpitalnego. Gdy Kerry zbliżyła się do taksówki, Mauro Mota uprzedził ją i wręczył kierowcy banknot, po czym odprawił go chłodno.

- Mój samochód stoi nieco niżej.

Zaszli do garażu położonego pomiędzy dwoma blokami. Strażnik pobiegł pędem po czarnego lexusa i podjechał, zatrzymując się tuż przed właścicielem.

- Mamy godzinę czasu. Czy mogę zaprosić panią na drinka?

Propozycja playboya bynajmniej nie zaskoczyła Kerry. Pasowała do tego gatunku mężczyzn i Kerry nie widziała powodów, dla których miałyby odmówić. Zawiózł ją nad jezioro, nad którym góruje Chrystus Odkupiciel. Weszli do modnej kawiarni o minimalistycznym wnętrzu luźno nawiązującym do nowojorskiego designu. Młodzi kelnerzy ubrani byli w czarne koszule.

- Przepraszam pana - rzekła Kerry, siadając przy stoliku. - Mój przyjaciel został sam w hotelu, chciałabym do niego zadzwonić i zapytać, czy nie miałby ochoty do nas dołączyć.

Bawiła ją myśl o reakcji tego nad wyraz wytwornego mężczyzny. Zachował się nienagannie i podał jej własny telefon, nie okazując przy tym cienia złości. Kerry zadzwoniła do hotelu, ale Paula nie było w ich pokoju.

- Nie ma go - oznajmiła. - Trudno, odwiedzę Deborah sama.

O dziwo, wydało jej się, że ta informacja zdziwiła lekarza bardziej niż sama wiadomość o istnieniu Paula. Szybko jednak doszedł do siebie i podjął rozmowę naturalnym tonem. Zamówili koktajle owocowe, wymienili kilka banalnych uwag. Kerry wyjaśniła mu, że przybyła do Brazylii w celach turystycznych, udała żywe zainteresowanie kilkoma mało istotnymi nowinkami na temat Rio i jego zabytków, spektakli, karnawału.

Po kwadransie Mauro Mota przeprosił ją i udał się na tyły kawiarni. Czekając na niego, Kerry rozmyślała, o co zapyta koleżankę. Bardzo jej zależało na jej odnalezieniu. Będąc o krok od

celu, uświadomiła sobie, że czeka ją najtrudniejsza część zadania. W jaki sposób Deborah może im pomóc? Plan był taki: należy odszukać Oswalda Leite stanowiącego kluczową postać operacji w Brazylii. Deborah pochodziła z dużej rodziny, której liczni członkowie działali w środowisku polityki i finansów. Przypuśćmy, że uda się jej, Kerry, dotrzeć do niego z pomocą koleżanki. Jak go jednak zastraszyć albo chociaż wpłynąć na niego?

W czasie gdy Kerry siedziała pogrążona w zadumie, Mota rozmawiał przez telefon w drugiej sali.

- Wiedzieliście, że wyszedł?

- Właśnie to odkryliśmy - odezwał się głos w słuchawce. - Nasi chłopcy niczego nie zauważyli, bo wydostał się tylnym wyjściem. Ale bierzemy to na siebie. Uprzedziłem wszystkich, więc nie uciekną daleko.

- Co mam robić?

Chwila ciszy.

- Coś wymyślimy, jak facet się znajdzie. Na razie kontynuuj zgodnie z planem, nawet jeśli ma tylko jej dotyczyć.

Rio de Janeiro, Brazylia

- Jak się pani czuje?

Oddech Zé-Paulo trącił miętą. Ktoś najwyraźniej zwrócił mu uwagę na nieprzyjemny zapach z ust, a on pomyślał, że załatwi sprawę, dodając do swego naturalnego smrodu mdlącą woń cukierków. Juliette z obrzydzeniem odwróciła głowę.

- Czuję się dobrze.

Była to prawda. Po raz pierwszy w życiu miała prawdziwie dobre samopoczucie. Jednocześnie wiedziała, że taki stan bywa ulotny i postanowiła teraz nacieszyć się nim *do woli*.

O piątej po południu do hotelu w Laranjeiras przyjechał samochód. Juliette wsiadła do niego razem z Harrowem i Zé-Paulo. Czowała, że się jej boją. Została starannie przygotowana, niczym kamikaze. I jak kamikaze budziła w otoczeniu coś na kształt wstrętu, należała już bowiem do przerażającego świata ludzi martwych.

Wychodząc z hotelu, Juliette uśmiechnęła się do Joaquina, który udawał, że drzemie przy drzwiach na swym żelaznym krześle. Odpowiedział jej ledwo dostrzegalnym zmrużeniem powiek.

Harrow był milczący i poważny, chyba nawet bardziej niż zwykle. Wydało się Juliette, że lekko drży. Uśmiechnęła się do siebie. Od kiedy wróciła, traktował ją łagodnie, nie starał się jednak jej dotknąć, a i ona go nie zachęcała. Upewnił się tylko, że nie zmieniła zdania i nadal wyraża gotowość wzięcia udziału w akcji tak, jak zaplanowali. Odetchnął z ulgą, gdy zrozumiał, że wszystko jest w porządku.

Juliette siedziała na tylnym siedzeniu obok Harrowa. Zé-Paulo, siedzący na miejscu pasażera, instruował kierowcę. Prowadził ni-

ski mężczyzna o kwadratowej szczęce. Głaskał kierownicę swymi parówkowatymi palcami.

Bóg wie czemu Juliette pomyślała nagle o jednej ze starych sąsiadek, do których matka prowadziła ją, gdy sama musiała wyjść. Sąsiadka była otyła i z trudem się poruszała. Któregoś dnia Juliette zobaczyła ją odmienioną. Dreptała po domu w luźnych sukienkach i z dumą powtarzała, że dzięki nowej diecie zrzuciła dwadzieścia pięć kilogramów. Ledwo zdążyła przerobić swoje ubrania, kiedy trzy miesiące później umarła. Owszem, stosowała dietę, ale przede wszystkim cierpiała na raka wątroby. To, co ją uszczęśliwiało, odbierało jej powoli życie.

Samochód zjechał ze wzgórza Botafogo. Jechali teraz wzdłuż zatoki, a potem tunelem. Nie była to najkrótsza droga do Baixady. Juliette zdawała się nieczuła i nieobecna, lecz jej mózg rejestrował najmniejsze szczegóły z zadziwiająco dla niej samej przytomnością. Skręcili w prawo i pomknęli w kierunku Lagoa. Pojazd piął się stromą ulicą aż do monumentalnej bramy, która automatycznie otworzyła się przed nimi. Był to zapewne efekt krótkiej rozmowy telefonicznej, jaką Zé-Paulo odbył po drodze. Juliette ujrzała przed sobą wybrukowane podwórko otoczone kwiatami w donicach. Dalej wznosiła się nowoczesna willa z podziemnym garażem dla trzech samochodów. Dwa miejsca parkingowe były wolne. Zajęli jedno z nich. W zaparkowanym obok starym volkswagenie biedronce siedział kierowca. Szara karoseria dawno straciła swój blask i była nadżarta przez rdzę. Zé-Paulo wysiadł pierwszy. Otworzył drzwi biedronki i kazał Juliette przesiąść się do niej. Już miał zatrasnąć za nią drzwiczki, gdy zatrzymała go stanowczym gestem i powiedziała:

- Ted jedzie ze mną.

Brazylijczyk pytająco spojrział na Harrowa. Ten podszedł do samochodu.

- Tak. Obiecałem, że z nią pojadę. - Zé-Paulo przyjrzał się mu z niedowierzaniem i zaniepokojeniem. Harrow uspokajająco położył mu rękę na ramieniu. - To niczego nie zmienia - rzekł głuchym głosem.

- Ale w samochodzie nie ma miejsca.

- Powiedz kierowcy, że ja poprowadzę.

Nastąpiła chwila wahania. W końcu mężczyzna czekający za kierownicą ustąpił miejsca Harrowowi.

Juliette postawiła ten warunek tuż po powrocie do hotelu. Harrow zgodził się dość chętnie, gdyż w ten sposób mógł przypilnować dziewczynę do samego końca. Czego miał się obawiać? Zagwarantowano im obstawę policyjną. Nawet jeśli przypadkowy przechodzień zechciałby donieść na nich policji, to jego oświadczenie i tak wylądowałoby w koszu na śmieci. Wyniki śledztwa potwierdzą, że Juliette sama przyjechała biedronką i nic ani nikt nie zaprzeczy takiej wersji wydarzeń. Najważniejsze było przeprowadzenie operacji od początku do końca zgodnie z ustalonym planem. Harrow, pozostając z Juliette, będzie czuwał w razie ewentualnych wykrętów, wahania, a w najgorszym wypadku - próby zdrady.

Nie ociągając się dłużej, ruszyli. Zé-Paulo zdążył się tylko upewnić, że cztery kanistry znajdują się pod maską samochodu. Zmierzchało, gdy wjechali na drogę biegnącą wzdłuż jeziora. Chrystus Odkupiciel lśnił w świetle reflektorów i na tle czarnego nieba otwierał ramiona w oczekiwaniu na powracających rybaków. Tym razem Harrow skierował się na północ, prosto do Baixady.

Juliette patrzyła na ponury profil mężczyzny wyraźnie rysujący się na tle świateł pagórków. Pomyślała, że w nocy tylko światła odróżniają fawelę od bogatych dzielnic: w tych pierwszych lampki błyszczą w chaotycznym bezładzie, podczas gdy każda z zamożnych kamienic posiada zdyscyplinowany rząd latarni.

- Pamiętaj, co masz zrobić?

- Ted, powtarzałam to dziś przez godzinę.

Juliette zrobiła próbę, posługując się pustym kanistrem identycznym jak te, które wieźli w bagażniku. Wiele razy ćwiczyła po kolei gesty, jakie miała wykonać nad kanałem: odkręci korek, zanurzy pojemnik w wodzie, przewróci go na bok i poczeka, aż prąd porwie całą jego zawartość, następnie zakręci korek i włoży kanister do worka na śmieci, i tak cztery razy.

Ostatniej nocy padało. Ciężkie chmury zwiastowały kolejną, rychłą ulewę. Powietrze było lepkie i nie dało się stwierdzić, czy zaduch bił od ziemi nasączonej wodą czy od burzowego nieba.

Biedronka, turkoczając, odważnie pokonała pierwsze koleiny faweli.

Nie przypadkiem wybrano godzinę. Operacja miała zostać przeprowadzona wieczorem, gdy tężeje mrok i maleje czujność mieszkańców faweli. Poza tym wraz z zapadnięciem nocy wielu z nich idzie nad kanał, by umyć się w ciemności lub zaczerpnąć wody na kolację. Zakażenie będzie natychmiastowe. Co więcej, noc ułatwi dyskretne pozbycie się Juliette.

O tej porze zachodzące słońce muskało jeszcze horyzont upstrzony przewodami elektrycznymi i drewnianymi słupami, barwiło czerwienią błotnistą drogę i odbijało się ostatnimi promieniami w blaszanych dachach faweli. Harrow zeszytniał, jak zawsze, gdy widział wokół siebie znieawidzony krajobraz. Juliette, wręcz przeciwnie, poczuła, że wraca do domu.

Kerry i jej dżentelmen zasiedzieli się w kawiarni. Mota kilka razy bezskutecznie próbował dodzwonić się do Deborah. Po każdym telefonie nalegał, by zaczekać w kawiarni. Kerry roznosiło, lecz nie miała wpływu na tempo wydarzeń. Mota drażnił ją swoją uwodzicielską konwersacją przyprawianą dowcipami i aluzjami, które za każdym razem trafiały jak kulą w płot. Udało się jej nakłonić go wreszcie do rozmowy o polityce. Zapytała o Oswalda Leite, o którym w Stanach Zjednoczonych mówi się, że jest możliwym prezydentem do fotela prezydenckiego w czasie kolejnych wyborów.

Mota z podziwem i entuzjazmem zaczął rozwodzić się na temat polityka, lecz nie powiedział- niczego, czego Kerry by nie wiedziała. W końcu około piątej wykonał ostatni telefon. Triumfalnie oznajmił, że Deborah właśnie zadzwoniła, że wychodzi od fryzjera i w ciągu godziny będzie w domu. Niespiesznie poprosił o rachunek, zapłacił, po czym dłuższą chwilę spędził przy telefonie z powodu „trudnego przypadku medycznego”. Był kwadrans po piątej, kiedy nareszcie wyszli z baru i doszli do podjazdu. Jeden z dwóch chłopców czuwających nad samochodami po kilku minutach postawił auto i ruszyli w drogę.

O tej porze ruch w mieście był duży. Ludzie wracali z pracy. Kerry zastanawiała się, czy to ona pechowo wybrała porę przemieszczania się po mieście, czy Rio było po prostu wiecznie zakorkowane. Niemal cały dzień spędziła pośród jadących lub stojących w miejscu pojazdów. Mota włączył płytę CD z muzyką brazylijską i zaczął rozprawiać o instrumentach muzycznych typowych dla południowo-wschodniej części kraju, z której pochodziła jego rodzina. Kerry, jak rzadko kiedy, nie miała ochoty słuchać opowieści na temat różnicy w brzmieniu *cavaquinho* i skrzypiec z Sertão.

Patrzyła na jezioro przybierające różne odcienie czerwieni, na latarnie zapalające się jedna po drugiej. Przygasiała zieleń pagórków, choć ich bazaltowe wierzchołki nadal lśniły w ciepłym świetle zachodu słońca.

Mota gadał bez przerwy. Zamilkł niespodziewanie dopiero na końcu jeziora, gdy skręcili w drogę pnącą się serpentynami na zboczach Corcovado. Samochód połykał wąską wstążkę ciemnego asfaltu. Wzdłuż drogi wznosiły się wysokie mury posesji. Reflektory zainstalowane w ogrodach oświetlały tropikalne drzewa wystające ponad ogrodzenia. Kerry widziała już tylko profil swojego kierowcy zarysowujący się raz po raz na tle mijanych plam światła. Twarz Moty, pozbawiona galanterii, nabierała zaskakująco groźnego i nieustępliwego wyglądu.

Od czasu do czasu na zakrętach widać było w dole ciemne płaszczyzny, sporadycznie oświetlone gołymi żarówkami i neonami o białej poświacie. Były to fawele.

Tym razem przemówiła Kerry. Zapytała, jak daleko jadą, kto zamieszkiwał tę dzielnicę, czy Deborah nie bała się wracać wieczorami sama. Mota odpowiadał jej krótkimi zdaniem. Zmieniła się też jego mimika. Kurtuazyjne grymasy zastąpił enigmatyczny i niepokojący uśmiech.

W miarę jak pieli się w kierunku szczytu, domy stawały się coraz rzadsze i mijali mroczne strefy, które zapewne były lasami.

- To prawda - Mota zazgrzytał zębami - dzielnica nie jest zbyt bezpieczna.

Kerry nie widziała teraz jego twarzy - lecz odniosła wrażenie, że z niej szydził.

- Słyszała pani o amerykańskim dziennikarzu, który prowadził dochodzenie w sprawie handlu kokainą...

- Coś mi to mówi. Co mu się stało?

- Znalezione go w skrzynce. Poćwiartowanego.

- I ?

- To było tu, w faweli znajdującej się poniżej drogi.

Kerry poczuła, że jej żołądek zawiązuje się w supełek. To nie był strach, lecz wzmożona czujność. Kerry przygotowywała się na nieznane doświadczenie, szykowała się do walki.

- A wzdłuż drogi - ciągnął Mota - często czają się bandyci...

Kerry obserwowała pustą szosę, którą oświetlali reflektorami, jadąc coraz wolniej.

- Złodziejom najczęściej chodzi tylko o pieniądze.

Czarna ściana lasu ciągnęła się bez końca.

- Mimo to - dodał ze szczerym, lecz nieprzyjemnym śmiechem - ludzie nie zawsze wychodzą z tego cało.

Nagle w oddali Kerry spostrzegła światła samochodu.

- Zwłaszcza nazbyt ciekawscy ludzie...

Zanim Mota dokończył zdanie, Kerry pojęła wszystko. Światła, które zauważyła w oddali, nie zbliżały się, samochód stał w poprzek drogi. Wokół pojazdu majaczyły sylwetki ludzi. Spróbowała otworzyć drzwi, były jednak zablokowane. Gdy odwróciła się do Moty, zobaczyła, że jedną ręką prowadzi, a drugą trzyma w pogotowiu, by uderzyć ją w razie potrzeby.

- Proszę zachować spokój - rozkazał jej. - Jak to mówicie po angielsku, „weszła pani do jaskini lwa”.

Takie groźby nie budziły w Kerry szacunku, lecz pomagały jej pozbyć się ostatnich zahamowań. W mig rozszyfrowała zasadzkę, podwójną grę Moty, fatalne, lecz nieuchronne wyjście, jakie jej zostało. Grzeczna i trochę dziecinna kobieta, która dała się złapać w sidła, błyskawicznie zamieniła się w Kerry z Fort Bragg.

Od rogatek dzieliło ich ponad sto metrów i zabójcy nie zaryzykowałiby strzelaniem w ciemno do zbliżającego się samochodu, wiedząc, że w środku siedzi ich człowiek. Z szybkością i precyzją, które całkowicie zaskoczyły Motę, Kerry wymierzyła mu cios i przejęła kierownicę. Lexus gwałtownie skręcił. Kerry przecięła wąską skarpe na poboczu i ruszyła w ciemność. Zbocze było

tak strome, że pas szerokości dwudziestu metrów огоłocony był z drzew. Samochód porwał ze sobą pojedyncze krzaki i po kilku sekundach wbił się pomiędzy dwa pnie, niczym piłka flippera. Na trzecim drzewie maszyna zatrzymała się niemal pionowo. Kerry zwiniętej w kłębek podczas upadku nic się nie stało. Mota nie zapiął pasów. Walnął głową w przednią szybę i nieprzytomny leżał na kierownicy. Drzwi nadal były zablokowane. Kerry pochyliła się nad Brazylijczykiem i pod jego marynarką zobaczyła rewolwer. Kolbę uderzyła w szybę, która rozprysła się na kawałki. Czuła, jak odpryski szkła rozcinają jej lewe ramię, gdy przeciskała się przez małe okno.

Powyżej na drodze poruszały się światła latarek. Kerry słyszała odgłos kroków na asfalcie i nawoływania. Leśne poszycie jirzez kilka dni chłono deszcz i teraz było śliskie i maziste. Kerry, czepiając się pni drzew, pomimo bólu, po ciemku ruszyła stromym zboczem w dół.

XI

Rio de Janeiro, Brazylia

Śmiercionośna biedronka powoli posuwała się główną aleją Baixady. Harrow i Juliette milczeli, czujnie lustrując okolicę w poszukiwaniu niepokojących sygnałów. Nie zauważyli nic nie-normalnego. Ulice były ciche, drzwi pozamykane, żaden starzec nie siedział na krzywej ławce, jakich pełno było wzdłuż blaszanych ścian domostw. Domyślili się, że fawela opustoszała za sprawą wilgotności powietrza po deszczu. Brazylijczycy uskarżają się na chłód, zaledwie odrobinę zelżeje duszący ich zazwyczaj upał.

Im głębiej zanurzali się w fawelę, pokonując wyboje na drodze, tym bardziej zmieniała się natura panującej wokół ciszy. Dziwnie głęboka, nie mogła być wynikiem przypadku. Trudno ją także przypisać humorom mieszkańców. Na ulicach nie było żywej duszy. Nawet w oknach nie wystawały zwykle widoczne tam dziecięce główki. Nie dotarli jeszcze do końca alei, gdy z konsternacją zdali sobie sprawę, że fawela jest pusta.

Było już jednak za późno, by się wycofać. Zresztą nie dało się tego jednoznacznie zinterpretować. Być może gdzieś odbywała się ważna uroczystość, a może zeszłej nocy doszło do krwawej rozprawy gangów, w związku z czym ludzie nawet dziś woleli pozostać w schronieniach?

Samochód wolno zbliżał się do brzegu kanału. Harrow zwolnił. Nie przestawał rozglądać się wokół. Na uliczkach dochodzących do placu nie było nikogo. Próbował odgadnąć przyczynę tej pustki, gdy nagle uderzył go oczywisty szczegół. Nigdzie nie było widać policyjnej ciężarówki ani też samych policjantów.

Harrow gwałtownie zahamował i zatrzymał auto na środku skrzyżowania. Odwrócił się do Juliette. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości i strachu.

Nawet nie zdążył sobie uświadomić, że dziewczyna uśmiecha się tajemniczo, prawie ekstatycznie, jakby oddawała się całkowicie nieznaney sile przeznaczenia. Z baraków przed samochodem wyszła grupa uzbrojonych żołnierzy, gotowych do strzału. Ustawili się w rzędzie po obu stronach wozu. Słychać było hałas nadlatującego helikoptera i wkrótce potężna wojskowa maszyna zawisła nad samochodem.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Wszyscy aktorzy dramatycznej sceny - z Harrowem na czele - przeżyli jednak te chwile napięcia tak intensywnie, że sekundy wydały się im wiecznością. W pierwszym odruchu Harrow chciał chwycić za broń. Powstrzymał się jednak. Zabrał ją ze sobą, w razie gdyby Juliette zaczęła się opierać bądź na wypadek niespodziewanych okoliczności, na przykład interwencji mieszkańców faweli. Wobec takiego rozmiaru sił wojskowych użycie noża byłoby daremne.

Rzucił okiem w lusterko wsteczne, by sprawdzić, czy może zawrócić, ale zwarty szereg żołnierzy odciął im odwrót. W tej sytuacji Harrow postanowił udać, że się poddaje. Zwiesił bezradnie ramiona i pozornie znieruchomiał, jednocześnie tak, by nie przyciągnąć niczyjej uwagi, powolnym ruchem wrzucił jedynekę i gwałtownie wcisnął gaz do dechy. Samochód wyrwał się naprzód. Rozległy się strzały. Celowano w ziemię tuż przy masce. Kule przebiły opony. Na wargach znieruchomiałej Juliette wciąż błąkał się uśmiech. Błaznane ogrodzenie jednego z baraków rozleciało się na kawałki, kiedy pojazd w nie uderzył. Nie zatrzymując się, biedronka wjechała z całą mocą w mur lepianki z gliny i słomy. Maskę samochodu wygięła się pod naporem cienkiej przegrody i samochód utknął pośród odłamków desek i grudek suchej ziemi. Harrow wyskoczył z auta i zniknął za wypatroszonym domem.

Nastąpiła głucha cisza. Drzwi od strony kierowcy pozostały otwarte. Nieprzytomna Juliette wisiała nad tablicą rozdzielczą. Prawa strona jej twarzy spuchła od uderzenia. Nie widziała ani żołnierzy zbliżających się ostrożnie do rozbitego samochodu, ani też oddziału sił interwencyjnych. Żołnierze w kauczukowych kom-

binezonach przystosowanych do wojny bakteriologicznej otoczyli strefę wypadku, gdy tylko nabrali pewności, że Harrow uciekł. Juliette nie była świadkiem otwierania przedniego bagażnika, skąd ostrożnie i powoli wydobyto na szczęście nienaruszone toksyczne beczki. Zachowała mgliste wspomnienie ratowników, którzy nieśli ją do karetki pogotowia, oraz tego, że wokół siebie słyszała trzaski lamp błyskowych. Jedyne wyraźny obraz, jaki zachował się w jej pamięci, to widok staruszka niewielkiej postury w tweedowym garniturze, który przyglądał się jej, gdy wnoszono ją do karetki.

- Bardzo ładna dziewczyna - rzekł z nieco wymuszoną brytą ją intonacją. - Całe szczęście, że wyszła z tego cała.

Powiedział to do stojącego tuż za nim wysokiego Murzyna o zmęczonym spojrzeniu.

- Proszę się cofnąć, Archie - odezwał się Barney. - Ratownicy muszą zamknąć drzwi. Powinna jak najszybciej trafić do szpitala.

Lasy wślizgują się wyłącznie w te rejony Rio, których nie sposób zabudować. Porastają strome zbocza, głębokie wąwozy i podnóża pagórków. Kerry, uciekając po omacku, napotykała rozmaite fizyczne przeszkody. Pod osłoną drzew niebezpiecznie nachylona ziemia była śliska i pełna krzaczastych zarośli i lian, a tam z kolei, gdzie zbocze stawało się łagodne, wyrastały ślady ludzkiej działalności: żelazne ogrodzenia, palisady, kurniki albo dzikie wysypiska śmieci. Kerry czuła się usidlona. Na poziomie leśnego poszycia panowała totalna ciemność. Pomędzy pniami, w dole, dostrzegała migoczące światełka miasta układające się w łuk wokół zatoki Guanabara, powyżej zaś jej prześladowcy omiatali ciemność snopami światła pochodzącymi z latarek.

Po raz pierwszy w życiu Kerry czuła się naprawdę zagrożona. Prawdę mówiąc, jej sytuacja była beznadziejna i bez trudu można było przewidzieć, co się stanie. Śmierć, niezależnie od tego, czy zbliża się powoli, poprzedzana ciszą upadku, czy następuje gwałtownie, najczęściej powoduje coś na kształt skurczu pamięci i przed oczami zaczynają przesuwać się po raz ostatni obrazy

bliskich osób, ukochanych miejsc, chwil przepelnionych miłością. Jednak Kerry niczego takiego nie doznawała. Jej umysłu nie opanowały żadne wspomnienia, ani jedno ludzkie echo, tylko instynkt przeżycia i zwierzęcy krzyk istoty, która zbiera ostatnie siły w archaicznym pragnieniu stoczenia zwycięskiej walki ze śmiercią. Stan ten w podniecający sposób przypominał jej miłosną ekstazę. Był niczym wibracja ciała, a raczej połączenie się ciała i duszy na pierwotnej płaszczyźnie egzystencji.

Przedzierając się przez gąszcz drzew, wpadając na gałęzie i kolce, Kerry podrapała sobie twarz i ramiona. Lepka i gęsta strużka spływała po jej skórze i pomimo ciemności Kerry była pewna, że to krew. Niemniej nie czuła bólu. W pewnej chwili przewróciła się i wpadła do rowu wypełnionego gnijącymi liśćmi i ciepłym błotem. Może uda jej się w nim ukryć? Zaczęła grzebać w miękkim poszyciu, odrywając kawałki mchu, który porastał brzegi zagłębienia. Światła latarek były dość daleko. Prześladowcy nawoływali się nawzajem i echo ich okrzyków wskazywało, że dzieliła ich od niej spora odległość.

Chcąc się zakamuflować, Kerry usmarowała się błotem, jednak rów nie był wystarczająco głęboki, by mogła się w nim cała schować. Wskoczyła natychmiast i rzuciła się pędem w dół. Kilka metrów dalej majaczyły kształty asfaltowej drogi. Niestety po światłach latarek zorientowała się, że ścigający ją ludzie rozstawili na drodze straż co pięćdziesiąt metrów. Tamtędy się nie przeprawi. Wolą kontynuować bieg w dół zbocza z nadzieją, że znajdzie rozwiązanie bliżej faweli. Coraz wyraźniej widziała światła biednej dzielnicy. Biegła co tchu, wykręcając sobie stopy i czepiając się gałęzi. Nagle poczuła kolec wbijający się w czoło. Spróbowała złapać przeszkodę rękami. Był to drut kolczasty. Potrójne ogrodzenie zagroziło jej drogę.

Przystanęła zdyszana i oślepiąca przez krew zalewającą jej oko. Odruchowo obejrzała się, by ocenić odległość dzielącą ją od bandy zabójców.

Wtedy zdała sobie sprawę, że za nią jest już tylko mrok i cisza. Światło latarek znikło; krzyki zamilkły. Nad lasem zapanowała ciemność nocy brazylijskiej, w której pobrzmiwały odległe pomruki miasta.

Nasłuchiwała, stojąc bez ruchu. Niespodziewany spokój mógł oznaczać, że prześladowcy zobaczyli ją, że są bardzo blisko i że zaraz na nią skoczą albo po prostu ją zastrzelą. Upływały minuty, a wraz z nimi w umyśle Kerry powstawały coraz to nowe hipotezy. Czyżby zaniechali pościgu? A może szykowali zasadzkę, wiedząc, w jakim kierunku ucieka?

Pytania tłoczyły się w jej głowie, kiedy nagle z góry dobiegły ją nowe, dalekie dźwięki. Miała wrażenie, że słyszy głuchy odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu. Potem gwizdek i głosy. Kerry nie poruszyła się. Było za wcześnie na pewność, lecz mimo to rosła w niej nadzieja, że jednak zdołała uciec polującym na nią bandytom.

Upłynęły trzy długie minuty, zanim odetchnęła. Podniecenie wywołane bliskością niebezpieczeństwa przekształcało się powoli w rozkosz ocalenia.

Toteż gdy nagle pomiędzy pniami drzew rozbłysły na nowo światła latarek, Kerry poczuła bolesne rozczarowanie. Prześladowcy uzyskali posiłki, stąd krótka przerwa w pościgu. Na pewno mają latarki na podcierwień, a wtedy sytuacja stanie się naprawdę krytyczna. Choć to, że posługują się zwykłymi latarkami...

Kerry postanowiła skończyć bezproduktywne domysły i ruszyła wzdłuż drucianego ogrodzenia z nadzieją, że znajdzie w nim jakąś dziurę. Na próżno.

Trzask łamanych gałęzi był tuż-tuż. Słyszała nawet szelest liści pod ich stopami.

Nagle przeraźliwie blisko i wyraźnie rozległ się męski głos. Kerry odruchowo przykucnęła, tak jakby miało to uczynić ją niewidzialną. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że zna ten głos. Myśl wydała jej się nieprawdopodobna i absurdalna, i w pierwszej chwili uznała, że to halucynacje.

- Kerry!

Czy to sen? Usłyszała swoje imię. Po trzecim zawołaniu nabrała pewności. W miarę jak głos się zbliżał, rozpoznawała intonację i właściciela.

- Paul! - krzyknęła.

Snop światła omiótł płot z drutu kolczastego i zatrzymał się na jej twarzy. Kerry podniosła się wolno.

Krew, błoto i łzy, które mimowolnie spływały po policzkach, uczyniły jej twarz trudną do rozpoznania. Nastąpiła chwila wahania i ciszy.

W końcu poczuła, że Paul podchodzi i przytula ją do siebie. Dopiero w jego ramionach wybuchła płaczem.

Samochód na sygnale pędził ulicami Rio. Otaczały go wojskowe pikapy. Na platformach stali żołnierze, groźnie trzymając karabiny przy biodrze.

Kerry runęła na tylne siedzenie samochodu, nie myśląc o śladach, jakie zostawi na jasnym skórzanym obiciu. Paul nadal obejmował ją ramieniem, lecz ona przestała się już do niego przytulać. Opadły emocje związane z ocaleniem, minęły także długie dreszcze, które strużkami lodowatego potu uwolniły jej ciało od strachu. Kerry czuła się świetnie i odzyskała pełną kontrolę nad sobą. Chciała za wszelką cenę zrozumieć, *co* się stało, na jakim etapie znajdowało się dochodzenie i czy nadal należało obawiać się dramatu.

- Jak mnie odnalazłeś? - zwróciła się do Paula.
- Podążyłem twoim śladem: byłem w gabinecie Deborah, w klinice Poczęcia...
- A kto wskazał ci kawiarnię Lagoa?
- To odkryłem później. Traciłem już nadzieję, kiedy po powrocie do hotelu zobaczyłem taksówkę, do której wsiadłaś rano. Facet wyśpiewał o Mocie i kawiarni, gdy przyłożyłem mu rewolwer do szyi. Nic więcej nie wiedział.
- Ale skąd wiedziałeś, gdzie pojechałam potem?
- Znowu pomógł mi przypadek. Pamiętasz parkingowych przed kawiarnią?
- Kiepsko.
- Było ich dwóch. Wysoki blondyn i okrągłutki brunet z kręconymi włosami.
- Może...
- Cóż, blondyn okazał się Szkotem robiącym w Brazylii badania do doktoratu z antropologii. Dorabia sobie w ciągu dnia. Gdy

brunet poszedł po samochód, student słyszał, jak rozmawiałaś z Mota. Mota tłumaczył ci, gdzie mieszka Deborah. Wskazywał na Corcovado. To był jedyny trop. Zaryzykowałem. A reszty się domyślasz.

Kerry obróciła się do Paula i pocałowała go w policzek, uważając, by nie ubrudzić go krwią.

- Dziękuję - powiedziała.

Przygarnął ją ramieniem i trwali tak chwilę w milczeniu.

Patrząc przed siebie, Kerry dostrzegła eskortę policyjną i żołnierzy. Wcześniej nie zwróciła na nich uwagi. Zrodziło to nowe pytania.

- A ci skąd się wzięli?

- Możemy za nich podziękować Archiemu.

- Archiemu!

W tej samej chwili konwój zatrzymał się przed długim murem. Bezgłośnie rozwarły się wrota metalowej bramy strzeżonej przez dwóch żołnierzy w hełmach. Na jednolitych murach odbijało się pulsujące pomarańczowe światło sygnalizatorów świetlnych. Brama pochłonęła samochody. Wjechali na duży dziedziniec, gdzie jeden przy drugim stały jeepy i wojskowe ciężarówki. Konwój zatrzymał się przed jasno oświetlonym gmachem, wokół którego, jak w ukropie, kręciło się mnóstwo umundurowanych oficerów, wojskowych rozmaitych stopni oraz cywilów. Kerry i Paul wysiedli z samochodu i bez wahania weszli po trzech kamiennych stopniach. Barney czekał na nich przed głównym wejściem. Ujął dłonie Kerry w obie ręce i ścisnął je ze wzruszeniem. Potem poprowadził oboje do środka.

Na pierwszym piętrze urządzono prawdziwą kwaterę główną. Barney posadził Kerry i Paula w rogu stołu konferencyjnego, na którym leżały laptopy, telefony komórkowe i krótkofalówki.

- Parę minut temu dzwonił do mnie Archie. Spotkanie z ministrem obrony jeszcze się nie skończyło.

- A Baixada? - zapytał Paul.

- Nadal trwa odkażanie. W ciągu godziny będzie po wszystkim.

- Co z Harrowem?

- Jak dotąd, nie mamy wieści.

- Jak można było pozwolić mu uciec? - krzyknął Paul.
- To prawda, że się nie popisaliśmy - przyznał Barney, sadowiąc się naprzeciwko nich i przybierając typowy dla siebie zmęczony wyraz twarzy. - Daliśmy żołnierzom kategoryczny zakaz strzelania we wszystkich kierunkach, jak to mają w zwyczaju.

Paul przypominał sobie, że w trakcie opracowywania planu akcji osobiście nalegał, by za wszelką cenę oszczędzić Juliette.

- Harrow zaskoczył nas wszystkich. Wjechał w środek jednej z chat. Posypały się blachy i deski; było ciemno. Dzięki temu zdołał zbiec.

- Tak bardzo chciałabym usłyszeć całą historię. Mógłby mi pan wszystko opowiedzieć? - niecierpliwiła się Kerry. - Mam wrażenie, że przegapiłam kilka odcinków... Zatrzymałam się na etapie, kiedy Archie za wszelką cenę starał się nas zmusić do zaprzestania działań.

- Już mówię. - Barney przetarł ręką oczy. Wolno, zmęczonym barytonem zaczął streszczać wydarzenia. Opowiedział o interwencji Lawrence'a, o swojej rozmowie z Archie'm i o tym, jak go zdołał przekonać.

- Czy to oznacza, że Archie nie sprzeciwia się już misji?
- Archie nie należy do ludzi, którzy robią coś na pół gwizdka. Od chwili gdy zmienił zdanie, krzątał się wokół sprawy, jak tylko mógł. I wyznam wam, że okazał się skuteczny.

- Niby jak?
- Lepiej, żeby sam się pochwalił. Uwielbia tę rolę i jestem pewien, że opowie wam wszystko z najmniejszymi szczegółami...
- Ale mniej więcej.
- Mniej więcej, po prostu uruchomił swoje znajomości. Tak często zamęczał nas, opowiadając o nich, że przestaliśmy pamiętać, że Archie *naprawdę* zna bardzo wielu ludzi.

- Nawet w Brazylii? Żeby udaremnić spisek, na którego czele stoi sam minister spraw wewnętrznych?

- Myślę, że nie zawdzięczamy sukcesu jego tutejszymi znajomościom lokalnym. Ulubiony rewir Archiego to Waszyngton DC.

Wokół bez przerwy dzwoniły telefony. Sekretarze i asystenci, których zastęp kręcił się po pomieszczeniu, wrzeszczeli coś do

słuchawek po portugalsku. Jeden z nich, gestem pełnym szacunku, położył przed Barneyem kartkę papieru.

- Odkazanie zakończone - obwieścił Barney, przeczytawszy raport.

- A co z Juliette? - spytał Paul.

- Została przewieziona do szpitala.

- Była ranna?

W głosie Paula słycać było niepokój. Kerry przyjrzała mu się uważnie.

- Poznałeś ją?

- Tak. Wyjaśnię ci to później. Najpierw skończmy z Archiem.

Barney skinął głową na znak zgody.

- Otóż zadzwonił do Białego Domu, na komórkę jednego z najbliższych doradców prezydenta. Zdaje się, że robili kiedyś wspólne interesy. A może poznali się na polu golfowym.

- Mniejsza z tym.

- Prawda. Najważniejsze, że przekonał go, że sprawa jest pilna. Wspomniał o roli, jaką odgrywa CIA, a zwłaszcza Marcus Brown. Zdecydował argument, że odpowiedzialność za katastrofę ponosić będzie amerykańska administracja państwowa... Prezydent był akurat w Camp David. W ciągu godziny został poinformowany o sprawie. Dał dyrektorowi CIA rozkaz natychmiastowego zatrzymania operacji.

- Przecież CIA nigdy nie działała bezpośrednio. To Brazylijczycy...

- Oczywiście. Kiedy prezydent to zrozumiał, zadzwonił do swojego odpowiednika w Brazylii i opowiedział mu o wyczynach jego ministra spraw wewnętrznych.

- Uwierzył?

- Bez problemu. Nie zapominajcie, że Oswaldo Leite jest jego politycznym rywalem w zbliżających się wyborach.

- Polityka i jej odwieczne prawa - skwitował Paul.

- Tym lepiej dla nas, zważywszy na okoliczności. Prezydent Brazylii natychmiast wezwał do siebie Leite i zawiesił go w czynnościach. Wiedział jednak, że policja pozostanie mu wierna. Dlatego w celu udaremnienia operacji zlecił współpracę z nami ministrowi obrony i armii.

- Wyszedłem po Barneya i Archiego na lotnisko - Paul kontynuował opowieść. - Byłem naprawdę pod wrażeniem. Wyglądało to co najmniej, jakby wybuchła wojna domowa.

- Z Archie'm na czele oddziałów - dorzucił Barney ze słabym uśmiechem.

- A skąd wiedziałeś, że przyjeżdżają? - dopytywała się Kerry. - Przecież o ile dobrze rozumiem, w hotelu obserwowano nas, a telefoniczne połączenia międzynarodowe szwankowały .

- Ktoś mnie uprzedził. No i pomógł.

- Ktoś?

- Juliette.

- Ale w jaki sposób ją spotkałeś?

- Ryzykując życie, sama nas znalazła.

- W hotelu?

- Tak, chwilę po tym, jak wyszłaś.

- Dlaczego to zrobiła?

Paul spuścił głowę. Przed oczami miał wątlą sylwetkę młodej dziewczyny, gdy wychodziła z pokoju na spotkanie z Harro-wem.

- To dobry człowiek - powiedział ze wzruszeniem.

Wszyscy troje zamilkli. Cisza nie trwała długo, gdyż w tym momencie na parterze dał się słyszeć straszny tumult, a potem tupanie na schodach. Po kilku sekundach pojawił się Archie na czele swego oddziału. Rozpięta do połowy koszula ukazywała siwy owłosiony tors. Był zdyszany, czerwony, jednak oczy błyszczały mu triumfalnie.

- Pełny sukces! - wykrzyknął. - Brawo!

Pomimo spojrzenia, jakim omiół całe pomieszczenie, nietrudno było odgadnąć, że gratulował przede wszystkim sobie. Tak ciężko zwałił się na biurowe krzesło, że odjechało do tyłu i z hałasem stuknęło o ścianę.

- Znaleźliśmy Harrowa - oznajmił.

Rozejrzał się wokół, by nacieszyć się efektem, jaki wywołały te słowa.

- Gdzie on jest? - zapytał Barney.

- Chciałeś powiedzieć: gdzie są.

- Było ich więcej?

Archie skrzywił się, szykując szyderstwo w angielskim stylu, jednak jego podniecenie było zbyt wielkie. Wybuchnął donośnym,

szczerym brooklińskim śmiechem, na jaki dawno sobie nie pozwolił.

- Więcej? O tak, więcej kawalków. - Ponieważ zebrani wpatrywali się w niego z osłupieniem, dodał, śmiejąc się: - Te bęcwały żołnierze nie potrafili go odnaleźć. Poszukiwaniem zajęli się więc mieszkańcy faweli. Przy okazji wyrównali z nim rachunki... własnymi metodami. Przynieśli resztki. Niezbyt miły widok. Czternaście ochłapów ludzkiego mięsa pociętych piłą.

Przetarł oczy, próbując się uspokoić.

- A kto je przyniósł? Kobieta! Niejaka Carmen. Carmen! Biedaczka. Żołnierze chcieli ją przymknąć. Kazałem im ją wypuścić, by wróciła do ośmiorga swoich dzieci. W zasadzie należy się jej order.

Potem, spoglądając na stojących po prawej i lewej stronie oficerów brazylijskich, zapytał:

- Jak się nazywa tutejsza Legia Honorowa? A, wiem, Krzyż Południa! Proszę bardzo: Pani Carmen, w imieniu wdzięcznej ludzkości, mianuję panią Starszym Oficerem Krzyża Południa!

Chwycił stojącą na stole butelkę piwa, stuknął na zdrowie i pociągnął długi łyk.

Epilog

Atlanta, stan Georgia

Wbrew powszechnym wyobrażeniom rytm pracy lekarza nie należy do najszybszych. Z wyjątkiem ostrych faz choroby pacjenci przychodzą na konsultacje najwyżej raz w miesiącu.

Tak więc chorzy doktora Matisse'a nie zauważyli jego pięciodniowej nieobecności. Niektórzy stwierdzili tylko, że schudł i z troską pytali go o zdrowie. Innym wydał się trochę zmęczony, jednak zdecydowana większość niczego nie spostrzegła.

Zresztą tym lepiej. Paul stwierdził z zadowoleniem, że sekretny świat - pomimo swej brutalności - nie nazaczył go aż tak głęboko. Co więcej, uczucie, jakie towarzyszyło mu przy wkładaniu białego kitla lekarskiego, miało coś wspólnego z rozkoszą. Sprawa Harrowa została zamknięta w sobotę. W poniedziałek rano przyjmował swoich pacjentów w Atlancie, ogolony, zmęczony jak po zawodach, ale szczęśliwy.

Wchodząc po schodach do kliniki, zobaczył, że sąsiednie piętro zostało zwolnione i że ruszyły już prace remontowe. Dzięki funduszowi Hobsona i Ridge'a Paul zakupił ten lokal, i dzięki temu powiększył klinikę. To był materialny skutek misji i cieszył się, że pozostanie mu po niej taka pamiątka.

Rano zbadał i wysłuchał piętnastu pacjentów. Każdy z nich przybył ze swoimi potrzebami, swoim bólem i lękiem. Był to najlepszy sposób na zanurzenie się z powrotem w codzienność. Wieczorem, wykończony, położył się spać i ocknął się dopiero po jedenastu godzinach. W ciągu kilku kolejnych dni spotkał się z przyjaciółmi. Wśród jego przyjaciółek znalazły się przynajmniej dwie, które nie miały mu za złe długiego milczenia, więc w niespełna tydzień Paul zdołał zapomnieć o krótkiej przygodzie z Providence.

Jednak przygoda nie pozwoliła o sobie zapomnieć na długo. Dwa tygodnie po jego powrocie do Atlanty zadzwonił Archie.

Paul nie mógł uniknąć spotkania z nim, choćby ze względu na kilka nieuregulowanych rachunków w postaci dalszych obietnic wsparcia dla kliniki. Nie miał też nadziei, że będzie ono ostatnie.

Jadąc taksówką - tym razem Archie zatrzymał się w hotelu położonym za daleko, by jechać do niego na rowerze - Paul bez trudu przybrał wrogą minę. Odgrzał swój zły humor jak wczorajsze danie, które zdążyło już zgorzknieć.

Naturalnie Archie niczego nie zauważył. Sukces uwydatnił najbardziej brytyjskie spośród jego manier. Intonacja rodem z Oxfordu zdusiła resztki brooklińskiego akcentu.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że śledztwo w sprawie McLeoda, Harrowa i jego bandy dopiero co się zakończyło? - mruknął.
- Dopiero co! Sprawa o światowym zasięgu ma daleko idące konsekwencje. W kuluarach, rzecz jasna.

Zaśmiał się kokieteryjnie, po czym spoważniał i podniósł do ust filiżankę herbaty. Paul w duchu liczył na szybkie załatwienie sprawy. Z drugiej strony nie przerwał Archiemu, gdyż ciekaw był, jak potoczyły się wydarzenia. Oczywiście starzec dobrze o tym wiedział.

- Prezydent musiał wykazać się wybitnym talentem dyplomatycznym, aby zareagować odpowiednio do sytuacji. Doradziłem mu najlepiej, jak potrafiłem.

Zapewne w ciągu ostatnich tygodni tysiące par uszu usłyszało tę krótką uwagę wypowiedzianą z fałszywą skromnością. Również z wrodzonej skromności Archie nie zdradził szczegółów poufnych rozmów z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Z Chińczykami sprawa została uregulowana zgodnie z przewidywaniami; w największej dyskrekcji. W organie prasowym Partii pojawiła się informacja o zgonie towarzysza Teng Lui Chenga. Opatrzono ją wyrazami niemal szczerzego współczucia. Trzeba było naprawdę wnikliwie wczytać się w tekst, by zrozumieć, że został stracony. Hindusa wtrącono do więzienia za przestępstwa podatkowe. Rząd indyjski od jakiegoś czasu miał na niego haka w zanadru. To tylko potwierdza moją teorię, że ludzi w tym kraju

są wielce rozsądni. W Brazylii sprawa wymagała więcej delikatności. W końcu minister spraw wewnętrznych nie zrobił nic złego. Posłużenie się argumentem cholery przy oskarżeniu - zważywszy na to, że nie dałoby się tego podeprzeć dowodami - raczej rozśmieszyłoby opinię publiczną i mogłoby się źle skończyć dla prokuratora.

- Przecież mieli zeznania Juliette.

- Tak, pacjentki kliniki psychiatrycznej cierpiącej na zaburzenia maniakalno-depresyjne.

Archie po swoim ułożył usta w dystygowany dzióbek, który był znakiem wesołości. Paul siłą powstrzymał się, by mu nie przyłożyć.

- Nie, wykorzystali zlinczowanie Harrowa. W raporcie czytamy, że jego ciało znaleziono w kanale Baixada Fluminense, gdzie prowadził badania nad zanieczyszczeniem wód miejskich. Został pocięty na kawałki. Stany Zjednoczone zaprotestowały przeciwko barbarzyńskiemu potraktowaniu dzielnego bojownika, organizacje ekologiczne wyły jednym chórem. Minister spraw wewnętrznych został zdymisjonowany za nieumiejętność zapewnienia mu bezpieczeństwa. Dosyć zręczne rozwiązanie, nie sądzi pan?

- A współnicy Harrowa?

- *De minimis non curat praetor*

Nawet łacina znalazła swe miejsce w wywodzie Archiego. Paul czuł, że się w nim gotuje. Ścisnął butelkę piwa tak mocno, że omal nie wyłamał sobie paliczków.

- Co to znaczy?

- Drobne rybki i krabiki. W Brazylii sprawę załatwiono szybko i po cichu. Niejaki Zé-Paulo został zastrzelony na przedmieściach Rio po tym, jak odmówił poddania się kontroli drogowej. Kto to sprawdzi? Drugi, niejaki Ubiraci, trafił do pudła za handel narkotykami, co w praktyce oznacza, że został rzucony krokodylom na pożarcie. Wyrok wykonano przed rozprawą sądową. Bardzo sprytnie. Powinniśmy brać z nich przykład.

- A ludzie Harrowa w Stanach Zjednoczonych?

- A cóż oni według pana poczną bez swego guru? Nikt nigdy nie miał pełnego dostępu do planu operacji. FBI ma ich na oku, ale gotów jestem się założyć, że będą grzeczni. Najważniejsze,

że ugrupowaniu ścięto głowę. A wie pan, co się przytrafiło McLeodowi?

Paul oczami wyobraźni ujrzał dom na wzgórzach Morges i naraz powróciło fizyczne wspomnienie nocy spędzonej z Kerry na dachu wieży ciśnień. Dla takich momentów jak tamten ryzykowali życie.

- Wezwał swojego lekarza, tego prawdziwego. Gdy szacowny doktor Jaegli przybył do bunkra McLeoda, ten poczekał, aż lekarz przygotuje kroplówkę. Gawędzili sobie jak zwykle. Potem, na jego znak, dwaj ochroniarze załadowali broń i przystawili ją doktorowi do głowy.

- Przecież on niczemu nie był winien!

- Ależ nie o to chodzi. Stary lis doskonale wiedział, że Jaegli padł ofiarą oszustwa.

- Czego więc chciał?

- Żeby go wykończył, po prostu.

Po tych słowach Archie zaczął cmokać i zapamiętałe ssak orzeszka ziemnego z solą. Byle przedłużyć mękę niepewności słuchaczy.

- Wygląda na to, że zainspirował pan McLeoda. Prawda, że to miła wiadomość? Poprosił Jaegliego, by mu wstrzyknął za jednym razem całą zawartość dużej ampułki potasu... Zdaje się, że biednemu miliarderoi sprzykrzyło się życie. Padł jego wielki projekt. Postanowił wyprzedzić kostuchę i zastosował metodę, o której mu pan powiedział. Ubawiło mnie to. Facet ma klasę. Na pewno większą niż ten prostak Rogulski.

- A co on takiego zrobił?

Archie połknął orzeszka, który, rozciągając skórę jego chudej szyi, powędrował do żołądka.

- Powiesił się w laboratorium - stwierdził, kiwając głową z dezaprobatą. Archie gardził tak nieeleganckimi czynami. Po tem niespodziewanie klasnął w dłonie i podniósł się z radosną miną. - Tak czy owak, poproszono mnie, bym przekazał panu serdeczne pozdrowienia od całego zespołu. Providence ma się wyśmienicie. Panuje rewelacyjna atmosfera. Zewsząd spływają kontrakty. Obawiałem się trochę, co będzie, gdy zniknie Marcus Brown - wie pan, że przeszedł na wcześniejszą emeryturę?

Wymuszoną. Zyskaliśmy jednak wsparcie samego prezydenta, co się nam o wiele bardziej opłaca. Jeśli moje przewidywania się potwierdzą, w przyszłym roku nasz budżet będzie trzykrotnie większy.

Paul zdrzął. Bał się, co nastąpi dalej, i spiął się na wszelki wypadek. Archie odsunął talerzyk, na którym zostało kilka pojedynczych orzeszków ziemnych, i oparł się łokciami o blat.

- Sukces operacji, którą przeprowadził pan wraz z Kerry, po twierdził moje przecucia. Konieczne jest stworzenie w agencji departamentu medycznego.

Właśnie tego obawiał się Paul. Wcisnął się w krzesło. -

Bioterroryzm, zdrowie przywódców państw, ochrona patentów farmaceutycznych, machlojki organizacji humanitarnych, krótko mówiąc, wywiad i medycyna mają dziś wspólny mianownik.

Jeszcze w tym roku miałbym dla pana zajęcie.

Paul potrząsnął głową.

- Proszę nie nalegać, Archie. Zna pan moją odpowiedź.
- Ależ Paul, ma pan okazję zapisać nową kartę Historii, wszak to nie byle co!
- Powiedziałem wyraźnie: „proszę nie nalegać”. Tym razem zrobiłem wyjątek, ale na tym koniec. Moje życie jest tu i tego nie zmienię.

Poza eleganckimi manierami Archie odzyskał też zwyczaj uczciwej gry. Pochylił się w kierunku Paula i krzyknął z entuzjazmem, jak gdyby ten właśnie zdobył punkt:

- Brawo! Ma pan rację, doskonale pana rozumiem. Ale trzeba było to powiedzieć, prawda?

Ku zaskoczeniu Paula Archie nie ciągnął tematu. Przeszli do interesów; omówili kwestie finansowe wynikające z zaangażowania w misję pod kryptonimem „Harrow”. Wkrótce Archie pożegnał się wylewnie.

- Wie pan, w moim wieku człowiek nigdy nie jest pewien, czy zobaczy jeszcze osoby, którym mówi „do widzenia”...

Stary krab od dawna używał sformułowań w tym stylu, więc w naturalny sposób stały się one nieco wyświechtane... A jednak Paul ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że ścisnął dłoń Archiego dłużej niż zwykle. Był przy tym szczerze wzruszony.

- Jestem panu winien przeprosiny - wyznał Archie z łezką w oku. - Wykonał pan kawał dobrej roboty, pan i Kerry. A ja w pewnym momencie zwątpiłem w was...

- Nikt nie ma panu tego za złe...

Tylko bez mazgajenia się. Paul wziął się w garść, wypuścił dłoń Archiego i odprowadził go do wind znajdujących się w holu.

Wychodząc z hotelu, uświadomił sobie, że wbrew oczekiwaniom spotkanie z Archiem wytrąciło go z równowagi. Od powrotu do Atlanty żył rutyną pracy w klinice. Cieszyło go przebywanie we własnym domu. Ani razu nie nadarzyła się mu okazja do medytacji. Zresztą nawet o tym nie myślał. I oto Archie wywołał niepokojące wspomnienia.

Postanowił nie wracać tego dnia do pracy. Udał się prosto do domu. Popołudniowe słońce świeciło nad dachami Atlanty. Paul wyjął trąbkę, usiadł na kanapie naprzeciwko okna i zabrał się do czyszczenia instrumentu. Podczas wykonywania automatycznych gestów jego umysł wędrował daleko. Wrócił wspomnieniami do ostatnich chwil, jakie spędził z Kerry.

Dzień przed wyjazdem długo rozmawiała przez telefon z dziećmi, z Robinem, z przyjaciółmi. Ustalała szczegóły swego powrotu do Nowego Jorku. O szóstej po południu z Rio odlatywał samolot United Airlines. Kerry uparła się nim lecieć, mimo iż rejs miał komplet pasażerów. Dzięki znajomościom z pilotem pracującym dla tych linii lotniczych udało jej się uzyskać pierwsze miejsce na liście oczekujących, co w praktyce oznaczało, że dostanie się na pokład.

Paul za nic w świecie nie chciał wtrącać się w jej decyzje. A jednak patrząc, jak późnym popołudniem w hotelowym pokoju Kerry pakuje walizkę, nie opanował się i podszedł do niej. Nie miał żadnych konkretnych zamiarów, może poza chęcią rozmowy. Kerry natomiast stężała, jak gdyby otarła się o jadowite zwierzę. Paul zostawił ją w spokoju.

Czar prysł również dla niego. W miejsce intensywnych chwil, jakie razem przeżyli, wkradła się nieufność i niecierpliwość graniczące z odrazą. Na tym etapie powinni do minimum ograniczyć wspólnie spędzany czas, w przeciwnym razie powróci - jak to już bywało - faza wymówek i waśni. W głębi duszy Paul wiedział, że Kerry ma rację, chcąc jak najprędzej wyjechać.

Oczekując wieczoru, wymienili kilka banalnych uwag. Paul nalegał, by ją odprowadzić na lotnisko, choć sam wyjeżdżał nazajutrz. Kerry obojętnie przystała na jego propozycję. Po hali wylotów przetaczał się głośny, podekscytowany i roześmiany tłum. Kerry zarejestrowała bagaż, a następnie przeszła do kontroli policyjnej. Im bliżej było pożegnania, tym bardziej niezręcznie czuł się Paul. Pod koniec opanował go zwyczajny strach. Gdy jednak nadeszła chwila rozstania, wszystko odbyło się zadziwiająco naturalnie. Kerry przyciągnęła go do siebie i pośrodku otaczającego ich tłumy mocno się do niego przytuliła. Trwali w długim uścisku, tak jakby wokół nie było nikogo.

- Było fajnie - odezwała się wreszcie. - Dziękuję ci.

Banalność tych słów nie oddawała wzruszenia i czułości, jakie chciała nimi wyrazić. Paul, poruszony, bez słowa zanurkował w zielonym spojrzeniu Kerry. Chwyliła go za czarne baczki i, targając czule, powiedziała:

- Do następnego razu! Jeśli warunki zostaną spełnione...

Potem zniknęła w tłumie zmierzającym w kierunku poczekalni.

Paul polerował instrument i wspominał. Trąbka była teraz czysta, lśniła pięknie. Wzywała podmuch, który tchnie w nią życie. Paul zagrał kilka nut, potem gameę.

Był wtorek. Pomyślał o Maggie, z którą umówił się wieczorem. Miła, wesoła i energiczna dziewczyna, której nie miał jednak zbyt wiele do powiedzenia. Za to z pewnością spędzą miły wieczór.

Wstał i oparł się o framugę okna. Patrząc ukosem na geometryczny miejski krajobraz, zaintonował cicho melodię Milesa Davisa. Wtem zauważył na stole kupkę listów położonych tam przez sprzątaczkę. Nie przejrzał ich jeszcze. Jego uwagę przyciągnęła dziwna koperta. Była większa niż reszta, a jej chropowata powierzchnia usiana była błękitnawymi ciapkami. Nazwisko Paula wypisano dużymi drukowanymi literami. Pod spodem widniał adres Providence. Ktoś z agencji przekazał mu ten list.

Paul otworzył kopertę. Zawierała pięć kartek zapisanych dwustronnie bez skreśleń, pismem okrągłym, równym, a miejscami drżącym.

Rio de Janeiro, 12 sierpnia

„Drogi Panie,

Nie widzieliśmy się od czasu naszego krótkiego spotkania w hotelu Oceania. Chciałabym podziękować za to, co Pan zrobił. Coś w głębi duszy podpowiadało mi wtedy, by Panu zaufać, mimo że wahałam się, zanim postanowiłam skorzystać z tej ostatniej deski ratunku. Zobaczyłam w Panu coś więcej niż tylko oparcie; uosabiał Pan dobroć, której od tak dawna nie zaznałam. Pan miał za to wszelkie powody, by mnie nienawidzić. Dobrowolnie uczyniłam się współwykonawczynią projektu, którego potworność przeraża mnie dziś bardziej, niż się spodziewałam.

Po interwencji w faweli żołnierze odwieźli mnie do szpitala, gdzie przez piętnaście dni pozostałam pod dobrą opieką. Lekarze byli mili i - jak mniemam - skuteczni. Pomogli mi zrozumieć, że cierpię na tak zwane cykliczne zaburzenia nastroju. To dość wygodne pojęcie zwalnia ich z obowiązku przeanalizowania głębokich przyczyn moich zachowań. W końcu to nie ich zadanie. Dzięki kuracji, którą sumiennie stosuję do dziś, udało im się przywrócić mi równowagę psychiczną. Co ciekawe, podobno typowym efektem ubocznym procesu zdrowienia z tej choroby jest poczucie pustki. Przestały mnie nękać ataki lękowe i stany depresyjne, które niegdyś wywoływały we mnie myśli samobójcze. Jednocześnie minęły okresy egzaltacji, które wcześniej, przysłaniając rzeczywistość lśniącem całunem, potęgowały wszystkie moje doznania do nieopisanego stopnia. Owa radość bez przyczyny, która wyrastała nagle z głębin mojej duszy, maskowała szorstkość świata i nadawała mu gładki, lekki i bajkowy wygląd. Obecnie potrafię dostrzegać z zastraszającą czasem wyrazistością zarówno dobre, jak i złe aspekty życia. Odczuwam je ostro, dotkliwie; ważę je i dogłębnie obserwuję. Muszę przyznać, że jest to dość nieprzyjemnie, a czasem nawet bolesne, ale przynajmniej chroni mnie przed popełnieniem niebezpiecznych czynów albo przed angażowaniem się w projekty o katastrofalnych skutkach. Krótko mówiąc, stałam się rozsądną osobą, co mnie zdumiewa, uspokaja, ale i rodzi pewną nostalgię.

Dużo rozmyślałam o przeszłości. O tym, co przeżyłam w ciągu ostatnich miesięcy. Celowość moich czynów była tragiczna, a ich

niespójność - uderzająca. Mimo to nie żałuję. Przeżyłam bowiem intensywne chwile, ośmieliłam się na zuchwałość, na którą nigdy bym się nie odważyła w „normalnym” stanie. No i znalazłam się tutaj, w Brazylii, dokąd z całą pewnością nie wybrałabym się, gdyby nie te niezwykle okoliczności.

Po wyjściu ze szpitala byłam wielokrotnie przesłuchiwana przez miejscową policję, a także przedstawiciele francuskich i amerykańskich władz. Dali mi do zrozumienia, że cała sprawa ma charakter poufny. W prasie ukazały się artykuły o klarownym i krzepiącym przesłaniu. Dziennikarze nigdy nie dowiedzieli się o rzeczywistym planie Harrowa. Jedyne, o czym napisali, to strzelanina w fa-weli. Uczylnili z niego nieszczęśliwie zamordowanego bojownika organizacji ekologicznej. Mnie zaś ochrzcili jego towarzyszką. Ponadto tym łatwiej było mi przemilczeć temat prawdziwego zasięgu operacji, że nadal nie znam jej szczegółów. Zresztą nie chcę ich poznać.

Władze francuskie uczyniły konieczne kroki, by sprowadzić mnie dyskretnie do kraju. Zmieniłam zdanie dopiero w dzień wylotu do Paryża.

W czasie przesłuchań oraz gdy przebywałam w szpitalu, zajmowałam się głównie rozmyślaniami nad przeszłością. Nie zdążyłam rozejrzeć się dookoła. I nagle, opuszczając Brazylię, naprawdę ją zobaczyłam, poczułam. Pomyśli Pan pewnie, że to kolejny z moich dziwacznych wymysłów, ale cóż, taka już jestem. Zdarza się często, że rzeczywistość dostrzegam dopiero w wyobraźni. To właśnie śniąc o Ioaquimie, o nocy spędzonej w Baixadzie, o tarasie hotelu w Laranjeiras skąpanym w ciepłym deszczu, uświadomiłam sobie, że wszystko to nadal było wokół mnie i że wcale nie miałam ochoty opuszczać Brazylii.

Pracownicy ambasady byli oczywiście zbici z tropu. Na szczęście ci ludzie przywykli do dostosowywania się do decyzji, które nie zawsze są dla nich zrozumiałe. Zgodzili się na anulowanie biletu lotniczego, a nawet postarali się dla mnie o wizę pobytową i oddali mi paszport. Tytułem specjalnej ulgi uzyskałam nawet skromne środki z funduszu, jaki przeznaczają na pomoc okradzionym turystom. Tym oto sposobem nadal jestem w Rio de Janeiro. Spotkałam się z Joaquimem, który wyniuchał dla mnie małe mieszkanie

w bloku położonym niedaleko jego domu. Chciałam zamieszkać w faweli, jednak kategorycznie mi tego zabronił. Wydaje mi się, że opowiadałam Panu o Joaquimie. To kaleka zatrudniony w hotelu w Laranjeiras jako portier. Ma bardzo tradycyjne poglądy na to, co przystoi, a co nie przystoi damie, jak mawia, a już zwłaszcza jeśli jest cudzoziemką.

Początkowo zamierzałam szybko znaleźć pracę, jednak gdy tylko nieco się urządziłam, poczułam, że potrzebuję przerwy. Chodziłam na długie spacery po mieście, podszkoliłam portugalski (zaczęłam się go uczyć w szpitalu). Mój ulubiony szlak wiedzie małymi uliczkami pnącymi się aż do peryferii lotniska Santos-Dumont. Z góry roztacza się dość szczególny widok na zatokę Rio. Bardzo go lubię. Nie plaża czy cokolwiek innego, co kojarzy się z wakacjami. Jedyne, co stamtąd widać, to nasyp ziemi i przemysłowe nieużytki. Krajobraz ten jest brudny, a jednocześnie dziewiczy, ponieważ kształt wzgórz i harmonia linii brzegowej sprawiają, że ma się osobliwe wrażenie odkrywania tego miejsca po raz pierwszy, na wzór portugalskich żeglarzy przed wiekami.

Włóczyłam się tam przez całe dni, wędrowałam wzdłuż dawnego holenderskiego fortu, gdzie dziś swoją siedzibę ma szkoła oficerów marynarki. Siadałam na skałach i patrzyłam na wodę, której barwa zmieniała się w miarę upływających godzin. Nikt nie oczekiwał ode mnie żadnych odpowiedzi, jedyną autorką pytań byłam ja sama. Udało mi się w końcu ocenić rzeczowość moich myśli, pragnień, na spokojnie przeanalizować znaczenie, jakie dla mnie mają. Być może zaszokuje Pana wiadomość, że powróciłam myślami do rozmów z Harrowem, do jego poglądów. Teraz zupełnie inaczej postrzegam te obrazy. Harrow jawi mi się też o wiele wyraźniej. Oczywiście nienawiść, jaką w sobie nosił, nadal budzi we mnie wstręt. Wyznam, że jego śmierć przyniosła mi ulgę.

Jednocześnie zachowałam wspomnienia o zgoła innym wydźwięku. Nie zapomniałam nocy, którą spędziłam z nim na pustkowiu Kolorado. Nikt nigdy nie pokazał mi ziemi w całej swej kruchości, tam po raz pierwszy uświadomiłam sobie śmiertelne niebezpieczeństwo, które jej zagraża. Kiedy patrzyłam z mojej skały na zatokę i unoszące się nad wodą mewy, powróciło to samo

uczucie, równie silne, głębokie i bulwersujące. Czuję, że muszę być szczerą w tej kwestii.

A jednak Harrow się mylił. Proponował straszliwe rozwiązanie, choć argumentował je w sposób przekonujący: człowiek zabija ziemię, należy ją więc przed nim chronić. Gdzie tkwił więc błąd?

Nie jestem intelektualistką. Wielkie idee nie budzą we mnie emocji, o ile nie wspierają ich uczucia, miłość. Proszę więc wyrozumiale potraktować moje wyznanie. Będzie ono raczej ubraną w słowa intuicją niż rozumowaniem osadzonym na solidnych fundamentach. Zdaję sobie sprawę, że byle kto bez trudu mógłby obalić moje argumenty. Streszczę je w kilku zdaniach, chaotycznie, tak jak dyktuje mi je serce.

Zarówno tej nocy na pustyni, jak i wiele razy potem, Harrow opowiadał mi o wierze Indian w to, że ziemia żyje. Dlatego nie do pomyślenia jest dla nich przywłaszczenie jej sobie, pocięcie jej na kawałki. Największe świętokradztwo, jakie w ich oczach popełnił biały człowiek, polegało na wbiciu w ziemię pali i uwięzienie prerii w ogrodzeniach z drutu kolczastego. To może prymitywne myślenie, jednak sądzę, że dotyka sedna; podstawowym grzechem naszej cywilizacji jest wznoszenie barier. Gdy z mojego małego skalnego cypla obserwowałam zatokę Rio, czasem czułam się jak świadek wydarzeń w przyspieszonym tempie. Wyobrażałam sobie, jak pierwsze statki przybijają do brzegów porośniętych dżunglą, którą zamieszkują ludożercy. Zobaczyłam osadników wznoszących miasta, wycinających lasy, wdzierających się coraz dalej w głąb łądu. Z pokolenia na pokolenie zwiększała się aktywność nowo przybyłych. Doskonale widać to ze wzgórza Santos-Dumont; budynki pięły się w górę, by stać się drapaczami chmur, konie zastąpiły samochody. Pojawił się samolot, z roku na rok coraz większy. Dla nas to naturalna kolej rzeczy. Taki świat znamy od dzieciństwa. Patrzymy też na niego od wewnątrz i widzimy ten świat takim, jakim chce się nam ukazać: gigantyczną maszyną produkującą coraz więcej bogactw, dobrobytu, wymiany i komfortu. Zapominamy słowa Indian o tym, że ta sama cywilizacja wznosi mury, którymi odgradza się od wszystkiego, co odrzuca, co eksploatuje i co brudzi. Jest bowiem jednocześnie gigantyczną maszyną generującą biedę, nieszczęście i zniszczenie.

Z mojego skalnego molo patrzyłam na zatokę, na piękne samoloty na niebie, na przesuujące się powoli statki, na nitkę samochodów na moście Niteroi. Jednocześnie widziałam kałuże smaru pluskające w załomach skalnych, dzieciaki w łachmanach grzebiące w śmieciach ukrytych za rogiem fortu, umęczone wybrzeże zawałone zbiornikami paliwa i zardzewiałymi żurawiami aż po wyspę Governador. To tak, jakbym patrzyła na świat od wewnątrz i z zewnątrz jednocześnie. Wrażenie to potęgowało się, gdy spacerowałam bulwarami wzdłuż centrum handlowego Ipanemy. Widziałam wózki pełne zakupów, luksusowe samochody, a tuż obok zasmarkane, wychudzone i zaświerzbione dzieci. Jedyne, co ich dzieli, to ośmiometrowe ogrodzenie...

Z łatwością zgadujemy, skąd pochodzą biedni w Rio. Ich twarze przywodzą na myśl rozbite prymitywne społeczeństwa. Czarną skórę odziedziczyli po niewolnikach przywiezionych z Afryki do pracy na plantacjach. Czasem trafić można na zaskakująco jasne buzie o błękitnych oczach, przypominające o upadku zubożałych białych, o sekretnym mieszaniu się dziedziców ze służącymi. W Brazylii widać jak na dłoni, że biedni nie są ani odrębnym gatunkiem, ani zarazą nie wiadomo skąd: są wytworem naszego społeczeństwa. To ono ich stworzyło, by następnie wyrzucić je za płot. Końcowa faza wyparcia się biednych polega na tym, by oskarżyć ich o ich własne ubóstwo oraz - w imię Ziemi, wspólnej przestrzeni, z której uczyniliśmy własność - by ich zniszczyć. Taki właśnie był projekt Harrowa.

Wciąż powtarzał, że uważa się za wroga cywilizacji industrialnej. W rzeczywistości był jej idealnym sługą. Jestem przekonana, że wojna wypowiedziana biednym jest ostatnim etapem wspaniałej przygody Człowieka, który jako twórca zarówno bogactwa, jak i zniszczenia wygenerował biedę, wyparł się jej, i teraz szykuje się do wojny.

Nie mam pojęcia, czy Harrow był ze mną szczery. Nie wiem, czy jego walka była na rękę jakimś wpływowym ludziom, a on nie zdawał sobie z tego sprawy, czy może był współnikiem innych sił, do których świadomie dołączył. Prawdę mówiąc, nawet mnie to nie obchodzi. Pragnę jedynie zrozumieć, czego się dopuściłam i co powinnam zrobić w przeszłości.

Doszłam do wniosku, że jedynym rozwiązaniem jest przełamanie barier. Postanowiłam podjąć się tego zadania. Proszę się nie obawiać, nie jestem Harrowem i nie planuję akcji terrorystycznej. Dokonuję wyborów na miarę mojego istnienia: są tycie. Postanowiłam spożytkować moją energię i przysłużyć się pracą po tej drugiej stronie. Skromnie. Objęłam posadę wychowawczyni w stowarzyszeniu, które pracuje w fawelach. Zajmuję się głównie dziećmi. Uczę je podstaw matematyki, alfabetu. Uczę je także historii, by wiedziały o świecie trochę więcej niż to, co dostrzegają po drugiej stronie murów. Nie chcę wychować ich na małych bojowników, lecz na ludzi, którzy pewnego dnia zechcą sami przekroczyć granicę.

Często przypominam sobie słowa, które wypowiedział Pan w hotelu Oceania. „Można uratować człowieka, wzmacniając jego ludzkie oblicze”. Przyznam, że nie do końca pojęłam, co miał Pan na myśli. Teraz jednak słowa te nabrały dla mnie bardzo konkretnego znaczenia, które rozjaśnia każdy dzień mojego życia i czyni mnie szczęśliwszą.

Raz jeszcze Panu dziękuję i życzę dużo szczęścia.

Proszę przyjąć, szanowny Panie... itd.”.

Paul zamyślił się. Patrzył na daleką linię dachów żarzącą się pomarańczowym światłem zachodu słońca.

Potem nieoczekiwanie przyłożył trąbkę do ust i dmuchając z całej siły, żywiej niż za pierwszym razem, zagrał przerwana melodię. Dźwięk wibrował mu w uszach. Jego gra była jak wołanie w dżunglę, które odbijało się echem pośród wzgórz.

Może i ona je usłyszy.

Posłowie na temat źródeł

Wprawdzie wątek, wokół którego osnuta jest niniejsza powieść, jest fikcyjny, to jednak wydaje mi się on prawdopodobny. W każdym razie przestrzega przed całkiem realnym zagrożeniem, o którym mówi się na każdej międzynarodowej konferencji poświęconej przyszłości planety. Chodzi o oskarżenia wysuwane pod adresem biednych, których nie traktuje się już jak stawki w walce o sprawiedliwość i solidarność, lecz jak zagrożenie. Wszczęliśmy niebezpieczny proces przeistaczania walki z biedą w walkę przeciwko biednym.

Dwadzieścia lat pracy w pomocy humanitarnej dało mi okazję do wysłuchiwania fatalistycznych i niepokojących komentarzy: Afrykę pustoszą epidemie, wojny i głód? Przecież to normalne: jest *ich* zbyt wielu. Czy jest pan pewien, że ratując *ich* za wszelką cenę, rzeczywiście oddaje im pan przysługę? Ludobójstwo w Rwandzie było interpretowane podobnie, o czym często słyszałem, a rzadko czytałem w prasie: to przeludniony kraj, wzajemne mordowanie się tubylców było nieuchronne. Mógłbym mnożyć podobne przykłady.

Owszem, Zachód spogląda na Trzeci Świat z litością. Jednak to humanitarne uczucie rośnie na zgliszczach nadziei. Niepowodzenie stosowanych modeli rozwoju i coraz głośniej podnoszony temat bezpieczeństwa rodzą pytania o wiele bardziej radykalne i tragiczne: jak pomóc masom biedaków? Czyż dramat ten nie zawiera w sobie dozy fatalizmu? Czy rzeczywiście katastrofy są jedynym rozwiązaniem rzadko nazywanego po imieniu - jednak często nawiedzającego nasze umysły - zjawiska przeludnienia planety, zwłaszcza w regionach charakteryzujących się brakiem dostatecznego nawodnienia?

Idee Malthusa nie umarły. Twierdził on, że masowy głód i epidemie stanowią naturalne mechanizmy regulujące liczebność populacji poprzez jej redukowanie. Niwelują tym samym dysproporcję w stosunku do „żywności”, czyli dostępnych zasobów naturalnych.

Wpływy maltuzjanizmu nie ograniczają się wyłącznie do płaszczyzny humanitarnej. Koncepcje Malthusa znajdują swoje odbicie we współczesnych ideologiach, a zwłaszcza w niektórych prądach ekologicznych. Nawet najbardziej osobliwe twierdzenia, które zawarłem w powieści, są ścisłymi cytatami. Weźmy na przykład Williama Aikena: „Pozytywną rzeczą byłaby masowa śmiertelność ludzi. Naszym obowiązkiem jest doprowadzenie do niej. Powiem więcej, w imię szacunku dla środowiska, w którym żyjemy, zadaniem naszego gatunku jest wyeliminowanie 90% populacji”¹.

Francuski czytelnik uzna, że powyższa deklaracja może wyjść z ust wyłącznie nieodpowiedzialnych i odosobnionych ekstremistów. W naszym kraju ekologia cieszy się sympatią „uczciwych obywateli”, którzy nawet w najmniejszym stopniu nie podzielają tego typu poglądów. Francuska ekologia przybrała dobrotliwe oblicze pokojowych ruchów politycznych, od czasu do czasu urozmaicanych walką zatroskanych obywateli, którzy zdobyli odrobinę władzy, o ulepszenie ruchu rowerowego lub recyklingu odpadów. Nawet najbardziej spektakularne akcje Greenpeace albo kosiarzy Organizmów Zmodyfikowanych Genetycznie (GMO) traktowane są w naszym kraju jako niegroźne inscenizacje. Doprowadziło to do sytuacji, w której zapomnieliśmy, że w innych krajach, jak na przykład w USA albo w Anglii, ekologia może mieć zupełnie inne oblicze. Tam służby bezpieczeństwa bardzo poważnie traktują ten problem. Tak zwany ekoterroryzm został nawet uznany przez FBI za drugie, po islamskim fundamentalizmie, zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych². Niewątpliwie pogląd ten jest kontrowersyjny. Niektórzy widzą w nim próbę manipulacji i punkt wyjścia publicznej dyskusji. Nasuwa się jednak wniosek: radykalna ekologia nie jest wymysłem.

Ekologia radykalna zakorzeniona jest w mało znanej we Francji, ale szeroko rozwiniętej refleksji teoretycznej. Dopiero Luc Ferry w dziele *Le Nouvel Ordre écologique*³ zwrócił uwagę na ogrom

literatury poświęconej tak zwanej głębokiej ekologii (*deep ecology*). Jednym z aspektów odnowy współczesnej myśli maltuzjańskiej jest ostra krytyka człowieka. Zgodnie z filozofią głębokiej ekologii „Człowiek nie znajduje się na szczycie hierarchii istot żywych, lecz wpisuje się w ekosystem jako jego część”⁴. Praktyczne konsekwencje takiego podejścia mają wiele wspólnego z „humanitarną” troską o populację. Pośród słynnych „Ośmiu zasad głębokiej ekologii” norweskiego filozofa Arne Naessa czytamy: „Rozkwit życia i kultury człowieka daje się pogodzić z zasadniczym zmniejszeniem populacji ludzkiej”.

Do Francji dotarło jedynie dalekie i dość wyglądzone echo tych postulatów. Cieszący się u nas popularnością myśliciele, tacy jak Michel Serres⁵ albo Albert Jacquard⁶, rozpowszechniają koncepcje zapożyczone z powyższej filozofii. Wypowiadając je swymi zachrypniętymi głosami, przybierając dobrotliwy wyraz twarzy, w efekcie utrudniają zrozumienie powiązania, jakie istnieje między nimi a skrajną przemocą i aktami terroryzmu.

Uznałem, że fikcja powieściowa będzie najskuteczniejszą, a jednocześnie najprostszą formą, by przedstawić ten złożony temat oraz uświadomić doniosłość związanych z nim wyzwań. W ostatnim czasie pojawiły się liczne publikacje amerykańskich autorów poświęcone tej problematyce⁷. Zamyśl powieści *Zapach Adama* różni się jednak pod wieloma względami od wspomnianych książek. Posługując się postacią młodej Francuzki, która wciągnięta została w świat radykalnej ekologii, chciałem umożliwić czytelnikowi, któremu temat ten jest obcy, odkrycie tego ruchu oraz przyświecającej mu ideologii. To powieść przygodowa, a nie wykład uniwersytecki.

Co więcej, chciałem dochować wierności wcześniejszym powieściom, moim celem nie było zatem szczegółowe omówienie nurtu ekologicznego, ale zaproszenie do refleksji nad naszym stosunkiem do krajów Trzeciego Świata i do problemu ubóstwa. Pod tym względem ludzkość znalazła się w trudnym momencie dziejowym.

Garść rozproszonych idei sprawia, że radykalnie zmieniają się nasze wyobrażenia na temat biednych krajów, jednocześnie zmienia się optyka spojrzenia na problem. Idee te układają się

w szeroki wachlarz: od ekologii głębokiej po prace neokonserwatystów amerykańskich, od porzucenia ideału postępu po ewidentne, lecz jednocześnie tak niewystarczające sukcesy pomocy humanitarnej. Prowadzone przez zachód ostre współzawodnictwo na tle ekonomicznym w krajach Trzeciego Świata tylko pogłębia tę niezdrową tendencję. Wejście w szranki nowych zawodników - mało skrupulatnych w dziedzinie sprawiedliwości społecznej i praw człowieka, jak na przykład Chiny - czyni rywalizację jeszcze bardziej śmiercionośną. Jednocześnie pozbawia szacunku etycznego związku, jakie bogaty świat utrzymuje z zacofanymi i zagrożonymi krajami, a także z masakrowanymi społecznościami tych krajów.

Przygotowując się do pisania powieści, sięgnąłem do bogatej dokumentacji, której nie sposób tu przytoczyć w całości. Odniosę się do kilku wybranych dzieł, stanowiących podstawę dalszej, bardziej docieklivej analizy źródeł, która z kolei wymaga sięgnięcia do licznych stron internetowych poświęconych interesującemu nas tematowi.

Dzieło koronne na temat wyzwolenia zwierząt to rzecz jasna *La Liberation Animale** Petera Singera, oraz inne, o bardziej prawniczym charakterze, *The Case for Animal Rights*⁹ Toma Regaña.

*Silent Spring*¹⁰ Rachel Carson, a także słynna i piękna powieść *Almanach d'un comté des sables*¹¹ Aldo Leopolda należą do klasyki gatunku w dziedzinie głębokiej ekologii.

Pojęcie *deep ecology* pojawiło się stosunkowo późno. Związane jest z pracą myśliciela Arne Naessa¹² oraz jego współpracowników i epigonów George'a Sessionsa i Billa Devalla¹³. Krytyka współczesnych technologii oraz ich destrukcyjnych skutków została przedstawiona przez Hansa Jonasa w słynnym dziele *Le Principe de responsabilité*. Co się tyczy antyhumanistycznej odmiany tego nurtu, warto zacytować Davida Ehrenfelda w *Arrogance of Humanism*. John Lovelock odniósł olbrzymi sukces wydawniczy, zawierając swoje poglądy w książce *Gaia: a new look at Ufe on earth*¹⁵. Literatura francuska jest pod tym względem znacznie skromniejsza, pomimo znaczenia (oraz obfitości) pisarstwa takich autorów jak Serge Latouche¹⁶.

Wśród pozycji posługujących się językiem prawniczym znajdziemy *The Rights of nature: a history of environmental ethics*¹⁷ Rodericka Nasha, natomiast koncepcję „zbrodni przeciwko ekosferze” wprowadził Stan Rowe.

Nie da się zrozumieć pochodzenia przemocy ekologicznej bez uświadomienia sobie drogi, jaką nurt ekologiczny przebył od wywodu filozoficznego do obwiniania ludzkości. Bezpośrednia i radykalna akcja znajduje swe usprawiedliwienie w założeniu, że wymierzona jest przeciwko jeszcze potworniejszym zbrodniom. Zbrodniom, którym winny jest gatunek ludzki wobec innych gatunków, czy nawet wobec całej przyrody. Dość powszechnie pojawiają się w internecie - na stronach poświęconych tematowi - informacje, że terroryzm ekologiczny, o który oskarża się niektórych radykalnych działaczy, jest w rzeczywistości odpowiedzią na „prawdziwy” terroryzm, którego codziennie i na wielką skalę dopuszcza się cywilizacja industrialna oraz, bardziej ogólnie, gatunek ludzki.

Jednym z rzeczników podjęcia radykalnej akcji jest Edward Abbey. Nawet jeśli nie zgodzimy się z jego poglądami, to trzeba przyznać, że jego przypadek jest dość pocieszający dla powieściopisarza: napisana przez Abbeya powieść *Monkey Wrench Gang*ⁿ znalazła odbicie w rzeczywistości. Głupkowata epopcja o bandzie sabotażystów prowadzących akcje w tartaku, których losy pisarz opisuje w niedościgniony sposób, posłużyła za brewiarz całemu pokoleniu aktywistów, którzy niemal co do joty zrealizowali jego program.

Dave Foreman, założyciel stowarzyszenia Najpierw Ziemia! otwarcie odwołuje do dzieła Edwarda Abbeya. Widać to już w tytule jego książki: *Ecodefense. A field guide to monkeywrenching*¹⁹. Twórcy innej grupy aktywistów, która od samego początku skoncentrowała się na tematyce nuklearnej oraz morskiej, nie szczędzili szczegółów ich własnej działalności. Jedną z najciekawszych książek na ten temat jest *Warriors of the Rainbow*²⁰ Roberta Huntera, w której autor dokładnie opisuje początki działalności organizacji Greenpeace. Paul Watson, który zasłynął, zatapiając portugalski statek wielorybiczny, odchodząc z organizacji Greenpeace, twierdził, że należy stosować bardziej ofensywne formy

walki. W swojej książce zatytułowanej *Ocean Warrior, my battle to end the Ulegal slaughter on the high seas*²¹ odwołuje się do pojęć wojny i bitwy charakterystycznych dla retoryki organizacji powstałych na początku lat osiemdziesiątych. Nowi Drapieżcy, których powołałem do życia w niniejszej powieści, nadają tego typu zabiegom charakter skrajny. Z chwilą uznania gatunku ludzkiego za winowajcę oraz za cel sam w sobie, wszystko staje się możliwe, zmienia się tylko skala, na jaką planowana jest akcja.

Wskazując na epidemię cholery jako podstawowe zagrożenie, ustawiłem się na antypodach powieści technologicznej; wszak nieszczęsny przecinkowiec jest plagą zgoła niemożliwą. Jednak ci, którzy poświęcili bakterii swe życie zawodowe, nadal opowiadają o niej z pasją. Składam tu hołd profesorowi Dodinowi oraz szczególne podziękowania profesorowi Jean-Michel Fournierowi, kierownikowi Oddziału Cholery i Przecinkowców w Instytucie im. Pasteura w Paryżu. To on wprowadził mnie w tajniki badań nad przecinkowcem cholery, dzięki czemu moje opisy laboratoryjne są ściśle zgodne z rzeczywistością.

I wreszcie, jako że książka ta przybrała formę powieści szpiegowskiej, chciałbym podziękować wszystkim, którzy w miarę moich kolejnych potrzeb zaznajamiali mnie z „tajnym światem”, który stale ewoluuje. Pośród nich ważne miejsce zajmuje sir Ronald G., dawny szef brytyjskiego SAS, niezwykle człowiek o znacznie bogatszej, bardziej złożonej i szlachetniejszej osobowości niż powieściowy Archibald. Niewątpliwie tworząc tę postać, zapożyczyłem od niego pewne cechy. Składam mu szczególne wyrazy wdzięczności.

Wielu agentów, z którymi miałem okazję się zetknąć, pełniąc funkcje kierownika operacji pokojowej w Ministerstwie Obrony, nie pracuje już w administracji państwowej. Tendencja do prywatyzowania służb wywiadowczych widoczna jest zarówno we Francji, jak i za granicą. Chciałem o tym przypomnieć, wyobrażając sobie - w bardzo dowolny - ale i realny sposób - prywatną agencję Providence.

Medycyna i biologia zajmują coraz ważniejsze miejsce w dzisiejszym świecie, co niestety wcale nie gwarantuje nam spokojnej przyszłości.

1 *Earthbound: Essays in Environmental Ethics*, Random House, 1984.

Niedawno w USA o ekoterroryzm otwarcie posądzono piętnastu bojowników na rzecz praw zwierząt oraz ochrony środowiska. Por. *Liberation*, 30 stycznia 2006.

³ Grasset, 1993; *Livre de Poche*, 1994,

⁴ Por. dokument Radio Kanada nt. szczytu w Johannesburgu.

⁵ Por. zwłaszcza: *Le Contrat naturel*, Francois Bourin, 1990; *Champs*, Flammarion, 1992.

Cinq Miliars d'hommes dans un vaisseau, Seuil, Points-virgule, 1987.

⁷ Brian Brett, Coyote, Thistledown Pr. Ltd; David Homel, *L'Évangile selon Sabbitha*, L'émeac, 2000; Actes Sud, 2000; T.C. Boyle, *Un ami de la terre*, Grasset, 2001; *Livre de Poche*, 2003; Nicholas Evans, *La Ligne de partage*, Albin Michel, 2006. Powieści te, każda utrzymana w odmiennym stylu i o innych ambicjach, charakteryzują się tym, że skierowane są do czytelnika amerykańskiego, świata domego realiów, walki i zdegenerowanych odmian ekologii radykalnej. Wspomnijmy w tym miejscu również książkę Michaela Crichtona *État d'urgence* (Robert Laffont, 2006), której bojowniczy finał (nawołuje do skompromitowania obrońców tezy o ociepleniu klimatycznym) czyni ją raczej pozycją polemiczną, wręcz propagandową.

⁸ Grasset, 1993.

⁹ University of California Press, 1983; wznowienie w 2004.

¹⁰ Houghton Mifflin, 1962. Spośród bardziej „konserwatywnych” (w znaczeniu: mniej radykalnych, mających na celu raczej zalecanie pewnych sposobów chronienia przyrody niż gruntowne podważenie działalności człowieka) wymienić można książkę *The Quiet Crisis* (1963, Gibbs Smith, 1988) pióra Stewarta Udalla, polityka w rządzie Kennedy'ego i Johnsona.

¹¹ Wydana pośmiertnie w 1949 roku, w tłumaczeniu francuskim ukazała się w 1995 (Aubier); Flammarion, 2000.

¹² Nakładem wydawnictwa Kluwer Academic publ. (2005) ukazał się komplet dzieł autora. Streszczenie twórczości zawarte jest w książce George'a Sessions pod tytułem *Deep Ecology for the 21st Century* (Shambhala, 1995).

¹³ Bill Devall jest aktualnie doradcą Fundacji na rzecz *deep ecology* w San Francisco, autorem, między innymi, książki *Deep Ecology; Living as if Nature Mattered*, Gibbs Smith, 2001.

¹⁴ Oxford University Press, 1978.

¹⁵ Oxford University Press, 1979.

¹⁶ Zacytuję także inny tytuł tego autora: *Survivre au développement, de la décolonisation de l'imaginaire économique à la construction d'une société alternative* (Mille et une nuit, 2004). S. Latouche jest twórcą koncepcji wzrostu ujemnego, zgodnie z którą należy dążyć do odwrócenia celów makroekonomii w społeczeństwach rozwiniętych.

University of Wisconsin Press, 1989.

Lippincott, 1975. *Le Gang de la clef a molette*, Gallmeister, 2006.

Abzug Press, 1993.

Holt, Rinehart and Winston, 1979.

Key Porter, 1994.

Spis rzeczy

Część pierwsza	7
Część druga	99
Część trzecia	197
Część czwarta	293
Część piąta	357
Epilog	481
Posłowie na temat źródeł	494